

IRENA

KRZYWICKA

Wyznania gorszycielki

Opracowała Agata Tuszyńska

Czytelnik • Warszawa 2002

Postłowie, nota edytorska i przypisy: Agata Tuszyńska Opracowanie graficzne: Zbigniew Czarnecki

Na okładce wykorzystano

portret Ireny Krzywickiej pędzla Witkacego.

Ze zbiorów Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku

Ilustracje ze zbiorów Ireny Krzywickiej

Wybór zdjęć: Agata Tuszyńska

Reprodukcje: Anna Jarosz

© Copyright by Andrzej Krzywicki, 1995

„Czytelnik”, Warszawa 2002. Wydanie V

e-mail: sekretariat@czytelnik.pl <http://www.czytelnik.pl>

Ark. wyd. 30,6; ark. druk. 28,25

Druk z gotowych diapozytywów

Łódzkie Zakłady Graficzne

Zam. wyd. 636; zam. druk. 91/12/2002

Printed in Poland

ISBN 83-07-02881-7

Tę książkę wspomnień poświęcam pamięci Eli, drogiej mojej synowej, dobrej, dzielnej i pięknej.

Urodziłam się na Syberii 28 maja 1899 roku. Rodzice wyjechali z Jenisiejska, kiedy miałam dwa lata. Pierwsze moje wspomnienie pochodzi z tego właśnie okresu, a że hierarchia ważności jest inna u dziecka niż u dorosłego, więc pamiętam... muchy na ścianie. Bałam się ich okropnie, ojciec trzymał mnie na ręku, pokazywał z bliska, że nie straszne, łapał je i puszczał, ale nic nie pomagało, wstręt do nich pozostał mi na całe życie.

Pisanie autobiografii jest zawsze przedsięwzięciem karkołomnym. Trzeba sobie powiedzieć z góry, że żadną miarą nie da się uniknąć zakłamania. Ten, kto przystępując do pisania sądzi, że będzie całkowicie szczery, myli się, zanim sformułował pierwsze zdanie. Przyczyny są oczywiste. Każdy człowiek ma na swoim życiowym koncie postęпки i postawy, o których nie tylko nie lubi opowiadać, ale o których sam woli nie pamiętać. Pominięcie jednak tych spraw grozi sfalszowaniem życiorysu, a sfalszowany życiorys w ogóle przestaje być interesujący.

Nawet Rousseau, który postawił sobie za zadanie mówić w swoich Wyznaniach wszystko, nakłamał potężnie, i to w sprawach istotnych. Ale gdyby ktoś nawet zdobył się na szczerłość absolutną i nie oszczędzał Słebie ani przez chwilę, w imię rzetelności i dokładności, to pozostają Przecież inni ludzie, którzy odgrywali rolę w jego życiu. Mówić o nich wszystko? Jakim prawem?! A znów pomijać ich milczeniem, to fałszować i swój życiorys. Sytuacja bez wyjścia, albo też wyjście chyba jedyne: opowiadać, ale fragmentami, mówić, ale tylko tyle, ile się może i chce powiedzieć.

Dziadek, ojciec mojej matki, nazywał się Leon Barbanel i pochodzi z rodziny o dawnych, niemal arystokratycznych tradycjach. Początki rodu Abarbanelów sięgają bodaj XII wieku. Podobno — jak mówi tradycja rodzinna — istnieją spisane dzieje tego rodu, ale owej książki nigdy nie widziałam. Jednego z Abarbanelów, wybitnego wodza z XV wieku wymienia Strzykowski w swoim Przybyśzu z Narbony. Zachował się chyba w Madrycie obraz ukazujący przyjęcie ministra Abarbanela przez królową Izabelę. Za sprawą Inkwizycji rodzina Abarbanelów została jednak wygnana z Hiszpanii, rozproszyła się, niektórzy zagubili w

nazwisku swoje początkowe A. Ale w tradycji pozostał zwyczaj nadawania synom imion zaczynających się od pierwszej litery alfabetu (moi wujowie nazywali się August i Albert). Dwaj bracia Barbanelowie w XVII stuleciu we Włoszech zyskali sławę jako lekarze. Inni członkowie rodu wyemigrowali zapewne do Polski, a może i do Rosji. Spotygam tu i ówdzie to nazwisko we Francji, w Ameryce, ale żadnej łączności rodzinnej niepodobna odnaleźć. O ile jednak wiem, w Polsce poza moim dziadkiem innych Barbanelów (czy Abarbanelów) nie było. Dziadek był niezwykle piękny. Zapewne z powodu wielu przemieszań zatracił typ semicki, miał rzymską, patrycjuszowską twarz. Aby utrzymać rodzinę, pracował jako agent giełdowy, ale pisywał również artykuły ekonomiczne do „Kuriera Warszawskiego”. Bakcył pisania zakradł się do rodziny dość wcześnie. Dziadek nie odgrywał wielkiej roli w domu, zwykle przesiadywał na giełdzie albo w redakcji. Zmarł dosyć wcześnie na raka mózgu. Babka moja, Balbina, pochodziła ze znanej z urody rodziny Baumrit-terów. Elegancka, dystyngowana, miała znakomite maniery i silny charakter. Ona rządziła domem — trzymała twardą ręką służące i dzieci, przejmowała strachem także dziadka, który ją uwielbiał. Była surowa i wymagająca, nosiła stale przy sobie koszyczek z domowymi kluczami. Ona też, gdy zachorowała na dyfteryt, przywiązywała sznurkiem młodszą córkę do swojego łóżka, by ją budzić w miarę potrzeby. Pogardzała własnymi córkami, kochała tylko synów.

Mieli czworo dzieci. Najstarszy, August, ożenił się dla pieniędzy z bardzo posażną, ale brzydką panną o długim czerwonym nosie i wiecznie zmartwionej twarzy. Biedna ciotka Mania — maniaczka na (punkcie higieny — żyła w obłędnym strachu przed mikroorganizmami (co ten j

narobił!). Nie dość, że nieustannie sprzątała i ścierała kurze mimo licznej służby, ale też myła ręce uściskawszy czyjąkolwiek!
!« 'i zakrywała bibułkami szklanki, aby mikroby nie wpadały do ' dka Bała się ich długo, aż wreszcie, po śmierci wuja, utraciwszy majątek, zmuszona była odnajdąć jeden z pokoi swego dużego miesz-, • Lokatorka, czy to udęczona jej narzekaniem, a może z wrodzonego chamstwa, zrobiła jej na złość olbrzymią kupę na środku przedpokoju. Ciotka musiała sama ją sprzątnąć i okazało się to najważniejszym wydarzeniem w jej życiu! Ten potworny fakt nie spowodował niczyjej śmierci na cholera czy dżumę, toteż przestała się bać. „Tak to z małych przyczyn skutki są ogromne”.

Z tym odłamem rodziny mało miałam styczności. Matka nie lubiła głupiej ciotki Mani i pokłóciła się z bratem Augustem, bo wyraził się źle o rewolucji. Dlatego prawie nie znałam ich córki Jadzi, która mnie zresztą traktowała jak ubogą krewną. Wiem tylko, że Jadzia dokazała rzeczy niemałej, mianowicie „niepokalanie poczęła”. Musiała być przesadnie ostrożna i w rezultacie jej nikomu niepotrzebna cnota wraz z niewiadomego pochodzenia płodem padły ofiarą noża chirurga. Mówiło się o tym w rodzinie szeptem, z lubością i zgrozą, w każdym razie tak, żeby bezwiednie pobudzić moją ciekawość i raz na zawsze zniechęcić do półdziewictwa.

Drugi mój wuj, Albert, był podobny do dziadka, przystojny, inteligentny, błyskotliwy, oczekiwano, że z niego „coś będzie”. Tymczasem pojechał na studia prawnicze do Paryża, tam zaprzyjaźnił się z grupą intelektualistów, z Janem Lorentowiczem i Stanisławem Posnerem (później jednym z przywódców PPS-u i redaktorem „Robotnika”), z Władysławem Reymontem. Romansował też z Gabriellą Zapolską, sam zaczął pisać, słowem, żył Paryżem swojej epoki. Niestety zdarzyło mu się dziecko z córką konsjerżki. Wrócił do kraju jak niepyszny, z uszami po sobie, i wyznał swoją winę. Rodzina, a zwłaszcza dorosłe już siostry zdecydowały, że w takim wypadku trzeba się żenić. Wuj Albert wrócił do Paryża, uznał dziecko, ożenił się na swoje nieszczęście z jedną z najniegodziw-szych kobiet, jakie znałam, i

został „przetracony” na zawsze. Do historii wuJa Alberta jeszcze wróce, zwłaszcza że życie dało jej nieoczekiwaną Pointę:

Starsza z dwu siostr Alberta, Zosia, była aniołem. Kiedy w dojrzałym wieku umarła, ubodzy z całej ulicy odprowadzali ją z płaczem. Miała szczególny dar świadczenia dobrego wszystkim, których spotkała na swojej drodze.

Matka, korzystając z jej łagodności i uległości, wydała ją za mąż mężczyznę starszego od niej o trzydzieści lat. Mąż Zosi, Julian Ben stanowił dobrą partię — miał przedstawicielstwo maszyn do szyć Pfaffa, a też i innych firm. Mimo że nie wyszła za mąż z miłości, cenił męża i została mu wierna i dobrą żoną. Nie mam pojęcia, czyim bv> synem wuj Berg, zapewne jakiegoś szlachcica z okolic. Krótki r błękitne oczy i sumiaste blond wasy, typ czysto polski. Wyglądał szlagon. W swej niezwyklej głupocie wygłaszał prawdy typu: „nal być uczciwym i oszczędnym”, „rodzina jest kolebką społeczeństw Jednym z jego ulubionych twierdzeń było: „każdy kęs należy przeżuć razy”, co też czynił, upodobniając się do krowy. Owo przeżuwanie wyszło mu zresztą na dobre, dożył bowiem równych stu lat. Nazywałam go jako dziecko, nie wiem czemu — Bubery. Miał siostrę Bubę (Marię) Grossmanową, żonę właściciela znanej firmy fortepianów — Ludwika. Pani Grossmanową, melomanka i osoba światowa, prowadziła bardzo uczęszczany salon i rzekomo na wieku jej fortepianu widniały wyryte rylcem autografy Chopina, Moniuszki, Mendelssohna, Rubinsteina i innych. Wuj Berg nie był jednak dość znaczący zdaniem siostry, toteż nie zapraszała go do siebie nigdy, ani samego, ani z żoną. Rodzina Grossmanów pozostała dla mnie jedynie w legendzie, nie poznałam z nich nikogo. Ciocia Zosia — nazywałam ją Godek, miałam bowiem manię przezwisk — byłaby z mężem niezmiernie szczęśliwa, gdyby nie parę cierni. Przede wszystkim nieustanne skrobanki. Poza tym stała obecność w domu brata męża, Seweryna, niezdolnego do niczego imbecyla, który jednakże, co rano, prześladował Zosię, wmawiając jej upoczywie, że mu w nocy potajemnie zdiera zelówki. Wreszcie mania wuja Berga — jego ambicje rzeźbiarskie. Co drugi dzień przychodził „artysta”, w pelerynie, z bródką, i uczył wuja rzeźby. Ten, nie mając innego modelu, rzeźbił żonę — i oto, wśród szaf gdańskich, bieder-meierowskich mebli, wśród firanek z festonami, wśród pluszowych foteli, wisiały płaskorzeźby przedstawiające biedną ciocię Zosię na gołe w sugestywnych pozach. Nie raziło to jakoś nikogo, ale przyprawiał nieszczęsną kobietę o męki wstydu. Nie miała jednak odwagi sprzeciwi^ się woli męża. Do drobnych udręk należało też cotygodniowe sprawdzanie przez wuja zeszytiku z wydatkami. Był bardzo skąpy i biedna ciotka wia się jak mogła, zwłaszcza że przy całym szacunku nabierała męża, powiększając tę czy inną sumę, by oszczędzić i komuś pomóc. Jakoś to się jej udawało i żyli szczęśliwie.

10

artym i najmłodszym dzieckiem dziadków Barbanelów była moja _ Felicja * — zbuntowana i nieposłuszna. Nieudana, zdaniem Nie cierpiała własnej matki i była z nią w bezustannym konflikcie, chciała nosić gorsetu, co uznawano za szczyt nieprzyzwoitości, ysoki kołnierzyk z fiszbinami miała stale rozpięty. Wychodziła sama ulicę (o zgrozo!), bez obowiązującego wówczas towarzystwa „młod-zei” Chciała koniecznie studiować, ale że kobiet na uniwersytet nie przyjmowano, więc zapisała się na dentystykę i ukończyła kurs. Babka aż do końca nie domyślała się, że jej córka się uczy. Fenia odrzucała wszystkie „partie”, a zwłaszcza te proponowane przez rodziców. Co zaś najgorsze, wdała się w działalność podziemną, czytała zakazaną literaturę, Mickiewicza, Marksa, Kautsky'ego, znała studentów wywrotowców, „socjałów”, i nawet odwiedzała ich czasem w mieszkaniach (do niczego „zdroźnego” rzecz jasna nie dochodziło). Uważała się za socjalistkę, choć nie miała dość odwagi, żeby się przyznać do tego przed rodzicami. Czasem tylko wymieniała znaczące spojrzenie z bratem Albertem, który ją rozumiał i nawet, jak się wiele lat później dowiedziałam, należał do Związku Robotników Polskich. Krótko, bo nieszczęsne małżeństwo założyło mu pętlę na szyję. Ten brat był najbliższy sercu mojej matki.

Do Alberta, jeszcze za jego kawalerskich czasów, przychodził przyjaciel, Stanisław Posner, inteligentny, oczytany i elokwentny, co Feni niezmiernie imponowało. Nie była jednak dopuszczana do rozmów tych „wyższych istot”, tak że często, kiedy nikt nie widział, podsłuchiwała pod drzwiami pokoju brata. Kiedyś na tym podsłuchiwanie przyłapała ją matka i wybuchła burza. Świat mężczyzn był dla pani Balbiny odrębnym od świata kobiet i dla kobiet zakazanym.

Matkę moją trudno było wydać za męża, nie tylko z powodu jej oporów. Miała prześliczny uśmiech, zęby naprawdę jak perły, z księżycowym połyskiem, i nieopisany wdzięk, ale nos za długi i figurę, jak na owe czasy, niemożliwą. Piersi małe, nie chciały ułożyć się w obowiązujący wówczas wałek, cała postać chuda, z długimi, „niekobiecymi” nogami. Tak więc uchodziła za nieładną. Była bez posagu i w dodatku przyłgął do niej przydomek „socjalistki” i „emancypantki”. Sprawa wyglądała beznadziejnie.

Wkrótce Fenia sama znalazła sobie męża. Poznała go w czasie

* Przypisy znajdują się na s. 413—424.

11

zebrania jednego z tajnych kółek studenckich, których podówczas spój działało w Warszawie. Mój przyszły ojciec, Stanisław Goldberg *, chłopcem bardzo zdolnym, bardzo przystojnym i bez grosza. Nie wiei czy pokochał moją matkę, ona jedynie bardzo go lubiła. Los związał i w dość szczególny sposób, o czym nieco później.

Niewiele wiem o rodzinie dziadka ze strony ojca, podobno pochoź z Kurlandii. Prawdziwe nazwisko brzmiało bodaj Schlesinger (al Seliger). Aby uchronić dziadka Aleksandra przed wojskiem, adoptowi go bezdzietny krewny nazwiskiem Goldberg, bo według prawa rosyjskiego syn jednak nie podlegał służbie wojskowej. Babka miała na imię Klotylda, z domu Justman. Rodzina nie była spolonizowana, lecz zniemczona, i dziadek z babką mówili po niemiecku.

Dziadek miał jakieś przedsiębiorstwo: fabryczkę czy sklep. Gdy zbankrutował, powiesił się, aby ocalić choć część mienia dla żony i dzieci. Wówczas nazywano to honorowym wyjściem z hańbiącej sytuacji bankructwa, choć działo się to z niewątpliwą szkodą dłużników. Był rok 1890. Babce zatem pozostała część majątku, z którego korzystała krótko, bowiem umarła na gruźlicę. Trzej synowie oddali całą sumę spadkową dwóm siostram, nie zostawiwszy sobie ani grosza. A oto obie siostry mojego ojca, młodziutki i prześliczne. Starsza, Stefania, mądra, dość bezwzględna, powiedziała mniej więcej te słowa do młodszej siostry, szesnastoletniej Haliny, ciężko już wówczas chorej na płuca: „Czy chcesz żyć dość długo, ale po sanatoriach, lecząc się, czy wolisz żyć krótko, ale przyjemnie?”

Halinka wybrała to drugie: bawiła się, tańczyła, zapewne flirtowała niewinnie i wkrótce potem umarła. Ciotka Stefa wstąpiła na medycynę w Zurychu i została jednym z pierwszych lekarzy-kobiet w Polsce i pierwszą kobietą, która nostryfikowała swój dyplom lekarski w Petersburgu. Wielkiej urody (portretowano ją wielokrotnie), fanatycznie przywiązana do swojej niezależności, do swoich praw indywidualnych, nie ugięła się przed opinią przez całe życie, nawet gdy wyszła za męża. Z trzech stryjów najmłodszy, Juliusz, został inżynierem, a jako nadzwyczaj zdolny, otrzymał stypendium Rockefellera. W owych czasach na takie wyróżnienie trzeba było naprawdę zasłużyć. Stryj Julek jakiś czas funkcjonował jako naukowiec, po czym doszedł do wniosku, że z jego wynalazków i prac korzystają inni, i zaczął sam „robić pieniądze”. Dochrapał się wkrótce dużej fortuny. Na starość jednak uważał, że zmarnował życie, co było chyba prawdą, wszyscy inni

12

„Rockefellerowcy” zostali sławnymi uczonymi. Z całej rodziny tylko on rrr°n b j chciwy na pieniądze, które, jak moral tego wymaga, nie dały mu jednak szczęścia.

Młodszy stryj, Henryk, został chirurgiem, co jak najbardziej klóci-

- z jego naturą melancholijną, wrażliwą, subtelną. Miał jakieś oty plastyczne, rzeźbił w drzewie i malował. Ożenił się ze śliczną na Anną Hertzówną (ciotka Stefa zaś wyszła za znanego bajkopisarza Benedykta Hertza, brata Anny, tak że obie rodziny przeżyły się podwójnie). Hertzowie to rodzina o wielkiej tradycji patriotycznej. Trzech braci Hertzów, ojciec i dwaj stryjowie Benedykta, brało udział w powstaniu 1863 roku.

O skłonności do melancholii stryja Henryku chętnie powtarzano w rodzinie, iż pojechawszy z uroczą żoną w podróż poślubną, nie przemówił do niej ani słowa. Pech chciał, że w owych przedpenicylyno-wych i prymitywnych dla chirurgii czasach stracili oni na skutek zapalenia ślepej kiszki jedyną, niezwykle udaną córeczkę. Stryj zupełnie się załamał, rzucił chirurgię, został rentgenologiem i umarł w wiele lat później na raka (nie rozumiano bowiem wówczas szkodliwości promieni X). Miał jeszcze dwóch synów, z których jeden, Juliusz, zginął w powstaniu warszawskim (czwarty powstaniec w rodzinie Hertzów!), drugi, Jan, żyje dotąd i jest naukowcem.

Najstarszy z braci, mój ojciec, Stanisław, również studiował medycynę, a poza tym mocno zaangażował się w działalność socjalistycznych kółek studenckich, pod egidą PPS, i tam poznał przyszłą żonę. Zdarzyła się obojgu dość groteskowa przygoda, o nieobliczalnych skutkach. Głośno było o niej wówczas w Warszawie, a Zapolska zużytkowała ją częściowo w Tamtym. * Otóż pewnego dnia umówili się w bramie domu, a że było zimno, ojciec mój zdjął swój studencki szynel i zarzucił go na ramiona Feni. Natychmiast podszedł do nich żandarm rosyjski i powiedział: „Czto eto za maskarad? Pażałujtie w uczastok”. („Co to za maskarada? Proszę do komisariatu”). Tam ich zatrzymano i zrobiono rewizję w obu mieszkaniach, gdzie znaleziono nielegalną literaturę, zwłaszcza u ojca. Matka błagała policjantów: „Róbcie ze mną, co cecie, tylko nic nie mówcie matce”. Nie żandarmów się bała, tylko surowej pani Dulskiej-Barbanelowej.

Cała sprawa skończyła się wyrokiem pół roku więzienia dla matki woch lat dla ojca, po czym pięcioletnią zsyłką „na osiedlenie” na yoern. Matka źle znosiła więzienie. Była nerwowa, cierpiała na

13

klaustrofobie (którą po niej odziedziczyłam) i poczucie zupełnej zamknięcia doprowadzało ją niemal do obłądzenia. Przyzwyczaiła jednak — zwolniono ją po upływie przewidzianej kary. Z oja w śledztwie nastąpiła rzecz przykra, straszna, taka, z której nie mógł na dobre wygrzebać przez całe życie, a nawet po śmierci ciążyła na jej imieniu. Oto urządzono mu „doprosz” (badanie) niezawodnymi roś-kimi metodami. Przestał dwie doby w ciemnym karczerze, w zimnej wodzie po kostki. I załamał się. Na pół przytomny „sypnął” kolegów z kółka. Na szczęście nikomu nic złego się nie stało. Kolec spodziewając się rewizji uprzątnęli swoje mieszkania, aresztowano i ale wobec braku dowodów szybko wypuszczono. Wiedząc o tortur; ojca, przebaczyli mu. Rzecz jednak się stała, do ojca przyłgnęła na jej; czas etykietka „tego, który sypie”. Po tym chwilowym załamaniu ojca wziął się w garść i trzymał się dzielnie, zarówno w więzieniu, jak zesłaniu.* ; Matka, mimo że nie była zakochana w Stachu, bardzo ciężko przeżyła tę sprawę. Należała do ludzi o wielkim poczuciu odpowiedzialności obciążona była dotkliwym kompleksem winy i skłonnością do cierpienia. W nastroju przygnębienia, w jakim się wówczas znajdował przyśnił jej sen (który mi wiele lat później opowiedziała). Zobaczyła siebie w jadalni Goldbergów, dookoła stołu siedziała cała rodzina i oskarżała ją, że to z jej winy Stach wpadł i załamał się w więzieniu) Obudziła się dygoczącą i zlaną potem. Pobiegła do Goldbergów i tam okazało się, że wszystko odbyło się poprzedniego wieczora tak, jak w jej śnie. Rodzina siedziała koło stołu i oskarżała ją o zbrodniczą lekkomyślność. Wtedy Fenia powzięła nieodwołalne postanowienie. Wyszła za Stacha za męża, aby dźwigać z nim

jego winę. Ślub odbył się w więzieniu, co w owym czasie było rzadkością, po czym, kiedy nadszedł czas, pojechała z mężem na Syberię. Przy pomocy łapówek rodzina na pewno zdołałaby ją od tego uwolnić, szczególnie że dostała tylko dwa lata zsyłki, a ojciec pięć. Przesiedziała z nim jednak w tajdze całą wyznaczoną karę.

Nie było jeszcze wówczas kolei transsyberyjskiej i sama podróż trwała kilka miesięcy. Odbyli ją częściowo etapem, to znaczy pieszo, ale potern, jako inteligentom (takie były czasy), pozwolono im jechać na własny koszt kibitką. Dziadek mój już wtedy nie żył, babka nie odprowadziła Feni, przynoszącej hańbę rodzinie. Zjawił się jednak niezawodny Godełp z pieniędzmi i ciepłą odzieżą oraz brat Albert z kolegami.

14

da kibitką bez resorów, po drodze, która w niczym nie przypominała bocznych dróg, była torturą, zwłaszcza kiedy się okazało, że matka tw ciąży. Trzeba wziąć pod uwagę, że oboje byli bardzo młodzi, mieli JCS wiele ponad dwadzieścia lat, że wychowali się w mieszczańskich, niebiednych rodzinach, przyzwyczajeni do obsługiwania przez służące, a • ję przedtem nie pracowali fizycznie. Mimo to znieśli dzielnie całą tę londonowską epopeję, a nawet ojciec w pewnym momencie, przy pomocy ciemnego „muzyka”, zbudował łódź, na której przepłynęli ponad 1 000 km po Angarze. We wnętrzu łodzi był mały stolik, piecyk koza i dwie „koje”, tak wąziutkie, że kiedy leżący chciał przewrócić się z boku na bok, musiał najpierw wstać. Nie wiem dokładnie, w jakich warunkach matka moja urodziła pierwsze dziecko, ale wiem, że niemowlę podróżowało wraz z nimi łodzią. Zdarzało się im przejeżdżać przez „porohy”, czyli kamieniste wiry. Brali wówczas z pobliskiej wsi przewoźnika, który za kilka kopiejek (suma olbrzymia na Sybirze) pomagał im pokonać wodę. Stawał z wiosłem na przodzie łodzi, żegnał się trzykrotnie i — jazda. Nie wywrócili się ani razu, mimo że woda przelewała im się nad głowami. Pewnej jednak nocy rozległ się przeraźliwy trzask i ścianki łodzi popękały jak zapalki. Okazało się, że Angara „stanęła”, czyli zamarzała. Trzeba było wśród nocy polarnej wynieść wszystko, co się dało, bo lody zaciskały się coraz bardziej i groziły zupełnym zgnieceniem. Lichy dobytek i dziecko załadowano na sanie, które ojciec, po długiej wędrówce w śniegu po pas, zdołał znaleźć w jakiejś zapadłej wsi. Kiedy przybyli do następnej osady i rozwinęli synka ze szmat i futer, okazało się, że dziecko nie żyje — udusiło się. Matka szalała z rozpacz — znowu to poczucie winy. Ale czyż można było się jej dziwić, że zrobiła wszystko, aby uchronić niemowlę od 50-stopniowego mrozu? Widząc jej rozpacz chłopka powiedziała surowo. „Dążę spokojnie nie dajesz pomieriet' riebionku” („Nawet nie dasz dziecku umrzeć spokojnie”), po czym siadła i zaczęła się modlić. Dla niej śmierć dziecka to nie pierwszyna.

otem rodzice zamieszkali w Jenisiejsku, tam wyznaczono im osiedlenie i tam przyszedł na świat. W nie najgorszych warunkach. Rodzice zyrnah do wyłącznego użytku chałupę, w której matce udało się Y ?pic karaluchy (wyczyn jedyny w swoim rodzaju na wsi rosyjskiej). y też ogródek, w którym latem hodowało się ogórki. Matka dobrze

15

wspominała chłopów rosyjskich, uczynnych i życzliwych. Rodzice j cierpieli biedy. Ojciec zaczął leczyć, w miarę swoich medycznej wiadomości, matce Godek przysłał maszynę dentystyczną i troc szczypiec chirurgicznych, tak że mogła świdrować i rwać zęby. A zarabiali po trochu. Dostawali od ciotki paczki, od wujów trochę pieniędzy. Tylko nieugięta babka Balbina nie dawała znaku życyf I wszystko byłoby wcale nie najgorzej, gdyby nie... Gdyby nie „towarzysze” zesłańcy. Jakoś dotarło do nich, że ojciec „sypnął”. Zaczęli go traktować niemal jak szpiega, jak prowokatoij Trzeba tu dodać, że jak w łonie wszystkich emigracji, ludzie wyrwa z dawnego życia z korzeniami stawali się zgorzkniali i żarli się na wszelk sposoby. Co chwila odbywały się jakieś sądy „honorowe”, ktoś musif się bronić czy atakować, zapadały wyroki. W tej sytuacji ojciec mój się wymarzoną ofiarą. Wśród

zesłańców byli Polacy, Żydzi, Rosjanie nadbałtyccy, Niemcy, a wszystkich łączyła (czy dzieliła) wzajemna nienawiść. Inaczej wyobrażali sobie rodzice towarzyszy-zesłańców toteż doznali ogromnego wstrząsu. Ojciec, nie negując swojej wrogości, usiłował się tłumaczyć, obiecywał, że zrobi wszystko, aby odzyskać dobre imię — nic nie pomagało. W ramach małej społeczności obcy zostali skazani na banicję, nikt się do nich nie odzywał, nikt nie podał ręki. Matka znosiła to ciężko, płakała całymi dniami, proponowała nawet wspólne samobójstwo. Ale on okazał ogromną siłę charakteru. Uległ raz słabości — zmienił się gruntownie i nie zamierzał się poddać. Zachowywał pogodę (przynajmniej pozorną), pocieszał matkę, że przeminie, że on zmusi ludzi, aby go szanowali. Leczył więc chorego. J uczył się nadal medycyny i czytał, czytał bez ustanku. Przynosił do domu zdychające koty i psy z połamanymi łapami, tak powstał niezły zwierzynek, a pewnego razu przyniósł nawet małego niedźwiadka którego matkę zabito. Brunatny Miszuk stał się jedyną poza radością w ich ponurym życiu.

Matka opowiadała mi, że żadne zwierzę nie jest tak zabawne i miłe jak mały niedźwiadek, że żadna małpka nie da się z nim porównać! Miszuk rósł w oczach i wygłupiał się rozkosznie, ale chłopcy zaczęli sarkać: konie chrapały i stawały dęba przejeżdżając koło naszego domu, psy wyły, dzieci płakały ze strachu. W dodatku Miszuk miał nienasycony apetyt i złodziejskie skłonności. Raz wyciągnął szufladę szafy i wyjadł cały półroczny zapas cukru. Rodziców nie stać było na jego utrzymanie, •• które z dnia na dzień stawało się droższe. Znosić wrogość wsi obok

16

wrogości „towarzyszy” przerastało ich siły. Postanowili więc Misza zabić — był za młody, aby go puścić samego do lasu. Tego dnia OK wyszedł na całą dobę z domu, potem przez tydzień nie otworzył uszu nikogo.

W jakimś czasie po śmierci Miszuka zjawił się w Jenisiejsku nowy członek politycznej emigracji — towarzysz Józef (używało się w tym środowisku raczej pseudonimów niż nazwisk). Był to mężczyzna wysoki, bardzo piękny, o wyniosłym czole, krzaczastych brwiach i półokrągłym wąsie, opadającym na ładne usta. Był powszechnie i szanowany, znany z prawości i nieskazitelnego charakteru. Nazywał się naprawdę Noe Portnoj, albo raczej Portney, bo kiedyś jakiś urzędnik tak właśnie wypisał jego nazwisko, tłumacząc z rosyjskiego, i to już pozostało. * To końcowe „ey” bardziej pasowało do jego wytwornej sylwetki, wyglądał bowiem jak lord angielski i nigdy przez nikogo nie był brany za Żyda. To mu zresztą przysparzało niespodziewanych przyjaciół wśród antysemitów, którym musiał mozolnie tłumaczyć ich omyłkę. Towarzysz Józef był jednym z twórców i przywódców żydowskiej socjaldemokratycznej partii Bund, której program kładł nacisk na autonomię kulturową Żydów, bez konieczności asymilacji. Najbliższymi przyjaciółmi Józefa byli Ehrlich i Alter, których potem bolszewicy rozstrzelali za ich stanowisko w sprawie Polski.* Józef zainteresował się sprawą mojego ojca. Z właściwą sobie energią i nieustępliwością zajął się wyjaśnieniem wszystkich okoliczności, skomunikował się z rzekomymi „ofiarami”, którym, jak wspominałam, nic się nie stało i ludzie ci nie mieli żadnych pretensji. Doprowadził w końcu do całkowitej rehabilitacji ojca.

Ulga była nieopisana i matka moja, która z wrodzoną wesołością łączyła ciągłe zatroskanie, niepokój, przewidywanie najgorszego — odżyła. Ojciec przyjął rehabilitację spokojnie, był w jakiś sposób pewny, że wcześniej czy później to nastąpi, i umiał czekać. Ale matka była nerwowa, niecierpliwa, skłonna do depresji, toteż oboje uważali, że towarzysz Józef ich uratował. Wdzięczność ich przejawiała się w dwojaki sposób. Ojciec rozżalony trochę na PPS, że nie załatwiła tej sprawy wcześniej i z własnej inicjatywy, przystąpił do Bundu. Matka zaś zakochała się śmiertelnie i na resztę życia w Józefie. Chwilowo zniknąć miał jej z oczu, uciekł bowiem ze zsyłki (uciekał tak trzy razy, co było połączone z tysiącem

niebezpieczeństw i wysiłków), zrealizować tę miłość (zresztą obopólną) mieli dopiero po kilku latach, już po śmierci mego ojca.

18

d przeszła w znośnych warunkach, nikt się już od rodziców

"^ cał ale też przyjaźni nie nawiązali żadnej. Z owego czasu nie ° ałam w pamięci kilka epizodów, które mi opowiadała matka. 23 Jeden dotyczył młodej dziewczyny, która przyszła do matki prosząc,

6 'g'j wyrwać zęb. Usiadła w fotelu, przerzuciła sobie malowniczo 3 rkocz przez ramię i zaczęła omdlewająco wykrzykiwać „ach” i „och”, Wanim jeszcze matka zdążyła dotknąć szczypiec. Przy czym nie chciała Ztworzyć ust. Swoim zachowaniem tak zdenerwowała moją łagodną matkę, że ta dała pacjentce w końcu w twarz (z nie bolącej strony), a kiedy panna zdumiona otworzyła usta, jednym ruchem wyrwała jej zęb po czym opadła na stołek płacząc.

W gruncie rzeczy nie cierpiała swojego zawodu, bo musiała zadawać ból. Po powrocie z Syberii rzuciła dentystykę i została nauczycielką języka polskiego w szkole średniej.

Drugi epizod był innego rodzaju. Oto rodzice przygarnęli jakiegoś robociarza — zesłańca, Rosjanina, chorego na tyfus. Oboje zajmowali się nim troskliwie, co nie było ani łatwe, ani przyjemne, a w dodatku groziło zarażeniem. Chory wyzdrowiał i jakoś zniknął na pewien czas, nie było wiadomo, co się z nim działo. I oto pewnego dnia matka zobaczyła go stojącego w drzwiach kuchni z dziwnym wyrazem twarzy i nożem w ręku. Nie było wątpliwości, że przyszedł ją ograbić i zabić, zwłaszcza że u Feni pieniądze leżały często na wierzchu. Długą chwilę patrzyli sobie w oczy, zmagając się spojrzeniem. Matka zdawała sobie sprawę, że wszystko zależy od siły jej wzroku, tak, jak kiedy się wejdzie do klatki z dzikim zwierzęciem. Rosjanin patrzył, patrzył, wreszcie rzucił nóż na środek kuchni i wyszedł. Więcej go już rodzice nie widzieli. Czy zaszył się gdzieś w tajdze, czy przeniósł w inne miejsce? Wówczas nadzór nad więźniami nie był taki ścisły, zresztą władze wiedziały, że uciekinier daleko nie zajdzie. Takich szaleńców jak Józef, którzy ważyli się na wszystko, nie było wielu.

Koło izby rodziców, zbudowanej z okrągłaków, ciągnęła się niezliczonymi kilometrami tajga, monotony las złożony z chuderławych drzewek, wszystkich, zdawałoby się, jednakowych, a za tajgą była tundra, czyli nieprzebyte bagna. W zimie bywało około 50 stopni mrozu, a e ze nie było wiatru (tak mówiła matka), więc się tego specjalnie nie żuto, w izbie zaś palono drzewem, którego nie brakowało. Sybiracy

najsroźszą zimę mieli zwyczaj siadywać przed domem i gryźć ziarna,

• "Siemieszki", Latem bywało pięknie i nawet gorąco, ale prze-
aaowała plaga maleńkich muszek, które, niby gęsty dym, dostawały

19

się do gardła, nosa, do oczu. Trzeba było zas^amac so ie gałganami, co zasobniejsi zaś nosili maski z siatki drucianej

Jeszcze parę szczegółów z syberyjskiego życia, które z opowiadań matki zapamiętać. Jeden to był oby(°zaJ me ZIQJ^ C powszechny: chłop chwycił żonę za warkocz, owija1* &° S° nK,-

°;° ^ i tłukł jej głową o próg. Kiedy matka, usłyszawsz^ nie u . y

sąsiadki, nadbiegła i oddzieliła oprawcę od ofiary,

zuc

, , pazurami: „Co się wtrącasz. Bije mnie, bo kocna • s .! prostych kobiet

rosyjskich uważało, że bicie jest dow'odem mltosci m Istnieje nawet przysłowie rosyjskie:

„Lubi zenu kak (iuszu' tnasi jejo gruszu" („kochaj żonę jak własną duszę, potrząsaj fl11^^ ^

f* /' tym doświadczeniu rodzice przestali raz na zawsze w sąsiedzkich nieporozumień małżeńskich.

Drugim osobliwym zjawiskiem były „klikusze". ^to Je czy to w cerkwi (najczęściej), czy na ulicy, czy też w domu, zaczy

•, r i i i- - • A • i- ' łowo Natychmia: przenikliwym głosem
wykrzykiwać jedno jakies s'uw / ,
, v • j ••• ••i \ • • /vtomne, krzyczał przyłączały się do mej mne
i jak w transie, mepr^u . ^
razem bez końca. Widzowie patrzyli na ten obja/ ZDi°r J _ spokojnie i czekali, aż
minie, klikusze zaś były otoczone nie ^ P co pobłażliwą serdecznością.
W ogóle myliłby się ten, twierdziła matka, kto by sa^zł' . w prymitywnych warunkach jest
mało osób chorych nerwo ' nie, mówiła, że nigdzie poza Jenisiejskiem nie wi^zia , f, l^° ,
gromadzenia idiotów (których zwano „nieszczęstne Je , . , . zdrobnienie od
„nieszczęśliwca”). Rosjanie mieli wiere serae niedorozwiniętych, wariatów, a nade wszystko
histeryków'
Stwarzały ich tak licznie warunki odcięcia od śv')ata' ZU^?y, • , wrażeń i jakichś nowych
bodźców, brak też nadz161 nar Ja ^ ? W1 , zmianę sytuacji-. Z tych samych powodów
zesłańcy na °S° znosi J s ' . los, chyba że mieli dość hartu, żeby pracować fizyc;:me czy.
ys. W przeciwnym razie zaczynali pić, wszystko stawa° im S1^ ^ zaniebdywali się
zupełnie. Byli też i tacy, którzy żerih S1? z Jakutka" i całkowicie zespalali z tubylczą
ludnością. To jednk "^^ fla °^^ widziane przez innych zesłańców, jako zaparcie fl? sie ' d .
Sieroszewski miał podobno taką żonę Jakutkę i nawet- sVna' a , .l^ , do tego nie
przyznawał.* Była to osobliwa forma rasi'mu u ludz1' kt°rzy
mieli często przekonania socjalistyczne. Rosjanie i
P §a

tubylczymi kobietami, tak jak Amerykanie indiańsk™ scluaw'

20

Po pięciu latach zsyłka się skończyła, ale nie wolno jeszcze, wracać do Warszawy, za którą
matka tak tęskniła. Zamieszkać ^ musieli okresowo w Smoleńsku. Ale wreszcie i ten okres
wyczekiwa minął, rodzice wrócili do rodzinnego miasta, wynajęli mieszkanie Pięknej róg
Marszałkowskiej (mieszkanie, które do dziś' pamiętaj i rozpoczęli normalne życie. Na pewien
czas przynajmniej. Ojciec już A studiował. Nałykawszy się wiedzy na Syberii, postanowił
przekazać s innym i poznawszy Ludwika Krzywickiego i innych profesorów Uni\vej> sytetu
Latającego, począł wraz z nimi wykładać w tej osobliwej, bo tajni' instytucji, a poza tym
pisywać artykuły pod pseudonimem Aleksani rowicz. Wszedłszy w te intelektualne koła
warszawskie, zaprzyjaźni} si> bardzo blisko ze Stanisławem Brzozowskim.* Pamiętam go
dokładnie, Był przeraźliwie chudy, na policzkach miał okrągłe czerwone plamy, twarz
przedłużała rzadka bródka. Sprawiał wrażenie oberwanego i cały płonął nieustanną gruźliczą
gorączką. Mówił dużo, urzekająco, błyskotliwie. Pamiętam też (miałam wówczas pięć lat)
mieszkanie państwa Brzozowskich — zupełnie puste, bez mebli, na które zapewnię nie mieli
pieniędzy. Przypominam sobie, jak bawiłam się z ich córeczką. Dalszy ciąg znam już tylko z
opowiadań matki. Szpicle zaczęli deptać ojcu po piętach, zmuszony więc był się ukryć.
Znalazł pokój na dale] Mokotowie, który był wówczas wsią. Adres ściśle zatajony, znany ,_
tylko matce, Stanisławowi Brzozowskiemu i chyba nikomu więcej. Mi|| to, po bardzo
niedługim czasie przysłała policja i aresztowała ojca, Powodem tak rychłej „wsypy" mógł być
tylko donos, ale czyj?*" j Cała ta sprawa na tym nie miała się jeszcze skończyć i wracała
jak zła» choroba. Na razie ojciec, rozmyślając gorzko i nie wierząc własnym i domysłem,
poszedł do więzienia, które stało się dla niego wyrokiernj s'mierci. Gruźlicę zapewne wyniósł
z rodzinnego domu, skoro i jej matka, i siostra umarły na tę chorobę, ale wybuchła z całą siłą
wówczas™ kiedy w więzieniu stał bosymi nogami w zimnej wodzie w karczerze! Syberia,
paradoksalnie, uratowała mu życie na jakiś czas. Czyste powietrze syberyjskie wolne było od
mikrobów i proces płucny wyraźnie się zaleczył, po powrocie ze zsyłki ojciec mógł normalnie
żyć i pracować. Kiedy jednak został ponownie zamknięty, choć nie siedział długo, sprawa się
dokonała. Gdy wypuszczono go po ciężkim krwotoku, pojechał natychmiast do Szwajcarii,

ale w parę tygodni choroba posunęła się trybem galopującym i wkrótce przyszła depesza, że ojciec jest umierający.

22

zabrała mnie ze sobą do Szwajcarii. Kiedy przyjechałyśmy, a 'e żył Był rok 1905. Miałam wtedy sześć lat. Matka popełniła ojciec już n • ty bja(j, bo chcąc, abym na zawsze ojca zapamiętała W°W(f tam go do dziś żywego), zaprowadziła mnie do trupa. Zobaczy-(pa oskową, niepodobną do tej, którą znałam, twarz i nagle z ust polał 'amW noliczek strumyk czarnej prawie krwi. Wstrząs był tak silny, że SI? ^ bardzo długie lata nie mogłam się pozbyć lęku przed śmiercią, H hodzącego aż do spazmatycznych ataków. To stało się zmorą mojego dzieciństwa.

Ze Szwajcarii wróciłyśmy do Warszawy. Pamiętam, że matka była wielokrotnie aresztowana. Na całe życie miał mi pozostać koszmar przeraźliwych dzwonek w nocy, wpadających żandarmów, którzy myszkowali po całym mieszkaniu wywracając wszystko do góry nogami. Zabierali matkę, a ja zostawałam sama wśród nocy, płacząc rozpaczliwie. Rankiem zjawiał się mój ukochany Godek (ciocia Zosia) i zabierał mnie do siebie. Godka bardzo kochałam, więc pobyty u niej wspominam dobrze. Miała dwie córki, Stefę i Nelę, starsze ode mnie i dosyć mi obojętne. Młodsza, Nela, bliższa mi wiekiem, była niedorozwinięta. Ładna, łagodna i cicha, jakby nieobecna. Mimo swego niedorozwoju kochała książki. Czytała niewiele, ale kochała książki po bibliofilsku. Kiedy dostawała jakieś pieniądze, biegała po antykwariuszach na Świętokrzyskiej i szukała ładnych wydań, zwłaszcza starych. Pamiętam, jak raz tryumfalnie przyniosła wielką Biblię z ilustracjami Dorego (co mi objaśniła zwycięsko, więc zdawała sobie sprawę z tego, kim był Dore) i jak obie utonęłyśmy w przeglądaniu pięknych obrazków. Biedna Nela w niemalym stopniu przyczyniła się do mego rozwoju. Mieszkanie Godka było zamożne, położone przy wykwińskiej ulicy Włodzimierskiej (później Czackiego). Jego osobliwością było to, że nie znajdowało się od frontu domu, co niemal obowiązywało we wszystkich eleganckich mieszkaniach, tylko w podwórzu. Ale za to z okien rozciągał się nieoczekiwany i prześliczny widok na ogrody rosyjskiego u °ficerskiego (wejście od Nowego Świata), na pejzaż Warszawy, aż P lać Saski i złożone kopuły znajdującej się tam podówczas cerkwi, ora car kazał wybudować w sercu miasta na złość Polakom i którą po uzyskaniu niepodległości zburzono. Godek miał dwie służące, jak j yPaćłało: kucharkę, której nigdy nie widziało się na pokojach, »m odszą", w białym fartuszk i białym czepeczku, do sprzątnia, awama do stołu i otwierania drzwi. Kuchnia znajdowała się daleko

L

23

+

od drzwi wejściowych, ale kiedy odzywał się dzwonek, nikt nigdy kwapił się do otwierania, póki w tym celu nie przybiegła trucht^ „młodsza". Otwarcie samemu drzwi uważano by za ujmę. God i Buby mieli piękny salon urządony antykami, z wiszącym u sufij kryształowym „pajakiem" o niezliczonej — jak mi się wydawało ilości świec i kandelabrami na ścianach. Okna wychodziły na duj balkon i wspomniane wyżej ogrody. Dla mnie, małej, ten salon K'; szczytem przepychu. My bowiem żyliśmy na walizkach, w byle jaj. urządzonych mieszkaniach i z braku pieniędzy, i z powodu ciągły^, aresztowań i przeprowadzek. W czasie moich pobytów u Godka łóżeczko rozstawiano mi w tym właśnie salonie — bowiem, na dobra sprawę, nie był on prawie wcale używany. W razie nieoczekiwanej wizyt\ korzystano ze znajdującego się po drugiej stronie przedpokoju gabinetu, z pięknym garniturem biedermeierowskich, mahoniowych mebli. Spałam więc sama w wielkim salonie i nawet

przyjemnie by mi się mieszkało między dwiema ślicznymi konsolkami „Ludwik XV”, z widokiem na olbrzymie lustro-tremo w złoczonej, grubej ramie — gdyby nie to, że wśród obrazów wisiał jeden przedstawiający naturalnej wielkości łeb tygrysa, z wyszczerzonymi zębami. Kiedy wchodziłam do salonu, chowałam się głęboko pod kołdrę, bo nic tak jak kołdra nie chroniło od zębów tygrysich.

Pobyty u mego Godka miałam przez tego tygrysa zatruty. Nie ośmieliłam się prosić, aby wreszcie na ten wyszczerzony łeb urządzono wielkie safari i okropny widok zlikwidowano. Jedną z atrakcji pobytu u Godka były „wieczorki”, urządzone dla starszej córki, prześlicznej Stefy. Przyglądałam się im przez szparę w lekko uchylonych drzwiach i wszystko wydawało mi się olśniewające, salon pełen przepychu, panny piękne, młodzi ludzie, jak się wówczas mówiło, czarujący. Poza tym było mnóstwo słodyczy i pozwalano mi położyć się spać później, przy upajających dźwiękach fortepianu, w który walił wynajęty „taper”.

Kochany Godek tymczasem, jak wspomniałam, podkradał po cichu pieniądze skapemu mężowi, ale wyłącznie w tym celu, aby je dawać potrzebującym. Toteż w kuchni, do której pan domu jako wyższa istota nie zaglądał, pojawiały się jakieś wynędzniałe postacie i odchodziły z błogosławieństwami. Jednakże ta sama urocza ciocia Zosia wciąż zamykała wszystkie szafy i kredens na klucze, które nosiła stale przy sobie, jak jej matka. Ciągłe coś liczyła: łyżeczki, prześcieradła, filizanki. Ona też, najlepsza w świecie, prowadziła osobny „stół” dla służby, która

24

nie dostawała deseru ani przysługującego „państwu” drugiego mięsa Ciocia też wieczorami i rankami krajała sama potrójnie grube paj* chleba dla tejsze służby, długo rozprawiała po nich smalec i okładaj cienkimi plasterkami kiełbasy. Już w tym czasie, jako dziecko, 24 stanawiałam się, czemu nie da im tego jedzenia wprost do kuchni, abf sobie ukrayały i wzięły, ile im potrzeba, a sama stwarza sobie tę mozolni robotę, tym trudniejszą, kiedy jeszcze przychodziła praczka i froter. Al| nie, to by nie licowało z obowiązkami dobrej gospodyni, tak jak j wówczas pojmovano. Czasem wyprowadzał mnie na spacer do Saskiegi Ogrodu imbecyl Seweryn, który zresztą opiekował się mną troskliwi Kochałam Godka i byłam szczęśliwa w jej domu, ale strasznie tęskniła za matką. j Matka moja, też niezwykle dobra, miała usposobienie całkowicie odmienne. Była przedstawicielką socjalistycznej bohemy. Bez gorsetu] zawsze trochę potargana, w nie dopiętej na górze bluzce, nie umiała siej absolutnie liczyć z pieniędzmi, gubiła je lub rozdawała. Kiedyś podarowała jednej z ciotek — Stefanii Hertzowej — swój piękny płaszcz popielicowy, który sobie przywiozła z Syberii, podarowała tylko dlatego, że się ciotce podobał. Kiedy babka umarła i zapisała całą swoją biżuterię mnie, matka część jej po prostu rozdała. W domu u nas nic nie było zamykane na klucz i służące jadły to co my, biorąc, co chciały, wedle swego uznania.

Matka moja często siedziała w więzieniu. Odwiedzałam ją tam czasem wraz z cicią Zosią i to, że jej twarz znajdowała się za siatką drucianą, wydawało mi się naturalne. A przecież nigdy nie zapomnę wieczoru, kiedy ją niespodziewanie zwolniono i kiedy, równie niespodziewanie, ukazała się w domu Godka. Doznałam wówczas — po raz pierwszy — uczucia przejmującego szczęścia.

Ciągle „zwijanie” gabinetu dentystycznego i przenoszenie go w inne miejsce za każdym razem łączyło się z utratą praktyki. Matka poczęła wówczas myśleć o zmianie zawodu, o porzuceniu zniechęconej przez nią dentystyki i w wieku lat trzydziestu paru postanowiła zostać nauczycielką. Miała niezwykle po prostu zmysł pedagogiczny, wesola i żywa, otaczała się chętnie młodzieżą. Czuła się szczęśliwa w klasie, którą umiała oswoić i podbić — najczęściej uśmiechem, dobrym słowem, żartem. Uczennice ją uwielbiały.

Matka moja była tym szczęśliwsza w owym czasie, że w Warszawie pojawił się niespodziewanie Józef, tak pomocny przed śmiercią ojca

i taki piękny Kochał go od dawna skrycie, a teraz miłość jej wybuchła z całą siłą. Zamieszkali razem, on na fałszywych papierach, jako skromny lokator, ja z matką w drugim, większym pokoju. Nie mogłam wówczas w wieku siedmiu, ośmiu lat orientować się w stosunku, jaki ich łączył, zwłaszcza że Nyk, jak go nazywałam, był małomówny, bardzo zajęty, rzadko przesiadywał w domu. Wyjątkowo dobry i serdeczny dla mnie, był jednak w moim pojęciu obcym panem, intruzem. Zarówno on, jak i matka, mimo wzajemnej miłości, żyli niejako na innych planetach. Nyk był nadal przywódcą Bundu, a w rozmowach z towarzyszami używał języka jidysz. Inteligentna część tej partii mówiła czysto po polsku, a nie była, dla zasady, dwujęzyczna. Reprezentując — jak wspominałam — tendencję socjaldemokratyczną, Bund pozostawał w dość bliskim kontakcie z PPS, ale raczej z „lewicą” PPS niż z tak zwaną „frakcją”. Matka nie znała jidysz, była do głębi serca Polką, zajęta koniecznością wychowania mnie (miałam słabe zdrowie, a Nyk zarabiał grosze, partii jego nikt nie subsydiował), odeszła stopniowo od polityki, a że zawsze miała skłonność do literatury i sztuki, więc nadal kultywowała tę pasję. Miała wielu przyjaciół nieżydowskiego pochodzenia. Weszła w młodopolskie środowisko artystyczne, zaprzyjaźniła się z tymi, którzy zgromadzili się wokół „Chimery” Miriama. Żyli więc oboje w obrębie dwóch różnych światów. Na Nalewkach, na Gęsiej czy Miłej Nyk czuł się jak u siebie, był potrzebny, mógł coś zdziałać. Matka natomiast chodziła w tamte strony niechętnie, były jej obce. Zgiełkliwe, brudne, zatłoczone, działały na nią raczej odpychająco, choć się tego uczucia wstydziła. Ów rozdźwięk między nimi miał się z biegiem czasu pogłębiać i wreszcie unieszczęśliwić oboje. Tymczasem jednak nie byli ze sobą związani legalnymi węzłami i w sposób naturalny każde z nich żyło własnym życiem, choć mieszkali razem.

Ostatni raz wtargnęła do nas żandarmeria w nocy, kiedy miałam lat osiem. Przetrzęsnęli całe mieszkanie, prócz — o dziwo! — pokoju Nyka, w końcu zabrali matkę. Pamiętam, jak płakałam gorzko po jej wyprowadzeniu i jak Nyk, przeczekawszy, aż stęporowate policyjne się oddały, usiadłszy na moim łóżeczku, głaskał mnie po głowie i pocieszał. Tym razem było zbyt ciężkie przewożenie mnie do Godka, nie byłam sama, Nyk opiekował się mną bardzo troskliwie. Pamiętam też pewien Włeczór« kiedy z nim szłam ulicą i nagle schwycił mnie mocno za rękę, szepcząc ze zgrozą: „Kozacy”. Ten obraz naszej wspólnej ucieczki

27

przypomniał mi się, kiedy czytałam Nędzników — tak Yaljean uciekał z Kozetką.

W domu opiekowała się mną także Wiktorowa, kobieta, której matka oddała „kuchnię za usługę”, jak to bywało wówczas przyjęte. Matka za nic nie rozłączyłaby jej z dziećmi, więc Wiktorowa (o Wiktorze jakoś nie było nigdy mowy) sprowadziła się z trojgiem, po czym w krótkim czasie zafundowała sobie czwartą. Wówczas trzymanie w domu kobiety z nieślubnymi dziećmi było nie do pomyślenia, ale matka moja, jak we wszystkim, wyzwolona zupełnie z przesądów, pogodnie przyjęła czwartą tego przybysza. Wiktorowa kradła z pewnością — aby wyżywić swój gromadkę, ale też była nam bezgranicznie oddana. Raz tylko matka skrzychała ją z prawdziwym gniewem. Oto miałyśmy obie póć z najstarszą córeczką Wiktorowej do cyrku. Wiktorowa zapytała: „Czy pozwoli pani biec Anielce dorożką?” Wtedy matka wybuchła.

Kiedy nie było pieniędzy na obiad, matka mówiła: „No to kupimy cukierki, na cukierki jeszcze starczy”. Uwielbiałam matkę. Aż do późnej starości zachowała swój nieopisany wdzięk i niebanalność.

W tymże mieszkaniu, na Złotej, próżność moja została dwukrotnie ciężko zraniona. Raz, kiedy matka zaprosiła dzieci jakichś znajomych. Obejrzały starannie mieszkanie i trafiły do

mojego łóżka, które było lakierowane na biało, ale gdzieniegdzie przeświecała rdza. Wtedy najstarszy chłopak zawołał: „Patrzcie ze...ła się w łóżku!” Próbowałam tłumaczyć, nic nie pomogło, gdyż na złą wolę nie ma rady. Boże, jakże cierpiałam! Innym razem (matki nie było w domu) zaprosiłam starszego od siebie, jedenastoletniego chłopca z przeciwka, w którym byłam zakochana. Rozmowa zaczęła się niefortunnie. Chcąc okazać przed nim swoje odczytanie, zapytałam: „Czy znasz Ogniem i mieczem?” „Ech, znam całą Trylogię” — odparł pogardliwie. Nie wiedziałam, co to znaczy „trylogia”, więc wolałam, z ciężkim sercem, zamilknąć. Nie ustałam jednak w pragnieniu olśnienia ukochanego. Posadziłam go na krześle. „Teraz będzie teatr” — powiedziałam i odziana w starą portierę wykonałam przed nim jakiś taniec, po czym zaczęłam deklamować — umiałam dużo wierszy na pamięć. Chłopak słuchał, słuchał, wreszcie machnął ręką, powiedział: „Ech, nuda” i wyszedł. Doznałam zawodu i jako kobieta, i jako artystka. Spotkałam go po wielu latach na uniwersytecie, kiedy byłam ładną dziewczyną, wodzącą za sobą chmarę chłopaków. On

28

przygarbiony, chudy, nosaty, przedwcześnie zasuszony, bardzo brzydki. Nie należy spotykać dawnych miłości.

Ale wróćmy do mojej matki. Jak wspomniałam, dostała się w towa-zystwo artystyczne, młodopolskie. Numery „Chimery” pojawiły się domu, podobnie jak wiersze Kasprowicza i Tetmajera oraz przekład Statku pijanego Rimbauda. Czytałam to wszystko, z wielkim zadowoleniem, najczęściej nic nie rozumiejąc. Zwłaszcza z wypiekami na twarzy pochłaniałam modną wówczas Ingeborgę Bernharda Kellermanna i cierpiałam z jej powodu, bo coś się tam z nią w końcu stało. Matka zbliżyła się wówczas z rodziną Rundbakenów — dwoma siostrami i bratem Janem — poetą, który drukował w „Chimerze”, co niesłychanie nam imponowało. Był to człowiek łagodny i nieprzytomny. Podobno „zapowiadał się”, ale skończył, biedak, w zakładzie dla obłąkanych. Siostra Emilka, czarna, żywa, miła i brzydka, była nauczycielką. Mówiło się o niej ze współczuciem, jako o starej pannie. Po czym nagle, już naprawdę w starszym wieku, po pierwszej wojnie, wyszła za mąż za człowieka sporo od siebie młodszego i stanowili najszcześniejszą parę do samej śmierci. Młodsza siostra poety — Maria, była ładniutka i krucha, niezmiernie zmanierowana. Miała zwyczaj mówić: „Mam to wspólne z Chrystusem”. Nie znosiłam jej. Wyszła za mąż za (marnego) malarza Bolesława Kuźmińskiego, który zamęczał mnie portretowaniem na nie kończących się seansach. Miałam w ręku trzymać jabłko, jako młodociana Ewa. Portret na szczęście, mimo piekielnego mozołu artysty, nie udał się i pozowanie się skończyło. Pamiętam też jak przez mgłę różnych innych artystów: na przykład znanego podówczas piosenkarza „Momusa” — Alfreda Lubelskiego, który ze znaczącymi pauzami śpiewał tak modny wtedy Dymek z papierosa. Piosenka ta, o zakończeniu „filozoficznym”: „Kochaj, szalej, wierz — Zresztą rób, co chcesz — Bo śmierci ostrzy się już kosa” (rym do papierosa), zrobiła na mnie tak piorunujące wrażenie, że umiem ją dotychczas na pamięć. Był też i rudy Wasserzug, potem bardzo znany jako dziennikarz Józef Wasowski. Oglądałam u pewnego „mecenasa” portret Dagny Przy by szewskiej; która wydała mi się wówczas brzydac-twem, ale portret secesyjny pamiętam do dziś. Słowem, matka, choć skromna nauczycielka, utonęła w odmętach „Sztuki” przez duże S. Mówiło się w domu z szacunkiem o Miriamie i z czcią, jeszcze za życia ojca — o Ludwiku Krzywickim. Deszcz jesienny Staffa już jako dziecko umiałam na pamięć.

29

Od początku tego stulecia do wojny 1914 r. w rodzinach mojego ojca i mojej matki zaszły znaczne zmiany. Śliczna Stefa, córka cioci Zosi, wyszła za mąż za przystojnego i eleganckiego Osińskiego. Pierwszy to był nie-Żyd w naszej rodzinie. Stefa dostała niemały posag i wyjechała z mężem w podróż poślubną. Wróciła z niej zmieniona do niepoznania: wychudła, całą twarz i szyję miała pokryte jakimiś wyrzutami. Pamiętam rozpacz Godka i

mojej matki i słowo „syfilis”, które wówczas po raz pierwszy obilo się o moje uszy. Zresztą nie jestem pewna, czy to był syfilis, bo dalsze dzieje Stefy nie wykazały ani śladu tej choroby. Osiński w ciągu roku czy dwóch spisał się gracko: uwiódł niedorozwiniętą Nelę, siostrę żony (przyłapałam ich kiedyś w klozecie, ja, mała dziewczynka, na szczęście tylko w ogólnych zarysach zrozumiałam, o co chodzi), uciął sobie regularny romans z najlepszą przyjaciółką żony, sięgał nawet łapami po mnie, nieletnią, ale nienawidziłam go z całego serca i nie pozwoliłam się dotknąć, wreszcie puścił z dymem, w rekordowym czasie, posag Stefy i zjawił się u biedniejszego z roku na rok Godka z żądaniem następnej porcji pieniędzy, idącej w dziesiątki tysięcy rubli. Sklep Juliana Berga podupadał, bo miły skądinąd Bubery idiociał łagodnie, ale bezustannie. Godek więc, nawet gdyby chciał, nie zdołałby zaspokoić apetytów Osińskiego. Wobec tego zięć znalazł najlepsze dla siebie wyjście: rzucił żonę, kiedy wyszła kasa, po dwóch czy trzech latach małżeństwa. Był to dla Godka (owe czasy!) cios niesłychany — rozpacz i hańba jednocześnie. Biedna Stefa, która kochała męża, zalewała się bezustannie Izami. Wreszcie zapadło postanowienie: wysłać Stefę do Francji, żeby „ludzie trochę zapomnieli”, jakby to była jej wina, że, młodzietka i śliczna, została tak brutalnie porzucona. Znikła więc z Warszawy na parę lat, a Godek dostawał od niej uspokajające listy z Paryża, że powodzi jej się dobrze i że wkrótce wyjdzie zapewne za mąż. Wróciła istotnie na krótko przed wybuchem pierwszej wojny z utlenionymi włosami i całą furą bagaży. Wyciągała z imponujących waliz całe stosy pięknych toalet, które prezentowała przed rodzicami i moją matką. Godek był trochę zdziwiony, trochę uradowany. W swojej świętej naiwności mówił: „Patrzcie, jak Stefuchnie pojaśniały włosy. To od słońca. I te suknie! Sama je szyła albo kupowała na wyprzedazach”. Pamiętam, jak w przedpokoju Stefa szepnęła do mojej matki: „Biedna mamusia. Ona we wszystko wierzy. Czy ciocia wie, ile kosztuje jedna taka suknia?” Znacznie później dowiedziałam się (od kogo? czy nie od samej Stefy?), że w owym czasie paryskim puszczała się bez pamięci i że

30

rzeń dłuższy czas utrzymywała ją jakaś bogata Amerykanka (była bowiem, jak się to dziś mówi, biseksualna). Dlaczego z nią zerwała? Dlaczego wróciła? — nie wiem. A rodzina mojego ojca? Jak już wspominałam, piękna ciotka Stefania, jego siostra, wyszła za mąż za znanego bajkopisarza, Benedykta Hertza. Był to człowieczek mały, gruby, okrągły, z nosem jak kartofel i opadającymi policzkami. Trochę to dziwne, jak taka piękna dziewczyna mogła chcieć zaślubić tak mało pociągającego mężczyznę. Ale ciotkę Stefę uwiódł jego sława. Istotnie, bajki Benedykta Hertza pozostaną trwałą pozycją w naszej literaturze, a w początku obecnego stulecia robiły furorę. Wuj Benek był zapraszany wszędzie, ubiegano się o niego w salonach i mieszkankach inteligenckich, zwłaszcza że sam recytował znakomicie swoje wiersze (miał niepospolity talent aktorski i wymarzoną powierzchowność dla komika). Obracał się w kręgach najbardziej postępowej inteligencji polskiej i był atrakcją każdego zebrania, jako jeden z najpopularniejszych ludzi w Polsce. Proponowano mu, aby występował w kabaretach, w artystycznym „Momusie”, ale ciotka Stefa nie pozwalała, chciała, żeby jej wielki człowiek umiał się cenić i nie robił, jak mówiła, „ze siebie błazna”. Na swoje nieszczęście wuj Benedykt spotkał jakiegoś mecenasa sztuki, który dał mu rodzaj stypendium na wyjazd do Paryża, aby nie marnował talentu wegetując na jakiejś tam posiadce i mógł spokojnie pisać. Wuj Benek przyjechawszy do Paryża począł popijać winko, gonić za kobietami i... przestał pisać. To był straszny zawód dla jego żony. Wrócił potem do Warszawy, ale jego wena pisarska wyraźnie osłabła. Zajmował się dziennikarstwem, pisał książeczki dla dzieci, ale to nie było to, co dawniej. Odbiło się też na stosunkach małżeńskich owej pary. Nie rozeszli się, ale każde zaczęło żyć na własną rękę. Niezmiernie zabawnie ułożyły się także ich stosunki finansowe: ciotka Stefa, która była człowiekiem zasad, uznała, że każde z nich będzie żyło wyłącznie ze swoich zarobionych pieniędzy — ona jako lekarz, on jako dziennikarz. I wyglądało to tak. Na początku miesiąca

wuj zapraszał ciotkę do restauracji, ona piła jedynie kawę, za którą sama płaciła, on natomiast — hojny z natury — fundował, komu się dało, szastał pieniędzmi i wkrótce był zupełnie „splukany”. Ciotka zaś, zorganizowana i rozsądna, była zawsze przy pieniądzach i kiedy szli razem do restauracji, on z kolei pił tylko kawę, a ona jadła porządny obiad. Pełen żalości wzrok męża nic a nic jej nie wzruszał. Wuj na próżno błagał, aby

31

połączyli kasy. „Wszystko roztrwonisz od razu” — odpowiadała sucho ciotka. I tak w dwóch odmiennych rytmach żyli obok siebie. Każde z nich wyjeżdżało na wakacje osobno z każdorazowym kochankiem czy kochanką. Ale wytrwali ze sobą aż do końca. To było dziwne jeszcze dlatego, iż wuj Benek nie spełnił w końcu marzeń żony i, choć był znany (z biegiem czasu coraz mniej), nie został jednak wielkim pisarzem. Ciotka go lekceważyła i była czasem okrutna, ale kiedy wybudowała sobie willę w Leśnej Podkowie (oczywiście za własne pieniądze), pozwoliła w niej mieszkać mężowi. Co prawda musiał płacić komorne. Ze wszystkimi swoimi dziwactwami stanowili miłą i interesującą parę, która jakoś nie mogła się rozdzielić, choć zrobiła wszystko, żeby wznieść mur między sobą.

Jeszcze a propos zasad, skoro wspomniałam o ciotce Stefie. Matka moja też miała zasady, przy których mocno trwała. W owym czasie, kiedy zbliżyła się z kołami młodopolskimi i odeszła od działalności politycznej, ja zachorowałam ciężko na nerki. Lekarze uznali, że wskazany byłby wyjazd do Egiptu. Wówczas bogaty wuj August zaofiarował pieniądze na tę podróż. Ale tenże wuj August, który był, tak jak i jego brat, dyrektorem jednego z banków, wyraził się z przekąsem o rewolucji, przez duże R, oczywiście. Matka zerwała z nim całkowicie, nie bacząc na konsekwencje. Taka była siła fanatyzmu, a jednocześnie godności osobistej w działaczach tego czasu. Bo matka była najczulsza na świecie i z pewnością oddałaby życie za mnie, ale świętokradztwo wuja wydało się jej zbyt wielkie. Na szczęście moja choroba sama przeszła, ale przez wiele jeszcze lat imienia wuja Augusta nie wymawiało się w naszym domu. Wracam jednak do czasu, kiedy pozostałam sama z Nykiem, po aresztowaniu matki. Po odsiedzeniu kilku miesięcy skazana została na roczne zesłanie za granicę. Bardzo „fikuśny” miał carat ten system zsyłek: można było być skazanym na katorgę, na więzienie, na dożywotnią zsyłkę, na czasową zsyłkę (na Syberię), na wyjazd za granicę albo po prostu do innego miasta. W tych dwóch ostatnich wypadkach nie było to straszne, tyle że dezorganizowało życie i często pozbawiało chleba, jeżeli się nie miało oparcia w rodzinie.

Matka wybrała na wyjazd Zakopane, ze względu na moje zdrowie, bała się bowiem śmiertelnie gruźlicy. Potem robiła sobie wyrzuty, że nie pojechała raczej do Krakowa i nie zapisała się na medycynę. Rąk nie miała zręcznych i dlatego dentystyka jej ciążyła, ale poza zmysłem pedagogicznym obdarzona była jakimś wrodzonym talentem medycz-

32

nyrn: potrafiła samorzutnie przynieść ulgę choremu, a często postawić właściwą diagnozę. Może szkoda, iż swego zamiaru nie wypełniła? Ale zawsze, przy niezmiennej wesołości i odrobinie lekkomyślności targana była różnymi niepokojami, męczyło ją niezadowolenie z siebie i przewidywanie katastrof. Miała nazbyt bujną i wrażliwą wyobraźnię, która nie znajdowała ujścia. Widziała mnie z ustami pełnymi krwi, widziała wszystkich Żydów polskich potępiających ją za odstępstwo, wracały do niej wciąż wspomnienia najcięższych lat Syberii i dyskryminacji mego ojca, prześladował ją niepokój o Nyka. Wiecznie się czymś martwiła, ale też zawsze gotowa była do żartu i śmiechu, a dwoistość natury dawała jej szczególnie czar, na który wrażliwi byli wszyscy, mężczyźni i kobiety, a nade wszystko ja, która kochałam matkę jakąś bałwochwalczą, nieprzytomną miłością. Nigdy nie dostałam klapsa, nigdy nie byłam ukarana. Pamiętam natomiast długie wieczorne rozmowy przed zaśnięciem, w czasie których matka odpowiadała na wszystkie moje pytania i sama mówiła, zajmująco i zabawnie. Słuchałam jej z prawdziwym nabożeństwem. Nie uczona przez nikogo,

sama, zręcznie i taktownie uświadomiła mnie w sprawach seksualnych, omawiałyśmy razem książki, które przeczytałam. Zakazana przez nią lektura mogła leżeć na wierzchu, nie tknęłam jej. Matka zresztą zakazywała rzadko. Miała jedną zasadę — czytać dziecko może wszystko, ale wyłącznie dobrą literaturę. Zabronione były książki liche.

Pojechaliśmy tedy do Zakopanego. To było to dawne Zakopane, dziś już prawie nieznane, zamieszkałe przez górali na co dzień chodzących w kierpcach, haftowanych portkach i serdakach, przez dziewczyny w gorsetach i kwiecistych spódnicach. Zamieszkałyśmy w pensjonacie „Litwinka” przy ulicy Jagiellońskiej. Musiał to być tani pensjonat, bo gnieździły się w nim różne głodomory, sami inteligenci: malarze, muzycy, literaci, a wszystko gruźlicy. Wychudłe i kaszlące bractwo zasiadało do wspólnego stołu. Nie wiadomo było wtedy, iż gruźlica jest chorobą zakaźną — raczej sądzono, że jest dziedziczna — matka tak drżąca o moje zdrowie nie czuła zagrożenia. Miała wielu znajomych na terenie całego — malutkiego wówczas — Zakopanego. Musiała spędzać rozkoszne chwile w ich towarzystwie. Były to dla niej dobre czasy. Ja też czułam się cudownie: miałam do dyspozycji ogród z rzeczką Bystrą, miałam przyjaciółkę, niejaką Stegmanównę, u której spotykałam Ada-sia, syna Stefana Żeromskiego. Znałam już wtedy, w wieku dziesięciu lat, sporo nowel pisarza oraz Popioły i wielbiłam go wzorem matki.

'-Wyznania... 33

Szłam kiedyś przez most nad Bystrą i niosłam cztery małe kotki. Kiedy nieostrożnie upuściłam je na ziemię, przechodzący obok mnie pan rzucił się, aby mi je pomóc pozbierać. Wiedziałam, kim był, bo widywałam z daleka ojca Adasia, ale żeby on, wielki pisarz, miał mi pomagać zbierać kotki! Żeromski zdjął kapelusz na pożegnanie, a ja stałam bez tchu, osłupiała i przejęta. Żona jego, pani Oktawia Żeromska była prototypem Madzi z Emancypantek i Joasi z Bezdomych, czyli dwóch najpiękniejszych postaci kobiecych w literaturze polskiej. Nie znałam jej, ale dużo się wówczas mówiło o rozwodzie Żeromskich, o tym, że pani Oktawia cudem wyciągnęła za młodu męża z gruźlicy, że jej troskliwość i energia nie miały granic, i gorszono się trochę, że pisarz rzucił ją po najcięższym okresie życia, wówczas kiedy przysłała sława i dobrobyt (dość względny), dla młodej dziewczyny, z którą miał dziecko. Pani Oktawia nie chciała dać mężowi rozwodu, toteż w pamięci mojej zostali ludzie dyskutujący zażarcie i reprezentujący dwa obozy: za i przeciw porzuconej żonie. Te plotki, które docierały nawet do dzieci, stały się przyczyną śmierci Adasia. Jakiś kolega wyraził się obelżywie o Stefanie Żeromskim. Adaś w obronie honoru ojca rzucił się na kolegę[^] z pięściami. Ale tamten, mocniejszy, uderzył go w klatkę piersiową ta: mocno, że nastąpił krwotok wewnętrzny i śmierć. Taka była wersja wypadków, jaką mi przekazano. * Biedny chłopak padł ofiarą plotkarz i dulszczyzny. Równie wiele mówiło się o pani Oktawii — przemieniony w megierę (Madzia? Joasia?) zatruwała życie byłemu mężowi — i zmarł; podobno obłąkana. Ale to działo się już znacznie później, po na_„, wyjeździe z Zakopanego, ciągle dochodziły nas dalekie odgłosy tego dramatu.

W Zakopanem też, podczas naszego rocznego tam pobytu widywałam na ulicach wspaniałego wielkoluda, a że byłam małą dziewczynką, więc przede wszystkim rzuciło mi się w oczy to, co było najbliżej: grube, potężne łydy w obcisłych pończochach, potem dopiero spodnie-pumpy, tors „mocarny” (żeby się utrzymać w stylu tamtych czasów) i dopiero twarz. Twarz przepiękna, o ponurym spojrzeniu przepaścistych oczu i rysach pozostawiających niezatarte wspomnienie. Był to Witkacy, podówczas młody chłopak. Nie wiedziałam wtedy, że go poznam, że będzie mnie portretował. Na razie marzyłam o tym, aby go spotkać na ulicy, dziecinnie zakochana.

W owym 1909 roku moja matka, tak szczęśliwa w Zakopanem, przeżyła też ciężkie momenty. Zaczęło się od tego, że zjeżdżając z Gu-

hałówki na saneczkach (nart jeszcze nie używano) spadła i rozbiła sobie mocno głowę. Lekarz stwierdził, że zagraża wstrząs mózgu, i zakazał surowo spać przez najbliższą noc. Tego popołudnia przyjechał jakiś pan z Krakowa, z prośbą, by matka wzięła udział jako świadek w partyjnym procesie Stanisława Brzozowskiego. Pamiętam, jak słuchała owego pana z twarzą zmienioną od bólu i z mokrym ręcznikiem na głowie. I jak później chodziła całą noc po pokoju w obawie, by nie zasnąć, i ze zdenerwowania. Ja, dziewięcioletnia, wiedziałam, że jest chora, że ma nazajutrz wyjechać na parę dni do Krakowa i że ma kłopoty, więc też starałam się nie spać. Chyba dlatego tak dobrze tę noc pamiętam.

Tu należy wspomnieć o charakterze mojej matki, o której sam Brzozowski pisze kilkakrotnie, że była to „rzadkiej szlachetności” i „wielkiej zacności osoba”. Jak wynika z jego listów — wielokrotnie mu pomagała robiąc zbiórki, urządzając mu odczyty. Nie mając żadnych dowodów winy oskarżonego (własne przekonanie nie jest dowodem), poczuwszy litość dla zaszczonego człowieka, zeznała przed sądem na jego korzyść. W tej decyzji poznaję moją matkę. Nie omylił się Brzozowski zostawiając jej tak piękne świadectwo. Kiedy się czyta jego listy czy materiały zebrane przez Mieczysława Srokę, dotyczące zeznań i postępów ludzi znanych mi osobiście albo ze słyszenia, rozwiewa się jeszcze jeden mit. Byłam długo przekonana, że pierwsi socjaliści to ludzie szlachetni i nieskazitelni, ideowi i odważni, jak pierwsi chrześcijanie. Tymczasem... cóż za kłębowisko żmij! Ile łatwych oskarżeń, oszczerstw, wypierania się własnych zeznań, nieodpowiedzialnego żonglowania słowem! Nic dziwnego, że matka, znalazłszy się w tym piekle, którego ów przewód sądowy był dość dokładnym obrazem, wycofała się z niego spieszenie, nie chcąc przyłożyć ręki do skazania człowieka, któremu i tak pozostało już tylko paręnaście miesięcy życia. *

Dla mnie ten rok spędzony w Zakopanem był rokiem szczęścia 'zawarcia dożywotniego porozumienia z przyrodą. Pierwszy raz widziałam pola krokusów, łąki pokryte pierwiosnkami, wodę, las. Odtąd nigdy już nie mogłam się bez tego obejść.

Kiedy skończyła się przyjemna „zsyłka” do Zakopanego, matka nie zamieszkała w Warszawie, tylko w okolicy, w Milanówku, a raczej na Grudowie. Chodziło w dalszym ciągu o moje zdrowie, a może też grało rolę bezpieczeństwo Nyka. Na wsi łatwiej było mu uniknąć kontaktów z Ochroną. Miał już legalne papiery i wkrótce ożenił się z matką.

35

Mieszkanie pod miastem nie było wówczas zupełnie praktykowane i tylko ofiarność mojej matki kazała jej obrać tak dziwaczny (jak komentowano) sposób życia. Wyjeżdżała wcześniej rano, wracała wieczorem, obładowana paczkami, bo w Grudowie, a raczej na Grudowie, jak mówiono, nie można było niczego kupić. Wiozła też stosy książek dla mnie.

Trzech wieszczów umiałam dosłownie na pamięć. A obok Boskiej Komedii, całego Szekspira, Orlanda szalonego, Homera itd. matka przywoziła książki przyrodnicze, Niebo Flammariona, O pochodzeniu gatunków Darwina, Kautsky'ego, Bebla. Czytałam to wszystko jednocześnie z Sienkiewiczem, Prusem, Orzeszkową. Dla Rodziewiczówny była niewyrozumiała i uważała, że szkoda czasu na jej czytanie. O żadnym Karolu Mayu nie było mowy, ale za to znałam całego Verne'a, Londona, Wellsa. Prowadziłam na tym Grudowie życie dość dziwne, bo z powodu zagrożenia gruźlicą kazano mi leżeć miesiącami, zwłaszcza zimą. Przy łóżku matka rano zostawiała stos książek, zabawki, „lalki papierowe do wycinania”, które odegrały wszystkie sztuki Szekspira, akwarium (ryby), terrarium (jaszczurki, żaby, węże) oraz zawsze kota. Obok tego maszynkę spirytusową i jedzenie suche i do ogrzewania na cały dzień.

Matka wychowywała mnie w tradycji patriotycznej, w kulcie dla powstań, w uwielbieniu dla wielkich poetów romantycznych. Żyłam czytaniem, wyobraźnią i bliskim obcowaniem z przyrodą. Spędzałam czas zupełnie samotnie i ani przez chwilę się nie nudziłam. Był to bardzo piękny i bogaty okres mego życia. Odnajmowaliśmy mieszkanie od bardzo miłych państwa Kochanowskich, ale pan Kochanowski wiele podróżował, a jego ładna żona tak była

leniwa, że większość dni spędzała na leżąc, choć była zdrowa. Zachodziła do mnie czasem na górę na pogawędkę, raczej mi przeszkadzając w moich pasjonujących zajęciach, niż rozpraszać moją samotność. Matka zaprzyjaźniła się z całą jej rodziną: Skaczkowskimi, Snarskimi, czasem i ktoś inny przyjeżdżał z miasta. Nyka wcale nie pamiętam z tego okresu, widocznie wyjeżdżał rano i przyjeżdżał bardzo późno lub nie przyjeżdżał wcale. Pamiętam jednak jego ślub z matką, ślub, na którym nie byłam obecna i który bardzo mocno przebolełam. Bo choć zdawałam sobie sprawę, że są małżeństwem, zalegalizowanie tego związku było, w moim dzieciennym poczuciu, zdradą wobec mnie i mego ojca. Aby mu to wynagrodzić, odbywałam wieczorami przed zaśnięciem długie rozmowy ze zmarłym

36

• w ten sposób utrzymywałam go przy życiu. Ogarnięta mistycyzmem, nauczyłam się modlić: Ojcze nasz, Zdrowaś Mario, Wyznanie wiary, modliłam się gorliwie codziennie. Trwało to sporo lat.

Gdy nie musiałam leżeć, brałam się do pracy w ogrodzie albo chodziłam sama po ślicznej okolicy. Było pięknie: bór ogromny, stare dęby i sosny, mchy puszyste i grzyby, albo małe, suche wzgórza, raczej wydmy piaszczyste, porośnięte macierzanką, a wiosną sasankami, rośliną, która podobno jest w zaniku, a której śliczne, włochate dzwonki przynosiłam do domu, do wazonów.

Kiedy miałam jedenaście lat, na jakimś przyjęciu u państwa Kochanowskich popisałam się poważnym stwierdzeniem: „Widziałam akt zapłodnienia u psów”. Bardzo mi potem i gospodarze, i znajomi dokuczali i prowokowali, abym to znów powtórzyła. Nie rozumiałam, dlaczego się śmieją albo gorszą. Wychowana na książkach przyrodniczych i na zupełnie swobodnych rozmowach z matką, która już wówczas uważała za stosowne uświadomić mnie w sprawach seksualnych, nie widziałam w tym moim oświadczeniu niczego osobliwego. I, oczywiście, wdzięczna jestem matce za ten rodzaj wychowania.

Kiedy miałam lat trzynaście, przenieśliśmy się do miasta. Czy to dlatego, że zdrowie moje poprawiło się radykalnie, czy że matce już zbyt trudno było dojeżdżać, a może czas było pomyśleć o szkole dla mnie. Byłam, jak dotąd, zupełnym samoukiem i wielkiej odwagi musiała wymagać od matki decyzja, żeby mnie tak wychowywać na wzór Russa. Były to jeszcze czasy, kiedy można sobie było na to pozwolić. Tymczasem wzięto mi nauczyciela, którego zadaniem było przede wszystkim nauczyć mnie matematyki, bo rachunków nie znałam ogóle, z innych przedmiotów, dzięki lekturom, byłam doskonale przygotowana. Polski, rosyjski, geografia, historia nie miały dla mnie tajemnic. W rok więc „wkulałam” niezbędne wiadomości dodatkowe i zdałam doskonale do piątej klasy znakomitego gimnazjum pani Werekiej. Z przyrody zdałam tak dobrze, że do końca szkoły pozostałam ulubienicą wybornej nauczycielki i mądrej kobiety, pani Bobkowej. Pamiętam, jak mnie pochwaliła: „Pierwsza dziewczyna, która mówi bez rumieńców i bez głupich chichotów o akcie zapłodnienia u roślin i zwierząt”. Z polskiego zdałam jeszcze lepiej, ale co mi przyszło do głowy, żeby w wypracowaniu na „dowolny temat” opisać śmierć mego ojca, moje niezrozumienie tej śmierci i zmyślony zresztą fakt, że dopiero kiedy wybiegłam do ogrodu i znalazłam martwego ptaszka, zro-

37

zuniałam, że ojciec umarł? Żadnego ptaszka mała pięcioletnia znalazłam i czułam, że ojciec umarł, od razu, kiedy go zobaczyłam,; jakiś literacki ekshibicjonizm i mitomania kazały mi napisać całą nowi na ów temat, w istocie swojej tak intymny. Zrobiłam to bezwiednie, zdając sobie zresztą sprawę, że ten tekst wyrobi mi od razu opii dziewczyny literacko uzdolnionej. Moje wypracowania miały być st odczytywane przez nauczyciela w czterech wyższych klasach, a m : pozycja w szkole od początku stała się mocna. 1 Na razie były wakacje. Toteż oszalałam prawie z radości, kiedy matka mi oznajmiła, że pojedziemy na Krym. Z niewiadomych mi powodów Nyk nam nie towarzyszył, co dodawało uroku temu projektowi.

Nie żebym Nyka nie lubiła, nie zasługiwał na to, był dla mnie dobry, ale tak bardzo obcy. Wyjechałyśmy tedy we dwie.

Na Krymie wszystko było wspaniałe. Wiecznie wzburzone, granatowe, ciepłe morze, upalne słońce, morele i brzoskwinie, których kobiety nie sprzedawały inaczej niż koszami za parę kopiejek, a nade wszystko cudowna pierwsza miłość, jakiej doznałam. Miałam lat czternaście, a byłam wysoka i chuda, inteligentna i przystojna, więc też od r przyjęła mnie jak swoją grupa studenckiej młodzieży rosyjskiej.

Cóż to była za nadzwyczajna młodzież: wesola, rozśpiewana, SWODI dna, a jednocześnie powściągliwa. Nic z ordynarności, rozchelstani bezczelności. Jacyś tacy bezpośredni, mili, serdeczni. Zachowała o nich jasne wspomnienie, i z bólem myślę o tym, co ich mogło spotk; — byli zbyt kulturalni, inteligentni, subtelni, aby mogli przetrwać dziki czasy, które wkrótce nadeszły. Najpiękniejszy wśród nich był Leonid Imberch (z francuskiej rodziny Imbertów), blondyn, o smutnych niebieskich oczach i cudownym głose. Nie mogłam oderwać od niego oczu, nikogo tak pięknego dotąd nie znałam. Był starszy ode mnie o sześć lat, a więc niedostępny. Kiedy matka zapytała: „Prawda, jaki piękny ten Leonid?” — odpowiedziałam zmieszana: „Nie uważam!” Pierwszy raz przed nią kłamałam.

Leonid zaczął przychodzić do nas codziennie i matka mówiła potem, ze śmiechem: „Myślałam, że do mnie, daję słowo. A to do tej smarkatej”. Matka była podówczas jeszcze młoda, zgrabna., urocza, mogła się podobać. Ja nie podejrzewałam, że to o mnie chodzi. Nie śmiałam podejrzewać. Ale oto pewnego dnia gromadką młodzieży wypłynęliśmy łodzią żaglową na morze. Wkrótce zapadł wieczór i na morzu powstał sztorm, kompletny bezruch, ani odrobiny wiatru. Łódź

38

nęła jak wryta, żagle opadły, nie było mowy o powrocie. Leonid siadł blisko mnie i wziął obie moje ręce w swoje. To była jedyna ieszczota, jakiej od niego zaznałam. Po raz pierwszy poczułam, co to znaczy zmysłowy dreszcz. Siedziałam jak zdrętwiała z rozkoszy. Żeby wszystko było jak należy — księżyc w pełni, młodzi Rosjanie śpiewający tęskne piosenki, morze nieruchome jak tafla, zupełnie przezroczysta noc. Była to chyba najpiękniejsza noc miłosna w moim życiu, choć ciało moje nie brało w niej udziału, tylko ręce, splecione z jego rękami.

O świcie powiał wiatr, łódź popłynęła do lądu.

Na brzegu siedziały zrozpaczone i wystraszone matki, siedziały całą noc. Ja tymczasem wyskoczyłam z łodzi tak rozpromieniona, że matka moja osłupiała. Z okrucieństwem, właściwym dzieciom, nie pomyślałam ani przez chwilę o jej niepokoj, wpatrzona w pięknego chłopca. Odtąd stanowiliśmy nierozłączną parę, ku zdumieniu wszystkich i niezadowoleniu dziewcząt, które nie mogły pojąć, że dorosły chłopak wybrał sobie taką smarkatą. Jednakże Leonid nie pozwolił sobie na żaden czulszy gest, a zwłaszcza na pocałunek. Nie brakowało mi tego, byłam jeszcze dość dziecinna, wystarczała mi jego obecność. I powiedzieć, że wychowanie seksualne „psuje” dzieci! Wiedziałam wtedy wszystko, ale nie stosowałam w życiu niczego. A swoją drogą trafiłam na chłopca powściągliwego i rzetelnego, który nie chciał wyzyskiwać mojej naiwności.

Jak wspominałam, te cechy były właściwe całej grupie młodzieży, z którą obcowałam. Nikt z nikim nie spał (choć byli starsi ode mnie), nigdy nie widziałam, żeby się ściskali, co dziś byłoby nie do pomyślenia. Nie chcę tu użyć słowa „czysty”, bo w pociągu zmysłów nie ma nic brudnego, nazwę to raczej powściągliwością i spokojnym oczekiwaniem na miłość.

Młodzież ta zresztą była nie tylko w sprawach erotycznych niezupełnie z tego świata. Matkę moją raził ich zupełny brak wyrobienia politycznego i nieznanostwo realiów. Nic nie wiedzieli na przykład o istniejącej w Rosji „strefie osiedlenia” dla Żydów. Cała kwestia żydowska była im obca, dowiadywali się o niej ze zgrozą. Nie pamiętam, jak było z innymi

sprawami, socjalnymi i politycznymi, ale wiem, że matkę gorszyła ich niewiedza. Młodzież polska i żydowska miała o wiele tópsze rozeznanie w tych sprawach. I nic dziwnego. Mocniej czuli carski ucisk. Na Krymie zresztą też istniały miejscowości, do których nie wolno nam było pojechać (np. Jałta).

w Kibaku, gdzie mieszkaliśmy, było niewiele południowej roślinno-

39

ści. Upał rozpraszał wiejący nad morzem wiaterek. Morze nie miało (antysemickich przesądów. Kobiety kąpały się osobno od mężczyzn, ale w niedalekim pobliżu. Nie znano kostiumów kąpielowych, kobiety kąpały się w koszulach, które oblepiały ciało po wyjściu z wody, tak że żaden szczegół ich anatomii nie dał się ukryć. Matka moja uchodziła za elegantkę, bo miała kostium kąpielowy i nosiła szare płócienne pój. buciki do szarej płóciennej sukni, zamiast czarnych, ciężkich butów, („Nic dziwnego, warszawianka" — mówili Rosjanie). Warszawa była dla nich miastem wielkiej i trudnej elegancji, jak dla Warszawy Paryż, w naszych ubożutkach, ale gustownych ciuchach wyglądałyśmy jak damy, wobec rozlanych i dziko ubranych Rosjank. Co bogatsze przyjeżdżały do Warszawy, aby się obsprawić. Zwłaszcza obuwie warszawskie było bezkonkurencyjne, a szewc Hiszpański zrobił fortunę, której część przeznaczył na założenie domu wypoczynkowego dla naukowców koło Świdra i nazwał go „Mądralin".

Nastał czas wyjazdu i bolesnego rozdarcia. Leżałam na drewnianej ławce (nie było nas stać na 2 klasę) i płakałam gorzko. Leonida nie było z nami, widocznie przedział przeznaczono wyłącznie dla kobiet. Jednakże odprowadził nas do połowy dalekiej drogi. Pożegnałam się z nim w nocy na korytarzu i mam trochę żal do matki o to, że uznała za stosowne być przy tym pożegnaniu. Czy się bała, że wyskoczę na stacji z pociągu? Leonid pożegnał się ze mną mocnym uściskiem dłoni i przeciągłym spojrzeniem. Nie pocałował mnie i wyskoczył na peron. Do dziś widzę, jak w świetle latarni podnosi ku mnie swoją piękną twarz, przypominającą odrobinę twarz Szopena, zalaną łzami. Ja ryczałam jak bóbr.

Trzeba było wracać do Warszawy, do szkoły, do której właściwie nie ucząc się zdałam tak wybornie. Miałam skończone czternaście lat i pierwsze, jak sądziłam, doświadczenie miłosne. Przyzwyczajona do całkowitej wolności, do życia w ogrodzie, do długich spacerów, nie paliłam się do szkoły. Jeszcze gdybym wiedziała, co mnie czeka, a raczej z czym zetknę się twarzą w twarz.

Matka moja przez rozumne wychowanie ustrzegła mnie od wszelkiego rodzaju kompleksów seksualnych. Podobnie ustrzegła mnie przed tym, co nazywam „kompleksem żydowskim", który dał się ostro we znaki wielu moim znajomym i przyjaciółom. „Jesteś Żydówką, i co z tego?" — mówiła. — „Nie różnisz się niczym od innych. A ci, co głoszą hasła antysemityczne, to albo głupcy, albo ludzie ciemni. Takimi można albo pogardzać, albo się nad nimi litować".

40

Ale moi bliscy — jedni uważali się za gorszych od rdzennych Polaków, inni za lepszych.

Jedni więc przybierali postawę pokorną i nawet służalczą, inni wyzywającą i arogancką.

Upokorzenia, przeżyte

dzieciństwo, pozostawiły u wielu z nich ślady, a nawet urazy na całe życie. Jedni oddzielili się wyniośle od społeczeństwa polskiego, do którego nie mieli dostępu, inni oddaliby wszystko, żeby ich Polacy przyjęli jak swoich. Niewielu było takich, którzy się uważali za Polaków, pochodzenia żydowskiego. Do tych, dzięki matce, należałam. Od dziecka przyzwyczajona do obcowania zarówno z Izraelitami, jak z katolikami, nie zastanawiałam się nad różnicami, jakie ich mogły dzielić. Dopiero szkoła kazała mi stanąć twarzą w twarz z tym problemem.

Pensja pani Werekowej miała najwyższy poziom wśród szkół żeńskich w Warszawie i uważana była za postępową. I dlatego że wykładający tam nauczyciele byli w przeważającej mierze socjalistami (z czego zresztą zdałam sobie sprawę dopiero później), i dlatego że

przyjmowała Żydówki. W klasie było ich około 50 procent, co odpowiadało stosunkowi procentowemu ludności miejskiej (nie krajowej, gdzie Żydzi stanowili zaledwie 10 procent). Słowem, nie było dyskryminacji, jak w wielu innych szkołach, gdzie przyjmowano do każdej klasy jednego, dwóch albo najwyżej trzech żydowskich uczniów (nieoficjalny numerus clausus). Ale mimo całej postępowości szkoły, już od pierwszego dnia zauważyłam w klasie sytuację dość osobliwą. Żydówki siedziały osobno, chrześcijanki osobno. Nikt tego nie nakazywał, lecz wobec jawnego antysemityzmu koleżanek, Żydówki skupiły się w jedną grupę. Siłą rzeczy i przyjętego obyczaju znalazło się dla mnie miejsce koło koleżanki Żydówki. Lubiłam dosyć Halinę, z którą siedziałam, poważną, zdolną do matematyki dziewczynę. Ale poryw serca skierował mnie do innej, do niejakiej Marychny Mierzyńskiej, która odpowiedziała mi entuzjastyczną serdecznością. Nasza przyjaźń, bardzo żywa, zaczęła się od razu i przetrwała wiele lat, a nawet w jakimś sensie całe życie. Spotkałyśmy się bowiem po długim czasie (mimo że nasze drogi niezależnie od naszej woli się rozeszły) z tą samą serdecznością. Szkolnej zażyłości sprzyjało i to, że mieszkaliśmy w sąsiednich domach. Chodziłyśmy więc razem do szkoły i z powrotem, umawiałyśmy się na spacer, razem odrabialiśmy lekcje, wspólnie i z niemalym zdziwieniem zdałyśmy sobie sprawę z niezdrowej sytuacji w naszej klasie. Obie uznałyśmy ów rozdział między Żydów-

41

karni a chrześcijankami za absurd i postanowiłyśmy uświadomić y innym. Z początku Żydówki dokuczały mi: „Podlizujesz się Polkom”,! Dlatego że się przyjaźnię z Marychną?! To mi się po prostu nie mieściło: w głowie. Z biegiem czasu zdobyłam i inne przyjaciółki, może już nie tak' bliskie jak Marychną, i to zarówno Polki, jak Żydówki, między innym; Halinę Endelman — późniejszą pisarkę Halinę Górską.

Następnego roku usiadłyśmy w ławce razem z Marychną, a moja poprzednia towarzyszka, Halina Awrutin, znalazła sobie inną matema-tyczkę, katoliczkę. Słowem, już w drugim roku mego pobytu w szkole, dzięki naszej postawie i perswazji, problem antysemicki w klasie przesta) istnieć. Dwa wrogie sobie często klany przemieszały się, powstały nowe przyjaźnie, atmosfera się oczyściła. Było to w przeważającej mierze zasługą Marychny, ale grała też rolę moja mocna pozycja wśród koleżanek i nauczycieli. Cała ta przemiana naszej klasy była też możliw, dzięki dużej liczbie rozumnych pedagogów, którzy nadawali szkol pewien ton. Co prawda antysemityzm przygaszony w naszej klasie c się jednak po kątach i co pewien czas dawał o sobie znać. Przykre sakramentalne: „Panienci Izraelitki opuszczają klasę" w czasie I^ religii i wyraźne obrzydzenie księdza katechety na nasz widok. Dowiedziałam się, że później, po odzyskaniu niepodległości, szkoła stosowała rosnący z biegiem lat numerus clausus. Ach, ten polski antysemityzm! Ileż szkody wyrządził krajowi! Miałam go doznać jeszcze niejednokrotnie, ale bolejąc nad nim jako zjawiskiem ogólnym, sama ucierpiał; niewiele. Mimo doskonałych nauczycieli, z których część, kiedy „wybuc^, Polska", została profesorami nowo powstałego uniwersytetu warszaw; kiego, nie lubiłam szkoły. Dzięki mądrymu wychowaniu matki była bardziej i lepiej czytana niż inne dziewczyny i nauczyciele często podkreślali. Ale denerwowałam się, kiedy ich wzrok przemier^, dziennik, szukając ofiary do „wyrwania", i serce mi waliło przy każd» odpowiedzi, mimo że na ogół umiałam lekcję. Nie znosiłam, kied; przerywając mi nagle bieg myśli, zadawano niespodziewanie jakie., pytanie. Od razu czułam się zagubiona. Miałam uczucie ciągłego niebezpieczeństwa. Lepiej, ale tylko nieco lepiej, czułam się na lekcjach literatury profesora Nawroczyńskiego, który mnie w jaskrawy sposób wyróżniał. Koleżanki, nie szukając właściwego powodu tego stanu rzeczy, jakim była jedynie moja znajomość literatury, orzekły, że profesor się we mnie kocha (co było oczywistą nieprawdą). Wdzięcznicie

42

norminam profesora Kreczmara (stryja aktora), który wykladał h's torię zgodnie z materialistycznym pojmovaniem dziejów, na czym ja, , iecko socjalistycznego domu,

poznałam się od razu. Jeszcze milej wspominam nauczycielkę przyrody, panią Dobkową, oraz zdumiewające zjawisko, jakim była nauczycielka rosyjskiego, panna Gościewicz, chuda, drobna, brzydka i umiejąca utrzymać klasę w jakimś hipnotycznym niemal napięciu i niezmiennym zainteresowaniu. To ona raz na zawsze zaszczepiła mi głębokie zainteresowanie dla wielkiej literatury rosyjskiej XIX wieku. Ale po nie ograniczonej niczym wolności, jakiej zaznałam jako dziecko i podlotek, szkoła wydawała mi się niewolą i często nie słyszałam lekcji, zapatrzona w koronę rozłożystego kasztana, sięgającą okna szkoły. Zdawało mi się wówczas, że jestem na wsi. A przecież moja pensja położona była w samym sercu Warszawy, na rogu Nowego Świata i Foksal. W mieście jednakże zawsze czułam się obco.

Byłam uczennicą dość efektowną: czytałam moje wypracowania we wszystkich prawie klasach, dobrze deklamowałam, więc stanowiłam filar wielu uroczystości, a poza tym byłam ładna (choć niefotogeniczna, nie mam ani jednej dobrej fotografii). Pani Werecka, prawdziwa przełożona z powieści „dla panien”, tęga, ściśnięta gorsetem, z koroną bielutkich włosów na głowie, wyglądała jak Orzeszkowa i miała niewątpliwy, choć trudno powiedzieć, na czym oparty, autorytet. Pewnego dnia wezwała moją matkę. „Chciałam poznać matkę tak dobrze ułożonej panienki i wiedzieć, z jakiego domu pochodzi”. Obie z mamą śmiałyśmy się z tego bardzo. „Nie wiedziałam, że mam dobrze ułożoną córkę” — mówiła matka. „Zapamiętaj sobie, że jesteś dobrze ułożona. A z jakiego domu pochodzi moja córka? Boże! gdyby pani Werecka wiedziała! Ze zwariowanego!”

Zachwyty pani Wereckiej był tym dziwniejszy, że na korytarzu inne dziewczynki podbiegały do niej i całowały ją w rękę. Ja nie robiłam tego niśdy. Całowałam w rękę tylko matkę i tylko z miłości, nigdy dla konwenansu. Nasz dom był istotnie trochę zwariowany, zwłaszcza jak na owe czasy: matka żyjąca „w konkubincie” z „wywrotowcem”, czasem jedynie kartofle na obiad, ale czasem kawior, żarty i śmiechy bezustanne, zupełny brak jakichkolwiek przesądów. Ale mimo to

43

wyróżniałam się „dobrym ułożeniem”, czyli po prostu uprzejmością wobec nauczycieli, woźnych, sprzątaczek. Okazało się, że fakt, H wpuszczam nauczyciela pierwszego do windy czy kłaniam się pierwsza na ulicy, oraz parę innych, elementarnych zachowań zyskały mi tę dobrą sławę. Uczennice z prostych domów tego nie robiły, bo ich nie nauczono, a z tak zwanych „dobrych” także, bo pogardały ludźmi. Pewnego dnia pani Werecka wezwała mnie do siebie i powiedziała: „Irenko, masz prezencję, zdolności i dobre ułożenie (znowu!). Jesteś Polką z wychowania, języka i kultury. Pozostaje ci tylko się ochrzcić. Namawiam cię do tego gorąco. Po co masz dźwigać na sobie brzemień nie swoich win?” „Win?” — pomyślałam ze zdumieniem. „Więc co, czy się zgadzasz? Rozmawiałam już z księdzem katechetą”.

Trzeba powiedzieć w tym miejscu, że antysemityzm polski nie miał charakteru rasowego (albo w bardzo małym stopniu), tylko wyznaniowy. Ochrzczony Żyd uzyskiwał w zasadzie pełne prawo wstępu do społeczeństwa polskiego, ustępowała towarzyska dyskryminacja, mógł zajmować różne stanowiska, w przeciwnym wypadku niedostępne (czasem ktoś mu wypomniał, że „wychrzta”, ale rzadko). Słowem otrzymywał widoczne przywileje, jeszcze za carskich czasów, ale i później, w niepodległej Polsce. Propozycja pani Wereckiej była nęcąca, ale skryłam się za murem argumentów, nie samodzielnych zresztą, tylko również przekazanych mi przez matkę, a słowo matki było dla mnie święte i nie podlegające dyskusji. Odpowiedziałam więc pani przełożonej, że po pierwsze —jestem niewierząca, więc nie wypada mi urządzać komedii w stosunku do czegoś tak szanowanego jak religia, po drugie —jestem Żydówką i wcale się tego nie wstydzę, po trzecie — nie opuszcza się słabszego, a Żydzi są w pozycji słabszego w społeczeństwie, po czwarte — żadna decyzja człowieka, który się szanuje, nie może mieć na celu korzyści.

Było to może trochę rezonerskie, trochę przemądrzałe w piętnastoletnich ustach, ale nie pozbawione godności. Pani Werecka powiedziała: „Jak chcesz, moje dziecko, ale to i tak się

tym skończy". I miała rację, nie mogłabym znacznie później zaślubić mego przyszłego męża, gdybym nie była chrzczona, cywilne śluby nie istniały. Był to jedyny wypadek, wobec którego matka moja, a nawet Nyk, o tyle bardziej żydowski, skłonni byli uznawać chrzest. „Wobec głupiego prawa ludzie są bezbronni i muszą mu ulegać” — mówili. Ciekawe, że kiedy sprawa ślubu stała się aktualna, nikomu z nas nie przyszło na myśl, mimo całego

44

braku przesądów, że mogłabym z moim przyszłym mężem żyć na wiarę. Byłam młodą dziewczyną, a młode dziewczyny wychodzą za mąż, tylko dojrzałe kobiety mogą inaczej decydować o swoim losie. Takie było wtedy stanowisko ludzi „bez przesądów”, bo jednak przesąd obyczajowy był silny i wówczas.

Upłynął więc pierwszy rok mego pobytu w szkole, skończyłam lat piętnaście w maju, kiedy nagle w Warszawie zjawił się Leonid. pisywaliśmy do siebie regularnie cały rok długie listy, które — tym razem niepedagogicznie — moja matka czytała. Były bardzo niewinne, ale między wierszami tały się wzajemne uczucia. I oto nagle mój ukochany stawił się osobiście. Powiedział, że już nie mógł dłużej wytrzymać. Przyjechał prawie bez pieniędzy (pochodził z ubogiej, inteligentkiej rodziny, był siostrzeńcem znanego kompozytora Aleksandra Greczaninowa). Uciął sobie pewną sumkę na przejazd i na skromny tygodniowy pobyt w Warszawie. Nie stać go było na hotel, więc pomogłam mu wynająć jakiś skromny pokój prywatnie.

Nie mogę powiedzieć, aby to spotkanie nie było połączone z pewnym rozczarowaniem. Leonid stracił wiele ze swojej urody, być może nie dojadł. Złote jego włosy jakby przygasty, nos jakby się wydłużył, twarz pobladła. W dodatku zamiast lekkich spodni i koszuli nosił szynel, czyli studencki mundur rosyjski (taki sam, jak ten, który zaważył na losach mojej matki), i ohydny czapek. Matka zakazała mi wychodzić z nim na ulicę: „Jeszcze tylko tego brakowało, żebyś latała z rosyjskim studentem”. Była patriotką, a w owym czasie umundurowanych Rosjan bojkotowano. Wstydiłam się pokazać z nim publicznie, wstydiłam się też mu to wyznać. Biedak nic nie rozumiał. Matka przerażona tą wizytą, pełna swoich „opozycyjno-nacjonalistycznych” uczuć powiedziała: „Tylko nie wyobrażaj sobie, że mogłabyś wyjść za mąż za Rosjanina. To by było okropne. Nie mam nic przeciwko ludowi rosyjskiemu. Ale nie wolno ci się zaprzeć polskości. Tu, na tym terenie, oni są obcy i są przedstawicielami przemocy carskiej, choćby osobiście nie byli nic winni”.

Tak więc widywałam Leonida tylko u nas albo w jego pokoju. Zachował dawną powściągliwość, musiał poczuć jakiś chłód. Ale kiedy siadał przy pianinie i zaczynał śpiewać, dawny czar wracał. Przyspieszył, ° ile pamiętam, swój wyjazd i za pozostałe pieniądze kupił olbrzymi krzak białego bzu w doniczce. Były to pierwsze kwiaty, jakie dostałam °d mężczyzny, i serce mi stajało, gdy zobaczyłam jego smutek. Byliśmy

45

(na szczęście) sami w mieszkaniu; wyznał mi wreszcie swoją miłość i zapytał, czy zechcę czekać, aż skończy studia i będzie się mógł ze mną ożenić. Ręce nasze spotkały się i znowu poczułam ten rozkoszny dreszcz jak wówczas w Łodzi. Jednak odpowiedziałam jednym słowem: „Nie”. „Nie? — zapytał ze smutkiem Leonid — ale dlaczego?” Nie mogłam mu tego wyjaśnić. Siedzieliśmy długi czas w milczeniu. „Ira — powiedział — jesteś jeszcze bardzo młoda. Przyjadę po ciebie, jak podrośniesz. W tym roku nie piłem, nie grałem w karty, nie łajdaczyłem się — wszystko dla ciebie. Będziesz moją żoną”. Trzeba było iść na stację. Na peronie pochylił się nagle i pocałował mnie pierwszy raz, niezręcznie, gdzieś koło kącika ust. Odjechał. Do dziś nie mogę mu wybaczyć, że nie od niego doznałam pierwszego, prawdziwego pocałunku. Tak bardzo tego pragnęłam! Potem mieli mnie całować chłopcy zupełnie mi obojętni. A on był szlachetny, ale naiwny i aż za bardzo rycerski. Nie miałam go już nigdy więcej zobaczyć, los się o to postarał. Ale nie zapomina się pierwszej miłości.

Skończyłam piątą klasę. Byłam popularna wśród koleżanek i cenili mnie nauczyciele. Biedny profesor Nawroczyński, nieszkodliwy i sprawiedliwy endek, nie mógł wykrztusić mego nazwiska, raziło go, że miało żydowskie brzmienie. „Wyrwał” mnie zawsze po imieniu, czego nie robił w stosunku do żadnej z moich koleżanek. „Panna Irena nam opowie...” — tak zaczynał swoje pytania. Nauczyciel matematyki, poczciwy Dal Trozzo, był zawsze pijany i stawał stopnie na oślep. Dostawała mi się czasem dwója, czasem piątka, ale na ogół łądowałam z tego przedmiotu na obojętnej trójce. Coś tam biedaczysko bełkotał pijanym głosem przy tablicy i dziwię się dotąd, jak nasze matematyczki mogły sobie z tym poradzić. Te najlepsze były dwie: blada, brzydka, krucha Sobocińska, pierwsza uczennica ze wszystkich przedmiotów, ale zupełnie bez indywidualności i bez polotu. Została później lekarzem. Obok niej (już po przemianach „rasowych” w klasie) siedziała Halina Awrutin, później spalona w piecach krematoryjnych. Za nimi śliczna, pulchniutka, zdolna Tylborówna, a obok niej piękna Lubowska, jedyna w naszej klasie, która chyba bardzo wcześnie rozpoczęła życie erotyczne. Szeptano się o tym po cichu i patrzyło ze zdumieniem (nie ze zgorzeniem), jak zdarzało jej się przychodzić wyraźnie „pod gazem” do szkoły (w tych czasach!), z na pół przytomnym spojrzeniem. Mimo to uczyła się doskonale, była bardzo zdolna. Dowiedziałam się znacznie później, że podobno wstąpiła do klasztoru. Jaki zawód, jaki przesył,

46

jaka gorycz była tego przyczyną? Obok mnie wierna Marychna Mierzyńska, średnio ładna i średnio zdolna, ale dobra i szlachetna.

Kiedy spoglądam wstecz na swoje byłe koleżanki i porównuję je z dzisiejszą młodzieżą, widzę ze zdumieniem, ile było wśród nich dziewcząt rozlazłych, otyłych, krościatych, anemicznych. Była to epoka przed-sportowa, przed-powszechnie-urlopową, tak że biedaczki często nigdy nosa nie wychylały z miasta, a jeżeli jeździły do jakichś uzdrowisk, to i tam prowadziły życie miejskie. Tylko córki ziemiańskie miały zdrowe cery i jędrne ciała, ale i to nie zawsze. Ja też nie byłam wychowana sportowo, ale cały okres dojrzewania spędziłam na wsi i to zaopatrzyło mnie w zapas zdrowia na całe życie. Z tego okresu szkolnego mam jedno zawstydzające wspomnienie. Jak pisałam, była w naszej klasie Endelmanówna, późniejsza literatka, Górka. W owym czasie była to dziewczyna inteligentna, niezmiernie poczciwa, ale rozlazła, jakaś mięczakowata i naiwna, wiedząca tyle o sprawach płci, co nowo narodzone dziecko. Wiedziona najlepszymi zamiarami uznałam, że temu stanowi rzeczy należy położyć kres, bo co to znaczy, żeby inteligentna dziewczyna była taka nieświadoma. Zrobiłam jej tedy seksualne pranie mózgu niejako przemocą, ponieważ Halina nie chciała tych okropieństw słuchać. Biedactwo dowiedziawszy się, jak i co, odeszło płacząc. Bardzo się tego wstydzę. Nauczyłam się wtedy, że jeżeli ktoś chce kogoś uszczęśliwić wbrew jego woli, zawsze go krzywdzi. Pocieszam się tylko tym, że nie przedstawiłam jej spraw seksualnych w jakimś obrzydliwym, szokującym świetle, a właśnie w „naukowym”. Ale przemocą, co jest nie do darowania.

Na wakacje pojechałyśmy z matką do Szwajcarii, do Beatenbergu. Zabawne, że każdy mój pobyt w tym kraju oznaczał jakiś ważny etap mego życia. Pierwszy to śmierć ojca. Drugi — rok 1914 — wojna światowa (późniejsze pobyty też zawsze były znaczące). Początek lata minął spokojnie, wypełniony czytaniem Braci Karamazow, za których sprawą rzeczywistość zupełnie mi się odrealniła. Chodziłam jak pijana i w słabym stopniu widziałam otaczającą mnie alpejską przyrodę. I nagle grom z jasnego nieba, 1 sierpnia, wojna! Pamiętam, jak szwajcarscy hotelarze z absolutną bezwzględnością wyrzucali na bruk cudzoziemców, którzy, odcięci od swoich krajów, nie mieli czym płacić. Pamiętam jakąś zapłakaną panią na ulicy, która proponowała wszystkim przechodniom kupno wspaniałego brylantowego pierścionka. Hotelarze szwajcarscy przestali wierzyć nawet w brylanty, żądali jedynie gotówki we

48

frankach szwajcarskich. Na szczęście matka moja je miała, niedużo, ale starczyło na konieczne opłaty. Nie było jednak mowy o tym, żeby zostać w Beatenbergu. Matka nade wszystko chciała się spotkać z Nykiem, który uczestniczył w jakimś kongresie socjaldemokratycznym w Wiedniu, pojechałyśmy tedy do Wiednia. Podróż nasza trwała, jak mi się zdawało, w nieskończoność, na twardych ławkach trzeciej klasy, prawie bez jedzenia. Kiedyśmy wreszcie do Wiednia dotarły, zajął się nami znany austriacki socjalista Friedrich Adler. Okazało się jednak, że Nyk, natychmiast po wybuchu wojny, pojechał do nas, do Szwajcarii, tak więc minęliśmy się w tej rozgorączkowanej Europie. Ale ponownie przekroczyłyśmy granicę i jakoś się odnaleźliśmy w Genewie, gdzie była duża kolonia socjalistyczna, złożona z Polaków, Rosjan oraz Żydów. Tam matka oddała mnie niejako „na stancję” do rodziny jakichś szwajcarskich towarzyszy i tam też po miesiącu, raz na zawsze, nauczyłam się mówić po francusku, co miało w przyszłości odegrać ważną rolę w moim życiu.

Pobyt w Genewie nie zostawił mi jakiegoś trwalszego wspomnienia, za to powrót! Oto okazało się pewnego dnia, że rząd rosyjski przysłał do Genui okręty, aby zabrać swoich „poddanych”. Paszport rosyjski wystarczał, aby się na taki okręt dostać. Ani matka, ani Nyk nie zamierzali pozostać na emigracji, toteż ruszyliśmy w kierunku Genui (oglądanie miasta i pierwsze osłupienie na widok kościołów w paski), potem do przystani i na okręt.

Ta podróż miała na zawsze pozostać jednym z najpiękniejszych wspomnień mego życia. Płynęliśmy po Morzu Śródziemnym, wzdłuż całych Włoch, przejechaliśmy Cieśninę Mesyńską (buchający płomieniem wulkan Stromboli), potem wzdłuż wybrzeży Grecji do Salonik. Nie było ważne, że nie pozwalano nam zatrzymywać się w portach, że spaliliśmy pokotem na zбитych z desek piętrowych kojach, że podawano nam chyba wyłącznie kluski okraszone mielonym mięsem, podróż i tak pozostała cudowna. Chodziłam oczarowana po niewielkim pokładzie, a za mną krok w krok włókł się jakiś Rosjanin ze szkicownikiem w rękę i bezustannie mnie rysował w różnych pozycjach, siedzącą, stojącą, idącą. Nie zwracałam na niego najmniejszej uwagi, zwłaszcza że był niemłody i brzydki, zresztą nawet nie usiłował do mnie zagadać. Dowiedziałam się tylko, że był to pierwszy tenor opery petersburskiej, Płatonow. Cała moja uwaga była skupiona na pewnym malarzu, otoczonym gromadą dziewcząt, przepięknym, olbrzymim i jakoś osob-nwie romantycznym. Nazywał się Sierioża Kolosów.

- Wyznania...

49

Kochał się w nim cały okręt, nawet mężczyźni go dostrzegali i ciągle powtarzano jego nazwisko. Oczywiście, nie było mowy, aby na mnie zwrócił uwagę, ale wystarczało mi patrzeć nań z daleka. Wieczorami młodzież rosyjska zbierała się na pokładzie i śpiewała późno w noc, ale ja, jako dziecko, musiałam iść spać na moją koję. Ostatniego wieczora Sierioża chwycił mnie za rękę, kiedy kierowałam się na spoczynek, i zapytał, gdzie się tak spieszę, poprosił, abym została z innymi. Oczywiście zostałam z rozkoszą. Siedziałam na podłodze w kręgu młodzieży tuż koło Sierioży, który od czasu do czasu gładził mnie po głowie albo brał moje dłonie i kładł je sobie na piersiach, pod koszulę. Noc była gwiaździsta, morze fosforyzowało, pachnący wiaterek zalatywał z pobliskiego wybrzeża Grecji, a ja siedziałam objęta przez najpiękniejszego mężczyznę na statku. Objęta, nic więcej, ręka jego nie popęzła nigdzie dalej. Młodzi śpiewali, a wśród nich odnalazł się „mój” Płatonow i nieco cukrzonym, ale potężnym głosem wspomógł chór śpiewających. Prześliczne piosenki rosyjskie łączyły się w zachwycającą całość z mitologicznym tłem i z moim przelotnym zakochaniem. Nie będę ukrywała, że zakochałam się w Sierioży Kołosowie. Pół nocy spędziłam w ten upojny sposób, aż wreszcie odnalazła mnie zdesperowana matka, bezskutecznie penetrująca wszelkie zakamarki statku w poszukiwaniu swego dziecka. Wstałam żałośnie, oderwałam się od Sierioży, który przytrzymał moją rękę i spojrzał mi

głęboko w oczy, prosząc, abym została. Ale nie przyszło mi nawet na myśl, żeby. sprzeciwić się matce. Ze spuszczoną głową poszłam spać.

Nigdy więcej nie zobaczyłam Sierioży, następnego ranka przybiliśmy do brzegu w Salonikach, gdzie rozdzielono nas na dwie grupy. Niestety Sierioża znajdował się w innej, w mojej natomiast odnalazł się natychmiast nieodstępny Płatonow. Wpakowano nas do jakiegoś obskurnego pociągu w Salonikach, po osiem osób w jednym ciasnym przedziale.] Zapadła noc, więc pasażerowie poukładali swoje walizki i tłumoki w przejściu, między ławkami i położyli się pokotem, w poprzek wagonu. Musiało się to dziać w jakimś popłochu czy zamęcie, bo oto tuż koło mnie, leżącej z głową opartą na jednej ławce a nogami na przeciwległej, znalazł się nie kto inny tylko Płatonow. Zасыpiając poczułam, że czyjaś łapa kładzie mi się na kolanie i posuwa wyżej. Obudziłam cichutko leżącego po mojej drugiej stronie Nyka i ze zručnością akrobatów zamieniliśmy się miejscami.

W wagonie było ciemno jak w grobie i, jak opowiadał mi pote

50

ojczym, nieszczęsny Płatonow nie zaprzestał swoich wysiłków. Ale kiedy poczuł pod łapą, zamiast mojej, jeszcze prawie dziecięcej skóry, włochatą i kościstą nogę Nyka, cofnął się w popłochu, zrezygnował i nazajutrz zniknął bez śladu. Reszta podróży nie zostawiła mi przyjemnego wspomnienia: brudno, zaduch, głodnawo i pić się chciało cały czas.

Kupowaliśmy od chłopów, na stacjach, olbrzymie zakurzone winogrona i jedliśmy je, zaspokajając jednocześnie głód i pragnienie.

Całe Bałkany minęły mi jak we śnie i oto z powrotem znalazłam się w Warszawie, w mojej klasie, przy boku Marychny Mierzyńskiej. W ciągu miesiąca, przeżytego w rodzinie szwajcarskich robotników, tak dalece poduczylam się francuskiego, że już przez resztę życia czytałam i mówiłam swobodnie. Nauczycielka francuskiego nie mogła się dość nadziwić tej przemianie uczennicy trójkowej na piątkową. Tak że początek 1914 roku przydał mi jeszcze listek do mego szkolnego wianuszka, a poza tym obdarzył wspomnieniem pięknej i rozkosznej podróży. Dalszy ciąg jednak był mniej przyjemny i kolorowy. Byłam nie najgłupszą dziewczynką, ale bieg wojny interesował mnie mało. Byłam zajęta szkołą, koleżankami i tylko, jak przez mgłę, pamiętam huk kanonady, obwieszczający zbliżanie się wojsk niemieckich. Rosjanie zostali z Warszawy wyparci — to było przyjemne, wkroczyli Niemcy, a wraz z nimi głód, kartki, gliniasty, czarny chleb i marmolada z marchwi. W dodatku, po niedługim czasie aresztowano Nyka, jako działacza socjalistycznego, i biedna moja matka musiała wziąć dodatkowe zajęcie — kursy wieczorowe dla dorosłych, żeby wykarmić mnie, siebie i posyłać paczki mężowi do obozu, i w dodatku opłacać moją kosztowną szkołę.

W ostatniej klasie już nie dała rady, ale pani Werecka udzieliła jej kredytu i cały rok uczyłam się za darmo. Kiedy w parę lat później przyszedł, żeby zwrócić dług, wprawiłam w osłupienie zarówno przełożoną, jak sekretarkę. Żadna bowiem z uczennic, które były w równie ciężkim jak ja położeniu i wobec których szkoła zrezygnowała z opłaty, nie zgłosiła się nigdy. A spośród rodziców moich koleżanek matka moja była z pewnością najuboższa. Ale w swojej rzetelności bezkompromisowa.

Wojna ciągnęła się nudno, mdło, obojętnie. Właściwie nie bardzo się wiedziało, komu życzyć zwycięstwa. Aliantom — zapewne, ale to niewiele dla mnie znaczyło. Żalowałam ojczyma, że siedzi, ale w duchu rada byłam, że mam matkę wyłącznie dla siebie. Nasza więc

nie

51

przerwała się ani na chwile do dnia jej śmierci, w wiele lat później. Żadny przyjaźń nie mogłaby mi zastąpić matki, jej dobroci, szlachetności, wesołości i wielkiego rozumu. Nie tylko kochałam ją, ale wielbiłam. TC była naprawdę wspaniałą kobietą. Wakacje 1916 upłynęły bezbarwnie, głodnawo, nudnie; tak jak i reszta roku. Wszelkie miłostki wywietrzały mi gruntownie z głowy, i te na długo. Przeżywałam melancholijnie okres dojrzewania, udręczona lękiem przed śmiercią, nie jakąś określoną i bezpośrednią, ale w ogóle. Po prostu odkryłam późnawo, że nie jestem nieśmiertelna, i to mnie doprowadzało do istnych ataków strachu. Bałam się własnego szkieletu, bałam się nieskończoności i wieczności. Wychowana w domu niereligijnym, nauczyłam się wszelkich możliwych pacierzy i klepałam je sobie przed zaśnięciem, ale to niewiele pomagało. Chciałam uwierzyć w Boga, ale nie mogłam. Matka dawała mi krople walerianowe, a czasem, za poradą lekarza, trochę bromu, ale też nie skutkowało. Kiedyś wreszcie, zniecierpliwiona, dała mi potężną dawkę rycyny, po której leżałam osłabła, ale o dziwo, uspokojona, z uczuciem jakiejś mistycznej i niezapomnianej błogości. Ale i ten radykalny środek nie podziałał na długo i młodość moją przez całe lata zaciemniał ów dręczący lęk. Teraz, im bardziej termin śmierci się zbliża, tym mniej się jej boję. Właściwie nie boję się śmierci, tylko umierania, chyba już to ktoś powiedział wcześniej.

Wojna niejako działa się poza nami. Rosjanie wyszli, Niemcy weszli w 1915 roku, wszystko jedno. Rosjanie przed wyjściem kokietowali naród polski obietnicami jakiejś tam autonomii. Niemcy po wejściu też usiłowali, na swój sposób, pozyskać sobie Polaków, też obiecując coś w rodzaju niepodległości i wyznaczając nawet jakąś Radę Stanu. O ile pamiętam, nikt się tym wszystkim — w każdym razie w naszym środowisku — nie podniecał i z góry okupantowi, temu czy innemu, nie wierzył. Stąd też, o ile druga wojna przewróciła cały dotychczasowy świat do góry nogami, o tyle pierwsza ześlizgnęła się po powierzchni mojej świadomości. Była ostra, dotkliwa bieda, to pamiętam, nie było mowy o żadnych rozrywkach, istniała tylko szkoła i dom, i spacerzy do Łazienek. To wszystko.

Chyba w drugim (a może trzecim) roku wojny doznałam przeżycia, które pozostawiło we mnie ślad na dłużej. Oto Marychna Mierzyrska zaproponowała mi pewnego dnia, abyśmy się zajęły nauczaniem szwaczek. Organizowała to niejaka hrabina Wielopolska, znana podob-

52
no z dobroczynności. Sama się dziwię, że wychowana w socjalistycznym domu, dałam się złapać na te hrabiowskie łaski. Rzadkie były wówczas kursy dla dorosłych, nie istniały chyba dla pracujących kobiet. Tak więc skrzyknęłyśmy koleżanki, z których zgłosiło się kilka. Hrabina przyjęła nas łaskawie i każdej przydzieliła komplet złożony z pięciu — sześciu szwaczek, przeważnie analfabetek. Zadanie było łatwe: trzeba je było nauczyć czytać, pisać i trochę rachować. Z zapałem i gorliwością wzięłyśmy się do tej roboty. Ale nie trwała ona długo. Już po paru tygodniach hrabina wezwała do siebie mnie i Marychnę i powiedziała z jawnym niesmakiem: „Moje drogie, dowiaduję się, że do waszego grona «wkradły» się (sic!) Żydówki. Proszę bardzo, żebyście je usunęły”.

Marychna oniemiała, ja zaś odparłam: „Doskonale, proszę pani. Wobec tego i ja panią żegnam”. Hrabina poderwała się: „Jak to? Dlaczego? Przecież to ciebie nie dotyczy, moje dziecko”. — „Owszem, dotyczy, bo jestem Żydówką”. — „To niemożliwe! — krzyknęła hrabina — to nie może być prawda!” — „Żegnam panią” — powiedziałam zimno, choć z trudem hamowałam wściekłość.

Hrabina padła przede mną na kolana (nic a nic nie przesadzam). „Dziecko drogie, ja nie chciałam cię obrazić. Zresztą to niemożliwe, żebyś była Żydówką. Ale zostań. Ty zostań!” I zaczęła płakać.

Wtedy Marychna odzyskała mowę i powiedziała: „Irena nie zostanie ani ja, ani żadna z naszych koleżanek, Żydówek czy chrześcijanek. W naszej klasie takie podziały nie istnieją”. Wyszłyśmy obie ze wstrętem, popłakałyśmy się, jak to dziewczyny, powiadomiłyśmy koleżanki i wszystkie razem opuściłyśmy progi dobroczynnej hrabiny. To, że nie brała mnie za Żydówkę, jest dla mnie do dziś niepojęte. Jeżeli nie wygląd, to wystarczyło przecież nazwisko.

I jeszcze parę słów o Marychnie. Biedactwo staczało nadal ciężką walkę ze swoją matką oraz rodziną, która z trudem godziła się na jej przyjaźń ze mną. W końcu jednak Marychna postawiła na swoim. Uzyskała dla mnie prawo wstępu o każdej porze do swego domu, a matka jej, mała, sucha, koścista, wykrzywiła na mój widok twarz w coś, co miało oznaczać uśmiech. Poznałam jej kuzynów, którzy nie obudzili we mnie żadnego zainteresowania. Jednego z nich Marychna później poślubić. Naprzeciwko mieszkali państwo Spława-Ney-, z których synami wymienialiśmy przeciągłe spojrzenia, ale któż widział zawierać znajomości na schodach. Jeden z nich miał zostać światowej sławy matematykiem. Poznałam też dziadka Marychny,

53

mającego blisko sto lat, ale trzymającego się rzeško. Marychną wiedząc, jak dalece wielbię poezję romantyczną, poradziła mi pewnego dnia, abym rozpytała dziadka, który znał Słowackiego. „Słowackiego?” To nie mieściło się w głowie. Zapytałam więc kiedyś drżącym nieco ze wzruszenia głosem.

„Słowacki? — odparł staruszek, z pewnym wysiłkiem grzebi w pamięci — A wiem. Znałem. Julian, czy jakoś. Poeta. Cherla Wiersze pisał. Taki jakiś niewydarzony. Z różą w ręce chodził. Mizer i dureń”.

Tyle się dowiedziałam. i Moje skłonności społecznikowskie wyładowały się nieco później w skwapliwym bieganiu w okolice Czerniakowa, gdzie pod egidą PPS powstało coś w rodzaju domu dziecka czy też tylko świetlica dla dzieci robotniczych. Tam już chętnych do pomocy dziewcząt nie pytano o wyznanie czy pochodzenie. Nie bardzo umiałam (i nie umiem) bawić się z dziećmi, ale jakoś sobie radziłam i czułam się pożyteczna. Natomiast wszystkimi blaskami jaśniała tam Halina Endelmanówna, która się w tym dziecińcu poczuła jak w swoim żywiole. Znacznie później przekazała te swoje doświadczenia w ładnej powieści dla młodych.

Tymczasem w szkole powodziło mi się dobrze. Im lepiej, tym bardziej się nudziłam. Z wielu przedmiotów byłam właściwie zwolniona od odpowiadania, ale musiałam słuchać męczącego dźwięku koleżanek przy tablicy. Nauczyłam się z czasem zamykać uszy, tak jak się zamyka oczy, i w czasie lekcji „płynąć” po Morzu Śródziemnym czy Czarnym i marzyć o moich dwóch miłościach. Czas biegł szybciej. Kiedy Niemcy weszli do Warszawy podczas wojny, skończyła się nauka rosyjskiego i znikła moja ulubiona nauczycielka panna Gościewiczówna. Geografię, historię zaczęli nauczyciele wykładać po polsku, no i lekcje literatury, w której celowałam, nabrały dodatkowej wagi.

Ale wojna się wlokła, a z nią niedożywienie. Toteż matka moja uściskała gorąco Marychnę, gdy ta wyjednała mi zaproszenie na wakacje do majątku swoich wujostwa, hrabiostwa Moszczeriskich, gdzieś między Modlinem a Warszawą. I ja byłam szczęśliwa. Nienawidziłam miasta. Wakacje tam spędzone wspominam zawsze z niechęcią i smutkiem. Teraz miałam się znaleźć na wsi, i to prawdziwej, nie na jakimś przedmieściu czy letnisku. We dworze! Te słowa miały dla każdego Polaka specjalny urok. Fakt, że ja, Żydówka, zostałam zaproszona do szlacheckiego dworu, był niebywały. Zresztą państwo

54

Moszczeńscy nie zrobili tego tak całkiem bezinteresownie. Matka ołaciła za mnie, co prawda nie wyobrażam sobie, żeby mogła płacić dużo, ale i tak, z pewnością musiała zrobić znaczny wysiłek finansowy. Dość że pojechałam, i to ku mojej rozkoszy końmi, poprzez przedmieście Wolę.

Wieś była mazowiecka, płaska, nie urozmaicona, dwór brzydki i bez charakteru, ogród nijaki, lasu ani na lekarstwo, ale była to wieś — zboża, łąki, bydło i psy. Owoców nie wolno było zrywać, bo sad Moszczeńscy wydzierżawili, truskawek też nie wolno było tknąć. Ale za to pozwolono hasać po maliniaku.

Mieszkałyśmy z Marychną i jakąś jej kuzynką w oficynie, ale jadałyśmy we dworze. Państwo Moszczeńscy nie byli zbyt sympatyczni. Ona gruba, wiecznie czymś zagniewana, on rośły, siwy, o przekrwionej twarzy, roztargniony, jakby nieobecny. Za to żarcie wspaniałe. Po kartkowych obiadkach warszawskich — zdawało mi się, że wszystko tonie w maśle i śmietanie. Owoców mało, ale mięsa, kartofli, kluch, kasz — w bród. No i okrasy. Pamiętam do dziś, z jaką łapczywością pożerałam wszystko, co miałam na talerzu. Pobyt u państwa Moszczeńskich miły, ale monotony, upamiętnił mi się trzema faktami. Pierwszy to wizyta jakiegoś hrabiego (nazwiska nie pamiętam), zdaje się „lepszego” od Moszczeńskiego, bo cały dom popadł w wielkie podniecenie i obiad był bardziej wystawny niż zwykle. Otóż nie widziałam nigdy dotąd człowieka, który by tak po chamsku zachowywał się przy stole. Siedział rozwalony, mówił z pełną gębą, sięgał często po jedzenie z talerza łapami. Patrzałam i nie wierzyłam własnym oczom. Matka moja zawsze uważała na dobre wychowanie i należyty sposób jedzenia. Nie wiem, czy u owego pana była to nieświadomość obyczajów towarzyskich, czy raczej chęć okazania lekceważenia szlachciu-rom-gospodarzom, którzy ośmielali się podawać za hrabiów. W każdym razie umknęłam zaraz po obiedzie, nie mając najmniejszej ochoty uczestniczyć w rozmowie. Powieści z „życia wyższych sfer towarzyskich” raz na zawsze utraciły dla mnie urok.

Drugim faktem zdumiewającym była propozycja państwa Moszczeńskich, aby mnie zaadoptować. Nie mam pojęcia, co się im we mnie spodobało, bo nie zwracali na mnie właściwie żadnej uwagi i kontakt z nimi był znikomy. Ale wysłali Marychnę, by wybadala, jak zareaguję na podobną ofertę. Ta, czerwona i uszczęśliwiona (stałabym się jej kuzynką), jękając się, powtórzyła mi, co uradzili. Czyżby nie wiedziała,

55

co odpowiem? Nie byłam w stanie nic odpowiedzieć, pokładałam się w śmiechu. Pomysł wyrzeczenia się ukochanej matki wydawał mi się w pierwszej sekundzie oburzający, ale już w następnej — komiczny. Marychna ze zwieszoną głową poszła z powrotem do dworu opowiedzieć o mojej reakcji, ale państwo Moszczeńscy nie zrezygnowali. Moja odmowa wydała się im nieprawdopodobna, nie mogła się im pomieścić w głowie. Biedna Marychna musiała krążyć od nich do mnie i z po-wrotem kilkakrotnie i w ciągu wielu dni, przedstawiając mi ich argumenty: jakże korzystna zmiana nazwiska i zatarcie śladów pochodzenia żydowskiego, bezdżietność starych państwa i nadzieja odziedziczenia majątku, no i tak dalej. Wszystko to wydawało mi się groteskowe, miałam tylko jedną odpowiedź: „Nie”. Dziwne, że państwo Moszczeńscy ani razu nie spróbowali nawiązać w tej sprawie bezpośredniego kontaktu ze mną. Ale to poniekąd ułatwiało sytuację. Po mojej ostatecznej odmowie przestało się na ten temat mówić i stosunki między mną a nimi jeszcze bardziej ochłodziły. Chodziłam na posiłki jak do restauracji — i tyle.

Trzecią sprawą, która mnie podówczas wzburzyła, był stan ducha mojej przyjaciółki. Marychna poczęła się snuć jakaś nieswoja i smutna, słyszałam, że płakała nocami. Nie opierała się długo moim pytaniom. Wkrótce mi wszystko wyznała. Oto była zakochana, śmiertelnie zakochana w swoim krwistym wuju, który ją zwabiał w maliny i tam obmacywał. Czy zaszło między nimi coś więcej, nie sędzę, ale i tak sprawy posunęły się daleko. Tak daleko, że ciocia Moszczeńska zobaczywszy, co się święci, wypędziła Marychnę z domu. Nie

skorzystałam z propozycji pozostania, jak zawsze solidarna z przyjaciółką i rozpaczająca w duchu nad jej nieszczęśliwą miłością. W dodatku romans z wujem wydawał mi się czymś przerażającym. Sądziłam, że Marychna ma życie zmarnowane na zawsze. Na szczęście jednak okazała się dość zapominalska i kochliwa jednocześnie.

Ale pozostała wierna rodzinie, bo miejsce wuja zajął wkrótce jeden z kuzynów, za którego w parę lat później wyszła za mąż.

W owym czasie jednak nie byłabym zdolna żartować na ten temat. Moje wychowanie seksualne, dość śmiałe jak na owe czasy, było jednak bardzo niekompletne. Wszystko, co wychodziło poza normę, wydawało mi się potworne. Nie było mowy o tym, abym przyjęła dziwną propozycję adopcji od państwa Moszczeńskich, a już po tym, co mi opowiedziała Marychna, stali mi się po prostu wstrętowi.

56

On sam — obleśny, ale ona, wypędzająca z domu własną kuzynkę jak „jraś wszetecznicę” (to była ówczesna nomenklatura), podczas gdy markata miała kilkanaście lat, a miły wujaszek po pięćdziesiątce! Coś takiego, jak to, że wuj pożałował siostrzenicy, nie mieściło mi się w głowie. Matka moja, z jednej strony dość swobodna: żyła przecież bez ślubu dłuższy czas, jednocześnie wychowała mnie raczej po purytańsku. Pocałować się z mężczyzną można tylko było z miłości, a że ani Leonid, ani Sierioża tego nie zrobili, a na żadną inną miłość z mojej strony się nie zanosilo, więc przeżyłam nie pocałowana, choć otoczona chłopcami, prawie do dwudziestki.

Ale też i chłopcy byli wówczas powściągliwi: bez wyraźnej zachęty ze strony dziewczyny nie odważyliby się jej uściskać. Poza tym matka mocno wbiła mi w głowę, że mężczyzna nie kochający lekceważy dziewczynę, jeżeli ta mu się odda. Takie przekonanie oraz widmo chorób wenerycznych pilnie strzegło mojej cnoty. Do tego purytańskiego reżimu należały i sprawy związane z alkoholem. Można było na przyjęciu wypić kieliszek wódki (tylko mężczyźni), ale upić się — to był nie tylko wstyd, ale i hańba. Zdziwią się współcześni, kiedy powiem, że już sporo po dwudziestce nie widziałam ani razu człowieka naprawdę pijanego. Nie tylko w czterech ścianach, ale nawet na ulicy. Co prawda policja bezlitośnie uprzątała pijaków, a poza tym mieszkalam w eleganckiej dzielnicy, na rogu Kruczej i Alej Jerozolimskich. Na przedmieścia zapuszczałam się rzadko. Byłam, przy całym socjalizmie, grzeczną, mieszczańską panienką. Socjaliści czy nie, wszyscy inteligenci czy też burżuazja — trzymali się obyczajowości wiktoriańskiej. Z tym, że ówczesni socjaliści bardziej jeszcze byli purytańscy od mieszczan. Ci ostatni mieli swoje ukryte grzeszki. Kochanki i utrzymanki. Tego inteligencja, żyjąca w dość nielicznej i przeważnie zwartej grupie, bardziej się strzegła. Można było żyć czasem „na wiarę”, jawnie — to wszystko. W środowisku moich rodziców dramat Marychny byłby raczej mało prawdopodobny.

Wróćmy jeszcze raz do moich wujów i ciotek. Działo się im nieszczęśliwie, a czasem wręcz źle podczas tych wojennych lat.

Wielki magazyn maszyn do szycia Juliana Berga (Buberego) przy Senatorskiej chylił się ku upadkowi. Bubery dziecił z wiekiem. Jak

57

wiadomo, nigdy nie błyszczał intelektem, a teraz coraz trudniej było „zajmować się interesami. Wziął tedy zastępcę, Polaka, obrzydliwego typu, który wszystkim się kłaniał z chytrym uśmiechem. Nazywał się Rylski, czy coś w tym guście. Godek po pewnym czasie zorientował się, że Rylski po prostu kradnie. Ale nie było mowy, żeby przekonać o tym Buberego, który zawsze każdemu obcemu bardziej wierzył niż żonie. W końcu z pomocą Nyka, którego Godek zaangażował na parę godzin dziennie jako buchaltera, udało się nadużycia Rylskiego wyk i faceta wypędzić. Ale kapitał firmy był już mocno nadszarpnięty przyszedł kryzys i nagle okazało się, że zawsze dotąd zamożny Go ledwo może związać koniec z końcem. Nie było rady, ona, która nie pracowała zarobkowo, musiała się zająć

sklepem, ale sprzedaż ^ opieszale, zwłaszcza że po wojnie ustał kontakt z wielką firmą niemiecką Pfaffa.

Córka wujostwa — Stefa Osińska — zaraz na początku woj: zaangażowała się jako siostra miłosierdzia (opinię dość swobodny miały te „siostriczki”, a i ona nie stanowiła wyjątku) i, wiedząc o skłonności do któregoś z oficerów niż powołaniem, wycofała z Polski razem z armią rosyjską.

Biedny Godek miał w domu pełnego krety, szwagra Sewery, idiocejącego męża i nienormalną młodszą córkę. Topniejący mająt ^ niepewne jutro, rozczarowanie do starszej córki, a zarazem słuszny ż do zięcia Osińskiego, który był winny — jej zdaniem — degrengolad ^ córki — wszystko to sprawiało, że los tej najlepszej w świecie kobiety był żalony. Ale gdybyż na tym kończyły się jej utrapienia. To był dopiero początek.

Chwila ulgi nastąpiła, kiedy znalazł się ktoś, kto zechciał poślubić młodszą, dorosłą już córkę. Nela, jak pisałam, była niedorozwinięta w dość osobliwy sposób, bo przepadała za książkami, ale nie była w stanie się uczyć. Bardzo ładna, przypominała, wypisz-wymaluj, młodą żebraczkę z obrazu Król Kofetus Edwarda Burne-Jonesa. Miała równie puste spojrzenie i delikatne rysy twarzy. Nela trwała w panieństwie i nie było mowy o tym, aby umiała sobie znaleźć chłopca. Wobec tego zrozpaczony jej przyszłością Godek sam wybrał jej męża (przy pomocy swatki, mój Boże — to się wśród mieszczaństwa praktykowało), niejakiego Weissbluma. I tu stało się tak, jak z pierwszą córką: posag zjedzony, żona odesłana do matki, z tym, że w ciąży. Ów Weissblum nie

58

hvł zdaJ6 s ^ najšorszym człowiekiem, tylko całkowicie narwanym • nieodpowiedzialnym. Nie tyle interesownym, co wariatem. Wszystko, 0 robił, było jakieś dziwaczne i obłąkane. Pieniądzy nie puścił na karty i dziewczynki, jak Osiński, ale na jakieś fałszywe wynalazki i urojone interesy, które miały dać mu fortunę. Tak więc Nela wróciła do domu i urodziła syna. Godek, cały dzień nieobecny, zmuszony był przyjąć niańkę, bo Nela nie potrafiła się zająć dzieckiem. I tutaj dopiero zaczęło się piekło. Niania Olesiowa popierała we wszystkim młodą matkę, która stała się naraz nieznośna i agresywna. Utworzyły zwarty front przeciwko Godkowi. Kiedy wracała ze sklepu, nie tyle zmęczona, co zmaglowana psychicznie (decyzje, jakie należało co pewien czas podejmować, przekraczały jej kompetencje), witała ją awantura ze strony Neli i wrzaski Olesiowej, która wkrótce zawładnęła całym domem. Brudna i rozczochrana, zawiadywała wszystkim, nawet pieniędzmi. Wyrzucała gości, komenderowała, co ma się jeść, kłóciła się z sąsiadami. Bali się jej wszyscy.

Spokojny i elegancki dom Godka stał się jaskinią pełną wrzasków i wymysłów. W dodatku w tym tak wytwornym dotąd mieszkaniu zrobiło się brudno jak w chlewie, wszędzie walały się podejrzane szmaty, nie było kucharki, bo niania wygryzła inne służące. Obraz pełnego upadku. Jediną osobą, której Olesiowa trochę się bała, była moja matka. Łagodna i dobra, miała jakąś siłę wewnętrzną, która musiała promieniować z jej wzroku. Wystarczyło, by groźnie popatrzyła na Olesiową, a baba natychmiast milkła i znikła w kuchni. Do obłąkanie rozwrzeszczanej Neli powiedziała kiedyś złowrogo i z naciskiem, patrząc jej w oczy: „Jeżeli będziesz męczyła matkę, to cię tymi rękami zamorduję”. Nela wybuchnęła płaczem i uciekła. Jakiś czas był spokój, krótki czas. A moja matka nie mogła stale siedzieć u siostry na ulicy Włodzimierskiej.

Tak więc biedny Godek miał męża, który przekroczył dziewięć-dziesiątkę, nic już nie rozumiał, siedział uśmiechnięty w fotelu i żuł. Po domu błąkał się osowiały, coś bełkoczący idiota Seweryn, a na jej spotkanie wyskakiwała rozwrzeszczana córka z mnóstwem pretensji i tuż za nią wiedźma, z wyrafinowanym okrucieństwem dająca poznać Godkowi, że nic w domu nie znaczy i że można ją bezkarnie upokarzać. Godek siadał w jadalnym pokoju przy stole i płakał. Nie umiał dać odporu chamstwu i podłości. W dodatku Nela, raz zaznawszy stosun-

ków z mężczyzną, nie zamierzała z nich rezygnować i, zachęcana przez Olesiową, chodziła po prostu na ulicę szukać przypadkowych kochan. ków. To był jeszcze jeden gwóźdź do krzyża ciotki Zosi, czystej nieskazitelnej, wzorowo cnotliwej, dla której słowo „ulicznica” było jednym ze słów najstraszliwszych.

Na szczęście Nela nie robiła tego dla pieniędzy, z których wartości nie zdawała sobie sprawy, i na szczęście też (ale nie w pojęciu Godka) „załapała” gdzieś strażaka, który odtąd zaczął przychodzić codziennie, karmiony obficie przez Olesiową, pieszczony przez Nelę. I tego intruza nieoczekiwanego władcę w domu musiał Godek znieść. Nie wiadomo, jak długo trwałoby to piekło, ale pewnego dnia rano, wszedłszy do pokoju córki, Godek znalazł ją w łóżku śmiertelnie bladą. Na stoliku leżała kartka: „Umieram, bo mój narzeczony mieszka na Pradze, a ja w Warszawie”. Koło łóżka leżało parę pustych tubek po weronalu. Nela żyła jeszcze dwa dni i umarła. Był to znów straszliwy cios dla ciotki Zosi. Bo po pierwsze wstyd, żeby sobie ktoś w domu odbierał życie, a po drugie, oskarżała siebie w sposób najbardziej bezzasadny, że zawiniła. Kochała Nelę, ale ta dokuczyla jej tak mocno, tyle się przez córkę nacierpiała, że śmierć jej była z pewnością ulgą. Ale nie „taka” śmierć. W pojęciu Godka samobójstwo było hańbą, której ponury cień spadał na całą rodzinę. Nie przestawała robić sobie tysiąca wyrzutów, że nie spostrzegła w porę, że dopuściła. „Odebrała sobie życie” — powtarzała. — „Moja córka odebrała sobie życie”.

Tuż po pogrzebie zabłysło w mieszkaniu po raz pierwszy elektryczne światło, o które Godek starał się już od dawna, a które podłączono właśnie teraz. Godek widział w tym jakiś znak Opatrzności. Olesiową wyła z rozpaczy, ale chyba nie tyle po Neli, co po swoim utraconym królestwie, jako że po pogrzebie Godek zdobył się na bohaterską decyzję — wyrzucił narikę i — co tu dużo mówić — odetchnął. Wkrótce potem umarł Seweryn, ale śmierć jego przeszła niemal nie zauważona, bo był najmniej „jadowity” ze wszystkich. Tak więc Godek uzyskał chwilę „pieriedyszki”, jak mówią Rosjanie, w swoich utrapieniach. Nie na długo zresztą, bo złe chwile miały jeszcze wrócić. Było jej teraz lżej, ale i smutniej. Została sama z głupkiem mężem i z wnukiem. Kim mógł być syn idiotki i wariata? — niepokoiłyśmy się z matką, nie znając teorii genów i kaprysów przyrody. Rysio wyrósł jednak na chłopaka inteligentnego i zdolnego, choć dziwaka. ••=•• V^1:=i!.-;i

Wuj August, brat matki, z którym ongi pokłóciła się o rewolucję, marł w czasie wojny na zapalenie ślepej кишки. Matka zapomniawszy dawne urazy bardzo się tym przejęła. Mnie pozostawiło to obojętną, bo stosunki nasze były dość luźne, a jakakolwiek przyjaźń między mną a jego rozpieszczoną, głupią córką Jadzią nie wywiązała się nigdy. Pamiętam jednakże, jak pewnego dnia zaprosił całą rodzinę na uroczyste zebranie, z racji kupna jakiegoś osobliwego aparatu, o którym się wiedziało z gazet, ale którego się dotąd nie widziało. Tylko tak bogaty człowiek jak wuj August mógł sobie na taki wydatek pozwolić, ku wielkiemu udręczeniu swej żony, która była nie tylko maniaczką, ale i skapiradłem. Zebrała się cała rodzina, z wyjątkiem Nyka, bo nie byli jeszcze z Maminkiem pożeni (a tego, z wyjątkiem poczciwego Godka, nikt nawet wśród najbliższych nie mógł zaakceptować). „Po Feni można się wszystkiego spodziewać” — mówił wuj August, no bo rzeczywiście: więzienie, Syberia, odmowa przyjęcia pomocy od brata ze względów ideologicznych, a prócz tego wspólne mieszkanie z mężczyzną bez ślubu. Maminek nie oburzał się na te fochy, tylko po prostu śmiał się swoim zwyczajem. A że śmiał się prześlicznie swymi perełkowymi ząbkami, więc rozbrajał wszystkich. Nyka wówczas nie zaproszono. Zresztą wcale mu na tym nie zależało,

nie lubił bywać w burżuazyjnych salonach. A salon Augusta był rzeczywiście burżuazyjny: złocenia, kryształ, dywany, w których się tonęło po kostki. Zebrała się tedy cała rodzina, zapadło napięte milczenie i wuj August pokręcił gałką. Najpierw burczało i chrypiało, ale potem odezwał się wyraźny głos: „lei Paris”. Na to cała rodzina zerwała się z miejsc i zalała się łzami. Wszyscy ściskali się płacząc, jak w obliczu cudu. Nic a nic nie przesadzam. Żadnego z późniejszych cudów techniki nie witano tak owacyjnie, jak owo radio. Wuj August nie był szczęśliwy w małżeństwie, ale wuj Albert jeszcze mniej. Wuj Albert, ukochany brat matki, który jej imponował inteligencją, stosunkami, zdolnościami literackimi i chyba również urodą i elegancją, zszedł w jej pojęciu na psy. Nie dlatego, żeby żył w nędzy. Przeciwnie, zostawszy urzędnikiem banku, dzięki zdolnościom awansował szybko i wkrótce został dyrektorem. Miał mieszkanie starannie urządzone dobrze wybranymi antykami, wspaniałą bibliotekę w kilku językach, sporo pieniędzy. Ale to był już cień zaledwie dawnego Alberta. * en przystojny, bardzo ocytany i kulturalny mężczyzna, stworzony na

61 to, aby błyszczeć w kołach intelektualnych, zapadł się niejako i zgaś} osiodłany całkowicie przez prymitywną żonę, której poddał się z ule! głością słabego człowieka.

Ciotka Liza miała dość ładną, typową francuską twarz, z małymi bystrzymi oczkami, wargami zbyt wąskimi, ale o żywym uśmiechu. Głowa ta, nie najgorsza, była osadzona na nieprawdopodobnie zupełnie cielsku: równy kwadrat. Nogi jak stępy, biust co najmniej kolan, szerokie ramiona. Nawet nie wiem, czy była to taka okrój otyłość, czy chłopska czworokątna budowa. Jak mógł wuj kłaść się z do łóżka, było i pozostało dla mnie tajemnicą. Zaczęła od tego, pokłóciła męża ze wszystkimi przyjaciółmi: wyrzuciła za drzwi Reymonta za to, że nie oddał w porę pożyczonego rubla, i tak sobie poczyniała ze wszystkimi, że biedny Albert został zupełnie osamotniony. Pot zabrała się (już z większym dla siebie trudem) do członków rodziny Pławiła się w dobrobycie i dawała wszystkim z rodziny odczuć, że te ona jest bogata.

Te jej tony i miny nie robiły wrażenia na mojej matce, która włąi, biedę uważała za coś naturalnego i niejako przyzwoitego. Natomiast ciocia Zosia bardzo cierpiała nad tą zmianą sytuacji. Ona, która niegdź urządziła mieszkanie i sporządziła wyprawę dla młodej Francuzki, teri nie tylko nie doznała od niej jakiegokolwiek wdzięczności, ale musie słuchać uwag w rodzaju: „Rodzina zawsze patrzy, żeby coś wyłudzi albo: „Jak kto jest biedny, to powinien siedzieć cicho i w ogóle się i odzywać”. Kiedyś ciocia Liza pochwaliła się, że ma całą beczułkę naf, co w owych wojennych czasach było skarbem. Ciocia Zosia, która nig<| nikogo o nic nie prosiła, a kiedy mogła, dawała — tym razem wytrzymała i powiedziała: „Gdybyś mi mogła pożyczyć butelkę, siedzimy po ciemku, postaram się oddać jak najprędzej”. Na co cio. Liza, wierna sobie, odparła: „Z zasady nie daję ani nie pożyczam. Ja kto jest biedny, to sam sobie winien”.

Wyróżniła się tym, że rodzącą (czy roniącą) służącą wyrzuciła na schody, ona, która sama miała przecież nieślubne dziecko. Przychodziła po wuja do banku, a rano odprowadzała go do pracy, aby przypadkiem na chwilę nie znalazł się sam. To ona pobierała jego pensję i wyznaczała mu stosunkowo niewielką sumę na drobne wydatki. Wuj widział, z jakimi trudnościami boryka się moja matka, zwłaszcza odkąd Nyka wzięto do obozu, toteż wtykał mi od czasu do czasu trochę pieniędzy czy dawał jakiś praktyczny prezent, a rozglądając się dookoła, jakby ktoś

62

. * przypominał: „Tylko nic nie mów Lizie, p; JhóglP° , t,, mu syna przyglupa. Urban wdał się ir , ja dodał pamiętaj”. intelektem

-^dorozwinięty i wuj przepychał go przez szkołę V rnatk?, y wysiłkiem, przesiadując z nim do późnej nocy nad a najwi? Iejanl{. Urban był niebrzydki, potulny i zahukany. Matka 2&dany ^.^ używając go do posyłek i różnych usług, a ponadto tt?ca premedytacją, sama obzerając się nieludzko. Kiedyś do nich w czasie pierwszego śniadania, zapewne aby się d^52 &d iec o zdr<?wiL wuja, który chory leżał w łóżku. W jadalni królowała ciotka tiza- Przed JeJ nakryciem stały sery, wędliny, masło, k f tury i dzbanek śmietanki, co na mnie — w owej epoce głodowej — - zrobiło szczególne wrażenie. A tuż obok przed nakryciem syna -^ dwie cieniutkie kromki chleba, posmarowanego przezroczyście rtiasłem i kubek cienkiej herbaty bez mleka. Tak, że nie tylko dla obcych Liza była niegodziwa. Kochała natomiast i poważała męża, bo stanowił źródło dochodów. Była mu wierną żoną, ale też bo i któż by ją chciał!

Ciotka Liza do końca życia nie nauczyła się mówić poprawnie po polsku. Jedyna rzecz, którą naprawdę umiała robić, to haftować. Wuj z kolei ślęczał godzinami kalkując jej różne misterne wzory na płótnie czy jedwabiu, bo i tego nie potrafiła. Całe mieszkanie było zahaftowane do cna: firanki, serwetki, story, obrusy, oparcia na fotelach.

Wuj Albert szukał ucieczki od swego ponurego życia rodzinnego w bibliofilstwie i amatorskim antykwariacie. Poza tym począł, o dziwo, pisać pracę naukową na temat ptasich gniazd. On, biedak, który nigdy

*iie był na wsi, złapał się z rozpaczy nie za co innego, tylko właśnie za ptasie gniazda. Praca ta szła mu opornie (nic dziwnego!), ale mówił c> niej z rozkoszą i namaszczeniem. Entuzjazmu jednak w nikim nie Obudził.

le tylko wuj August umarł wówczas na ślepą kiszkę. Trudno so-yobrazić, ile osób umarło w ten sam sposób. A już tak bliski był . ' * . y chirurgia niemal zupełnie miała unieszkodliwić tę chorobę. °) "enryk, doktor z Łodzi, miał uroczą córeczkę Marychnę. 4 ?PraW(ty cudowne dziecko. Śliczna, miła, w wieku lat pięciu n ' C rac^owała. Rozwijała się wspaniale: mocna, zdrowa, H . °^ . , aJ^ choroba ślepej kiszki i zapalenie otrzewnej, kiedy <aatvch ' ' ł^° Przyszła wtedy depesza od stryja Henryka, żeby ' ^rz^e^dzać, bo dziecko chore. Dlaczego mnie właśnie niani pojęcia. Może dorośli byli zbyt zajęci? Miałam

63

wówczas dziewiętnaście lat. Kiedy przyjechałam, stryj powiedział z martwym spokojem (uwielbiał córkę): „Ona umrze, a ty będziesz musiała zająć się Hanką”. Ciocia Hanka była istotnie w stanie zupełnego wyczerpania, dzień i noc siedziała przy dziecku, które p0 operacji leżało w klinice. Kiedy weszłam do Marychny, mała powitała mnie z uśmiechem: „Boli, ale można wytrzymać”. Siedziałam przy niej całą noc. Nie mogła spać z bólu, więc kazała sobie dyktować zadania z podręcznika i rozwiązywała je w pamięci. Panowała nad sobą z hartem, rzadkim nawet u dorosłego człowieka. Lubiłam ją zawsze, ale w ciągu tej nocy przywiązałam się do niej gorąco. Nie wierzyłam, żeby naprawdę mogło jej grozić niebezpieczeństwo. Kiedy się zmęczyła rozwiązywaniem zadań, poprosiła, aby jej czytać głośno, „bo nie chcę myśleć o bólu”. Rano przyszła ciotka Hanka i stryj, wypoczęci nieco po przespanej nocy (choć nie wiem, czy stryj choć na chwilę zmrzążył powieki). Wyszłam na korytarz i stanęłam przy oknie, aby nieco rozprostować kości po przesiedzanej nocy, i nagle z pokoju chorego dziecka usłyszałam krzyk, najpierw Marychny, a zaraz potem jej matki, krzyk straszny, naprawdę przerażający. Zrozumiałam.

Na osobną uwagę zasługuje moja babka ze strony matki, Balbina Barbanel. Po śmierci dziadka synowie Albert i August oraz ciocia Zosia składali się co miesiąc na to, żeby babka mogła przebywać w eleganckim pensjonacie, na rogu Brackiej i Alej Jerozolimskich. Wiodła tam dni spokojne, a co więcej zawładnęła całym pensjonatem, właścicielką i gośćmi. Była wysoka, elegancka, majestatyczna i miała niedobry może, ale wyjątkowo silny charakter. Nawet na starość była jeszcze piękna: „belfamista”, jak to się wówczas mówiło, tęga, mocno

ściśnięta gorsetem, wyniosła, o fryzowanej żelazkiem grzywce, krótkim, trochę kartoflowatym nosku, nieco za wąskich wargach, bardzo spadzistych ramionach. Przy stole jadalnym ona nadawała ton rozmowie, ona „zadawała szyku”, z jej zdaniem się liczone i nawet bano się jej trochę. Umiała sobie zdobyć autorytet. Nie było mowy o jej żydostwie, figurowała jako pani Barnabelli o włoskim pochodzeniu. Zachowywała się jak wielka dama i taka była: wyniosła, nieco wzdurliwa, bardzo uprzejma, towarzyska, ale nie dopuszczająca do poufałości. Skąd si? w niej wzięły te tony wielkiej damy? Czy zawsze je miała, czy dopiero na starość? Dlaczego, owdowiawszy, wyrzekła się swego przepięknie urządzonego mieszkania i podzieliła antyki między dzieci? Bała si? widocznie samotności, wołała królować w pensjonacie.

64

Kochała i szanowała synów, bo osiągnęli sukces życiowy i materialny, i kceważyła ciocię Zosię — za jej miękkość i przesadną dobroć. (Mądrość serca, którą miał Godek, była jej obca). Matkę swoją szanowała bo była jedyną osobą w rodzinie, która ośmieliła się jej stawić opór. Babka, która nie poszła pożegnać córki, kiedy ta wyjeżdżała na Syberię, teraz, u schyłku życia, witała ją mile, co było tym dziwniejsze, że w jej pojęciu ta córka zmarnowała sobie życie, a w każdym razie nie osiągnęła żadnego sukcesu. I matka moja, która w młodości nienawidziła swojej matki, u schyłku jej życia dość nagle i gwałtownie się do niej przywiązała. Babka pogardzała wnukami. I puszczając się Osińską, i niedorozwiniętą Nelą, i niezdarną Jadzią, i głupkowskim Urbanem. Jedyną chyba osobą, którą na starość naprawdę kochała, byłam ja. Mnie też jednej zapisała wszystko, co miała, czyli całą biżuterię. Nie bałam się jej ani trochę (w przeciwieństwie do reszty rodziny, z synami włącznie). Kochałam ją bardzo, jedyna chyba spośród całej rodziny. I nic dziwnego, każda wizyta u niej była dla mnie przyjemnością. Kiedy przychodziłam, posyłała natychmiast po ciastka i lody. Nauczyła mnie haftować, szydełkować i robić na drutach, pokazała, jak zrobić manicure, przy czym ofiarowała mi przyrządy, z których kilka zachowałam przez wiele lat. Pojęcie manicure wówczas bynajmniej nie było powszechne, większości kobiet wystarczały zwykłe nożyczki. Ale babcia była elegantką.

Dlaczego mnie właśnie kochała? Byłam może mądrzejsza od innych jej wnuków i zapewne widziała we mnie uosobienie jakiegoś przyszłego sukcesu, prawdopodobnie bogatego i świetnego małżeństwa. Nie dożyła tego jednak, umarła przed końcem wojny. Śmierć babki była dla mnie dotkliwym przeżyciem. Ja weszłam wówczas właśnie na drogę, która by ją przejęła przerażeniem: „na drogę komunizmu”. Zamiast eleganckiej panny na wydaniu, jak się tego spodziewała babka, przedzierzgnęłam się w działaczkę. Gdyby babka to widziała, może by mnie ominęły jej brylanty. Zostało mi po babci jeszcze parę antycznych mebli, które jednak w czasie drugiej wojny przepadły.

Ostatnie przed maturą wakacje spędziłam z inną przyjaciółką, piękną Glocerówną, Żydówką, której jakiś krewny, stary kawaler, miał niewielki maJątek. To było bardzo rzadkie wśród Żydów. Pamiętam, że ubierał się

" Wyznania...

65

jak chłop: buty z cholewami, wyleniała kurtka, robocza czapka, mocno naciśnięta na oczy. Po polsku mówił osobliwie: z chłopska i z żydowska zarazem. Nie słyszałam, by miał jakiegokolwiek stosunki z okolicznymi dworami, ale chłopci, jak się zdaje, uważali go za swego. Był to zawołany gospodarz i całe dnie od świtu do nocy spędzał poza domem, na polu w stajni czy w oborze. Nami nie interesował się zupełnie. Z wakacji tej pamiętam niewiele. Tyle, że miałyśmy zwyczaj latać nago po ogródku kiedy była ulewa, a nocami budził mnie przyciszony, rozpaczliwy pł! Haliny. Kochała się nieszczęśliwie w jednym z przyjaciół Nyka, bundowcu, Wiktorze Alterze. Był to mężczyzna rzadkiej urody, podobny do Gregory Pecka, żonaty z rodowitą jasnowłosą Belgijką. Nadzieje na rozwód mniej niż nikłe, toteż miłość Haliny była

beznadziejna i choć nie pokazywała po sobie niczego za dnia, nocami szlochała w poduszkę. Ta miła, dobra i urodziwa dziewczyna, o nieco surowym, jak z rzeźby greckiej zapożyczonym profilu, nie miała szczęścia w miłości, choć nie brakło jej powodzenia. Wyszła potem za mąż, nie była szczęśliwa, rozwiodła się, miała syna, którego kochała, ale który jej odpłacał obojętnością. Po studiach straciłam ją z oczu. Spotkałyśmy się niespodziewanie 40 lat później, w Lugano, na koncercie Artura Rubin-steina. Padłyśmy sobie w objęcia — co się rzadko zdarza byłym koleżankom — i spędziłyśmy razem kilka godzin, jakbyśmy się nigdy nie rozstawały. Referowałyśmy sobie owych kilkadziesiąt lat życia, które tego wieczora wydawały się nam zupełnie nierealnym epizodem, tak, jakbyśmy sobie opowiadały sny. W lutym 1917 wybuchła rewolucja w Rosji. Nie byliśmy zbyt dobrze poinformowani, jak i co, ale wrażenie było ogromne. Kolos, zdawałoby się jeszcze na długo niewzruszony, zachybotał się i upadł. Zakotłowało się w sferach socjalistycznych. Ogarnęła wszystkich wielka nadzieja na budowanie nowego świata i to już natychmiast, niezwłocznie. Dotąd zawsze się zdawało, że rewolucja to sprawa odległa, nie na ówczesne pokolenie. Socjalistyczne partie wzmożyły swoją działalność. W naszym mieszkaniu odbywały się spotkania działaczy Bundu i PPS-Lewicy. Poznałam wówczas blisko przywódców PPS-Lewicy, których dotąd znałam tylko pobieżnie. Zafascynowała mnie szczególnie jedna postać: Marii Koszut-

66

l/ej pseudonim „Kostrzewa” albo „Wera”. Była to kobieta niezwykle 'ekna, o subtelnej, niemal przejrzyściej twarzyczce i głosie tak czarującym tak melodyjnym, że urzekał nawet z daleka. Podczas zebrań, zza ^niętych drzwi lubiłam słuchać tego jej niepowtarzalnego głosiku, a wet kiedy nie dochodziły mnie słowa. Była samym wdziękiem, łagodnością, urokiem, a jednocześnie —jak twierdził Nyk — najtęższą głową w PPS-Lewicy. Mężem jej był inżynier Cichocki, przystojny blondyn, ale o niczym nie wyróżniającej się osobowości. Dziwiło mnie zawsze, jak taka kobieta jak Wera mogła go pokochać. Nie istniał po prostu przy niej. Pochodziła z zamożnej ziemiańskiej rodziny. Rzuciła wszystko, krewnych i dobrobyt, żeby poświęcić się „Idei”. Ubrana była zawsze jednakowo, w długiej do ziemi spódnicy, przeważnie ubłoconej od dołu, i w jakiejś tam bluzczynie. Zupełna abnegatka. Zaszłam do niej kiedyś posłana przez Nyka, aby przekazać jakąś partyjną wiadomość. Znalazłam ją w nędznym, ciemnym pokoiku, leżącą na łóżku, ze sznurowanymi bucikami wysuniętymi daleko na pościel. Buciki miała eleganckie, z dobrego sklepu, to był jedyny jej luksus.

Zostawszy z nią samą, poddałam się natychmiast jej zniewalającemu urokowi. Nie pamiętam, o czym mówiłyśmy, pamiętam tylko, że wyszłam od niej niemal zakochana. Spotkałam ją w życiu niewiele razy, ale utrwaliła mi się na stałe w pamięci. Później została aresztowana przez władze polskie i wymieniona z Sowietami na jakichś Polaków uwięzionych w Rosji. Jestem pewna, że jechała z ciężkim sercem, ale z nadzieją, że i tam się przyda rewolucji. Jednak bardzo szybko musiała zrezygnować z czołowej pozycji w ruchu robotniczym, została przesunięta na boczny tor, w końcu, aresztowana, umarła w więzieniu stalinowskim. „Zrehabilitowano” ją po XX Zjeździe i odtąd jej portret figurował na ulicach w czasie pochodów pierwszomajowych, jak na urągowisko.

Drugą fascynującą postacią, należącą do Komitetu Centralnego PPS-Lewicy, był Wacław Wróblewski, zwany „Wackiem”. Wysoki, bardzo chudy, o końskiej, brzydkiej, ale frapującej twarzy, z czerwonym nosem, lecz niezwykle elegancki i wytworny, jękający się z wdziękiem, n'epospolicie dowcipny. Jego powiedzonka krążyły wśród ówczesnej inteligencji, bo Wacek nie ograniczał się do towarzyszy, miał rozległe stosunki w Warszawie. Nałkowska naszkicowała jego portret w po-wieści zatytułowanej Książę. Mówiono potem, że to portret jej męża, Jura-Gorzechowskiego, ale sama Nałkowska powiedziała mi, że za Prototyp posłużył jej właśnie Wróblewski.* Był synem znanego dyrek-

tora równie znanego gimnazjum męskiego i ojciec bolał, że zadaje się z ekstremistami i że postawił na tę kartę całe swoje życie. działaczem całkowicie oddanym partii, ale w towarzyszach budziły pewną nieufność jego elegancja, poczucie humoru i jadowity język. Nje byli pewni, czy można go traktować poważnie. A przecież był Wacek najpoważniejszym i najofiarniejszym człowiekiem w świecie. I on się wyrzekł zamożności, salonów, intelektualnej rozmowy, aby latać z dziel-nicy do dzielnicy, użerać się na tematy ideologiczne, nierzadko z głup. cami i w końcu trafić do więzienia. Potem, podobnie jak Wera, by) wymieniony z Rosjanami. Zmarł, jak mi opowiadano, na sali sądowej w Rosji sowieckiej na zawał serca, kiedy mu „dowiedziano” czarno na białym, że jest wrogiem proletariatu. Inni mówili, że zmarł w łagrze. W każdym razie skończył tragicznie, jak wszyscy niemal polscy komuniści, którzy nie byli sowieckimi agentami. W dodatku, jak mi powiadano, Wacek kochał się całe życie nieszczęśliwie we własnej żonie, którą poślubił „fikcyjnie”, aby jej umożliwić wyjazd za granicę, i ta nie odwzajemniona miłość była krzyżem jego życia. Kiedy opublikowałam, jeszcze w Polsce, wspomnienie o Wróblewskim, odezwała się w druku ta właśnie jego żona, protestując przeciwko memu twierdzeniu i zapewniając, że małżeństwo ich było niezwykle udane. Nie wiem oczywiście dokładnie, jak tam było między nimi naprawdę, powtarzam tylko to, co mówiono i u nas w domu, i wśród członków PPS -Lewicy w owym czasie, tzn. tuż po pierwszej wojnie. Jeżeli Wacek był szczęśliwy w małżeństwie, tym lepiej, ale tej historii o jego złamanym sercu nie wymyśliłam. Skazania, a potem „rehabilitacje” za nie popełnione winy ideowych działaczy były wynikiem cynicznej bolszewickiej polityki. „Ręce za lud walczące sam lud poobcina...” Nie lud — tylko dyktatorzy. W jakimś sensie śmierć Wery jest mniej tragiczna niż śmierć Wacka. Wera była fanatyczką, poświęciła się bez reszty i zginęła jak męczennica. Kanonizowana pośmiertnie. Można w tym widzieć jakąś metafizyczną logikę. Wacek natomiast nie miał w sobie materiału ani na ofiarnika, ani na męczennika. Ze swoją inteligencją, sceptycyzmem, ironią i wrodzonym epikureizmem, był typem intelektualisty, umiejącym myśleć i analizować. Trudno mi zrozumieć, co go skierowało na drogę walki i męczeństwa. Szlachcic-pokutnik, „kajuszczijisia dworianin” — to by chyba najbardziej do niego pasowało. Uważał się za powołanego do pokutowania za nie swoje grzechy, za grzechy kasty, do której należał. Ale jego związki ze szlachtą były znacznie dalsze niż na przykład Wery.

68

Tych dwoje i jeszcze paru, mniej wyrazistych, skłoniło mnie do hliżenia się do PPS-Lewicy. Właściwie nie miałam innego wyboru.

I jwazałam się za socjalistkę i chciałam koniecznie i natychmiast zmienić 'wiat- Do Bundu, ku zmartwieniu Nyka, nie mogłam i nie chciałam przystąpić- Nie znałam języka jidysz, nic mnie nie łączyło ze społecznością i kulturą żydowską. Obracałam się przeważnie wśród „rdzennych” Polaków albo wśród Żydów, którzy jak ja byli z obyczaju, kultury, wykształcenia, nawet i tradycji, Polakami. Nyk, którego považalam za prawość charakteru, małowmny aż do przesady, ponury z usposobienia, był mi też — mimo tak bliskiego współżycia — obcy. Kochał moją matkę z pewnością, ale istniała między nimi obcość kulturowa, która z biegiem czasu miała się pogłębiać.

Przynależność partyjna nie pociągała wówczas za sobą posiadania jakiegokolwiek legitymacji czy załatwienia jakichkolwiek innych formalności. Po prostu Komitet Centralny przydzielał chętnego do tej czy innej „dzielnicy”. Moją „dzielnicą” miała być Ochota, ciasne mieszkanko robotnicze przy ulicy Tarczyńskiej, która wówczas znajdowała się na głuchym przedmieściu. Droga na ten „koniec świata” nie była wieczorami oświetlona i bezpieczna, zwłaszcza dla dziewczyny. Więc chodziłam tam razem z towarzyszem Furmanem *, młodym człowiekiem, studentem, bardzo surowym i rzeczowym, który nigdy nie pozwolił sobie w stosunku do mnie

na jakikolwiek niewłaściwy gest czy słowo. Rozmawialiśmy wyłącznie na tematy poważne. Swoje funkcje również traktowaliśmy z przesadną powagą.

„Dzielnica” składała się z dziesięciu, piętnastu robotników i nas dwojga inteligentów. Wygłaszaliśmy tam na zmianę odczyty, na zasadzie streszczania przeczytanych książek czy broszur, oczywiście nade wszystko ideologicznych. Byłam dumna i szczęśliwa, że oto stykam się z „prawdziwymi” robotnikami (zresztą niezwykle sympatycznymi), że si? narażam, że są tacy, którzy słuchają moich słów z podziwem i niemal nabożeństwem. Ale z tego zachwytu otrzeźwiły mnie słowa jednego

2 młodych robotników: „Wy inteligenci przychodzicie do nas i traktujecie nas niby równych. A na przykład wy, towarzyszek Joasiu, czybyście wyszła za mąż za któregoś z nas? Nie, z góry wam to mówię, że nie- Takie mądre, ładne i umyte, to nie dla takich jak my”.

Milczałam. Różnice kulturowe między ówczesnym robotnikiem a inteligentem były tak wielkie, że nawet trudno było sobie wyobrazić, aby te dwie tak różne istoty połączyć.

Poczułam między sobą a nim to,

69

co — sama nie rozumiejąc dobrze tych słów — nazywałam w swok referatach „przepaścią klasową”. Mit o proletariatusz był piękny, ale ży[^] proletariusz był niedożywiony, prostacki, prymitywny, nieoczytany, n;[;] umiejący mówić poprawnie.

Chodziłam też do Klubu im. Tadeusza Rechniewskiego (nazwanego od nazwiska zmarłego zasłużonego działacza robotniczego). Rj mieścił się na pierwszym piętrze starej kamienicy przy ul. Świętokrzyskiej, naprzeciwko ślicznej, zadrzewionej ulicy Włodzimierskiej (późnią Czackiego), która wychodziła na ogród. Ulica Świętokrzyska była raczej wąska, brzydka, ale pełna charakteru, bo przy niej mieściła si? większość warszawskich antykwariatów. Było więc co oglądać w każdej witrynie.

W pewnym momencie wyznaczono mi w Klubie osobliwą funkcję. Oto siadywałam w określone dni przy biurku i przyjmowałam delegacje chłopskie, które pytały mnie, co robić, jak wybuchnie w Polsce rewolucja. Odpowiadałam stereotypowymi zdaniami w rodzaju:

„podzielić ziemię między chłopów” itp. Skończyłam wtedy dziewiętnaście lat, „liznęłam” trochę Marksa, ale nie miałam najmniejszych kompetencji, żeby komukolwiek udzielać jakichkolwiek rad. Powstawały wtedy w Polsce słabiutki rady robotniczo-chłopskie, ale tak Bogiem a prawdą, co ja miałam, mimo najlepszych chęci, wspólnego z tym ruchem?

Zbrzydziła mnie w końcu własna głupota, nieuctwo i brak znajomości rzeczy, bo kiedy chłopci zaczęli kręcić czapki w rękach i zadawać mi bardziej precyzyjne pytania, nie wiedziałam absolutnie, co odpowiedzie[^] Powiedziałam tedy Wackowi Wróblewskiemu, że nie zamierzam głupiać się dłużej, a on mi przyznał rację i poradził Janowi Hempł (temu samemu, którego opisał pięknie Broniewski w wierszu pt. mowa z Janem), aby mnie jakoś inaczej zatrudnił. Hempel zaproponow mi pisanie recenzji teatralnych do „Głosu Robotniczego”, który redagował, i ta praca dużo bardziej mi odpowiadała. * „Głos Robotniczy” wkrótce przestał wychodzić, ale odtąd zaczęła się moja recenzencka „kariera”, która miała trwać wiele lat, nawet jeszcze i po drugiej wojnie.

W Klubie im. Rechniewskiego bywało dużo młodzieży, przeważnie chłopców, ale była to młodzież dość osobliwa: zniszczona przez wojenną nędzę, zamorzona, blada, chuda, małego wzrostu. Nie było wśród tych chłopaków, którzy mieli zwyczaj odprowadzać mnie stadem do domu, ani jednego, który by mnie pociągał fizycznie albo intelektualnie. Nie było dosłownie ani jednej wybijającej się osobowości. Pochodzili ofli rzadko z robotniczych rodzin, przeważnie z drobnomieszczaństwa. Nie

70

fie powiedzieć, czemu tacy byli. Jak się później okazało, wśród tej P^o ~\ gromady znajdował się też wychowanek Jana Hempła, Bolesław sza t __ któż mógł wówczas przewidzieć jego dalsze losy? W porów-ju z nimi zaprzyjaźniony ze mną student Stefan Warszawski 11 różniał

się inteligencją. Ale on do Klubu im. Rechniewskiego nie chodził- To była PPS-Lewica, on zaś dążąc w ślady swego wuja Warskiego był bliski SDKPiL. Ta młodzież, którą spotykałam w Klubie po jego zamknięciu rozproszyła się zupełnie. Nie spotkałam nikogo z nich w ciągu reszty mego życia. Z wyjątkiem może jakiegoś mężczyzny, który w latach pięćdziesiątych, kiedy podpisywałam swoje książki na kiermaszu w Alejach Ujazdowskich, wykrzyknął „towarzyszka Joasia!”, ale zaraz skrył go tłum i dotąd nie wiem, kto to był.

Cały ten okres, który przeżywałam bardzo intensywnie, bardzo gwałtownie, bardzo niejako osobiście, niemal zupełnie zatarł mi się w pamięci, może właśnie dlatego, że żyłam jak w gorączce. Może też i dlatego, że czasy te były (dla mnie) nade wszystko wypełnione gadaniem, a słowa rozwiewają się jak dym. Mąciło się w głowie od sprzecznych informacji przychodzących z Rosji. Z jednej strony rady robotnicze i chłopskie, futurystyczne plakaty na murach Kremla, burzliwe i tak odmienne od tego, co się pisało, wiersze Majakowskiego. Z drugiej strony rozstrzeliwanie ludzi za to, że nie mieli spracowanych rąk, drogi wybrukowane książkami z rozwalonych dworów, potoki krwi, wojna domowa i przeokropne słowo „Czeka”. Jak miałam rozeznaczyć się w tym wszystkim? Dyskusje, którym nie było końca, toczyły się nie tylko wśród znajomych i kolegów, ale w domu. I to ostre. Moje stosunki z Marychną ochłodziły znacznie, bo była całkowicie wroga rewolucji. Jej rodzina, ziemianie z kresów, wracali przerażeni, zrujnowani. Mnie losy państwa Moszczeńskich w różnych wydaniach mało obchodziły.

Pamiętam jeszcze, że ja i Purman zostaliśmy z PPS-Lewicy wydelegowani na zjazd, który odbył się w Łodzi. Jechałam w zimny dzień, w nie ogrzewanym przedziale 3 klasy z paroma innymi delegatami — robotnikami.

Po czym się wówczas poznawało robotnika? Nie było to trudne. " spadku po przeszłości każda klasa czy warstwa społeczna miała swój mundur. Było to jaskrawe zwłaszcza przed wojną 1914—18, ale 1 Później. Robotnik nosił przeważnie kurtkę, płaską czapkę z daszkiem, ˚uty z cholewami. Robotnice zawijały się w duże wełniane chusty, które

71

w zimne dni zarzucały na głowę. Kiedy było cieplej, chodziły z głowami i na ramiona narzucały jakieś lekkie chusteczki. Niektóre z nici, miały kapelusze, ale kładły je tylko w niedzielę. I te narażały się na drwiny w swoim środowisku. Pamiętam ironiczne określenie: kapelu, szowe panny. Mężczyźni z burżuazji nosili meloniki, coraz rzadziej cylindry, inteligenci używali filcowych kapeluszy, które z czasem rozpowszechniły się i wśród innych klas, przy czym sztywne zrazu miękły coraz bardziej wraz ze zmianami mody.

Pamiętam jeszcze czasy, kiedy artyści nosili długie, czarne peleryny i wiązali na szyi, zamiast krawatów, rodzaj czarnej, miękkiej kokardy, którą zwano „lavalliere”. Osobliwa skłonność do pancerzy sprawiała, że przedstawiciele „wyższych” klas nosili koszule z mocno wykrochmalonymi „gorsami” i jeszcze twardszymi kołnierzykami, o załamanych rogach. Prasowanie tych gorsów i koszul było męką, która przypadła w udziale prasowaczkom, praczkom i służącym. Po jakości nakrochmalenia i wyprasowania poznawało się status społeczny mężczyzny. Po wojnie przyszedł czas na kołnierzyki „wykładane”, ale też twarde, potem „gorsy” zaczęły mięknąć, ale nakrochmalony kołnierzyk, zwłaszcza wieczorem, był obowiązujący. Panowie mieli kilka rodzajów strojów wizytowych: fraki, które po wojnie zaczęły zanikać na rzecz smokingów, tużurek, żakiet ze spodniami w szare paski. Po wojnie tużurek zanikł na rzecz marynarki, ale żakiet, obok smokinga (oczywiście ze sztywną koszulą i kołnierzykiem), obowiązywał wieczorem przez całe niemal dwudziestolecie. Kobiety z „wyższych” sfer nakładały pancerze na całe ciało: wysokie i długie gorsety, które dawały sztuczne wygięcie figurze. Czesły się w żmudne koafury (im dłuższe włosy, tym piękniej) i koniecznie nosiły kapelusze, wielkie i niewygodne. Wyzwolenie w tej dziedzinie dla kobiet przyszło szybciej niż dla mężczyzn, za sprawą panny Chanel. Krótkie włosy, mocno skrócone

suknie, gorset doprowadzony do stanu szczątkowego. Ale kapelusz obowiązywał nadal i mężczyźni męczyli się jeszcze długo.

Drobny szczegół: bielizna przedwojenna była niejako liberalniejsza niż obecnie. Dziś dziewczyna włoży spódniczkę mini, ale jednocześnie rajstopy, jest więc, choć odsłonięta, szczelnie zakryta. Dawniej kobieta kładła na siebie mnóstwo niepotrzebnych halek i staników, ale majtki składały się z dwóch części, zszytych w pasie, rozsuwanych na dole. Gdy suknie zaczęły się skracać, majtki coraz bardziej się uszczelniały. Poczęły też zanikać szpilki, agrafki, a z czasem też zatrzaski i haftki, bez których

72 :

iej kobieta nie mogła się obejść. Tak więc różnice strojów, owiązującego „protokołu ubraniowego” podkreślały bardzo dobit-

I • różnice klasowe. Fakt, że Piłsudski przywdział do munduru czapkę

II • ciejówkę, był wyrazem jego demokratyzmu i, choć dziś może się to zdać śmieszne, objawem niemałej -odwagi cywilnej. Chłopsko-robot-'cza maciejówka dostąpiła zaszczytu zdobienia generała albo raczej, jak go nazywano — komendanta.

jechałam tedy z towarzyszami-robotnikami, ubranymi tak jak przystało robotnikom w owych czasach, dopóki konfekcja nie zrównała ludzi bodaj zewnątrz. Ja, jako inteligentka, miałam jednak kapelusik — mimo moich socjalistycznych poglądów nie włożyłabym chustki.

Towarzysze, choć dotąd mi nieznan, zachowali się wobec mnie nadzwyczaj mile. Otulili mnie swymi kurtkami, bo się trzęsłam z zimna w biedniut-kim (ale inteligentkim) paletku, i kiedy się wzdragałam, mówiąc, że im będzie zimno — zapewniali, że to nic, że są przyzwyczajeni. Stykając się z moimi sympatycznymi analfabetami i półanalfabetami z Ochoty, zdumiałam się widząc, jak dwóch starszych towarzyszy wyciągnęło gazety francuskie i zaczęło czytać. Byli zapewne reemigrantami z Francji, może górnikami. Nie znaliśmy nawzajem swoich nazwisk, zasady konspiracji obowiązywały nadal, nazywali mnie po prostu towarzyszką Joasią. Mimo przyjacielskich kurtek dygocząca wciąż z zimna, poszłam po przyjeździe do Łodzi do stryja Henryka, chirurga, i jego ślicznej żony. Przyjęli mnie nadzwyczaj mile, ale widziałam, że nie zachwyca ich moja polityczna orientacja. Wyrazili pewne wątpliwości, ale ja ucięłam rozmowę na ten temat. Byłam bardzo pewna swego.

Nazajutrz poszłam na zjazd. Odbывał się, jeżeli mnie pamięć nie myli, w jakimś prywatnym mieszkaniu. Pamiętam z niego niewiele: tłum ludzi w dwóch dużych pokojach, długie przemówienia, potem głosowanie i Międzynarodówka. Co było tematem obrad zjazdu? Wydaje mi się, że problemy związane z przygotowywanym połączeniem z SDKPiL, ale szczegółów nie skleję. Ponadto, co dziwne, po tym zjeździe w mojej Pamięci zatrzaskuje się niejako wieko skrzyni. Nie przypominam sobie, jak wyglądała moja dalsza działalność, nawet nie pamiętam, że bym dalej chodziła na Ochotę. Ciemność zupełna. Klub im. Rechniewskiego też rozwiął mi się w pamięci, znikli z niej starsi towarzysze, których tak bardzo lubiłam. Mam wrażenie, że z jakichś niejasnych dziś powodów działalność polityczna przestała mnie interesować, coś mnie od niej oddepchnęło. Możliwe, że było to związane z faktycznym zdominowa-

73

niem PPS-Lewicy przez esdeków, szczerze niecierpiących w naszym domu. Może też dlatego, że stała się rzecz wstrząsająca, niebywała 11 listopada 1918 skończyła się wojna i „wybuchła” Polska.

Stało się coś, na co pokolenia czekały przez sto pięćdziesiąt lat, coś, co było opiewane stokrotnie w najpiękniejszych wierszach, co naprawdę wstrząsnęło duszą każdego Polaka, zwłaszcza inteligenta przepojonego literaturą. Zjednoczyły się zabory, powstało państwo i oto pewnego dnia, stojąc w tłumie ludzi w Alejach Ujazdowskich, płakałam % szczęścia wraz z innymi, patrząc na przejeżdżające wojsko polskie, na przejeżdżający rząd polski, na to

wszystko, co się spełniło, ziściło Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański stali niejako z nami w tłumie i płakał, ze szczęścia razem z nami. Ten głośny szloch całej ulicy, to było coś niezapomnianego, niezapomnianie prawdziwego. Nastąpił czas publicznego szczęścia. Przejawiło się ono w gejzerze nagle i wspaniale wybuchłej poezji, w swobodzie prasy i nie skrępowanej niczym publicznej dyskusji, Niestety, bardzo prędko potem stał się znów aktualny nieśmiertelny czterowiersz Słowackiego:

Szli krzycząc: „Polska! Polska!” — wtem jednego razu Chcąc krzyżeć, zapomnieli na ustach wyrazu [...] Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka, Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka?”

Wiosną, przed maturą, wracając wraz z Furmanem z zebrania „na dzielnicę”, potknęłam się i skręciłam nad wyraz boleśnie nogę. Dowlokłam się z trudem do domu, a wezwany lekarz stwierdził zerwanie ścięgien i wysięk. Założył gips na dwa miesiące. Byłam unieruchomiona, i to tuż przed egzaminami. Klęska zawisła na włosku. Lubiono mnie w klasie, więc koleżanki zmieniały się kolejno przy moim łóżku, odrabiając wraz ze mną zadane lekcje. Ale byłam nieuleczalnie słaba w matematyce. Wtedy w mój świat wszedł młody chłopak, Stefan Warszawski, któremu omal nie zniszczyłam życia. W ciągu kilku lat miałam się z nim widywać niemal codziennie. Jego losy były w jakimś sensie typowe i dlatego o nich pokrótce opowiem.

Mieszkaliśmy wówczas przy ulicy Kruczej, drugi dom od rogu Alej Jerozolimskich. * Kamienica była okazała, z końca XIX wieku, żarnie-
74

kana od frontu przez ludzi bogatych. Ale myśmy mieszkali w oficynie, podwórku ciemnym i głuchym jak studnia. Schody były kręte i tak stawione, że w środku był też rodzaj studni, rzekomo miejsce na przyszłą windę?, której jednak nigdy kamienicznik nie założył. Wchodziło się więc kretą w górę, o ile to możliwe nie patrząc w dół. Do dziś nie rozumiem, jakim sposobem nie skoczyłam kiedyś w ową otchłań, tak dalece przyciągała. Czwarte wysokie piętro było uciążliwe, ale miało tę zaletę, że z mieszkania widać było choć trochę nieba i słońca. Często siadywałam w oknie, patrząc w górę, na ten skrawek szarości czy błękitu i wyobrażając sobie, że jestem na wsi, bo owe za miastem spędzone lata na zawsze wiązały mnie z przyrodą. Nie znosiłam murów, nie lubiłam miast.

Naprzeciwno, we frontowym mieszkaniu, ale w pokoju od podwórza, mieszkała miła staruszka, która przy oknie spędzała całe dni. Zaczęły się między nami uśmiechy, ukłony, a potem gest ręki, zapraszający mnie do odwiedzin. Staruszka mieszkała u córki, antypatycznej i nadętej, miała młodego, przystojnego wnuka, który był równie arogancki i niemiły, jak matka, za to babcia była urocza. Zachodziłam do niej często i tam poznałam Stefana Warszawskiego, który był w owym czasie studentem albo miał już ukończone studia prawnicze, nie pamiętam. Kiedy skręciłam nogę i mogłam już tylko przez okno dawać znaki przyjaźni miłej staruszce, Stefan zaczął mnie odwiedzać codziennie i dawać mi (za darmo) lekcje matematyki. Dzięki jego pomocy i oddaniu koleżanek nie straciłam ostatniego roku szkolnego, mimo paru tygodni leżenia, i zdałam maturę razem z moją klasą.

Stefan pochodził z bogatej rodziny, która jednak wydała jednego z przywódców SDKPiL — Warszawskiego (Warskiego). Podobnie jak ten wuj, Stefan był z przekonania bolszewikiem, więc nie rozumieliśmy si? zbyt dobrze. Ja, karmiona romantykami, marzyłam o niepodległości Polski. On, mimo że bogaty, marzył o komunizmie.

Był to chłopak dość wysoki, krzepki, ale brzydki, z dużym, czerwonym nosem i jakby zatłuszczonymi wargami. Zakochał się we mnie śmiertelnie i korzystał z każdej wolnej chwili, żeby ją spędzić ze mną. Tak trwa-^o latami, aż do mego zamążpójścia, po czym drogi nasze się rozeszły.

W pierwszym czy drugim roku moich studiów postanowiliśmy wspólnymi siłami przebrnąć przez Kapitał Marksa i wspólne siedzenie na kanapie, nad książką, skończyło się pocałunkami

(ale niczym więcej). "ozwalałam się całować bez większej przyjemności, ot tak, z nudów 1 ~ az do dziś podziwiam wytrzymałość chłopaka — nigdy nie sięgnął

75

dalej niż ręce, twarz i szyja. Mimo że uświadomiona teoretycznie, nje zdawałam sobie zupełnie sprawy, jakie męki przeżywał mój kolega anj na czym te męki polegały. Choć go nie kochałam ani mi się nie podobał był między nami jakiś mdlawy erotyczny nastróik, który dziś wspominam z niechęcią.

Po co pozwoliłam mu się całować? Po co, z bezwiedną perfidią naiwności, czarowałam go, aby utrzymać przy sobie? Zwłaszcza że cała sprawa skończyła się źle. Po ostatecznym zerwaniu z nim dowiedziałam się, że dostał ataku ciężkiej astmy, i ta choroba miała go prześladować przez resztę życia. Z tego zdrowego, krzepkiego chłopaka został fioletowy cień. Nie mogę się oprzeć uczuciu, że była w tym i jakaś moja wina. W każdym razie z pewnością unieszczęśliwiłam go na długo.

No, ale wracam do tych dwóch miesięcy, które na skutek skręcenia nogi musiałam przeleżeć w łóżku. To długotrwałe leżenie było dość uciążliwe. Matka na cały dzień zniknęła z domu, udzielając lekcji, aby zarobić na bardzo skromne życie. Ponieważ absolutnie nie wolno mi było wstawać, więc znalazła jakimś cudem sierotkę, trzynastoletnią dziewczynkę, śliczną Manię, która miała przy mnie siedzieć i podawać mi, co trzeba. Mania była przemiła, grzeczna i osobliwie zdolna. Nauczyłam ją porządnie czytać, bo biedactwo nigdy nie chodziło do żadnej szkoły. Uczyłam ją też innych przedmiotów, tak że mała rozwinęła się niebywale w ciągu tego czasu. Pewnego dnia przyszedł do nas wuj Albert z ciotką Lizą, która uroczyście wręczyła mi pakiecik z dwoma ciastkami. (Czasy to były głodne). Zjadłam jedno, a drugie oczywiście dałam Mani. Wtedy ciotka Liza odegrała jeden ze swoich najlepszych numerów. „Jak to? — krzyknęła — będziesz dawać ciastko, kupione przeze mnie za drogie pieniądze, jakiejś przybłędzie?” Zaczął się nieopisany wrzask. Mani ciastko utknęło w gardle i patrzyła wystraszona, jak z niepohamowaną wściekłością kazałam się ciotce wynosić. Na wymyślała mi, obraziła się — tym lepiej. Mania nigdy nie była dla nas przybłędą, bardzo prędko stała się członkiem rodziny. Kiedy wyzdrowiałam, nie chciała nigdzie pójść, została u nas i energicznie i kompetentnie zajęła się domem. Sprzątała błyskawicznie, gotowała bez zarzutu. Jeszcze ją widzę jako piętnastoletnią dziewczynkę, mieszającą zupę w garnku jedną ręką i trzymającą w drugiej Wierną rzekę. Mania przywiązała się do nas ogromnie, obie z matką bardzo ją polubiłyśmy. Matka marzyła dla niej o dalszej nauce, o gimnazjum, a nawet uniwersytecie. Mimo że budżet nasz był nadzwyczaj skąpy, dla

76

znalazłoby się wszystko, co potrzeba. Tylko że pewnego dnia
IY.it***"

niknęła bez wieści. Szukałyśmy jej na wszystkie możliwe sposoby, dopiero sklepikarka z przeciwka powiedziała nam, że Mania poszła na utrzymanie do pewnego starego właściciela pralni. To był cios i nieus-taiacy wyrzut sumienia dla mojej matki. Może popełniła jakiś błąd, wychowując tę małą? Oczywiście musiała pomóc w domu i matce, i mnie, bo nie można było pozwolić sobie na służącą, ale nigdy nie uważałyśmy fizycznej pracy za poniżającą i wszystko to, co robiła Mania, robiłyśmy i my, na zmianę.

Potem przyszły „babską pocztą” wieści jeszcze smutniejsze. Mania zaczęła regularnie „urzędować” na rogu jakiejś ulicy. Cóż, krzyżyk i kropka. A właśnie nie. Kilka lat później zjawiła się u nas, dumnie pokazując obrączkę na palcu i rzuciwszy się nam kolejno na szyję, opowiedziała, że wyszła za mąż, że ma już jedno dziecko, a spodziewa się drugiego, że mąż jest robotnikiem w fabryce Lilpopa, że jest szczęśliwa, że nas kocha i że na pamiątkę pobytu u nas kupuje co miesiąc jakąś dobrą książkę. Jej mąż też polubił czytanie, mieli już sporą bibliotekę. Odwiedzała nas odtąd regularnie. Stała się wzorową żoną i matką. Ten happy end bardzo nam ulżył, mnie i matce.

Dlaczego piszę „matka”? Przecież nazywałam ją zawsze Maminek (albo dawałam jej tysiąc innych, pieszczotliwych nazw). Im bardziej się w tych wspomnieniach przybliżyłam do wieku dorosłego, tym bardziej bezosobowa „matka” staje mi się czymś obcym, a Maminek bliskim i drogim.

W końcu roku szkolnego 1918 Maminek przeżył chwile wielkiej radości, bo zdałam doskonale maturę *, mimo choroby, i nawet wygłosiłam pożegnalną mowę w imieniu klasy. Zdarzyło się to po raz pierwszy w dziejach szkoły, żeby Żydówka przemawiała do dyrekcji w imieniu pozostałych koleżanek. Tak więc gimnazjum pozostało poza wną, ale z kolaniem moim były kłopoty i cała sprawa skończyła się w dość osobliwy sposób. Maminek wezwał na konsultację (skąd wzięła na to pieniądze?) pierwszorzędnego chirurga, który orzekł, że jest to gruźlica kolana i trzeba wziąć nogę w aparat na kilka lat. Zrozpaczony Maminek — bo w owym czasie gruźlica kości była prawie nieuleczalna, a w każdym razie wymagała wieloletniej, kosztownej kuracji — wezwał Jeszcze jedną znakomitość, prof. Sawickiego (świętego człowieka, °iarnego i zacnego lekarza, przyjmującego pacjentów do późna w noc, a uboższych za darmo). Doktor wdrapał się na nasze czwarte piętro bez

77

windy, obejrzał nogę i powiedział: „Niech pani wstanie”. Wstała^ „Stoi pani?” „Stoję”. „No to niech pani zrobi kilka kroków”. Zrobiła^ „Chodzi pani? No to dobrze. Niech sobie pani chodzi”. I tak chodzę dc dzisiejszego dnia.

Z późniejszego okresu przypomina mi się nagle dość zabawne i mile przeżycie. Do Warszawy przyjechał zupełnie nieznany podówczas poi-skiej publiczności, młody jeszcze Georges Duhamel, który zdobył rozgłos we Francji (i nie tylko) paru książkami z czasu wojny.

Wiedziony albo zbytnią pychą, albo zbytnią naiwnością (raczej to drugie), ogłosił w pismach jesienią 1926 roku orędzie do narodu polskiego, w obronie więźniów politycznych.

Wystąpienie to zostało powszechnie uznane za nietakt, nie uzgodniono go bowiem ani ze związkiem pisarzy, ani z Pen-Clubem, ani z żadnym ugrupowaniem politycznym. Otoczono francuskiego gościa bojkotem, mimo niewątpliwej szlachetności jego intencji. Wacław Wróblewski, z którym utrzymywałam już nie polityczne, lecz czysto towarzyskie stosunki, zwrócił się do mnie z prośbą, abym, jako że znałam francuski, zechciała odwiedzić Duhamela w hotelu i trochę go oprowadzić po Warszawie. Zastanawiam się w tej chwili, dlaczego tego sam nie zrobił (znał język) i dlaczego nie zajął się nim ktoś z partyjnych, przecież niejako w ich obronie, w obronie tych, których aresztowano, Duhamel wystąpił.

Opisałam dość szczegółowo to spotkanie najpierw w „Wiadomościach Literackich” *, potem w tomie pt. Wielcy i niewielcy, więc teraz o tym krótko. Znałam nie tylko nazwisko Duhamela, ale i parę jego książek. Szłam więc trochę onieśmielona, trochę zaciekawiona do Hotelu Europejskiego. Zastukałam do wskazanych mi przez portiera drzwi i nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi nacisnęłam klamkę i weszłam do pokoju. Nic dziwnego, że nie było odpowiedzi na moje stukanie: Duhamel siedział przy stole z twarzą zakrytą dłońmi i płakał. Nad nim stał bardzo ciemny brunet, z czarnymi wąsami (jak się potem okazało, poeta Chenneviere), obejmował go i pocieszał. Tak dalece nie spodziewali się żadnej wizyty, że nie usłyszeli mego pukania. Kiedy wreszcie podnieśli głowy i zobaczyli mnie wchodzącą, twarze ich rozjaśniły się. Omal mnie nie uściskali, w każdym razie potrzęsali moimi dłońmi aż do bólu. Posypały się pytania: dlaczego nikt nie zareagował na ich apel,

78

, czego ich nikt nie odwiedza, co takiego złego zrobili? Odpowiadałam, . , umiałam, na te drażliwe nieco pytania, chyba szczerze i otwarcie, bo zmowa od razu potoczyła się łatwo, przyjacielsko. Odtąd byliśmy

- ozłączni przez dwa, trzy dni. Pokazałam im miasto, jadałam z nimi w restauracjach, zaprowadziłam do teatru (chyba do Polskiego). Jedna,

. jy

osoba zostawiła im wizytówkę: Julian Tuwim, ale i on się francuskich kolegów nie pokazał. Rozstałam się z obydwojoma nisarzami w najlepszej przyjaźni, później dostawałam, od Duhamela zwłaszcza, jego nowe książki z jakże serdecznymi dedykacjami.

Duhamel, kiedy go poznałam w Hotelu Europejskim, miał dziecianną, niemal niemowlęcą twarz, okrągłą, różową, z dołeczkami. Na głowie jakiś nic nie znaczący puch włosów. Jego płacz — dlatego, że go źle przyjęto, że nie zrozumiano jego dobrych intencji, że skazano na osamotnienie w kraju, do którego jechał z nadzieją, iż na skutek przeżytych mąk będzie inny od pozostałych, lepszy, wyrozumialszy — był w zupełnej zgodzie z tą dziecianną twarzą, ze szlachetną naiwnością, która go cechowała. Płakał jak zawiedzione dziecko, ale potem też — jak dziecko — cieszył się wszystkim, co widział.

Z czasem stawał się coraz bardziej sławny, jego książki tłumaczono na wszystkie języki. W dalszym ciągu jednak pozostał bezpośredni, bezpretensjonalny i dobry. Każde nasze spotkanie było wznowieniem przyjaźni, ale zawsze trwało krótko, bo jeździł dużo po świecie i częstośmy się mijali. Potem przyszła druga wojna światowa, a po wojnie znów spotkałam Duhamela, ale o tym później.

Tak więc zdałam maturę, „zepchnęłam” jakoś nudne i uciążliwe, ze względu na konieczność zarobkowania, wakacje i zasiadłam, jak się mówiło wówczas, „na ławach uniwersyteckich”, twardych i niewygodnych. Z biciem serca rozpoczęłam to upragnione studiowanie. Zapisałam się na polonistykę. Ale ponieważ nie było wówczas szkolnego systemu przechodzenia z roku na rok, więc bywałam na wielu różnych Wykładach, nie tylko obowiązkowych. Moje nowe życie nade wszystko zamykało się w murach uniwersyteckich. *

Uniwersytet Warszawski w wolnej Polsce stanął od razu na bardzo Wysokim poziomie. Między innymi dzięki kilku niepospolitym uczonym Ze znakomitego petersburskiego uniwersytetu, którzy uciekając z nie-

79

bezpiecznego kraju, powodowani patriotyzmem, zatrzymali się w War. szawie, i tu dostali katedry.

Do najwybitniejszych należał profesor Tadeusz Zieliński, znawca antyku, uczony o światowej sławie, mówiący z silnym rosyjskim akcentem. Dostał też katedrę znakomity prawnik, profesor Leon Petrażycki, którego wykładów słuchało się z wielkim zajęciem. Zabłysnęli i inni, cała polska szkoła matematyczna: Waław Sierpiński Kazimierz Kuratowski, Stefan Banach (który wyjechał do Lwowa), Jan Łukasiewicz — logik, Wojciech Świątosławski — fizyko-chemik, Edward Abramowski — psycholog. Kilku z moich nauczycieli gimnazjalnych otrzymało też katedry. Byli to znakomici profesorowie, jedni o sławie międzynarodowej, drudzy o lokalnej, co nie umniejsza i nie umniejszało ich wartości. Takie już są losy kultury polskiej, że najcenniejsze często wartości ma wyłącznie dla siebie. Nie przekraczają granic — bo kogo na świecie interesuje polska kultura?

Tyle tylko, że gdyby ci ludzie urodzili się Francuzami, Niemcami, a zwłaszcza Anglikami, to świat musiałby o nich wiedzieć. Nie byli gorsi od innych wielkich, obcych.

Taki na przykład Ludwik Krzywicki, mój przyszły teść, który jako maitre a penser odegrał olbrzymią rolę wśród paru pokoleń inteligencji polskiej. Jego wykłady, jasne, mądre i przejrzyste, ściągały tłumy, które nie mogły pomieścić się w zwykłych audytoriach, musiał więc wykladać w auli. Działo mu się zresztą przez dłuższy czas wielka krzywda: nie dawano mu „katedry zwyczajnej”, pod pretekstem, że ukończył studia matematyczne, a chciał wykladać socjologię. Teść mój twierdził, że to dlatego, iż jest zbyt „czerwony”, co odstraszało od niego władze uniwersyteckie, w przeważającej liczbie prawicowe. W końcu skandal stał się zbyt jaskrawy i katedrę mu przyznano. * (Nie dano też, w żadnym z miast uniwersyteckich, katedry romanistyki Boyowi, pod pretekstem, że nie ukończył studiów

romanistycznych, tylko medyczne. Tu już działała raczej biurokracja, bo podówczas jeszcze Boy nie naraził się opinii).

Pamiętam, że Abramowski gasł nagle w czasie wykładu, niemal omdlewał, po czym wychodził i wracał po chwili odrodzony, aby z jeszcze większym zapałem i niezrównanymi wzlotami wyobraźni ciągnąć wykład dalej. Dopiero później dowiedziałam się od jego asystenta, że profesor robił sobie w przerwach zastrzyk morfiny, że był, biedak, narkomanem. Nie wiem, czy jego wykłady miały jakąś poważ-

80

iejszą wartość naukową, ale z pewnością inspirował wyobraźnię. przypominam sobie, jak plastycznie opowiadał o przedhistorycznej małpie, która się nagle straszliwie przelęknęła jakiejś katastrofy żywiołowej i ten lęk wyzłobił w jej mózgu fałdkę. To był początek człowieczeństwa.

Zapisałam się na polonistykę, więc dla mnie najważniejszy był profesor Juliusz Kleiner. Miał wykłady doskonałe, pobudzające myślowo, z dużym zrozumieniem dzieła artystycznego, choć może nieco zbyt „poetyczne”, jak na mój dzisiejszy gust. Tłumy ludzi spoza uniwersytetu zbiegały się, by go słuchać, tak że w sali wykładowej było zawsze pełno. Prowadził również seminaria, bardzo interesujące i skłaniające do dyskusji. Głęboki znawca literatury, ubóstwiany przez młodzież, został „wylany” z katedry za żydowskie pochodzenie i przeniesiony do Lwowa. * Nikt z jego słuchaczy nie zdawał sobie sprawy z jego żydostwa, toteż zdumienie zapanowało ogromne. I gorycz, nawet w antysemitycznym Kole Polonistów. Był dobry i serdeczny dla każdego swego studenta i umiał tchnąć nawet w opornych zapał do pracy. Miał przy tym niebywałą pamięć i nawet nią z lekka kokietował. Mógł w ciągu godziny recytować bibliografię użyteczną w danym przypadku. I to nie tylko tytuły i autorów, nawet poszczególnych artykułów, ale rok ukazania się, numer pisma albo nazwisko wydawcy, liczbę stron. Wszystko z pamięci. Był miłym dziwakiem: mała, wątła osóbką, o włosach skręconych w jasnoblonde loczki, z twarzą dzieciinną, różową, na której sumiaste blond wąsy wyglądały jak przylepione. Niezależnie od pory roku, zawsze w kaloszach, szaliku i z parasolem, który ustawiał starannie przy katedrze. Na wykład odprowadzała go zwykle matka staruszka i najczęściej z nią razem wracał do domu. Bardzo długo był kawalerem. Nie podejrzewano go o żadne flirty, uchodził nawet za impotentą. Nieprawda, bo po iluś tam latach ożenił się i miał syna, bardzo wybitnego matematyka. Wszyscy, którzy go znali, zachowali o nim wdzięczną i serdeczną pamięć. Na jego miejsce przyszedł, ośmieszony później przez Boya, profesor Bronisław Gubrynowicz, z którym równie łatwo było porozumieć się w sprawach literatury, jak z kupcem kolonialnym.

Byłam Żydówką, więc nie miałam prawa należeć do Bratniaka. Odzwyczajony się w szkole od antysemityzmu, nie mogłam z początku Pójść, dlaczego moi koledzy, z którymi co dzień spędzałam po kilka godzin na wykładach i seminariach, poza zajęciami odpowiadali mi Półgębkiem, rozmawiali ze sobą ponad moją głową. Do Koła Polonis-

6-Wv,,0,,; 81

tów nie chciano mnie przyjąć. Jednakże profesor Kleiner polecił, wygłosić referat w tymże Kole. Ale wówczas ruszyła do ataku starsza ode mnie co najmniej o piętnaście lat pani Kuźmińska, siostra owego młodopolskiego poety Rundbakena, z którym ongi przyjaźniła się moja matka. Pani Kuźmińska uzyskawszy poprzez małżeństwo upragnione „ski” w nazwisku i zatarłszy w ten sposób swoje żydowskie pochodzenie, usiłowała za wszelką cenę „wykazać się”. Jej koreferat, pełen jakichś wstrętnych insynuacji, położył mnie na obie łopatki, bez należytego uzasadnienia. Byłabym zdruzgotana, gdyby nie profesor Kleiner, który okazał się — jak zawsze — sprawiedliwy. Zbesztął Kuźmiriską i przyznał mi, doceniając zalety mego tekstu, prawo wstępu do Koła Polonistów. Ale, dotknięta głęboko, nie chciałam z tego łaskawego przywileju korzystać.

Jaka była wówczas sytuacja Żydów w Polsce? Asymilacja postępowała słabo, ale postępowała. Jeszcze przed pierwszą wojną światową było wielu kupców, sporo przemysłowców zupełnie spolszczonych. Sporo też adwokatów i lekarzy, którzy znaleźli się w czołówce swego zawodu, ale nieliczne tylko jednostki wśród innych grup inteligencji: literatów, dziennikarzy, aktorów. Po wojnie liczba ta wzrosła znacznie i wzajemne stosunki zaogniły się w związku ze zwykłą konkurencją na rynku pracy. Za czasów Prusa czy Orzeszkowej antysemityzm nie przybierał znaczniejszych rozmiarów, a nawet przeciwnie, prawdziwa inteligencja odrzekała się od niego całkowicie. Sytuacja jednak z biegiem czasu zaostrzała się coraz bardziej, mimo że zasymilowani Żydzi w wielu wypadkach byli przyjmowani przez społeczeństwo polskie, czemu sprzyjały mieszane małżeństwa (częściej Polak żenił się z Żydówką, rzadziej Polka wychodziła za mąż za Żyda). Poza tą, niewielką na dobrą sprawę, grupą zasymilowaną, istniała liczna masa żydowska, stanowiąca około dziesięciu procent ludności i grupująca się nade wszystko w miastach i miasteczkach. Żydzi ci z nieugiętą konsekwencją pozostawali przy swojej religii, obyczajach, języku, skupiali się samorzutnie w zbiorowiska, tworząc tzw. dzielnice żydowskie, niejako osobne miasta w miastach. Przyczyniały się do tego i wyczuwana niechęć narodu, w którym żyli, i żelazna wola przetrwania, mimo wszelkich prześladowań. W dzielnicach żydowskich

82

mieszkali bardzo bogaci i straszliwie biedni kupcy, rzemieślnicy; i w miarę uprzemysławiania się kraju — proletariat fabryczny. Wszyscy ci ludzie, z wyjątkiem najbogatszych, żyli w fatalnych warunkach, w przeludnionych, brzydkich mieszkaniach, wzdłuż ulic pozbawionych zieleni, w mrocznych kamienicach. Przyczyną tego stanu rzeczy było i to, że niechętnie wynajmowano im mieszkania w ładnych dzielnicach jak i to, że najwyraźniej lepiej się czuli wśród swoich, nawet w tłoku. Ulice dzielnic żydowskich były niezmiernie ożywione, pełne ludzi sklepów i sklepików, w których czasem jedynym towarem bywało parę śledzi i bułka czy też kwaszona kapusta. Wschodnie temperamenty kazały im mówić głośno, gestykulować, żyć w większym stopniu na ulicy niż w domu. Jedli dużo cebuli i czosnku, na co mocno krzywili się Polacy, nieświadomi dobroczynnego działania tych jarzyn, zwłaszcza w warunkach miejskich — bez słońca, powietrza i witamin.

Wiadomo było w Warszawie, że w dzielnicy żydowskiej kupuje się taniej, a nierzadko lepiej, bo, jak mi mówiła pewna polska gosposia: „Żyd mnie tak samo oszuka, jak Polak, tylko kiedy zwrócę uwagę, że towar jest zły, Żyd mi towar wymieni, a Polak jeszcze zwymyśla”. Toteż do tłumów mieszkańców dzielnicy żydowskiej dołączały jeszcze gromady kupujących z całego miasta. W tłumie tym — żywym, dynamicznym i niespecjalnie estetycznym — Nyk czuł się jak u siebie, ja zaś i matka czułyśmy się obco. Powodowała to różnica obyczajów i języka.

Masa żydowska, która później miała dać światu tylu wielkich ludzi, nie zajmowała się tylko sprawami zarobku i codziennymi kłopotami. Większa jej część była przyzwyczajona do wysiłku umysłowego.

Nie zapominajmy, że okropne szkoły — chedery — jednak rozwijały i ćwiczyły w jakiś sposób szare komórki mózgowe. W tym średniowiecznym na pozór tłumie ludzi w chałatach nie było analfabetów — choć wielu zamkniętych w swojej społeczności nie znało polskiego i nie odczuwało potrzeby nauczenia się tego języka. Poza mistycyzmem i silną religijnością atakowały tę społeczność i bardziej nowoczesne prądy, a nade wszystko socjalizm i syjonizm. Bundowcy reprezentowali tę pierwszą grupę. W zasadzie głosili hasła rewolucyjne, ale jednocześnie byli przeciwnikami gwałtu i szanowali to wszystko, co się mieści w prawdziwej demokracji. Walczyli o swoistą autonomię dla Żydów. Głosząc całkowitą lojalność wobec

narodu, a później wobec państwa polskiego, domagali się szkół, teatrów i świetlic z językiem żydowskim, własnego przedstawicielstwa w magist-

84

h miejskich. Uważali, że przyjazne współżycie z Polakami jest ra • dane i potrzebne ale byli rzecznikami zachowania odrębności f .\yskiej.Byli w pewnym stopniu nacjonalistami, ale nie agresywnymi. 5 'oniści, jak wiadomo, głosili hasło powrotu do Palestyny, stworzenia drebnoego państwa żydowskiego na prastarych ziemiach. Na pozór bundowcy wydawali się rozsądniejsi, bardziej „życiowi”, mocniej

toiący na ziemi. Syjoniści — ich zdaniem — to byli szkodliwi narwańcy, którzy odwracali uwagę ludności żydowskiej od spraw bieżących w imię nieziszczalnej mrzonki. Ale cóż, świat toczy się niezbadanymi kolejami. Ci rozsądni" poszli masowo do gazu, ci narwańcy stworzyli państwo żydowskie — i mrzonka stała się rzeczywistością. Kto mógł przewidzieć taki bieg wypadków?

PPS pertraktowała z Bundem, nie ze syjonistami dlatego, że program tej partii był im bliższy i bardziej na zdrowy rozum realny. PPS-Prawica (Fracja) miała jednak lekki „zapaszek” antysemicki i bała się posądzeń o chęć stworzenia Judeo-Polski. Był to groźny slogan, który ukuła prawica — tak jakby obecność Żydów w rządzie, nauce czy literaturze mogła być dla Polski szkodliwa.

Skoro tyle mówię o rasizmie polskim, sprawiedliwie będzie wspomnieć i o rasizmie żydowskim (oba są mi równie wstrętne). Miałam na uniwersytecie koleżankę Budkiewiczównę, śliczną, smukłą i płowłosą, która z czasem została docentem albo nawet profesorem. Zakochała się w chłopcu o ognistych czarnych oczach i kruczonych włosach, Żydzie Rambergu. Zakochała się z wzajemnością i stanowili piękną parę. Ale rodzice Ramberga nie dopuścili do małżeństwa z „gojką”. Młody Ramberg posłuchał rodziców i ożenił się z inną. Nie wiem, jak się dalej potoczyły losy Budkiewiczówny, ale podobno ciężko przeżyła ten zawód miłosny. W każdym razie nie wyszła za mąż, choć z pewnością konkurentów jej nie brakło. Takie objawy nietolerancji ze strony Żydów były jednak rzadkie. Asystent Abramowskiego, Włodzimierz Kamiński, wyglądał dość niesamowicie: bardzo wysoki, trochę pochylony, miał nordycką twarz niernowłęcia, dużą, bladą, okrągłą, a na głowie wiły mu się rzadkie, bardzo jasne loczki. Małe, mocno niebieskie oczy patrzyły żałośnie, r°Zowe usteczka układały się w dziecinny grymas, jak do płaczu. Mimo

85

tej osobliwej i trochę zabawnej powierzchowności, już od początku istnienia uniwersytetu stał się jedną z jego gwiazd. Mówiło się o nim, że jest genialny. Na pierwszym roku studiował antyk i tam od razu przeleciał ponad głowami wszystkich. Już po pierwszym semestrze otrzymał asystenturę, co wówczas nie było rzeczą łatwą, profesor bowiem miał nie więcej niż jednego albo dwóch asystentów.

Po dwóch latach olśniewających powodzeń w dziedzinie studiów antycz-nych, przyswoiwszy sobie błyskawicznie łacinę i grekę, dokonawszy ładnych wierszowanych przekładów z Owidiusza, Kamiński nagle rzucił antyk i przeniósł się do Abramowskiego, który, zachwycony jego niezwykłą inteligencją, zrobił go również swoim asystentem, jedynym i ulubionym. Jednakże po dwóch czy trzech latach studiów psychologicznych i filozoficznych, Abramowski, już prawie na łożu śmierci, powiedział mu, że nie może istnieć dobry psycholog, który by nie znał medycyny i że jemu samemu tego rodzaju studiów bardzo brakowało. Kamiński tedy poszedł na medycynę. Ukończył ją, jak to on — olśniewająco—i został psychiatrą.

Znałam Kamińskiego z widzenia, ale on nie interesował się mną w najmniejszym stopniu, ani w ogóle żadną z koleżanek. A trzeba nadmienić, że było nas, dziewcząt, wówczas na całym uniwersytecie najwyżej kilkanaście. Głównego „kontyngentu” dostarczyła pani Were-cka, której gimnazjum miało program ośmioklasowy — odpowiadający szkołom męskim. Toteż

„wereczanki” przyjmowano na studia bez żadnych trudności. W ciągu pierwszych dwóch lat byliśmy niejako jedynaczkami na naszych wydziałach. Ówczesne dziewczęta nie bardzo kwapiły się do wyższych studiów, wołały czekać na mężów. Z czasem inne szkoły żeńskie uzupełniały swoje programy i na uniwersytet napłynęła większa liczba dziewcząt, zawsze jednak mniejsza niż chłopców. Toteż nietrudno było być zauważoną. Ale Kamiński, czyli Dzieciuch, jak go później przezwaliśmy, w ogóle na mnie nie patrzył. Słuchał wykładu stojąc przy katedrze, z zamkniętymi oczami, ssąc czerwoną tasiemkę, którą przewiązywał kołnierz koszuli jak krawatem, i po wykładzie wychodził wraz z profesorem. Zabawny wygląd i świetna opinia, jaką miał wśród kolegów, bardzo mnie ku niemu pociągnęły. Kiedy raz idąc po ulicy ze Stefanem Warszawskim zobaczyłam, że wymieniają ukłony, zawołałam: „Znasz go? No to musisz mi go sprowadzić”. I Stefan sprowadził mi Dzieciucha na jego (to jest Włodka) największe nieszczęście. Byłam bardzo zadowolona z tej znajomości, zwłaszcza że zaprzyjaźniliśmy się natychmiast.

86

Dzieciuch był chłopakiem nie tylko o niezwyklej inteligencji, ale także zadkiej samodzielności i oryginalności myślenia. Nic z tego, co mówił, nie było banalne ani też pretensjonalne. Pretensjonalności unikał jak ognia i tępił ją bezlitośnie. Rzadko zdarzało mi się w życiu spotykać ludzi o takiej rzetelności intelektualnej. Odkłamywał wszystko, co zakłamanie, wydobyć potrafił wszystkie ukryte pobudki działania zarówno cudzego, jak własnego. Robił własną introspekcję niemal z okrucieństwem, ale też zmuszał przyjaciela do podobnego działania. Był bez wątpienia jednym z najwybitniejszych i najoryginalniejszych ludzi, jakich znałam, a przecież wybitnych ludzi miałam w swoim życiu poznać niemało. Dzieciuch zapowiadał się naprawdę na niezwyklego człowieka, tyle że nic z tego nie wyszło.

Poznawałam coraz to bardziej interesujących ludzi. Jednego z nich, podobnie jak Kamińskiego, sprowadził mi do domu Stefan Warszawski. Zobaczyłam, jak się sobie z jakimś młodzieńcem kłaniają na ulicy, i zawołałam: „Ten jest miły, kto to?” — „Jerzy Krzywicki”. — „Zapoznaj nas ze sobą”. I tak biedny Stefan przedstawił mi chłopaka, który w pięć lat później miał zostać moim mężem.* Zabawnym zbiegiem okoliczności, przypadkiem czy też wiedzona intuicją, wyłowiłam spośród przechodniów ulicznych dwóch mężczyzn, którzy mieli odegrać ogromną rolę w moim życiu. Można by powiedzieć, że w obu przypadkach był to coup de foudre miłości. Nie, bynajmniej. Przyjaźni! Poczułam niejako bratnie dusze i zechciałam mieć je przy sobie. Co z tego dla nich wynikło, to już inna zupełnie sprawa. Przyjaźniłam się latami ze wszystkimi trzema (nie było między nami żadnej zażyłości fizycznej, jeżeli nie liczyć paru przelotnych, nieumiejętnych i nieobowiązujących pocałunków) i ci trzej przyjaźnili się ze sobą.

Jerzy miał jasną, wesołą twarz, świeżą cerę, białe zęby, bujne ciemnoblonde włosy, zaczesane do góry. Był nieco więcej niż średniego wzrostu, zgrabny, ale nie wysportowany (w owej epoce uprawianie jakiegokolwiek sportu, poza tenisem, było rzadkością). Był wprost oszałamiająco inteligentny. Miał absolutną pamięć, czyli wiedzę niemal encyklopedyczną. Umiał przy tym myśleć samodzielnie, jego sądy bywały często niebanalne. Nie był natarczywy w ich wygłaszaniu. Przeciwnie, nie spieszył się z wypowiedaniem własnych myśli, pozostał raczej nieśmiały. Trzeba się było na nim poznać, aby go właściwie ocenić, bo sam „nie umiał sprzedać swego towaru”. Podczas gdy specjalnością Dzieciucha były psychologiczne dociekania i surowe

87

mające na celu całkowitą uczciwość wewnętrzną, rozmowa IV\ rzyffl dawała mi więcej niż uniwersytet. Znał dobrze i przemyślał J 7ofów, poetów i pisarzy — rosyjskich, francuskich, angielskich. /r zna z nim było godzinami rozmawiać o literaturze, teatrze, sztuce, tkończył prawo na petersburskim uniwersytecie i był zamiłowanym =matykiem. To ostatnie stanowiło

zresztą dramat jego życia: chciał na matematykę i fizykę, zwłaszcza marzył o fizyce. Lecz jego

sławny uczyony, trzymał synów żelazną ręką. Sam ukończył matematykę, ale powiedział Jerzemu, że matematyka nic nie daje,

fizyka jest gałęzią nauki już skończoną. Do dziś nie mogę nadziwić się temu niezrozumiałemu sądowi, jeżeli się zważy wielki umysł mego przyszłego teścia. Epoka ta, w której żyli i pracowali państwo Curie, a nade wszystko Einstein i jeszcze paru geniuszy, była prawdziwie heroicznym okresem, eksplozją współczesnej fizyki.

Czy teść tak dalece nie doceniał tej przemiany, czy też obawiał się, że kariera uczonego będzie trudna ze względów materialnych, i pragnął, aby syn jak najszybciej zaczął zarabiać? Nie wiem, ale to postanowienie ojcowskie przetrąciło Jerzemu życie. Ukończył prawo i został doskonałym adwokatem, ale jednocześnie męczył się, nie robiąc tego, co lubił i czego pragnął. Jerzy był sterroryzowany przez ojca od dziecka i nie przyszło mu nawet na myśl, żeby postąpić wbrew jego woli. Tak więc minął się ze swoim właściwym powołaniem i dopiero nasz syn miał jego marzenie spełnić. To wszystko nie przeszkadzało, że był bardzo a bardzo inteligentny i zajmujący. Kiedy wybuchła rewolucja w Rosji, właśnie ukończył studia i z radością włączył się w tłum rewolucyjny, przemawiał na wiecach i w ogóle działał. Ale po rewolucji bolszewickiej ostygł — przeraziły go początki terroru i wrócił do Polski (jeszcze wtedy podróżowało się łatwo).

Uniwersytet w Warszawie — choć młody — nie honorował rosyjskich dyplomów i Jerzy musiał zdawać wszystkie egzaminy na nowo. Potem Przyszła bezpłatna aplikantura adwokacka i przez cały ten czas, przez rok czy dwa, Jerzy nie miał dosłownie ani grosza.

Rodzice, których

soblrwe skapstwo miałam poznać dopiero później, nie dawali mu nic " Za jedzeniem i mieszkaniem, a nie miał dość czasu na to, aby postarać

? o jakiś zarobek. Nie mógł sobie wobec tego pozwolić na lody czy

w' a nawet na tramwaJ-

Podobnej sytuacji był Dzieciuch. Ojciec jego porzucił matkę i nie zuwał się do żadnych obowiązków. Nawet nie wiem, kim był, zdaje

89

się, że jakimś kombinatorem, jak się to wówczas mówiło — „niebieski[^] ptakiem". Dzieciuch miał asystenturę, oczywiście bezpłatną, wówczas nawet docenci nie dostawali pensji, i poczciwy Abramowski postarał mu się o jakieś malutkie stypendium. Włodek był bardzo zapracowany, zapisał się bowiem wedle wskazań Abramowskiego na medycynę, ale nie porzucił psychologii i filozofii. Ze swego groszowego stypendium musiał utrzymać siebie i matkę. W rezultacie matka przynosiła mu jakąś kartoflanekę na uniwersytet w dwojakach, jak chłopu w czasie żniw, i był stale niedożywiony. Matka jego nie była prostą kobietą, tyle że najzupełniej nie umiała zarabiać, nie miała żadnego przygotowania do życia. W domu były srebrne sztuce i olbrzymi perski kilim na całą ścianę, ale nie przyszło jej nawet na myśl, żeby to sprzedać i odżywić trochę syna. Żyli więc oboje z tego, co zarobił Włodek korepetycjami, a że takich głodomorów nie brakowało, więc o lekcje było trudno i płacono nadzwyczaj mało. W końcu Włodek zaczął się uskarżać na dziwną dolegliwość: anemię mózgu, jak sam to nazywał. Co godzina, gdziekolwiek się znajdował, musiał się kłaść na kwadrans z głową bardzo nisko i zamkniętymi oczami. Nie wiem, co powiedziałyby współczesna medycyna na to osobliwe zjawisko. W każdym razie nie ułatwiało mu ono i tak trudnego życia. O jakiegokolwiek rozrywce w towarzystwie tych chłopców nie mogło być mowy.

Stefan był bogaty, ale się tym nie popisywał. Jego bogactwo przejawiało się w tym, że mi przynosił od czasu do czasu, zawsze takie same, okropnie brzydkie, sino-różowe tulipany, których koloru nienawidzę po dziś dzień. Poza tym, zdaje się, że parę razy pomógł

Dzieciuchowi w jakiejś już nazbyt ciężkiej sytuacji. Co do mnie, zarabiałam trochę prywatnymi lekcjami. Nasz budżet domowy był nad wyraz skromny, bo Nyk, wróciwszy z obozu, zajął się wyłącznie pracą partyjną i otrzymywał za to nędzne wynagrodzenie. Bund nie był subsydiowany przez nikogo z zewnątrz, jak np. syjoniści, i cały jego majątek partyjny pochodził ze składek członków. Tak, że większość ciężaru domowego budżetu spoczywała na Maminku. Nauczycielstwo wtedy było nieźle płatne, tylko częste strajki przerywały ciągłość zarobku.

Profesor Kleiner już po dwóch czy trzech moich pracach seminaryjnych, które czytał uważnie i omawiał nie żałując czasu — był niezmiernie życzliwy dla studentów — zaproponował mi zbieranie materiałów do pracy doktorskiej. A że interesował mnie teatr, więc mi poradził pisanie

90

teatrze średniowiecznym w Polsce, na podstawie nieznanych zupełnie, w ginalnych materiałów, znajdujących się w Bibliotece Jagiellońskiej. wybrałam się więc do Krakowa i siedziałam pilnie w bibliotece, rzeglądając interesujące, często rękopiśmienne archiwa. I tam do-ajam osobliwego wstrząsu. Wzięłam do czytania grube dzieło niemieckie o teatrze antycznym, bogato ilustrowane, i z niego dowiedziałam się o igrzyskach bachicznych i fallicznych. Wywód poparty był ilustracjami, które wprawiły mnie w osłupienie. Cóż to za instrument Grecy przywiązywali sobie do pasa? Niepojęte! Ale były też ilustracje malowideł i płaskorzeźb, przedstawiające aktorów greckich w stanie gotowości erotycznej. I kolorowy, olbrzymi phallus na dwie strony książki, czyli na tzw. rozkładówce. Mimo że miałam to wszystko przed oczami — nie rozumiałam. Przecież wiedziałam z posągów i obrazów, jak jest zbudowany mężczyzna, więc skąd nagle coś takiego? Skromny Mami-nek, mimo że w ogólnych zarysach uświadomił mnie seksualnie, co było wówczas i tak dużą odwagą pedagogiczną, o tej osobliwej przemianie męskiej mnie nie powiadomił. Tak więc siedziałam w czcigodnej Bibliotece Jagiellońskiej wpatrzona w dziwaczne malowidło, młoda doktorantka, zupełna idiotka. Wreszcie stworzyłam własną teorię: widocznie na skutek podniecenia płciowego u mężczyzny jądra przesuwają się jedno przed drugie, tworząc ten osobliwy kształt. Inaczej nie umiałam sobie tego wytłumaczyć. Uspokojona, wzięłam się ostro do roboty i napisałam w rezultacie pracę na piątkę (właściwie warta była druku, bo oparta na materiałach zupełnie nie znanych).

Po powrocie do Warszawy opowiedziałam o moich hipotezach fizjologicznych Dzieciuchowi, jedynemu człowiekowi na świecie, który wiedział o mnie wszystko, przed którym nie miałam absolutnie żadnych sekretów. Przed nim nie miałam potrzeby kryć się z naiwnością, 2 głupotą, z tym wszystkim, co mogło mi przynosić ujmę, z tym, co się wstydliwie przemilcza. Nazajutrz Dzieciuch przyniósł mi wielką planszę anatomiczną i wszystko szczegółowo wyjaśnił. Byłam więc już kompletnie uświadomiona teoretycznie. Jeżeli ktoś kiedyś będzie czytał te słowa, uśmiechnie się zapewne ironicznie: Dzieciuch nie musiał przecież Uciekać się do plansz anatomicznych, aby mi wyjaśnić istotę procesu, o którym wie dzisiaj każde niemal dziecko. Ale taka to była epoka, tak

o posunięta naiwność większości dziewcząt, taka powściągliwość chłopców.

91

Warto wspomnieć, jak wyglądało mieszkanie i życie takiej sobie przeciętnej inteligentnej rodziny, jak nasza. Obok zupełnego prawie braku rozrywek i niewymyślnego jedzenia, korzystaliśmy jednak z pewnych luksusów: mieszkaliśmy na czwartym piętrze (bez windy, jak wspominałam), ale mieliśmy balkon, z którego widać było skrawek nieba. Mieliśmy łazienkę — co na owe czasy było rzadkością. Ciasną, ciemną i duszną, ale była. Mieliśmy też służącą, zjawisko niemal powszechne w jako tako mających się rodzinach. Służąca bardzo mało kosztowała i była niezbędna w owym społeczeństwie przedindustrialnym, gdzie wszystko trzeba było robić ręcznie. Palenie w piecach, pranie, froterowanie (jeszcze

wcześniej „oprawianie” naftowych lamp) — to były niemałe trudy dla Maminka, który pracował zarobkowo.

Wszyscy w naszej kamienicy mieli służące i z myślą o nich budowano tak zwane schody „kuchenne”. Można było być demokratą, socjalistą, komunistą, ale pęta dawnych obyczajów były tak silne, że niepodobna sobie było wyobrazić, aby służąca chodziła innymi schodami niż kuchenne, aby nie całowała pani w rękę albo pozwalała sobie usiąść w jej obecności. To się rozumiało samo przez się i nikt się nad tym stanem rzeczy nie zastanawiał, a najmniej same służące. Nie zasiadały nigdy z „państwem” do stołu, nie podawało się im ręki, a na ulicę wychodziły otulone w chustki, z koszykiem w rękę. W wielu mieszczańskich domach jeszcze wówczas służące były półniewolnicami, nie miały nawet tzw. „wychodnego”. W trakcie zawierania umowy ze służącą ustalało się, kiedy będzie miała wychodne: raz na miesiąc, raz na dwa tygodnie, a w bardziej liberalnych domach raz na tydzień, w niedzielę — ale to było rzadkością. Moja matka pozwalała wychodzić służącej codziennie. Gdyby ktoś się sprzeciwił przyjętym obyczajom, wszyscy byliby niezadowoleni, a nade wszystko sama służąca. Zlekceważyłaby zbyt demokratycznych chlebodawców, a tym samym i siebie. Miałaby w pewnym sensie rację, bo obalanie istniejących barier byłoby sztuczne i żenujące dla obu stron. Choćby taka rzecz, jak jedzenie: dziewczyna ze wsi jadła mlaskając, kroїła sobie grube pajdy chleba, nie używała serwetki. „Dziubanie” z talerza, tak jak państwo, krępowałyby J4 i śmieszyło. Dać swobodę? Do jakich granic? Maminek zrobił eksperyment (bezwiedny) z Manią i skończyło się, przynajmniej na dłuższy czas — źle. Potem zrobił drugi, o którym będzie mowa, i ten udał się?

92

nei Sama sytuacja półniewolnicy była fałszywa i w pewnym sensie ieludzka, ale nikt sobie podówczas z tego nie zdawał sprawy. Dziś nie „P sobie nawet wyobrazić, jak mogłam znieść bezustanną obecność w joniu zupełnie obcego człowieka. Jak mogłabym z nieznaną prawie dziewczyną ułożyć stosunki tak, żeby nie były dla mnie ciężarem, a dla niej niewolą?

Dawniej, jak powiadam, to zagadnienie w ogóle nie istniało, ale też nic dziwnego, że kiedy nastał okres wyższego uprzemysłowienia, dziewczęta masowo uciekały ze „służby” do fabryk, choć często zarabiała tam mniej, jadły i mieszkaly gorzej. A jednak tamtym właśnie czasem zawdzięczam istnienie w moim życiu Maryni, która była u mnie przez dwadzieścia pięć lat, pomagała mi wychować dzieci, narażała życie dla nas w czasie okupacji i stała się najbliższym członkiem rodziny, wobec którego wszystkie feudalne bariery same przez się znikły.

Jak więc wyglądało nasze mieszkanie? Jak większość mieszkań inteligentkich owego czasu: bieda i antyki. Z przedpokoju wchodziło się na prawo do mego malutkiego pokoju. Stało w nim moje łóżko, niewielki stolik i potężny mebel, który budził powszechny zachwył.

Maminek oto kupił gdzieś okazynie długą, podwójną półkę: jedna deska, górna, była szeroka, a pod nią, widocznie dla drobiazgów, półeczka wąska. Całe to straszycło dało się z trudem wciągnąć na nasze kręte schody i genialny pomysł Maminka polegał na tym, że ustawił je wąską półeczką do góry, a całość oparł na dwóch pniach brzożowych, nie odartych z kory. Na szerokiej półce (w tej sytuacji dolnej) stały książki, na górnej, wąskiej — jakieś bibelociki, wazon z kwiatami itd. Kosztowało to grosze, a wyglądało sympatycznie i w każdym razie niebanalnie. Pomysłowość Maminka sprawiła, że pokój mój, choć malutki, był miły i z pewnością niepodobny do innych, które się w tym samym pionie kamienicy znajdowały. Na wprost, z przedpokoju, wchodziło się do dosyć dużego, dwuokien-nego pokoju, który służył jako ba wialnia i jednocześnie sypialnia Nyka. Na pierwszym planie, od drzwi, znajdowało się łóżko, mosiężne, 2 °krągłymi głowicami w rogach. Dlaczego na tym niejako reprezentacyjnym miejscu nie Maminek sypiał, tylko Nyk, pozostało dla mnie Zagadką. Obok, przy sąsiedniej ścianie stała przepiękna szafka hebano-Wa, w stylu renesansowym,

zapewne imitacja (choć nie jestem tego Pewna), odziedziczona przez Maminka po prababce. Szafka, wysokości 1,60 m, była bogato inkrustowana masą perłową i srebrem. Na

93

drzwiczkach miała dużą, owalną, srebrną tarczę z gołą nimfą. Błat przykrywający szafkę od góry, był z czarnego marmuru. Boki półokrąg. łe, bez ozdób. Z obu stron szafki stały dwa krzesła, również hebanowe i inkrustowane, wyścielane adamaszkiem szampańskiego koloru. Na wierzchu szafki królowała wspaniała, bardzo stara patera z czerwonego kryształu. Dziwnie wyglądał fragment tego ongi luksusowego salonu, który spadkobiercy w dosyć osobliwy sposób podzielili między siebie, obok tego brzydkiego łóżka i dalszych części umeblowania, już zupełnie pozbawionego charakteru. Otomana, jakaś kanapka, jakieś biureczko za trzy grosze. Na ścianie nad otomaną wisiał znany portret bardzo włochatego Marksa, a tuż obok reprodukcja rysunku przedstawiającego przecudny zresztą profil Liny Cavalieri. Dopiero wiele lat później dowiedziałam się, że owa Cavalieri była sławną kurtyzaną końca zeszłego stulecia. Maminek nic o tym nie wiedział, powiesił ów obrazek, bo mu się podobał, i tak sobie razem tkwili, w najlepszej zgodzie — Marks, ucharakteryzowany na Pana Boga, i zasłużona kurwa. (To ostatnie słowo nie było wówczas w tak powszechnym użyciu jak dzisiaj. Pamiętam, jak długo się zastanawiałam, już czytając Słówka Boya, co znaczą słowa: „I ta skromna pod drzewem kurewka”. Sądziłam, że to błąd druku. Może miało być „krówka”, ale brakowało sylaby. Widocznie zecer coś pokręcił. Byłam tak pewna omyłki, że nawet nie zapytałam Dzieciucha o wyjaśnienie, którego by mi z pewnością udzielił. Takie były czasy).

Bliżej okna wisiała reprodukcja obrazu Muncha pt. W łapach zależności, przedstawiająca bezkształtnego potwora o gorejących oczach, który dwiema mackami, ułożonymi w półkole, otaczał nagiego człowieka ze spuszczoną głową. Człowiek ten stał tyłem do szczeliny, która jednak widniała między mackami i miała oznaczać, że wyjście jest, tylko on go nie widzi. * Obraz ten, którego nienawidziłam, bardzo si? podobał Maminkowi, który często stawał przed nim i mówił: „W łapach zależności! Najgorsze, co może się człowiekowi przytrafić, to być od kogoś zależnym. Gdyby mi się to kiedyś miało zdarzyć, gdybym miała być zależna, choćby od ciebie, to pamiętaj, wolę umrzeć”. Bardzo mnie zasmucały te słowa, a zwłaszcza fakt, że ewentualna zależność ode mnie (tak strasznie kochałam Maminka!) wydawała się jej gorsza od śmierci. Aby dopełnić grozy tych, tak bolesnych dla mnie słów Maminka, dodam, że pod Munchem wisiała mała reprodukcja Jacka Malczews-

94

kieso, przedstawiająca piękną, choć ponurą kobietę, oznaczającą 'tnierć, która łagodnie kładła palce na powiekach starego, zmęczonego człowieka. Na podłodze leżał wysłużony perski dywan, też odziedziczony Całość pokoju była raczej dziwaczna, meble nie zharmonizowane ze sobą, a jednak wszystko razem stanowiło zespół miły, dzięki atmosferze, którą roztaczał Maminek (są takie kobiety, które umieją wypełnić najbrzydsze nawet mieszkanie ujmującą atmosferą), tak że każdy, kto przychodził, wołał nieodmiennie: „Jak tu miło”.

Pokój był przechodni, następny za nim też przechodni — do WC, łazienki i kuchni. Ten drugi pokój pełnił funkcje jadalni, miał pośrodku biedermeierowski rozsuwany stół, do którego jednak brakowało przyzwoitych krzeseł i zastępowały je brzydkie, „wiedeńskie”, gięte. Przy ścianie stał śliczny, stylowy, mahoniowy kredens, którego Maminek nienawidził, bo według niej wszystkie kredensy i szafy trąciły „mieszcząństwem”. Na ścianie wisiał zegar, też z jakiejś schedy, o którym Maminek mówił z szacunkiem: „To antyk, Ludwik XVI”, a który nasza ówczesna Olesia nazywała po prostu „Antek-Ludwik”, nie dziwiąc się wcale, że zegar nosi imię, i to podwójne. Z tej jadalni niewielka wnęka prowadziła do ciemnej alkowy, gdzie stało łóżko Maminka i szafa — mebel wstydlivy. Maminek nigdy nie sypiał w tym samym pokoju co Nyk. Dlaczego wybrali mieszkanie, które z samego swego założenia było przeciwne wszelkiej małżeńskiej intymności? Jak się urządzali, że nigdy ich nie zastałam

razem w tym czy tamtym łóżku — nie wiem. W każdym razie nie byłam świadkiem jakiegokolwiek małżeńskiej czułości między nimi, nawet pocałunku. I myśl o tym, że są sobie bliscy fizycznie, jakoś nie docierała do mojej świadomości.

Mieszkanie to, o niewygodnym rozkładzie, nie było podobne do mieszczańskich, stereotypowych i bezdusznych wnętrz, których Maminek szczerze nienawidził. No i jeszcze nie wspomniałam o książkach, ustawionych i rzuconych byle jak, ale sczytanych do cna. Wołę książki zniszczone od czytania niż pięknie oprawne, ustawione równo, nigdy nie otwierane. U nas książki były przedmiotami pierwszej potrzeby: czytało S1? je w różnych pozycjach, przeważnie na leżąc, czytało się je w Rozecie i przy jedzeniu, czytało sieje podczas choroby, wypoczynku i zdenerwowania. Ich wygląd nie cieszył oka, ale świadczył o ich

solutnej niezbędności. Wśród książek nie było ani jednej szmiry: tego ^aniinek surowo przestrzegał, ale obok autorów polskich było i wielu sX)skich, bo cały dom czytał biegle w tym języku.

95

L

Pisałam uprzednio, że miałam trzech „murowanych” wielbicieli niemal dosłownie „murowanych”, bo solidarnie tworzyli niejako mur oddzielający mnie od reszty mężczyzn. Ze Stefanem i Jerzym nie byJ0 żadnych specjalnych problemów, za to Dzieciuch nastęczał ich wiele

Po odzyskaniu niepodległości Dzieciuch przystąpił do organizowanej przez PPS milicji, która miała za zadanie stworzyć coś odrębnego bardziej „świadomego” politycznie, bardziej „ludowego” niż państwowa policja. Dzieciuch po zgromadzeniu oddziałku, którym dowodził (jak to się odbyło, nie pamiętam), wyruszył gdzieś na prowincję, do przydzielonej sobie kwatery i poszedł spać. Rano okazało się, że jego oddziałek nocą złupił miasteczko, pogwałcił kobiety, a nawet może kogoś i zabił. Na tę ponurą wiadomość, która tak straszliwie odbrazowała jego armię ludową, Dzieciuch wyjął rewolwer i palnął sobie w samo serce. Chybił o parę centymetrów, przeleżał dłuższy czas w szpitalu i wyszedł, uleczoney z miłości do ludu. O całym tym epizodzie, o którym nie chciałam mówić, dowiedziałam się dopiero później, od innych.

Moja przyjaźń z Dzieciuchem zacieśniała się coraz bardziej i z mojej strony przeobraziła się prawie w miłość, z jego zaś w miłość dożywotnią. Niestety (czy na szczęście) moja stendhalowska krystalizacja została przerwana, dość idiotycznie i brutalnie. Oto Dzieciuch zapoznał mnie z młodocianą grupą plastyków i ze swoim kuzynem, malarzem, Mieczysławem Szczuką, chłopcem o potężnej indywidualności i niezwykłym talencie. Poszliśmy na jakieś prywatne przyjęcie, u kogoś na przedmieściu Warszawy. Byłam uradowana, bo przez całe życie lubiłam poznawać nowych ludzi. W ciasnym pokoju wśród tłumu nieznanomych poczułam się trochę nieswojo, rozejrzałam się za Dzieciuchem. Zniknął. „Poważna” młodzież ówczesna nie umiała się bawić. Były więc tylko rozmowy, które mnie zbyt nie zajęły. Jakoś wytrzymałam tych par? godzin i chciałam wracać. Dzieciuch był wciąż nieobecny. Co si? okazało? Oto poszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdował się bufet i napoje, i natychmiast upił się śmiertelnie, prosto z butelki, chociaż zazwyczaj nie pijał. Jakoś go tam odnalazł Szczuką, leżącego po” stołem, i wyprowadził do przedpokoju, gdzie się już ubierałam. Przeraziłam się zobaczywszy Włodka. Miał błędne oczy, twarz wykrzywioną głupio, ni to śmiechem, ni to bólem. Wyszliśmy we troje wraz ze Szczuką na ulicę i tam Dzieciuch zwałił się, dosłownie, do rynsztoka.

96

nlą czytelnika tych wspomnień to, co powiem, może się wydać • ne albo nieprawdziwe, ale istotnie nie widziałam podówczas nigdy cze z bliska naprawdę pijanego człowieka. Kiedy Szczuką podniósł Włodka, był on cały umazany błotem i obrzygany, wyglądał wstrętnie. S

czuka posadził go wprost na ulicy, oparł plecami o mur i zajął się mną. A byłam naprawdę godna pożałowania. Najpierw przerażona, że to 'akaś straszna choroba, a kiedy zrozumiałam, o co chodzi, doznałam uczucia tak gwałtownego wstrętu i oburzenia, że zaczęłam się cała trząść i wybuchnęłam płaczem. Wtedy Szczuką zachował się cudownie. Nie sztychował ze mnie ani z Włodka, wsadził go do przejeżdżającej dorożki i zapłacił, po czym objął mnie czule za ramiona, serdecznie, po ludzku i poszliśmy przed siebie milcząc. Tak przechodziliśmy więcej niż pół nocy, aż wreszcie, już zupełnie uspokojoną, odprowadził mnie do domu. Od tej chwili zostaliśmy przyjaciółmi na śmierć i życie.

Dzieciuch zjawił się nazajutrz skruszony, błagający o przebaczenie. Przebaczyłam, ale nieodparte uczucie wstrętu fizycznego pozostało. Nie było już mowy o czymkolwiek między nami. Dzieciuch szalał z rozpacz. Do dziś widzę jego dużą, śmiertelnie bladą, dziecięcą twarz, z kropelkami potu na górnej wardze i pamiętam moje uczucie bezsilności. Mogłam go dalej lubić, ale nie mogłam już w nim widzieć mężczyzny. Dzieciuch, widząc, że nic nie wskóra, wyjął z kieszeni rewolwer, zapewne ten sam, którym poprzednio omal nie przestrzelił sobie serca, odwrócił się i pędem zbiegł ze schodów. Rzuciłam się za nim przerażona, ale go nie dogoniłam. Mądry Maminek powiedział: „On nie do siebie będzie chciał strzelać, tylko do ciebie” i dopiero później okazało się, że miał rację. Odtąd na długi czas Maminek zakazał mi wychodzić samej na ulicę i otwierać drzwi, kiedy rozlegał się dzwonek. Taki stan trwał parę tygodni i przez Stefana dowiedziałam się, że Dzieciuch istotnie latał jak oszalały z rewolwerem i chciał mnie zabić. Ale potem, czy to na skutek perswazji przyjaciela, czy też poczuwszy nieodwracalność sytuacji, zrezygnował z morderczych zamiarów i zaciągnął się, jako lekarz (choć ^{le} miał jeszcze ukończonych studiów), na statek szkolny „Dar otnorza” i na nim wyruszył w podróż dookoła świata. Z „Daru otnorza” słał do mnie najpiękniejsze w świecie listy, w których była ilość, i przygoda, i subtelna analiza własnych stanów duszy oraz Wetki ludzi, podróżujących wraz z nim na statku. Żałuję, że te listy ginęły. Bez zmian i ulepszeń stanowiłyby doskonałą książkę podróżniC²-psychologiczną.

~ ^znania...

97

Ale wybiegłam dość daleko naprzód. Na razie zbliżam się do rok 1920. Od „wybuchu Polski” aż po ten czas nasze socjalistyczne sumienia, moje i moich przyjaciół, doznawały niemałych cieżg^o Dezorientacja rosła. Z Rosji napływał wciąż tłum uciekinierów, z ustaryj pełnymi krwawych opowieści. Byliśmy przeciwnikami białych kontr, rewolucjonistów, wydawało się nam, że armia „czerwona” musi być „lepsza”, mniej okrutna, bo niosąca ze sobą nowe światło dla ludzkości. Ale to okazywało się nieprawdą. Co gorsza, w samej Rosji nie na polu bitwy lała się krew. Przystwoiliśmy sobie straszny frazes, że „rewolucji nie robi się w białych rękawiczkach”, ale choć należało — naszym zdaniem — zniszczyć burżuazję jako klasę, po co zabijać niewinnych ludzi za samą przynależność do tej klasy, często porządnych ludzi, a nawet sympatyków ruchu robotniczego. Z likwidacją eserów, też towarzyszy walki, żadną miarą nie mogliśmy się pogodzić. Tortury w XX wieku? To było nie do uwierzenia i staraliśmy się w to nie wierzyć, ale groźnych opowieści było coraz więcej i nasza wiara w nowy, lepszy świat dość szybko topniała.

I w Polsce ludzie siedzieli w więzieniach — czemu byliśmy gorąco przeciwni — ale o torturach i o wyrokach śmierci nie było mowy, Byliśmy przeciwnikami wyprawy Piłsudskiego na Kijów, ale szaleliśmy z radości na wieść o tym, że Żeligowski zajął Wilno. Te sprzeczne zdarzenia i uczucia szarpały nami bardzo mocno, wahaliśmy się?, dyskutowali, często nie spaliśmy w nocy, nie mogąc wybrnąć z tego chaosu. Ale nadszedł rok 1920 i armia sowiecka podeszła pod Warszawę. Z tym niepodobna się było pogodzić. Znowu dostać się „pod Rosjan”, stracić tę niepodległość, która przejmowała nas taką radością i dumą? Za nic! Jerzy Krzy wieki, podówczas jeszcze nie mój narzeczony, tylko serdeczny przyjaciel, walczył z sobą. Co robić? Pamiętam naszą gorączkową rozmowę na ten temat w tramwaju i potem u

mnie, w moim pokoju. Zgłosić się na ochotnika? „Ale przecież to armia rewolucyjna, to walczący proletariatus” — mówił Jerzy. „Tylko po co pchają się tutaj! — wołałam. — Jakim prawem Rosjanie chcą okupować znów nasz kraj?” — „Tak, to są jakieś zgniłe resztki imperializmu — mówił Jerzy — Naszą sprawą przede wszystkim jest bronić Polski”. Tak też zrobił* Nazajutrz zaciągnął się do wojska. Brał udział w bitwie o Warszawę, ale poza tym wiele nie zwojował. Dostał krwawej dezynterii, i kiedy wyszedł ze szpitala, już było po wszystkim.

Ów „cud nad Wisłą"! Ludność Warszawy, przerażona i stroskana, n'6

98

, wiele tej nocy, ale kiedy nadszedł świt, okazało się, że Rosjan już • ma. Podobnie obłąkańczą, szaleńczą radość dane mi było przeżyć niema pierwszy

raz, kiedy Polska okazała się niepodległa.

\Ve wczesnym dwudziestolecium z Rosji do Polski przyjeżdżali z wizyta-uu wybitni artyści: Majakowski, Pilniak, Babel i inni. Pojawili się też na krótko uciekinierzy — artyści rosyjscy, którym się zrobiło duszno i nieswojo w komunizmie: Igor Strawiński, który chciał wziąć paszport polski ze względu na swe pochodzenie i przez głupotę naszych władz go nie dostał, Ilja Erenburg, znakomity pianista Aleksander Briałowski i inni. Pamiętajmy, że były to czasy Meyerholda, Eisensteina i Pudow-kina, „Siniej Pticy”.

Poznawałam tych przyjezdnych i przejezdnych przede wszystkim dzięki Mieczysławowi Szczuce. Był ważną postacią w moim życiu, chcę mu w moich wspomnieniach udzielić trochę miejsca. Wysportowany, muskularny (podówczas rzadkość), taternik, ale o bladej, nieco trupiej twarzy, z zadartym, małym nosem, nie był piękny, ale za to fascynujący. Był najwybitniejszym obok Henryka Stażewskiego studentem nowo powstałej Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i tak dalece przez profesorów-malarzy ceniony, że dostał za darmo pracownię w tejże Szkole. Kiedy go poznałam, malował wielkie, różne w wyrazie i w kolorach wizerunki Chrystusa, miał obsesję na tym punkcie (dostałam takiego jednego Chrystusa, ale zginął, jak wszystko, co posiadałam). Potem zapalił się do nowoczesnej plastyki, był to bowiem okres prawdziwego przewrotu w malarstwie, rzeźbie i architekturze całego świata. Założył po jakimś czasie wraz ze swą ukochaną, Teresą Żar-nowerówną — ładną, ale niezbyt sympatyczną — utalentowaną rzeźbiar-ką, i Henrykiem Stażewskim (później, po wojnie profesorem w tejże Akademii) pismo „Blok”. Było ono bardzo nowatorskie i nie ustępowało ^„futurystycznym” publikacjom zagranicznym. Choć sam Szczuka odżegnywał się od futuryzmu i nazywał swój kierunek, podobnie jak bliscy mu Poglądami plastycy rosyjscy — konstruktywizmem.

Gdyby nie to, że widziałam na własne oczy, jak Szczuka, Żar-n°werówna czy Stażewski biedzili się nad wyszukiwaniem nowych form Plastycznych, skłonna byłabym sądzić, że nowa plastyka, abstrakcyjne malarstwo — to po prostu łatwizna, nieco cyniczne figle i drwiny 99

z publiczności, Mondrian czy Klee to zwykli kawalarze i że „, potrafiłabym tak samo”, jak zresztą uważała znakomita większość tż\v elity kulturalnej. Nie popełniłam tego błędu właśnie dzięki Szczuce i jego doprawdy natchnionym wywodom na temat nowych kierunków w sztuce. Od tego chłopaka, od jego trupio bladej twarzy i małych, płonący^ oczu była taka siła, że niepodobna było się oprzeć jego słowom. A prn całej swej gwałtowności był to człowiek niezwyklej, aktywnej dobroci i szlachetności. (Zginął latem 1927 roku, ratując dwóch młodych taterników, których — być może — lekkomyślnie wyprowadził w góry, Bo zwykłego rozsądku miał w sobie Szczuka niewiele). Zanim go poznałam, przebywał w Zakopanem, w sanatorium, konając na gruźlicę. Kiedy się przekonał, że nie ma dla niego ratunku, powiedział sobie: „Co mam zdychać tu, między murami, wolę umrzeć w górach”, po czym uciekł z sanatorium, bez jakiegokolwiek ekwipunku, i błąkał się po szczytach, nie

dojadając, moknąc i marznąc na złośliwym wietrze. Wyszedł z tej szaleńczej wyprawy zdrowiusieńki, ale góry, które wróciły mu życie, miały mu je wkrótce zabrać. Złowieszczym znakiem losu stała się dla niego Zamarła Turnia, z której spadł. Gdyby żył, zostałby na pewno jednym z pierwszych plastyków świata, chyba że i jego, jak tylu innych zdolnych, pogrzebałaby nieszczęsna polska dola, nie pozwalająca włączyć się naszym artystom w nurt światowej kultury.

Wspominam czasem noc, którą przespacerowaliśmy razem po kretańskim upiciu się Dzieciucha i mojej równie kretańskiej na to reakcji (którą zapewne można wytłumaczyć tym, że po prostu Włodka nie kochałam). Wspominam naszą ładną, bez domieszki erotyzmu przyjaźń i jego absolutne oddanie w stosunku do przyjaciół. Bo poza tym był Szczuka typem fanatyka, zarówno jeżeli chodziło o politykę, jak o sztukę. Czasem bywało to śmieszne i dziecinne, jak kiedy wyzwał na pojedynek Słonimskiego za to, że wyraził się źle o nowoczesnej plastyce. Nie znałam jeszcze wówczas Mietka, ale wiem, że to nie on, gwałtowny, impulsywny, zniszczył przeciwnika, jak tego zdaje się pragnął, ale to Słonimski postrzelił go w kolano. Trzeba powiedzieć, że Słonimski za młodu był bitny i miał nie tylko niebezpieczny język, ale i rękę. Po tej kulce w kolano Mietek chyba zmadrał i zrozumiał, że nie w ten sposób załatwia się spory artystyczne. Był natomiast nieprzejednanym komuflif' sta (choć nigdy partyjnym) i uważał, że dopiero rewolucja rosyjska wzniesie sztukę na niebywałe dotąd wyżyny.

Były to czasy Malewicza, Kandinsky'ego, konstruktywizmu, futuryZ'

100 .i.

u na zachodzie. Ile te kierunki wniosły nowego i nieoczekiwanego, byteczne dzisiaj mówić.

Ci wszyscy obrazoburcy, dziś starsi panowie,

ile przeżyli dotąd, stali się klasykami. Gorzej było z literaturą. O ile wielcy współcześni plastycy wywiedli się właśnie z tej epoki (i nieco wcześniejszej), o tyle wielcy pisarze poszli po zupełnie innych, zresztą całkowicie indywidualnych i w żadnej mierze nie „kierunkowych” ścieżkach. Kafka, Proust, Joyce, a potem Amerykanie, nie mieli nic wspólnego z ówczesnym futuryzmem, bo surrealiści to jednak było co innego. Istniały różne dadaistyczne wyglupy (też dziś uznane za klasyczne), a w Polsce sporo hałasu narobił Aleksander Wat ze swoim Ja z jednej strony i Ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka. Ale choć bardzo lubiłam Wata, który był zawsze miłym i inteligentnym człowiekiem, nie mogłam w nim uznać swego mistrza. Nie mogłam się w żaden sposób pogodzić z bredzeniem publikowanym w „Błoku”, a w każdym razie czułam się niezdolna do pisania bez sensu. Szczuka lubiąc mnie, brał mi za złe, że w tym, co pisałam, byłam „passeistką”. Sparaliżował mnie pisarsko na długo, bo jakoś nie umiałam znaleźć własnej drogi. Byłam więc jedynie kibicem konstruktywizmu.

Le Corbusier był dla nas wszystkich prorokiem i objawieniem. Rozczarowanie do tego, czym w praktyce się okazały skądinąd genialne idee wielkiego architekta i urbanisty, przypomina w pewnej mierze rozczarowanie do komunizmu, tak pociągającego na papierze. Wielkość Le Corbusiera wydawała się nam zawrotna (zresztą słusznie). Genialnie pomyślane domy, bez ciemnych podwórek (jak to choćby, gdzie mieszkałam), bez suteryn, gdzie „Jaś nie doczekał”, bez morderczych zarówno zimą, jak latem poddaszy. Okna na całą ścianę, płaskie dachy, mogące służyć jako tarasy. Wszystko było nowością, wszystko było olśnieniem, więcej nawet, było spojrzeniem na nowy, wspaniały świat, gdzie i proletariusz, i robotnik, i inteligent będą mieli takie samo prawo do słońca, powietrza i zieleni. W tych nowych, tak odmiennych od dawnych mieszkaniach, mieli się wychowywać nowi, dojrzałsi, bardziej świadomi i szczęśliwsi ludzie.

Znajdowaliśmy piękno w prostych, surowych liniach nowej architektury funkcjonalnej (pierwszy raz wówczas pojawiło się to słowo), bez zbędnych ozdóbek. Któż mógł przewidzieć, że z tych projektów genialnego architekta wyłonią się w rezultacie monotonne,

chandryczne °siedla bez wyobraźni, budynki-potwory nie na miarę i możliwości hdzkiego istnienia.

101

Z komunistów i komunizujących, których znałam w owych czasach ocalał na szczęście Wat, ocalał Stawar i najbliższy mi z nich, już niema legendarny, Władysław Broniewski. Pisał piękne wiersze. Odznaczaj Sj { rzadką szlachetnością i bezinteresownością, ale nie był nigdy specjalny inteligentny. Miał szeroką, buńczastą twarz, kartoflany nos, lecz serce nj dłoni i specyficznie polską wylewność. Nie można z nim było właści\vi(porozumiewać się skoordynowanymi zdaniami, tylko raczej wy krzyk nikami, uściskami dłoni, ciepłymi spojrzeniami. Przywiózł sobie skądś z prowincji prześliczną, młodziutką, nieśmiałą żonę, z którą wówczas bardzo się zaprzyjaźniłam.

Moimi bliskimi znajomymi byli też dwaj poeci — Witold Wandurski i Stanisław Ryszard Stande. Niewielkiego lotu, ale uczciwi, naiwni idealisci. Pamiętam, jak Wandurski pokazywał mi album poświęcony swojej córeczce. Były to fotografie z różnych momentów życia dziecka, naklejone na kartki albumu z dużym poczuciem plastycznym, w geometrycznym układzie i z zabawnymi legendami pod każdą fotografią. Album ten, który Wandurski robił dla zabawy i z czułości dla córeczki, gdyby się był zachował, stanowiłby zapewne najwybitniejszy jego utwór, częściowo wierszowany, częściowo prozatorski. Ale przepadł oczywiście. Nic więcej nie mogę powiedzieć o tych dwóch chłopcach, którzy święcie wierzyli, że oto nastał nowy, sprawiedliwy czas na Wschodzie, i dla których słowo „rewolucja” brzmiało humanitarnie. Zginęli zamordowani w sowieckiej Rosji, podobnie jak należący do tej grupy Bruno Jasiński.

Wspomnieć tu można o ówczesnej radzieckiej ambasadzie. Na jej czele stał piękny i bardzo inteligentny ambasador Dawtian, Gruzin, który chętnie i umiejętnie, bez nachalnej propagandy i szpiclowskiefl zakusów zapraszał na przyjęcia przedstawicieli tzw. postępowej polskiej inteligencji. Nastrój był przyjemny, gospodarz czarujący, goście mili i zajmujący, salatory pełne kawioru. Ale oto pewnego dnia ambasador Dawtian zniknął. Biedaczysko — trudno bez współczucia myśleć, co si? z nim stało w jego kraju.

Oprócz trzech najbliższych przyjaciół, Stefana, Włodka i Jerzego, i kółka serdecznych znajomych, z których kilku okazało się poważnyml artystami, miałam koło siebie jeszcze paru „wielbicieli”. Warto o nich

102

'miechu wspomnieć, bo ich zaloty, ich sposób bycia malują nie tylko arnych, ale i epokę odmiennych tak bardzo obyczajów. 10 Tednym był Czupryniasty, którego tak przezwalałam z powodu nie-vkle bujnej czupryny i nawyku chodzenia z gołą głową, co było ówczas rzadkością, a nawet swego rodzaju nieprzyzwoitością. Czup-iasty by} studentem prawa i bez trudu mógł się ze mną poznać, ale j2dy nic w tym kierunku nie zrobił, wystawał jedynie na podwórzu dornu, w którym mieszkałam, z głową zadartą, patrząc w moje okna. Chodził za mną jak cień na uniwersytet, z uniwersytetu, po sprawunki, raz nawet polazł za mną na jakiś pogrzeb. Nigdy nie podszedł ani nie powiedział słowa. Śmieszyło mnie to i irytowało. Irytowało też naszego dozorcę, czyli, jak się wówczas mówiło, stróża, który —jak na owe czasy przystało — siedział cały dzień na ławeczce w bramie. Kiedyś powiedział podobno Czupryniastemu: „Czego pan tu stoi, niczego pan nie wystoi. To porządna panienska”. Ale Czupryniasty stał dalej. Po roku czy dwóch takiego wystawiania nagle podszedł do mnie, patetycznym ruchem wręczył mi jakąś książkę, powiedział głucho: „Idę na wojnę”, a więc musiał to być rok 1920, i odszedł szybkim, nieco teatralnym krokiem. Więcej go już nigdy w życiu nie zobaczyłam. A co to była za książka? Może zbiór poezji miłosnych czy powieść o nieudanej miłości? Nic podobnego. Był to uniwersytecki podręcznik historii filozofii. Co chciał przez to wyrazić? Nie dowiedziałam się nigdy.

Drugi mój cień to był niejaki Leonek Sołecki. Już nieco później. Ten był kolegą i znajomym, no i nie chodził za mną, jak Czupryniasty, ale obok mnie. Wyznawał mi co dzień swą miłość, co mijало absolutnie bez echa. Był to przystojny chłopak, dosyć głupi, też student. Pamiętam, że kiedy pojechałam na któreś wakacje do Zakopanego, Leonek ruszył za mną, a że wydał prawie wszystkie swoje pieniądze na bilet, więc żywił się wyłącznie surowymi jajkami, których sporo nosił zawsze w kieszeniach. Kiedy wchodziłam do jakiegoś sklepu czy kawiarni albo szłam z wizytą do znajomych, Leonek zostawał na zewnątrz, wyjmował jedno jajko po "rugim, nakłuwał z obu końców i wypijał duszkiem. Nie zniechęcała go m^oja obojętność przez długi czas, chyba przez parę lat. Potem jednego dnia znikł mi z oczu na zawsze.

Z innym sprawa była krótka. Poznałam go na „tańczącej herbatce” u Jednej z koleżanek. Przetanączył ze mną walca i natychmiast za-Pr^oponował mi małżeństwo. Ośłupiał, kiedy odmówiłam. Jego kuzyn-

a> a moja szkolna koleżanka mówiła mi z wyrzutem, że to bardzo

103

brzydko z mojej strony, że rodzina jego ma mi bardzo za złe tę odmowę Mój nieco raptusowy wielbiciel był Żydem, nazywał się Szereszewski Była to znana w Warszawie, bardzo bogata rodzina. Niedługo potem zaproponował mi małżeństwo jego brat. Musieli być bardzo peⁿj swego, jako bogaci chłopcy, i sądzili, że takich partii się nie odrzuca Jeszcze jedno oświadczyły miłosne: pewnego bubka, poznanego w Zakopanem. Nie mając złudzeń co do jego poglądów, powiedziałam wręcz: „Ale ja jestem Żydówką”. Krzyknął boleśnie: „To niemożliwe, niemożliwe!”, złapał się za głowę i uciekł. Wrócił po trzech dniach skruszony i powiedział: „Mimo wszystko chcę się z panią ożenić”. Na to ja: „Mimo wszystko nie mam ochoty wyjść za pana za mąż”, Ośłupiał.

A oto inne zabawne wspomnienie z czasów studenckich. Wśród profesorów „mego” uniwersytetu wyróżniał się również profesor Gustaw Przychocki, nie tylko interesującymi wykładami, ale i niezwykłą urodą. Był tysi jak kolano i miał twarz rzymskiego senatora. Bardzo zerkał w moją stronę, wobec tego nosiłam na jego wykładach ciekawą srebrną opaskę na głowie, co zresztą było wówczas modne. Kiedy podpisywał mi indeks, nie omieszkiwał prawić komplementów na temat mego „klasycznego” wyglądu i greckiej głowy, choć moja twarz była o wiele mniej klasyczna niż jego. Na tym się kończył na razie nasz flirt. Nadeszły któreś tam wakacje i spotkałam go przypadkiem w Zakopanem. Wtedy dojrzała we mnie decyzja: miałam już ponad dwadzieścia lat i absolutnie nie mogłam się zakochać. Daleko odeszły wspomnienia o Leonidzie i Sierioży. Wrażliwa w wieku lat kilkunastu, stałam się jak lodowiec w późniejszych latach. Bardzo byłam przywiązana do moich trzech bliskich przyjaciół, zwłaszcza do Dzieciucha, ale o miłości nie było mowy. A czas już był — moim zdaniem — stracić cnotę. Oczywiście z kimś pięknym i niezwykłym. Zwłaszcza zależało mi na urodzie, moi trzej przyjaciele byli najwyżej przystojni. Wybór mój padł na profesora Przychockiego, zwłaszcza że spotkawszy mnie w Zakopanem, daleko od murów uniwersyteckich, zaprosił mnie do kawiarni. W czasie naszej rozmowy, na środku Krupówek, stała się rzecz dziwna. Nagle Przychocki padł na kolana. Ośłupiałam. Było to trochę przesadne, mimo jego

104

plernentów i miłych słówek. Rozejrzałam się bezradnie dokoła • ^ostrzegłam, że przejeżdżał właśnie ksiądz z Sakramentem do 1 mierającego. Po chwili Przychocki wstał, otrzepał spodnie i prowadził dalej rozmowę w sprawie planowanego podwieczorku, frochę mnie zmroziła ta historia: moje laickie serce buntowało się zeciw temu, aby profesor uniwersytetu, bądź co bądź, padał na kolana na środku ulicy. Zaproszenie jednak przyjął. Byłam na tyle głupia, że pochwaliłam się tym przed paroma koleżankami, które wówczas też bawiły w Zakopanem na wakacjach. Aliści kiedy następnego dnia, z bijącym sercem, siadłam u Płonki,

zobaczyłam tuż obok stolik utkany dziewczynami, które uśmiechały się ironicznie i chichotały. To mnie zupełnie sparaliżowało. Kiedy przyszedł Przychocki, piękny i wyniosły, byłam zmieszana i nudna jak lukrecja. Zdając sobie sprawę, że to nasze spotkanie musi być niewypałem, zdobyłam się na heroizm i zaproponowałam mu wspólną wycieczkę w góry. Spojrzał na mnie bystro i powiedział: „Najchętniej, ale czy pani wie, że im jest wyżej, tym mam mocniejszy zawrót głowy i wtedy nie odpowiadam za to, co robię?” Zależało mi właśnie na tym, żeby tego zawrotu głowy dostał, ale kiedy wyskoczył z tym tak ex abrupto, zmieszałam się i nic nie odpowiedziałam, spuściwszy oczy. Na to on dodał: „Pani ma za czyste czoło dla mnie”. Koleżanki chichotały. Jeszcze jakiś czas rozmawialiśmy z profesorem o niczym, a ja nie mogłam wykrztusić jawnej zgody na to, czym mi groził czy też co obiecywał. Pożegnaliśmy się w końcu uprzejmie i na tym się skończyła moja próba stracenia cnoty. Znacznie później, już jako trzydziestoparoletnia kobieta i znana pisarka, spotkałam Przychockiego na jakimś przyjęciu. Powiedziałam mu: „Czy pan zdawał sobie sprawę, że wybrałam pana jako tego, który ma mi odebrać cnotę, a pan się zrećcznie od tego wykręcił?” Bardzośmy się śmiali, a on wołał, uderzając się pięścią w czoło: „Idiota! Co za koronny idiota!”

Jak się niedawno okazało, po całym plotkarskim Zakopanem krążyła wówczas opowieść o tym, że jestem kochanką Przychockiego. Tak zinterpretowano moją niewinną idyllę i teraz echa tej plotki do mnie dotarły. Nie udało mi się tedy ta pierwsza przygoda, której scenariusz ^obmyślałam sobie starannie i nazbyt na zimno: góry, piękny, w dodatku starszy mężczyzna. Bo od początku widocznie byłam predestynowana o tego, by zakochać się w starszym mężczyźnie.

105

Uniwersytet nie odegrał w moim życiu większej roli, a studia polonistyczne wydawały mi się dość odpychające. Żałowałam, że nie poszłam na ogrodnictwo, to lubiłabym bardziej. Ale gdzie mogłaby[^] dostać pracę w ogrodnictwie z moim nazwiskiem? Było raz na zawsze ustalone w pojęciach polskich, że Żydzi nie lubią ziemi i że się do roli nie nadają. A ja przed zaśnięciem lubiłabym marzyć, że pracuję, schylona w swoim ogrodzie. Marzenie to zrealizowałam, jak tylko nadarzyła się sposobność.

W późniejszych latach uniwersyteckich wzrok mój był skierowany gdzie indziej. Oto w Warszawie trysnął nagle gejzer poezji. Pokazała się olśniewająca talentami grupa młodych poetów. Zawsze marzyłam o tym, aby się zetknąć z kimś, kto będzie bardzo nade mną górował, kto mnie olśni i zmusi do uwielbienia. Znalazłam w końcu to, czego szukałam. Nie byłam nigdy zazdrosna o wyższość umysłową, o urodę czy bogactwo. W ogóle uczucie zazdrości jest mi obce. Natomiast zawsze uwielbiałam to, co wyższe, mądrzejsze, piękniejsze ode mnie, i byłam szczęśliwa, mogąc z tym kimś czy czymś obcować.

Pierwszego wprowadzenia w świat, który potem miał się stać moim światem, dokonał Dzieciuch. Przyniósł mi pewnego dnia Stówka Boya i powiedział: „Masz, czytaj, to są rzeczy pozornie błahe i nieprzyzwoite, ale trzeba je traktować poważnie, to znaczy śmiać się, ale przypadkiem nie lekceważyć”. Jak łatwo się domyślić, pochłonełam Stówka i wkrótce umiałam je na pamięć. Odtąd każda książka opatrzona nazwiskiem Boya stała się dla mnie niemal magiczna. Na szczęście nietrudno było nabyć przekłady jego pióra. Były to czasy kryzysu i zarówno wydawcy, jak i księgarze masowo bankrutowali. Pozbywali się więc „towaru”, jak mogli, uważając głównie przekłady za „niechodliwe”. Kupowali je pokątni sprzedawcy, zdaje się, że na wagę, i stojąc na rogach ulic sprzedawali je z dużych koszy do bielizny. Kosztowało to grosze i choć miałam pieniędzy bardzo mało — zdobywałam je latając po korepetycjach — wydawałam na książki niemal bez ograniczeń. W dość krótkim czasie miałam już na własność pokaźną liczbę arcydzieł francuskiej literatury i ta lektura uformowała mnie na zawsze. Utrwaliła głęboką miłość do Francji i do kultury francuskiej. To był mój prawdziwy uniwersytet.

Wkrótce na Uniwersytecie zaczęło wychodzić pismo studenckie „Pr° 106 et Studio” redagowane przez kolegę Grycendlera, późniejszego . ganionego Mieczysława Grydzewskiego. Posłałam tam skromny orek pt KISĆ bzu i z niesłychaną radością zobaczyłam go w druku. W tym samym numerze ukazał się również pierwszy utwór Marii Kuncewiczowej. Ja swój wydrukowałam pod pseudonimem Irena Tennis*, Jak° że się urodziłam w Jenisiejku. Ale to nieważne. Ważne było że ten numer studenckiego pisma (rok 1918, zeszyt 13) narobił sporo szumu. Był w nim poemat Wiosna Tuwima. Nikt nie zdawał sobie wówczas sprawy, że był on pisany pod przemożnym wpływem Rimbauda. Zdaje się, bardzo nieliczni wiedzieli coś w Polsce o Rim-baudzie. Ale wiersz był wspaniały. Jednych ogarnął entuzjazm na widok mistrzostwa formy młodego poety, jego zuchwalstwa, jego siły. Inni zaczęli wydawać okrzyki zgorszenia i wrzaski nienawiści. Tu-wim — choć już opublikował wcześniej parę wierszy — obudził się pewnego dnia naprawdę sławny, jak Byron. Jego nazwisko było na ustach wszystkich, a skromne pisemko studenckie zostało roz-
chwywane.

Jeżeli o mnie chodzi, oniemiałam z podziwu. No i na tym się nie skończyło. Właśnie w owych czasach, na przełomie 1918 i 1919 roku, młodzi poeci poczęli występować w wynajętej przez nich kawiarni „Pikador” na Nowym Świecie. Znałam ich wszystkich z widzenia. Niektórzy byli moimi kolegami uniwersyteckimi, jak Tuwim, Czapski z siostrą czy Lechoń. (Często sporo starsi ode mnie, bo wtedy na Uniwersytecie Warszawskim znaleźli się ludzie różnego wieku.) Marzyłam już nie o poznaniu ich, ale choć możliwości popatrzenia z daleka i posłuchania, jak recytują swoje wiersze, co podobno robili świetnie. Jednakże wstęp do „Pikadora” kosztował sporo i nie stać mnie było na taki wydatek. Ale po jakimś roku przyjechał z Berlina mój bogaty stryj Juliusz, ten, który porzucił pracę naukową i poświęcił się robieniu majątku. Przyjechał i zapragnął spełnić jakieś moje życzenie. Spodziewał się, że poproszę o jakąś kieckę czy błyskotkę, ale ja powiedziałam: "Chodźmy do «Pikadora»".

>Jeżeli sądzisz, że warto, to pójdziemy" — i poszliśmy. Czemu nie nabraliśmy Maminka, nie pamiętam. Może nie chciała przyjąć drogiego uetu od bogatego krewniaka? Bo przecież zachwycała się poezją uwirna razem ze mną. Biedny stryj wynudził się porządnie, a kiedy yszliśny, wyznał, że nic z tego nie zrozumiał. Ja natomiast siedziałam Jak urzeczona, wpatrzona w tych młodych, tak piekielnie utalen-

107

towanych chłopców. Wszyscy w jakiś sposób wydali mi się piękni, nawet Lechoń, kościsty, kanciasty, z długim nosem i ironicznym uśmiechem nawet Słonimski, z nałaną, bladą twarzą. Już nie mówię o Wierzyńskiej urodziwym niewątpliwie, ale trochę jak z żurnala mody, i o Iwasz-kiewicz, pięknym inaczej, o grubych, zmysłowych ustach, nieco skośnych oczach i jakby egzotycznym uroku. W każdym razie wszyscy byli wysocy, postawni i naznaczeni strzałą poezji odmiennej niż romantyczna, odmiennej niż młodopolska, odmiennej od tego, co się wierszem dotąd pisało. Deklamowali też niekonwencjonalnie.

Obok porywającego uroku nowej poezji, kwitł tam dowcip doskonały i nieoczekiwany. A któż by się spodziewał dowcipu po poezji, która była zawsze prawie w Polsce uroczyta. Wśród tych chłopaków, dynamicznych, zadzierzystych, występowała też młoda Maria Morska, muza Słonimskiego (o czym się wiedziało). Śliczna, delikatna, o cudnych, koloru morskiej wody oczach, deklamowała dość sztucznie, ale z sobie tylko właściwą manierką, cedząc słowa cukrzonym głosikiem. Nawet nie marzyłam o tym, aby ich poznać, tak bardzo czułam się ich — bożków mego Olimpu — niegodna. Tego uroku, tej siły, nie miał poza Szczuką żaden z moich dotychczasowych znajomych. Bo Broniewski im nie dorównywał. A jeżeli czasem dorównał poezją, to nigdy wybitną indywidualnością. Gdyby mi ktoś wówczas powiedział, że ci niezwykli — jak uważałam — ludzie staną się kiedyś moimi najbliższymi

przyjaciółmi, tobym po prostu nie uwierzyła. Jeszcze dobrych kilka lat miało upłynąć, zanim to się stało.

Po śmierci Neli i Seweryna Godkowi było smutniej, ale łżej. Nie na długo zresztą. Stefa Osińska, gdy wróciła z Paryża, wplątała się w dwa skandale, jeden po drugim, od których aż huczało w Warszawie. Ta bardzo ładna dziewczyna, wesola i z dużym temperamentem, miała wielkie powodzenie i pamiętam dobrze z wcześniejszych lat, jak na jakimś balu w Zakopanem, gdzie asystowałam krótko, jako młoda dziewczynka, widziałam całą gromadę tłoczących się do niej mężczyzn, aby ją poprosić do tańca.

Po przyjeździe z Paryża miała romans z niejakim Domańskim, pułkownikiem nie wiem już jakich wojsk, rosyjskich czy austriackich, który został przez władze polskie oskarżony o szpiegostwo. Wsadzono

108

a i Stefę z nim razem. Był to dla Godka cios niesłychany. Jej siostra, ój matka, też siedziała w więzieniu, ale to przecież było co innego. Tu ził proces kryminalny i ponury rozgłos. Z tej całej sprawy ocalałam tylko wspomnienie relacji Maminka z wizyty u sławnego podówczas (i bardzo drogiego) mecenasa, Paschalskiego. Maminek opowiadał mi z oburzeniem, jak ów adwokat, obdzierając Godka finansowo ze skóry, traktował go lekceważąco, niemal obelżywie. „Czy pani wie, czym jest pani córka?” — Jeżeli się ma taką córkę, jak pani...” Godek wił się ze wstydu i rozpacz. Jej ukochana Stefa oskarżona o szpiegostwo. Na szczęście uratował moją kuzynkę dziennik, który prowadziła stale i w którym notowała wszystko, nawet rzeczy najbardziej wstydlive, powiedzmy, haniebne” — syczał wzniosły adwokat (zapewne była mowa o kochankach).

Z tego dziennika widać było, że Stefa nie miała pojęcia o poczynaniach Domańskiego, i zresztą nie jestem pewna, czy ów Domański był naprawdę szpiegiem, dość że Stefę z więzienia wypuszczono. Ale wygrzebawszy się z jednego skandalu, popadła w drugi. Była to głośna wówczas sprawa kobiety ginekologa, dr Zofii Sadowskiej oskarżonej o praktyki lesbijskie i o skłanianie do nich swych pacjentek.* Zamieszane w to były, prócz Stefy, panna Wanda Herse, stojąca na czele słynnego domu mody, jej przyjaciółka i niejako żona — Tworkowska, przedwojenne bożyszcze Warszawy — śpiewaczka operetkowa Lucyna Messal, zwana Messalką, i chyba inne panie. Dziś wydaje się to nam śmieszne: dorosłe kobiety robiły, co im się podobało, i nikomu nic do tego.

Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby lekarka skłaniała do lesbijskiego nierządu swoje pacjentki. Bajki! Młodzietki dziewczyny nie chodziły same do ginekologa, a dorosłe widocznie dobrowolnie ulegały. No ale nastąpiła denuncjacja, a nawet proces, przy czym, jeżeli mnie pamięć nie myli, spotkała dr Sadowską surowa kara: czy to więzienie, czy też może odebranie prawa praktyki. Warszawa po trosze oburzała się, po trosze szydziła, po trosze śmiała się po kątach.

Na Godka oba te skandale spadły jak uderzenie obuchem: nawet nie wiedziała, że kobiety mogą mieć coś ze sobą na tej płaszczyźnie Wspólnego. Uważała to za potworne i hańbiące, jak wówczas wszyscy fliernal. Skąd do niej, takiej spokojnej, takiej z gruntu poczciwej, wiernej swemu mężowi mieszcusi — taka córka?

Możliwe, że pomyliłam daty, że obie te sprawy nie były tak bardzo zbliżone w czasie. Fakt, że się zdarzyły i że duchowo powaliły Godka, tory absolutnie nie był przygotowany do tego rodzaju przeżyć.

109

Ciotka Stefa Hertzowa prowadziła zupełnie niezależny tryb życia, nje zwracając wiele uwagi na męża, z którym się jednak nie rozchodziła. Cały rok pracowała poważnie, jako lekarz, ciułała pieniądze na wakacje i wyjeżdżała z jakimś facetem, zdaje się, że przez sporo lat z tym samym. Przeżyła duże rozczarowanie w stosunku do męża. Zawsze chciała być żoną sławnego

człowieka, a tu, jak na złość, talent Benka najwyraźniej się skończył i bajki, jakie teraz pisał, nie dorastały do poziomu dawnych, znakomitych. W dodatku pojawili się pikadorczycy i zupełnie go zaćmili, nie tylko jeśli chodzi o poezję, ale też o dowcip. Benedykt Hertz został skazany na jakąś niewyraźną pracę w prowincjonalnych pismach i na pisanie książeczek dla dzieci. Tego mu dumna żona nie mogła przebaczyć. Kiedy się spotykali, szpikowała go złośliwościami, za które on nie pozostawał dłużny, tak że rozmowy ich nie były najprzyjemniejsze. Ciotka nie była dobrą matką, miała z mężem córkę, której też nie mogła wielu rzeczy przebaczyć: że nie była ładna, że nie była dość zdolna. Wobec tego lokowała ją po różnych znajomych, nie bacząc na to, czy dziecku jest dobrze, czy źle, odziewała ją w jakieś stare łąchy (sama zawsze bardzo wymuskana). Kiedy mała dostała szkarlatyny, wchodziła do jej pokoju tylko dwa razy dziennie, mierzyła temperaturę, dawała lekarstwo i wychodziła, zostawiając dziecko przez cały czas choroby samo. Maminek nieraz mówił: „Odpłaci jej córka za to”. Tymczasem nic podobnego. Magda okazała się najlepszym dzieckiem pod słońcem, opiekowała się matką najczulej, i to przez dziesiątki lat, bo ciotka Stefa dożyła prawie setki. Jednakże wizerunek tej dość osobliwej kobiety byłby niepełny, gdybym nie dodała, że była ona niezwykle mądra (rozmowa z nią była wielką przyjemnością), dzielna, zaradna, i bez najmniejszych przesądów. Uroda jej należała do trwałych i przyjemnie było na nią patrzeć. Na starość zrobiła się skąpa, w dość śmieszny, niemal dziecienny sposób, ale bardzo ją lubiłam, chętnie ją widywałam, a ona odpłacała mi tym samym. Kochała sukces, a ja miałam go później osiągnąć. Nie mogła przebaczyć córce braku tego sukcesu. Dopiero po drugiej wojnie Magda przez małżeństwo z Arskim*, prawą ręką Cyrankiewicza, uzyskała pewną pozycję, zwłaszcza w sferach partyjnych, i to na starość uspokoiło Stefę. Ciotka Hertzowa, już bardzo stara, kiedy sama postawiła diagnozę, że nie będzie więcej zdolna do normalnego życia, wierna sobie popełniła samobójstwo.

110

Na początku lat dwudziestych nie działo się u nas zbyt dobrze. Nyk ało i rzadko bywał w domu, a kiedy bywał, siedział i milczał, co bardzo towało Maminka. Nie było jednak na to rady. Miał osobliwy talent do niemówienia. Potrafił przez cały wieczór, czy to podczas obiadu, w ogóle nie otworzyć ust. Mnie było to obojętne, dosyć go lubiłam -- nigdy nie doznałam od niego niczego przykrego, ale to milczenie musiało doprowadzać do rozpaczyci wciąż zakochanego w nim Maminka. W rezultacie Nyk właściwie w naszym świecie jak gdyby się nie liczył. Jego życie, działalność, były dla nas zagadkowe. Uprzejmy i delikatny, ze swoją wyniosłą postacią i twarzą angielskiego lorda, z przystrzyżonym wąsem pod krótkim, ale nie pozbawionym wyrazu nosem, był w domu jak gdyby gościem grzecznym i dalekim. Jego obecność paraliżowała trochę mnie i Maminka, nasze żarciki i nam tylko zrozumiałe wygłupy, nasze zwierzenia (bo opowiadałyśmy sobie swoje przeżycia nie jak matka z córką, tylko jak dwie przyjaciółki), nasze czułości. Przy nim byłyśmy trochę sztuczne i sztywne.

Później nastąpił krótki okres, kiedy Nyk chyba zadurzył się we mnie. Było to widoczne, choć oczywiście panował nad sobą. Ale jego spojrzenia, głos, jakieś nieśmiałe muśnięcia rąk, nienawiść do tabunu moich chłopaków, zwłaszcza tych najbliższych, a więc najniebezpieczniejszych, nie pozostawiała złudzeń. Zdawałam sobie mętnie z tego sprawę, tak jak się to młodym zdarza, kiedy jakaś rzecz ich mało obchodzi. Maminek był nieswój, zdenerwowany i pewnego dnia mnie zapytał, z napięciem oczekując mojej reakcji: „A co byś powiedziała, gdyby Nyk zakochał się w tobie?” Było to niepotrzebne pytanie i nie do mnie powinno być skierowane, ale w odpowiedzi wybuchnęłam głośnym, nieco sztucznym śmiechem. „Czego się śmiejesz? — zapytał Maminek. — Co w tym takiego śmiesznego?” Śmiałam się dalej z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że w ten sposób ujawniona sytuacja wydawała mi się komiczna. Po drugie dlatego, że Nyk nie podobał mi się ani trochę, w ogóle nie myślałam o nim jak o mężczyźnie. A po trzecie dlatego, że mój śmiech, bardziej

niż wszystkie tłumaczenia, uspokoił ^aminka. Więcej na ten temat nie było między nami mowy, a Nyk aczął bardziej uważać na swoje spojrzenia i ruchy. Kiedy teraz czasem lc*2? młodą kobietę z córeczką, wychodzącą ponownie za mąż za ad\wartościowszego nawet w świecie człowieka, wiem, że po paru latach

111

prawie niechybnie staną w obliczu podobnej sytuacji. każdemu mężczyźnie, trudno znieść widok rozkwitającej w jego oczach młodej dziewczyny, podczas kiedy jego żona się starzeje. Zwłaszcza jeżeli to nie jest jego rodzona córka. A nawet czasem jeżeli córka.. '

Nyk, uświadomiwszy sobie (zapewne przy pomocy Maminka) sytua. cję, w jakiej się znalazł, postanowił najwidoczniej się z niej wyplątać, ale pęknięcie między nim a żoną pozostało. Jeżeli o niego chodzi, z pomocą przysłała mu adwokat Estera Iwińska, z domu Alter, siostra wspo. mnianego już Wiktora Altera. Była to kobieta dość przystojna, bez wdzięku Maminka, ale z dużym temperamentem, o czym było wiadomo Rozeszła się z mężem, nie-Żydem, Iwińskim, działaczem PPS-Lewicy który później zginął, jak tyłu komunistów, w Rosji, i prowadziła życie niezależne, pracując zawodowo i nie żałując sobie kochanków. Nyk znalazł przy niej to, czego potrzebował, ale Maminek popadł w straszliwą rozpacz i zazdrość. Jakoż Nyk był jedyną, prawdziwą miłością jej życia. W naszym dotąd tak spokojnym domu zaczęły się sceny, płacze, omdlenia, ataki histeryczne, które oczywiście nic nie pomogły. Maminek nie szukał u mnie pociechy, wręcz przeciwnie, był to okres (krótki, na szczęście), kiedy i nasze stosunki uległy oziębieniu, bo Maminka wszystko drażniło, irytowało i wybuchała — ona, tak nie małostkowa zazwyczaj — przy najmniejszym głupstwie. Biedactwo, zapewne wówczas rozpoczynało klimakterium, ale ja tego nie rozumiałam. Te awantury z Maminkiem, tak nowe i tak mi obce, przejmowały mnie zgrozą. Z początku odpowiadałam ząb za ząb i też zaczynałam krzyczeć. Chciałam nawet wyprowadzić się z domu, choć to było nie do zrealizowania w owych czasach, z powodu braku mieszkań. Kiedyś bardzo przeżywając to, co się działo między nami, wzięłam (idiotka!) nóż kuchenny i położyłam sobie pod poduszkę, chcąc się w nocy przebić. Ale zasnęłam i obudziłam się rano, inaczej patrząc na to wszystko. Schowałam nóż do szuflady kuchennej i powiedziałam sobie: „Ktoś tu musi panować nad sytuacją. Skoro nie Maminek, to ja”. Dodam, że nie wiedziałam wówczas o romansie z Iwińska i przypisywałam stan Maminka jakiemuś niewyjaśnionemu nerwowemu rozprężeniu.

Od czasu mojego postanowienia nie było już awantur. Nie odpowiadałam, nie płakałam, starałam się uspokoić rozdrażnioną matkę i w rezultacie nasze więzy zacieśniły się jeszcze bardziej. Zresztą mimo bliskości Maminek nigdy mi się nie zwierzał ze swoich przeżyć intymnych (podobnie jak ja później, w stosunku do niej), ale rozumiały

112

się bez słów. O Iwińskiej dowiedziałam się skądinąd. Zresztą, mogę r powiedzieć, że małżeństwo z Nykiem było od początku omyłką. \ czyły g° z Maminkiem przez długi czas zmysły i dla Maminka, już na wsze, nie istniał żaden inny mężczyzna. Ale poza tym byli sobie

I pełni obcy. Należeli do dwóch różnych kultur: ona, bez najmniejszej wątpliwości, aż do najtajniejszych zakamarków duszy, do polskiej, Nyk __ do specyficznej kultury getta, z odmiennym językiem, z odmienną obyczajowością (nawet dla niewierzących przesiąkniętą mocno tradycjami judaistycznymi), o zainteresowaniach politycznych, które Mami-nkowi stawały się coraz bardziej obce.

Pracowała ciężko jako nauczycielka, i w dzień, i na rzemieślniczych kursach wieczorowych. W niedzielę była zbyt zmęczona, aby mieć ochotę obcować z ludźmi, tak że w końcu zaczęły zanikać jej stosunki towarzyskie. Z egoizmem, właściwym młodości, nie zastanawiałam się nad jej trudną sytuacją — zarówno małżeńską, jak socjalną. Ja miałam mnóstwo znajomych i kolegów, to mi wystarczało, a wizyty u „dorosłych”, a zwłaszcza u krewnych, uważałam za

mękę. Zresztą nie było wówczas obyczaju, niepotrzebnie przyjętego dzisiaj, żeby wszędzie wlec ze sobą dzieci. Może Maminek miał jakichś znajomych, których po prostu nie pamiętam, bo ich mało znałam. Ja wiedłam już swoje życie.

Maminek zresztą z wolna zaczął żyć prawie wyłącznie mną. Była co prawda bardzo dyskretna, nigdy nie wchodziła do mego pokoju, kiedy miałam gościa, chłopca czy dziewczynę. Ale, oczywiście, musiała poznać Stefana, Dzieciucha i Jerzego, którzy przychodzili niemal codziennie. Wszyscy trzej zaczęli ją uwielbiać, podobnie jak moje przyjaciółki: Mierzyńska, Grendyszyńska, Glocerówna i inne. Skończyło się na tym, że chłopcy zaczęli przychodzić także do Maminka, głównie po to, żeby wypłakać się z powodu nieszczęśliwej miłości do mnie. Dosyć to była osobliwa sytuacja, bo Maminek nie miał faworytów i z góry był gotów Przyjąć tego, którego wybiorę. Na razie słuchał zwierzeń i dokarmił wiecznie zgłodniałego Dzieciucha. Lubiła bardzo, kiedy opowiadałam Jej o swoich znajomych, o profesorach, a nawet o sztukach widzianych w teatrze. Doszło wręcz do tego, że kiedyś mi powiedziała: „Ja wolę, jak mi opowiadasz, niż miałabym sama oglądać”.

Swoją dyskrecję doprowadzała do przesady: nie była chyba ze mną ani razu w teatrze czy w kinie, uważając, że młodzi powinni się bawić

z młodymi. Raz tylko pędem wybiegła z kina (grał po raz pierwszy Rudolf Yalentino), przybiegła po mnie i klusem pognałyśmy z po-

i L

" Wyznania...

113

wrotem, aby do syta się napatrzeć na nowe bożyszcze. Podobnie opuściła po paru minutach wernisaż Zofii Stryeńskiej (musiała tam być ze znajomymi), żeby mnie w pośpiechu przyprowadzić, tak się jej Bogowie słowiańscy spodobali. Rzeczywiście malarstwo Stryeriskiej było wówczas wielką nowością i narobiło dużego hałasu. Matka zachwycała się również wraz ze mną poezją Tuwima, ale i innych późniejszych skamandrytów, co wcale nie było takie oczywiste, jak by się teraz mogło zdawać. Tak np. moja bliska przyjaciółka ofiarowała mi Czyhanie na Boga, mówiąc: „Wiem, że to lubisz, aleja z tego ani słowa nie rozumiem”. A była to bardzo inteligentna osoba. Wszelkie nowe poszukiwania w poezji uważało się za futurizm, a Tuwim przecież pisał: „Będę ja pierwszym w Polsce futurystą, a to nie znaczy, bym się stal głuptasem”. Wyczyny dadaistów (dziś już klasyków — mój Boże!), poezje Wata i Sterna źle usposabiała czytającą inteligencję. Ale co było niezrozumiałego w Tuwimie? Dziś już sobie nie zdajemy sprawy, jakiej rewolucji dokonał. Maminek jednak znał się na literaturze. Jako jedna z pierwszych w Polsce przeczytała całego Prousta, którego jakiś tom leżał zawsze koło łóżka jako livre de chevet, do końca jej życia. Matka moja czytywała masami i była nie tylko inteligentna (to mało), ale i mądra.

Ten okres wczesnego dwudziestolecia nie był dla mnie szczęśliwy Załamanie się ideologu (nie całkowite, bo przywiązanie do socjalistycznego programu „minimum”, dziś w wielu zachodnich krajach urzeczywistnionego gorzej czy lepiej —jednak we mnie ocalało), bieda bo były to ciężkie czasy pod względem materialnym. Latałam z lekcji na lekcję bo grosze, które zarabiał Nyk w partii, i skromne sumki, które zarabiał Maminek, w dodatku ciągle uszczuplane przez nieustanne strajki nauczycieli, me mogły nam wystarczyć na życie. Niewyczerpany ongiś (jeżeli chodziło o pomoc materialną) Godek też bil tylko jednym skrzydłem. Jak pisałam, od braci pomocy Maminek przyjąć nie chciał stah się sobie zbyt dalecy. Szukałam więc lekcji przez ogłoszenia przez agencje. Dwa domy, w których dawałam korepetycje, pamiętam

Jeden to dom milionerów, Żydów, niejakich państwa Szabad. Salony, dywany tak piękne, że nie mogłam od ich perskich wzorów oderwać oczu. Chłopczyk miły, ośmioletni, którego rodzice nie posyłali do

114

koty, &by "s*? me zadawał z byle kim". Chcąc malcowi urozmaicić l keje i nie załując czasu, zabrałam go kiedyś do Łazienek, aby mu aocznie pokazać rośliny i drzewa, o których uczył się wedle bezbarwnych rysunków w podręczniku. Pojechaliśmy tramwajem. Jakież było moje zdumienie, kiedy mi potem pani Szabadowa zrobiła niemałe mycie słowy: „Czy pani oszalała? Mój syn — tramwajem?! Mój syn jeździ tylko samochodem. Należało zadzwonić po szofera". No to ja, jakby wiedziona jakimś przecuciem, odparłam: „Proszę pani, a co będzie, jak pani nie będzie mogła dać synowi tych wszystkich luksusów? Jak on będzie żył?" Nie pamiętam, co odpowiedziała pani Szabadowa, pamiętam tylko, że nie minęło pół roku, a na skutek inflacji wszystko rozwiało się z wiatrem: salony, dywany, samochód... Co się stało z Szabadami — nie wiem.

Innym razem przez agencję zostałam skierowana do rodziny hrabiowskiej, zajmującej piękny, zabytkowy pałac na Nowym Świecie. Byłam zdumiona, że polecono mnie z moim nazwiskiem do takiego domu, i bardziej jeszcze, że pani hrabina raczyła mnie przyjąć w jednym ze swoich wspaniałych salonów i zaakceptować. Miałam uczyć literatury dorastającą dziewczynkę. Zjawiłam się punktualnie w dniu lekcji i stylowy lokaj poprowadził mnie przez jeden salon, drugi, trzeci (nie wiedziałam wówczas, że można mieć kilka salonów), aż do ciemnego korytarzyka i krętych, stromych schodów. Wdrapaliśmy się, prawie po ciemku, na pierwsze czy drugie piętro, lokaj ceremonialnie otworzył drzwi i wskazał mi ręką moją uczennicę. Była to dziewczynka piętnastoletnia, bardzo nieśmiała, źle ubrana. Nasze skromne mieszkanko przy Kruczej, wobec jej pokoju, mogło się wydawać luksusowe. Stało tam tylko wąskie łóżko, odrapany stół i dwa krzesła. Kontrast między tym pokojem a parterem był przejmujący, ale to, co tutaj widziałam, nie było przeznaczone dla oczu gości.

Dziewczynka, miła, posłuszna, lecz mało zdolna, wydawała się jakby senna. Kiedy zapytałam ją po prostu, co się dzieje, bo w czasie lekcji oparła głowę na stole, wyszeptwała: „Jestem głodna". Jak to, głodna? To mną wstrząsnęło, u nas w domu było bardzo skromnie, ale głodna nigdy nie chodziłam. „Dają bardzo mało jeść — powiedziała moja uczennica ~~ i może dlatego chce mi się ciągle spać". Skończyło się tym, że 2aczęłam ukradkiem przynosić hrabiance kanapki, czyli, jak się wówczas mówiło — butersznyty, z czymkolwiek, najczęściej z jajkiem (oczywiście Maminek był równie wstrząśnięty, jak ja) — i rzeczywiście,

115

mała po zjedzeniu stawała się nieco żywsza. Nie mógł to być rezultat kryzysu (hrabiostwo mieli wielkie dobra), tylko po prostu skąpstwa i obojętności. Po paru miesiącach hrabina oznajmiła, że mała zdała do gimnazjum, i lekcje się skończyły.

Przez rok chyba wykladałam też w gimnazjum, i to w jednej z wyższych klas. Brakowało polonistów, a to niby był mój fach. Tyle że miałam wówczas lat dwadzieścia, a uczennice szesnaście, siedemnaście. Plotłam im jakieś głupstwa, których się teraz wstydę, że np. Bogurodzica jest skonstruowana w formie katedry gotyckiej. Gimnazjum było żydowskie — w tym sensie, że choć wykladało się po polsku, a dziewczynki najczęściej nie znały innego języka niż polski, ale zarówno one, jak dyrektor i nauczyciele byli wyłącznie Żydami. Ja, z moim nazwiskiem, nie miałam szans, żeby uczyć w gimnazjum czysto polskim. Utworzenie takich żydowskich gimnazjów było koniecznością, wynikającą nie z żydowskiego szowinizmu, tylko z faktu, że do szkół czysto polskich nie chciano przyjmować młodzieży pochodzenia żydowskiego (poza wyjątkami). Dobre czasy pani Werekkiej, u której żadnego numerus clausus nie stosowano — skończyły się. Młodzież żydowska, odepchnięta w ten sposób przez Polaków, z którymi nie miała sposobu się połączyć, rzuciła się w objęcia komunizmu, który w owych czasach obiecywał społeczeństwo bez rasowych przesądów. Wiemy, jak to się skończyło za Stalina i potem, ale wówczas komunizm dla młodzieży żydowskiej wydawał się jedynym sposobem przezwyciężenia frustracji. Numerus clausus to było idiotyczne i podłe posunięcie władzy i społeczeństwa polskiego, a zwłaszcza Kościoła, na który spada przede wszystkim odpowiedzialność za polski antysemityzm. I jaki skutek?

Dla Zachodu antysemityzm stał się piętnem, kompromitującym do dziś naród. Było to krzywdzące dla Żydów i szkodliwe dla Polaków, bo wychowywało się w ten sposób żydowską młodzież, która stawała się często narzędziem w rękach obcego mocarstwa, a przyjęta przez społeczeństwo polskie, nie marzyłaby w gruncie rzeczy o niczym innym niż o wykazaniu swego patriotyzmu. Było to szkodliwe dla Polski i pod tym względem, że nieznośna atmosfera i utrudnienia w zdobywaniu wiedzy zmuszały co dynamiczniejsze jednostki do emigracji. I teraz w nauce światowej jest wielu Żydów z Polski, w tym wielu laureatów Nobla, którzy się od Polski zdecydowanie oderwali, a którzy, pozostając w kraju, tejże Polsce przyniesliby chlubę i dobre imię. Zaś Żydzi, którym jakoś umożliwiano asymilację, byli gorącymi patriotami i ode-

116

ali dużą rolę w życiu kraju. Bogatsi służyli pieniędzmi, ubożsi, ale "dolni" swoim talentem. Aje wracam do mojej pracy nauczycielskiej w szkole. Dziewczynki, jy jniłe i z zainteresowaniem słuchały lekcji, bo ja — obok głupstw — .^ogłarn im dać i rzeczy cenne, byłam bowiem naprawdę odczytana. Ale, gorsza, tłumnie, jak to bywa u pensjonarek, kochały się we mnie. Pewnego dnia, kiedy weszłam do klasy, zobaczyłam na wszystkich pulpitach moje fotografie. Zareagowałam niezmiernie ostro: kazałam fotografom schować i powiedziałam, że gdyby coś podobnego jeszcze raz się powtórzyło, będę zmuszona zrezygnować z nauczania. Bardzo były potem markotne, niektóre płakały. Stare krowy, były przecież prawie moimi rówieśnicami. Odprowadzały mnie też po kilka do domu, ale i temu musiałam położyć kres, bo inne były zazdrosne. Jedna kochała się we mnie rozpaczliwie, gorączkowo, zasypywała mnie listami. Słowem, bez mojej wiedzy i woli, wytworzyła się w klasie niezbyt zdrowa atmosfera. Zresztą ta praca nauczycielska ciążyła mi, koledzy byli antypatyczni, zazdrośni o moją popularność. Na szczęście wybuchł strajk i już do pracy szkolnej nie wróciłam. Był to zresztą okres dla mnie trudny, bo nauczycielstwo mnie nie pociągało, a nie byłam pewna moich zdolności pisarskich. A nawet gorzej, byłam pewna, że nie nadaję się do pisania. Rozpaczliwie chciałam pisać, tylko że żaden temat nie przychodził mi do głowy. Jedyne młodzi wiedzą, jak boleśnie jest tak się szamotać.

Wakacje dwukrotnie spędziłam w Zakopanem i za każdym razem wracałam chora. Raz na czerwone (panowała epidemia). Drugi raz, gdy poszłam z kolegą uniwersyteckim, Furmanikiem, na wycieczkę w góry. Po przejściu od Świnicy do Zawratu zeszliśmy do Doliny Białej Wody. | tam zdarzył mi się najgłupszy wypadek. Zręczna w górach, przelazłam jakoś niezdarnie barierę dzielącą Dolinę od pojazdów konnych. Było s«sko po deszczu i wykręciłam nogę na jednym szczeblu, utworzonym 2 °bciosanych z kory, obłych pni. Zerwałam sobie wszystkie ścięgna w kolanie. Bolało okropnie i nie było już mowy o dalszym chodzeniu, a tu daleko od wszelkiej cywilizacji. Zaczęłam kuśtykać i powiedziałam Urmanikowi, że to nic wielkiego, że chcę się tylko dostać do szosy Prowadzącej do Morskiego Oka. Furmanik nie miał ochoty psuć sobie

117

wycieczki, więc mnie zostawił beztrąsko jakimś przechodzącym. Dolinę Białej Wody turyście. Było to oczywiście bardzo nielojalne i sprzeczne z zasadą taternicką. Jednak tak się stało i oto ten nieznajomy chłopak pomógł mi dojechać do szosy. Nazywał się Gruszczyński, był bardzo młody, piękny, przemiły i poczciwy. Pół mnie niósł, pół prowadził, a cały czas z uśmiechem, z czułą serdecznością. Właściwie całe życie o takim właśnie chłopcu marzyłam! Ale ból był silniejszy od zachwyty.

Kiedyśmy dopelzli wreszcie do szosy, miałam już 40 stopni gorączki i kolano jak beczkę. Gruszczyński położył mnie przy szosie i począł zatrzymywać powoziki, jadące z Morskiego Oka do Zakopanego. Przejżdżający odmawiali jeden po drugim, chyba że trzydziestu nie chciało się zatrzymać. Wreszcie jeden stanął. Młoda para, która nim

jechała, posadziła mnie naprzeciw głównego siedzenia, a ci, którzy znają powoziki zakopiańskie, wiedzą, jak wążutka jest owa ławeczka, jak niezmiernie niewygodna. Nogę miałam już spuchniętą, więc nie bardzo wiedziałam, jak ją ułożyć. Dowieziono mnie do Zakopanego na pół przytomną, potem przetransportowano, już nie pamiętam jak, do Warszawy i znów zaczęły się miesiące leżenia w gipsie, bo tylko tak umiano wówczas leczyć kontuzje i zerwania ścięgien. Miłego Gruszczyńskiego nigdy więcej w życiu nie spotkałam, czego bardzo żałuję. To był z pewnością wartościowy człowiek.

Na kolejne wakacje Maminek posłał mnie do Radości pod Warszawę. Widocznie było bardzo krucho z naszymi finansami, bo musiałam dawać lekcje, i na miejscu w Radości, i w Michalinie, dokąd przez oszczędność nie jeździłam kolejką, tylko chodziłam pieszo, mimo jeszcze bolącej nogi. Pamiętam, jak kiedyś, zmęczona, przysiadłam we wrzosach nad małym jeziorkiem, zwanym hucznie „Morskie Oko”, i myślałam sobie po dziecięcemu: „Zapamiętaj sobie, jak chodziłaś na piechotę tak daleko, żeby zarobić parę groszy. Przypomnij to sobie, kiedy będziesz sławna i bogata. Nie zapomnij”. Nie miałam się stać później sławna i bogata, ale znana i zamożna, co jednak w owym czasie nazwałabym właśnie sławą i bogactwem. Tak więc to dziecinne oczekiwanie częściowo się sprawdziło, a owej drogi przez piaski z Michalina do Radości nie zapomniałam.

Wynajmowałam przez te pracowite wakacje pokój u niejakiej pani Karo. Była ona jedną z najpiękniejszych postaci kobiecych, jakie zdarzyło mi się spotkać, i kiedy ją poznałam, już nie chciałam jeździć

118

indziej, tylko do niej. Pani Karo wywarła ogromny wpływ na A] charakter, na moją postawę w życiu. Nauczyła mnie pogody, Węchu wśród przeciwności, równowagi i wewnętrznego spokoju. \Vysiadalo się na stacji Radość, w pobliżu precudownych, tajem-icznych lasów wawerskich, istnej puszczy, dzisiaj wytrzebionej. Szło się nrzez ohydne „letnisko”, ze specyficznymi drewnianymi willami o ogromnych werandach — w „stylu otwockim”, jak to nazywałam. Było tam najczęściej brudno i hałaśliwie. Ale tuż za Radością zaczynała się prawdziwa pustynia: olbrzymia wydma, zupełnie pozbawiona roślinności, ciągnąca się gdzieś daleko — kilometrami. (Ciekawam, czy i dziś istnieje?) Nie widać tam było ani domu, ani drzewka, tylko rozjarzony w słońcu piasek i czasami kępki ostrej trawy. Przebycie tej pustyni nie było rzeczą łatwą, bo nogi grzęzły. A w skwar niepodobieństwem było schronić się przed słońcem. Ale za pustynią, po godzinie drogi, trafiło się na oazę. Zielono. Parę domków w dużych ogrodach. Dalej zresztą znowu piaski. Podeszłam do najbliższego ogrodzenia i widząc robotnika pracującego w ogrodzie, zapytałam: „Człowieku (bo tak się wówczas mówiło do prostych ludzi), czy nie wiecie, gdzie mieszka pani Karo?” Na to „człowiek” odpowiedział mi z drwiącą miną: „Mais bien sur, mademoiselle”, po czym zawołał: „Królowo!” I w drzwiach ukazała się królowa. Ubrana z chłopska, ale mimo wszystko królowa. Tak wspaniałą miała postawę, tak piękną twarz.

Tylko królowa mogła tak dumnie nieść na smukłej szyi zgrabną główkę, tylko bogini mogła mieć ten zwiewny chód i olśniewającą słodycz uśmiechu. Bogini miała na sobie duży fartuch i chusteczkę, zawiązaną na głowie po chłopsku. W niczym to nie szkodziło jej urodzie i zadziwiającemu dostojęństwu, jakiego chyba później w życiu nigdy nie spotkałam. Pani Karo przedstawiła mi „człowieka”. Był to Marian Tatarkiewicz, aktor. Rodzina Tatarkiewiczów licznie się „rozpleniła” na scenach warszawskich. Był jeden sławny Tatarkiewicz (Konstanty), i inny mniej znany. Ten pani Karo był mniej znany, ale był też Jednocześnie literatem.

Tłumaczył, drukował po trochu wiersze.

Z zachowania ich obojga, z ich spojrzeń, skąpych słów, wyzierała ttułość, która łączyła tych niemłodych już ludzi. Kochali się od trzydziestu lat, a że w owych czasach wolne związki nie

były dobrze władziane i że chcieli być jak najwięcej sam na sam, więc kupili sobie ten mały domek i żyli niemal po chłopsku, z ogrodu, z kurnika, rzadko coś kupując do jedzenia. Wynajęli mi mały pokój na piętaku,

119

z widokiem na sad, na aleję pełną kwiatów i na mały stawek. Poczuli się u nich od razu bardzo szczęśliwi od pierwszego dnia, jakbym kochała od wieków. I oni z miejsca zaakceptowali mnie — jak swoją — coby im się podobno rzadko zdarzało, na ogół bowiem ludzie im przeszkadzali w ich szczęściu. On mówił do niej: „Moja królowo” i w stosunku do pani Karo to nie brzmiało śmiesznie. Pokochałam ją z miejsca i nie przestawałam się nią zachwycać. Tak piękne były jej ruchy, tak łagodne i mądre słowa. Nazywała się z domu Ołdakowska, była córką bogatych ziemian, ale matka (która młodo owdowiała), zazdrosna o jej urodę wydała ją za męża, kiedy miała lat piętnaście. Jeszcze bawiła się lalkami a już miała własne dziecko. Mąż jej, doktor medycyny, był dla niej surowy, wymagający i niesprawiedliwy. Bała się go po dziecinemu i nie kochała ani trochę. Matka owdowiawszy zaczęła hulać i przepuściła cały majątek. Pewnego dnia w miasteczku, gdzie mieszkał doktor Karo, postanowiono, w porozumieniu z okolicznym ziemiaństwem, urządzić teatr amatorski. Na reżysera zaproszono warszawskiego aktora Tatar-kiewicza. Po przedstawieniu wyjechał, uwożąc ze sobą panią Karo wraz z jej nieletnią córeczką.

Tak się zaczęła ich trzydziestoletnia miłość. Nawet nie można powiedzieć, że się kochali — byli w sobie rozkochani. Mogli siedzieć całymi wieczorami, trzymając się za ręce i patrząc na księżyc. On był mały, chudy, brzydki, z twarzą Woltera, inteligentny. Ona zawsze piękna, pełna jakiegoś olimpijskiego spokoju i pogody. Z lubością pracowałam z nimi w ogrodzie, i to zamilowanie pozostało mi na zawsze. W małym jadalnym pokoju pełno było książek, i to najprzeróżniejszych: dobrych i złych, klasyków i szmiry. U nich, wykarmiona przez Maminkę na wielkiej literaturze, poznałam rozkosze czytania powieści kryminalnych i różnych trzeciorzędnych powieści angielskich, przy których bawiłam się doskonale. Wieczorami, po kolacji, para kochanków zniknęła dyskretnie, a ja szłam do siebie na górę. Słyszałam jednakże przez podłogę, jak on czytał jej jakieś wiersze, nie było słychać słów, tylko rytm. To był ich codzienny obyczaj. Kiedyś, gdyśmy się już lepiej poznali, powiedzieli mi tajemniczo, że zabiorą mnie nad leśne jezioro, które w ich życiu odegrało ogromną rolę. Pani Karo umiała nadać taką wagę swoim słowom, że poczułam się zaszczycona jej zaufaniem i z dużym przejęciem, milcząc poszliśmy w nocy, szmat drogi, nad owo jezioro. Wyglądało rzeczywiście tajemniczo, nocą ukryte wśród drzew. Kochankowie stali, trzymali się

120

ręce i patrzyli na wodę, a ja poczułam się bardzo biedna i uboga, nie mogąc pokochać żadnego mężczyzny. Od tego czasu widziałam wiele kochanków, ale to mroczne jezioro w lesie zostało mi na zawsze w pamięci. Milczeliśmy długo i właściwie wtedy zrozumiałam, co to znaczy miłość, która nic nie robi sobie wpływu czasu i z głupich życiowych przeszkód. Jedyne prawdziwe szczęście tych obojga niemłodych ludzi było to jezioro w lesie i ich własne, splecione ręce.

Drugiego lata dowiedziałam się zresztą rzeczy przykrych. Poznałam tajemnicę kochanków: pan Marian lubił wypić. Kiedy jechał do Warszawy, aby podjąć swoją szczupłą gaźkę podrzędnego aktora, wracał pijany. Pani Karo wychodziła po niego na stację tych kilka kilometrów i starannie usiłowała ukryć jego stan, ale po pewnym czasie zrozumiałam ich sekret. Straciłam

serce dla pana Mariana, zwłaszcza kiedy okazało się jeszcze, że w gruncie rzeczy światopoglądowo jest endekiem i antysemitą (choć nie w stosunku do mnie). Pani Karo pozostała w mej pamięci bez skazy. Po nocy spędzonej na borykaniu się z pijakiem była równie pogodna i uśmiechnięta, jak zawsze. Różne paskudztwa tego świata jakby się jej nie imały. Była naprawdę wyższa ponad nie. Świat widziany jej oczami miał zawsze wszystkie uroki, czy gdy czytało się wiersze albo całe sztuki, czy gdy jadło się kaszę gryczaną z zsiadłym mlekiem, pełło grządki czy też kiedy zbierało się grzyby. To był dar, którego niepodobna przekazać słowami.

Pani Karo miała córkę, głupią, tłustą, w najmniejszym stopniu do niej niepodobną. Była ona na utrzymaniu jakiegoś bogatego człowieka, którego nigdy nie poznałam. Przyjeżdżała czasem do Radości, ale widać było, że matka i córka nie miały ze sobą nic wspólnego. Leniwa, objedzona, antyintelektualna, nie miała ani uroku, ani inteligencji matki.

Przyjechałam następnego roku znów do pani Karo, tak ją polubiłam, tek mnie pociągała praca w ogrodzie i to jakieś osobliwe oderwanie się od powszedniości, jakie tam znajdowałam. Pani Karo wyznała mi wtedy z nieco smutnym uśmiechem: „Moją prawdziwą córeczką jesteś ty, irenko”. I istotnie to była jedyna kobieta, którą mogłam przyrównać do mojej matki. Bo Maminek też był niezwykły, ale często we władzy nerwów, ciągłych niepokojów, najgorszych przewidywań i gwałtownych namiętności. Też śmiał się często, ale nie mniej często płakał. Pełen był ntiizjasmów, zachwyków, ale i nienawiści, do Neli, do ciotki Lizy, do

121
burżuazji jako takiej. Był może bogatszy duchowo od pani Karo, a jej panią Karo wypełniał spokój, dawała ukojenie, uśmiech zawsze, na\vet gdy bolało, posiadała umiejętność cieszenia się z niczego.

Zachowałam się brzydko w stosunku do tej mojej ulubionej. Wyszła[^] za mąż i znikłam z jej oczu na parę lat, z okrucieństwem i egoizmem właściwym młodym. Pochłonęło mnie nowe życie, wyjeżdżałam ?a granicę, zaczęłam pisać, słowem, istniałam niejako w innej przestrzeni. Jakoś więcej nie pojechałam do Radości. Po czym, w kilka lat później napisałam nowelę pt. Miłość za pustynią, w której opisałam historie moich gospodarzy. Wydrukowałam ją w „Skamandrze”, piśmie wy-brednym i mało czytany. * Jednakże ten numer wpadł w ręce pani Karo, rozpoznała siebie i zatelefonowała do mnie. Wzruszona, przyję-łam ją z otwartymi ramionami. Padłyśmy sobie w objęcia i nawet popłakałyśmy się trochę. Myślałam, że będzie miała do mnie żal, bo o panu Marianie nie napisałam zbyt pochlebnie. Sądziłam, że niewart był pani Karo. Ale wówczas, kiedy odwiedziła mnie, pan Marian już nie żył, a ona sprzedała domek w Radości i mieszkała w Jastrzębiej Górze. Bardzo prosiła, abym tam przyjechała. Zrobiłam to najbliższego lata. Znalazłam tam dość osobliwą sytuację.

Cała piękna Jastrzębia Góra była własnością niejakiego pana Osmo-łowskiego, ongi magnata kresowego, a i wówczas wciąż jeszcze bogatego człowieka. Był to bardzo piękny, wysoki mężczyzna, z włosami przyprószonymi siwizną, ale wciąż prosty, giętki, elegancki. Był przy tym bardzo inteligentny i miał wyraźnie postępowe poglądy. W jego okolicy (zdaje się, że to był Wołyń) nazywano go „czerwonym hrabią” i chłopci wybrali go do pierwszej zorganizowanej tam Rady Chłopskiej. Potem jednak, wraz ze wzrostem terroru, musiał uciekać. Pieniądze, jakie miał, umieścił na wybrzeżu („polskie wybrzeże”, to było jego marzenie). Kupił Jastrzębią Górę, która była małą kaszubską wioseczką, a raczej bezludziem, postanowił zrobić z niej ośrodek turystyczny i wybudował hotel. Pan Osmołowski zakochany był nie w pani Karo, z którą stanowiliby cudowną parę, stosowną wiekiem, urodą i szlachetnością duszy, nie w niej, powiadam, która była jak stworzona dla niego, ale w jej córce — jeszcze grubszej, już zupełnie nieforemnej i jeszcze głupszej niż poprzednio. Nie pobrali się (zdaje się, że była jakaś żona, która nie dawała rozwodu), ale córka pani Karo, stale rozwalona na kanapie i jedząca bez przerwy cukierki, miała na posyłki tych dwoje. Pac Osmołowski przywoził z targu autem żywność i zajmował się roZ'

uwspółcześnieniem osiedla, a pani Karo zarządzała hotelem się od rana do nocy. Kontakt między mną a panią Karo nawiązał się znowu, tak jak gdyby • nigdy nie przerywał. Tylko kobieta tak rzadkiego rozumu i wyrozumiałości mogła wybaczyć mój młodzieńczy głupi egoizm, który mi kazał na pewien czas zapomnieć o niej. Wieczorami, po pracy, przychodziła do mego pokoju i gadałyśmy czasem do północy. Bardzo lubiła Osmołowskiego i on ją lubił i szanował, ale miłość jego przeznaczona była dla głupiej hurysy. Pani Karo natomiast kochała nadal pana Mariana. „Właściwie, kiedy umarł — mówiła — życie straciło dla mnie wszelki sens. Myślałam o samobójstwie, ale... kto wie... kto to może wiedzieć... może by to przeszkodziło... spotkać się z nim znowu”.

Niewierząca w zasadzie, nie praktykująca, żyła jednak myślą o pośmiertnym spotkaniu z ukochanym i wszystko inne nie miało dla niej znaczenia. Po tym moim pobycie w Jastrzębiej Górze widywałyśmy się z rzadka, ale jednakowo czule. Moje życie poszło tak odmiennymi drogami. Potem nadeszła wojna i pani Karo umarła. W jakiś czas później na ulicy zburzonej Warszawy spotkałam jej córkę, bardzo schudła i zrobiła się jakaś bardziej ludzka. Rzuciła mi się w objęcia, choć nigdy nie łączył nas stosunek zbyt bliski, i powiedziała: „Moja mama tak panią kochała. Do ostatka panią wspominała. Niech pani przyjedzie do nas, pan Osmołowski (tak mówiła: pan Osmołowski) jest kierownikiem stacji rolniczej w Puławach — agronorem”. Nie pojechałam. Miałam tyle innych spraw i kłopotów, no i ulubionej mojej pani Karo już nie było.

Tymczasem jednak pochłonęło mnie coś zupełnie odmiennego. Oto specjalizując się na uniwersytecie w dziedzinie teatru, postanowiłam teatr zobaczyć z bliska i od kulis. Myślałam nawet o tym, żeby zostać aktorką. Już pani Werekca, przed maturą, wezwała moją matkę i powiedziała jej: „Irenka powinna pójść na scenę, bo to i głos, 'Prezencja". Ale mówiono źle o Szkole Dramatycznej (że trzeba spać ze ^wszystkimi, że jako Żydówka nie mam szans), więc postanowiłam szukać innej drogi. Najpierw poprosiłam o spotkanie znakomitą aktorkę Irenę Solską, żeby oceniła mój ewentualny talent.

Irena Solska, wielka miłość Witkacego, była zjawiskiem niezwykłym.

Wysoka, chuda, z długim nosem, była zdecydowanie brzydka, a brzydota tak fascynująca, że nie można było od niej oderwać wzrok kiedy pojawiała się na scenie. Głos jej był nieco chrapliwy, co dziś by S'j' podobało, ale wówczas uważano za poważną wadę. Dykcję miała! nieskazitelną, ale siekała słowa i zdania w dość osobliwy, sobie tylko właściwy sposób, co im często nadawało głębszy sens, niż miały w istocie. Dokładnie „podawała” słuchaczowi każdą kwestię i każde słowo nabierało znaczenia. Celowała w rolach intelektualnych i ironicznych. Czuło się w niej niepospolitą inteligencję. Była aktorką wielkiej klasy. Zwłaszcza w sztukach Shawa, Wilde'a, Ibsena. Była też nieporównaną Idalią w Fantazym.

Przyjęła mnie nadzwyczaj miło i z właściwą sobie, leciutką ironijką potraktowała moje zmieszanie wobec tak sławnej osoby. Rozmawiałyśmy trochę, potem kazała zadeklamować parę wierszy. Słuchała uważnie i oto co mniej więcej powiedziała:

„Moje dziecko, masz ładny głos, doskonałą prezencję i bardzo możliwe, że masz talent, choć o tym można by dopiero sądzić, kiedy ukażesz się na scenie. Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że nadajesz się do teatru. Ale moim obowiązkiem jest cię ostrzec. Czy rozumiesz, co pociąga za sobą wstąpienie na scenę? Przede wszystkim trzeba spać ze wszystkimi. Ze wszystkimi, rozumiesz? Bo czasem ktoś podrzędny nawet, sufler czy maszynista, może ci zrobić taki kawał, że to przekreśli całą twoją dalszą karierę. Nie mówiąc już o kolegach, o reżyserze, o dyrektorze teatru. Ja przeszłam przez to wszystko, ale że wyszłam za mąż za dyrektora (Solskiego), więc teraz mam spokój. W dodatku byłam brzydka, więc jeszcze musiałam się starać o względy tych różnych. Ty jesteś ładna, więc w

tym sensie będzie ci łatwiej. Ale i trudniej jednocześnie, bo więcej będziesz miała kandydatów, a jeżeli zaczniesz robić grymasy, to lepiej od razu zrezygnuj ze sceny. Poza tym, czy wiesz, co to jest walka o rolę? Jakie chwytasty stosują wobec ciebie, jakimi chwytami ty musisz odpowiedzieć? Ile lat czeka się na większą rolę i wcale nie zawsze się ją dostaje? Czy jesteś zdecydowana na to, żeby się tułać po prowincji za nędzną gażą, którą będziesz musiała sztukować podarunkami od mężczyzn? Czy wiesz, co to jest tłuczenie się pociągami, prowincjonalne hotele, prowincjonalna publiczność? Czy wiesz, co to jest zazdrość i nienawiść koleżanek, jeżeli, mimo wszystko, jakaś rola ci się uda?"

Mówiła długo i przejmująco, z bolesnym wyrazem twarzy. Pełn°

124

nie było goryczy i żywego cierpienia. Wystraszyła mnie śmiertelnie. xre to nie było życie dla mnie. Nie wiem, czy przesadziła mówiąc mi to

zysko. Ale życie aktorki w końcu zeszłego i na początku tego stulecia

pewnością tak wyglądało. Dziś teatr się bardzo zetatyżował, zbiuro-kratyczniał. Nie jestem pewna, czy mu to wyszło na dobre. I czy, w gruncie rzeczy, stosunki się zmieniły. Do Szkoły Dramatycznej nie

szałam, aże istniał inny ośrodek teatralny, który mnie fascynował — Reduta". Na czele jej stał Juliusz Osterwa.

" Był to mężczyzna niezwyklej piękności. Właściwie drugiego takiego nje widziałam ani wówczas, ani nigdy potem. Był jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny. Był inny. Wyobrażam sobie, że tak mógł wyglądać Lucjan de Rubempre. Fotografie nie oddają zupełnie ani jego urody, ani czaru. W ogóle nie ma nic bardziej niepodobnego i mylącego niż fotografie. Oglądam dawne piękności, oglądam dawnych aktorów... Wydają się śmieszni. Sposób fotografowania, oświetlenie, pozy, spojrzenia wychodzą z mody tak samo jak suknie. Ja sama siebie nie poznaję na dawnych zdjęciach: mam długi nos (bo kazano głowę pochylać na piersi), „powłóczyście" spojrzenie, wymuszony uśmiech — wszystko to nie moje. Byłam naprawdę o wiele ładniejsza niż na fotografiach, mówią mi to ludzie, którzy pamiętają mnie dawną. Ale może byłam nefotoge-niczna? Ale i Osterwa — młody bóg — też nie wypada korzystnie. A przecież był piękności olśniewającej. Miał niezwykle bogatą skalę talentu: mógł grać amantów, jak i role heroiczne; nieporównany w rolach romantycznych, był jednocześnie świetnym aktorem komediowym. Właściwie mógł grać wszystko. Tu nie było podzielonych zdań: wszyscy go podziwiali, wszyscy się nim zachwycali, wszyscy marzyli o nim wyszedłszy z teatru. Umiał wyzwolić w każdym dużą siłę pół poetyckiego, pół erotycznego zachwycenia. Pensjonarki trzymały pod poduszką jego fotografie, obsypując je ukradkiem pocałunkami, ale zachwycił się nim jednocześnie Żeromski, pisząc dlań Przepióreczkę. Osterwa odpowiadał gustom najbardziej wybrednym i najbardziej Pospolitym. Jego głos gorący i zarazem z odrobinką, bardzo uroczej 2resztą, manieryczności, jego grube, a jednocześnie finezyjne usta, Wąskie oczy, umiejące w jakiś jemu jedynie właściwy sposób patrzeć z ukosa, kocie ruchy — dlaczego nic podobnego się odtąd nie Powtórzyło? Jego sposób mówienia wiersza, bez nieznośnego patosu, Jak gdyby to był jedyny możliwy sposób wysławiania się człowieka!

tajemnica całkowitej intymności w prowadzeniu dialogu, nic „sztam-

125

py", naturalność i psychologiczna prawda. No i znów, i ciągle, te zmysłowy fluid...

Otóż Osterwa, niesyt chwały czysto aktorskiej, postanowił stworzyć teatr nieco na wzór rosyjskiego MCHAT-u, pracował bowiem u Stanis. ławskiego jakiś czas. Dostał w tym celu Sale Redutowe, ze ślicznymi antycznymi meblami. Nie było żadnych kulis, tylko salony, a ten największy służył jako sala teatralna, przy czym widzowie siedzieli prawie na scenie. Nie spieszo się z próbami, chodziło o to, żeby wszyscy dobrze przetrawili role i nie krępowali się jakimiś terminami. Na próbach asystowali często młodzi ludzie interesujący się teatrem,

ale bez prawa głosu. Toteż kiedy poprosiłam Osterwę o pozwolenie bywania na próbach, ponieważ piszę pracę doktorską o teatrze, nie odmówił. Przyjął mnie łaskawie, uśmiechnął się tym swoim nieporównanym uśmiechem i nawet powiedział: „A to taki ładny koteczek” (miałam białą futrzaną czapkę). Rozpłynęłam się z rozkoszy, ale na tym mój kontakt osobisty z Osterwą się skończył. Odtąd nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Pozwalał innym próbować od czasu do czasu jakąś rolę, mnie nigdy. A marzyłam o roli właśnie w tym teatrze, bo tu, sądziłam, nie trzeba okupywać tego własną cnotą. Osterwa żądał od swoich aktorek „porządnego” prowadzenia się. Wiele z nich to były kobiety zameżne i kochające swoich mężów, jak żona znanego rzeźbiarza, Henryka Kuny, Ewa Kunina, moja dobra znajoma.

Na próbach siedziało się w autentycznych fotelach Ludwik XVI, obitych adamaszkiem, w salonach z widokiem na Plac Teatralny. Popijało się kawę czy herbatę. Analizowano sztuki, zdanie po zdaniu. Tu panował wszechwładnie zły duch „Reduty”, Mieczysław Limanowski, geolog, król mętniaków i wielki książę pretensjonalności. Limanowski krzyczał, miotał się i wymagał od nieszczęsnych aktorów „przeżywania” roli, np. opowiadania, co dana postać robiła w życiu, zaniffł ukazała się w sztuce, i jaka była jej przeszłość. Jeżeli kto miał trochę wyobraźni, to bujał, jak potrafił, ale jeżeli nie miał, wówczas bąkał cos niewyraźnie, a Limanowski miotał nań gromy ze swego mglistego Olimpu.

Czasem zdarzały się sceny groteskowe:

„Co czujesz, mówiąc te słowa? — pytał rozgorączkowany (był to jego stan chroniczny) Limanowski. — Co przeżywasz mówiąc: «Przyjechali goście»? Musisz się skupić. Mów!” Nieszczęsna aktorka (albo aktor) patrzyła bezradnym wzrokiem, z wyrazem spłoszenia na twarzy. „No.-

126

nrzy jechali...” — „To mało. Musisz coś czuć. Przyjechali goście, umiesz, co to znaczy. Co czujesz, kiedy przyjeżdżają goście? Nie ' sztuce, ale w życiu. Z czym ci się to kojarzy?” — „Że... że trzeba ich... częstować” — bełkotała ofiara, tocząc dokoła umęczonym wzrokiem. Limanowski szalał. Kiedyś, pamiętam, jedna z aktorek stanęła na wysokości zadania. \ja pytanie, co przeżywa, z czym jej się dana rzecz kojarzy, spojrzała przed siebie natchnionym wzrokiem i po chwili intensywnego skupienia wyszeptała: „Budda”. — „Świetnie, doskonale! — wołał Limanowski, bodąc przyspieszonym ruchem przestrzeń swoim ostrym nosem. _ Przeżywasz. Mów dalej”. Aktorka popatrzyła omdłym wzrokiem spod przymkniętych powiek i mówiła dalej: „Mam w domu posążek Buddy. Kiedy mi trudno w życiu, modlę się...” Wszyscy słuchali w nabożnym skupieniu. „Modlisz się?” — „Właściwie nie modlę się. Obcuje duchowo. I kiedyś stało się coś nadzwyczajnego, patrzę, a t a Budda idzie prosto do mnie”. — „Aaa!” — zabrzmiało cichym szmerem uznania. Minęło tyle lat, a ja tej Buddy zapomnieć nie mogę.

Po sto razy akcentowano tak, po czym inaczej każde zdanie. Osterwa w małym stopniu uczestniczył w interpretowaniu i komentowaniu sztuki, natomiast, dosłownie, uczył aktorów, jak mają grać. Kiedy aktor, wydając krzyk cierpienia, wznosił oczy ku niebu, kiedy aktorka zaczynała tokować, pieszcząc się swym głosem bez uwagi na treść, kiedy ktoś wpadał w monotonię śpiewnego patosu, Osterwa marszczył się i krzywił jak muzyk, gdy usłyszy fałszywą nutę. Tepił bezlitośnie wszelki banał wyrazu, wszelką gotową formę uzewnętrzniania uczuć. Na próbach jego, odbywających się w przyciemnionej sali, która służyła za małą widownię i scenę jednocześnie, asystowało się w takim napięciu i bez tchu, że czas leciał niepostrzeżenie.

Osterwa siadał gdzieś w krzesłach i obserwował. Nic wytrzymał tam jednak długo. Zrywał się i sunął kocim, długim, płynnym krokiem, PO czym miękkim susem znajdował się od razu na scenie. „Nie tak, nie tak! — wołał i od razu, ex promptu, odgrywał dany epizod, odgrywał

każdą rolę, zarówno kobiecą, jak męską. I jak odgrywał! Cóż to była za 'ozkosz patrzeć, jak od razu nieomylnie znajdował właściwą intonację, •)lk gestem, postawą, spojrzeniem pogłębiał dziejący się na scenie kon-
'kt, jak mu nadawał nowe znaczenie, jak wydobywał nie podejrzewane Prawdy z płaskiego częstokroć dialogu. To już nie było aktorstwo, tylko J"kaś magia, zwłaszcza gdy, porwany uniesieniem, odgrywał kilka ról naraz.

127

podając sobie samemu repliki, zmieniając błyskawicznie ruchy, charak ter, głos i w ogóle całą powierzchowność, przeobrażając się to w star kobietę, to w zramolałego arystokratę, to w naiwne dziewczę, t w chytrego drania. Miał w sobie wszystkie role, każdą rolę, i w każde umiał być nieporównany.

Znakomity artysta, był niezbyt mądrym człowiekiem i intelektualnie w zupełności zdał się na mętniaka Limanowskiego, który np. zapewnia) że gdyby Mickiewicz naprawdę chciał, to mógł ruszyć z posad ziemie Drobnostka. Sprawa dobrej woli, nic więcej. Poza tym Limanowski mimo że syn wybitnego PPS-owca, zaszczerpił na pniu „Reduty” antysemicką gałązkę. Dlatego też Osterwa, ku wielkiemu bólowi Kuniny, odmówił pozowania Kunie, który chciał zrobić jego portret gratis. Odmówił pozowania, aby rzeźbiarz nie wycisnął swego żydowskiego piętna na jego słowiańskiej twarzy. Z tego samego powodu nie zaproponowano mi nigdy roli albo nawet przesłuchania. Dzielnie broniący „czystości rasy” Osterwa (jestem pewna, że za namową Limanowskiego) powiedział do Kuniny: „Jakże sobie wyobrażasz, że możemy pokazać żydowską twarz na naszej scenie?” Była to jednak przeszkoda do przezwyciężenia. Zrozumiałam to (jeszcze przed oświadczeniem Osterwy, po którym przestałam przychodzić do „Reduty”), kiedy Limanowski zaczął mnie odprowadzać do domu i wyraźnie dawać do zrozumienia, że mu się podobam. Trochę uległości z mojej strony i żydostwo przestałoby zawadzać. W każdym razie istniała możliwość, że „w tym jedynym wypadku” itd. Ale o tym nie mogło być mowy. Limanowski budził we mnie obrzydzenie fizyczne i śmiech intelektualny. Gdyby to jeszcze był Osterwa... Ale Osterwa niczego nie proponował. Zresztą mam wrażenie, że nie proponował nikomu z zespołu. Może się bał żony, Wandy, która do tego zespołu należała i która zachowywała się bezczelnie i bezwstydnie, jako pani dyrektorowa. Była to kobieta o dość osobliwej, egzotycznej urodzie, nie tyle ładna, ile pełna sex appealu. Pomiała koleżankami, wybrzydzała się na aktorów, oczywiście nigdy w obecności męża. Osterwa bał się jej najwyraźniej i jeżeli czasem kogoś kokietował, to raczej młodych chłopców, należących do zespołu: temu potargał włosy, tamtego głąskał po twarzy, nic więcej, ale niewątpliwie miał on skłonności obojnackie. W stosunku do aktorek był zimny i obojętny. Upominała się o przesłuchanie mnie Marysia Żabczyńska, z którą się zaprzyjaźniłam, miła kobieta i zdolna aktorka. Upominała się i Kunina, którą znałam od dziecka (byk1

128

-ciołka Rundbakenów i całej grupy związanej z „Chimerą”, ^ a był zaprzyjaźniony Maminek). Ale właśnie Kuninie polecono

1 •• 'nić mi, dlaczego nie mam żadnej przyszłości w „Reducie”. I ona a żona Żyda i mająca z nim syna — podjęła się tego. ^Pozwolono mi nadal bywać na próbach „Reduty”, ale mnie się już , „^jało. Bywałam tam od roku albo nieco dłużej i właściwie ° znałam już wszystkie tajemnice tego teatru. Muszę jeszcze dodać, że ir słem „Reduty” było słuzenie rodzimemu repertuarowi, ale że tego rtuaru n;e]^y\o (w sensie nowych sztuk), więc grano przeraźliwe szmiry, zawsze „przeżywając”. Kiedy wystawiano dobrych pisarzy, jak Rostworowskiego czy Rittnera, uzyskiwano znakomite wyniki. Bardzo średni aktorzy, ogłupieni wprawdzie przez Limanowskiego, ale wytresowani przez Osterwę, grali wspaniale. Ale nie było mowy o Zapolskiej (broń Boże) ani nawet o komediach Perzyńskiego. Słonimskiego, Żyda i

awangardzisty literackiego, nie wystawiono by za nic w świecie. Tak że w końcu „Reduta” uszła z braku soków, a Osterwa przeniósł się do oficjalnych teatrów, co było tylko z korzyścią dla jego sztuki.

Ja zaś, jak wspomniałam, zniechęciłam się do „Reduty”, nie tylko dlatego, że mnie tam boleśnie obrażono, ale też zrozumiałam, iż mimo aktorskich osiągnięć, nie jest to z pewnością teatr przyszłości, że jego możliwości artystyczne są nikłe i że niczego więcej się już tam nie nauczę.

Tutaj, nawiasem, kilka słów o Kunie, skoro wspomniałam o Kuninie. Na zamówienie stryja Julka, który wówczas przebywał w Warszawie, wyrzeźbił on moją głowę odlaną w brązie, w 1919 czy 1920 roku. Pozowałam długo i obecnie — jeżeli się nie mylę — ta moja głowa znajduje się w Muzeum Narodowym jako Głowa kobieca. W czasie rzeźbienia Kuna, bardzo przystojny i sympatyczny mężczyzna, opowiadał mi swoje dzieje. Były to dzieje Meira Ezofowicza. Młody chłopak, kształcony w szkole rabinackiej, opętany żądzą rzeźbienia (co było zakazane przez religię żydowską), uciekł z rodzinnego getta, długo się tułał, aż trafił wreszcie do samej Orzeszkowej, o której wiedziano powszechnie, że była zaprzeczeniem antysemityzmu. Przyjęty mile, Przedstawiony przyjaciołom, polecony mecenasom sztuki, wydobył się

z nędzy i mógł się kształcić w ulubionym zawodzie. Orzeszkową wielbił i nigdy jej dobroci nie zapomniał. Potem, już jako dorosły mężczyzna, ożenił się z piękną panną, rdzenną Polką — Ewą Krauze, co w owych czasach było z jej strony niemalym dowodem odwagi cywilnej i wielkiej młodości. Kunina została aktorką, średnią, mimo urody, ale dopiero „Reduta” dała jej szansę i parę dobrych ról, których nie mogła w innych teatrach, może dlatego, że była wierna mężowi. — im. koniecznie chciał, abym mu pozowała do aktu, ale ja (głupia!) odparli stanowczo tę propozycję, pokazanie się nago mężczyźnie wydawało się rzeczą nie do pomyślenia. Mieszkańskie tabu było zbyt silne.

Kontynuowałam studia uniwersyteckie, ale Kleinera już nie by}0 a sposób, w jaki Gubrynowicz wykladał literaturę, mógł zniechęci największego miłośnika słowa pisanego. Ustęp z Grobu Agamemnona Słowackiego: „Tu cząbry smutne gór spalonych pachną” opatrz Gubrynowicz komentarzem: „cząber — część sarniny”. Tę nieod powiedzialną „uczonkowatość” wyszydził Boy we wstępie do Słówek. Był też profesor Ujejski, trochę lepszy, ale całe to szkolarnstwo literacku bardzo mi nie odpowiadało. Moje kontakty z książkami i z poezją byh zupełnie inne, myśleliśmy na te tematy dosłownie na różnej długości fal. Kiedy przyszło do egzaminu doktorskiego u Gubrynowicza, mimo piątkowej pracy pisemnej, oblałam sromotnie egzamin ustny. Zdaje się, że plotłam niestworzone bzdury. Ale do tego przyczynił się sam Gubrynowicz. Nie wiem, po co umówił się ze mną zawczasu, jakie rai będzie zadawał pytania. Kiedy przyszło do egzaminu, zaczął mnie pytać zupełnie z czego innego i speszył mnie tak, że już potem nie wiedziałam, co mówię. Czemu tak postąpił? Może zapomniał, o co miał pytać? A może, jak twierdził mój teść (bo już wtedy byłam zamężna), była to złośliwość, wymierzona nie przeciwko mnie, ale przeciwko niemu, należeli bowiem światopoglądowo do przeciwnych obozów. A może istniały między nimi inne jeszcze porachunki? Pozwolono mi zdawać ponownie po dwóch miesiącach (termin bezprzykładnie krótki), tak jawne było to moje speszenie i taka była różnica między moim ustnym i a pisemnym egzaminem. Ale ja z tego pozwolenia nie skorzystałam i zresztą nigdy w życiu nie odczuwałam braku tego doktoratu. Nie umiałam zdawać egzaminów. Dziwna rzecz, moja myśl biegła często

innym torem niż nauczyciela lub profesora, ich pytania mnie za-
skakiwały, choćbym znała przedmiot jak najlepiej.

Ale u Kleinera miałam wszelkie szanse, żeby zdać. Zdawałam zresztą u niego parę
kolokwiów. Pierwsze oblałam, na co Kleiner uśmiechnął się? i powiedział: „Jest pani
zdenerwowana, a nie trzeba. Niech p'do!

130

- yjdzie jutro". Nazajutrz urządził świetny egzamin w formie roz-owV- Nawet nie
wiedziałam, że zdałam, a zdałam doskonale. Ale Kleiner miał to wycucie, niezbędne do
przeniknięcia cudzej psychiki. Tymczasem typ tępego „uczonka” pytającego nieustannie o
daty (bardzo precyzyjne), o nieszczęsne „wpływy” jednego artysty na Hrugie20' żądającego
bezbarwnej erudycji i raczej pamięci niż zrozumienia — to nie było i nie mogło być dla mnie.
Zresztą w kilka lat później stałam się już znana i pamiętam, jak na jakiejś premierze
Gubrynowicz podbiegł do mnie i zaczął się tłumaczyć z powodu tamtego egzaminu. Było mu
najwyraźniej głupio. Mówił, że miał w owym czasie trudne przejścia osobiste i że zapomniał,
o co miał mnie pytać. Może. Właściwie nie mam do niego pretensji, bo na co mi był ten
doktorat. Ale nie mogę zapomnieć zmartwionej twarzy Maminka, kiedy wróciłam do domu
szlochając, i ona zrozumiała, że nie będzie miała córki z cenzurem naukowym. A poza tym
martwiła się, czy bez tego papierka będę miała z czego żyć, bo nie mieściło jej się w głowie,
abym mogła żyć z pióra, a bogate „partie” odrzucałam. Tyle wysiłku włożyła we mnie!
Miałam uczucie upokorzenia i winy, że ją tak zasmuciłam. Matka moja była niezadowolona z
siebie, całe swoje nadzieje pokładała we mnie. I tu ją zawiodłam nie uzyskawszy dyplomu.
Na szczęście przyszłość miała ją pocieszyć.

W dwudziestym drugim roku życia rozumiałam, że moi trzej nieodłączni przyjaciele
stanowią przy mnie mur tak zwarty, iż żaden inny mężczyzna nie zdoła przez niego
przeniknąć. Zresztą nie widziałam nikogo na horyzoncie, kto by mógł mnie bardziej od nich
pociągać. Nie byli zazdrośni o siebie nawzajem, łączyła ich szczerą przyjaźń, ale ja czułam,
że muszę dokonać wyboru. Z nich trzech Jerzy wydawał mi się najbardziej pociągający
fizycznie, co zapewne było decydujące, a poza tym najinteligentniejszy, najwięcej umiejący i
wiedzący, a zawsze mi była Potrzebna u mężczyzny przewaga intelektualna. Dzieciuch też
był n'eprzeciętny i myślał oryginalnie, ale czy kobieta może traktować jak Prawdziwego
mężczyznę kogoś, kogo nazywa Dzieciuch? Jerzy nie miał Jego niedojrzałości, jego
nieodpowiedzialności. I jeżeli ktoś będzie to yteł, niech się nie śmieje — uznałam, że właśnie
Jerzy nadaje się aJ bardziej na ojca moich dzieci (a byłam opętana myślą o dzieciach) —

131

zdrowy, zdolny, mądry. I co najzabawniejsze, wcale się nie dał mi dzieci nadzwyczajne. Te
względnie eugeniczno-intelektualne nj świadczyły o wielkiej miłości, zapewne. Ale łączyło się
z nimi uczucie prawdziwego przywiązania, które mnie nie opuściło do końca naszes(pożycia,
tzn. do jego śmierci. Wszystko to razem stanowiło wcale nie najgorszą bazę do małżeństwa,
choć zorganizowaliśmy je w sposób niebanalny i szokujący dla większości ludzi. Ale Jerzy
nie był człowiekiem banalnym.

Wychowany przez bardzo surowego i autorytatywnego ojca, w dość dla mnie osobliwy
sposób był skrupowany w domu. Nie wolno mu było (dorosłemu) wracać po dziesiątej,
rodzice zabierali mu minimalną sumkę, którą dostawał jako aplikant adwokacki, sumkę, która
zaledwie mogła starczyć na kawę czy na kino. Tak że Jerzy nie tylko nie mógł zafundować
żadnej rozrywki, ale i sam nie mógł sobie na nią pozwolić. Nazywało się to, że płaci za swoje
utrzymanie. Skąpstwo (ogromne) moich teściów zadecydowało także o wyborze jego drogi
życiowej. Jak już pisałam, chciał studiować fizykę, marzył o tym. Ale ojciec się sprzeciwiał i
nie było mowy, żeby oponować. W każdym razie Jerzy nie potrafił i ukończył prawo.
Stypendium, jakie podczas studiów otrzymywał, zapewniało mu jaką taką
samowystarczalność. Co najzabawniejsze, zawsze myślał, że rodzice są ubodzy, podczas gdy

teść sam mi wyznał, iż w dniu wybuchu pierwszej wojny miał majątku 100 000 rubli, które oczywiście na skutek działań i przemian wojennych przepadły. Tak więc Jerzy został prawnikiem, później adwokatem i nie było już od tego odwrotu. Co prawda, kiedyśmy się pobrali, proponowałam mu wielokrotnie, aby rzucił adwokaturę i, rozpoczynając życie od nowa, zabrał się na dobre do fizyki. Ale nie starczyło mu na to odwagi czy siły woli, a może istotnego powołania.

Po powrocie do Polski, wkrótce po wybuchu rewolucji — jak już wspominałam — musiał zdawać ponownie wszystkie egzaminy, co było dość bezsensowne, bowiem petersburski uniwersytet, który ukończył, był w owym czasie jedną z najlepszych uczelni w Europie. Ale Polska upajała się swoją suwerennością — stąd te wymagania. Po zdaniu egzaminów poszedł na aplikaturę, która mu nie dawała nic, a po wojmie 1920 roku dostał się do Prokuraturii Generalnej i tam otrzymywał skromne wynagrodzenie.

Takie były mniej więcej jego dzieje, aż do owego wieczora wiosefl' nego, kiedyśmy poszli na spacer, wzdłuż Filtrów. Podówczas to było \$

132

'astem i tam Jerzy zapytał mnie, czy chcę zostać jego żoną. Od-
oWjedziałam „tak”, bo od dawna już byłam na tę propozycję
rzygOtowana i myśl o połączeniu się z tym miłym chłopcem najzupeł-
jej mi odpowiadała. Wróciłam potem do domu i oznajmiłam Mamin-
kowi i Nykowi, że wychodzę za mąż. Ucieszyli się oboje, zwłaszcza, że
wybór mój padł na Jerzego, którego bardzo lubili.

Ale Jerzy nie zjawił się nazajutrz ani następnego dnia, ani później. Po prostu zniknął. Poczulałam się strasznie głupio wobec rodziców i wobec samej siebie. Telefony wówczas nie istniały, przynajmniej dla ludzi o takim standardzie materialnym jak my albo Krzywicy, którzy powszechnie uchodzili za niezamożnych. Ale i tak bym nie zadzwoniła, podobnie jak nie napisałam kartki z prośbą o wyjaśnienie tego dziwnego postępowania. Koledzy i znajomi nie wiedzieli o oświadczeniach, mogłam więc udawać, że nic nie zaszło. Ale nietrudno sobie wyobrazić moją ukrytą wściekłość. Po pewnym czasie Stefan oznajmił mi, że Jerzy jest chory na paratyfus i że nikogo do niego nie dopuszczają. Data zachorowania zgadzała się mniej więcej z naszym niefortunnym spacerem w okolicy Filtrów. To, że nie napisał, też się tłumaczyło: wówczas uważano wszystkie tyfusy za niezmiernie zaraźliwe. Chorował w domu, nie w szpitalu — szpital traktowało się w owych czasach jako nieszczęście, niemal jak hańbę, jako przytułek dla nędzarzy i „szanujący się” ludzie nie szli do szpitala.

Wreszcie, po paru tygodniach, Stefan oznajmił mi, że idzie odwiedzić Jerzego, i zapytał, czy nie zechcę mu towarzyszyć. Pogodziłam się już z nieudanymi oświadczeniami, pozostała we mnie niezmienna sympatia dla przyjaciela i nie zamierzałam mu robić wymówek, skoro przeszedł tak ciężką chorobę. Może zresztą już był chory, kiedy mi się oświadczał? I nie bardzo wiedział, co mówi? Zgodziłam się więc pójść ze Stefanem do Jerzego. „Jutro — powiedział — bo Jerzy mówił, że rodzice będą nieobecni”. Jerzy krył się przed rodzicami z tak niewinną rzeczą, jak w'zyta kolegi i koleżanki, bo w owych czasach wizyta panny u kawalera była czymś niestosownym. Ciekawe, jak silne były przesady drobno-mieszczarskie w domu pioniera socjalizmu w Polsce. Maminek był zupełnie wolny od tego rodzaju uprzedzeń.

Poszłam więc ze Stefanem i znalazłam Jerzego ubranego, już nie w łóżku, ale tak wychudzonego, tak jakoś dziwnie roztrzęsionego "erwowo, że go prawie nie poznałam. Rozglądał się niespokojnie na °ki, trzęsły mu się ręce. Dawniej rumiany i uśmiechający się często,

133

teraz był blady i napięty. Dość przygnębiające wrażenie sprawiło mnie mieszkanie Krzywickich. Skromne, na czwartym piętrze, w oficv nie. Pokój Jerzego był umeblowany

osobliwie: żelazne, pogięte łóżko wyglądające na to, że się za chwilę zawali, stół, równie sfatygowany, poplamiony atramentem i jedno krzesło. A poza tym kosze, kosze, także jakich się wówczas używało zamiast walizek, kosze, stojące obok siebie na sobie, aż do sufitu. Tak, że pokój wyglądał jak graciarnia lub strych. Z innych pokoi zobaczyłam tylko jadalnię, stereotypowo mieszcząc. Ką, z kredensem bez żadnego charakteru i długim stołem, pokryty ceratą i otoczonym krzesłami. Oprócz tego była w pokoju brzydka odrapana kanapa z czarnej skóry czy ceraty (już nie pamiętam) i duża szafa w kącie. Żadnego obrazka, żadnego kwiatka, żadnego mebla, na którym mogłoby z przyjemnością spocząć oko. Pomyślałam sobie, że muszą być bardzo biedni, żeby tak brzydtko mieszkać. Bo przecież u nas, choć bieda była niewątpliwa, a meble od sasa i od łasa, ale było jakoś miło, Zaś to wewnątrz wydało mi się jednym z najbrzydszych i najmniej przytulnych, jakie znałam. Jerzy nie patrzył mi w oczy, rozmowa się nie kleiła, toteż umknęliśmy ze Stefanem co rychlej. Co się stało z naszym wspólnym przyjacielem, czy to choroba tak go zmieniła?

Nie pamiętam, po jakim czasie Jerzy zjawił się u mnie. Ale nadal działo się z nim coś niedobrego. Położył łokcie na moim stole, oparł głowę na rękach i tak siedział milcząc, z twarzą schowaną w dłoniach. Długo pytałam, co mu właściwie jest. Widziałam, że się bardzo męczył, chcąc mówić i nie znajdując słów. Wreszcie wybuchnął wyznaniem: że mnie kocha... że mnie strasznie kocha... ale że postąpił jak idiota... i niegodziwiec... że nie był pewny swojej miłości... brat powiedział (ach, ten brat: jeszcze do niego wróć) — że nie ma jeszcze stanowiska. Wi?c niech sobie nie zawraca głowy miłościami... że to może po prostu głód zmysłowy... więc poszedł... poszedł do kobiety... nie do prostytutki, to nigdy... do jednej znajomej... i tam... się zaraził. Oszlupiałam z przerażenia: syfilis? Nie... tak źle nie jest... rzeżączka. Objawy wystąpiły prawie jednocześnie z objawami tyfusu. Rodzice przestali z nim rozmawiać—no bo choroba haniebna. Matka wchodziła do jego pokoju tylko po to, aby mu dać lekarstwo, ale nie odżywała się wcale. Ojciec przestał go w ogóle znać. Więc on przyszedł do mnie, żeby przeprosić, żeby wytłumaczyć, że przecież nie zakpił sobie ze mnie wtedy, przy Filtrach. Był tak strasznie umęczony, taki się czuł niegodny i zhańbiony, tak go było bardzo żal. Nigdy dotąd nie widziałam człowieka do

134

ia zmaltretowanego, pogardzającego sobą, tak nieszczęśliwego. f, A wczas, nie rozumując, ale wiedziona instynktem, czy to macierzyris-

i^(J vV^*_~ "'~ '

. czy po prostu ludzkim, przysunęłam się do niego i pocałowałam go, leżącą bezwładnie na stole. Wtedy nastąpiło coś nieoczekiwane-, • Jerzy runął na podłogę, do moich nóg i, całując mnie po stopach, łkał '• k małe dziecko. Z trudem go podniosłam, usadowiłam z powrotem na krześle, i kiedy się uspokoił, zaczęliśmy rozmawiać. fa moja „wielkoduszność”, jak ją nazwał Jerzy, wynikała i ze współczucia, i z tego, że, po chwili wahania, uznałam, iż w chorobie wenerycznej nie ma nic hańbiącego, że to taka sama choroba, jak każda inna. Do tego wniosku doszłam samodzielnie, bo nawet Maminek 20tów byłby uznać taką chorobę za hańbiącą. Był to mój pierwszy krok na drodze przemyślenia na nowo zagadnień obyczajowych, co mi w przyszłości miało dać niemały rozgłos. Ale wówczas o tym nie myślałam. Po prostu widziałam cierpiącego przyjaciela i nie znalazłam innego sposobu, aby mu pomóc. Tym swoim intuicyjnym, nie wymyślonym postępkim przykułam do siebie Jerzego na całe życie.

Kiedy oprzytomniał po poprzedniej, rozzierającej scenie, zaczął mówić spokojnie, że mnie kocha, że nadal chce się ze mną ożenić, ze mną i tylko ze mną. a jeżeli uznam, że nie jest mnie godny, to nie ożeni się w ogóle. Że już jest faktycznie wyleczony, ale lekarz powiedział, że jeżeli się chce żenić, powinien dla ostrożności poczekać dwa lata (czasy przed antybiotykami) i przez ten czas nie mieć stosunku z żadną kobietą, bo nie wiadomo, jak długo rzeżączka jest zaraźliwa. Gdybym chciała zaczekać te dwa lata...

Odpowiedziałam uczciwie, że w zasadzie chcę wyjść za niego, ale nie mogę ręczyć, czy się nie zakocham w kim innym przez ten czas, choć nie widziałam nikogo innego w pobliżu. A przecież o mało co nie zakochałam się właśnie w Jerzym. Właściwie, kiedy mi się oświadczał, byłam o krok od wybuchu miłości (w rezultacie to, co czułam wtedy i Później do Jerzego, było jednak miłością), wydawało mi się, że to jest er> wybrany, zwłaszcza że on jedyny pocałunkami obudził we mnie Zrnysłowy dreszcz. Ale głuptas popsuł wszystko. Najpierw ciężka °°raza, kiedy się nie zgłaszał po oświadczeniach i nie wytłumaczył bodaj JeQnym słowem, potem bolesne, tkliwe współczucie na skutek nie tyle Jeśo choroby, co uczucia hańby i poniżenia, jakiego doznawał. . Mimo że potrafiłam wówczas potraktować te sprawy samodzielnie

lebanalnie, z amour-passion nie miało to wiele wspólnego. I w gruncie

135

rzeczy marzyłam o jakimś malowniczym romansie, który mnie zat (Siłą, z głową, rozsądkiem i wielkodusznymi uczuciami.

Tymczasem trwaliśmy z Jerzym w owej, narzuconej przez (przes.H nego chyba) lekarza kwarantannie. Chodziliśmy jednak wszyscy raz« we czwórkę, bo Stefan i Dzieciuch, podejrzewając, że wybór mój padł, Jerzego, nie rozumieli, czemu się w takim razie nie pobieramy, j n tracili nadziei. Zresztą, rozrywek mieliśmy mało, jak to w ow\x-czasach. Niekiedy teatr, rzadko kino, które wtedy nie było jeszc> uważane za sztukę i do którego trochę wstyd było chodzić. No i JCSZQ koncert czy jakaś wystawa. Nawet do kawiarni nie chodziłam\ O tańcach w ogóle nie było mowy, o jakichś prywatnych przyjęciach też. Wszyscy byli goli, bez grosza, a Stefan wstydził się przyznać do majątk „starych”. Jerzy zaś o majątku swoich rodziców nie wiedział. Mara nek mógł od czasu do czasu poczęstować moich kolegów (zwłaszcza Dzieciucha, bo nie dojadł) kolacją, to wszystko.

Natomiast Jerzy postanowił przedstawić mnie rodzicom, już jak oficjalną narzeczoną. Wiem, że nie spotkało się to ze zbytnim entuzju mem. Ojciec powiedział: „Wydaje mi się, że jedna Żydówka w rodzin wystarczy”. Brat zdecydowanie nie chciał mnie poznać. Przyszła i teściowa oświadczyła, nieco zażenowana: „Ludwik uważa, że krzyżowanie daje dobre rezultaty, ale jeżeli Jerzy ożeni się z tobą, to tego krzyżowania będzie trochę za dużo. Ja jestem innego zdania. Może nawet jesteś mi tym bliższa, że jesteś Żydówką”. Teściowa zresztą. z domu Feldberg, mimo chrztu, koniecznego dla zamażpójścia. nie zmieniła swego imienia, Rachela, i żydostwa się nie wypierała. * Były to jeszcze osobliwe czasy, kiedy się uważało, że Żydzi są zdolni i inteligentni, ale nie twórczy. Było to tak rozpowszechnione mniemanie, że nawet Maminek je podzielał. I to wówczas, kiedy właśnie Żydzi ujawnili świetne talenty, a nawet geniusz w różnych dziedzinach wiedzy i sztuki. Obłęd!

Jednakże kiedy przyszłam z pierwszą wizytą, teść mnie przyjął może nie wylewnie, ale uprzejmie. Dla mnie ta wizyta była wielkim przeżyciem. Nazwisko Krzywickiego, wymawiane z najwyższą czcią, słyszałam od najwcześniejszego dzieciństwa. To był w pojęciu Maminka i dużej części inteligencji Wielki Człowiek, maitre a penser, postać czysta i szlachetna. Dla mnie więc to było nie byle co wejść w taką rodzinę. nazwać tego Wielkiego Człowieka ojcem. Jeżeli piszę o nim wielką literą. to nie przez ironię — Krzywicki miał istotnie olbrzymi wpływ na

136

innych. Postępowa część inteligencji polskiej, spragniona niezwykK przywódcy, uważała go za wieszczą, wodza narodu. Można sob wyobrazić, jak mnie onieśmiała tego rodzaju postać, jak się czułam zaszczyczona. Gotowa nawet byłam podzielić zdanie Wielkiego, że Jer?v w gruncie rzeczy nie powinien brać mnie za żonę. Powiedziałam tn wprost memu narzeczonemu, ale on wykrzyknął, że z nikim innym nie ma zamiaru się żenić.

Wpływ Ludwika Krzywickiego na rodzinę był niesłychany. Każde . jego słowo traktowano jak wyrocznię. Kiedy ojciec spał, w całym domu mówiło się szeptem. Nie było mowy, aby

mu się w czymkolwiek sprzeciwić. Żona się go bała, dzieci się bały. I wielbiły jednocześnie Jerzy w rzadkich tylko wypadkach, kiedy np. szedł do teatru, dostawał klucz od mieszkania, by wrócić później. Tego rodzaju szczegóły mogłabym mnożyć. To więc, że nie ugiął się, gdy chodziło o małżeństwo, było z jego strony dowodem wielkiej determinacji i wielkiej miłości. Bywałam zapraszana przez moich przyszłych teściów na wszystkie niedzielne obiady. I tu zaczęła się tortura. Już w przedpokoju wiał mnie zapach zjełczałego tłuszczu. Dopiero bowiem miałam się przekonać, jak chorobliwie skąpi byli rodzice Jerzego. Masło do gotowania kupowało się raz do roku (tak!), topiło się je i jadło aż do następnego lata. A lodówek jeszcze nie znano. Tłuszcz więc gorzkniał, śmierdzał, co nie przeszkadzało, by na nim gotować. W niedzielę na obiad były zawsze wołowe kotlety, smażone na tym okropieństwie. Dziw, że się wszyscy nie potruili. Ja, dosyć wybredna, bo choć u nas jadało się skromnie, ale wszystko było zawsze świeże, nie mogłam dosłownie przełknąć ani kawałka. „Co ty tak nie masz apetytu?” — mówiła z dezaprobatą teściowa. „Widocznie jesteś słabowita”. To już brzmiało groźnie, jakże bowiem Jerzy mógł poślubić słabowitą. Odpowiadałam na to, że zawsze w niedzielę późno jem pierwsze śniadanie, ale teściowa patrzyła na mnie niedowierzająco. Usiłowałam więc wyciągnąć na rozmówki teścia, żeby odwrócić uwagę od mego braku apetytu, i to mi się zazwyczaj udawało. Teść rozmiawiał chętnie, no i wtedy następowała prawdziwa uczta. Był niezwykle mądry, posiadał olbrzymią i wielostronną wiedzę w literaturze czytanej nie gorzej ode mnie, a w przeróżnych innych dziedzinach — o niebo lepiej. Można z nim było rozmawiać o wszystkie i niezmiernie wiele można się było w czasie tych rozmów dowiedzieć. Chłonełam każde jego słowo, zapominałam o śmierdzących kotletach; mogłabym go słuchać bez końca. Ale zaraz po obiedzie teść szedł spać.

138

zbierał się i kładł do łóżka na dwie godziny), a ja zostawałam teściową, która nieodmiennie wyciągała stos zniszczonej bielizny owiła: „Bądź tak dobra, moje dziecko, i poreperuj trochę, bo mnie już 'ndno" (a nie była jeszcze stara, miała sześćdziesiąt dwa lata). Tak więc szta niedzieli upływała na cerowaniu niezliczonej ilości skarpet, na lataniu starych gaci. Dość szczególnie sposób spędzania niedzieli dla dwudziestokilkulatki! Rewoltowało mnie to tym bardziej, że w domu, u mnie, reperowało się doraźnie, jak się coś podarło, i nie gromadziło się nigdy stosów zniszczonej bielizny, zwłaszcza że kiedy coś już było na Wawdę podarte, Maminek przeznaczał to na gałgany, mówiąc, że nie znosi starych szmat. Jeżeli zaś coś było w lepszym stanie, a już przestawało służyć, zawsze było komu podarować. Tak np. Maminek nigdy nie przechowywał znoszonych czy niemodnych sukien ani okryć. Najczęściej darowywał je, zanim zdążyły się wysłużyć. Bo Maminek lubił obdarowywać, w przeciwieństwie do rodziny Krzywickich, gdzie kosze w pokoju syna pękały od nagromadzonych rzeczy, głównie z wyreperowaną przeze mnie bielizną, która już właściwie nikomu służyć nie mogła. Zdaje się, że zbuntowałam się po jakimś czasie, ale w każdym razie to reperowanie trwało długo. Teściowa była tak skąpa! Pewnego dnia, kiedy biegałam z lekcji na lekcję, ukradziono mi portmonetkę, a spieszyłam się ogromnie i musiałam jechać tramwajem. Na szczęście, spostrzegłam brak pieniędzy niedaleko od domu moich przyszłych teściów. Wbiegłam więc na górę i tłumacząc, co się stało, poprosiłam przyszłą teściową o 15 groszy na tramwaj. „Nie mam, moje dziecko, nie mam” — odpowiedziała. Dotychczas nie obcowałam ze sknerami (Maminek był na antypodach. Sama mając mało, zawsze znajdowała sposób, żeby dać coś innym. I nigdy nie poczułam prawdziwego ucisku biedy, zawsze były pieniądze na jakąś drobną fantazję, kwiatek, cukierek) i to zetknięcie się ze skąpstwem, w tak Zresztą groteskowej postaci, wydało mi się czymś potwornym.

Do tego wszystkiego teściowa nie miała zupełnie poczucia humoru. Kiedyś się przejęczyła i powiedziała do Jerzego: „Otwórz szafę od Przodu”. — 5, A czy można ją otworzyć od tyłu?” — zapytał śmiejąc się syn. Wynikła z tego awantura za brak szacunku dla matki. Kiedy Jerzy a grosze, które mu zostawały z lichej pensyjki, której lwią część j*bierali mu rodzice na pokrycie kosztów utrzymania, kupił sobie '•- teściowa dostała spazmów, że to niemoralne. Moralne było

139

chodzenie po mieszkaniu w gaciach. Powiedziała mi, że mnie ceni za to że się nie maluję. Myliła się, biedactwo, malowałam się, ale bardzo dyskretnie. Maminek był absolutnie za tym, żeby się trochę upiększać i zakazał mi raz na zawsze noszenia okularów, choć miałam bardzo krótki wzrok (mówiła, że szkoda zakrywać ładne oczy). Że jednak nie zawsze sobie mogłam poradzić, kupiła mi face a main, które mogłam na chwilę przyłożyć do oczu i zaraz odjąć. Dziś takie face a main byłoby śmieszne, ale wówczas było w użyciu, okulary zaś stanowiły ogromny handicap dla kobiety i Maminek w żaden sposób nie mógł się zgodzić na to, żebym wyglądała brzydko. „Musisz ładnie wyglądać, nawet w domu, dla mojej własnej przyjemności” — mówiła. I o dziwo, mając — 9 dioptrii, dawałam sobie radę i nawet orientowałam się doskonale w górach. Tylko czasem zdarzało mi się nie rozpoznawać twarzy. I nie nosiłam szkieł aż do czasu, kiedy się zestarzałam i przestałam myśleć o tym, żeby się podobać. Ale teściowa uważała za bezsensowne to, że nie noszę binokli. Boże, jakże bym w nich wyglądała!

Teściowa nie była wrażliwa na piękno. Jakakolwiek radość dla wzroku w ogóle dla niej nie istniała. Dlatego też mieszkanie ich było ohydne — mieszanina dulszczyzny z typowo wczesnosocjalistycznym ascetyzmem. Ten specyficzny ascetyzm nie pozwalał ani ładnie się ubrać, ani przyozdobić mieszkania, ani pośmiać się od serca, bo to było „niepoważne”. Szczątki tego, ale tylko szczątki zachował Maminek uważając, że socjalista nie powinien tańczyć. Oczywiście tegoż zdania byli teściowie. Młodość Jerzego, bardziej niż moja, upłynęła bez krzty wesołości. Znalazł ją u nas, bo Maminek był dowcipny, uwielbiał żarty, śmiał się dużo i atmosfera domu (w czasie nieobecności Nyka, który wytwarzał chłodek) była radosna. Toteż moi trzej przyjaciele kochali si? we mnie, ale uwielbiali Maminka i często przed nią wylewali swoje żale miłosne. Ona wszystko rozumiała, zawsze potrafiła pocieszyć i rozśmieszyć na dodatek. Cóż to była za urocza kobieta! Jej czar nie przestał działać aż do końca życia.

Trudno natomiast mówić o czarze mojej teściowej. Była to kobieta wyjątkowo pozbawiona wdzięku. Przy tym nieładna. O wypukłych oczkach, z długim, zakrzywionym nosem. Jedyne jej ozdobą były obfite blond włosy i biała cera. Podobno ongi ładnie śpiewała. Dlaczego teść — bardzo przystojny — ożenił się z nią, dlaczego nie wybrał sobie powabniejszej, bardziej ujmującej kobiety? Było jeszcze coś, co ich dzieliło: teść był do szpiku kości Polakiem, teściowa zaś Rosjanką, do

140

jebj przesiąknięta kulturą rosyjską, obca natomiast kulturze polskiej, 'jej brat był nadwornym laryngologiem cara, a siostra śpiewaczką opery etersburskiej. Jej rosyjskość miała jedną dobrą stronę: przekładała na ten język artykuły męża, dzięki czemu mógł on je umieszczać w rosyjskich „tołstych żurnalach” (postępowych, oczywiście), które płaciły doskonale, w przeciwieństwie do pism polskich. Teściowa przed zarnażpójściem należała do Narodnej Woli, a potem do eserów, wybitych co do nogi przez bolszewików. Uważała się za kobietę nowoczesną, bo studiowała parę lat w Zurychu (gdzie poznała swego męża) i za

rewolucjonistkę. Ale po ślubie wszystko to przestało cokolwiek znaczyć. Stała się cieniem tego człowieka, którego kochała bez pamięci.

Mani wrażenie, że teść, z egocentryzmem właściwym wybitnym ludziom, cenił nade wszystko to bezgraniczne oddanie. Czy był wierny żonie? To pytanie zadawałam sobie wielokrotnie, tak duża była między nimi różnica w urodzie i atrakcyjności. Ale, wychowany w wiktoriańskiej moralności, którą z lekka tylko korygował socjalistycznym światopoglądem, być może, że dotrzymał wierności swojej nieładnej i mało interesującej, choć nie pozbawionej pewnych zainteresowań intelektualnych małżonce. Kiedy ich poznałam, byli już po sześćdziesiątce. Teściowa zresztą wkrótce dostała ataku apoplektycznego, który minął. ale zostawił ją w niedobrym stanie. Zdarzało jej się, w czasie tych nieznośnych dla mnie niedzielnych obiadów, złapać nagle ręką kotlet z półmiska i pożreć go łapczywie. Na to teść czerwieniał i krzyczał: „Co to jest, do diabła (wymawiał „diabła”, nie „djabła”), czy nie możesz jeść przywoicie?” Kiedy mąż krzyczał, teściowa kulila się na krześle i chowała głowę pod stołem. Biedactwo, nie jej winą było, że zdziecinniała. A ja, choć się chciałam zbuntować przeciwko tym uciążliwym niedzielnym wizytom, po pewnej przerwie podjęłam je znowu, właśnie dlatego, że była chora, że jej moje wizyty, od czasu choroby, sprawiały wyraźną przyjemność i że już naprawdę nie potrafiła utrzymać igły w ręku i wyreperować tych wszystkich gaci. Tak że moja pańszczyzna trwała dalej.

Z tego czasu przymusowej kwarantanny narzeczeńskiej nie pozostało mi wiele wspomnień. Nie był to okres przyjemny ani zabawny. Zetknięcie z „Redutą” pozostawiło mi niesmak i gorycz, nie spotkałam nikogo, dla kogo chciałabym opuścić Jerzego. Rozumieliśmy się nawzajem coraz lepiej. To on, nie ja (późniejsza „odważna”, a nawet

141

gorsząca) powiedział: „Pamiętaj, że nasze małżeństwo musi być wzbo. gaceniem, a nie zubożeniem życia. Nie wolno nam będzie zadawać sobie podejrzliwych pytań, chyba że któreś z nas samo zechce mówić, nie wolno kontrolować, kiedy i skąd się wraca, każde z nas będzie miało prawo mieć swoich własnych, osobnych znajomych”. Przydeptany tysiącem przymusów i nakazów w domu rodzicielskim, pragnął j-Ą najdalej idącej swobody. Zgadzałam się z nim w zupełności, moje pojęcie małżeństwa było takie samo, tylko nie wiem, czy odważyłabym się to tak sformułować. Nasze wzajemne zrozumienie przykuło mnie do niego na zawsze. Niestety, paradoksalnie, z tej swobody skorzystałam w rezultacie ja sama, on w bardzo małym stopniu. Trzeba jednak przyznać, że pozostał wierny sobie i nie sprzeniewierzył się swoim zasadom, a raczej bardzo nowoczesnemu brakowi zasad. A było to z pewnością niełatwe. Spędzałam wakacje w Radości, u mojej kochanej pani Karo, kiedy pewnego lipcowego dnia pojawił się Maminek, zgrzany, spocony od brnięcia przez pustynię w pełnym słońcu i powiedział, że Jerzy nie mógł przyjechać, bo ma pilną robotę, ale że „jutro jest wasz ślub, a pojutrze macie pojechać, jak to sobie zaplanowaliście, do Wschodniej Małopolski, do Jaremca”. Dlaczego to było takie niespodziane — skąd się wziął ten pośpiech, nie pamiętam. W każdym razie, odpocząwszy, ruszyliśmy natychmiast w powrotną drogę. Faktycznie od jakiegoś tygodnia byłam już żoną Jerzego. Zrozpaczona i pogardzająca sobą za to, że w wieku lat dwudziestu czterech byłam jeszcze dziewczcą, oddałam mu się dość pospiesznie, żeby bodaj we własnych oczach ratować moją reputację „wolnej kobiety”. Okres kwarantanny się skończył, nie było już między nami przeszkód. Najbardziej zdziwiony moim dziewictwem był Jerzy. Nawet mu przez głowę nie przeszło, żeby to było możliwe, zwłaszcza wobec mego tak liberalnego potraktowania jego choroby. Był zdumiony i, niezależnie od wszelkich nowoczesnych poglądów, szczęśliwy. Mimo wielkiej ostrożności i czułości Jerzego, nie doznałam przyjemności, tak to zawsze bywa na początku. Ale wkrótce potem poznałam dzięki mężowi rozkosz zmysłową. Powstała więc między nami oprócz duchowej i więź fizyczna.

Pobrać się postanowiliśmy już od dawna skromnie i zupełnie cicho, bez żadnych gości i przyjęć. Włożyłam jednak białą suknię, skromniutką, batystową, i biały batystowy kapelusz (przed dwoma laty stryj Julek, bogaty stryj Julek, chcąc mi zapewnić przyszłość, złożył w banku pokaźną sumę, jako mój posag). Ale były to czasy inflacji i po dwóch

142

latach za te pieniądze mogłam sobie jedynie kupić ów batystowy, akrochmalony kapelusz. Na ślubie, poza Maminkiem i Nykiem, byli becnii tylko ciotka Stefa i wuj Benedykt Hertz — jako świadkowie. Uroczystość odbyła się w kościele ewangelicko-augsburskim, bo z racji ślubu przyjął chrzest. Pastor był zresztą wyrozumiały i nie żądał ode mnie jakichś wyznań wiary, potraktował to wszystko jako formalność. Niezbędną, gdyż nie istniały wówczas śluby cywilne. A że wyznanie ewangelickie? Teść przyjął je również żeniąc się, bo było bardziej liberalne niż katolickie i zakładało możliwość rozwodu, co nam z Jerzym także odpowiadało. Postanowiliśmy tedy, że nie będziemy urządzać żadnych przyjęć, uznaliśmy, że ślub dotyczy tylko zainteresowanych i otoczenie nie ma nic do tego, a już zwłaszcza obcy. Nie uprzedziliśmy też o terminie nikogo, nawet ja sama nie wiedziałam nic o dacie dwa dni wcześniej. *

Jerzy spóźnił się na ślub. Spóźnił się tak bardzo, że aż pastor zaczął robić złośliwe uwagi. Nie było to przyjemne. Mój narzeczony nagle wpadł do zakrystii, zgrzany, na pół przytomny, rozczochrany. Okazało się, że spóźnił się dlatego, iż jego lepsze ubranie było w szafie w pokoju ojca, a ojciec spał i oczywiście nie było mowy, żeby go obudzić. Dopiero gdy skończył sjęstę, syn wskoczył w swój „lepszy” garnitur i cwałem pobiegł do kościoła, bo nie miał grosza na dorożkę. Przy końcu ceremonii zjawił się też teść (teściowa była chora i już nie wychodziła z domu). Uścisnął mi rękę, przywitał się oziębło z Maminkiem i Nykiem oraz ze świadkami i poszedł.

Nie było mowy o jakimś prezencie dla mnie czy dla syna, o filiżance kawy w kawiarni czy śniadaniu w restauracji. Zresztą nie spodziewaliśmy się tego. Maminek natomiast przygotował nam zawczasu dobrą kolację i wyszedł z domu wraz z Nykiem na resztę dnia i na noc. Uważaliśmy to za niezwykle miłe z ich strony. Wracając do domu, pozwoliliśmy sobie na luksus: w sklepach było dużo owoców (bo to lipiec) i kupiliśmy każdego owocu po ćwierć kilo, bo tylko na tyle było nas stać. Ale po przyjeździe do mieszkania rozłożyłam elegancko na dużym półmisku maliny, agrest, porzeczki, wczesne śliwki i gruszki. %ło pięknie i wspaniale. Pierwszy raz zostaliśmy naprawdę sami, a choć Już „skonsumowaliśmy” nasze małżeństwo wcześniej, była to dla nas radna chwila. I oto nagle rozległ się dzwonek. W drzwiach pojawił się daleki krewny, Aleksander Hertz (który później mieszkał w Stanach). * Skąd się dowiedział o naszym ślubie, nie mam pojęcia, ale rubasznie

143

otworzył ramiona i pytał, czemuśmy nie rozesłali zaproszeń. Cho' powiedzieliśmy, że nie chcieliśmy mieć na ślubie nikogo, rozsiadł Sje i zaczął gadać. Był ostatnią osobą, na którą mielibyśmy wówczas ochotę, ale nie umieliśmy go odprawić. Sytuacja młodych małżonkó/y była dla nas żenująca. Co gorsza, Jerzy przyniósł z sąsiedniego pokoju butelkę likieru, którą przygotował dla nas Maminek (lubiący tyl^ słodkie alkohole), i nie widząc moich złowrogich spojrzeń, postawił ją przed gościem. Co tu się wdawać w szczegóły: facet wypił sam całą butelkę, siedział do pierwszej w nocy, wyrzygał się najpierw na dywan potem na schody i w końcu Jerzy, za ostatnie grosze, jakie posiadał musiał go odwieźć w nocy dorożką do domu. Cały pogrzyb na nic — jak mawiał Franc Fiszer. Byłam wściekła, nie tylko na nieproszonego gościa, ale i na Jerzego, że nie umiał go spławić i jakoś, w rozsądnym czasie, tej sytuacji rozwiązać. Moja wściekłość była tak widoczna, że Jerzy po odwiezieniu pijanego już nie ośmielił się wrócić do mnie, każde poszło u siebie w domu spać, i tak wyglądała moja noc poślubna.

To, że nie mieliśmy po ślubie wspólnego mieszkania, może wywołać zdziwienie. A nie! W owym czasie trzeba było mieszkanie kupić albo za drogie pieniądze odnająć. Po wojnie był kryzys, inflacja, ogromny głód mieszkań. Oczywiście Maminek nie mógł sobie pozwolić ani na kupno mieszkania dla nas, ani na wynajęcie, a treść nie chciał nam pomóc. Wykładał wówczas w trzech uczelniach: Uniwersytet, Wyższa Szkoła Handlowa (późniejszy SGPiS) i Wolna Wszechnica, na której mogli słuchać wykładów wszyscy, niezależnie od stopnia przygotowania czy matury. Wszędzie pobierał pensję profesorską, a że żył bardzo skromnie, więc niemało mógł odłożyć. Jednakże nie przyszło mu na myśl, aby pomóc synowi, który jeszcze nic prawie nie zarabiał. I tak mieszkaliśmy osobno po ślubie przez trzy lata (od 1923 do 1926 roku). Dla postronnych wyglądało to rozpustnie (jak na owe czasy), ale w rzeczywistości byliśmy najlegalniejszym małżeństwem.

Nazajutrz po ślubie, kiedy Jerzy był u mnie, miała miejsce nowa wizyta. Też nie proszeni, choć zapowiedziani zawczasu, zjawili się Stefan z Dzieciuchem. Sytuacja była nad wyraz ciężka i rozmowa nie kleiła się zupełnie. Obaj byli przygnębieni i ponurzy. Mimo to odprowadzili nas na dworzec — i widzę dotąd ich oczy pełne łez, wzniesione w kierunku okna naszego wagonu. Po cholere przyszli? Zadali sobie tortur? oglądając nas po ślubie i zepsuli nam humory widokiem swego cierpienia, bo oboje lubiliśmy ich serdecznie. Wszystko to jakoś marnie

144

układało. Podobnie nasz wyjazd nie należał do najpomyślniejszych. Sobie Jaremczę, bo mało wówczas znane (ja ze swoją manią ieknej i niebanalnej dekoracji). Tymczasem pejzaż mnie nie zachwycił: lubię góry skaliste, nie przepadam za zalesionymi pagórkami. Byliśmy nrawie bez pieniędzy, cały wyjazd był na mój koszt. Jerzy cierpiał strasznie, że jest na moim utrzymaniu. Uspokoiliam go, mówiąc, że mu pożyczam i że on odda mi kiedyś na pewno z nawiązką (co się istotnie stało, kiedy zaczął dobrze zarabiać, ale wówczas w górach, szczerze mówiąc, nie liczyliśmy na to). Tak więc nie mieliśmy pieniędzy, toteż i podróż była mordercza, na siedząco, 3 klasą, i chałupę wynajęliśmy najskromniejszą, ale za to pustą, bez gospodarzy, stojącą na uboczu, kawał drogi od samego Jaremcza. W chałupie było jedno wąskie, twarde łóżko ze słomianym siennikiem, stół i stołek, to wszystko. A, jeszcze był gwóźdź w ścianie, na ubranie. Musieliśmy kupić parę niezbędnych naczyń, bo wiadomo było, że w całej Wschodniej Małopolsce panuje nagminnie syfilis i trzeba się bardzo wystrzegać. Jedliśmy marnie i byle co. Jerzy był szczęśliwy, ja średnio. Dał mi co prawda poznać rozkosz cielesną, ale nie byłam dostatecznie zakochana, żeby to uczucie rozkoszy połączyło się z uniesieniem właściwym miłości. Uważałam, że jestem nienormalna, nie umiając czuć więcej, niż czułam. Zapamiętałam z tego wspólnie spędzonego miesiąca nade wszystko dość dziwne zdarzenie. Oto na długo przedtem, na rok może, opowiadałam moim trzem przyjaciółom, Maminkowi i koleżankom, że nawiedza mnie uporczywie pewien sen, a właściwie, tuż przed zaśnięciem, pewien obraz, zawsze ten sam: oto jadę na leżąco w daleką drogę. Przy mnie siedzi jakiś niesprecyzowany, bliski mi mężczyzna. Zajeżdżamy do oberży (nie do hotelu czy jakiegoś domu mieszkalnego, tylko właśnie do oberży) i wchodzimy po schodach do niedużego pokoju. Zaczynam się rozbierać... i tu się sen, czy półsen, kończył. Wracało to do mnie co wieczór, nic więc dziwnego, że o tym opowiadałam. Zastanawialiśmy się przy tym ze śmiechem, jakim wehikułem można jechać na leżąco, no i tak, sen mara, Bóg wiara. Ale oto, będąc w Jaremczu, wybraliśmy się z Jerzym ni* daleką wycieczkę, którą mieliśmy odbyć częściowo autobusem, częściowo pieszo. Lecz oto przedpotopowy, charczący i stękający autobus zepsuł się w połowie drogi i stanął bez ratunku. Co było robić? ^r-oga brzydka, płaska, ciągnąca się bez końca, nie tak wyobrażaliśmy s^bie naszą wycieczkę. I nagle zobaczyliśmy wóz, wyładowany workami Pełnymi ogórków. Skinęliśmy na woźnicę, jechał w naszym kierunku,

145

zgodził się nas podwieźć. Wdrapaliśmy się na wóz, nie było mowy, -^ siedzieć, więc wyciągnęliśmy się jak dłudzy na workach. I wtedy zawołałam: „Słuchaj, to właśnie to, co widziałam we śnie. Jedziemy na leżąco i tyle tylko, że zajedziemy na miejsce za jakąś godzinę. W moim śnie to była długa jazda i zajeżdżaliśmy na miejsce wieczorem”. Jerzy roześmiał się i powiedział, że takie prorocze sny nigdy się nie sprawdzają w całości. Ale dojechaliliśmy do jakiejś rzeczki i okazało się, że most jest zerwany. Woźnica zaklął, powiedział, że trzeba będzie objeżdżać zażądał od nas większej sumy (i tak to były grosze) i ruszyliśmy w drogę. Zapadł wieczór. Jerzy, podniecony bardzo, widząc, że sen mój zaczyna się sprawdzać, zawołał: „A teraz prędko mów, czy będzie oberża, z której strony drogi i jaki będzie pokój”. Nie warto tu wchodzić w szczegóły: powiedziałam, jak będzie, i wszystko sprawdziło się dokładnie. Była oberża, z lewej strony drogi, do pokoju szło się po stromych schodach, łóżka stały pod przeciwległymi ścianami, stół pośrodku. Tego rodzaju osobliwe przypadki, raczej z dziedziny meta-psychologii, zdarzały mi się w życiu kilkakrotnie i nie zamierzam ich tu pomijać. Bo i czemu? Nawet gdybym miała zgorszyć racjonalistyczne umysły.

Cała ta podróż poślubna zostawiła mi wspomnienie dość nijakie, a właściwie w ogóle zatarła się w mojej pamięci. Wycieczki były monotonne: po wdrapaniu się na jedną zalesioną górę widziało się następną. Chałupa była zbyt uboga, bez możliwości porządnego umycia się, łóżko straszliwie niewygodne, jedliśmy podłe i nie było, przynajmniej z mojej strony, tego niezbędnego oczarowania, które ozdabia wszystko. W dodatku nie znaliśmy i nie poznaliśmy w Jaremczu nikogo. Wracałam z przyjemnością do Warszawy.

Znajomi biadali przed Maminkiem: „Taka piękna dziewczyna, myśleliśmy, że zrobi świetną partię. A za kogo wyszła? Za adwokacika bez ukończonej praktyki, i nie wiadomo, czy będzie coś zarabiał w przyszłości”. Tym znajomym, nawet socjalistom, imponował Szere-szewski. Milioner. To było coś dla mnie. Ale znów z mojego punktu widzenia nie mogło być o tym mowy. Tak więc wróciłam do swego miłego, ale mikroskopijnego pokoiku u Maminka, a Jerzy do swego, zastawionego kosztami po sufit — u rodziców. O tym, żeby jakoś

146

atnęli j przygotowali pokój jego dla nas obojga, nie było mowy. «/ moim zaś pokoju z trudem można się było obrócić. Na drugie łóżko hsolutnie nie było miejsca. Przy tym Jerzego krępowała niezmiernie konieczność przechodzenia przez pokoje Nyka i Maminka, żeby się idąc do łazienki czy do ubikacji. Zazwyczaj opuszczał mnie przed dwunastą. I tak dobrze, że wreszcie dostał od rodziców klucz do drzwi wejściowych. Moje małżeństwo nie różniło się w niczym od mego panińskiego stanu, wyjąwszy większą bliskość fizyczną. Ale ta spowodowała nietrudne do przewidzenia skutki: zaszłam w ciążę.

Nie było mowy o tym, żebym mogła mieć dziecko. Maminek i Nyk ledwo zdołali wydołać finansowo, ja uczyłam się i latałam po lekcjach, Jerzy jeszcze nic (albo prawie) nie zarabiał. Nie było miejsca na dziecko, j w dodatku miałam tuż przed sobą doktorat. Nieunikniona była skrobanka. Miałam o to głuchy żal do teściów, bo moim zdaniem mogli nam trochę pomóc, zanim Jerzy zacznie zarabiać. Ale liczyć na jakąkolwiek ich pomoc było utopią. I tak Maminek z Jerzym, zapożyczwszy się, z trudem uciuli sumę potrzebną na zabieg. Odbył się u nas w domu, pod narkozą chloroformową. Wszystko przeszło szczęśliwie, jeżeli nie liczyć swego rodzaju depresji nerwowej, jakiej po tym doznałam. Przestałam jeść, zaczęłam bardzo chudnąć, a i tak zawsze byłam szczupłą. Chciałam dziecka i bolałam nad jego stratą. Byłam w tak złym stanie, że w końcu Maminek wysłał mnie na pewien czas do sanatorium w Otwocku. Naczelnym lekarzem był tam późniejszy profesor Jakubowski.

Leczenie polegało na nieopisanie obfitym i tłustym żarciu oraz na zastrzykach arseniku. I jeszcze na czymś. Dom był akustyczny, więc słyszałam, jak doktor zaczynał obchód. Słyszałam kroki, głosy, skrzypienie łóżka to w tym, to w innym pokoju, westchnienia, ciche jęki, słowem wszystko, co świadczyło, że był on niestrudzony, godny Podziwu i nie

zaniedbywał swoich pacjentek pod żadnym względem. A że było ich sporo, więc chapeau. I na mnie chciał spróbować skuteczności swego specyficznego leczenia, ale że od razu przecięłam tego rodzaju możliwości, więc skończyło się jedynie na przyjacielskich Pogawędkach. W czasie jednej z nich doktor powiedział: „Niech pani Pamięta, że nie wolno pani mieć dzieci, to będzie zarówno dla pani, jak u nich katastrofą. Pani jest na to za słaba, a dzieci będą jeszcze Wa.tlejsze”. Przepowiednia jego sprawdziła się, ale nie w ten sposób, w Jaki przypuszczał. Dzieci? Nie były nigdy wątłe, przeciwnie, obaj

147
chłopcy byli świetnie wyrosnięci, wysportowani. Ale waliły się na nic)) straszne choroby. Zakaźne, więc nie biorące początku w słabej kondycji Czy można powiedzieć, że profesor Jakubowski w jakiś sposób to „zobaczył”? Nie przypuszczam. Zresztą nie wiem. Moje osłabienie po pewnym czasie minęło, wróciłam do dawnego życia, ale oto teść wyjechał (jak co roku) do Paryża i Londynu, a teściowa dostała ponownego ataku, tym razem wyjątkowo ostrego. Leżała kompletnie sparaliżowana i nie mówiła. Spędzałam przy niej wszystkie wolne godziny i noce. Współczułam jej, ale że nie potrafiła we mnie obudzić żadnego żywszego uczucia, więc robiąc wszystko, co potrzeba, nie przejmowałam się w duszy jej chorobą. Wtedy to miałam zaszczyt poznać moją bratową, a raz nawet zobaczyłam szwagra.*

Należy mu się trochę miejsca w tych wspomnieniach. Bracia byli do siebie zupełnie niepodobni. Jerzy, dość wysoki, hoży (bo inaczej tego nie sposób nazwać), o wesołych białych zębach, nieco perkatym nosie i śmiejących się (jak tylko wychodził z rodzicielskiego domu) oczach, bez cienia typu semickiego. Aleksander — mały, jakby skurczony, o żydowskim, zagiętym nosie, brzydki, o złych, zaciętych ustach. Mówiono, że kiedy jeszcze był chłopcem (wiem to nie tylko od Maminka), chadzał do Ogrodu Saskiego wraz z synem Świętochowskiego bić Żydów. Było to tam szczególnie, że przecież miał matkę Żydówkę, no a ojca — czołowego teoretyka socjalizmu. W dalszym ciągu swego życia pozostał wierny sobie. Obarczony ciężkim kompleksem żydowskim, nosił na palcu sygnet z herbem Kierdey, sygnet niemal wielkości spodka. Ożenił się z bardzo piękną panną — Wiercińską z domu, z rodziny ziemiańskiej, której matką była z kolei Billewiczówna, z tych sienkiewiczowskich Billewiczów, krewniczka Piłsudskiego. Koligacje, dzięki żonie, z rodzinami półarystokratycznymi bardzo mu pochlebiały (teściowi memu również) i czy to z upodobania, czy dla dogodzenia pięknej żonie, postanowił dorobić się majątku, co przy wielkich zdolnościach udało mu się bez specjalnego trudu. Wybitny inżynier, zaprojektował zaraz po studiach w Rosji jakiś nowy, jeżeli nie pierwszy, typ łodzi podwodnej. Rząd carski wynalazek kupił, ale do realizacji projektu nie doszło. Uciekając z Rosji na początku rewolucji, Aleksander znalazł się w Szwecji, gdzie zawarł korzystne handlowe znajomości i uzyskał przedstawicielstwo wielkiej firmy „Svea”.

Aleksander był starszy od mego męża o dziewięć lat. Między braćmi

148
j^y nie było specjalnej bliskości. I kiedy Jerzy zaraz po naszym ślubie apisał do będącego wówczas na wakacjach brata, nie otrzymał żadnej p0wiedzi. To małżeństwo musiało być dla niego ciosem. Jeszcze jedna tydzieńka i gdyby chociaż bogata... Jesienią również braterstwo nie okazali chęci poznania mnie, wobec czego nie złożyliśmy im wizyty. Nic a nic mi na nich nie zależało, zwłaszcza że Aleksander w owym czasie był już bogatym fabrykantem, a moje socjalistyczne, mimo wszystko, serce wzdrygało się przed słowem „fabrykant”. Poza tym odstraszał mnie ich antysemityzm. Wiedziałam, że nawet gdybym ich poznała, nie miałabym z nimi nic wspólnego. Wobec tego powiedziałam do Jerzego: „Ty sobie u nich bywaj. Nie zrywaj, bo to twój jedyny brat. Aleja z tobą nie pójdę”. Na tym stanęło. Stosunki z nimi nigdy nie stały się zresztą bliższe, choć witaliśmy się, kiedy przypadek nas zetknął, i nawet zamienialiśmy parę obojętnych słów. Jerzy zaś chodził do nich z rzadka na brydża.

Wówczas, na początku naszego małżeństwa, kiedy teściowa zachorowała tak ciężko, Aleksandrowa zjawiała się od czasu do czasu. Cała obsypana biżuterią w biały dzień (nigdy, mimo pieniędzy, nie umiała się ubierać), połyskująca od brylantów, siedziała parę chwil i czym prędzej zniknęła. Dlaczego uznała, że to moim obowiązkiem jest siedzieć cały czas z chorą? — nie wiem. Dość, że tak było.

Potem nastąpiła rzecz bardzo przykra i nie mam zamiaru szukać dla siebie wytłumaczenia. Zmęczona pielęgnowaniem tej obcej mi, w gruncie rzeczy, osoby, której stan zresztą nie ulegał zmianie i mógł jeszcze trwać długo, wyszłam pewnego wieczora i udałam się na koncert Włodzimierza Chenkina, sławnego podówczas śpiewaka. O tym śpiewaku rosyjskim opowiadano cuda. Od dawna miałam ochotę go zobaczyć, i kiedy Stefan czy Dzieciuch kupili bilet, poszłam z nimi, żeby się trochę odprężyć. No i, jak bywa w takich wypadkach, tego wieczora właśnie stało się nieszczęście, teściowa zmarła. Nie zmarła od razu, ale kiedy Przyszłam z koncertu, była w agonii. Jerzy skrzyczał mnie, że kiedy jego matka umiera, ja gdzieś się wążsam (nie przyznałam mu się, skąd Wracam). Nic nie odpowiedziałam, złośliwość losu sprawiła, że naprawdę byłam winna. I wówczas znowu zdarzyło mi się asystować przy czymś Przechodzącym nasze zrozumienie. Umierająca i pozbawiona od dawna rnowy, teściowa nagle uśmiechnęła się i powiedziała głośno i wyraźnie: "Ludwik". Po czym umarła. Było to późno w nocy, koło drugiej. Nie

149

zawiadomiliśmy teścia, bo nie miał zbyt zdrowego serca, w konsekwencji nie był obecny na pogrzebie. Ale w parę dni później dostaliśmy od niego list z Londynu: „Co się u was zdarzyło o drugiej w nocy (nie pamiętam daty, ale odpowiadała śmierci żony), bo obudził mnie jakiś krzyk i spadłem z łóżka”. Dosłownie.

Kiedy teść wrócił z zagranicy i przebolewał utratę żony, Jerzy wystąpił wobec niego z nieśmiałym projektem: czy nie mogłabym u nich zamieszkać i zająć się gospodarstwem. Teść się zgodził.

Ucieszeni, wystawiliśmy na korytarz prowadzący do kuchni owe nieszczęsne kosze z niezbadaną zawartością, przywieźliśmy trochę moich gracików: łóżko, stolik, książki i zamieszkałam razem z ojcem i synem. Miał to być jeden z trudniejszych okresów w moim życiu.

Teść odnosił się do mnie niechętnie (miało się to potem zmienić). Krzywym okiem spojrzął na to, że wyrzuciłam trochę niepotrzebnych rzeczy, zamykał wszystko na klucz: szafy, kredens. Nie mogłam więc napić się herbaty, kiedy miałam na to ochotę, ani przegryźć czegokolwiek, chyba że teść otworzył kredens i pilnując mnie bacznie patrzył, co biorę. Przyzwyczajona do tego, że u nas nigdy nic nie było zamykane, ani przed służącą, ani tym bardziej przed nikim z domowników, poczułam się bardzo poważnie obrażona. Ale stłumiłam gorycz i nic nie pokazałam po sobie, nawet Jerzemu. Codziennie rano znajdowałam przy swoim nakryciu do śniadania wąski ścinek jakiegoś perkalu czy wełenki, ścinek, jaki zostawiają krawcowe, krojąc ubranie czy bieliznę. Kiedy zdziwiona zapytałam, co to znaczy, teść odpowiedział: „To podarek (sic!) dla ciebie. Dobra gospodyni niczego nie wyrzuca”. Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak tak było. Postępowanie teścia tak mnie zawstydzalo, że nie mogłam mu spojrzeć w oczy, a nie ośmielałam się nic powiedzieć. Zresztą w tym czasie nie rozmawiał z nami wcale. Jadł milcząc i czym prędzej odchodził od stołu. Sądziłam, że to brak żony i moja niejako na jej miejscu obecność tak na niego działają, więc też milczeliśmy ze współczuciem. Nie wolno nam było iść do łazienki ani do ubikacji po dziesiątej wieczorem, bo należało przejść przez jadalny pokój, z którego drzwi prowadziły do sypialni teścia. W razie koniecznej potrzeby mieliśmy do rozporządzenia brudny klozet w podwórzu (a mieszkanie było na trzecim piętrze). Na domiar wszystkiego teść miał służącą Olesię, babę z piekła rodem, co się dobitnie okazać miało na początku wojny, kiedy go

okradła i uciekła. Zaproponowałam niebacznie teściowi, aby niektóre z ubrań jego żony dać

150
Olesia, bo jednak opiekowała się wraz ze mną chorą. Teść piorunował mnie wzrokiem, odmówił i widziałam potem, jak chował hchy żony do jednego z licznych koszy. Olesia nienawidziła mnie, początku nie rozumiałam dlaczego, dopiero później gra jej stała się dla mnie jasna. Sabotowała każde moje zarządzenie, odpowiadała ordynarnie, gotowała ohydnie. Ale cóż miałam robić, wiedziałam, że teść jest w jakiś sposób do niej przywiązany, może dlatego, że kojarzyła mu się ze zmarłą żoną. Ta nieprzyjemna, obca mi i wroga atmosfera trwała jakieś dwa czy trzy tygodnie i skończyła się nagle. Oto Olesia powiedziała mi któregoś dnia, abym zapytała pana, czy kupić kartofle na zimę, bo właśnie chłop przyjechał. Zapukałam nieśmiało do gabinetu i powiedziałam, że Olesia pyta, czy kupić kartofle (trzeba wspomnieć, że teść co dnia wyliczał mi skrupulatnie to, co mogłam wydać na dom, tj. na niego i Olesię, i musiałam się z tego równie szczegółowo wyliczać). Co zaś tyczyło wydatków na mnie i na Jerzego, musieliśmy sobie radzić, jak potrafiliśmy. Że jednak gospodarstwo było jedno i służąca jedna, więc się porządnie gimnastykowałam, żeby oddzielić to, co wypadło na nich dwoje, i ani o grosz nie przekroczyć wyznaczonej sumy. I tak słyszałam wymówki, że nie jestem dość oszczędna. Kupno kartofli na zimę przekraczało absolutnie możliwości finansowe moje i Jerzego, więc musiałam zapytać teścia. W odpowiedzi usłyszałam krzyk: „A wynoście mi się do diabła!” Wysłam z gabinetu cichutko, włożyłam palto i kapelusz i poszłam najpierw przed siebie, a potem — do kogo? — do Maminka, oczywiście, który przyjął mnie, jak to można było przewidzieć, z otwartymi ramionami.

Muszę tu dodać, że w kilka lat później, kiedy moje stosunki z teściem weszły w inną, dobrą fazę, powiedział: „Irena jest wariatka, mówi się jej: wynoś się, to ona się wynosi”. Istotnie, wyniosłam się na dobre, nie przyzwyczajona, jak reszta rodziny, do brutalności. Wychodząc spotkałam na ulicy Jerzego i opowiedziałam mu, co zaszło. Zakłopotał się ogromnie i skoczył na górę. Na próżno jednak czekałam, że uratuje sytuację. Ojciec i syn nie rozmawiali ze sobą długo, chyba parę miesięcy, ale potem padli sobie w ramiona i wszystko było dobrze. Tyle że ja nadal zostałam u Maminka, a Jerzy u ojca i nadal byliśmy rozłączeni. Stosowałam zasadę, głoszoną przez Jerzego, żeby się "awzajem do siebie nie wtrącać, nie robić sobie wymówek, ale muszę wyznać, że miałam mu za złe, iż nie stanął w mojej obronie, że tolerował sVtuację, jaka się wytworzyła. Może byłam niesprawiedliwa, ale te trzy

151
lata kochania się na odległość nie wytworzyły należytej więzi nami, co dało o sobie znać w dalszym życiu.

Nie mam co jednak oskarżać Jerzego o to czy owo. Po prostu konstatuje pewne fakty, ten choćby, że krystalizacja mojego uczucia do niego została kilkakrotnie przerwana. Przykro mi, że tak niedobrze piszę o teściu (w tym okresie), ale choć dziś może się to wydać dziwne, to całe nieudane współżycie, awantura, rozstanie i faktycznie zerwanie z nim stosunków (na pewien czas), były dla mnie ogromnym wstrząsem. Nie tylko dlatego, że wynikła kłótnia w rodzinie i że nie mogłam nadal mieszkać z mężem, co mi się zaczęło dawać we znaki, ale przede wszystkim dlatego, że runął dla mnie mit Ludwika Krzywickiego człowieka bez skazy, którego czciłam od dzieciństwa. Nie spodziewałam się po nim ani dulszczyzny, ani skąpstwa, ani takiej oschłości serca. Byłam dumna, że mogę go nazywać ojcem, i nagle okazało się, że o żadnym ojcostwie nie ma mowy. Nie potrafię nawet dziś opisać, jak dalece wzięłam to sobie do serca, po prostu przechorowałam. Akurat w tym czasie wypadł mój egzamin doktorski, i do tego, że egzamin oblałam, przyczyniło się walenie to moje załamanie psychiczne (nie waham się użyć tego określenia) wskutek przejść rodzinnych. Miewam takie zapaści nerwowe, kiedy nagle robi mi się wszystko jedno i świat wydaje mi się obcy i wrogi. Zresztą wszyscy to uczucie znają. W jakiś sposób (niesłusznie zapewne, bo i

Jerzy swego domu nie lubił) obarczyłam go jak gdyby odpowiedzialnością za to, co się stało, i to ochłodziło i tak nie nadmiernie gorące moje uczucia do biednego chłopca. Jakoś los się sprzyścił, żeby to moje przywiązanie, ciepłe skądinąd, miłe, przyjacielskie, nie buchnęło żywym płomieniem. Pragnęłam mężczyzny mocnego, a na swoją biedę, przyciągałam mężczyzn słabych. Nie intelektualnie, oczywiście. Po kilku latach naszego przyjacielskiego, ale dość szarego małżeństwa zaszło par? wydarzeń w moim życiu, o których teraz pora opowiedzieć.

Napisałam oto list do Romain Rollanda. To nazwisko, jak stwierdzam z przykrością, dziś już prawie nic nie znaczy, wówczas było jednak bardzo głośne (Nagroda Nobla!). Nie dlatego jednak do niego napis*1' łam. Po prostu Jan Krzysztof był mi książką bardzo drogą, która miała wpływ na całe moje późniejsze życie. Nauczyła pogardzać zaszczytami

152

^znaczeniami, nawet sławą. Nie dlatego, żebym się utożsamiała z Janem t/rzysztofem, ale że stanowił on wzór, według którego formowałam się

- tylko ja, ale wielu ludzi z mego pokolenia. Nauczył mnie lubić arnotność, wystarczać sobie, szukać zaspokojenia w pracy, nie baczyć, co indziej powiedzą itd. Moda na imię Krzysztof, która trwa dotąd, wzięła się

znacznej mierze z tej, czytanej powszechnie, książki. Nie raziły mnie noetyckie dygresje Rollanda ani kult siły, który z tych kart przeziął. Słowem, był to mój maitre a penser i dlatego do niego napisałam, nie licząc zresztą na odpowiedź. Podałam nadawcę, gdyż nie byłam pewna adresu, a chciałam wiedzieć, czy list doszedł. Ale odpowiedź otrzymałam. Była to wielka niespodzianka. Pamiętam, jak trzymałam kopertę w rękę i niemal bałam się ją otworzyć. Otworzyłam jednak i zobaczyłam, że list zaczynał się od słów: „Chere Sheherazade”. Zgłupiałam.

Okazało się, że pisarz nazwał mnie tak dlatego, bo moje nazwisko było dlań egzotyczne, a wolał mnie sobie wyobrazić w poetycznej postaci. List w ogóle był zalotny. Odpisałam, dostałam znów odpowiedź, zapraszającą mnie do Vevey, w razie gdybym znalazła się w Szwajcarii. Zdaje się, że obiecałam to w następnym liście.

No i dobra Bozia zorganizowała całą sprawę.

Ponieważ byłam zawsze trochę blada i anemiczna, Maminek postanowił mnie wysłać na południe Francji. Może się to dziś wydawać dziwne, jak tak skromnie zarabiająca osoba mogła sobie pozwolić na taki wydatek. Tymczasem sprawa była prosta, we Francji panowała okropna inflacja i pobyt w tym kraju wypadł taniej, nawet licząc podróż, niż np. w Zakopanem. Zresztą Godek postanowił uczestniczyć w kosztach. Oto jej córka Stefa, po wszystkich perypetiach „szpiegowskich” i lesbijskich miała objawy gruźlicy kiszek. Dla wszelkiego rodzaju gruźlików Szwajcaria była w owym czasie Mekką. Godek tedy posłał ją, za resztki pieniędzy, jakie jeszcze posiadał, do specjalistycznego sanatorium. Prosił mnie, abym ją odwiedziła, i z tego względu dzielił koszty podróży.

Pojechałam razem z Marychną Mierzyńską do Roquebrune koło ' -annes i tam zamieszkałyśmy w skromniutkim pensjonaciku. Czas sP?dzałyśmy bardzo przyjemnie, choć nie poznałyśmy nikogo. Aż dziw ~~ dwie młodzietki, przystojne dziewczyny.

%ła wiosna. „Sezon” w owym czasie trwał w zimie. Nikt nie jeździł 'Kem na południe. Lato spędzało się w Bretanii, Normandii i Belgii. P?dzanie wakacji latem na Riwierze odkryli artyści i malarze dopiero

Początkach stulecia. W latach dwudziestych nie było tam jeszcze tłumów.

153

Marychna wyjechała po pewnym czasie, ja jeszcze zostałam i tam, że żadna jakiejś przygody, nudząc się okropnie, poszłam s któregoś wieczora do „Negresco”. Chciałam się wytańczyć, czeeo ni robiłam w Warszawie. Chciałam przyjemnie spędzić wieczór z jakimś przystojnym mężczyzną (moje dotychczasowe szare życie ciążyło mi nieznośnie). Chciałam wynieść jakieś

zabawne wspomnienie z te' Riwiery. Usiadłam przy stoliku i rozejrzałam się wokoło. Przystojnych mężczyzn i w dodatku młodych było na sali sporo, ale żaden z nich nie zwrócił na mnie uwagi. Tańczyli z potworami: starymi kobietami umalowanymi jaskrawo, kryjącymi na wszystkie sposoby swoje zmarszczki i fałdy. Jedne były grube, rozlane, inne wyschnięte jak patyki, nie wiem, co było gorsze. Z okrucieństwem właściwym młodości patrzyłam na te nieszczęsne, usiłujące za każdą cenę pochwycić okrucieństwo młodości i okrucieństwo „miłości”.

Zgorszona widokiem młodych męskich prostytutek i żalonym widokiem starości pozbawionej dumy, wyszłam z lokalu i na tym skończyła się moja hulanka na Riwierze. Z niemałą niecierpliwością wsiadłam do pociągu i pojechałam do Szwajcarii, a raczej przez Szwajcarię do Paryża, bo Jerzy dostał w tym czasie skromne stypendium w Paryżu, w celu napisania pracy doktorskiej. Postanowiliśmy żyć za nie oboje i mieliśmy się w stolicy Francji spotkać. Najpierw jednak zahaczyłam o Szwajcarię.

Tak tedy pewnego wiosennego ranka znalazłam się w Montreux. Skąd blisko było, idąc w górę, do Villeneuve, gdzie mieszkał Rolland. Bałam się, że nazajutrz zabłądzę, nie trafię, coś pomylę, wolałam upewnić się? zawczasu, że znam drogę. Pamiętałam Szwajcarię, ale nie taką, jaką zobaczyłam owej wiosny. Nie była to pora dla turystów — połowa kwietnia. Miasteczka, wsie żyły wówczas w cichym skupieniu, dla siebie, a nie „na wynos”, dla cudzoziemców, jak w sezonie. Na ulicach było pustawo, na szosach niemal bezludnie. Ziemia parowała, popielate mgiełki wóczyły się nisko. Leman był stalowoszary i stalowoszare niebo. Lodowaty wiaterek powiewał od tkwiących wysoko w niebie, jaskrawo oświetlonych zachodzącym słońcem, śnieżnych szczytów.

Trafiłam bez trudu. Niedaleko drogi stała brunatna drewniana willa. Skryłam się za krzakiem i zajrzałam do niewielkiego ogródka. Pracowa' tam, schylony nad grządkami, siwiuteńki staruszek. Ogrodnik? Raczej nie. Za stary na to, ubrany po miejsku; widać było, że bawi się raczej grabiami i małą łopatką. Więc może sam pisarz? Nie widziałam twarzy, ale patrzyłam z rozczuleniem na jego siwe włosy, które

154

sarniał wiatr, na zgięte plecy, na starcze kroczyki, którymi drobił po P', ^ch, między zagonkami. Postąłam, postąłam i wróciłam z uczuciem że pierwsza znajomość została zawarta.

C' Nazajutrz wyruszyłam już śmieiej. Poszłam krótszą drogą, przez łąki. Otworzyłam nieco drżącą ręką furtkę. Willa, malowniczo położona, była prosta, przyjemna, bez drewnianych „koronek” i ganków bieg-acych dokoła, raczej w charakterze francuskim niż szwajcarskim. Pokojowa otworzyła mi drzwi i wprowadziła do niewielkiego saloniku. Stał tam rozłożysty fortepian, ale nade wszystko panowały książki. Półki biblioteczne, ustawione wzdłuż ścian, otaczały starą, inkrustowaną szafkę, wspinały się na stojący w kącie zegar, pełzały wzdłuż parapetu okna. Na środku pokoju, na okrągłym stole, dzieła o Dalekim Wschodzie: Chiny, Japonia, najwięcej Indii. Książki z dedykacjami od wszystkich autorów świata. Nad fortepianem haftowana chustka słowacka. Na wprost drzwi okno, z widokiem na góry, i drugie okno w ścianie na prawo, a pod nim tapczan. Usiadłam grzecznie przy okrągłym stoliku jak u dentysty i nagle wpadłam w popłoch. Rozmawiać po francusku — to jeszcze pół biedy, ale, psiakość, ta Szecherezada! Jak sprostać takiemu imieniu? Może lepiej uciec, póki czasi Ale nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł bynajmniej nie ów staruszek, którego widziałam w ogrodzie, ale mężczyzna w sile wieku, mniej więcej pięćdziesięcioletni, wysoki, chudy, o kościstej twarzy i wydatnym, orlim nosie. Pochylony, siwiejący, łysawy. Binokle. Spojrzenie uważne, uparte. Tik nerwowy w lewym policzku, ręce suche, kościste, ruchy nazbyt szybkie. Niepojęta nieśmiałość, hamowana nerwowość, przesadna grzeczność, służąca za pancerz i maskę.

Uprzejmym ruchem wskazał mi tapczan pod oknem i usiedliśmy na nim oboje. Z początku rozmowa kuląła, bo Romain Rolland prosił, abym mu opowiadała o sobie, a ja opierałam się

stanowczo, uważając za niewłaściwe zajmowanie wielkiego człowieka swoją osobą. Przyjechałam po to, aby dowiedzieć się czegoś o nim. Nie miałam racji: pisarza zawsze interesuje nowy człowiek, zwłaszcza przybyły z odległych stron (Persja, Polska, Honolulu). Ale trzymałam się mocno, zwłaszcza że nie miałam o sobie nic ciekawego do powiedzenia, i kierowałam wciąż rozmowę na pisarza i jego dzieło. W końcu udało mi się przełamać jego opór i rozmowa potoczyła się 2Ywo, co było o tyle trudne, że Romain Rolland nie znoślił pytań, nie cierpiał Wscibstwa i ciekawości. Gdy mu się pytanie nie podobało, nie odpowiadał i milcząc patrzył w twarz z wymuszonym uśmiechem.

155

Był to okres, kiedy teatry w całej Europie grały jego sztuki. MOM jednak, że choć kocha teatr, nie cierpi oglądania własnych sztuk n. scenie: „Dramat jest najpiękniejszą formą literacką. Jest trudny, a] plastyczny, skończony, doskonały, jak rzeźba. Jak rzeźba jest też najbardziej dostępny dla mas, przeznaczony dla placu, ulicy, powietrza otwartego nieba. Ale na scenie dramaty, zwłaszcza własne, są tak dalekie od tego, co stworzyła wyobraźnia... Często są parodią, prawie zawsze nieporozumieniem". Z największą niechęcią mówił o inscenizacji swego Dantoiw przez Reinhardta: „Efekciarstwo, tłumy, wrzaski Dantona tam w ogóle nie było”.

Rozmowa stawała się coraz bardziej osobista. Zaczynał zagłębiać się we wspomnieniach. Jak niewiele z tego pamiętam. Uleciało z czasem. Przypominam sobie tylko, jak głos jego zabrzmiał miękko, jak oczy przygasty za szklami binokli na wspomnienie Duse. „Praca z nią była rozkoszą. To było wcielenie poezji. Ale też nie cierpiała teatru. Właściwie wołała nie grać”. Przyjmowałam te słowa o Duse jako coś bardzo cennego, jak zwierzenie intymne. Czułam, że udało mi się uzyskać bliski, duchowy kontakt z pisarzem. Rozmawialiśmy długo o umarłej: „Grała z musu, dla pieniędzy. Wiedziała, że umrze, jadąc do Ameryki. Męczyła się całe życie...” — „A d'Annunzio?” — wtrąciłam nieśmiało. — Okrzyczana była historia ich miłości. To przecież wstrętne kabotyń”. Romain Rolland patrzył na mnie uważnie, nic nie widząc. Tik przelatywał mu przez twarz, wreszcie powiedział w sztucznym uśmiechu czy może w skurczu wąskich warg: „Tak. Antypatyczny. Ona nim pogardzała. Nienawidziła go...” I dodał po chwili, biorąc do ręki książkę: „No tak. I kochała”. Sądzę, że te słowa nie przysły mu łatwo. Było publiczną tajemnicą, że sam kochał się w Duse... Natychmiast zmienił temat rozmowy.

Romain Rolland pracował całymi dniami, miał pełne szafy rękopisów. „Księgarze będą mieli co wydawać w ciągu dziesięciu lat po mojej śmierci”. Co się z tym stało?

Nie cierpiał Paryża. „Całemu współczesnemu życiu brak skupie'lia' Tu, w tym domku, gdzie rzadko mnie ktoś odwiedza, mam Je przynajmniej. Mieszkam z ojcem, z siostrą...” —

„Antoinette?” — spy-talam nieśmiało. Pisarz uśmiechnął się bez słowa. Jego uśmiech W potwierdzeniem. Urocza, słodka, nie myśląca nigdy o sobie Antoinette. więc jesteś tu, pod tym dachem.

Byłam szczęśliwa, że tak sobie rozmawiamy, że wizyta się przedłuż

156

rz oparł się o poduszki i wracał myślą do nieznośnego Paryża: „A Hnak najlepiej tam pracowałem. Między dwoma fortepianami. Nie woimi — dodał z uśmiechem. — Jeden znajdował się w mieszkaniu na Hole drugi na górze. No a w środku mój. Czasem graliśmy wszyscy ednocześnie. To było coś straszliwego. Ale byłem sam. Nikt nie

J -- ——— ' rr f ^
'-11 T~X 1 _1

przyc

hodził. Pisałem Jana Krzysztofa. Co za wściekła praca. Dom był

przy

bulwarze Montparnasse 162. Okna wychodziły na ogrody klasztorne. Cisza, pełno zieleni. Żyłem w Paryżu, taki daleki od Paryża..."

Rozgadaliśmy się na dobre, czas mknął bardzo szybko, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszła wysoka, chuda pannica w czarnej sukni, kołnierzyku z fiszbinami pod brodą, według mody z początku tego stulecia, niemłoda, z mysim koczkami. Żyjący anachronizm już w tych czasach, typowa przedwojenna (sprzed tamtej wojny) stara panna. Ostrymi, świdrującymi oczkami zza binokli przeszła mnie na wylot, ukłoniła się sucho i zagadała szybko, szybko, oznajmiając, że przyszli goście. Rzucała mi cały czas nieprzyjemne spojrzenia, które oznaczały wyraźnie, że czas kończyć wizytę. „Dlaczego pani wstaje — powiedział Romain Rolland — proszę jeszcze zostać. To jest moja siostra, Madeleine". O, słodka Antoinette, wyobrażałam sobie ciebie nieco inaczej, ale cóż, wiadomo: prawda a poezja... Panna Rolland spojrzała na brata z wyrzutem, ale ten udał, że nie widzi. Do saloniku weszli goście, jakaś bardzo egzaltowana Angielka i Niemiec, wydawca dzieł muzycznych. Uważałam, że dalsza moja wizyta nie ma już sensu, skoro urok intymnej rozmowy został przerwany. Ale trzeba było zostać, bo poproszono do stołu.

Niewielka jadalnia miała dwie ściany całkowicie oszklone. Pośrodku stół, dwie rzeźbione szafy. Przed każdym nakryciem małej ludowy wazonik, w nim po jednym kwiatku. Na stole różne smaczne rzeczy. Panna Rolland była dobrą gospodynią.

Pisarz przy stole zachowywał się niegrzecznie w stosunku do przybyłych gości. W ogóle nie zwracał na nich uwagi, z przymusem i niechętnie odpowiadał na pytania. Zwracał się wyłącznie do mnie, pochylając się blisko i mówiąc półgłosem. Podobałam mu się, nie krył tego. Mówił o sobie, ale zaglądał mi ciągle w oczy: „Te meble przywiozłem z ojczyzny — Breugnon" — prawie szeptał. Goście usiłowali coś pochwycić z jego słów. Panna Rolland okazywała najwyższe i dość uzasadnione niezadowolone. „Przed wyjazdem do Szwajcarii siedziałem tam latami". I dalej mówił bardzo osobiste rzeczy, wpatrując się we mnie uporczywie. Była straszliwie skrepowana, kęsy ciasta stawały mi w gardle. Sytuacja była

157
coraz bardziej nieprzyjemna, zwłaszcza że Angielka i Niemiec, widocznym nie doszedłszy do wniosku, że jestem ważną osobą, skoncentrowała swoją uwagę na mnie. Siedziałam niezadana, zmieszana i marzyłam, ah, ten nieznośny podwieczorek wreszcie się skończył. Panna Rolland piorunowała mnie wzrokiem.

Wreszcie przeszliśmy z powrotem do salonu. Popatrzyłam niemal błagalnie na pisarza i szepnęłam, że już sobie pójdę. Ale on wziął mnie za rękę i stanowczym gestem usadowił na tej samej co poprzednio kanapie Angielka i Niemiec, z wyrazem zdziwienia na twarzach, wkrótce się wynieśli. „Co to za osoba? — szepnęła Romain Rolland z niezadowolonym siostrze. — Egzaltowana, przesadna, nieznośna". Okazało się, że oboje nie znają jej nazwiska. Pisarz nie odprowadził gości do przedpokoju. Wyszła natomiast z nimi panna Rolland. Odetchnęłam z ulgą. Może teraz uda się nawiązać przerwany kontakt i wpaść w ten ton przyjaznej zażyłości, który przejął mnie poprzednio takim wzruszeniem. Nic z tego. Panna Rolland wkrótce zjawiała się znowu. Siadła w fotelu, prosta, sztywna, sucha, i zaczęła ścinać temat po temacie, słowo po słowie z rozmowy, którą pisarz chciał z powrotem odrodzić. Ostra, zjadliwa, błyskając nieprzyjaźnie binoklami, oddała mi z nawiązką niegrzeczność, jaką okazał jej brat poprzednim gościom.

Dalsza rozmowa stała się niemożliwa. Wstałam, mimo protestów pisarza, i zaczęłam się zegnąć. Panna Rolland podała mi zimno końce palców, nie ruszając się z miejsca. Za to pisarz odprowadził mnie do przedpokoju i szepnął, że nazajutrz napisze do mnie.

Wyszłam z tej wizyty, jak łatwo to sobie wyobrazić, przejęta. z pewnym niepokojem w sercu. Co z tego wyniknie? Jasne było, że to początek znajomości, która chyba będzie się rozwijała, skoro tak raptownie, tak gwałtownie udało się przeskoczyć pierwszy, oficjalny etap. Co

będzie w jutrzejszym liście? Zapewne zaprosi mnie znowu. A ja mam tylko pieniądze na trzy dni pobytu w Szwajcarii.

Napisał. Nazajutrz przyniesiono mi sporą kopertę. Wypadła z niej duża fotografia (reprodukowana później w „Wiadomościach Literackich”), przedstawiająca Romain Rollanda stojącego na balkonie-z którego rozciągał się widok na ogrody i na kopułę Obserwatorium. Pisarz stał z pochyloną głową, w kołnierzyku-obręczy, jaki noszą pastory. Na odwrotnej stronie fotografii napisał: „A Scheherazade" en affectueux souvenir" i z prawej strony, w rogu, na dole: „De

158

•SOn de Paris, ou Christophe vecut avec Olivier". („Z paryskiego domu. gdzie Krzysztof mieszkał z Olivierem").

List, pamiętam, zaczynał się od słów: „Chere Scheherazade, vous avez

tort d'ecourter votre visite... („Niesłusznie skróciła pani wizytę" —

pewnością trwała 3 godziny), ale po tym zachęcającym wstępie astępowało tylko trochę

mglistych serdeczności. Coś o wiośnie, kiedy ośliny się budzą i serca ludzkie... I co więcej! I

nic. Ani zaproszenia, ani oropozycji spotkania, niczego, co by się wiązało z wysoką

temperaturą wczorajszej wizyty. Myślałam, że może następnego dnia przyjdzie drugi list. Ani

śladu. Nazajutrz, z uczuciem zawodu, wyjechałam.

Kiedy potem w Paryżu opowiadałam znajomym literatom o tej zadziwiającej wizycie i o

późniejszym, równie niewytłumaczalnym chłodzie pisarza, zakrzyknęli chórem: „Ależ, to

przecie wiadome! Siostra nie dopuszcza do niego nikogo. Zwłaszcza kobiet. To i tak

zdumiewające, że udało się pani jakoś z nim bliżej porozmawiać". Romain Rolland doznał

ciężkiego zawodu w stosunku do pierwszej żony. Siostra postanowiła go widocznie chronić przed nowym wstrząsem.

Bariera, jaką ustawiła Antoinette — a raczej Madeleine — jednak padła. Znalazła się kobieta, która ją zwycięsko przekroczyła i została żoną Romain Rollanda. Przyjemnie pomyśleć, że spragnione miłości serce pisarza znalazło ją w końcu mimo nie najmłodszych lat.

Dostałam potem jeszcze parę miłych listów od Romain Rollanda i naprawdę jestem w

rozpaczy, kiedy pomyślę, co z nimi zrobiłam, podobnie jak z fotografią. Bo oto ja sama, własnoręcznie wrzuciłam je w ogień, w dniu, kiedy hitlerowcy weszli do Warszawy.

Musiałam zbierać się do wyjazdu. Przedtem jednak, jak było umówione, spotkałam się ze

Stefą. Nie w sanatorium, jak chciała, ale w kawiarni, gdzie się tańczyło, już nie pamiętam, w Vevey czy w Montreux. Przyszła zdrowiutka, wesoła, w towarzystwie dwóch ^cetów.

Belgów. Cała gruzlica okazała się lipą. Siedzieliśmy razem przy stoliku i nareszcie

wytańczyłam się do syta. Miałam niesłychane Powodzenie. Chłopcy, których było dużo w

kawiarni, przeskakiwali Przez stoliki, żeby prędeż do mnie dotrzeć i uprzedzić innych w

prośbie 0 taniec. Byłam zupełnie oszołomiona, nie śniło mi się dotąd o takim Sukcesie.

Uznałam, że zamiast na smutnei Riwierze, należało siedzieć

H. o J

^zwajcarii. Teraz było już za późno, spieszyłam się do Paryża, dokąd ^lal przyjechać Jerzy.

^Potkaliśmy się jednak ze Stefą i jej znajomymi jeszcze raz, następ-

159

nego dnia w kinie. Jeden z Belgów, brzydki, sympatyczny, był c^,

chory, zdaje się, że nieuleczalnie. Drugi, przystojniak, trochę bezczeln

towarzyszył mu, był niejako jego monsieur de compagnie. Ten brzyHi,'

był strasznie bogaty, jak mi szepnęła Stefa. I oto siedząc w łoży, w kinje

poczułam, że ten przystojniak przysuwa się do mnie za blisko, trąc

mnie nogą, kładzie rękę na kolanie. Odsunęłam się, jak mogłam, nie

znosiłam bowiem i nie znoszę poufałości. Na to ten brzydki roześmiał się i powiedział: „Widzę, że pani nie odpowiada załoty mego kolegi Wobec tego proponuję pani coś innego. Jestem ciężko chory i nie wiem, jak długo pożyję, a pobyt w sanatorium najzupełniej mi obrzydł. Postanowiłem pojechać w podróż dookoła świata. I proponuję, żeby pani wybrała się ze mną. Żadnych żądań erotycznych nie będę stawiał, Proszę się namyślić”.

Zupełnie jak w złej powieści. Znowu nieprawdopodobne, ale jednak prawdziwe. Speszylam się nie na żarty. W zasadzie, propozycja bardzo mi odpowiadała. Ale moja małomieszczańska duszyczka cała się wzdrygnęła. Małomieszczańska i socjalistyczno-pruderyjna. Nie żebym uważała podróż we dwójkę z nieznanym za coś gorszego. Ale przesunęły mi się przed oczami wszystkie gadki na temat handlarzy żywym towarem, przed którymi gorąco ostrzegał mnie Maminek. Zresztą nawet gdyby ten Belg (zapomniałam nazwiska, ale na karcie wizytowej był utytułowany) nie był handlarzem, to i tak nie mogłam pozwolić, żeby obcy mężczyzna za mnie płacił. W tym sensie byłam twarda jak ciotka Stefa, która nawet od własnego męża nie przyjęła ani grosza. Muszę wyznać ze wstydem, że w tych rozważaniach Jerzy odgrywał niewielką rolę. Uważałam, że w myśl naszej umowy mam całkowite prawo sobą rozporządzać.

Z kina we czwórkę poszliśmy do kawiarni. Ów brzydki (szkoda, że muszę go tak nazywać, był bowiem przemiły) zapytał, czy gotowa jestem dać mu już teraz odpowiedź. Jego towarzysz i Stefa milczeli, ale widać było, że są ogromnie zainteresowani dalszym ciągiem tej historii-Odpowiedziałam, że nie mogę (zataiłam istnienie męża), że jutro jadę do Paryża. „To i my pojedziemy” — powiedział Belg. „Ale ja jadę trzecią klasą”. Zdumienie na twarzy Belgów było nie mniejsze niż na twarzy owego typa z Zakopanego, kiedy mu powiedziałam, że jestem Żydówka.-„Trzecią klasą? To niemożliwe. To w takim razie ja dopłacę różnicę do pierwszej”.

Moje socjalistyczne wychowanie nie poszło jednak w las. „N'e 160

uję pieniędzy od obcych mężczyzn i pojedę trzecią klasą”. „Co Pr • <9 co robić?” — wzdychał bogacz. I z miną heroiczną oświadczył: takim razie i my pojedziemy trzecią klasą”. Stanęło więc na

e wspólnie pojedziemy do Paryża, a tam się zobaczy. I co dalej? następnego dnia nie na żarty przeleżałam się możliwych komplikacji, zdaniem propozycja była zbyt raptowna — ów Belg za bardzo

robić

jjo to w tai

tym

Nastę

Moim

alesał. Przez tchórzostwo zrobiłam świństwo. Nie pojechałam umówionym pociągiem, nie ustaliliśmy miejsca spotkania w Paryżu i wobec tego minęliśmy się na zawsze.

Wobec tego żałuję. Przygoda mogła być niezmiernie interesująca (wyzyskałam potem tę sytuację w noweli pt. Przygoda na Riwierze, i przestawieniem płci). Gdyby się okazało, że ów Belg traktuje całą sprawę serio, gdybym z nim pojechała, być może całe moje życie potoczyłoby się inaczej? Ale nie przeżyłabym wtedy tych rzeczy, które mnie czekały i których nie chciałam się za nic wyrzec, choć są nad wyraz bolesne. W owym czasie, w Szwajcarii los dał mi dwie szansę (mogłam zapewne, przy odrobinie cierpliwości, pokonać również opór siostry Romain Rollanda), ale ich nie wykorzystałam. Nie lubię nie wykorzystanych szans i możliwości. A moje marzenie o przygodzie, o interesującym życiu? Tymczasem grzecznie wsiadłam do wagonu trzeciej klasy, gdzie nikt mnie nie niepokoił, i pojechałam do Paryża na spotkanie z mężem w umówionym hotelu przy Avenue du Maine.

Hotel był straszliwy. Pluskwy łąziły po ścianach. Przyjechałam bez grosza, a właściciel, patrząc na mnie podejrzliwie, zażądał zapłacenia za miesiąc z góry. Nie wiem, czemu się na to zgodziłam, może z nieśmiałości wobec bezczelnego typu, może dlatego, że bałam się obcego miasta i nieznanego hotelu. Najgorsze jednak, że Jerzego wcale nie było, choć miał na mnie czekać. Ani jego, ani żadnej wiadomości, kiedy przyjedzie. Wpadłam w rozpacz. Zanim jednak to wszystko się okazało, zaraz po przyjeździe poszłam w odwiedziny do ciotki, Stefy Hertzowej, która mieszkała też w jakimś hotelu. Przedstawiła mi młodego człowieka, Polaka, którego nazwiska nie pamiętałam, eleganckiego, wysokiego, z wielkim nosem. We troje poszliśmy na spacer na Pola Elizejskie i wtedy po raz pierwszy zakochałam się w nim na śmierć. Dopiero następnego dnia, kiedy okazało się, że nadal nie ma wiadomości od Jerzego, denerwując się, zażądał pieniędzy, mój zachwyt przygasł. Powiedziałam, że czekam na przyjazd męża i że wtedy zapłacę. „Wszystkie tak mówią —

161

nit

odparł — znamy się na tym, proszę płacić". Był on zresztą Francuzem, tylko Rosjaninem. W tymże hotelu, jak się później dowiedziałam, mieszkał Erenburg. Co miałam robić? Pobiegłam do cioci po pożyczkę, ale się okazało, że ciotunia wyprowadziła się, nie zostawiając adresu. Zapukałam więc do owego Polaka i jego to poprosiłam o pieniądze. „Ależ oczywiście” — odparł — tylko muszę po nie pojechać". Nie pamiętam już, czy do banku, czy do kolegi. Dał mi żadaną sumę i umówił się na wieczór. Zapłaciłam hotelarzowi i z przyjemnością czekałam wizyty sympatycznego rodaka. Okazało się jednak, że zaszło między nami nieporozumienie. On tę prośbę o pożyczkę potraktował jako zaliczkę na spłatę w naturze. Kiedy mu powiedziałam o przyjeździe męża, zareagował tak samo jak hotelarz: „Zawsze się tak mówi. Znamy tych mężów". Zaczai mnie oprowadzać po lokalach i po Paryżu i muszę mu przyznać, że był bardzo miły i bynajmniej nie natarczywy, dobrze wychowany, kulturalny, ale jasne było, że coraz niecierpliwiej czekał na zapłatę (nie w pieniądzu oczywiście).

Kiedy sytuacja doszła do ostatecznego napięcia, zaczął odezwać się mój mąż. Przesłał depeszę, że przyjeżdża następnego dnia, i kiedy mój biedny wielbiciel zjawił się następnego dnia, zastał mitycznego, jego zdaniem, męża. Jerzy podziękował zażenowanemu mocno młodzieńcowi za opiekę nad żoną, zwrócił dług, i choć pieniędzy mieliśmy mało, zaprosił na dobrą kolację. Ale sytuacja była napięta i nieprzyjemna i mój nieszczęśliwy wielbiciel zniknął wkrótce raz na zawsze.

A swoją drogą, co sobie myślał Jerzy, zostawiając mnie w obcym mieście bez pieniędzy (a może sądził, że jeszcze mam trochę). Co myślała ciotka Stefa, znikając tak tajemniczo (zapewne była z mężczyzną), wiedząc, że jestem bez grosza w obcym mieście? Skrzyczałam Jerzego za to, że mnie zostawił bez franka i bez wiadomości, on nie pozostał mi dłużny, bo wynajęłam tak obskurny pokój, i to na cały miesiąc (rzeczywiście jak idiotka), i tak zaczął się nasz pobyt w Paryżu.

Reszta była a l'avenant. Przeprowadziliśmy się do innego, też obskurnego, ale przynajmniej bez robactwa, pokoju, przy ul. Richelieu w pobliżu Bibliotheque Nationale, gdzie Jerzy miał spędzać całe dno. Pokój był tak ciasny, że kiedy jedno wstawało, drugie musiało się kłaskać. Klozet na półpiętrze, kucany, jak to u Francuzów, ale ja, nie przyzwyczajona, wciąż się bałam, że stracę równowagę i wpadnę do dołu. Nie miałam nic do roboty, więc wałęsałam się po Paryżu, ale brak mi

162

1

pieniędzy nawet na to, by usiąść na tarasie kawiarni. Musiałam kłaskać ławek. Ów bezustanny brak pieniędzy sprawił, że niewieleśmy w Paryżu użyli. O kinie, o teatrze nie było mowy. Tyle, że można było

ladać wystawy i w darmowe, tłoczne dni pójść do Luwru. Nie byłam "nie jestem cenciwa" a'le pewien stopień braku pieniędzy zaczyna

Owodować mizerotę życia, jego bezbarwność i monotonię. Nawet nie jęliśmy za co jechać do Wersalu. Malutka nadwyżka poszła na zwrot dlueu memu wielbicielowi i na jego kolację. Poza tym musieliśmy sobie dawać radę, jak umieliśmy. Pamiętam, że jadaliśmy obiady koło magazynów Luwru, tanio i podle. Ale przynajmniej nie było się głodnym. Na kolację musiała wystarczać sucha bułka i kawałek sera. W dodatku nastąpiła upalna wiosna, chyba najbardziej upalna, jaka pamiętam w Paryżu. Mdlalo się po prostu z gorąca, a nie było łazienki ani prysznic, trzeba się było jakoś moczyć w umywalni, w pokoju.

Nadeszły wakacje i tu Maminek znów się zdobył na finansowy wysiłek. Jerzy musiał wracać do Warszawy, z gotowym doktoratem, ale ja, wymizerowana złym jedzeniem i życiem wśród murów, zostałam jeszcze i, dzięki pomocy Maminka i wciąż postępującej dewaluacji franka, mogłam pojechać nad morze do Bretanii. Podano mi adres hotelu w malutkiej miejscowości, nad oceanem. Cena była śmiesznie niska. Oplata dzienna wynosiła tyle mniej więcej, co obiad u naszego ohydneho „Leona”, koło Luwru. Pojechałam i to, co tam zastałam, przekroczyło wszystko, co sobie mogłam wyobrazić.

Miejscowość Le Pouldu, dzika w owym czasie, urwista, szarpana przez fale, była bardzo piękna. Tuż obok znajdowało się Mont Aven, wślawione przez impresjonistów i dotąd stale odwiedzane przez malarzy. Hotel stał na wierzchołku skały, a ja znalazłam miły pokój w przybudówce. Jedzenie było nie tylko znakomite, ale i obfite. Naliczyłam czternaście dań każdego posiłku. Warto to zanotować, bo dziś się czegoś podobnego nie spotyka. Pięć zakąsek (i to jakich: ostrygi, Anglisty), ryba, białe mięso, ciemne mięso, jarzyna, sery, owoce, dwa desery, kawa. I to jeszcze chyba nie wszystko. No i znakomita kuchnia rancuska (kiedy jest dobra, to najlepsza na świecie). Przed każdym §°ciem stała poza tym miseczka z masłem, które czerpało się łyżką ' dodatkowo krasilo potrawy. Na takim żarciu przybyło mi wiele "°gramów, ale że byłam z natury chuda i wysoka, więc to się jakoś -Mieściło. Wylegiwałam się na plaży, kąpałam się w morzu, zaprzyjaźniłam się z parą starych Anglików. I nagle...

163

Otóż pewnego dnia przeszło mnie dosłownie spojrzenie dwoi ciemnych, głęboko osadzonych oczu. Należały one do mężczyzny „ specjalnie pięknego, ale interesującego. Siedział przy sąsiednim stoju i nie spuszczał ze mnie wzroku. Nietrudno było zawrzeć znajomość; w takim samotnym hotelu nadmorskim. Okazało się, że był to Walte Hasenclever, znany podówczas poeta i dramaturg niemiecki, vvr wojny 1914—18 roku, który nie wahał się objeżdżać Niemiec z an tywojennymi odczytami i „podburzającymi" wierszami, co groziło więzieniem. Była to —jak powiadam — postać znana i słyszałam o nim najpochlebniej, jeszcze w Warszawie. Nic też dziwnego, że rada byłam z tej znajomości, zwłaszcza że Hasenclever miał poglądy lewicowe, choć nie komunistyczne, i w ogóle światopogląd nasz był bardzo podobny. Mieszkał stale w Paryżu, mówił świetnie po francusku, kochał Francję, nienawidził Niemiec. Nienawidził swojej ojczyzny w sposób, który mnie w owym czasie raził, no bo jak można mówić o swoim kraju takie rzeczy jak: „Wy w Europie nie wiecie, co to są Niemcy. Do czego są zdolni. Jakie otchłanie mieszczą się w duszach niemieckich". I to wszystko w roku 1925, kiedy się o Hitlerze jeszcze nie śniło.

Walter był bardzo atrakcyjny, miły i dowcipny, miał przy tym taki osobliwy rodzaj fantazji, właściwy poetom. Bardzo prędko wyznał mi miłość i zaproponował wspólny wyjazd na Korsykę. Oto nareszcie przyszła do mnie przygoda, o jakiej marzyłam, i w dodatku w takiej dekoracji, o jakiej marzyć nawet nie mogłam. Byłam olśniona. Nie mogę powiedzieć, abym kochała Waltera, ale byłam w nim zadurzona. Jako nieodrodna córka Maminka i bratanica ciotki Stefy, powiedziałam jednak, że płacę za siebie. Walter spojrzał na mnie jak na

wariatkę, ale ponieważ stawiałam to jako warunek wspólnego wyjazdu, pieniądze — z wyjątkiem przeznaczonych na drogę powrotną — przyjął. Wydał je wszystkie — niegodziwie i demonstracyjnie — jednego dnia, na jakąś wycieczkę samochodową (co było wówczas luksusem), na pierwszorzędną restaurację itd. Ale mój honor był uratowany. Wyruszyliśmy oboje na Korsykę.

Najpierw była Marsylia i stary port z jego egzotyką, i film cochon, na który mnie Walter niemal przemocą zaprowadził. Nie przyznałam mu się, że siedziałam z zamkniętymi oczami, po pierwszych bowiem obrazach miałam dosyć i bałam się, że mi te rzeczy raz na zawsze obrzydą. Nie chciałam jednak uchodzić za prowincjuszkę, więc udawałam, że patrzę. Potem zjedliśmy kolację z bouillabaisse w pierW

164

szorzędnej restauracji i wsiedliśmy na statek. Trudno sobie wyobrazić jakie stare pudła kursowały wówczas na Korsykę, ale nam było wszystko jedno, całą noc bowiem spędziliśmy na pokładzie, patrząc na fosforyzujące morze i na księżyc, a potem na świt. Zanim jeszcze ukazała się jutrenka, zanim cokolwiek zamajaczyło na horyzoncie, Korsyka zaczęła pachnieć i zapach ten, szczególny i naprawdę upajający, ciągle się wzmacniał. Wylądowaliśmy w Ajaccio i zaraz wzięliśmy samochód do Piany, bo tak sobie umyślił Walter, a ja byłam zupełnie nieprzytomna i pijana pięknosciami, jakie mnie otaczały.

W Pianie, wysoko nad morzem, był tylko jeden hotel, dokoła góry, południowa roślinność, zwłaszcza oliwki i eukaliptusy. Bawił nas owad, który „mówił” ostro i wyraźnie: psst! Miałam wymarzoną dekorację, miałam atrakcyjnego mężczyznę, ale cóż... Wrogowie societe de con-sommation zapominają, jak wyglądał świat bez lodówek, tak bardzo przez nich pogardzanych, i jakie mogą być tego skutki. Ledwo przyjechaliśmy do Piany, złapaliśmy się oboje za brzuchy (wspomnienie owej bouillabaisse) i zaczęliśmy „latać” na zmianę. Każdy przyzna, że tego rodzaju intermedium nie jest pożądane w czasie eskapady miłosnej. I znów — cały pogrzeb na nic. Ale niezupełnie. No, bo po paru dniach choroba przeszła. Było nam dobrze, Walter pisał, a i ja chciałam pisać, tylko nie wiedziałam co, więc chodziłam na długie, długie spaceru.

Wkrótce po przyjeździe do Piany (która teraz jest znaną miejscowością, ale wówczas nikt o niej nie wiedział), kiedy weszliśmy do jadalni, od sąsiedniego stolika podniósł się ktoś i radośnie nas przywitał. Był to Leon Szereszewski, brat owego romantyka, który mi się oświadczył za pierwszym widzeniem, brat, który był sam skłonny tę propozycję podtrzymać. Jak w piosence śpiewanej wówczas przez Krakowskiego: „Wchodzę na szczyt Montblanu — Wtem słyszę: «Witam panu» — To on — To on — To mój przyjaciel Koń”. Byłam wściekła, chciałam przed Warszawą ukryć tę moją eskapadę, a tu jak na złość... Zresztą sam domyślnie zorientował się w sytuacji i po krótkim czasie znikł. Chciałam ukryć, ale nie przed Jerzym, oczywiście. Przez źle zrozumianą lojalność, jeszcze wyjeżdżając z Le Pouldu, napisałam do niego list, że jadę, na miesiąc, z pewnym mężczyzną, a co będzie później, zobaczą. Zapewne wrócę, ale w każdym razie napiszę. Chroń nas Boże od takiej lojalności-Jak się później okazało (z relacji Maminka), biedny Jerzy szalał z rozpacz. Działy się z nim straszne rzeczy i, co gorsza, przychodzi! rozpaczać właśnie do Maminka. Napisał listy na poste restante

166

wszystkich miast francuskich, w razie gdybym się zgłosiła, bo oczywiście nie podałam mu adresu. Żeby wracała, że niczego mi nie bierze za złe, ale żeby wracała! Wylądowanie eskapady miłosnej się skończył, Walter musiał wracać do Paryża (był korespondentem paru pism niemieckich), zaproponował, żeby z nim została, ale ja poczułam przemożną chęć powrotu. Z czego bym żyła w Paryżu? Pójść na utrzymanie do Waltera? Za nic. Zresztą nie kochałam go naprawdę. Zdecydowanie nie byłam zdolna do miłości. \V

Marsylii znalazłam na poste restante jeden z rozpaczliwych listów Jerzego i poczułam, że choć romans z Walterem był bardzo atrakcyjny, jednak bliskim, bardzo bliskim człowiekiem jest mi Jerzy. Nie zwlekając więc, kupiłam bilet do Warszawy. Widzę jeszcze dotąd wzniesioną ku mnie, stojącą już w oknie wagonu, zalaną łzami twarz Waltera, ale pociąg ruszył i Walter zniknął.

Jerzy powitał mnie rozpaczliwie, namiętnie, zaborczo. Zaczął od wymówek. Przypomniałam mu naszą umowę, którą sam ustalił. Więc już tylko gniewał się o to, że nie podałam adresu. Czuć mnie gdzieś zagubioną w nieokreślonej przestrzeni było dla niego bardziej bolesne, niż wiedzieć, że jestem z innym mężczyzną. Ale po krótkim czasie wszystko ułożyło się po dawnemu. Dalej nie mieliśmy mieszkania, dalej ganiałam z lekcji na lekcję. Tyle tylko, że coś zasadniczego pojawiło się w moim życiu. Zaczęłam pisać.

Nie pamiętam dziś, jaki był mój pierwszy artykuł do „Wiadomości Literackich”. * Pamiętam natomiast, że zakradłam się po cichu na redakcyjne schody i wrzuciłam go do skrzynki. Mówiono mi, że aby być drukowanym, trzeba mieć protekcję. Nic podobnego, jeżeli chodziło o Grydzewskiego. W krótkim czasie zobaczyłam mój artykuł w druku. Otworzyła się przede mną brama do przeznaczonego mi zawodu.

Mieszkaliśmy więc nadal oddzielnie, a Hasenclever bombardował mnie listami i depeszami (np. „Vivent les plus belles jambes de Pologne” ~ „Niech żyją najpiękniejsze nogi w Polsce”), żeby wracała do niego, „o niecałym roku już nie wiedziałam, czego chcę. Minęła jesień, zima, nadeszła wiosna i powiedziałam pewnego dnia Jerzemu, że nie jestem Pewna swoich uczuć. Chcę wyjechać do Paryża, żeby jeszcze raz spotkać SI? z Walterem i ostatecznie przekonać się, czy zostaję z nim, czy wracam

o Warszawy, obiecując, że przez miesiąc, jaki potrzebuję do namysłu, nie będę spała z Walterem.

„To nie moja sprawa” — przerwał. „Dobrze, może i nie twoja, ale ci

167

obiecuję” — odparłam. „Natomiast jeżeli będę chciała tam zostać, to napiszę i musisz być na to przygotowany. Mam jednak wrażenie, że bw wołała wrócić”. I Jerzy zgodził się na tę próbę bez oporu. Można się z tego śmiać. Ja widzę w takim postępowaniu wielkość duszy i wierność zasady nieingerencji w cudze życie, choćby to było życie żony. Pojechałam.

Z przyczyn, których już dziś nie pamiętam, Walter nie czekał na mnie na stacji, tak że pojechałam wprost do jego mieszkania. Tam spotkała mnie jego przemiła siostra, która zresztą, ku mojemu osłupieniu, przewróciła mnie na kanapę i położyła się na mnie. W pierwszej chwili nie zrozumiałam o co jej chodzi, zaraz jednak strzepnęłam ją z siebie i powiedziałam, żeby się nie wygłupiała. Przyjęła to moje oświadczenie bez sprzeciwu, zaprzestała swoich prób i w końcu bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Jeżeli wspominał o tym błahym incydencie, to dlatego, żeby pokazać, jak dalece swobodne było życie grupy Niemców paryskich, którą miałam poznać (zachowanie Marity było tylko jednym z przykładów).

Okazało się, że wynajęli mi pokój o piętro wyżej. Przyszedł Walter, powitał mnie radośnie i zaczęliśmy życie we troje, z mojej strony — co jest może dziwne — zupełnie pozbawione seksu. Walter całkowicie przestał mi się podobać i właściwie od razu wytłumaczyłam mu, że z naszego ewentualnego pożycia nic nie będzie. Był smutny, ale prosił, żeby mimo to została przez miesiąc, jak zamierzałam, że jeżeli nie chcę z nim żyć, to trudno, ale że pozostanę dla niego zawsze miłym gościem i przyjacielem. Napisałam uspokajający i szczery list do Jerzego i zostałam. Tym bardziej, że ten miesiąc okazał się bardzo interesujący.

Poznałam grupę artystów niemieckich.

Nie jest to przypadek, że poznałam ich nie gdzie indziej, a w Paryżu. Paryż był dla większości z nich drugą ojczyzną. Ci, których tam widywałam: Tucholsky, Hasenclever, Brecht,

Mehring, Toller, Wege-ner, Sieburg to niemal patrioci francuscy. W małym mieszkaniu podparyskim — w Clamart. o kwadrans jazdy z dworca Montparnasse, spotykałam ludzi, których tylko kilka lat dzieliło od definitywnego wygnania, a dzieła ich od stosu.

Weseli, dowcipni, koleżeńscy, gotowi podzielić się każdym groszem z potrzebującym kolegą, stanowili wybitnie sympatyczną grupę. Pierwszy raz wówczas słyszałam rozmowy tak całkowicie pozbawione obłudy i pruderii. Pierwszy raz słyszałam gwałtowne inwektywy przeciwko wojnie i słowo „pacyfizm”, tak bardzo później zdewaluowane. Pierwszy raz spotkałam ludzi prawdziwie nowoczesnych.

168

Cechowała ich głęboka niechęć do własnej ojczyzny, w której szóstym ysem widocznie czuli niepokojące prądy. Nie było jeszcze w ogóle ,v o Hitlerze, a oni zwierali mi się z bólem i goryczą: „Czy pani wie, w Niemczech nie można po prostu wytrzymać. To jest kraj, w którym , ogóle niepodobna żyć. Trzeba być Niemcem, aby znać tę ohydę, która nin drzemie na dnie. Cudzoziemcy o tym nie mają pojęcia”.

Siedzieliśmy w gabinecie u Tucholsky'ego, wybitnego postępowego publicysty, w gabinecie, który był jednocześnie jadalnią, piliśmy wino, jedliśmy kolację, do której wszyscy wspólnie nakrywali. Przez okno widać było bujne, za wysokimi murami pochowane ogrody, a na horyzoncie dymną, czerwonawą chmurę Paryża.

„Ale jednak wszyscy — zwróciłam się do Tucholsky'ego — żyjecie z tych Niemiec. Wystawiacie sztuki, drukujecie artykuły, książki. Czytają was tam i lubią”. — „Tak, zapewne — odparł — ale wolę, żeby lubili z daleka. Pracuje się nam tu o wiele lepiej niż w Niemczech, tu jest inna atmosfera, tu fluid intelektualny nasycy powietrze”. — „A jednak ostrzegano mnie, że tracimy popularność — powiedział, jeżeli mnie pamięć nie myli, Brecht! — trzeba siedzieć u siebie w kraju. Biorą nam u nas za złe, że przebywamy ciągle we Francji. Na ludzi naszego typu patrzą coraz bardziej niechętnie. Miałem już trudności z wystawieniem mojej ostatniej sztuki”. — „Najlepiej jeszcze ma Wegener — powiedział ktoś. — Siedzi sobie w Hollywood albo teraz kręci film Paramountu na Riwierze i nikt mu tego nie wypomina”. Wegener, jeden z najznakomitszych aktorów niemieckich, leżał rozwalony na kanapie. Ten ogromny mężczyzna o mongolskiej twarzy miał wdzięk dużego kota, zmysłowa leniwość i siłę. Pomimo brzydoty, mógł fascynować. Mówił na pół chłopską gwarą, źle wychowany, prymitywny i rozbijający jak dziecko. Obok niego siedziała jego żona, jedna z wielu żon, ostatnia. Wegener miał kilka żon, z którymi się rozwiódł, i niezliczoną liczbę dzieci. Był sumiennym i skrupulatnym °Jcem,łożył na utrzymanie tych wszystkich rodzin, tak że mimo wysokich zarobków żył raczej skromnie.

Tucholsky, otyły i jowialny, budzący każdym słowem wybuchy Srniechu, posiadał w owym czasie (czy odnajmował) miłą willę pod "ai'yżem. Mieszkał tam z ładną żoną, z którą wkrótce się rozszedł, 1 Pracował ogromnie dużo, mało udzielając się towarzysko. Był m.in.

Współpracownikiem postępowego pisma „Weltbuehne” i pisywał pod C2terema różnymi pseudonimami, z których każdy był niejako maską

169

innego typu człowieka i artysty. Ów transformista psychiczny, człowj odważny i bezkompromisowy, cieszył się największym autorytete w tej grupie artystów.

Hasenclever, szczupły brunet o powierzchowności Francuza, czarują cy wygłupiacz, nerwowy, lotny, odznaczał się nieposkromioną dobrocią i uczynnością. Każdego z przyjaciół gotów był w każdej chwili wziąć do siebie do mieszkania i utrzymywać przez czas dowolny. Nie szacował niżej czyjegoś głodu Paryża od głodu fizycznego, toteż coraz to ktoś korzystał z jego gościnności. Jego siostra, Marita, o której wspominałam, zachwycający typ nowoczesnej dziewczyny, bez przesądów, z sercem i głową, prowadziła mu dom i była jego sekretarką.

Mehring, mały, zasuszony człowieczek, mieszkał w jakimś obskurnym hoteliku i chronicznie był bez grosza. Pisał właśnie sztukę Kupiec berliński, która miała mu przynieść rozgłos i pieniądze.

I wreszcie olbrzymi, barczysty, o twarzy przystojnego buldoga, wysoki, jasnowłosy brutal, Fryderyk Sieburg, ówczesny redaktor liberalnego pisma o dużym zasięgu działania „Frankfurter Zeitung”, kierownik działu politycznego. Mówiono o nim, że jest jedną z najpotężniejszych osobistości w ówczesnych Niemczech, że znaczy więcej niż niejeden minister, a zwłaszcza więcej niż minister spraw zagranicznych. Był on przedstawicielem kierunku broniącego swobód obywatelskich, pacyfistą, dążył do zbliżenia z Francją. Pisał w owym czasie książkę pt. Dieu est-il Français, która wkrótce przysporzyła mu wiele rozgłosu. Miałam z nim, charakterystyczną dla tego typu ludzi, przygodę, jeżeli można krótką rozmowę nazwać w ogóle przygodą. Tak się któregoś dnia zdarzyło, że siedzieliśmy w kawiarni całą grupą, potem wszyscy si? jakoś rozeszli i zostałam z Sieburgiem sama przy stoliku. Znałam go mało, bo rzadko się zjawiał, wydawał mi się niesympatyczny, prawie dotąd nie rozmawialiśmy ze sobą, po prostu nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Siedząc teraz we dwoje, wymienialiśmy jakieś banalne zdania, patrząc na ulicę paryską, i nagle Sieburg bez żadnego wstępu powiedział: „Proponuję pani piękne mieszkanie w dzielnicy willowej Paryża i sporą sumę co miesiąc. Co do jej wysokości, możemy się umówić • Brutalność tej napaści, na którą niczym sobie nie zasłużyłam, była tak zaskakująca, że osłupiałam. „I co?” — zapytał Sieburg. „Nic” — powiedziałam, rozglądając się za kelnerem. „Więc nie?” — „Nie” — powiedziałam, powiewając w kierunku kelnera banknotem. „Płacić będę ja!” zawołał Sieburg władczo. — Ale dlaczego nie?” — „Bo, po pierwsze, nie

170

n na sprzedaż, a po drugie, pan mi się nie podoba”. — „Co takiego? T niem^oż[^]we[^] a s[^] me Podobam?” — „Żegnam pana”. Od tego czasu •u^o 2o nie widziałam.

Wszyscy ci ludzie żyli dostatnio we Francji, gdzie frank leciał w dół na h na szyJe- Świetnie ubrani, ślicznie mieszkający, łykali tę Francję ielkimi haustami. Nawet po paru latach pobytu Montmartre nie tracił dla nich swego magicznego czaru. prostytutki paryskie były dla nich kwintesencją kobiecości. Kobiety ze swego środowiska traktowali czasem jak kolegę i byli wtedy bezceremonialni bardzo po męsku, albo raczej — powiedziałabym — po niemiecku. Umieli popchnąć, wpakować się w drzwi pierwsi, prosić, a raczej żądać podania sobie palta j rozwalić się na lepszym miejscu w aucie. A przecież byli to ludzie w zasadzie bardzo kulturalni.

Jeżeli jednak chodziło o stosunek do kobiety, nie umiałam się z nimi dogadać. Kiedy im się podobała, byli pełni uprzejmości, ale natychmiast robili propozycję erotyczną i wyrażali zdziwienie, gdy słyszeli odmowę, właśnie jak Sieburg. Zdziwienie i oburzenie. Uważali to za przejaw kołtunerii i taniego sentymentalizmu. Jeden z nich zapewniał mnie poważnie: „Dla mnie kobieta, która odmawia (chyba że jest ostro zakochana w innym), jest nieprzyjemna i... podejrzana. Normalnej kobiecie powinien się podobać każdy niebrzydki mężczyzna, a robienie wielkich rzeczy z oddania się to absurd. Nie ma o czym mówić, więc nie ma czego odmawiać. To mieszczański przeżytek”. Wówczas ten przykry stosunek do spraw erotycznych był czymś nowym, było to echo owej teorii „szklanki wody” (idącej z Rosji). Mnie to jednak zasmucało i przerażało, narażałam się też nierzadko na drwiny.

Wesołe a sprzedajne dziewczęta francuskie miały złote chwile z tymi gośćmi: traktowano je jak damy (to był punkt honoru), płacono dobrze i uciekano się do ich usług często. Błędem byłoby sądzić, że trzymano to w tajemnicy. Traktowali te rzeczy zupełnie jawnie, mówili nawet o nich w towarzystwie innych kobiet. Zapraszali te dziewczęta do stolika, przy którym siedzieli z siostrami czy żonami, i to albo po to, żeby poroz-iać, albo żeby odejść z którąś z nich na godzinę. Kobiety ich zresztą nie mniej swobodne. „Chodźmy do domu publicznego” — to była Propozycja, którą się nierzadko słyszało zarówno z ust mężczyzn, jak kobiet.

Próżno perswadowałam im swój punkt widzenia: że kupowanie Miłości jest wstrętne, że nowoczesnego człowieka musi odstręczać ta °rrna handlu żywym towarem, pozornie tylko dobrowolna. Że obrzyd^

171

liwe mi się wydaje robienie „szału” z dziewczyną, która może d?: w ustach nie miała obiadu i tylko o nim myśli. Że głęboka obojętność tych rachitycznych i gruźliczych partnerek, kryta sztuczną wesołością, mo? przejąc tylko głębokim smutkiem. — Nie mogliśmy się porozumieć „Proszę nam nie obrzydzać Paryża — buntowali się — te dziewczęta muszą przecież z czegoś żyć, pracę niełatwo dostać i zresztą gdyby pracowały, byłyby zniszczone i brzydkie. My je szanujemy jak każdą inną kobietę i płacimy im za wykonywanie zawodu jak krawcowej czy pracze. Widocznie to zajęcie im odpowiada, skoro je wybrały. Czy panj myśli, że w sercu dozorczyń w kamienicy mniej drzemie goryczy i żalu niż w sercu tej rudej dziewczyny? Jeżeli zarabia dobrze, to może odrzucić mężczyznę, który jej się nie podoba, jeżeli zarabia źle, to dobrodziejstwem jest dać jej zarobek. Niech nam tu pani nie robi Armii Zbawienia i nie psuje smaku Paryża”.

Cóż było robić? Mnie te płatne „szaleństwa” przejmowały przygnębieniem, ich bawiły, toteż przestaliśmy o tych sprawach rozmawiać. A jednak wśród tych właśnie ludzi spotkałam parę kobiet prawdziwie nowoczesnych, umiejących stać w życiu dumnie i samotnie i ceniących wysoko swoją niezależność. Do nich należała Marita Hasenclever. Niezameżna, nie udawała panny na wydaniu, wykonywała z wdziękiem roboty domowe, nie uważając tego za ujmę. Znajdowała też czas na pracę zawodową. Dobrze ubrana, nie snobowała się na punkcie toalet, była cnotliwa, gdy tego chciała, brała kochanka (czy czasem kochankę), gdy zapragnęła. Dyskretna, tolerancyjna w stosunku do otoczenia, nieplotkarska, niezłośliwa, niedrobiazgowa. Nie polowała na mężczyzn, nie była łatwa, ale umiała przyjąć miłość, gdy ją poczuła. Umiała być wierną i oddaną przyjaciółką.

Ci artyści czuli już wówczas niepokój drażący Niemcy, ale spodziewali się raczej rewolucji komunistycznej. Pewnego dnia przyjechał do Paryża pisarz Ernst Toller, komunista, świeżo zwolniony ze straszliwego więzienia bawarskiego (straszliwego już przed Hitlerem)-W gronie przyjaciół, wśród których było paru Francuzów, opowiadał ponuro o swoich przeżyciach. Wymowniejsza od słów była osiwiiała przedwcześnie czupryna tego młodego zupełnie człowieka. Opowiadał o bydlęcym stosunku do więźniów politycznych i o nieposkromionym sadyzmie zwyciężającej reakcji. Rozmawiano potem długo i gorąco. Wszyscy obecni spodziewali się, że klęska wojny (tej pierwszej) nie była bezcelowa, że narodzi się z niej rewolucja i że dojdą do

172

losu nowe siły, które dawniej z trudem wydobywały się na powierzchni?

Bawaria nie jest miarodajna — mówił Toller — i zresztą klęska ewolucji jest tam zapewne tylko chwilowa. Nie ma co tracić nadziei, imocnienie się reakcji w Niemczech jest jednak niemożliwe”. Jakże się

m

ylH!

przy stoliku, gdzie siedziała reszta jego przyjaciół, panowało przygnębienie. Nie wszyscy byli takimi optymistami jak on. Czyż możliwe, żeby to, co uważali za zgniłe, zdechłe, skończone, miało powrócić? Byłem w przyjaźni z Rathenauem — mówił Hasenclever. — To był nadzwyczajny człowiek, cudzoziemcy nie mają pojęcia, czym on się mógł stać dla Niemiec. Zabili go. Z nim zginęło to, co mogło postawić Niemcy w rządzie państw europejskich”. — „Gorzej, że zginął Lieb- ^ knecht i Róża Luksemburg, to mocniej zaważy na przyszłości Niemiec” — powiedział Toller. „My mamy złudzenia, że jesteśmy cywilizowanym krajem — mówił Tucholsky. — Ile bydlęctwa się u nas mieści. Czy pani wie — zwrócił się do mnie —

ja znałem na początku wojny wielu ludzi będących u steru rządu, wiedziałem, co knują. Czy pani wie, że niemiecki plan wojenny obejmował okupację Paryża i całej Francji? Na stałe! Że te bydlaki projektowały ujarzmienie różnych krajów i utworzenie jakiegoś świńskiego cesarstwa! Niech pani nie wierzy, że Niemcy nie wywołały wojny. Wywołały zupełnie na zimno, wiem to aż nadto dobrze. Omdlewałem na myśl, że plany tych opasłych świń mogą się spełnić i że Francja się nie obroni. Na szczęście dostali lanie. I myśleliśmy, że to będzie lanie definitywne dla imperializmu pruskiego, że będzie można zacząć wszystko od nowa. Tymczasem dzieje się coraz gorzej. A co jeszcze nas czeka..."

Z moimi przyjaciółmi paryskimi spotykałam się przede wszystkim w kawiarniach, w tych zwłaszcza, które stanowiły wówczas rodzaj artystycznych klubów. Ach, kawiarnie paryskie owego czasu! Ruch samochodowy był nikły, nic nie zasłaniało widoku na uliczne perspektywy, spalin nie było i Paryż pachniał bardzo specjalnie i bardzo uroczo. Umiałam poznawać ten zapach już wychodząc z dworca, ale obe-Cne czasy całkiem go wymiotły. Siedziało się tedy na tarasach kawiarni> czyli prosto na ulicy, i tak można było siedzieć godzinami, nigdy nie było dość. Były to heroiczne czasy „Le Dôme” i „La Coupole” na Montparnasse i tam siedząc albo spotykało się znajomych, albo °śladało się różnych sławnych artystów, o ile się ich nie znało.

173

Przychodził malarz. Japończyk Tsuguji Foujita, Erenburg, już słau, ale zawsze oberwany Mojżesz Kisling, tych poznałam przelotnie, j jn'.’ których nie zdołałam poznać. Cała Ecole de Paris. Czasem sz }yśm same, z Maritą. na pierwsze piętro, gdzie był dancin, i tańczyłyśmy,)’ upadłego z nieznanymi, bo taki był obyczaj. Albo szło się na P0i, Elizejskie, najczęściej do modnego wówczas „Coliseum”, i tam mozi? się było rozkoszować widokiem aż do Concorde. Pola były podówczas ulicą żywą, ruchliwą, elegancką, ciągnęły wzrok pięknie poubierane kobiety. Miałam wtedy trochę pieniędzy, bo życie i mieszkanie nic ninie nie kosztowało, więc zachłystywałam się po raz pierwszy Paryżem Latałam po wystawach, po kinach, po teatrach. Wtedy chyba (ale nie przysięgnę, czy wtedy) widziałam piękne przedstawienie Giraudoux fc przerobionej uroczo znanej powieści angielskiej Wierna nimfa). * Grali Jouvet i Madeleine Ozeray. I jak grali! Dotąd nie zapomniałam. Niełatwo co prawda było Francuzom zaimponować mnie, wychowanej na znakomitych teatrach polskich, ale to przedstawienie było jedyne w swoim rodzaju ze względu na niepowtarzalnych aktorów (jeżeli chodzi o scenografię, teatry polskie górowały nad francuskimi).

Do sławnej dziś Ecole de Paris, malarzy nowatorów, należał z Polaków poza Kislingiem także i Louis Marcoussis, a właściwie Markus, który sobie trochę zmienił nazwisko, od nazwy jednej z miejscowości podparyskich. Wybitny kubista, miły człowiek, jego żona, Halicka, też była malarką. Tu nawiasem wspomnę, że wydała po francusku swoją autobiografię, w której znalazł się bardzo przyjemny ustęp o mnie. Jednakże w wydaniu polskim tego życiorysu słowa mnie poświęcone zostały usunięte. Oto, co znaczy popaść w niełaskę.

Tak, ten miesiąc spędzony w Paryżu był uroczy. Odwiedziłam, mile witana, mego dawnego znajomego, Duhamela. Zatracił już wówczas nieco z tej swojej dziecięcej naiwności, która kazała mu ongiś płakać w Warszawie. Począł obrastać w sławę i pieniądze, ożenił się z piękną aktorką. Niebawem miał się dostać do Akademii, z której się po trosze za młodu naśmiewał. Przez niego poznałam Julesa Romains'a, którego widziałam wtedy tylko raz. Napisałam o obydwóch do „Wiadomości (potem te wspomnienia ukazały się w książce Wielcy i niewielcy) — i. j3* mówił Antoni Słonimski, przez te pół wywiady, pół eseje weszłam °o literatury.

Oto dość zabawne przeżycie, które mnie podówczas w Paryżu spotkało. Wprowadzona już nie wiem przez kogo, doznałam

174

vtu" zaproszenia do jednego z najbardziej wówczas modnych

^ nów francuskich. „Salon” prowadziła dosyć sobie lichotka literat-
Sii nani Aurel, ale potrafiła zgromadzić wokół siebie znaczną grupę
lektualistów. Była to, wypisz, wymaluj, pani Yerdurin i zresztą,
tern pewna, że Proust tworząc tę nieśmiertelną postać z niej — między • nymi — '3ra^ wzor-
Par>i Aurel, niska, tęga i władcza, siedziała v swoim fotelu jak na tronie, miała w rękę
pałeczkę i dosłownie dyrygowała siedzącymi w krąg niej gośćmi.

Wbrew temu, czego się spodziewałam, rozmowa nie toczyła się łatwo (swobodnie, goście
wypowiadali się kolejno jeden po drugim, zachęteni albo j zmuszeni do tego przez panią
domu. Temat rozmowy był zawczasu ustalony. Tym razem było to „Zagadnienie małżeństwa
w literaturze XIX wieku”. Wywołany władczo przez panią domu, czasem mówił płynnie i
gładko, jak to Francuzi, czasem jednak mieszał się i bełkotał coś bezradnie. Trzeba było
wówczas widzieć piorunujący wzrok pani Aurel.

Piękny salon był urządony antykami, między gośćmi krążyli lokaje w osiemnastowiecznych
strojach i perukach, obnoszący napoje, ale wszystko razem przypominało skrzyżowanie
jakiegoś prowincjonalnego kongresu z przedszkolem. Podobno pani Aurel była potęgą,
obsadzała „stolce” akademickie i bardzo się z jej zdaniem liczone. Dla mnie jednak była po
prostu śmieszna, razem ze swoimi gośćmi. Nie wiem, kto z ówczesnych luminarzy się tam
znajdował, ale faktem jest, że nie tak sobie wyobrażałam paryski salon. Inna rzecz, że
nauczyłam się w ciągu tych paru godzin niejednego: że nie należy pozwalać rozpraszać si?
rozmowie, że zawsze dobrze jest mieć jakiś przygotowany temat (czy tematy), kiedy zaprasza
się większą liczbę osób, że pani domu, może w nie tak brutalny sposób, jak pani Aurel,
powinna być jednak kapelmistrzem zebrania. Bardzo mi się to wszystko potem przydało w
^światowych” okresach mego życia. Jednego tylko brakło w salonie Pani Aurel: nastroju
niewymuszonej swobody. A stworzenie właściwej atniosfery jest jeszcze ważniejszym
zadaniem pani domu niż wszystko llne. Co do mnie, siedziałam sobie cichutko w kącie, zbyt
mało ważna, a°y ktokolwiek na mnie zwrócił uwagę, a na zakończenie przyjęcia P°dałam
pani domu jakiś jej tom z prośbą o dedykację. To należało do rytuału. Dobijano się zresztą o
to. Z pewnością Proust miał więcej Prototypów do stworzenia pani Yerdurin, dla mnie jednak
na zawsze jej P°stać przybrała cechy pani Aurel.

175

Julesa Romains'a widziałam podczas tego pobytu w Paryżu tylko ra? ale miałam go spotkać
później w Warszawie, na międzynarodowym zjeździe Pen-Clubu. Napisałam o nim artykuł,
ale szczególnie wbił mi sj w pamięć jego niewielki, położony na zboczu Montmartre'u
ogródek zaniedbany i zachwaszczony, ale miły i zaciszny. „Boże, gdybym ja mogła mieć taki
ogródek” — marzyłam podczas wywiadu, nie wiedząc że za parę lat będę miała już nie
ogródek, ale całą gębą ogród.

Romains, bardzo wtedy czytany i naprawdę dobry pisarz — mały bystry, rozmawiając biegał
nieustannie po pokoju i rzucał mi zalotne spojrzenia spod równo przyciętej grzywki, która
mnie ogromnie śmieszyła. Nie udało mi się jednak dotrzeć do tej, za którą przepadałam (i
przepadam do dziś) — do Colette, która spośród wielu sław okazała si? najtrwalsza, czytają ją
bowiem i dziś nie mniej niż w dwudziestoleciu. Podczas tego pobytu w Paryżu nauczyłam się
raz na zawsze kochać Francję i Francuzów, mimo złej opinii, jaką czasem mają, a która
według mnie wydaje się niesprawiedliwa.

Znalazłam się kiedyś na peronie, w godzinie szczytu, kiedy ludzie po pracy jechali do cichej
podparyskiej miejscowości, jaką było wówczas Clamart. Tymczasem gdzieś na linii zdarzyła
się katastrofa kolejowa i pociąg miał trzygodzinne spóźnienie. Zmęczony, zdenerwowany
tłum gęstniał, wszyscy cierpliwie stali. I oto podstawiono pociąg, ludzie ruszyli do wagonów
— spokojnie, bez histerycznego tłoku, nie zabijając się, nie depcząc, nie rozpychając się
łokciami. Zrezygnowałam z natychmiastowego wyjazdu, postanowiłam czekać na następny
pociąg, ale podróżni, którzy wsiedli już do wagonów, widząc mnie stojącą przy ścianie

dworcowego budynku, zaczęli wołać z różnych okien: „Made-moiselle, venez donc, ii y a de la place pour vous! Mais ne restez donc la, on va vous aider!” Wołali tak wesoło, tak przyjacielsko, że podbiegłam do jednego z wagonów, gdzie wciągnięto mnie po prostu do środka, a że miałam ze sobą walizkę, znalazło się miejsce i dla walizki. Pociąg ruszy i wszyscy zaczęli śpiewać chórem. Powtarzam — byli to ludzie zmęczeni, spóźnieni, stłoczeni. Wyobrażam sobie, a raczej wolę sobie nie wyobrażać, jak wyglądałaby u nas w Polsce podobna sytuacja.

Drugie zdarzenie z tego czasu jest dość groteskowe. Oto Maminek da< mi znać, że do Paryża jedzie Wiktor Alter i że wiezie dla mnie paczk?' Alter był — jak wiadomo — bundowcem, towarzyszem Nyka (miałan1 wówczas wielki szacunek dla słowa „towarzysz”), młodszy od nieL° i wybitnie przystojny (choć nie w moim guście). Dostałam wkrótce i"1

176

tit bleu (bo tak się komunikowano wówczas, kiedy telefony były N 'eszcze dosyć rzadkie) od Altera z Paryża, zapraszający mnie na wieczór • wyznaczający spotkanie w domu brata, który był, jak to wiedziałam, członkiem sowieckiej misji handlowej we Francji. Brat Wiktora, Izio (jak go nazywano) mieszkał w ślicznej oficynie, stanowiącej osobny pałacyk, w jednym z domów przy ulicy d^Assas. Obaj bracia powitali mnie bardzo mile, po czym wraz ze znaną rzeźbiarką pochodzenia rosyjskiego, Chana Orloff, udaliśmy się wieczorem na kolację, a potem trochę potańczyć. Ani się obejrzałam, kiedy minęła godzina ostatniego pociągu do Clamart. „Och, to nic wielkiego — powiedział Izio, mniej piękny od Wiktora, ale wysoki, elegancki — mam mieszkanie tak duże, że nawet nie wiem, co z nim robić. Znajdzie się dla pani pokój do przenocowania”.

Przyjęłam zaproszenie bez chwili wahania: byli to przecież znajomi rodziców, i w dodatku socjaliści. Bardzo miło spędziliśmy wieczór i część nocy, po czym wróciliśmy „do domu”. Izio wskazał mi pokój na parterze i sam ruszył na pięterko. Patrzyłam zdziwiona na Wiktora, czekając, aż ten też pójdzie spać, ale nic podobnego. Nie zwlekając ani chwili, bez słowa, rzucił się na mnie „jak zwierzę” — powiedziała Zapolska. Zaskoczona tą niespodziewaną napaścią, zaczęłam się bronić pazurami i zębami. Jedyne słowa, jakie się dobywały z jego ust, to było: „Nareszcie, nareszcie. Tak długo na to czekałam”.

Nie miałam pojęcia, że się w ogóle podobam Wiktorowi, wcale się do mnie nie zalecał, a tego wieczora był też przyjacielsko-powściągliwy. I nagle napaść. Była to prawdziwa walka, z przewracaniem mebli, toceniem się po podłodze itd. Oburzenie, że nadużyto mego zaufania, że wciągnięto mnie niejako w zasadzkę, że nie zapytano mnie o zgodę (której zresztą nie udzieliłabym, bo jak wspomniałam, Wiktor, mimo urody, nie podobał mi się) — wszystko to sprawiło, że broniłam się naprawdę zajadle i w końcu, znalazłszy się przy drzwiach, wyskoczyłam do przedpokoju, a potem na podwórze. Stamtąd, już bezpieczna, Z;igroziłam, że obudzę concierge'a, jeżeli Alter nie pójdzie do brata, na šórę. Zrobił to niechętnie i z ociąganiem. Dopiero wtedy wróciłam do Pokoju, zamknęłam drzwi na klucz i przesiadłam na krześle do šodziny piątej rano, kiedy zaczynały kursować podmiejskie pociągi.

Ta przygoda, niezawiniona z mojej strony, sprawiła, że Walter zrobił nii scenę zazdrości. Nie uwierzył, że Wiktorowi nie uległam. Krzyczałam Walterowi, że nie ma do mnie żadnych praw (Jerzy nigdy, w ciągu całego

177

naszego pożycia, nie zrobił mi sceny zazdrości) i że w ogóle wracam d Warszawy, a scen nie zniosę. Tym razem nie płakał, kiedy mm odprowadzał na stację, był wściekły. Ja zaś rozumiałam ostatecznie ? z tym człowiekiem, poza wspólnie przeżyta, romantyczną przygoć|a żadne uczucie mnie nie łączy. Wyjechałam tedy z Paryża „des annees folles” — ale wyjeżdżałam bez żalu. Jako towarzysza życia nie widziałam nikogo lepszego od Jerzego, a poza tym zaczynałam pisać i czułam, że moje miejsce jest w Polsce.

Wspomnę pokrótce o dalszych losach moich niemieckich znajomych. Hasenclever i Toller, już przebywając w Ameryce, odebrali sobie życie, kiedy wybuchła druga wojna (podobnie jak Stefan Zweig z żoną). Ci ludzie, którzy tak źle mówili o swojej ojczyźnie, kochali ją widocznie, skoro nie mogli znieść jej ostatecznej hańby. Tucholsky — zginął samobójczą śmiercią w 1935 roku. Brecht zdobył sobie wielki rozgłos, drugą wojnę przeżył na emigracji, a po wojnie został reprezentacyjnym, choć nie w pełni ortodoksyjnym pisarzem NRD. Wegener sprzedał się nazistom i grał w ich filmach. Sieburg stał się aktywnym hitlerowcem i wkroczył z armią do Paryża, gdzie został szefem propagandy nazistowskiej na Francję. Wróciłam do Warszawy obojętna w stosunku do Waltera, nasycona Paryżem, z chęcią pisania i drukowania. Moje wywiady-sylwetki w „Wiadomościach” i mój artykuł Jazgot niewieści, albo przerost stylu (o złej spuściźnie po Żeromskim)* narobiły nawet trochę szumu. Byłam bardzo szczęśliwa, kiedy pewnego dnia podszedł do mnie w „Ziemiańskiej” Słonimski i bardzo mile powińszował mi mego pisania. Był on dla mnie postacią, na opinii której zależało mi najbardziej (o Boyu jeszcze nawet nie marzyłam) — tak go szanowałam za bezkompromisowe „walenie” prawdy, a raczej wielu prawd, zawsze mi bliskich. Wszyscy bali się jadowitego, niesłychanie ostrego języka Słonimskiego, ja jakoś nie. Ale słowa pochwały z jego ust były mi szczególnie cenne. Mog? powiedzieć śmiało, że od czterdziestu pięciu lat nie przestałam podziwiać Antoniego nie tylko jako świetnego pisarza, ale człowieka

178
hdarzonego niezwykłą odwagą cywilną. To był typ odwagi, który jbardziej do mnie przemawiał. Pisał zawsze zgodnie ze swoim rzekaniem i nawet jeżeli się czasem mylił, to nie dlatego, żeby się komuś przypodobać, ale dlatego, że tak a nie inaczej w danej chwili myślał. Był jednocześnie genialnie dowcipny. Antoni stał się wkrótce moim przyjacielem i pozostał nim przez następne dziesięciolecie.

Dotychczasowe szare życie poczęło się zmieniać z wolna na lepsze. Jerzy w Prokuraturii zaczął już zarabiać, niezbyt dużo, ale tyle, że zwracał Maminkowi koszty mego utrzymania i mogliśmy sobie pozwolić na skromne rozrywki, teatr, kino czy kawiarnię. Jeszcze rok mieliśmy mieszkać osobno, ale już zaświtała nadzieja na wspólne życie. Teś przyłączył się do kooperatywy mieszkaniowej, która miała stworzyć tzw. Kolonię Staszica, i rozpoczął budowę własnego domu, obiecując zostawić nam swoje mieszkanie na ulicy Wilczej 65. Upłynął rok, który nie pozostawił w mojej pamięci większych śladów. Teś oddał nam swoje mieszkanie, duże, ale kompletnie puste, z jedną tylko szafą, cztery pokoje, po których mogliśmy sobie jeździć na wrotkach. Maminek, z niesłychaną pomysłowością, nie rozporządzając wcale pieniędzmi, jakoś nam urządził sypialnię i gabinet dla Jerzego, co było niezbędne, bo mąż mój przeszedł do adwokatury i można się było spodziewać klientów. Teś zabrał wszystkie kosze pełne bielizny i różnych niewiadomych mi rzeczy i, oczywiście, w niczym nie pomógł w urządzeniu mieszkania, nie chciał nawet udzielić pożyczki. Wobec tego wielki jadalny pokój pozostawiliśmy pusty, inny, też pusty, wynajęliśmy. Marzyłam gorąco o dziecku, ale trzeba było ten plan odłożyć na później, ze względu na konieczność jakiego takiego urządzenia mieszkania.

Po pokój do wynajęcia zgłosiła się znana osobistość warszawska, PPS-ówka, dr K., i wynajęła go dla swoich dwóch rozwiedzionych córek. Jeżeli wspominał o tym bardzo błahym epizodzie, to dlatego, że n'e sposób zapomnieć podobnych lokatorek. Przyszły dwie młodzietki, Prześliczne panie, jedna eks-hrabina, druga eks-generałowa. Wynajęłam 11T> pokój z całkowitym zaufaniem i... trudno sobie wyobrazić, w co się wPakowałam. Przede wszystkim, jak się niezwłocznie okazało, obie P^nie się ertiaryzowały (to był narkotyk, wcale nierzadki w użyciu przed Marihuaną i LSD), tak że całe mieszkanie śmierdziało jak szpital. Poza tym obie uważały łazienkę za swoją wyłączną własność, wycierały się ^ nasze ręczniki i

pozostawiały liczne ślady swojej bardzo kobiecej oświeconości, co nie było zbyt apetyczne. Wreszcie, nie można ich było

179

skłonić, aby spuszczały po sobie wodę w klozecie i by nie zostawiały d^ otwartych korzystając z tegoż. Nie wspominam już nawet o korowodzj mężczyzn, który je odwiedzał, dosyć, że po miesiącu czy dwóch musiałan obie panie po prostu wyrzucić z domu. Na ich miejsce sprowadziła się samotna, zimna, wyniosła sekretarka jakiejś dużej instytucji, do której przychodził tylko podstarzały szef i był święty spokój.

W roku 1927, jakoś na przedwiośniu, spotkało nas dziwne i niewy. tłumaczalne zdarzenie. Pewnego wieczora byliśmy zaproszeni do niejakich państwa Horszowskich, nie mogłam pójść, miałam grypę. Jerzy wrócił z wizyty bardzo zdziwiony. Oto, na przyjęciu przysiadła się do niego jakaś starsza pani, nazwiskiem Przybylska, kuzynka eks-premiera Bartla i, najzwyczajniej w świecie, zaczęła mu przepowiadać przyszłość. Oznajmiła mu, że spodziewamy się dziecka i że będzie to śliczny chłopczyk. Roześmieliśmy się z tej przepowiedni, bo dziecko było zaplanowane dopiero na rok następny albo i później. Wystrzegaliśmy się go skwapliwie, aby sobie na komplikować życia. Nie mieliśmy ani grosza, po wykonaniu w mieszkaniu koniecznych instalacji. Jednakże po miesiącu okazało się, że Przybylska miała rację. Tym razem nie było mowy o przerywaniu ciąży, postanowiliśmy jakoś stawić czoła trudnościom. A kiedy zaczęły się sprawdzać i inne przepowiednie, zapragnęłam poznać ową panią Przybylska i poprosiłam państwa Horszowskich, aby nas wspólnie zaprosili.

Przeżyłam dużo w ciągu swego życia, ale ta rozmowa z panią Przybylska pozostała mi na zawsze w pamięci. Miała niewątpliwy dar widzenia przyszłości. Była znana nie tylko w Polsce, dyrektor Towarzystwa Metapsychicznego z Paryża przyjeżdżał specjalnie do niej. Na owym przyjęciu u państwa Horszowskich Przybylska zaprowadziła mnie do sąsiadującego z salonem pokoju i zaczęła po prostu, patrząc mi w oczy, mówić, co mnie czeka. Przede wszystkim, mimo że nic jej o tym nie wspomniałam, powiedziała, że jestem w ciąży i że będzie chłopiec-„Jaki śliczny, jaki uzdolniony”. Powiedziała, że poród będzie ciężki, ale żebym się nie bała, bo wszystko skończy się dobrze, że na krótko przed porodem spotka mnie wielki zmartwienie, ale „należy pamiętać o dziecku i starać się nie przejmować”. Że wkrótce będę miała przemiłe zwierz? w mieszkaniu, na co odpowiedziałam, że to niemożliwe, bo mamy kontrakt z gospodarzem, zakazujący nam posiadania psów czy kotów-a ptaków w klatce nie lubię. I że — to było najbardziej zdumiewające -- widzi mnie, jak siedzę przy stole, na którym leżą rękopisy, że koło mn'e

180

L

t jakiś starszy pan, który ma na mnie ogromny wpływ, i dodała: „ktoś umyśle przenikliwym i sarkastycznym, krytyk, nie krytyk literacki”.

Bawiła mnie niezmiernie ta przepowiednia i nie przywiązywałam do njej większej wagi, ale jednak, kiedy wyszliśmy od państwa Horszowskich, zastanawialiśmy się z mężem, kto to mógłby być ewentualnie ów starszy pan, który miałby na mnie tak silny wpływ? Nie widzieliśmy niko20 takiego w naszym otoczeniu. Wuj Albert? Owszem, był inteligentny, ale jeżeli siedział nad rękopisami, to jedynie nad swoim absurdalnym dziełem o gniazdach ptasich, w którym znajdował ucieczkę od fatalnej rzeczywistości, od zawiedzionych nadziei literackich i społecznych. A już żeby mieć wpływ na mnie? Nie, to niemożliwe. Zresztą, kto by tam wierzył w przepowiednie. Ale taśma zdarzeń, widziana przez Przybylska, zaczęła się rozwijać i rozwijała się nieubłaganie w ciągu dwóch-trzech lat.

Kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży, zadzwonił do mnie Grydzew-ski z „Wiadomości” i z właściwą sobie pomysłowością zaproponował, abym napisała esejo-wywiad, podobny do moich poprzednich, ale z pisarzem polskim, konkretnie z Boyem, „na wynos”, czyli dla

„Pologne Litteraire” *. Oszalałam na myśl, że zobaczę żywego Boya, ale propozycję Grydzewskiego potraktowałam jako zaszczytną i trudną, z licznych względów. Zagraniczni pisarze nie czytali moich artykułów — Boy miał moje studium o nim przeczytać. Mógł je uznać za głupie, płaskie, niecelne. Osobowość pisarska Boya była dla ówczesnej krytyki i dla ówczesnego czytelnika niezupełnie określona (co prawda Boy w 1927 nie napisał jeszcze wielu swoich najważniejszych książek) — Słówka umieli wszyscy na pamięć, ale nikt nie brał ich „poważnie”, tzn. ani nie przyznawał im właściwej rangi pisarskiej, ani nie zdawał sobie sprawy, jaki przełom stanowiły one w poezji polskiej.

Boy znany był przede wszystkim jako niezwyklej miary tłumacz, jako autor znakomitych wstępów do przekładów i kilku tomików zabawnych felietonów. Określenia, jakich krytyka, na ogół życzliwa (dopiero Później miały przyjść wymysły i obelgi), używała w stosunku do niego, zawierały się w gęsto sianych przymiotnikach „uroczy”, „rozkoszny”, „nieoceniony”, „dowcipny”, „pracowity”. Studium Waława Borowe-§° o Boyu jako tłumaczu nadało mu właściwą rangę w tej dziedzinie, ale n'kt by sobie wówczas nie pozwolił postawić Boya w jednym rzędzie np.

•^eromskim. * W pochwałach, jakimi go raczono, było coś pobłaż-'Wego i nieuchwytnie lekceważącego, przy całym uznaniu. Polacy,

181

/ / naród niezwykle dowcipny, lekceważą i lekceważyli dowcip, dość przyn mnieć sobie historię Fredry czy stosunek do współczesnych, nieraz bard? utalentowanych, satyryków. Sam Boy to określał tak: „Gdybym pjs.(o śmierci, toby mnie szanowano, ale ja się wyglupiam, więc jakże rna' mnie nie lekceważyć?” Z tych samych powodów, ze względu na dowcm lekkość, „salonowość”, lekceważono długi czas Pawlikowska.

Wracam jednak do naszego pierwszego spotkania, do tego telefonu Grydzewskiego, który mnie prosił o zrobienie wywiadu z Boyem i naszkicowanie jego sylwetki. Wpadłam wówczas w taki szal radości, że obecny przy tym mój stary przyjaciel, Andrzej Stawar, nawymyślał mi od idiotek. Nie cenił on wówczas zbyt Boya, uważał, że w jego twórczości wiele jest błazeństwa, i mój zachwyt wydał mu się mocno przesadny, a i na naszą późniejszą przyjaźń patrzył krzywym okiem. Dziwna rzecz, że wiele lat potem on właśnie napisał obszerne i wnikliwe studium o Boyu, przyznając mu właściwą rangę. Z tym studium w wielu punktach się nie zgadzam, ale trudno nie przyznać, że jest ono pierwszą głęboką i poważną analizą twórczości Boya. W owym czasie Stawar bardzo by się zdziwił, gdyby mu ktoś powiedział, że kiedyś takie studium napisze. *

Tak więc szalałam z radości, ale też i z tremy przed tym spotkaniem. Nie znałam Boya nawet z widzenia. Sądziłam, że musi być bardzo stary, był dla mnie raczej mitem niż żywym człowiekiem. Czytałam wszystko, co napisał oraz przetłumaczył, kryzys pomógł w kupowaniu książek za grosze. Dzięki temu zresztą, obok różnej szmiry, wielu znakomitych autorów trafiło do właściwych czytelników: inteligencji, studenterii, robotników, którzy inaczej nie mogliby sobie pozwolić na drogie tomy w księgarniach. W ten właśnie sposób zaopatrzyłam się w dzieła i przekłady Boya, znałam więc dobrze dorobek i osobowość pisarza, do którego miałam pójść na wywiad. Uważałam go za starca ze względu choćby na rozmiary dotychczasowego dzieła i, choć od dawna rozmarzał mnie zmysłowy czar Słówek, wybierałam się raczej do dostojnika literatury niż do żywego mężczyzny.

Ciekawe, że mało brakowało, bym parę lat wcześniej już poznała Boya. Miałam osiemnaście lat i jechałam w towarzystwie koleżanki uniwersyteckiej z Zakopanego do Warszawy. W pewnej chwili w pociągu rozległy się wesole, młode głosy, jakaś twarz zajrzała do naszego przedziału i weszło trzech kolegów uniwersyteckich, których znałyśmy tylko z widzenia.

Dwaj byli przystojni, ale całe moje zainteresowanie skupiło się na najbrzydszym. Był przeraźliwie wysoki, chudy, nosaty-

182

, łamiący się pod ostrymi kątami jak wyrobiony z kawałków drzewa c . Błady, bezpłciowy, neurasteniczny, bez wieku, wymarzony model Hla karykaturzysty. Wiedziałam dobrze, kim był ten młody chłopak: Vietny poeta, Jan Lechoń z „Pikadora”, z tego „Pikadora”, do którego wały si? serca i umysły ówczesnej młodzieży. Tuwim, Słonimski, Lechoń, Wierzyński — to poeci, o których poznaniu marzyłam, choć nie sądziłam, że to marzenie może się kiedykolwiek spełnić. Lechoń od razu zaczął ze mną rozmowę, napomykając zreczenie o moim młodocianym utworze, drukowanym w ówczesnym piśmie studenckim „Pro Arte et Studio” (redagowanym przez już wtedy niestrudzonego w wyszukiwaniu talentów, młodzieńczego Grydzewskiego). Uszczęśliwiona tą znajomością, upoiłam się dosłownie rozmową z Lechońmi niemal do zawrotu głowy. Pierwszy raz w moim niedługim życiu spotkałam kogoś tak inteligentnego, kto tak umiał rozmawiać, tak przeplatać niezrównanym dowcipem celne, choć często złośliwe, a nawet jadowite uwagi. Okazało się, że Lechoń jedzie do Krakowa. Gdzie się zatrzyma? „U Boya” — odparł beztrosko, jak o najzwyczajszej rzeczy. Serce mi stanęło. Wiadomo, jak to jest z młodymi. Pisarze, których znają tylko z czytania, są dla nich raczej twórcami wyobraźni bez wieku, często należącymi do świata umarłych. „Zatrzymam się u Boya” — brzmiało dla mnie wówczas jak: „Zatrzymam się u Mickiewicza”. „Czy on jest bardzo stary?” — zapytałam bez tchu. — „No, nie tak bardzo” — odparł Lechoń.

Boy miał wtedy lat czterdzieści kilka, ale nam, młodziekom, wydawało się to już prawie starością. Lechoń zaczął mi opowiadać o Boyu rzeczy miłe i niemiłe, raczej plotkarskie, często celne, czasem zupełnie fałszywe, jak się potem przekonałam. Wszystko bardzo zabawne i efektowne. Z jego relacji, w skrócie, sylwetka Boya wypadła następująco: melancholik (to mnie zdumiało), erotoman, po trosze pijak i karciarz, w sumie najbardziej czarujący i najinteligentniejszy człowiek na świecie. Słuchałam zresztą piąte przez dziesiąte, opanowana jedną myślą: a może Przerwać podróż i wysiąść w Krakowie. Może poprosić, aby mnie Przedstawił Boyowi. Powiedzieć, jak dalece go wielbię. Ale zaraz potem refleksja: „Co go to może obchodzić. Takich jak ja są pewno tysiące. Co Ja rnu mogę ciekawego powiedzieć? I te wszystkie kobiety... Gdybym chociaż była ładna...” Pociąg już wjeżdżał na stację, a ja niemal oburącz Dymałam się ławki, tak bardzo chciałam wysiąść. Już mi cisnęła się na Usta prośba do Lechońia, prośba, której na pewno by nie spełnił, bo i co za pomysł byłby sprowadzać do Boya dziewczynę poznaną w pociągu.

183

Toteż w ostatniej chwili rozsądek przeważył, ten rozsądek, który t., często każe nam strzelać największe błędy. Miałam się w dziesięć l-później nasłuchać wymówek od Boya, że wtedy nie wysiadłam, że n-posłuchałam swego instynktu i nie poszłam do niego wprost, nawet be pośrednictwa Lechońia. Bo w owym czasie Boy już od dawna nie pjj}, nj zgrywał się w karty i był bardzo nieszczęśliwy. Ale skądże mog}arn wiedzieć, że właśnie w tym momencie moje pojawienie się byłoby dla niego szczególnie pożądanym.

Tak więc upłynęło blisko dziesięć lat do chwili naszego pierwszego spotkania. Nie spałam w nocy. Układałam sobie pytania i ewentualne błyskotliwe odpowiedzi. Bardzo się bałam skompromitować. Oczywiście wszystko wypadło w końcu inaczej.

Nazajutrz, z bijącym sercem, stałam na podeście pierwszego piętr domu przy ulicy Smolnej 13 i jak urzeczona patrzyłam na mosiężn, tabliczkę na drzwiach, z magicznym napisem, tak znajomym i serdec nym jak podpis przyjaciela. „Tadeusz Żeleński” i niżej, mniejszymi literami: „Boy”. Uderzyło mnie wówczas błękitnawe, przejrzyste brzmienie nazwiska Żeleński. „Boy” przeczytałam po raz setny z lekką mgiełką przed oczami i rzuciłam się w nieodwracalne. Zadzwońlam. Spodziewałam się, że otworzy mi służąca i wprowadzi do salonu, gdzie zaczekam dobrą chwilę na pojawienie się pisarza. Tak się zawsze działo, kiedy robiłam wywiady z francuskimi literatami. Liczyłam na t? chwilę skupienia, samotności i ochłonięcia w salonie.

Przedpokój był dość ciasny i ciemnawy, toteż raczej domyśliłam si? niż dojrzałam, przychodząc ze światła dziennego, że otworzył mi sam Boy. To mnie spłoszyło do reszty. Nie potrafię powiedzieć, jak się odbyło powitanie, jakie były pierwsze jego słowa, dość że oprzytomniałam dopiero siedząc, nie w żadnym salonie, tylko w gabinecie Boya. przy okrągłym, stojącym nieco na uboczu biedermeierowskim stole.

Pokój był duży, dwuokienny, z widokiem na obecne Muzeum Narodowe, które wtedy dopiero zaczynało się budować. Dość szczelnie6 zastawiony meblami. Pełno tam było starych, pięknych mahoni i jesionów. Cała ściana prostopadła do ulicy wyłożona książkami.

Prostopadle też do okna stół do pracy, nie biurko, tylko stół. Maszyna do pisania, gdyż Boy pisywał wprost na maszynie, co mnie wówczas bardzo zdziwiło. W kącie tapczan przykryty perskim kilimem, przy nim stolik z telefonem, lampą, książkami. Tapczan przesłonięty był częściowo szafą, stojącą bokiem do ściany, przodem do okna. Na tapczan'2

184

to dzięki temu zacisznie, ale trochę ciemnawo. Między oknami stałą kretera, a nad nią cudowny obraz Wyspiańskiego: portret pani

I wowej, gdy była jeszcze młodą dziewczyną. Zosia z Wesela siedziała na 'skini stołku, na szeroko rozstawionych kolanach oparła łokcie, a na Hloniach twarz. Cała pochylona do przodu, z dziecinną prawie twarzycz-, wrażliwą, delikatną i boleśnie zadumaną, miała w samej już pozie liezwykłą sugestywność, naturalność, wdzięk, dziewczęcość, a jednocześnie coś z przytłoczenia przez los, co było tak charakterystyczne dla pani Fusi (Jak J 3 nazywano). W pokoju ściany były szczelnie obwieszone obrazami: kilka jeszcze obrazów Wyspiańskiego, m.in. osobliwy, podwójny portret pięknej dziewczyny z profilu, Maryny Raczyńskiej, siostry pani Boyowej, oraz tylekroć przez artystę malowany widok na kopiec Kościuszki. Serce się ściska na myśl, że to wszystko miało kiedyś spłonąć.

Był tam również wizerunek wąsatego Boya (autorstwa Wyspiańskiego), absolutnie niepodobnego do oryginału, który miałam przed oczami, portrecik Władysława Żeleńskiego, ojca pisarza, robiony przez Grottgera, fantastyczna arlekinada Wojtkiewicza. Ale w gruncie rzeczy ściany opanował prawie całkowicie Witkacy. Surrealistyczne wykrętasy pokryły je niemal szczelnie i, przy ich rozpasanej barwności i chaosie form, gasły inne obrazy.

Ciekawym (ale raczej psychologicznie niż malarsko) zjawiskiem był biegnący tuż pod sufitem rodzaj fryzu portretowego: kilkadziesiąt chyba portretów Boya, jednakowego formatu. namalowanych kredką na różnobarwnych papierach, jak to zwykle czynił Witkacy.

Tych parę dziesiątków (a może ich było kilkanaście) twarzy Boya, upotwornionych, udziwnionych, czasem uderzająco podobnych, czasem zupełnie odrealnionych, przykuwało wieloraką ekspresją, zastanawiającym wyrazem i w rezultacie więcej mówiło o modelu niż wspomniany, dziwnie bez duszy portret narysowały przez Wyspiańskiego.

Siedziałam przy stole, patrząc na ten pokój, w którym pisarz spał, Pracował, żył, który był jego światem. Patrzyłam na oszałamiające mnie obrazy, ale nade wszystko na Boya, który stał na tle boku wysuniętej S2afy. Z mitycznej postaci przeobraził się nagle w moich oczach w niestarego bynajmniej (miał wówczas pięćdziesiąt dwa lata), krzepko Budowanego mężczyznę, nieco pochylonego w barach do przodu,

2 czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu, wśród których mało widoczne nitki siwizny. Były też prawie niewidoczne w krótko strzyżonym wąsie (który miał niebawem zgolić). Wspaniałe, olbrzymie

185

oczy, pod nawisłymi brwiami, pełne były ognia gdy mówił melancholią gdy milczał.

Niespodziany uśm^ch obnaj wych, mocnych, lekko żółtawych zębów. Spośród tych którzw jedn, uważali, że Boy jest brzydki, inni- ze ^S 8? f wszystkim, tak i w tym me było zgody co do Jego osoby W

miął powierzchowność interesującą i niebanalną. Na ka-
których mu me skąpili współcześni, jest z reguły ohydli-
złośliwość charakteryzowała nawet tych nielicznych
rzy byli do niego dobrze usposobieni. Z r-
goryla. Żalił się na to ukradkiem przede-
w karykaturze jestem taki odrażający? W-
zęby zaraz rob,ć ze mnie małpę •< P"y'ale
kobietom. Miał ogromne powodzie i
I ak więc rozpoczął się ów wywiad który miał
w « zyc,u, ,, życiu Boy. pLie
zaaesmty s,ę nasze stosunki i zanim nastl-
stwórczych, któr, każdy z krytyk,,w
bardzo zdając sobie sprawę z jej pr-
bardzo przep.otły się z psychologią
rozdzielić. Do tego osobliwego przełomu, y
jeszcze powrócę. Na razie jednak był rok 1097 A-I ~ '
rT-^a,s,ed^^
okrągłym stole zavalonym książkami, a pisarz krzątał się przy kaw-
Sam przymosl tacę z maszynką i filizankami, nalewał '
ow ciasteczka, sypał cuk.er. Po czym nie usiadł,
-. , • .-- —' ° czym wówczas mówiliśmy. •cjego planach o jego pracy. W każdym
razie starczyło mi
(zadawane m T* "? druku' Pami^am *<<<> TMV ^ (zadawane mu często przez różnych
ludzi, pytanie, którego ni znosił),
na które tym razem odpowiedział mi cierpliwie: „Czy pan już wcl n*
186

l

. wierszy?" „Nie". — „Dlaczego?" — „Bo się wstydzę. To nie jest ^ jecie dla dorosłego
człowieka".

Z Zazwyczaj jednak, gdy ktoś zadawał jakieś pytanie, które Boyowi nie
^powiadało, pochylał jeszcze bardziej do przodu głowę, szeroko
twieriał szare, migocące złotawymi błyskami oczy, podnosił brwi
wyrazem najwyższego zdumienia, patrzył chwilę w milczeniu na
niefortunnego rozmówcę, po czym wzdychał ciężko i po prostu
odchodził, nie odpowiadając ani słowa, z rękami założonymi do tyłu.
goy miał wielką umiejętność nieodpowiadania na zadawane mu
pytania. To wcale nie takie łatwe, jak by się zdawało.

Nie miałam wątpliwości co do kalibru pisarza, z którym miałam szczęście oto się poznać,
toteż w rozmowie użyłam jak najszczerzej określenia: „taki wielki pisarz, jak pan..." Boy
spojrzał na mnie niechętnie i kwaśno, jakbym popełniła nietakt, ściał mnie cierpko
I o mały włos nie zerwała się nić żywego kontaktu, jaka się nawiązała od pierwszej chwili
naszego spotkania. Nie znosił pochlebstw, w najmniejszym stopniu nie był próżny. W
przeciwieństwie do większości pisarzy, którzy lubią upajać się kadzidłami, Boy źle znosił
komplementy, i kto wie, czy ten nieszczęsny epitet „wielki", którego nieopatrznie użyłam, nie
sprawił, że pierwsza wizyta nie miała dalszego ciągu i że rok upłynął, zanim zobaczyłam
Boya znowu.

I oto w najmniej odpowiedniej chwili, jak na złość, po kilkunastu latach niemożności
kochania mężczyzny, po małżeństwie z przyjaźni, po ogniowej próbie „zdrady małżeńskiej",
kiedy już pewna byłam mego stosunku do Jerzego, kiedy wreszcie zamieszkaliśmy razem,

kiedy świadomie i z radością oczekiwałam dziecka — właśnie wtedy dopadła mnie miłość i to taka ostateczna, dożywotnia. Nie od razu zdałam sobie 2 niej sprawę, sama możliwość tej sytuacji wydawała mi się potworna, a'e od czasu tego wywiadu, nie przyznając się do tego przed sobą, czekałam na telefon Boya. Nie zadzwonił. Dowiedziałam się z jego artykułów, że wyjechał na objazd autorski do Francji (z tych artykułów P°wstała później książka W Sorbonie i gdzie indziej).

Nie śmiałam się narzucać. Zresztą uważałam, że nie mam żadnych Szans: Boy, recenzent teatralny, mógł mieć najpiękniejsze aktorki 1 zresztą wiedziałam, że kochał najwspanialsze kobiety. Tak więc, °dsunawszy od siebie dość okrutnie myśl o niemożliwej miłości, P°grążyłam się całkowicie w cierpieniach i rozkoszach macierzyństwa.

187

Na krótko przed porodem, latem, dowiedziałam się, że 2 • w górach mój przyjaciel i niewątpliwie znakomity artysta, Szczuka"11" było wielkim wstrząsem dla wszystkich, którzy go znali. Zalewałam ^ łzami i to było, moim zdaniem, owo trudne wydarzenie, o kt' ^ mówiła Przybylska, kiedy to powinnam była myśleć o dziecku a ^ o sobie. Niemniej ból był bardzo silny, a okrucieństwo losu w stosu T do tak niepospolitego człowieka — wstrząsające. U 14 września urodziłam chłopca, jak chciała przepowiednia. Poród mój, choć bardzo bolesny, przeszedł gładko i śmiałyśmy się z mężem \ raz przynajmniej Przybylska się pomyliła, ale okazało się, że nie. WpJ dni później przyszła gorączka połogowa, straszna groźba w owych przedpenicylinowych czasach. Sześć tygodni spędziłam między życiem a śmiercią i — co tu gadać — pocieszałam się słowami Przybylskiej że wszystko skończy się dobrze.

O tym porodzie jeszcze kilka słów. Mieliśmy już mieszkanie, ale brak nam było pieniędzy. W owym czasie rodzenie w szpitalu uważało się za konieczność, a rodzenie w domu już za ryzyko. Maminek z Jerzym postanowili więc za poradą znajomego doktora, że będę rodziła w klinice. Ale że nie mieliśmy pieniędzy, więc trzeba było wybrać klinik? tanią, i tam mi „zafundowano" owo zakażenie. Teść nie przyłożył się ani groszem do tego wydatku, a mógł, dodając niewielką sumę, oszczędzić mi wielu cierpień i nie narażać mego życia. W tejże klinice, w sąsiednim pokoju rodziła Żydówka, której syna obrzezano i dziecko zmarło. To była zbójcka nora, nie klinika, ale kto mógł o tym wiedzieć? Leżałam w gorączce i słyszałam, jak na korytarzu Godek płakał z Maminkiem. Przewieziono mnie do domu w gorączce i męczyłam się jeszcze kilka tygodni, aż nagle pewnego dnia gorączka spadła i więcej nie powróciła. Widocznie wewnętrzny wrzód pękł. Odtąd z dnia na dzień stawałam si? zdrowsza. Dziecko chowałam wedle wskazówek znakomitego pediatry i pedagoga (te dwie specjalności powinny się łączyć) doktora Landy i byłam mu nieskończenie wdzięczna. To już było nowoczesne prowadzenie dziecka: witaminy, wystawianie na powietrze, nawet w mróz itd. Piotruś chował się doskonale i nigdy nie płakał. Wyrosła z niego najbardziej słoneczna istota, jaką widziałam w życiu.

Inna, na pozór błaha, przepowiednia. Włodek Kamiriski, Dzieciuch, przywiózł z Gdyni, wracając z podróży „Darem Pomorza", wiewiórkę (którą opisałam w Mieszanym towarzystwie], a która stała się naszą wielką radością w ciągu półtora roku, póki nie wypadła z okna i nie

188

biła się na asfalcie podwórka. Muszę powiedzieć, że sprawa tej •gwiórki najbardziej mnie zadziwia. Powiedzmy, że nieszczęście i cho-ue przybylska mogła przewidzieć, zawsze zdarzają się jakieś nieszczęs-
•a i choroby, choć dziwne było, że umieściła je tak dokładnie w czasie: ieżkie zmartwienie przed porodem, ciężki poród, pomyślnie zakończony — no dobrze. Ale żeby można było przewidzieć wiewiórkę i to, że stanie się źródłem długotrwałej radości, to już przechodzi wszelkie pojęcie. A wreszcie ostatnia przepowiednia, ów starszy pan.

I rozpoczął się rok 1928, najszcześniejszy rok mego życia. Wszystkie szczęścia zwały się na mnie od razu: miałam zachwycające dziecko, Jerzy zaczął doskonale zarabiać, ja pisałam i stawałam się znana i zakochałam się śmiertelnie. Ta ostatnia sprawa pełna była powikłań i trudności, ale spędziłam rok cały w radosnym podnieceniu, w nieustającej euforii. Słowem, wszystkie moje pragnienia zostały w krótkim czasie spełnione. Nigdy później nie doznałam takiego uczucia pełni.

Lawina szczęśliwych zdarzeń zaczęła się od tego, że mogliśmy przestać wynajmować czwarty pokój — coraz bardziej wziętemu adwokatowi, jakim stawał się Jerzy, była potrzebna poczekalnia dla klientów. Mogłam odnowić swoją garderobę, ściąć włosy, jak tego wymagała moda (nie mogłam tego zrobić dotąd, bo krótkie włosy wymagały bywania u fryzjera), słowem, mogłam stać się elegancką kobietą. Pewnego dnia zjawił się niespodzianie u nas mój teść, z którym nie utrzymywałam stosunków przez przeszło dwa lata. Przyjęłam go najnaturalniej w świecie, tak jak gdybyśmy się rozstali wczoraj i bez konfliktów. Rozmowa potoczyła się gładko i od tej chwili stosunki nasze się zacieśniły. Spostrzegłam nawet, że teść lubi rozmawiać ze mną, opowiadać o sobie i ludziach, czego nie czynił wobec własnych synów. Słowem, zaprzyjaźniliśmy się w dużej mierze, nie zupełnie jednak, bo teścia nie interesowało nasze życie i to, co nas dotyczyło, a warunkiem dobrych stosunków z nim było nieproszenie go nigdy o nic. Jasne było, że już teraz Mogliśmy ten ostatni warunek spełnić. Jerzy zaczął dobrze zarabiać.

Teściowi spodobał się rozgłos, jaki zaczął otaczać moją osobę. Powtarzał, że nie przyniosłam wstydu nazwisku, i trzeba przyznać, że Kieżnie i bez sprzeciwu znosił napaści, jakich nie szczędzono mi w prasie, 'ładę wszystko prawicowej, ale i lewicowej również. Nie zgadzał się ze 'A w sprawach dotyczących świadomego macierzyństwa, których tyłam inicjatorką (za moją namową Boy zaczął o tym dziwnym Podówczas i nieprzystojnym temacie pisać).

Uważał, że nigdy z propo-

189

:arni ograniczania liczby urodzeń nie trafi się do mas, a zuboży notencjał ludzki tak potrzebną Polsce inteligencję, ale szanował walkę, jaką się zaangażowałam, i już nigdy więcej, aż do samej jego śmierci, je było między nami nieporozumień ani kłótni.

Muszę wyznać, że tą niespodziewaną wizytą, która przywróciła orzerwane stosunki, teść zdjął mi kamień z serca. Inna rzecz, że przerwana nić uczuciowa nie nawiązała się z powrotem w dawnym natężeniu. Mogłam kochać Ludwika Krzywickiego jak ojca, ale jego oschłość i bezwzględność sprawiały, że uczucie to zostało na samym początku stłumione. Pozostał jednak szacunek i nie gasnące zainteresowanie dla jego słów, dla rozmowy z nim. Zawsze olśniewający, kiedy chciało mu się mówić, urzekał niestychaną wprost erudycją. Znał się oczywiście gruntownie na swoich specjalnościach — socjologii, antropologii, archeologii, statystyce (stworzył Instytut Statystyczny w Warszawie), ale był też au courant wszystkiego, co działo się w literaturze, zarówno polskiej, jak i obcej. Miał blisko osiemdziesiąt lat, kiedy przeczytał Prousta i przyjął go i zrozumiał, choć dzieło tego pisarza tak bardzo odbiegało od przyjętych podówczas kanonów powieści. Słowem, kiedy spotykaliśmy się z teściem, usta się nam nie zamykały, przy tym mówił albo on, albo ja, Jerzy na ogół milczał. Ojciec miał do tego młodszego syna (który był sto razy więcej wart niż starszy) stosunek z lekka lekceważący, co Jerzego zupełnie paraliżowało. Ale mąż mój był szczęśliwy, że w końcu spodobałam się jego ojcu, którego niezmiernie kochał.

Niespełna rok upłynął od czasu mego wywiadu z Boyem, kiedy wiosną roku 1928 w mieszkaniu moim zadzwonił telefon. Usłyszałam w nim głos niepiękny, jakby złamany, ale pełen wyrazu, o bogatej modulacji. Boy właśnie wrócił do kraju po wygłoszeniu odczytów w licznych miastach francuskich i dziękował mi za mój artykuł o sobie (drukowany w „Pologne Litteraire”). Rozmowa telefoniczna zaczęła się Przeciagać, toteż, trochę drżąc ze wzruszenia, zaprosiłam go nieśmiało, 'lcząc się z możliwością grzeczej odmowy, na kawę. Obiecał

przyjść. Ale mój nastrój bezgranicznej radości minął szybko, kiedy zaczęłam S1? zastanawiać, gdzie i jak mam przyjąć takiego gościa. Mieszkaliśmy bardzo skromnie, umeblowanie składało się z kilku gratów, kupionych okazji na Bagnie (czyli na polskim przedwojennym „pchlím targu”), tanęły mój w oczach antyki Boyowego mieszkania, dywany, obrazy, świetnie skrojony garnitur, piękna zastawa stołowa. Nie znałam

191

jeszcze Boya, nie wiedziałam, że rzeczy nie mają dla niego żadnego znaczenia i że zasmucającej lichoty mego mieszkania w ogóle nie zauważy. To był pierwszy powód do lęku, drugi — to jak rozmawiać z takim gościem, żeby go nie znudzić, żeby się czuł dobrze.

Wywiad to jednak co innego. On, który obcował z najwybitniejszymi osobami swego czasu, jakże miał rozmawiać ze mną, skromną początkującą literatką? Czy kawa, czy herbata? Czy podać tort, czy może ptifurki? Tak, w niepokojach gospodarsko-kulinarno-intelektualnych doczekałam następnego dnia.

I wszystko, oczywiście, stało się nie tak, jak myślałam. Boy nie przyszedł frontowymi schodami, tylko tzw. kuchennymi, które nie błyszcząły czystością ani kusily zapachami. Wpadł do kuchni, gdzie odbywało się pranie, komin dymił, kłęby pary osiadły szarą śniedzią na ścianach, a olbrzymia, tęga Saturnina, z wylewającym się ze stanika biustem, powitała go warkliwym: „Czego tam? Pani nie ma” — bo kazałam jej ratować mnie od nieproszonych gości, a nie spodziewałam się, że ważna osoba zawita przede wszystkim do niej.

Tymczasem ważna osoba przedostała się przez stos brudnej bielizny i brnęła, prawie po omacku, przez nie oświetlony, długi korytarz, obok wygodki, a potem przez zupełnie pusty, typowy dla warszawskich kamienic pokój jadalny (nie było pieniędzy na meble) i wyłoniła się niespodziewanie, ku mojej wielkiej udręce, w bardziej intelektualnych rejonach, gdzie czekały dwa fotele, kawa, no i ratowały sytuację książki. Siedliśmy, zaczęliśmy rozmawiać. I tak zaczęły się spotkania niemal codzienne i przyjaźń, którą miała przerwać dopiero wojna. Po tej pierwszej wizycie czekałam z niepokojem na dalszy ciąg. Czy kawa była dobra, czy rozmowa ze mną dostatecznie interesująca? Zadzwoń znów czy nie, zechce się znowu spotkać czy nie? Upłynęło parę dni, zupełna kłapa. Nie zadzwonił. Nie mogłam już dłużej czekać, zebrałam się na odwagę, zadzwoniłam pierwsza: „Czy nie zechciałby pan pójść na spacer? Piękna pogoda”. W słuchawce rozległ się radosny głos: „To pani? A ja od paru dni snuję się przy telefonie i waham się, czy zadzwonić. Co przyjemnego może być dla takiej młodej osóbkki jak par” w towarzystwie takiego starego piernika jak ja”. Można sobie wyo* razić moją odpowiedź. „No to się spotkamy. Ale nie później niż za godzinę. Bo potem może się pani odechcieć. Więc idziemy na "-Dokąd? Nad Wisłę? Doskonale".

192

mnie

Szłam podniecona radośnie, był porywający dzień kwietniowy. Tylko . . . się tu pokazać Boyowi w takim zniszczonym palcie? I co robi kobieta, idąca na pierwszą randkę, w epoce, kiedy się nosiło kapelusze? Weszłam po drodze do modystki, kupiłam kapelusz. Drogi. Trudno.

nowy szalik. Potem leciałam kłusa, żeby zdążyć. Boy już czekał na inje, na ulicy. Pierwsze jego słowa były: „Widzi pani, jakie szaleństwa dla pani robię? Kupiłem sobie kapelusz!” — „Jak to, to pan nie miał kapelusza?” — zdziwiłam się głupio. „Mam. Nawet kilka. Ale bywają dni, kiedy koniecznie trzeba sobie kupić coś nowego. Dziś jest właśnie taki dzień”.

Szliśmy przez most Poniatowskiego, w stronę Pragi. Dał wiatr, jak zwykle nad Wisłą. Z trudem przytrzymywaliśmy rękami nowe kapelusze, śmiałyśmy się z tych nowych kapeluszy. Łykaliśmy wiatr, dławiliśmy się wiatrem, ale dzięki temu było jeszcze weselej, jeszcze przyjemniej. Za mostem zeszliśmy w dół i brnęliśmy byle gdzie, po śliskiej glinie, bo nie było

wówczas jeszcze bulwaru nad Wisłą. Jak długo ten spacer trwał, nie wiem. Wieczność. Minutę.

Taki był pierwszy z naszych niezliczonych później spacerów. Zdeptaliśmy w ciągu dwunastu prawie lat tysiące chyba kilometrów. Boy był niestrudzonym piechurem, więcej nawet — perypatetykiem. Najlepiej mu się rozmawiało chodząc. O tyle młodsza od niego, czasem ustawałam, on jednak nigdy nie okazywał zmęczenia. Był to jedyny sport, jaki uprawiał, jeżeli chodzenie można nazwać sportem. Znały nas wszystkie parki, oba wybrzeża Wisły i wiele przedmieść warszawskich. Kiedy po pewnym czasie zaczęłam spędzać większą część roku w Podkowie Leśnej, przemierzaliśmy z Boyem wzdłuż i wszerz przepiękne, w owych fasach, Lasy Młochowskie.

No, ale ten pierwszy spacer nad Wisłą. Trzeba było iść z powrotem, uradowani, rozgadani, trochę osłabieni, jak to bywa wczesną wiosną, gdy jest zbyt ciepło, z zaschniętymi od wiosennego wiatru ustami i przejęci, gdyż czuliśmy oboje, że coś nowego zaczyna się w naszym życiu. „Czy nie chciałaby się pani czegoś napić? — za-P^oponował Boy. — Może pójdziemy do «Ziemiariskiej»”.

. W słynnej cukierni „Ziemiańskiej” na ulicy Mazowieckiej znajdowało się magiczne półpiętro, gdzie stał tylko jeden stolik i gdzie schodzili się Poeci „Skamandra” i różne znane osobistości ze świata artystycznego.

62 razy marzyłam o tym stoliku poetów. Pisałam i drukowałam już o ch^o, ale nie miałam tam wstępu. Stolik był ekskluzywny, a straż,

'3-tt;

"Saiania... 1 n T

stychanie surową, pełnił przy nim Lechoń, odpędzając, przy pomocy fderczego dowcipu, wszystkich niepowołanych. Idziemy na półpiętro?" — zapytał Boy, wchodząc wraz ze mną do -jerni. Co byście odpowiedzieli, gdyby was zapytano, czy chcecie grać los na loterii? Raz przynajmniej znaleźć się w towarzystwie tych rujących ludzi, śmiać się z ich dowcipów (wszyscy byli urzekająco ycipni)- Towarzystwo Boya było dla mnie biletem wstępu, tyliśmy jeszcze na schodach, kiedy Lechoń, który siedział sam przy liku, ujrzał nadchodzącego Boya, zerwał się z miejsca i przyklekając jedno kolano zamiótł podłogę imaginacyjnym kapeluszem ze strusim rem. Boy skłonił mu się również głęboko i, ku mojemu największemu imieniu, powiedział: „Mam zaszczyt zakomunikować: Irena Krzywi-l(Boy-Żeleński chodzą razem!" — „Aaaa!" —wybuchnął przesadnie ;hoń, chyba nie mniej zdziwiony niż ja i podprowadził nas ceremonia-; do stolika.

V nieoczekiwanym oświadczeniu Boya była ta sama poetycka esada i skłonność do żartu, co w kornym powitaniu Lechonia. Nie (dziliśmy (jeszcze) razem, dopierośmy raz wyszli. Potem się okazało, Boyowi ówczesne warszawskie określenie „chodzić razem” wydawa-się bardzo zabawne i dlatego, dla kawału, go użył. Ale Lechoń zumiał to inaczej (jak każdy inny na jego miejscu), no i poszła gadka Warszawę, która przez dłuższy czas jeszcze nie miała odpowiadać .wdzie. Lechoń nie mógł tylko pojąć, jak mu się mogły wymknąć KŚniejsze stadia (których nie było) naszej zażyłości, iiedziałam więc na — bacznie obserwowanym przez publiczność rszawską — pięterku w „Ziemiańskiej” (wielu ludzi przychodziło do kawiarni, aby na owo półpiętro popatrzeć) i nie wierzyłam sama)ie, że to możliwe. Po chwili przyszedł Słonimski, którego już trochę ildam, i w miły sposób dał mi do zrozumienia, że wcale nie jestem tu ruzem, tylko koleżanką z „Wiadomości”, potem Tuwim, Wierzyński, że Iwaszkiewicz, może Jaracz, już nie pamiętam, bo od tego dnia sto i ja zaczęłam bywać w „Ziemiańskiej”, razem z Boyem lub sama. Półpiętro było właściwie klubem artystów, którzy lubili się tam 'tykać co dzień koło południa i wymieniać myśli, pomysły, żarty, awiać aktualne wydarzenia, książki czy sztuki teatralne. Jedną idziwiających cech teg^o „klubu” był niezwykle dowcip jego uczest-^ow. Nigdy w życiu nie uśmiałam się tyle, co wówczas. Ale prócz tow padały tam powiedzenia mądre, zdania przejmujące, które

potem znajdowałam w wierszach czy artykułach ich autorów. Świetn. intelektualna rozmowa dawała pożywkę do myślenia na długo, a żart natychmiast poczynały krążyć po Warszawie. Użyłam też sobie te? pierwszego dnia, aż do zawrotu głowy.

Kiedyśmy wychodzili z „Ziemiańskiej”, Boy powiedział coś, co mnie dosłownie „zatkało”. „Bardzo było przyjemnie. No, dzięki pani po ra2 pierwszy znalazłem się na tej sławetnej «górcie»”. — „Co takiego?-. wykrztusiłam. — Przecież to ja, dzięki panu”. — „Jak to? Myślałem, że pani tam stale bywa”. — „Skądże. Alboż ja na to zasługuję? Myślałam że to pan tam bywa codziennie”. — „Skądże. Ja ich wszystkich znam ale tu nie przychodziłem, oni mnie mają z pewnością za starca. Ja myślałem, że przy pomocy pani się wśliznę”. To już była kokieteria. Boy nie mógł nie wiedzieć, że skamandryci będą zachwyceni, widząc go pomiędzy sobą. Po prostu nie miał dotąd okazji, żeby pójść do „Ziemiańskiej”. Albo ochoty. Od tego dnia, dosłownie od tego dnia (powtarzał mi to wielokrotnie) poczuł się znowu młody, i nic dziwnego, że bezwiednie szukał spotkania z młodymi. Uwielbiana przeze mnie poetka i droga przyjaciółka, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska powiedziała kiedyś, z właściwą sobie celnością, że człowiek nie raz starzeje się w życiu, tylko wiele razy, ale też wiele razy bywa młody. To właśnie miało sprawdzić się dla Boya.

Tak więc wprowadziliśmy się nawzajem, nic o tym nie wiedząc, na półpiętro do „Ziemiańskiej” i zaczęliśmy tam bywać prawie stale przed obiadem. Kobiety przychodziły tam rzadko, ale te, które przychodziły, były czasem niepospolite, zawsze piękne. Ci z bywalców „górci”, którzy się poženili, znaleźli sobie prawdziwe piękności. Tak, że „Ziemiańska” była atrakcyjna” dla widzów nie tylko ze względu na sław? pisarzy czy aktorów, ale i urodę kobiet, które tam zaglądały. Lechon zresztą krzywym okiem patrzył na kobiety przy tym stoliku. Uważał, że przeszkadzają w rozmowie. Miał trochę racji. To znaczy — w pewnych wypadkach.

Tak więc, niemal przypadkiem, Boy zbliżył się bardzo z tymi, o wie'e młodszymi od siebie, ludźmi i znalazł z nimi wiele wspólnego. Wkrótce stał się, obok Słonimskiego, najpotężniejszym filarem „Wiadomości” -a co ważniejsze, wybuch tego odmłodzonego talentu stanowił pun^ zwrotny w twórczości pisarza, no i przyniósł sukces pismu. Czytaj^w publiczności w Polsce ukazał się nowy Boy, odkrywczy, dynamie211^ młody. „Wiadomości” zaczęto rozchwytywać.

196

Spacer nad Wisłą i „zdobycie” półpiętra w „Ziemiańskiej”, które, uezwiednie czy świadomie, przypieczętowało nasze „chodzenie ra-reiTi” to ^° nioJe trzecie spotkanie z Boyem. Czwarte odbyło się na skutek jego zaproszenia do eleganckiej restauracji na Nowym Świecie na kolację. Wtedy doznałam uczucia, że czas przestał istnieć, że przeszłość stopiła się z terażniejszością. W rozmowie padały nazwiska ludzi, których Boy znał albo których znał jego ojciec. Ludzi, których wygląd, zachowanie, sposób życia Boy ukazywał mi z właściwą sobie plastyką. Grottger, Matejko, Asnyk, Tetmajerowie, oboje Solscy, ileż jeszcze znakomitości przesunęło się przed moimi oczami tego wieczora. Nawet cień Chopina przemknął gdzieś na tle obrazu epoki, tak dalekiej ode mnie, wraz ze wspomnieniem o Marcelinie Czartoryskiej, uczennicy geniusza. Miałam uczucie, że wielkimi łykami chłonę całe stulecie kultury polskiej. Każde słowo Boya było nią przepojone, i to tak osobiście, prywatnie. Powinnam była to wszystko spisać, powróciwszy do domu. Nie spisałam, sądziłam, że raz na zawsze zapamiętam. Nie zapamiętałam. Zresztą ta rozmowa pokryła się tyloma, tyloma następnymi. W rezultacie sam pisarz wyciągnął z mego zasłuchania odpowiednie wnioski — że to, co ma do opowiedzenia, może interesować, l Znasili ten kraj?, i bardzo wiele felietonów wylaniało się w formie literackiej tuż po rozmowie ze mną, tak że teraz, czytając te książki na nowo, słyszę intonacje głosu Boya, widzę zadziwione, jemu tylko właściwe spojrzenia.

Nie zdawałam sobie sprawy owego czwartego wieczora, że Boy bynajmniej nie ma zwyczaju opowiadać o sobie ani o innych, że podniecenie wywołane nową znajomością, chęć podobania się młodej kobiecie wyzwołyły tę falę wspomnień. Nie muszę dodawać, że udało mu się to bez trudu. Byłam oszołomiona, olśniona, zachwycona. A jednocześnie śmialiśmy się bez ustanku, no bo ten jego dowcip...

Boy, jak wspomniałam, miał zawsze ogromne powodzenie u kobiet, ale wówczas, gdy go poznałam, uważał, że jest już stary, zubożniały, wypalony. I nagle nowe uczucie wybuchło w nim z nieoczekiwaną siłą i odmieniło go niemal z dnia na dzień. On, który miał opinię mruka i melancholika, był tego wieczora (i odtąd, tak często, przez lata) ascydujący, olśniewający. Wspaniałe posępne oczy pod zasępionymi rzęsami bryzgały światłem. Śmiał się wraz ze mną, pokazując zdrowe, ^o cnezęby, popijał wino, „intelektem prażył z bliska”, jak to sam określił Słówkach. Miał nieopisany wdzięk, którego nie będę siłowała się określić.

197

Wdzięk to jest coś niezależnego od wieku, od powierzchowność natomiast wielce zależnego od zawartości duszy. Jego wdzięk był nieodparty i działał zarówno na kobiety, jak na mężczyzn, nie mówiąc o tym, że przewijał się barwnym światełkiem przez wszystko prawie, Co pisał. Było w tym człowieku również coś dzieciennego, coś bezpośredniego coś bardzo uduchowionego i zmysłowego jednocześnie. Sądzę, że grała wówczas na sali muzyka, że słyhać było szcęk platerów, brzęk szkła i porcelany, szmer i wibracje licznych głosów, że były światła i kwiaty — ja nie widziałam nic, siedziałam zahipnotyzowana. Słuchałam. Boy opowiadał mi barwnie i dość bezładnie o swoim życiu, o ludziach i zdarzeniach. Historia literatury czy historia sztuki, martwe, muzealne nazwy, tytuły i nazwiska stawały się nagle bliskie i znajome, mówiło się o nich jak o żywych ludziach, o konkretnych faktach. Sienkiewicz, który na przyjęciach „Pod Baranami” nie brał udziału w rozmowie, ale w pewnym, starannie wybranym momencie stawał przy kominku w malowniczej pozie i zaczynał: „Było to pewnego wieczora”. Asnyk, który uważał, że poezje Tetmajera nie są dość „logiczne”. Tragiczna wielka miłość do Dagny Przybyszewskiej. Ojciec — kompozytor, Władysław Żeleński, Moniuszko, Konopnicka i jej córka, piękna Laura, z osobliwym „felerem”, który jej nie pozwalał doprowadzić żadnego stosunku miłosnego do końca. Matejko, Tarnowski, cały Kraków XIX wieku. Ale i Paryż, i zawód lekarza, którego nie znosił, i „Zielony Balonik”, „Lapin Agile”, Dagny i druga miłość, do Jadwigi Mrozowskiej... Nie będę się starała opisać szczegółów tego wieczoru, stał się dla mnie zbyt pięknym i zbyt osobistym przeżyciem. A zresztą, zważywszy stan oszołomienia, w jakim się znajdowałam, nie potrafiłabym odróżnić, co usłyszałam wówczas, a co później.

Bo odtąd zaczęliśmy się spotykać prawie codziennie, a telefonować do siebie kilka razy dziennie. Zaczęły się nieskończone, wielogodzinne spacerowanie. Wysiadywanie w małych anonimowych kawiarenkach, w cudownym odosobnieniu. Ale jednocześnie premiery (bo zaczęłam odtąd stać bywać na premierach) i spotkania, jakże płodne intelektualnie, w „Ziemiańskiej”.

Moją pierwszą w życiu premiera był Budowniczy Solness Ibsena 27 kwietnia 1928 roku w Teatrze Narodowym. W czasie antraktu Boy podbiegł do mnie. Nic nie powiedział, tylko spojrzał mi bardzo głęboko w oczy, zrozumiałam. Treścią tej zapomnianej chyba sztuki jest miłość starzejącego się architekta do młodej dziewczyny, która

198

jeo życie, skłaniając go do nowych wysiłków, zmuszając niejako, aby • „g) coraz wyżej, coraz dalej (aż do śmierci włącznie, ale na szczęście ja ^ byłam takim wampem). Recenzja z tej sztuki została napisana dla mnie. Boy był namiętym piechurkiem i ganiał mnie całymi kilometrami,

ołówie przez most Poniatowskiego, nad Wisłę. Jego siły fizyczne, wytrzymałość i odporność były zdumiewające. Nigdy nie poczułam, że jest starszy ode mnie o dwadzieścia pięć lat. Był młodzieńcem w wieku lat sześćdziesięciu, a nawet dłużej. Byłby żył bardzo długo, w pełni sił, tak jak jego ojciec. Ale co tam o tym mówić!

Po pewnym czasie wyznał mi swoją miłość, dosłownie. „Ależ ja jestem w pani zakochany”. Całowaliśmy się trochę po bramach, kiedy odprowadzał mnie wieczorem, ale nie miałam zamiaru żyć z nim jak z mężczyzną. Broniałam się przed tą ewentualnością przez kilka miesięcy, co było tym trudniejsze, że byłam bardzo zakochana. Szamotałam się ogromnie, schudłam, zmizerniałam. Boy, niegodziwiec, używał nieodpartego na pozór argumentu: „Jestem już stary (miał wówczas lat pięćdziesiąt trzy), to, co może być między nami. nie potrwa długo, dlaczego mi pani żałuje paru chwil szczęścia?” Zresztą mówił to szczerze. Uważał się za starego, był dotąd w stanie permanentnej melancholii — która raptownie minęła. Nowa miłość pobudziła nie tylko jego zmysły, ale i umysł. Popadł w stan wielkiego podniecenia intelektualnego i zaczął sypać już nie wierszami (ten czas minął na zawsze), nie tłumaczeniami, ale nie ograniczając się do (znakomitych zresztą) recenzji teatralnych, wystąpił jako autor wielkiej liczby felietonów, które — później zebrane — utworzyły książki. Zdobywał mnie niejako tym pisaniem, wprawiając w zachwyt i zdumienie, jeszcze Potęgując moją miłość, której ten zachwyt i zdumienie były potrzebne, 'oto sprawdziła się ostatnia przepowiednia Przybylskiej sprzed dwu lat: s'edziałam przy stole, na którym leżał rękopis i, oboje z Boyem, dyskutowaliśmy każde niemal zdanie, to znaczy ja raczej milczałam 1 tylko czasem robiłam nieśmiało jakąś uwagę, za to Boy przekreślał, UzUpełniał, przemyślał artykuł na nowo. Było to dla mnie upajające Przeżycie intelektualne. I ja się zabrałam ostrzej do pisania. Ale Boy dosłownie trysnął twórczością i od tego, 1928 roku, zaczyna się nowy °kres w jego piśmiennictwie, co już zauważył niejeden krytyk, nie zdając s°bie sprawy z przyczyny tego niespodziewanego i spóźnionego wybuchu.

W owym czasie Boy ofiarował mi dwa kosztowne i bardzo nieudane

199

prezenty: dużą butlę „Tabac blond” Guerlaina (nie paliłam i by}a uczulona na zapach tytoniu!) oraz torbę z węża, która była wówczas? nowością, ale że nie umiano jeszcze wyprawiać takich skór, wie śmierdziała strasznie i w ogóle nie nadawała się do użytku. Zresztą nje miałam zamiaru przyjmować prezentów od Boya („szanująca sje kobieta nie przyjmuje prezentów od mężczyzny” — jedno z przykazań Maminka), więc mu zapowiedziałam, że odtąd może mi przynosić jedynie czekoladki albo kwiaty — nic więcej. Na przyjaźni z Boyem skończyła się seria przepowiedni Przybylskiej które pozostały dla mnie bardzo zagadkowe i dosyć przerażające. Jeżeli wszystko jest zaplanowane zawczasu, jeżeli się jest biernym narzędziem w rękach losu, to w ogóle nie warto żyć.

Miałam się jednak wkrótce przekonać, że los można odmienić. Oto urządziłam pierwsze w moim życiu duże przyjęcie. Byli na nim Boyowie, była wśród innych gości i Przybylska. Bardzo chciała Boya poznać, podeszła do niego i powiedziała po prostu, jak to ona, bez żadnych magicznych sztuczek: „Pan pojedzie niedługo do Hiszpanii”. Boy parsknął śmiechem: „Paniusiu droga — odrzekł — ja nie znoszę podróżować, gdybym miał gdzieś wyjechać za granicę, to raczej do Francji, ale i to niechętnie. Hiszpania mnie w najmniejszej mierze nie interesuje i nie wyobrażam sobie, co bym tam miał robić”. Do mnie zaś powiedział, kiedy mu opowiadałam o sprawdzonych przepowiedniach: „Ach, ta pani Przybylska. Plecie jak każda wróżka, nie widzę w niej nic osobliwego”. Jednakże w kilka miesięcy później odbył się w Hiszpanii właśnie międzynarodowy zjazd krytyków, na który Boy został zaproszony, ku największemu swemu zdziwieniu. Nie pojechał i w tym sensie przepowiednia Przybylskiej się nie sprawdziła, wyglądało na to, że własną wolą zmienił jednak jakieś odgórne zarządzenie...

Nie jestem ani specjalnie łatwowierna, ani skłonna do pozaziemskich rozmyślań. Nie próbuję wyjaśnić tego typu faktów, ale nie ulega wątpliwości, że zdarzyły się wielokrotnie w moim życiu i że należą właśnie do rzędu faktów, a nie mglistych hipotez. Oczywiście ktoś sceptyczny i ortodoksyjnie nie przyjmujący istnienia zjawisk znajdujących się poza zakresem naszej logiki i doświadczenia powiedziałby-że dałam się nabierać. Że pominęłam wszystkie rzeczy, które się r>ie sprawdziły. Nie! Obserwowałam z zaciekawieniem, ale bez mistycznego dreszczu zjawiska, które się ku mojemu zdumieniu i uśmiechniętemu

200
•powierzaniu sprawdzały, obserwowałam też i te, które się nie nrawdzały. Dyskutowałam na te tematy z teściem, który i w tej miał umysł otwarty. Bardzo interesował się zjawiskami

letapsychicznymi, choć był jak najdalszy od wszelkiego rodzaju fljstyki, toteż przepowiednie Przybylskiej bardzo go zajęły i z zaciekawieniem l l "l śledził bieg ich realizacji. Nie był na tyle ograniczony, aby i góry powiedzieć, że coś jest niemożliwe, choć nie stawiał żadnych hipotez. Bo, jak powiedział profesor Charles Richet, jest to jedyna dziedzina zjawisk, gdzie nie można postawić żadnej hipotezy. Teś uważał, że nauka nie doszła jeszcze do tego, aby starać się owego typu zjawiska wytłumaczyć. Sądził wszak, że one istnieją, tylko ze względu na ich niepowtarzalność są niesłychanie trudne do zbadania.

To w pewnej mierze zadziwiające, że okres, który dla całego świata był okresem narastającego kryzysu, w mojej pamięci został jako czas prosperity. Dla ukoronowania tego roku 1928 przeprowadziliśmy się z zimnego, ponurego mieszkania teściów do sześciopokojowego, pięknego apartamentu tuż przy placu Trzech Krzyży. Panowała wówczas, w czasie rządów Piłsudskiego, zupełna wolność słowa i przyjemnie było pisać to, co się myśli, bez żadnego skrępowania, zwłaszcza gdy się miało takiego redaktora jak Grydzewski, który nie narzucał niczego, czasem tylko proponował i to zazwyczaj słusznie. Z jego inicjatywy Boy napisał o Mickiewiczu, a ja zaczęłam pisać swoje reportaże sądowe, które do dziś są dyskutowane na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Piłsudski był postacią niezwykle malowniczą, można by powiedzieć Poetyczną, zwłaszcza że widziało się w nim wcielenie prorocत्व wieszczów. To on właśnie symbolizował dla nas Polskę. Tylko że ta Polska też n'e była taka, jak się marzyło. Słowo „Polska" brzmiało dumnie, wzniośle i szlachetnie. A tu więzienia, a tu policja, a tu nieudolność i zła wola w traktowaniu mniejszości narodowych. Podczas naszej podróży Poślubnej do Jaremcza zobaczyliśmy na własne oczy wrogość Ukraińców, Żydzi byli nadal sztucznie izolowani od społeczeństwa, na Litwie i Białorusi też nie działo się dobrze. Zdawało się, może naiwnie, że "olska, umęczona i odrodzona, będzie krajem odmiennym od innych, sPrawiedliwszym, bardziej czułym na cierpienia, że jej męki i krwawe

201

ofiary nie pójda na marne. Tymczasem okazało się, że Polska je państwem jak każde inne i że ujawniły się w niej groźne i nad miar potężne siły: Kościół i endecja.

Kościół sprzymierzył się z tym, co było najbardziej obskuranckie To nie był Kościół dzisiejszy, który szuka dróg tolerancji, tyl] {0 ciemna siła, wroga wszelkiemu postępowi. Prawica stanowiła większość w narodzie, a w każdym razie była najbardziej widoczna, najbardziej krzykliwa i większość prasy znajdowała się w jej rękach.

Tragiczna śmierć Narutowicza już w 1922 roku ukazała, do czego prawica jest zdolna. Przeciwwaga była nie w komunistach, którzy okazali się słabi i podejrzani o kontakty z obcym państwem, ale w Piłsudskim, który nienawidził endeków jeszcze starą PPS-owską nienawiścią. W znakomitych szopkach, pisanych przez skamandrytów, było wiele na jego temat, a on nie tylko nie bronił, ale prosił, żeby z tą szopką przyjechać do Belwederu.

Zdzisław Czermański wydał cały album poświęcony jego osobie w łagodnej karykaturze. * Kiedy w parę lat po przewrocie majowym spotkałam Piłsudskiego nos w nos w Alejach

Ujazdowskich, idącego sobie po prostu po chodniku, bez żadnej obstawy z wyjątkiem adiutanta, który szedł kilka kroków za nim. widziałam, jak kłaniali mu się wszyscy przechodnie, i ja ukloniłam się też pierwsza. Podziw dla tego człowieka był silniejszy niż wszelkie zastrzeżenia. I gdyby nie późniejsze obraźliwe dla narodu przemówienie do „fajdanów”, gdyby nie Brześć czy Bereza... ale to są rzeczy znane. Dostałam wówczas, jak pisałam, wielu szczęść, a między innymi . tego, że dostałam się już bezapelacyjnie na „górkę” w „Ziemiańskiej”. Po zamknięciu kawiarni „Pikadora” to półpiętro stało się sławne. Skamandryci okupowali na stałe stolik, który stał się przedmiotem zachwytu dla jednych, przedmiotem zawiści i nienawiści dla innych. Ta zawiść i nienawiść były dość dziwne, ostatecznie młodzi poeci mieli prawo zarezerwować sobie ten czy inny stolik i zapraszać do niego tych, których pragnęli. Stał się on rodzajem klubu, bardzo zamkniętego, to prawda, już choćby ze względu na szczupłość przestrzeni, jaką stolik-kanapka i otaczające krzesła mogły zajmować. Ale, jak wspomniałam. Lechoń, który tam „urzędował” stale, wprowadził surową selekcję. D° stolika nie byli dopuszczani ludzie bez talentu. Kobiety pojawiały się tam rzadko, ale je tolerowano, gdy były piękne. Jakoż piękne były żony poetów: Iwazkiewiczowa, Konarska (późniejsza Słonimska), Wierzyńska, Tuwimowa. Ale te panie przychodziły rzadko, zazwyczaj nie

202

teresowały ich intelektualne rozmowy, zonglowanie słowami, dowcip polityczny.

Lechoń pełnił w klubie straż nieco zbyt surową. Niezmiernie inteligentny i dowcipny i złośliwy, namiętny plotkarz, nie uchylający się dla efektu od oczerniania najbliższych nawet przyjaciół, nie był sympatyczny ale za to fascynujący w rozmowie. Z niezwykłą umiejętnością nabierał innych na nigdy nie oddawane pożyczki. I śmiał się osobliwie, jego porykiwania i głośne wybuchy śmiechu pozostałych — najdowcipniejszych ludzi w Polsce — przepełniały zazdrością tych, co do „górkę” nie mieli dostępu.

W owym czasie z całej grupy „Skamandra” najwyżej ceniony był właśnie Lechoń. Nie podzielałam tego poglądu. Jego wiersze wydawały mi się zbyt tradycyjne, zbyt deklamatorskie, akademickie, a forma ich nie była w moim pojęciu dość bogata i urozmaicona. W porównaniu z wulkanicznym wybuchem poezji Tuwima, jego odnową języka i wiersza, z intelektualizmem i mistrzostwem Słonimskiego, z radością życia młodego Wierzyńskiego, Lechoń wydawał mi się staroświecki. Poezji Iwazkiewiczowa nie lubiłam, ale za to jego proza miała od razu czar urzekający.

Spotykaliśmy się codziennie, od pierwszej do trzeciej. Potem już półpiętro bywało zazwyczaj puste. Boy czuł się dobrze wśród tych młodych, sam odmłodzony tak bardzo, że wszyscy, co go jakiś czas nie widzieli, byli zdumieni jego wyglądem. Do moich zwolenników należał nie tylko on, ale i Grydzewski, który niejako był mi patronem od początku mojej pisaniny („Głosu Robotnika” nie liczę) i którego życzliwości i redaktorskiej inicjatywie wiele zawdzięczam. Do moich przyjaciół od pierwszej chwili należał też Słonimski. Nigdy nie było między nami nic erotycznego, a przyjaźń nasza przetrwała całe życie.

Lechoń wkrótce wyjechał na placówkę dyplomatyczną do Paryża, a królowanie przy stoliku objął Antoni, o wiele bardziej tolerancyjny w dopuszczaniu nowych ludzi. Żony nadal nie były zbyt chętnie wldziane, chyba na chwile, aby olśnić urodą, ale pojawiali się aktorzy, a zwłaszcza Jaracz. Nieporównany i niezastąpiony Jaracz, który dziś byłby zapewne także wielkim aktorem filmowym, ale podówczas „szanu-icy się” aktor w filmie nie grał, zwłaszcza w słabiutkim filmie polskim. Monirski, wysoki i muskularny (był świetnym tenisistą), ale brzydki Potężnie, miał niesłychane powodzenie u kobiet. Nie mogę być nazbyt

203

!

ności warszaw-

• dyskretna, ale wiem dokładnie, że wiele różnych pięknych. Jej oczy aktorek poczynając, na paniach z arystokracji kończąc, znałaś? w Jej? °bj?ciach. Kiedy raz po przyjacielsku wyraziłam zdzi-

>nie, że mu tak wszystkie ulegają, odpowiedział: „A bo ja je tak roz-'mieszam, że potem nie mają siły, aby się oprzeć”.

Czas, tak niełaskawy dla kobiet, jest wyrozumiały dla mężczyzn,

• Antoni na starość stał się niemal piękny. Z dawnej zbyt tłustej i nalanej twarzy wyłoniła się maska koścista i szlachetna. Można powiedzieć, że dusza wyszła mu na twarz, bo choć był z natury egocentrykiem, jego postawa wobec życia, wobec zdarzeń była zawsze szlachetna i odważna. Może się zachwiał nieco raz czy drugi, ale w sposób nieznaczny, znacząca natomiast była zawsze jego absolutna nieprzekupność w najogólniejszym sensie tego słowa. Na starość stał się dziecinnie próżny i przechwalał się każdym usłyszanym komplementem. Za młodu i w ciągu lat dojrzałych zawsze zwalczał zło, głupotę i niesprawiedliwość i nigdy nie zakłamywał się w tym, co pisał. Bywał okrutny, jako młodziutki pisarz nawet bezczelny, trochę taki warszawski łobuziak, który ciął ludzi swoim ostrym językiem jak brzytwą. Wielu się go bało, wielu nienawidziło. On nic sobie z tego nie robił. Dostał parę razy po twarzy, ale w rezultacie to napastnik był przez niego pobity. Wspomniałam o absurdalnym pojedynku ze Szczuką. Zresztą później żyli ze sobą w najlepszej zgodzie. Nie pamiętam innych wyczynów pojedynkowych Antoniego, ale przypominam sobie, że tuż przed wojną rzucił się na niego Ipohorski — jak się potem okazało — agent niemiecki, ale i on został przez Antoniego pobity.*

Poznałam też na „górcie” Tuwima, który był, i to od razu, najślawniejszy ze wszystkich, niemal od pierwszego wiersza, wydrukowanego w studenckim piśmie „Pro Arte et Studio”. Jego Wiosna z miejsca narobiła wiele hałasu, wrywano ją sobie z rąk. Poetę oblewano błotem i jednocześnie wychwalano pod niebiosa. Zresztą dalsze jego wiersze obrane w tomiku pt. Czyhanie na Boga spotkały się z podobnym przyjęciem. Nade wszystko nie mieściło się w opinii endeckiej, a była ona niestety przeważająca, że tak wspaniale po polsku, tak bogato może pisać Żyd. Pisał wprawdzie również Antoni Lange, jak również kilku innych, ale ich pochodzenie jakoś nie utkwilo w świadomości czytelników. Do opinii nie dotarło, że misterny Leśmian też był Żydem, uwim był jednak nazbyt widoczny, nazbyt wspaniały, nazbyt zwracający na siebie uwagę i nazbyt nowatorski, aby nie obudzić fali

205

żydożerczej nienawiści jednych, a zachwytów, znacznie mniej liczny z drugiej strony. Były to czasy — jak wspomniałam — kiedy panowało kornic2 przekonanie, że Żyd nie może być twórczy, że mu na to nie pozwala iW rodzaj inteligencji. Ale jakże było odmówić talentu Tuwimowi i Słonin, skiemu mimo kształtu ich nosów. Wymyślono więc naprędce taki pomyslonko: „Tuwim to nie jest polski poeta, to Żyd piszący D polsku”. Talmudyczne, co? Tuwim nie mógł się zaprzec swego n0 chodzenia, choćby nawet chciał (ale nie chciał). Był bardzo semickj włosy miał zbyt czarne, oczy zbyt palące, „szyk” trochę zbyt widoczny. Dopiero łaskawa starość uczyniła jego twarz piękną. Miał myszkę na policzku i to było przyczyną ciężkich kompleksów. Uważał, że jest odrażający i kiedy się zakochał w swojej przyszej, ślicznej (choć może za bardzo lalkowatej) żonie, sądził, że nie ma u niej żadnych szans, a kiedy za niego wyszła, nie posiadał się nie tylko ze szczęścia, ale i z wdzięczności. Tymczasem, nie był bynajmniej odrażający — miły, pełen wdzięku, dowcipny jak diabeł i tryskający bezustannie najprzedniejszą poezją. Mógł się podobać kobietom, ale dla niego istniała jedyna — Stefcia, zimna, małowówna, bardzo zajęta swoją urodą i mówiąca z dość osobliwą dumą: „Ja wierszy Julka nie czytam”. Potem to się zmieniło, zwłaszcza po jego

śmierci. Podobnie było u mojej ciotki Hertzowej, która bardzo swego Benedykta za życia lekceważyła, a po jego śmierci wręcz czciła. Tak bywa z żonami wybitnych ludzi. Na „górkę” przychodził też Wierzyński (w owym czasie pięciu skamandrytów było nierozłącznymi przyjaciółmi), miły i piękny, i jeszcze piękniejszy od niego fwaszkiewicz, o dziwnej, jakby tatarskiej urodzie, trochę skośnych oczach, bardzo pełnych ustach o nieco tajemniczym wyrazie. Pamiętam, jak szedł ulicą Mazowiecką, jeszcze go wtedy nie znałam, w podartych butach, rozwianym lichym paletku, ogromnego wzrostu i zadziwiającej powierzchowności, której nie można było zapomnieć. Nie ukrywał wcale swoich homoseksualnych skłonności i był jednym z pierwszych w literaturze (w każdym razie w Polsce), który dał im wyraz w swoich utworach. To było wiadome nawet nieznanym, toteż zadziwiła interesujących się literaturą warszawiaków wieść* że żeni się z piękną panną, w dodatku jedną z najbogatszych w Polsce Lilpopówną. Małżeństwo okazało się zresztą bardzo dobre i trwałe.

Spotykanie się na „górcie” nie oznaczało bynajmniej przyjaźni & obowiązkowego bywania u siebie. Co do mnie, to przyjaźniłam s1^

206

może lam

l

nwde w Boyem (oczywiście) i z Antonim. Z Jarosławem zaprzyjaź-n-i m si? znaczme później. Lechonia wręcz nie lubiłam. Z Tuwimem 11 'unki były serdeczne, bo był serdecznym człowiekiem, ale nie bliskie. ivłoże dzieliła go od niektórych ludzi psychopatyczność jego charakteru, wzgardliwy chłód jego żony. Niezapomniane jednak lato spędzi-

i nim i z Boyem w Krynicy. Siadywaliśmy razem przy stoliku v kawiarni na deptaku, chodziliśmy we troje na spacer. Cóż to były za olśniewające rozmowy tych dwóch poetów! Czemu tego nie spisywałam? I tak by przepadło. Miałam zawsze poczucie niepewności i nietrwałości wszelkich zapisów, pamiętników i listów.

Pewnego dnia Antoni przyprowadził mi swoją długoletnią przyjaciółkę, ongi wielką swoją miłość, z którą, po wygaśnięciu uczuć, spotykał się codziennie na długie rozmowy. Była to urocza Maria Morska, której tak poprzednio zazdrościłam zażyłości ze skamandrytami. Nazywała się w rzeczywistości Niuta Knastrowa, była żona docenta matematyki (późniejszego profesora), który kochał głęboko tylko ją jedną, ale nie żądał w zamian tak zwanej wierności. Niuta była osobą pełną wdzięku, o urokliwej, nieco cukrowej manieryczności, z którą się było łatwo żyć i przyjać jako coś jej tylko właściwego. Wychowana w Anglii, zechciała mnie poznać z powodu mego przekładu nowel Wellsa. Twierdziła, że nigdy dotąd nie czytała przekładu swego ulubionego autora (stąd też kult Antoniego dla Wellsa), tak oddającego styl, dowcip i sposób jego pisania. Było to tym zabawniejsze, że dokonałam tego przekładu w ciąży, dla pieniędzy, nie znając prawie angielskiego. Ale muszę się sania przed sobą pochwalić, że udaje mi się często znaleźć odpowiednik stylu autora (to samo powtórzyło się później z Homo Faber Frischa). Niuta była kobieta nie tylko miłą, ale niezwykle dobrą, ogromnie 'nteligentną i czytana. To ona stanowiła źródło wiedzy dla nieco n'edouczonego (ale obdarzonego nieomylnym smakiem i intuicją) Antoniego. To z rozmów z nią rodziły się owe niezapomniane Kroniki 'ygodniowe, od których czytelnicy zawsze zaczynali, biorąc do ręki nowy numer „Wiadomości”. Miała wielkie poczucie humoru, rozmowy z nią yty zabawne i rozumne. Była typem egerii, kobiety zapładniającej uchowo i intelektualnie. Lubiała działać literacko per procura. Usiłowa-

d<zresztą bardzo dyskretnie, podsuwać mi tematy i rozwiązania, aleja

207
byłam pod przemożnym wpływem Boya i już nikt inny nie mógł mj • nade mną duchowej władzy. Oddziałała niewątpliwie na Lilkę paw likowską, z którą była w bliskiej przyjaźni i

która zadedykowała j • niejeden wiersz. Z czasem zaczęła pisać sama i drukować w „Wiadomościach”, jako Mariusz Dawn. Pisała dobrze, ale w tym pseudonimie znała trochę nieodłącznej od niej samej pretensjonalności. Ta leciutka zresztą pretensjonalność (cecha, której u innych nie znośnie) była jej własna nieco osobliwa, odrębna i dlatego trzeba się było z nią pogodzić, jak np z kolorem jej włosów, tlenionych domowym sposobem na żółto. Ale była wesoła, miła, mądra, ładnie śmiała się drobnymi ząbkami. Była sobą. Nie odbita żadną sztancą. Tak to ten szczęśliwy dla mnie rok 1928 dał mi nie tylko przyjaciół, ale i przyjaciółkę.

Teraz zaczynam pisać o rzeczy bolesnej, wstydlivej, olśniewającej i trudnej do wytłumaczenia, o moim związku z Boyem. Jak się si? poznali, jak on przyszedł do mnie z pierwszą wizytą, jak szliśmy po paru dniach razem przez most Poniatowskiego w nowych kapeluszach, jak bezwiednie zaprowadziliśmy się na „górkę” w „Ziemiańskiej”, wszystko to opisałam. Teraz przychodzą rzeczy bardziej intymne, skomplikowana sytuacja, z której nie umiałam wybrnąć tak, aby być w zgodzie z samą sobą.

Wspominałam już, że Boy zjawił się w moim życiu w bardzo nieodpowiednim momencie. Wy płynęliśmy z Jerzym, zdawało się, na spokojne wody rodzinnego życia, z uroczym synkiem, pieniędzmi, które nagle poczęły się nam sypać na głowę. I w takiej chwili burza, piorun, miłość, niepotrzebna, trudna, powikłana, bo musiały w niej uczestniczyć postronne osoby. Broniałam się więc, jak mogłam, nie chcąc burzyć wszystkiego, co niedawno zbudowałam.

Nie chciałam się widzieć w roli zdradzającej żony. Ale znowu moja miłość była gwałtowna, definitywna, całkowita. I Boy mówił o sobie to samo. Że pierwszy raz w życiu spotyka kobietę, która mu może dać pełnię przeżycia, bo i fizyczną, i intelektualną. W jego poprzednich stosunkach zawsze jakiegoś elementu brakowało. A poza tym ZACZ\$ mnie, jak pisałam, nabierać — na starość. „Iruszko — mówił na różne sposoby — tak mi już niewiele czasu zostało, to nie może trwać długo” dlaczego chce mnie pani (to dziś się wydaje śmieszne, ale dług

208

• wjliśmy do siebie pan i pani, nawet w cztery oczy — taka epoka) bawić szczęścia, którego nie miałem w życiu za dużo. To już mój chytak i jedyna radość, jaka mnie jeszcze czeka”. Opierałam się marzec, kwiecień, maj, czerwiec, a potem wyjechałam do Krynicy, chuda, blada. w m?czona sytuacja - z której nie widziałam wyjścia. No, ale Boy oociechał za mną i tam stało się to, co się stać musiało. Byłam pełna szczęścia i mówiłam sobie, że mogę ten miesiąc ofiarować sobie i jemu. Pobyt był cudowny, co dzień chodziliśmy na wielokilometrowe przepiękne wycieczki. W dodatku przyjechał Tuwim, który wprawdzie cytując jakiegoś rosyjskiego pisarza (może Puszkina?) mówił: „Liubliu ludiej, liubliu prirodu, no nie liubliu chodif guliat!”. Ale chodziliśmy na krótsze spacerunki we trójkę. Co to były za rozmowy! Co za gejzery dowcipu i poezji — żyłam jak we śnie.

Wiedziałam, że to moje szczęście nie może potrwać długo — miłość do starego (nie był jeszcze stary, ale mi się tak zdawało) człowieka to trochę jak miłość w pobliżu pola bitwy: nie wiadomo, czy będzie trwała jeszcze jutro, czy nie spadnie zaraz cios. Darowałam sobie ten radosny miesiąc, nie wiedziałam jeszcze, że ii n'y a que le provisoire qui dure. Poza przedpołudniowymi spotkaniami z Tuwimem, całe dni spędzaliśmy we dwoje — nie potrafię tego opisywać. Wolę zamilczeć. Po miesiącu Boy wyjechał, wróciła codzienność i, jak dalece żyłam wówczas we śnie, świadczy, że nie potrafię powiedzieć, czym się skończyło owo lato. Nic pamiętam.

Potem wróciłam do Warszawy i tam okazało się, że nasza miłość trwa dalej, jeszcze intensywniejsza niż na początku, bo byliśmy coraz bardziej zbratani w pracy literackiej, we wspólnym przemyślowaniu na tematy przemian obyczajowych we współczesnym społeczeństwie, a potem we wspólnej walce o te sprawy, które wówczas wydawały się

jednym skandaliczne, a innym śmieszne i wulgarnie, ale o których myśmy wiedzieli, że są słuszne. Nikt nas z tego naprawdę nie rozliczył, ale byliśmy pionierami w tych sprawach. Na szczęście biografowie i krytycy *iedzą na ten temat coś niecoś o Boyu. Nie wiedzą natomiast nic o mnie, a tymczasem to ja wymyśliłam, że należy pisać o tajnych poronieniach ' ° zapobieganiu ciąży. Mogłam być w tej walce tylko komparsem, ale 1 Ja odebrałam tęgie lanie. Zostaliśmy zjednoczeni we wspólnej kam-Pelnii, a także w wymysłach kołtunów i wsteczników różnego auto-rarmentu, bo i lewica wrzeszczała chórem z prawicą. Jednak robiliśmy to, c° uważaliśmy za słuszne.

209

Ale ciągle wybiegam naprzód. Tymczasem wraz z powrotem z Kry cy do Warszawy — wszystko zaczęło się na nowo, ku mojej udręce. T-1 udręce. Zupełnie nie umiałam tej sytuacji rozwiązać i nawet teraz, kiel myślę o niej, nadal nie wiem, jak należało postąpić. Zerwać z mężem osierocić Piotrusia i rozwalić małżeństwo Boya? Powiedział mi przecie?" „Tak byłoby dobrze pobrać się z tobą, Iruszko". Ale nie zrywa si małżeństwa po dwudziestu pięciu latach pożycia. Uważałam to 23 niewłaściwe i za niehonorowe. Sam Boy, gdyby to postanowił, uniesz-częśliwiłby nie tylko żonę, ale i siebie. W dodatku była to kobieta, która oboje ceniliśmy i szanowaliśmy. Mogłam rzucić męża i zamieszkać osobno, nie rozbijając związku Boya. Ale nie zgodziłabym się na przyjmowanie alimentów od męża, a zarobić wówczas piórem było bardzo trudno. W rezultacie stałabym się w pewnym stopniu ciężarem dla Boya, którego nie chciałam niczym obarczać, żadnymi kłopotami ani wydatkami — był w takim rozkwicie sił twórczych, iż — uważałam — obowiązkiem moim było go ochraniać i nie powiększać trudności, jakie dźwigał. Zresztą nie było mowy, żebym porzuciła Jerzego, bo była istota, którą kochałam ponad wszystko na świecie — Piotruś. Nie mogłam go pozbawić ojca ani życia prawdziwie rodzinnego. Poza tym Jerzy nigdy by mnie od siebie nie puścił. Naprawdę, dosłownie, nie mógł istnieć beze mnie. Pamiętam, że mu kiedyś powiedziałam (nie wiem czemu, na ulicy Mazowieckiej): „Może byśmy się rozeszli?" Nie odpowiedział, odszedł, zostawił mnie samą na chodniku. Ale kiedy wróciłam do domu, czekał na mnie olbrzymi kosz kwiatów, najdroższy i najpiękniejszy, jaki można było dostać. To była jego odpowiedź. Zresztą Jerzy dotrzymał do końca naszej przedślubnej umowy, nigdy mnie nie pytał, co mnie łączy z Boyem, skąd i kiedy wracam. Bardzo go za to szanowałam. Sytuacja nie była dla niego łatwa, bo ja z kolei nie nadawałam się do roli zdradzającej żony i nie kryłam się z moją „przyjaźnią". Cała Warszawa o tym wiedziała. Może Jerzy liczył na podeszły wiek Boya, może nie był z natury zazdrosny, może się to sprzeciwiało jego poglądom, dość że, jak wspomniałam, ani razu nie było między nami rozmowy na ten temat. I jeszcze coś, co dodatkowo komplikowało tę zawiłą sytuację: Piotruś instynktownie nie cierpił Boya, a Boy jego. Jeżeli był jakiś antagonizm, to nie w obrębie naszych dwóch małżeństw, ale właśnie między małym dzieckiem a starszy01 człowiekiem. Tym bardziej mnie to dziwiło, że Piotruś był za mały, aby mieć jakiegokolwiek pojęcie, o co chodzi. W dodatku był dzieckieii 1

210

ślicznym i grzecznym, wywołującym stale zachwyty, a nigdy niechęci. P . j^k Boy go nie lubił, obaj byli najwyraźniej o siebie zazdrośni. 7aden z dwóch dorosłych mężczyzn nie chciał mnie stracić, a nie mógł >ć mnie całkowicie dla siebie. I obaj w końcu zadomowili się w tej vtuacji. biorąc z niej to, co było najlepsze. Męczyłam się — tak mi się teraz zdaje — tylko ja. Niejedna osoba uśmieje się z tego wyznania nożałuje Jerzego. Ale Jerzy nie zdradzał się ze swymi uczuciami. Ja też nie Szamotałam się jak ryba w sieci. Zrywałam to z jednym, to z drugim i za każdym razem, po jakimś czasie, każdy z nich ciągnął mnie do siebie od nowa. Czasem zrywałam z obydwoma, ale to nie trwało długo. Czasem godziłam się z obydwoma, przyjmując sytuację „jak leci". Ale w

żadnym wypadku nie zaznawałam spokoju. Chwalono powszechnie moją, modną wówczas, „węzową” linię, ale ta linia była wynikiem mego zdenerwowania i mojej udreki, z którą nie zdradzałam się przed żadnym z moich partnerów: przed Boyem, aby mu nie zatruwać „ostatnich chwil życia”, przed Jerzym, bo z nim w ogóle nie rozmawiałam na ten temat, podobnie jak on ze mną. Załatwienie tego problemu było moja osobista sprawą. Niekiedy dorabiałam ideologię do sytuacji, wmawiając sobie, że monogamia jest jednym z tabu, które należy zrewidować. Chwilami miałam wszystkiego dosyć.

Mimo przerw w stosunkach z jednym czy drugim, jeżeli mam być szczerą sama przed sobą i patrząc wstecz na całą sprawę, widzę, że kochałam ich obu, każdego inaczej, że w gruncie rzeczy te dwa uczucia nie kolidowały ze sobą. Mogło i może to ludzi gorszyć, ale taka była prawda. Jerzy to był sojusznik życiowy, stary i niezawodny przyjaciel, ojciec mego dziecka, ważny członek rodziny. Boy to był mistrz, olśnienie, wielkie napięcie zmysłowe. Z Jerzym mogłam żyć nie myśląc o łóżku. Boyowi, kiedy nadarzała się okazja, nie mogłam się oprzeć. Po co mam tłumaczyć — bez trudu można sobie wyobrazić, jak bogate, jak Uskakujące i wiecznie nowe mogło być z nim obcowanie. Tak, że z jednej strony byłam głęboko usatysfakcjonowana, mając tych dwóch „nędzów” (co tu kryć), z drugiej strony byłam bardzo nieszczęśliwa i niezadowolona z siebie, pozostając pod naciskiem przyjętych pojęć. Chciałam dodać „i obyczajów”, ale nie, każda prawie z moich „najomych” kobiet miała takie podwójne stosunki, nie mówiąc już o mężczyznach. Tyle, że się z tym kryły, ja zaś gwizdząc na opinię chodziłam i pokazywałam się z Boyem — niech sobie ludzie myślą, co im Słomka podoba. Wiele osób zadawało sobie, wobec tej jawności, pytanie, czy

211

w

ogóle łączy mnie z Boyem coś zmysłowego. Nie odpowiadała pytania, teraz na starość wyznaję. Gdybym go była spotkała wcześnie — dziesięć lat wcześniej, kiedy byłam jeszcze wolna, i kiedy pani Fusia była młoda, wtedy, kiedy poznałam Lechonia w pociągu, gdybym poszła — „* instynktem i przyszła do Boya, jak tego pragnęłam, wtedy zapewne byłabym monogamistką. Ale potem — obowiązki i jego, ja nie — sprawiły, że już niemal po trupach moglibyśmy budować nasze osobiste szczęście. Przy tym wówczas nie rozwodzono się tak łatwo jak dzisiaj. Więc tak... Jerzy może cierpiał, ale nie pokazywał tego po sobie zresztą młody mężczyzna ma tyle chętnych pocieszycielek. Boy nie szukał flirtów ani romansów, był mi absolutnie wierny, ale też nie był już młody, choć jeszcze w pełni sił, a nade wszystko tak zajęty, tak pochłonięty niespodziewanym wybuchem własnego talentu, nowej gigantycznej, już zupełnie oryginalnej pracy, że choć mi co jakiś czas proponował, abyśmy nasze egzystencje związali, przyjmował odmowę bez większego bólu. I tak byłam osłoda jego życia, towarzyszką przywróconej młodości, pracy i walki (nigdy nie oddał do druku żadnego rękopisu nie pokazawszy mi go uprzednio), słowem, czerpał z mojej obecności tyle radości, ile się dało.

Ale przed kim się tłumaczyć? I to w naszej epoce, w której te moje skrupuły wydać się mogą błahie i naiwne. A swoją drogą, gdyby Boy był młody, krzepki i głupi, to cała sprawa jeszcze inaczej wyglądałaby niż w tych okolicznościach, kiedy drżałam (niepotrzebnie wówczas) o jego życie, zdrowie, twórczość, tak bardzo w polskich warunkach rewelacyjną. Może i dla Jerzego te względy grały rolę. Nie wiem.

I mimo że bywałam bardzo nieszczęśliwa, tak bardzo, że czasem jęczałam cicho idąc po ulicy, mimo że czułam się jak w pułapce, z której nie widziałam wyjścia — jednocześnie byłam strasznie, przerażająco wprost szczęśliwa. Współistniały we mnie te dwa uczucia i — mimo wszystko — to drugie przeważało.

Było jeszcze tych naszych wspólnych wyjazdów kilka, ale zlewają się we wspomnieniu w jeden ciąg. Przypomina mi się tylko rozmowa dwóch grubych pań, którą usłyszałam kiedyś Boy na deptaku w Krynicy — a która warta jest utrwalenia: „Proszę pani, mój zięć zna kuzynkę?”

ego brata teścia z pierwszego małżeństwa hrabiny Potockiej, to CZ' ^ • •
'n* j w życiu może zaimponować!

c° cieszył się ogromnie, gdy usłyszał takie zdanko, podobnie jak
wła 20 pewna anegdota rosyjska (choć na ogół nie lubił „kawałów”,
C' taszcą tzw. „kawalarzy”). Dlaczego właśnie rosyjska, choć z języka
3 n znał tylko jedno słowo: „łoszad” (koń)? Oto ona: Pewien żołnierz
"yjski wszedł do Ermitażu. Spojrzał na olbrzymią liczbę obrazów,
achnął ręką i powiedział: „Wszystko jedno, i tak wsiewo nie pierieje-hiosz”. I wyszedł. To
powiedzonko zaczęło służyć Boyowi dość często, v nieoczekiwanych czasem
okolicznościach. „Wsiewo nie pieriejebiosz” __ mówił, widząc zbyt suto zastawiony stół albo
ociężałe od owoców drzewa w moim ogrodzie, albo kiedy się nasuwał projekt jakiejś
podróży. Nie odnosiło się to jednak do liczby przeczytanych książek. Tutaj Boy chciał
pieriej..., przepraszam, przeczytać możliwie wszystko. To była jego metoda, kiedy pisał
wstępy do dzieł francuskich autorów — poznawał wówczas całą dostępną literaturę
przedmiotu. To dotyczyło też opracowań i monografii o Mickiewiczu, każdej poważniejszej
premiery teatralnej oraz każdego zagadnienia, które poruszał w swoich, czasem na pozór
błahych felietonach. Dzień jego układał się następująco. Budził się koło 8.30 i jadł śniadanie
w łóżku. Potem kąpał się, robił bardzo starannie toaletę (był zawsze dokładnie ogolony,
ostrzyżony, świetnie ubrany, leciutko pachnący chypre'em), po czym kładł się ponownie, na
posłanym już tapczanie, i czytał, czytał. Jeżeli nie był w okresie pisania, to czytywał tak
całymi godzinami, dniami, tygodniami. Nie znosił czytania w bibliotekach, zresztą
wypożyczano mu bez trudu książki do domu. Jeżeli był w okresie pisania czy też musiał
dostarczyć cotygodniowy felieton do „Kuriera Porannego”, siadał przy biurku i pisał wprost
na maszynie. Napisanie felietonu zajmowało mu n'e więcej niż dzień, duże studia dla
„Wiadomości Literackich”

tydzień albo nieco dłużej. Pisał łatwo, w przyjemnym podnieceniu, tylko się żalił, że pomysł
nie dojrzał, że jeszcze jest „zielony” i musi go wyduszać z trudem.

Recenzje teatralne pisywał początkowo zaraz po przedstawieniu, v nocy. Potem, w miarę
rosnącego ich powodzenia, pozwolono mu

'edakcji na ulgę: po przedstawieniu szedł sobie spokojnie r 1--1—^ 0 dobrej restauracji,
przeważnie do Simona i Steckiego, pnn towarzystwie i tam spotykaliśmy kolegów z „Wi;
oraz tego czy innego aktora. Rozmowa z reguły była interesująca Boy nie wypowiadał swego
zdania o sztuce, chcąc, aby sąd w n C dojrzał. Dopiero nazajutrz rano brał się do pisania
recenzji, a wieczore nieodmiennie biegł do redakcji, aby samemu zrobić korektę! Bardzo o t
dbał. Był niezmiernie czuły na każdy błąd i miał (jak z jego njsm wiadomo) własny pogląd na
stawianie przecinków, kierując się n; względami gramatycznymi, tylko logicznymi, i pilnie
tych swoich zasad przestrzegał. Zresztą lubił nastrój redakcji wieczorem, rozmowy o różnych
nowinkach z dziennikarzami, z którymi nie podtrzymywał zresztą bliższych stosunków, lubił
zapach farby drukarskiej i atmosferę nocnej pracy. Z biegiem czasu jednak nocne pisanie
recenzji poczęło go męczyć, a że coraz więcej autorów polskich pojawiało się na scenach,
trzeba było bardzo uważnie przemyśleć każde słowo, aby nie urazić, nie dotknąć, a jednak
być sprawiedliwym. Boy zresztą, z zasady, stosował taryfy ulgową dla polskich pisarzy —
uważał, że trzeba koniecznie popierać rodzimą twórczość.

Każde słowo pochwały Boya było cenione na wagę złota, ale i tak wszystkim nie dogodził i
niejeden mu nie darował jakiejś nieco mocniejszej krytyki. A panoszyło się na
warszawskich scenach wiele polskiej szmiry, więc jednak nie można było wszystkiego
chwalić. Czasem Boy wykręcał się dowcipem, czasem przemilczeniem jakiegoś aspektu
sztuki, ale na ogół starał się wygrzebać z niej wszystko, co dobre. Ta jubilerska robota była
bardzo męcząca. W dodatku, poza polską szmirą, tłoczyła się u nas szmira zagraniczna. Co z

tym robić? Nie było rady, ludzie chcieli się rozerwać, teatr musiał istnieć, aktorzy musieli z czegoś żyć. więc Boy znalazł dość trudne, ale charakterystyczne dla siebie wyjście. W każdym, najpodlejszym nawet sztuczyle próbował znaleźć jakiś problem, najczęściej natury obyczajowej, ale często estetycznej czy czysto teatralnej i wtedy poświęcał artykuł prawie wyłącznie tej kwestii. W rezultacie czyta się do dziś te recenzje sztuk dawno już umarłych jak powieść czy też jak zbiór fascynujących nowe" Poza mądrością, tyle w nich dowcipu, uroku, wdzięku. I czasem, min10 wszystko, morderczo surowego sądu. A jednocześnie, jaka ska'a zrozumienia: poprze?, sztuki klasyczne do współczesnych, a na*e nowatorskich, jak wówczas sztuki Witkacego. Nic mu nie było obce afl' wrogie w literaturze, poza lichotą i brutalną propagandą, z prawej CZJ lewej strony.

Recenzje teatralne to było jarzmo Boga, które dźwigał, bo trzeba by* 214

3ś żyć. Płacono mu znakomicie, 5000 złotych miesięcznie w „Ku-rze porannym" to była zawrotna jak na owe czasy suma. Teatru Ljściowie nie lubił i nigdy z dobrej woli na żadne przedstawienie nie szedł- Od aktorów też się wolał trzymać z daleka. Jeżeli z autorami i ;Wało trudno, to z aktorami już zupełnie niemożliwie. Boy mógł

*jnym słowem zniszczyć aktora albo go „postawić". Miał więc do 'Wyboru — albo być otoczony tłumem dworaków i pochlebców, albo mnożyć wrogów. Przy tym nie znosił kabotyństwa. Toteż podtrzymywał .tosunki z bardzo nielicznymi, z takimi, którzy naprawdę byli bez skazy jako artyści i z pewnością zasługiwali jedynie na pochwały. Należał do nich Jaracz, zjawisko zupełnie wyjątkowe, artysta o skali olbrzymiej, do którego nie potrafię przyrównać żadnego z żyjących aktorów, czy to krajowych, czy to zagranicznych.

W antraktach rozmawialiśmy sobie przeważnie w grupie recenzentów (bo i ja do nich należałam, pisywałam do „Wiadomości" w zastępstwie Słonimskiego, do „Skamandra", potem do „Robotnika"). * Zapropnowała mi w pewnym momencie pisanie recenzji „Gazeta Polska", i kuszącą pensją 1500 zł miesięcznie. Ale zdobyłam się na gest i odmówiłam, bo działo się to po Brześciu, a „Gazeta Polska" była „urzędówką" (posadę tę wziął Wierzyński, a następnie Gojawiczyńska).

To tylko nawiasem, aby czytelnik zdał sobie sprawę, że nie byłam tylko paniusią przylepioną do boku Boya. Na premiery Boy zwykł chodzić z żoną, ale potem zazwyczaj odprowadzał ją do domu i zjawiał si? nieco później w restauracji, spragniony dobrej kolacji i rozmowy. Do Simona miał zaufanie i jadał tam normalnie. W innych lokalach natomiast miał dziwny uraz: bał się, że kelner niosąc potrawę napluje 'nudo talerza. „Ja bym w każdym razie tak zrobił", tłumaczył ze swoim Wwisowskim uśmiechem. Toteż poprzestawał na bułce z szynką.

Odnaczył się też kiedyś, ku wielkiej radości Tuwima, na dancingu

* -,Oazie" (na dancingi zresztą chodził niezmiernie rzadko). I tam zamówił to samo, ku zdumieniu kelnera, i potem jedząc zawołał nagle zachwyconym głosem: „Zupełnie jak w szkole: buła z szynką". To „jak

* szkole" miało długo bawić znajomych poetów. Boy zazwyczaj patrzył Wielkim zdumieniem, kiedy zdarzyło mu się powiedzieć coś zabawnego ub nieoczekiwanego. Cóż miał poradzić na to, że dancing skojarzył mu si? ^ szkołą.

^ antraktach pani Fusia szła na papierosa. Boy za czasów naszej ?llaJomości nie palił, nie pił, nie grał w karty. To wszystko było poza

215

nim. W teatrze siedział zazwyczaj z zamkniętymi oczami i wiele 0 • uważało, że śpi. Nic podobnego. Boy tylko lepiej się skupiał słucha' a czasami w ten sposób ukrywał nudę. Jednakże, kiedy sztuka czy też aktora bardzo go zainteresowała, otwierał oczy. I był to sygnał H/ grających, że sprawy idą dobrze, że recenzja będzie pochlebna i że wart się wysilić. Lubiał się bawić — kiedy sztuka była zabawna, śmiał s' jawnie i z przyjemnością. Przepadał za dobrym kabaretem — „QUJ pr quo", „Bandą". Chłonał też zawsze łapczywie prawdziwą poezje' Słowackiego, Musseta, Fredrę. Nie lubił jednak, kiedy reżyser „n0cj stawiał się" na

miejsce autora i lekcewał tekst. Z tego powodu uznając talent Schillera, bywał z nim w konflikcie: mniej mu zależało na wyrazie plastycznym (w czym celował Schiller) niż na pełnym pietyzmie podaniu tekstu (jeżeli ten na to zasługiwał).

Ten brak wrażliwości na wzruszenia wzrokowe miewał zabawne konsekwencje. Boy nigdy nie chodził do kina. Były to czasy, kiedy kino uważano za poślednią rozrywkę, i trzeba przyznać Irzykowskiemu, że bardzo podniósł rangę kina, napisawszy Dziesiątą muzę. Robiłam wymówki Boyowi, że wyrzeka się nowego typu wzruszeń estetycznych nie chodząc do kina, i wreszcie udało mi się namówić go na obejrzenie filmu pt. Niepotrzebny człowiek, ze sławnym w owym czasie Janningsem. Rezultat był opłakany. Boy nie rozumiał skrótów filmowych i co chwila zadawał komiczne pytania: „Ale czyja to noga? — Dlaczego ni z tego, ni z owego koła pociągu?” itd. Ci z publiczności, którzy nas słuchali, musieli mieć wrażenie, że siedzi obok nich kompletny głupek. W końcu jednak Boy zrozumiał perypetie filmu, bardzo się przejął i wyszedł z kina zupełnie złamany. „Niepotrzebny człowiek to ja” — powiedział, utożsamiając się, nie wiadomo czemu, z postacią, z którą nie miał nic wspólnego. „I całe to kino za bardzo bezpośrednio, za mocno człowieka wciąga. Nie dzieli od niego rampa. Ja nie chcę być przemocą włączony w perypetie niepotrzebnego człowieka. Czuję się zgwałcony”. Miał uczucie, że siłą go włoką po jakichś mieszkaniach, schodach, ulicach i płaczą w obce mu sprawy. Szliśmy Nowym Światem, Boy z pochylona głową, milczący i przygnębiony. Ja zaś nie mogłam się powstrzymać od śmiechu wobec tak silnej reakcji na film. Rozbieżność między nami była zupełna. Więcej go też nie zaprowadziłam do kina. Ach, owszem, jeszcze raz na Maroko z Marleną. Chciałam, żeby zobaczył najbardziej wówczas fascynującą kobietę na świecie. Z ciekawością poszedł, Marleną mu się nie podobała, a perypetie filmu go męczyły. „

216

1

[ja trzymać oczy otwarte, jeżeli się je zamknie na chwilę, gubi się”, jęk. Nie wolno się ani na chwilę zamyślić”. Na tym się skończył nasz ^speryment filmowy.

” Właśnie to niewidzenie świata zewnętrznego na co dzień — było jego chał charakterystyczną. Dziwna rzecz tylko, że ten mężczyzna, żyjący •aczej z opuszczonymi powiekami, dobierał sobie zazwyczaj jako bohaterki swoich romansów kobiety przystojne, a często piękne. I choć iytał czasem z niby niewinną miną: „Właściwie po czym odróżnia się iedn4 kobietę od drugiej?”, odróżniał je wybornie. Nie lubił kobiet zbyt uysokich. Kiedy go raz zapytano, czy mu się pewna bardzo wybujała piękność podoba, odparł z westchnieniem: „Owszem, ale na nią to by trzeba z linami, z czekanami, w kilku”.

Nie tylko rano, ale i popołudnie i wieczór, jeżeli nie było premiery, spędzał na czytaniu lub pisaniu. Koło południa „wyskakiwał” do „Ziemiańskiej”, żeby się trochę pośmiać i porozmawiać. I ja się tam znajdowałam. Muszę tu uczynić krótkie sprostowanie, dotyczące niewielkiego passusu uroczych Kolorowych ludzi Zdzisława Czermaris-kiego. Wedle jego relacji, zjawiłam się tam kiedyś w jednym pantoflu czerwonym, a drugim zielonym, co by świadczyć mogło o ekscentryczności. Ekscentryczna nigdy nie byłam, tylko bardzo roztargniona. W rzeczywistości jeden pantofel był brązowy, sportowy, na niskim obcasie, drugi czarny, wizytowy, na wysokim. Jakim cudem tego nie spostrzegłam (bo przecież musiałam kuleć), pozostało dla mnie na zawsze tajemnicą.

Po „Ziemiańskiej” Boy zahaczał o redakcję „Kuriera Porannego”, żeby przejrzeć pisma, potem wracał do domu na obiad, pił po obiedzie dużo kawy i zabierał się znów do pracy,

jeżeli nie było premiery lub jakiejś wizyty, choć państwo Żeleńscy nie lubili „bywać” i wieczorami wychodzili rzadko. Mimo tak szczelnie wypełnionego dnia, Boy miał zawsze czas na to, żeby się spotkać ze mną czy pójść na spacer. Gdy SI? dziwiłam kiedyś, że tak nieodmiennie jest do dyspozycji, powiedział: „Ale boja też nic nie robię. Straszny jestem leń”. Jak na człowieka, który

wydał drukiem kilka setek książek, to „lenistwo” było godne uwaai. Ale

R • L

•*

•*

ooy się nie zgrywał, miał naprawdę uczucie, że ma mnóstwo wolnego

C2asu i nie pracuje tyle, ile trzeba.

Telefonowaliśmy do siebie często, zawsze rano, ale czasem nawet 0 Pierwszej, drugiej w nocy. Każdą nową myślą, wrażeniem czy Wydarzeniem trzeba było natychmiast się podzielić.

Boy, jak pisałam,

217

zawsze przynosił mi każdy artykuł przed drukiem do przeczyta • Czasem ośmieliłam się zrobić jakąś uwagę. Był tak skromny •* przyjmował ją zawsze bez zastrzeżeń i natychmiast zmieniał' C w tekście. Jasna rzecz, że z tego przywileju korzystałam jak najrzadziej * Sprzeczaaliśmy się trochę czasem o galicyzmy. Boy mówił np. „spazm- • się”, co mnie, jako warszawiankę, raziło. On zaś bronił tej form uważając ją za częstotliwą od „spóźnić się”. Boy używał ze staropolskiej pochylonego. Mówił „kobita”, „syr” itd. Słowo „kiepski” uważał za nieprzyzwoite, „kiep” w jego pojęciu nie tyle oznacza] głupca jje określoną część męskiego ciała. * Teść mój, Ludwik Krzywicki, uważał natomiast za nieprzyzwoitą, tak ulubiona przez Orzeszkową, „kibić” To znów, jego zdaniem, miało oznaczać „sprawę” żeńską. Trudno bywało czasem dogadać się z tymi starszymi panami. W początku lat trzydziestych państwo Żeleńscy przeprowadzili się — już nie pamiętam, z jakiego powodu — z ulicy Smolnej 13 na Krakowskie Przedmieście 59, w pobliżu Dziekanki, tuż za skwerkiem. Mieszkanie było, w pewnym sensie, kopią poprzedniego, też pięć pokoi, może tylko obszerniejszych. Boy miał, tak jak na Smolnej, pokój najładniejszy, z widokiem na śliczne Krakowskie Przedmieście, a przy tym na zieloność skwerku.

Pokój urządzony tak jak poprzedni, tam Boy pracował i sypiał. Obok, też z widokiem na ulicę, niewielki gabinet czy salonik, jak kto woli. Była też, jak to zwykle w warszawskich kamienicach, mroczna jadalnia i dalej pokój pani Fusi, a potem syna. Stanisław Żeleński, utalentowany aktor, mieszkał zawsze z rodzicami.

Boy znał wszystkich, tj. całą intelektualną Warszawę, ale nie przyjaźnił się z nikim (poza żoną i mną — wyznaję to z dumą). Nie przyszłoby mu nawet do głowy, aby z kimkolwiek innym rozmawiać o swoich sprawach osobistych, przykrościach czy radościach, żeby się dzielić pomysłami czy wątpliwościami. Niezwykle uprzejmy i miły, trzymał jednak ludzi na pewien dystans od swoich spraw osobistych. Nasuwa mi się przy tym zabawna uwaga: nigdy nie „tykaliśmy się” w obecności innych, zawsze w obliczu świata byliśmy na „pan” i „pani”. Nie Hcz4c dawnych kolegów z nikim za czasów, kiedy go znałam, Boy nie przeszedł na „ty”. Taka epoka i takie obyczaje. Niejednemu, zwłaszcza kiedy o mnie chodziło, wydawało się to zabawne. Ale była w tym dystansie o'a ludzi jednocześnie pewna klasa. Każde z nas miało przecież osobne życ'e i poufałość była nie na miejscu.

218

p-, premierze, jak pisałam, szliśmy na kolację przeważnie do Simona kiego, jedliśmy ją w gronie przyjaciół więcej lub mniej związanych ' \wiadomosiami", ale wracaliśmy we dwoje, razem. Czasem, kiedy Z było teatru, zabierał mnie Boy do małej, ale najwyższej klasy tauracji Krzemińskiego, na tyłach Teatru Wielkiego. U Simona, choć

tawiony, jadło się, moim zdaniem, średnio, ale Krzemiński to już była fiiistronomia wysokiej jakości. Przy tym lokal niewielki i zaciszny, bardzo sprzyjał poufnej rozmowie.

Nie potrafię opisać czaru, uroku, mądrości, wiedzy, poezji, jaką czerpałam pełnymi garściami z tych rozmów. Dowcip Boya sączył się lub tryskał nieustannie, nie na pokaz, dla własnej potrzeby i zabawy. Część tych olśniewających rozmów ocalała od zapomnienia, bo znajdowałam je później w rękopisie i druku. Tak np. cały tom Znas:li ten kraj Boy opowiedział mi uprzednio, i to ze szczegółami, które nie ukazały się w książce. Przeglądając monumentalną, ale pełną pomyłek (nie do darowania) biobibliografię Boya pióra Barbary Winklowej *, znalazłam np. zdanie: „Można przypuszczać, iż Boya z Dagny Przyby-szewską łączyły «bliższe stosunki»”. Boże Święty, nie ma co przypuszczać! Boy mi opowiedział szczegółowo o swojej wielkiej miłości do Dagny. O tym, jak dla niej zgrywał się w karty, żeby uzyskać trochę pieniędzy i móc jej kupić za to pęk róż albo parasolkę, której nagle zażądała, albo „pożyczyć” na zapłacenie zapóźnionego rachunku. Boy kochał piękną Dagny nieprzytomnie, wraz z jej osobliwym mankamentem — nie miała wcale piersi. Dla niej przyjął od wojska austriackiego stypendium na studia lekarskie. Stypendium, z którego sam nie zużył ani grosza, ale które go później straszliwie związało, musiał je bowiem ..odslugiwać”. Ale dzięki genialnemu podstępowi wyzwolił się z niewoli wojskowej.

Postanowił udawać wariata w bardzo prosty sposób — powtarzał nieustannie: „Jestem bardzo zdolny”, co, mimo iż było najświę-sz<t prawdą, zostało uznane za dowód obłądu.

Niewdzięczna i równocześnie bardzo nieszczęśliwa Dagny (bo nade wszystko kochała męża) wyjechała z innym, który potem, z niewiadomych powodów, zastrzelił ją ' siebie.

Gdyby pani Winklowa zadzwoniła do mnie i zadała mi parę pytań, Urnknęłaby wielu błędów.

Ale dziwna rzecz, mimo iż mój stosunek

°°yem był publiczną tajemnicą, nikt z tych, którzy pisali o nim, nie

Porozumiał się ze mną. A pisali o nim głównie ludzie obcy mu i dalecy

Uchem, jak Stawar (długi czas uczuciowo zaangażowany w stosunku

219

We

do mnie), Zimami i inni. Czy to głupota, czy pruderia że ni zwracać się o informacje do kochanki? Wyobrażam sobie ?ak7 oblegana przez historyków literatury, krytyków i dzienni Francji, gdybym tam była przyjaciółką tej miary człowiek Nawet rodzony bratanek Boya, Władysław zeleński pisze o mescisłosci, w czym nie ma nic dziwnego, bo mimo rod/ przywiązania, jakie niewątpliwie istniało, trudno sobie wyobra g° s,e zwiierać przed rodziną. Taki np. nonsens, że pew,en pro fes^f5' czynny udział w akcji, świadomego macierzyństwa/Nawet gdyby I ^ toby me mógł być bowiem wysokim urzędnikiem państwowym > mu nie wypadało mieszać się w „skandaliczną” działalność B Udzielił mu natomiast kilku porad, a raczej informacji ^ w związku z kodeksem karnym obowiązującym na ziemiach spohtej. Był to sympatyczny, elegancki pan" kolega szkolny ale. żaden przyjaciel. Uśmiechnięty sybaryta, któremu obca byfa m2 o jakiegokolwiek walce. Robi? tę dygresję w toku moich wspomnień gdz,es mus, być nap.sane, jak było naprawdę

Przy okazji chcę zauważyć, że nikt z rzekomych biografów me wspomina o dużej roli, „ jaką odegrała Helena Bołoz-Antoniew^owI w akcji, świadomego macierzyństwa. Nazwisko jej (wymię Boya) me znalazło s,ę w indeksie osób w grubym tomiszczu która zebrałszy sumiennie dotyczącą go bibliografie nie jednak uważnie dzieł pisarza, co się co krok potwierdza Nie

muTMTM T" °S°ba " ^ " ^ " ^ 1Stni6Je' ° C° "Podąła się w druku miiia pan, Kozarynowa.

Doszedłszy do przełomowego punktu mego życia (choć takich przełomów miałam zaznać jeszcze więcej), nie zamierzam trzymać s,e kolejność, chronologicznej. Będę mówiła o tym okresie dziesięciu z góra lat (do wybuchu wojny) tak, jak mi się nasuwają wspomnienia To było

mee?rarzrjszycjlat meg°życia- °ne uf°rm °^—'^-

me jako pisarkę, jako indywidualność. Dziesięć lat które teraz wspominam rzewnie, tak, jak niektórzy wspominają dzieciństwo, choć był to okres niełatwy, okres miłości, walki, pracy i światowego życia.

Ina!™ łoZaS'e' rTh? ?e WZględu "a m°ją- C0raz to PowLchnią znaną, zażyłość z Boyem, trochę z powodu mojego pisania trochę dlatego, że byłam ładna i dobrze ubrana, stałam się tzw. osobistością warszawską, za którą ludzie oglądali się na ulicy. W dodatku zostałam na dobre recenzentem teatralnym i bywałam na wszystkich premierach.

220

traktach stałam zazwyczaj w towarzystwie Boya, Słonimskiego, - Hzewskiego i innych, mniej dla mnie ważnych, toteż gapiono się na co — P° co ukrywać — sprawiało mi przyjemność. Któraż kobieta "• lubi czuć się ładna, elegancka, oglądana i adorowana? Był to wielki moim życiu skok w górę, socjalny, towarzyski i literacki. Czułam się nojona — byłam kochana przez człowieka, którego najbardziej polsce podziwiałam, i w ogóle miałam wszystko, co nie tylko kobieta, ale człowiek mieć może. Moje artykuły i książki interesowały, moje recenzje teatralne się podobały. Życie moje biegło wówczas kilkoma torami. Pierwszy, to było mieszkanie w Warszawie, starannie utrzymane, czyste (miałam służbę) i eleganckie, no i dziecko. Byłam (niech się uśmiecha ktoś, kto to będzie czytał) dobrą żoną, utożsamianie wierności z dobrocią dla współmałżonka jest pomyłką. Byłam dobrą żoną, bo dbałam o Jerzego, troszczyłam się o niego, bo miał miły dom, mój nieodmiennie dobry humor (byłam z natury pogodna) i przyjaźń. Mogę zresztą to samo powiedzieć o nim. Jak było z jego wiernością, nie pytałam, ale zawsze miał dla mnie uśmiech, otwartą kasę, serdeczność. „Bez ciebie byłoby nudno" — mówił — i wiedziałam, że stanowi niezawodną podporę w życiu. W najszlachetniejszy sposób znosił wszystkie, czasem potworne, napaści na mnie, obelgi, jakimi obrzucano mnie w prasie, a które inny mąż uznałby za „poniewieranie nazwiska". Musiał niejednokrotnie słyszeć jakieś złośliwe, kąśliwe albo wręcz obelżywe powiedzenia na mój temat — za bardzo byłam na widoku, zbyt wielu ludzi mi zazdrościło, zbyt ni skandal wywoływałam tym, co pisałam — ale mi nigdy o tym nie wspomniał słówkiem i nie wiem jak, ale potrafił ukrócić rozpętane ozory.

Byliśmy naprawdę dobrym, głęboko zaprzyjaźnionym małżeństwem. Nigdy się u nas nie podnosiło głosu, nigdy nie było kłótni, tak że Piotruś rósł w prawdziwie harmonijnej atmosferze. Był moją największą miłością. Nie znajduję słów, żeby pisać o tym dziecku. Kiedyś Wanda 'elakowska, moja przyjaciółka, powiedziała mi, abym napisała o nim książkę, aby nie dać mu odejść bez śladu. Nie mogłam. Musiałabym pisać w samych superlatywach, a to brzmiałoby sztucznie i nieprawdopodobnie. A jednak nie dałoby się zastosować innych określeń. Był P°kny, nad wiek rozwinięty, zdrowy, roześmiany, nigdy nie płakał — sarno słońce. Jerzy się dziwił: „Co to za dziecko, które nigdy nie płacze? ^le wiedziałem, że coś takiego istnieje". Ci, którzy go znali, byli w nim

221

i i!

/kochani, od zamiataczki peronu w Podkowie Leśnej, najdalszych wet znajomych, do dziadka, który roztajał zupełnie, widząc ucieleś- . ne wszystkie swoje marzenia o wnuku. Wobec niego nawet przestał hvć skapy- Kiedy Piotruś umarł, wszyscy prości ludzie, którzy mnie taczali, mówili zgodnym chórem: „Taki nie mógł żyć. On był nie dla 0 świata". Kochałam go tak strasznie, że, jak mówiłam wówczas, dałabym się dla niego poszatkować jak kapusta.

Tak więc dom i dziecko to był jeden nurt mego życia. I to nie jeden 40m, ale dwa domy. Kiedy tylko zaczęły płynąć pieniądze, zrealizowałam marzenie całego mego dotychczasowego życia. Kupiliśmy działkę w Podkowie Leśnej, którą rozparcelował jej właściciel, milioner Lilpop, teść Jarosława Iwaszkiewicza. On też zbudował kolejkę elektryczną, która prowadziła do serca Warszawy. Nie stać nas jeszcze było na kupno całego placu (3500 m²), więc kupiliśmy go do spółki z teściem, a potem to teść, to my dokupywaliśmy jeszcze po kawałku, aż się zebrał cały hektar lasu. Na początku nie mieliśmy pieniędzy na budowę domu. więc znajomy architekt za skromne pieniądze zaprojektował willę tak pomyślaną, że można było najpierw budować kolejno — jedną część, potem drugą, potem trzecią. Tak się jednak złożyło, że Jerzy za jakąś większą sprawę cywilną (był cywilistą i radcą prawnym paru instytucji) zarobił sporo grosza i można było cały dom postawić od razu.

Zależało mi bardzo na tym domu na wsi (bo Podkowa była podówczas jednym, nie zaludnionym lasem), więc wzięłam się sama do budowania, stałam się swoim własnym przedsiębiorcą. Kupowałam wapno, cegły, belki, farby, klamki i wszystko, co było potrzebne. Najmowałam ludzi i przyjeżdżałam codziennie, doglądając robót. W rezultacie postawiłam dom niemal za połowę ceny w stosunku do planowanego kosztorysu. Projekt, jak na owe czasy, był niezwykle nowoczesny i budził wielką sensację w okolicy. Przede wszystkim płaski dach — o który niegdyś tak walczyli formiści i Szczuka, a który wówczas *ydawał się nie do pomyślenia w naszym klimacie. Tymczasem okazało S1?. że jest trwały, praktyczny, i znacznie tańszy od pochyłego. Poza tym

Ornek ten stał niejako odwrócony tyłem do ulicy, skąd widać było tylko

Pą ścianę zarośniętą różami, wąskie okno kuchenne, drzwi wejściowe, J*ski, długi tarasik i wystającą nad nim pośrodku górną ścianę — : z bardzo widocznych, zachodzących na siebie desek. Nieliczni czas mieszkańcy Podkowy obrazili się zgodnie za to właśnie, że 'r'ciłam się tyłem do ulicy, czyli do nich. A że rekrutowali się przeważnie z^ środowiska endeck -iego, więc niechęć była tym Absurdalne, #le prawdziwe. Właściwy f^ront domu wychodził* na ogród, który stwarzał głębi. I znów z tamtej strony byłcP c^s, co raziło ówczesne gusta* living miał caJl Jedną ścianę oszkl oną. Wchodziło się więc przez w^o tarasik do niewielkiego i dość nis^ego przedpokoju, a stamtąd d^ prowadziły d& 'ivingu. Od razu ot'wierała się ogromna perspektyw ^ wielki pokój i na ogród, wchodz^_cy merna' do mieszkania.

, — ana. ekt

niezawodny, ochy! i achy! — nieuniknione. Dziś może wydać ? niesłychanie zabawne, że taki czy i ""Y styl domu mógł budzić zachw"? u jednych, a zgorszenie, graniczące z oburzeniem, u innych. W dodatku^ living był o rrietr wyższy niż sypialne Pokoje, miał 4 m wysokości co robiło tym wieszce wrażenie. Prze*11^ pan Toeplitz, właściciel sąsied^ niego majątku Otrębusy, ale radyk^ -socjał", jeden z ojców nowoczesnego (jak na c»we czasy) robotnicze^0 osiedla na Żoliborzu, sprowadzał mi czasem po piętnaście osób w nie<^zle1?, aby obejrzały dom. Ale wśród okolicznej duJszczyzny nie przysporzyło tnj to popularności.

Jak łatwo ś?obie znaleźć powód do zgorszenia, jeżeli ktoś chce się gorszyć, nieci świadczy choćby ^ie^czekiwany rozgłos, jaki sobie zdobyła moja biała perska kotka- Wobica. Opisałam najniewinniej w świecie, ale dość dokładnie, jej romans z kocurem Grzesiem, bawiąc się stylem, ale jednocześnie poka^uJ4c, że komplikowanie sytuacji erotycznych jest właściwe nie tylko ludziom. Grydzewski wydrukował to na pierwszej stronie „Wiadoin^ści". Ileż listów protestujących, z wyrazami płomiennego oburzeni^1 dostała redakcja! A mieszkańcy Podkowy zatrzymywali się przy moim Płocie i wytykali palcami śpiącą rozkosznie w słońcu kocicę, mówi^c: „Patrz, to ta, to ta!" Zmysł „moralności" w narodzie widocznie stępsiał, bo w 1961 roku ukazała si? ta opowiadka w moim tomie o zwi^rz?tach pt. Mieszane towawstM i nikomu nie przyszło na myśl protLst^wać czy gorszyć się.

Dom był więc parterowy, trójdzielny w przekroju. 1/3 stanowiły dwie jednakowe sypialnie, 1/3 living i przedpokoik, 1/3 mała sypialnia, łazienka, korytarzyk do kuchni, kuchnia z alkową, zejście do piwnicy i wejście na stryszek. Tak, że dom był funkcjonalny nie tylko z zewnątrz. Dostałam wielkiego szczęścia, o którym marzyłam od dzieciństwa: miałam własny ogród, sad, w którym rodziły się pyszne owoce, resztę zaś działki stanowił las. Mogłam sadzić, kopać, siać, zrywać i pleć do syta. W końcu tak się stało, że spędzałam w Podkowie pół roku z Piotrusiem,

224
oół w Warszawie. W Podkowie chodziłam boso koło domu. O n* głowie, umorusana ziemią czy owocami. Żyłam tam trochę

ii^ 11^" &
ngi Pani Karol m'emal po cni°Psku-j^ ° podkowie królowała Marynia (Plechcińska), która odegrała

, rolę w moim życiu. Zjawiła się u mnie w charakterze służącej, n'em, onałymi referencjami od słynnego podówczas chirurga, doktora I wensterna, u którego pracowała dwanaście czy więcej lat, aż do jego

• rei i jeszcze z rok czy dwa później. Z powściągliwych słów >m chętnych nie tyle wyznać, co „zdradzeń się" wywnioskowałam, że ' j^jjj doktora jedyną w ciągu całego życia miłością. Sądzę, że i doktor

był nieczuły na jej świeżość i niewątpliwy wdzięk, który zachowała do końca. Jednakże po jakichś dziesięciu latach zadał jej straszny cios

-. ożenił się. Nie można powiedzieć, żeby Marynia kochała doktorową, ale jednak „dobyła" u nich do śmierci ukochanego doktora, o którym mówiła zawsze z rozjaśnioną twarzą i niewątpliwą miłością. Potem przez jakiś czas, czy to przez bierność, czy też swoście pojętą lojalność, pracowała dalej, aż w końcu nie wytrzymała i odeszła.

Kiedy zgłosiła się do mnie, miała pod czterdziestkę, była starą panną j nie posiadała ani grosza oszczędności, wszystko oddawała rodzinie. Była szlachcianką z urodzenia, nie chłopką, co podkreślała, miała kartofelkowaty nos i śliczny uśmiech, mimo dużych zębów. Jej twarz niewątpliwie zjednywała serca. Zaangażowałam ją bez wahania. Osadziłam w Podkowie, co jej sprawiło wielką przyjemność. Lubiła zajmować się ogrodem, drobiem, przepadała za psami i kotami. Była mądra i doskonale ułożona, umiała się znaleźć każdej sytuacji. Dom został ukończony, kiedy Piotruś miał trzy, cztery lata, a ja na próżno szukałam dla niego wychowawczynie z obcym językiem (wiedziałam, że najlepiej się go nauczyć we wczesnym dzieciństwie). Przerzuciłam cały asortyment „bon" —jedna okropniejsza od drugiej — ze znajomością francuskiego czy niemieckiego. Piotruś był zdrowym, niesłuchanie łatwym dzieckiem, ale nie wolno go było bić. Kiedy któregoś dnia

*eszłam do pokoju, zobaczyłam jak nowo przyjęta „Niemka" tłucze go po twarzy. Wyleciała natychmiast, a ja znalazłam się w dość trudnym położeniu. Właśnie miałam jechać do Zakopanego. W pensjonacie były zamówione dwa pokoje. Wtedy dobre natchnienie kazało mizatelefono-wać do Podkowy po Marynię i ją to zabrałam w góry, w charakterze Wychowawczynie. Marynia, jak się okazało, była obdarzona niepo-sPolitym talentem pedagogicznym, pokochała dziecko namiętnie, ale go

15-Wvxn,,i,.. 225

nie rozpieszczała. Ta prosta chłopka (niech jej tam, że szlachciant schodziła z Piotrusiem do jadalni, zasiadała wraz ze mną przy osó ^ stoliku i zachowywała się jak dama. Wiedziała, kiedy ma zostać ze m dłużej, a kiedy wstać i odejść po posiłku, nie popełniła nigdy żadne ^ błędu, wyróżniała się rzadkim taktem.

Odtąd Marynia miała wychowywać moje dzieci. Mogłam je • powierzyć bez zmrzenia powiek, kochała, była kochana i w bardzJ rychłym czasie stała się po prostu członkiem rodziny. Przez zimowa część roku przebywała z nami w Warszawie, latem wyjeżdżała do

Podkowy, gdzie zajmowała się domem i ogrodem oraz dziećmi, kiedy tego potrzebowały. Wiedziałam, że kocha obu moich chłopców (bo potem urodził się Jędrus) nie mniej niż ja sama. Była prawdziwą „perłą” — jedną z najbliższych mi osób.

Na soboty i niedziele przyjeżdżał Jerzy, z którym nie nudziło mi się nigdy. Gadaliśmy godzinami. Przyjaźń nasza była niezachwiana. Jerzy obracał się w nieco innym niż ja towarzystwie, prawników i adwokatów. Dość rzadko bywaliśmy razem, on miał swoich znajomych, ja swoich, co nie znaczy, że boczyliśmy się nawzajem na ludzi bliskich jemu czy mnie. Niektórzy znajomi byli wspólni, ale na ogół każde z nas obracało się w innych kręgach i bywaliśmy w „świecie” raczej osobno. Mieliśmy tylko jednego wspólnego przyjaciela: Włodka Kamińskiego, który mieszkał i pracował w pobliskich Tworkach. Ale i z nim („który tak pięknie myśli” — jak mówił Jerzy) każde z nas wolało spędzać osobne godziny na rozmowie i zwierzeniach niż przebywać we trójkę. Jak z tego widać, nie przymuszaliśmy się z Jerzym do niczego. Byliśmy dobrym i zgranym małżeństwem, łączyło nas wzajemne zrozumienie i przyjaźń. W Podkowie Leśnej, od początku istnienia naszego domu, była jeszcze i Renia, siostrzenica Maryni, jedenastoletnia dziewczynka spod Mławy. Matka jej, siostra Maryni, Chlubicka, miała jakiegoś tajemniczego męża, który ją porzucił z dzieckiem i gdzieś zaginął. Pozostała w chałupie i uprawiała ziemię z pomocą sąsiadów (zwłaszcza jednego, jak się potem dowiedziałam). Marynia przywiozła Renie ze wsi, zaraz pierwszego lata naszego pobytu w Podkowie. Było tam podówczas pusto i Piotruś nie miał się z kim bawić. Renia, która już oczywiście chodziła do szkoły, przyjechała na razie na wakacje. Ale kiedy lato się skończyło, zaczęła płakać i mówić, że nie chce wracać do domu. Zostaw więc u nas (zawsze miałam w życiu jakieś dodatkowe dziecko, on' zapoczątkowała serię). Była dużo starsza od Piotrusia, ale bawiła się*

226

. sj

U

. Nigdy nie stała się gwiazdą intelektu, Piotruś za to był nad wiek, więc spotkali się niejako na połowie drogi. Została traktowaliśmy ją jak własne dziecko. Mieszkała w jednym pokoju Piotrusiem, ubrana, najedzona, obsypana zabawkami i książkami. Nie była bardzo ładna i miła, grzeczna i posłuszna. Nabrała w krótkim •g n;ezbędnego poloru, po wakacjach wróciła z nami do Warszawy,

je różniła się niczym od wszystkich znajomych dzieci. Z jednym tylko ujęło trudno: nie lubiła się kąpać i trzeba było bardzo jej pod tym względem pilnować, a co dziwniejsze, nie lubiła wkładać czystej bielizny. Ale poza tym wszystko układało się z nią łatwo i miło.

Moja była jeden tor mego życia. Na drugim znajdowała się moja praca literacka, która dawała mi niemały, jak na owe czasy, rozgłos, zwłaszcza że poruszałam „odważnie”, jak mówiono, sprawy obyczajowe. Skoro nikt, poza paroma recenzentami, nie oddał mi sprawiedliwości, muszę się sama pochwalić. Moja powieść pt. Pierwsza krew była chyba jedną z pierwszych w literaturze, nie tylko polskiej, poruszającą sprawy dojrzewania młodzieży. Pytano mnie potem często (i pytają do dziś, bo są tacy, którzy piszą o mnie w Polsce prace), jaki wpływ wywarł na mnie Freud oraz Jung czy Adler. Odpowiedź jest prosta — żadnego. Przykro jest może przyznawać się do ciemnoty, ale nie czytałam wówczas Freuda, który jeszcze w 1930 roku nie był modny, a nigdy potem nie przeczytałam nic Junga ani Adlera. Zapewne jednak, jak to bywa, problemy owe unosiły się w powietrzu.

A skoro się już chwalebę, to — pierwsza w Polsce (po Boyu, który w 1924 napisał tylko krótki felieton) pisałam obszernie o Prouście, pierwsza napisałam poważnie o twórczości Boya, „odkryłam” Lilkę Pawlikowską, którą dotąd uważano za poetkę błahą i salonową. Do mnie też przybiegł pewnego dnia nieznajomy młody chłopak, wręczył mi swoją pierwszą książkę i powiedział: „Tylko pani zdanie mnie obchodzi”. I uciekł. Był to Uniłowski, o którym „strzeliłam” duży artykuł, figurujący dzięki Grydzewskiemu na pierwszej stronie

„Wiadomości”. Dużego hałasu narobił też jeden z pierwszych moich artykułów o Przeroście stylu, tej niedobrej spuściźnie stylistycznej, jaką pozostawił P° sobie Żeromski. Wreszcie tom moich reportaży sądowych stał się S Wego rodzaju bestsellerem. * Słowem, pracowałam sporo i uznałam za Punkt honoru zarabianie pieniędzy na kiecki, rozrywki czy wyjazdy. Na e "łoje osobiste wydatki nie brałam grosza od Jerzego, a że zarabiałam kresami sporo — stałam się kobietą elegancką. Wszystko to razem:

227

młodość, uroda, rozgłos, towarzystwo wybitnych ludzi, a wszystkim obecność Boya — sprawiło, że miałam całe zastępy ZŁ wrogów i niewielu — ale za to jakich! — przyjaciół.

Moi m'f

.P^

"""" tych

„, „, „j, „, „, „^, „. - jjizjjaiui. MÓJ niezależn,

i sprzeczny z mieszczańskimi komunałami tryb życia drażnił niewym0 , "" nie.

Byłam na tzw. świeczniku; a prasa prawicowa (i lewicowa, niestety nie szczędziła mi (no, ale i Boyowi) osobliwej reklamy, obrzucają niemal codziennie najgorszymi wyzwiskami.

Brzydziły mnie te bzdury które wyczytywałam o sobie, a które w najmniejszej mierze nie odpowiadały prawdzie (chyba że wymyślano mi od Żydów — Żydówka byłam, choć z odrębną kulturą getta nie miałam nic wspólnego. Ale wówczas — i czy tylko wówczas — słowo Żyd było wyzwiskiem) Wzruszyłam w końcu na to ramionami i po prostu przestałam abonować „Argusa” i w ogóle czytać cokolwiek o sobie, co mi weszło w zwyczaj, już na zawsze. Namawiałam Boya, żeby zrobił to samo, ale jakoś nie potrafił. Okresami tak bardzo był zniechęcony, że odechciało mu się pisać. Ale jednocześnie napęd sił twórczych, wraz z powróconą młodością, był w nim tak silny, że pisał dużo, a mógłby pisać więcej.

„Tylko że mnie nie chcą” — mówił — „to moja największa wada, że za dużo piszę. Ach, gdybym był nieboszczykiem. Wtedy może uszanują”. Jakoż tak się stało.

Boy bez premedytacji, i niejako na pół świadomie, rzucił się w wir walki. Wyczarował swoje wspomnienia z dzieciństwa i młodości — burza! Napisał wstęp do Mickiewicza — nawałnica! Odpowiedział na niektóre zarzuty, a jednocześnie zasmakował w pisaniu o artystach polskich — tornado! A cóż dopiero mówić o czasie, kiedy jał s'? tematów obyczajowych — tu już nastąpiło po prostu trzęsienie ziem' w światku inteligencji polskiej. Boy z początku dziwił się efektowi, jaki wywołały jego nowe prac^ Dotąd — Słówka, przekłady, wstępy, beztraskie felietony (BreWW były witane radośnie, z ledwo, ledwo widocznym odcieniem pobłażliwi' ści, jak dla cudownego dziecka. Wszyscy go czytali, umieli na pam1?^ i jednocześnie... nie zaliczali do najwybitniejszych pisarzy polskich, w kapryśnym dzieckiem literatury, pieszczochem, który sobie pozwa'3 czasem zszargać jakąś świętość czy napisać nieprzyzwoite słowo, a'e

228

1

vzej nastąpił komuś na odcisk, nigdy nie przetrącił nogi. Teraz stało

• aczej. Pisał szczerze to, co wiedział o ludziach i świecie, o danej

^ e i tego właśnie nie umiano mu przebaczyć. Pisał — zdawało mu się

^ostrożnie, unikając zbyt osobistych napaści, ale...

^Pierwszy oberwał Przybyszewski, choć i jego Boy starał się w miarę

ożności oszczędzać. W Polsce (i gdzie indziej) jest wiele takich

rtvstycznych tabu. Przybyszewski to był „geniusz”, albo prawie (łatwo -> u nas szafuje

słowem „geniusz”). To była „poważna” literatura,

nagle Boy sprowadził go do właściwych rozmiarów (zresztą z nadmiarem komplementów, bo co z tego pisania naprawdę zostało?). A że jednocześnie ukazał bardzo barwną i niebanalną postać — to się nie liczyło. Pamiętam z czasów mojej wczesnej młodości kult Aleksandra

Świętochowskiego — to był intelektualista, pisarz „głęboki”! Obok niego Orzeszkowa wydawała się współczesnym całkiem malutką. Ale gdyby dziś sprawdzić te dwie pozycje pisarskie, to okazałyby się, kto był pisarzem całą gębą i kto do dziś pozostał aktualny (choćby Meir E:ofowicz). Podaję to jako przykład, gdyż Boy ani Orzeszkowej, ani Świętochowskiego nie ruszał. Za to odezwał się chór zwolenników Przybyszewskiego, z których kilku wcale nie zaprzeczało teom Boya, a nawet przeciwnie, wspomagało je, co im nie przeszkadzało obsypywać Boya obelgami.

Wrogi chór wzmógł się, kiedy Boy tknął Mickiewicza. Tu już wzburzenie mogło być bardziej zrozumiałe. Nasza historia oraz historia literatury były szczególnie zakłamane, co się tłumaczy w dużej mierze nienormalnymi warunkami politycznymi, w jakich żył kraj.

Zadaniem Pisarzy i profesorów było w większej mierze „krzepienie ducha” niż dociekanie prawdy. Boy z dziecięcą gorliwością, z młodzieńczą pasją Wzłął się do szukania rzeczy nieznanych czy rozmyślnie przemilczanych, s>}dząc, że takiemu gigantowi jak Mickiewicz prawda, choć odmienna °d przyjętej, w niczym zaszkodzić nie mogła. Najwyżej tylko tchnęła 2ycie w martwy posąg z brązu, w jakim zmumifikowano tego niezwyk-ego człowieka, jedynego w swoim rodzaju poetę. Boy pisał o nim m°zliwie wszystko. Uważał, że niczego nie należy pomijać, przez Pletyzm właśnie dla pierwszej narodowej wielkości. A tymczasem Darzono go o brukanie, o kalanie, o zbrodnię niemal. Wychowany na 1 eraturze i krytyce francuskiej, która uważa za obowiązek pisać

°zliwie wiele o historycznych postaciach i o artystach, publikować leznane dotąd szczegóły, Boy zabrał się do podobnej pracy w Polsce,
229

to najgorzej widziane. Pisząc o istnieniu Ksawery Deybel - u poety, o morderczym wpływie Towiańskiego czy o ewentualno-, • otrucia Mickiewicza ze względów politycznych, o zniszczeniu

S vnvch dokumentów przez rodzinę, robił odkrycia i rad był, że je robi, \yii/" y azał, że się to i wieszczowi, i czytelnikowi należy. Toteż pamiętam, że

U-sał wówczas z radością i podnieceniem odkrywcy. Krytyka przyjęła te akornite artykuły z wściekłością. Jak dalece rozjątrzył „ciało profesor-kie” niech świadczą słowa sympatycznego skądinąd profesora Wac-iawa Borowego, który mi wręcz powiedział: „Miałem zamiar pisać całą książkę o twórczości Boya, ale po tym, co on wyrabia — nie!” Odsądzałi „o od czci i wiary. Tylko garstka publiczności chłonęła jego słowa Umiała właściwie je ocenić. *

Boy dziwił się z początku. Nie rozumiał, co tak dalece mogło gorszyć i razić ludzi. Najpierw wyjaśniał i tłumaczył. Potem począł się odgryzać, czasem bardzo boleśnie. Wreszcie, widząc oczywistą złą wolę, machnął ręką i przestał odpowiadać. Zauważył, że jego przeciwnicy marzą o tym, by odpowiedział. To im dawało bodziec do następnego i jeszcze następnego artykułu, co z jednej strony przynosiło zarobek, z drugiej dawało rozgłos, który był bodaj cieniem rozgłosu Boya. Bardziej się opłacało napadać nań niż chwalić.

Kto się czuł szczególnie dotknięty? Nade wszystko prasa prawicowa. potężna w dawnej Polsce. Boy miał do dyspozycji dwa pisma: „Wiadomości Literackie” i „Kurier Poranny”. Pracował w obu tych pismach niejako równolegle, z tym że w „Wiadomościach” ukazywały się wielkie „kolubryny”, jak to sam nazywał, w „Kurierze” zaś krótkie felietony i recenzje teatralne. No, i na tych dwóch pismach kończył się teren jego działalności. Tymczasem wszelkich odcieni prawica miała liczne wydawnictwa, a polemiki z Boyem, zohydzanym, oczernianym, a'e zawsze jednakowo atrakcyjnym, powiększały liczbę czytelników. Co §°rsza, do tłumy tępicielei przyłączyła się i lewica. Artykuły w „Robot-n'ku (J.N. Millera i Karola Irzykowskiego) nie ustępowały w swej ZaJadłości tzw. dwugroszówce. Pisma o zabarwieniu

komunistycznym 22 nie żałowały napaści. Był to osobliwie i spontanicznie zestrojony c 0r. Poczuli się też obrażeni poloniści — za to, że ten intruz depcze ich wki. Brązownicy, Ludzie żywi. Obrachunki fredrowskie zaniepokoiły h J^nego profesora, zwłaszcza gdy zuchwał Boy wytykał mu nieuc-Ibo rozmyślne fałszowanie prawdy. Nie do mnie należy wchodzić spory czy wydawać cenzurki. Być może, że w tym czy owym e

231

szczególnie Boy się pomylił. Mogły to być jedynie drobiazgi — przy»nf wywał się bowiem gruntownie przed napisaniem każdego artykułu w rzeczywistości przeorywał coraz nowe połączenie kultury i literatury polskiej, leżące dotychczas odłogiem lub umyślnie kryte przed okiem profanów. I przeciwko tej akcji, zakrojonej na wielką skalę, wszystk co było w Polsce wsteczne czy ciemne, protestowało z rozmachem godnym lepszej sprawy.

Poznałam wtedy Boya z innej strony. Po okresie euforii, radosnego podniecenia, wesołości, następowały okresy melancholii, przygnębienia, niewiary w siebie. Spośród znajomych mi pisarzy ten był chyba najskromniejszy, najmniej w sobie zadufany. Nie dawał się zbić z tropu kiedy czuł albo wiedział, że ma rację. I wtedy tej racji bronił, ale jednocześnie niesłuchanie łatwo było mu wmówić, że nie jest wiele wart jako pisarz. Nie szukał nigdy godności ani hołdów, nie godził się na żadne prezesury, mianowanie go do Akademii Literatury przyjął pogardliwym skrzywieniem, ale jednak pragnął sprawiedliwości dla swego dzieła. Irytowało go np., że nikt nie brał na serio (w sensie literackim) jego felietonów w „Kurierze Porannym”, które stanowiły rodzaj silva rerum pisarza. Kapryśne i urozmaicone w treści, niedościgłe w formie, stanowiły niejako diariusz duchowy, obyczajowy, filozoficzny i poetycki, pisany na marginesie bieżących zdarzeń lub nastrojów. Ponieważ nikt inny nie próbował ich oceniać, zdobyłam się na artykuł na ten temat, a Boy sam dał mu tytuł, bardzo charakterystyczny: Pisań nieznaną. Jeżeli wspominał o tym, to właśnie ze względu na tytuł. Mógł się wydawać paradoksalny, bo było to w czasie największego rozgłosu Boya, ale zawierała się w nim prawda, dobrze znana pisarzowi: ów polski Montaigne nie był dostatecznie głęboko rozumiany.

Irytując się na to osobliwe niezrozumienie ze strony krytyki, obsypywany obelgami, doznał więc Boy wielkiej radości, gdy spotkał, jak mu się zdawało, bratnią duszę. Oto przyjechał do Warszawy literat poznański Jan Emil Skiwski i napisał o Boyu tak, jak należało o m01 pisać, z uznaniem, z uwagą, inteligentnie i analitycznie. Przy czym ~ mogło się zdawać — zupełnie obiektywnie. Skiwski był człowiekiem bardzo inteligentnym, toteż rozmowa z nim dawała Boyowi wie'2 zadowolenia. Osiedlił się wkrótce w Warszawie i bywał stale w domu państwa Żeleńskich. Aliści nagle i niespodziewanie przeszedł do przL' ciwnego obozu i przyłączył się do chóru tępicielei. * Ta nielojalne5 mocno Boya zabolala. Miał za złe Grydzewskiemu, że ten, powodowany

232

, gkiektyzmu (która, choć często nieprzyjemna dla piszących, Z' • wiała ożywieniu pisma), część tych napastliwych artykułów umiesz- .\ Potem jednak jakoś doszło do zgody, zwłaszcza że Boy rzucił się C 'stną furią twórczą na nowy temat, a raczej na nowe tematy — twczaiowe. Zaczai od kilku żartobliwych felietonów w „Kurierze”, ale dv sprawa okazywała się coraz poważniejsza i głębsza, jedynie " Wiadomościach" mógł ją szerzej potraktować.

Skiwski — przedzierzgnawszy się z lekko zbuntowanego w skrajnie prawicowego obrońcę „moralności”, ugodził Boya w końcu bardzo celnie, w jakiś sposób nieodwracalnie. Bywają określenia lepkie, od których niepodobna się odczepić. Skiwski wynalazł termin „życie ułatwione” i rzucił je w twarz Boyowi, prekursorowi w dziedzinie zagadnień seksualnych, a zwłaszcza kontroli urodzeń. Nic nie zrozumiał, albo raczej nie chciał zrozumieć. Przedstawił

Boya jako amoralistę, namawiającego do rozpusty i ułatwiającego tę rozpustę przy pomocy środków antykoncepcyjnych. W rezultacie lekarz (nie zapominajmy, że Boy był lekarzem) pochylający się nad nieszczęściem ludzkim, płynącym z bezmyślności natury i błędów fizjologicznych, tytan pracy, walczący z ciemną gawiedzią, stał się pod piórem Skiwskiego pionierem oblesnej łatwizny. Zaś on — Skiwski — zdradziwszy przyjaciela i ułatwiając sobie w różny sposób życie, stał się głosicielem (prefaszystowskiego) życia „utrudnionego”.

Perfidia Skiwskiego polegała jeszcze na tym, że zdołał nadać słowu „ułatwione” pejoratywne znaczenie. Zdawałoby się, że człowiek, który tak jak Boy usiłuje pomóc ludziom w i tak już, z natury rzeczy, trudnym istnieniu, zasługuje na pochwały. Wszyscy reformatorzy społeczni niczego innego nie mieli na celu niż ułatwienie ludziom życia i uniknięcie niepotrzebnych nieszczęść. Ale zbliżał się okres faszyzmu i słowo „ułatwione” brzmiało groźnie.

Namawiałam Boya, aby się odgryzł, jak to potrafił, i przeciął Nieporozumienie u korzeni. Ale on przeżywał wówczas okres zniechęcenia i niewiary w skuteczność jakiegokolwiek polemiki. Zbyt wielu doznało rozczarowań, nie chciało mu się podejmować walki. „Tylko r°zdmucham całą sprawę — mówił. — Skiwski niczego bardziej nie Pragnie niż polemiki, po to, aby mi jeszcze dosypać obelg. A tak pójdzie w zapomnienie”. Nie poszło: zbyt wiele sił ówczesnego ciemnogrodu Przyszło Skiwskiemu z pomocą.

w owym czasie Boy był tak przygnębiony, że kiedy dzwoniłam do n'ego rano, pytając o nowiny, odpowiadał: „Nic nowego. Pod pręgiem, jak zwykle”. Żart żartem, ale naprawdę trudno mu było przełam, zniechęcenie. Jeżeli zaś chodzi o Skiwskiego, to dowiedziałam ° w czasie okupacji z ulotki AK, że kolaboruje z Niemr-j.-^; ?

... r» -1'• •

i 2Vc-

.....j. - „. ^, w ^viv, ze Koiaooruje z Niemcami, co w Polsce rzadkością. Zaiste interesujący epilog dla demaskatora , ułatwionego”.

Nie jestem historykiem literatury ani nie opisuję fragmentu dziejów, polskiej kultury. Zbieram po prostu garść wspomnień, aby je „ocalić od zapomnienia”. Nie zamierzam też analizować działalności Boya w za kresie obyczajowym, zwłaszcza że sama byłam w nią mocno zaangażowana. Mogę się nawet przyznać, że pomysł pisania na temat zapobiegania ciąży wyszedł właśnie ode mnie. W kamienicy, gdzie mieszkałam, trzy kobiety zmarły w krótkim czasie z powodu pokątnych skroberek. Kiedy powiedziałam Boyowi, że dobrze by było (zaczął już wtedy pisywać na tematy obyczajowe), aby powiedział, iż istnieją bardziej humanitarne sposoby unikania ciąży, odparł z początku, abym ja sama o tym pisała, skoro sprawa jest kobieca. Ale doszliśmy wkrótce do wniosku, że jego głos, głos znakomitego pisarza i lekarza jednocześnie, będzie miał większą wagę. Ja mogłam tu spełniać raczej funkcje literacko-pomocnicze. No i Boy wdał się w tę sprawę. * O trzydzieści lat za wcześniej. Wówczas odzywały się dopiero w krajach anglosaskich głosy na ten temat, ale nikt jeszcze nie prowadził akcji na większą skalę, żaden znakomity pisarz nie oddał swego pióra na jej usługi. Kiedy teraz czytam w zachodnich pismach lawinę artykułów dotyczących tych spraw, myślę z żalem: „Myśmy przecież byli pierwsi”. Dziś, kiedy najwięksi uczeni chylą się nad problemem zapobiegania ciąży, myśl? z bólem o Boyu, który za swoje światło i humanitarne słowa, za swoje prekursorskie myśli zbierał w kraju tylko obelgi i pogródki, a poza krajem nikt o nim nie wiedział i nie dowie się w końcu nigdy. Kiedy widz? olbrzymią eksploatację sprawy seksu, docenienie i przecenienie jej ważności wżyciu ludzkim, artykuły, książki, filmy, żal mi się robi, że świat nie zna i nie pozna znakomitych, dowcipnych i mądrych pism Boya w tym zakresie i nie zda sobie sprawy, że niejeden wywał drzwi, które Boy dawno otworzył. Jest to tym boleśniesz, że to, co było w owym czasie rewelacją, owo obalenie różnych tabu, staje się w końcu banałem. C°z robić, taki jest los polskiej literatury i jej nie znanych światu odkryć.

Pisząc na te tematy, natknął się Boy, oczywiście, na zupełne niezrozumienie wagi problemów obyczajowych ze strony Kościoła, na jego uporczywą zachowawczość, która stawała się źródłem wielu

234^

. owych katastrof. Bardzo zawsze ostrożny, jeżeli chodziło o czyjekol-Z'V k uczucia religijne, nie atakując nigdy podstaw wiary, demaskował rlnak „błędy i wypaczenia” ówczesnego Kościoła, który był, niestety, J -erzadko filarem polskiego ciemnogrodu. No i za to też odbierał eustające cięgi. Tu już nie można powiedzieć, aby Boy się dziwił, jak wtedy, kiedy rozpętał literacką burzę. Szedł świadomie do walki sprawy, które wydawały mu się oczywiste i słuszne. Każdy dzień przynosił mu pakiet wycinków z prasy i porcję obelg. Ale prócz obelg było coś gorszego. Ludzi nie tylko gorszyło, ale i śmieszyło poruszanie takich zagadnień jak homoseksualizm, jak skrobanki (walka o to, żeby w razie konieczności były robione przez lekarzy, a nie przez ciemne babki), sam fakt ograniczania liczby urodzeń. Śmiali się i drwili nie tylko obcy, ale i swoi (mniejsza w tej chwili o nazwiska). Karykaturzyści, w sposób niesłychanie złośliwy, zebrali istne żniwo. Cenię bardzo dobrą karykaturę, ale kiedy dziś przeglądam reprodukcje w zbiorowym wydaniu dzieł Boya, ogarnia mnie naprawdę niesmak. Wszędzie Boy przedstawiony jest jako mała, popijający z butelki, uśmiechający się obleśnie do prostytutek itd. Żaden z rysowników nie ośmieszał przeciwników człowieka, który walczył, wbrew pozorom, o szczęście dziecka urodzonego i chcianego, o nowe spojrzenie na sprawy płci. Pozwolić się ośmieszyć i trwać dalej przy swoim to dowód niemałej cywilnej odwagi. Cywilną odwagę okazał też Grydzewski, wydając wraz z „Wiadomościami” dodatek pt. „Życie Świadome”. Już nie tylko z prawa, ale i z lewa, jak wspomniałam, rzucili się różni lepsi i gorsi literaci, w obronie tradycyjnych tabu. Zwalczany ze wszystkich stron, łzony, ośmieszony, Boy czuł się naprawdę jak pod pręgierzem. *

Ale oto przybył mu sojusznik niespodziewany. Swoje złote, kryształowe pióro ofiarowała mu największa poetka polska, Maria Paw-hkowska, moja droga przyjaciółka, Lilka.

Kiedyś na schodach prowadzących do czyjegoś mieszkania spotkałam Marię Morską. Sfrunęła do mnie niejako z góry i stanęła niemal w Pół stopnia, patrząc mi w oczy swoim morskim spojrzeniem, jakby właśnie tu spodziewała się mnie zastać, i zapytała: „Czytałaś ostatni w'ersz Lilki?”

Morska miała rzadki u kobiet zwyczaj niemówienia o byle czym. Albo 1Tl'ała coś istotnego do powiedzenia, i tak było najczęściej, albo umiała Piknie milczeć. I teraz bez zbędnych słów zaczęła od razu, półgłosem bytować:

235

i -' -• Rudą nocą, pod mostem, w Sekwanie płynie kotka, przemokła i sina, Pod następnym mostem niespodzianie przyłączyła się do niej dziewczyna...

Chwyciła nas za gardło przejmująca piękność tego wiersza i je,, przeraźliwa treść. Stojąc na schodach, milczaliśmy długo. Wreszcie Morska powiedziała: „To największa polska poetka i jeden z najwiek szych poetów, chociaż rodzaj męski zupełnie do niej nie pasuje. To esencja kobiecości. Chcesz ją poznać? Przeprowadzę ci Lilkę, będzie niedługo w Warszawie”.

Maria z Kossaków Pawlikowska, zwana przez bliskich Lilką, była podówczas stosunkowo mało znana i nie miała jeszcze tej wysokiej rangi pisarskiej, którą jej tak słusznie przyznawała Morska i która jej się tak bardzo należy. Łączyła rzadkie mistrzostwo wiersza z najcelniejszym dowcipem. Doprowadziła do doskonałości zaletę wielkich, nieczęsto zresztą spotykaną w naszej literaturze — zwięzłość. Chwytała za serce zarówno pełnym serdecznej troski zamyśleniem nad człowiekiem, jak

i nieporównanym znanstwem świata zwierząt i roślin. Żeromski mówił i pisał o niej z najczulszą uwagą, najwybitniejsi nasi poeci stawiali ją obok siebie.

Tak tedy zjawił się pewnego dnia w moim mieszkaniu uroczy gość. Lilką była osobliwym zjawiskiem. Drobną i ułomną (teraz przypuszczam, że musiała przejść w dzieciństwie chorobę Heinego-Medina), pełną była szczególnego uroku, i to uroku czysto fizycznego. Dowodem — trzech mężów i wielu zakochanych. Prawdziwe zwycięstwo ducha nad ciałem (to niewątpliwie dusza tak ją ozdabiała!).

Nad ułomną figurką, kunsztownie ukrytą pod różnymi fałdkami, falbankami, szalikami, wznosiła się urocza główka, o delikatnie wygrawerowanych rysach. Twarzyczka Lilki nasuwała dziecinne, czarodziejskie skojarzenia. To była twarz wróżki, cała z płatków różanych, pyłków kwiatnych, przelotnych cieni i łagodnych świateł. Nosek leciutko zaostroszony, różowawy i przezroczysty jak muszla, usta wrażliwe, małe, zmienne, czasem żalotne, czasem drwiące. Nie tylko ta twarz decydowała o uroku Lilki, ale przede wszystkim nieodparty wdzięk, stokroć ważniejszy od urody. Wdzięk w każdym ruchu, słowie, uśmiechu, nikt nie mógł mu się oprzeć.

Kiedy ją wspominam, wciąż mi się cisną na usta słowa: wróżka 236 z jej życia, Tytania. Płynięcie to chyba stąd, że nie było w niej absolutnie L* rozańczego. Nawet w najbardziej pospolitych warunkach poezja nie tała koło niej nieustannie, jak blisko płynący, ciągle żywy strumień. Nie, źle to określam. To była nieustanna sekrecja poezji, działanie wewnętrzne i rozpylanie bezustanne poprzez słowa. Cóż, w końcu, że powstawała koło tej kobiety czarodziejska atmosfera. I, kiś żart, jakieś nieoczekiwane zestawienie słów, coś, co ją samą obudzało do częstego, cichego śmiechu i łysnięcia w bok, do rozmówcy, ubawionym spojrzeniem oczu o ciężkich, melancholijnych powiekach.

Z Lilką niepodobna było prowadzić zwykłej rozmowy: o zakupach, o polityce, o znajomych, o książkach, a raczej, jeżeli się o takie tematy potrafiło, to i tak nie wynikała z tego „rozsądna” odpowiedź, tylko słowna albo obrazowa niespodzianka, jakieś skojarzenie, które od razu odrywało temat od powszedniej pospolitości. Lilką mówiła zazwyczaj na swoje własne tematy, których esencje, doprowadzoną już na piśmie do ostatecznych granic zwięzłości, przelewała potem w wiersze. Proces tworzenia trwał w niej niemal ciągle.

Lubiła siadać, wtulona w kącik tapczanu, i gryźć coś namiętnie wiewiórczym sposobem, najchętniej pestki albo gotowany bób, mocno posolony, czy też orzechy. Mięsa nie jadła nigdy i świetny jej wiersz O mięsożercach był wyrazem prawdziwego wstrętu. Siedziała jak urocze zwierzątko w norce, gryzła coś, gryzła przedziutko, podśmiechując krótkim, gardłowym śmiechem, nieco ptasim. Mogła opowiadać długo i uroczo o wiewiórce albo mieniącymi się słowami malować motyla czy liść lub pochylonego na ulicy staruszka.

A obok poezji, nierozdzielnie z nią związany, migotał wesoły promyk dowcipu, bo Lilką była osobą niezwyklego, wysokiej klasy dowcipu. Sama śmiała się cichutko ze swoich nieoczekiwanych skojarzeń, skrótów i zagęszczeń i sypała uroczymi słowami, nie wymawiając litery r. Otaczała jakąś hipnotyczną mgielką swego rozmówcę, który natychmiast ulegał jej władzy, i zaczynały go od razu bardzo nudzić jego własne, osobiste sprawy, kłopoty, radości, tak prostackie, grube, nieporadne w tym świecie ze snu nocy letniej. Tym czarom przypisuję 'akt, że Lilką mimo swej ułomności tak bardzo była przez mężczyzn kochana.

Odwiedziłam ją kiedyś w rodzicielskiej Kossakówce w Krakowie, przyjęła mnie w salonie bardzo uprzejma i dystygowana pani

Kossakowa, potem błysnął przez chwilę piękny, dorodny, przekór swej młodzieńczej postaci, Wojciech Kossak, wreszcie poprosił mnie na górę do pani Jasnorzewskiej. Lilka podówczas \vvr po raz trzeci za męża, za młodziutkiego lotnika i poczęła się podpisywać jego nazwiskiem. Dziwiło mnie to, była już bowiem sławna "Jasi" Pawlikowska. Pisarz powinien trzymać się swego nazwiska, utrwalił go w literaturze, nie uzależniać go od prywatnych spraw. Ale, zdaje się, urzekła ją zaranna jasność nowego nazwiska — a w świecie wróżek takie rzeczy mają znaczenie. Może też chciała, aby na chłopca, który mim różnicy lat dał jej wielką miłość, spłynęła bodaj cząstka jej rozgłosu?

Tak tedy po splendorach dostojnego parteru Kossaków zostałam wprowadzona na piętro, do pokoju poetki. Widoku, jaki tam zastałam nigdy nie zapomnę. Pokój był bardzo duży, panował w nim niezwykły nieład. Na pięknym stole pośrodku stała maszynka spirytusowa, leżały używane pończochy, stało jakieś jedzenie i wałęsały się różne, nie sprecyzowane bliżej części ubrania. Na obszernym łóżku, na poduszce i pod kołdrą leżała Lilka w futrze — tak jest, pod kołdrą, w futrze — a do niego miała przypięty olbrzymi pęk wspaniałych parmeńskich fiołków. Co chwila pochylała starannie uczesaną głowę, bo dbała o siebie bardzo. I swoim finezyjnym noskiem muskała kwiaty.

Po pokoju krzątał się młodziutki mąż, przyrządzał kawę, nakrywał, podawał. Kiedy się spoglądało na tę parę, było zupełnie jasne, że to właśnie chłopięcy Lotek, jak go nazywała żona (że lata — lotnik), jest śmiertelnie zakochany, i było to zupełnie naturalne. Są ludzie, nad którymi czas nie ma władzy, no i jakże by można Lilki nie kochać! Przyjmowała objawy jego czułości i dbałości z uroczym, nieco roztargnionym uśmiechem — była do nich przyzwyczajona. Biedny Lotek, nie umiał utrzymać porządku w pokoju, ale umiał dbać o ukochaną kobietę. Daleko mu było do wyrafinowanego intelektualizmu, ale na wartości i na niezwykłych zaletach duchowych Lilki poznał się z nieomylnym smakiem natur prostych, szczerych i wybrednych. Jego miłość nie zachwiała się do końca. Kiedy poetka umierała w czasie wojny, w Londynie, umierała ciężko, boleśnie, na raka, nie odstąpił jej. I słodko musiało być Lilce, gdy wśród powszechnej zgrozy, której dała wyraz w ostatnich swoich utworach, i wśród własnego lęku przed nadchodzącą ciemnością, czuła jego przywiązanie i widziała, jak się pochyla nad ładną, młodzieńczą twarz męża.

Ta poetka bynajmniej nie była obojętna na sprawy społeczne. Nie

238

należała do natur walczących. Zbyt była krucha i delikatna zaznaczała wyraźnie swoje przekonania. Stanąwszy w okresie międzywojennym wśród grupy postępowych pisarzy, odcięła się zdecydowanie od prawicy. Na emigracji, już ciężko chora, tworzyła dalej, CK -o dziwo, zarzuciła formę rymowaną, w której była taką mistrzynią, i pisała swoje wiersze poetycką prozą. Te utwory są słabsze od poprzednich, najdoskonalszych w świecie. Nic dziwnego — okropność wojny były nie dla niej. „Przecież się nie zabija słowików” — pisała. Ja groza świata zabiła, dosłownie i przenośnie. Nie chciała widocznie wobec ponurości zjawisk, podejmować igraszki rymów, najwyższego żonglerstwa metaforami. Ale te rymy, te metafory, te najcichsze wrażenia i odczucia, to była właśnie ona. Gdzie tam do niej pani de Noailles! Tylko że świat się tego nie dowie. Wieczna tragedia polska, że największy nawet muszą pozostać sławami lokalnymi. Zwłaszcza jeżeli chodzi o poezję. Cóż robić.

Najważniejsze jest to, że w swoich wierszach jest nam na zawsze obecna.

Wspomnienie to, nieco zmienione, ogłosiłam jeszcze będąc w kraju. Bałam się, że wiersze Pawlikowskiej ujdą uwadze czytelników. Stało się odwrotnie — są rozchwytywane. Tym lepiej. Tym lepiej. Jednakże groźnie wystąpiła przeciwko mnie siostra Lilki, Magdalena Samozwaniec, twierdząc, że ona, siostra, wie więcej o Lilce niż ja, przyjaciółka, której poetka dedykowała dwa wiersze*. Magdalena wydała wkrótce potem własne wspomnienia. Maria i Magdalena to książka bardzo zakłamaną, nieprawdziwą, zwłaszcza że każe w niej Lilce przemawiać swoim własnym językiem. Obie siostry były zupełnie

niepodobne do siebie. Istniała między nimi oczywiście więź rodzinna, ale w gruncie rzeczy Lilka nie lubiła Madzi i wcale się z tym nie kryła. Wszystkie „cienkości” Lilki były najzupełniej obce siostrze, toteż słowa, jakie Magdalena wkłada jej w usta, brzmią bardzo płasko. Są albo wymyślone, albo przepuszczone przez pryzmat pospolitości Madzi. Nawet sławna parodia Na ustach grzechu była w znacznej mierze autorstwa Lilki — tak mi sama o tym mówiła — choć nie przyznawała się do tego przed obcymi, odstąpiwszy siostrze hojnie całe autorstwo tego znakomitego pastiszu.* Magdalena nigdy potem nic równie dobrego r"6 napisała, brnąc w trywialność, kawalarstwo, od których Lilka starała się ją uchronić. Pastisz na poziomie Lilki to była Najpiękniejsza zwrotw — godna Mickiewicza parafraza jednego z jego sonetów — przedsięwzięcie śmiałe i jakże udane. Ale niesłusznie Lilka nie chciała się?

240

vznać otwarcie do współautorstwa Na ustach grzechu. Pastisz to j Dry gatunek literacki, a wyszydzenie szmiry to użyteczna robota.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska to był ważny sojusznik w walce świadome macierzyństwo, czyli tzw. kontrolę urodzeń. Było to nawet jawisko jedyne w swoim rodzaju. Nie znam przypadku w literaturze 'wiatowej, by znakomity poeta oddał swoje pióro na użytek sprawy S0ołącznej „wstydlivej”, tyleż palącej, co niepopularnej. W dodatku są to wiersze przejmujące, piękne, nie mające w sobie nic z wulgarnej propagandy (Prawo nie urodzonych, Dobre urodzenie...}.

Przybyli i inni sojusznicy w walce o przemianę przestarzałych j groźnych w swoich konsekwencjach obyczajów, jak hańba dla nieślubnych matek i ich dzieci, jak więzienia dla „mniejszości seksualnych” (tak to nazwał Boy), jak tragedia tajnych, morderczych poronień. Przybył więc z pomocą Paweł Hulka-Laskowski, człowiek niezwykle czystości i szlachetności, Wanda Melcer, znana literatka, Maria Morska, doktor Herman Rubinraut, doskonały specjalista, doktor Justyna Budzińska-Tylicka, działaczka PPS-owska. Przybyła jeszcze jedna, dość osobliwa, ale fascynująca osoba, której warto poświęcić miejsce w tych wspomnieniach.

Pewnego dnia Pawlikowska zjawiała się u mnie ze swoją kuzynką, Heleną Bołoz-Antoniewiczową. Była to osóbką niedużą, niezwykle zgrabną i elegancką, o ciemnej cerze, czarnych włosach i cygańskiej urodzie. Pani Helena, zwana Lunią (bardzo prędko przechodziła ze swoimi znajomymi na „ty”), złożyła wizyty różnym znanym literatom i artystom, i niebawem weszła w to środowisko. Była wdową, z dwiema ślicznymi córeczkami. Mieszkała ze swoimi powinowatymi, dwiema hrabinami, w pięknym i bogato urządzonej mieszkaniu i, pomimo tokich koligacji, ostro się wzięła do walki o nowe obyczaje. W ciągu zdumiewająco krótkiego czasu przetłumaczyła Małżeństwo i moralność Russella i Małżeństwo koleżeńskie sędziego Lindsaya. Ona też była główną organizatorką pierwszej Poradni Świadomego Macierzyństwa na Lesznie, zorganizowanej pod auspicjami PPS i z wydatną pomocą doktor Budzińskiej-Tylickiej oraz współpracą doktora Rubinrauta. _ 'egancka pani Lunia odważyła się wejść w ogień ostrej walki, choć Sr«dowisko, w którym się obracała, było jej zdecydowanie przeciwne.

Lunia była teozofką i jaroszką (nigdy i nigdzie nie jadłam tak udownych potraw bezmięśnych, jak u niej), a poza tym przyjaciółką go wówczas Hindusa, Krisznamurtiego, o którym później mó-

Wyznaniu...

241

wiono, że odgrywał znaczną rolę w angielskiej Intelligence Service B osobą uroczą, ale mitomanką. Opowiadała o sobie niestworzone historie, aż Boy jej kiedyś powiedział: „Pani Luniu, naprawdę tak n można. Czy ma nas pani za głupców?” Miała do wielu spraw zupełnie inny stosunek od reszty ludzi. Opowiadała na przykład, że kiedy ma' zapytał ją, czy jest

śmiertelnie chory, odpowiedziała mu ze słodyczą: „Tak”. Wyjaśniała nam słuchającym: „Śmierć nie ma najmniejszego znaczenia, jest tylko przejściem do innej formy istnienia, więc nie było powodu przed nim ukrywać”.

Pewnego razu przyszedłam do niej w jakiejś sprawie. Otworzył mi, jak zwykle, lokaj w białych rękawiczkach. Lunia pojawiła się wkrótce, a z jednego z bocznych pokoi tego luksusowego mieszkania wyszedł mały, garbaty człowieczek, bardzo brzydki, niewątpliwie Żyd. W owych czasach, w hrabiowskim domu, było to zjawisko dość niezwykle. „To mój przyjaciel, pan Frydman — powiedziała Lunia. — Pan Frydman jest niezwykle wynalazcą i właśnie maharadża X. zaangażował go, aby mu zelektrykował jego państwo”. „Luniu! — jęknęłam w odpowiedzi. — Naprawdę tak nie można. Po co zmyślasz?” Najdziwniejsze jednak było to, że większość „kłamstw” Luni okazała się prawdą. Nie warto ich tu przytaczać, bo dotyczą spraw prywatnych. W każdym razie Frydman istotnie pojechał do Indii, a za nim Lunia na zaproszenie maharadży i tam, biedactwo, umarła na jakąś tropikalną chorobę. Ta osobliwa i dość tajemnicza postać przemknęła jak błyskawica przez Warszawę, narobiła sporo szumu, nie tylko ze względu na swoją działalność, ale i na fantastycznie eleganckie toalety, i zgasła, w pełnej egzotyce.

Poradnia, założona przy jej wydatnej pomocy, gdzie pracowali honorowo wybitni lekarze, gdzie nie było mowy o skrobankach, tylko o zapobieganiu ciąży i leczeniu bezpłodności, nie miała zbytniego powodzenia. Kobiety bały się i wstydziły z niej korzystać. Ta instytucja spotkała się w Polsce jedynie z potępieniem i drwinami, które bywały najdotkliwsze. Prasa wszystkich odcieni, od skrajnie prawicowej, poprzez PPS (która jednocześnie pomagała w założeniu poradni, takie bywają paradoksy polityki), aż do pisemek komunistycznych — szalała. Ale co tu się dziwić, kiedy taki „Cyrułek Warszawski”, najlepsze pismo satyryczne, prowadzone przez doskonałych i postępowych poetów, zamieszczało karykatury Boya jako alfonsa, zapraszającego do domu schadzek, czy jako fabrykanta aniołków. Jednak, przy tych wszystkich napaściach w druku, Boyowi dobrze

242

coiio i prywatnie otrzymywał niezliczone objawy uznania, często wet od tych, którzy na niego napadali. A prócz tego ogromna poczta,

i • * AIT r *•*-» t J/^rrt A 7i^V\ rti f^r7\ i/~""7/-\tie» t *^ 1 ^» f/~\ n\ r

f\i/~\oL*t"iL""i \7 L1"'.J rvj r*L*t o r*ri

iżo

listów miłosnych, niezliczone telefony, piosenki w kabaretach.

\yjadomosci Literackie" i „Kurier Poranny" podwoiły, potroiły

aldad. Mieli czego zazdrościć literaci, którymi czytająca publiczność •nterowała się słabo. Z tych nastrojów zapewne wyłoniła się antypatyczna książka, a raczej dość niewybredny pamflet Karola Irzykow-skiego pt. Beniaminek (1933). Irzykowski, poważny krytyk, jeden l nielicznych, którzy zrozumieli w owym czasie, czym jest i może być kino, autor wielu interesujących artykułów, pisarz niewątpliwie wybitny, znienawidził Boya nienawiścią chorobliwą, przechodzącą w obsesję. Poświęcił mu więc całą książkę, chcąc go literacko zniszczyć, ale minął się z nim, przeszedł niejako obok. Boy dawno przestał być beniamin-kiem opinii, przeciwnie, stał się w owym czasie kozłem ofiarnym, strachem na wróble, kimś, kogo należało zdławić i zniszczyć. Ciekawe, że tak inteligentny człowiek jak Irzykowski w ogóle tej przemiany nie zauważył i przyłączył swój głos do wrzasku całego polskiego ciemnogrodu. Ale już samo nazwisko Boya w podtytule wystarczało, żeby książkę czytano, i w ten sposób Irzykowski uzyskał pewien sukcesik, mimo że jego pamflet (a może właśnie dlatego) roił się od złośliwych „nieściskości”.

Ten Beniaminek napsuł dużo krwi Boyowi. A sprawa była nieprzyjemna i z tego względu, że obaj pisarze musieli się spotykać na posiedzeniach Akademii Literatury oraz na premierach, gdyż obaj byli recenzentami teatralnymi. Boy nie miał nic przeciwko Irzykowskiemu i gotów

był utrzymywać z nim najlepsze stosunki, toteż ta nagła napaść sprawiła mu wiele przykrości. I skłoniła do jednego: nie tłumaczyć się w druku, nie prostować, nie bronić się, jak to czynił dotąd, bo to się i tak na nic nie zdaje. Żadne rozsądne słowo do przeciwnika nie dotrze i tak, a tylko sprawę zagmatwa, sfałszuje. Toteż działalność Boya-polemisty nie trwała długo.

Zamknął się w sobie i pisał to, co uważał za stosowne, nie reagując na napaści. *

Radziłam mu, żeby przestał abonować wycinki z prasy i zaniechał ich czytania, gdyż zła wola, kłamstwo, ordynarność irytowały go ponad miarę. Ale mnie nie usłuchał. Co rano poczta przynosiła mu paczkę rucizny, której obrzydłego smaku nie mógł się pozbyć cały dzień i która przeszywała go w melancholii. Gniewałam się o to na niego. „Kiedy ktoś

^stepuje do walki — mówiłam — musi być przygotowany na ciosy”.

243

Wraz ze wzrostem wpływów oenerowskich w Polsce, obelgi te co bardziej przybierały kształt konkretnych pogroźek, tak że Boy, w ulicy, nieraz oglądał się, czy nie ma gdzieś w pobliżu drabów skłonny do bicia.

Do tych kłopotów z prasą i opinią dołączyło się sto innych. Je(Je z nich, w okresie ostrego kryzysu ekonomicznego, to był szaleńczy pomysł wydawania własnych dzieł swoim staraniem. Chodziło głównie o przekłady. Był to okres gospodarczo trudny (lata trzydzieste) wydawcy nie kwapili się do drukowania klasyków. Odkąd rozpoczęła się nagonka na Boya, tym bardziej. Boy uzasadniał wielorako swój balzakowski pomysł. Uważał, że jest stary i że czas wydać swoje pomnikowe dzieło przekładowe w ujednoliconej postaci. Dotąd przekłady wydawane przez różne firmy, na różnym papierze i różnego formatu, źle wyglądały zebrane razem na półkach bibliotecznych. Wiele tomów było od dawna wyczerpanych, a nie pojawiał się amator na ich wznowienie. I wreszcie — Boy był często niezadowolony ze swoich przekładów. Pracował niesłychanie szybko, w jakiejś ekstatycznej pasji. Mówił mi, że np. Rabelais'go (!) potrafił przełożyć dziennie jednym tchem 30 stron. Wydaje się to nieprawdopodobne, kiedy się zna stopień trudności tego dzieła... Potem na rękopisie, w korekcie, na nowych wydaniach kreślił nieskończone poprawki. Zachowałam sobie na pamiątkę szóste wydanie Straconych złudzeń. Było całe pokreślone i popstrzone poprawkami (egzemplarz zaginął, tak jak wszystko, co miałam). Boy chciał nadać ostateczną formę swoim przekładom, wyszlifować je i „wyczyścić”. Chciał dać tym rozproszonym tomom tytuł „Biblioteka Boya” i zawrzeć to wszystko, jako dzieło swego życia, w jednolitym kształcie.

Wacław Borowy, w swoim znakomitym studium Boya, jako tłumacz, zanalizował, wytłumaczył, przeniknął całą wartość artystyczną i nawet filozoficzną tłumaczeń Boya, ich wczucie się w epokę, wierność stylowi autora (czyli kilkudziesięciu stylom i formom, zarówno wierszowanym, jak prozaicznym), ich oszałamiające słowotwórstwo, kiedy brakło odpowiednika w języku polskim, wierność dowcipowi, myśli i nawet poincie. Mimo to spotykam od czasu do czasu „perfekcjonistów”, którym udaje się wyłapać ten i ów błąd Boya, pochodzący z pośpiechu czy nieuwagi. Ktoś mi np. powiedział, że Boy w jednym z swoich tłumaczeń napisał „Przełożył broń na lewo” („il a passé l'arme a gauche”, co znaczy po prostu umarł). Być może, choć nie wiem, jeże”

244

wet prawda, gdzie się ten błąd znajduje. Ale to i tak nie umniejsza „rkości tłumaczenia, którego celem było oddanie stylu i myśli autora. \Viem wszakże, że nie było człowieka bardziej wrażliwego na własne myśli niż Boy, toteż w następnych wydaniach polował na nie bezlitośnie. I te braki, które sam najlepiej zauważał, były jeszcze jedną przyczyną chęci pomnikowego, ostatecznego wydania zbioru tłumaczeń, czyli „Biblioteki Boya”.

\V owym czasie grawitował w pobliżu państwa Żeleńskich pewien niewielkiego kalibru wydawca, który ich namówił do szaleńczego pomysłu edycji całości własnym kosztem, nie wiem, czy z braku poczucia odpowiedzialności, czy powodowany własnym interesem. Nie

tylko sam Boy, ale cały dom wziął się do pracy z zapalem. Najpierw skonstruowano prospekt, przedstawiający fotografię Boya podtrzymującego z trudem stos własnych tłumaczeń, który to stos sięgał powyżej jego głowy. Ten prospekt wraz z warunkami prenumeraty (dogodniejszymi, niż gdyby się kupowało poszczególne tomy u wydawcy) rozesłano w tysiącach kopert, które zarówno pani Fusia, jak syn Boya czy ja adresowaliśmy i zalepialiśmy namiętnie. Według jakiego klucza? Według książki telefonicznej. Boy rozumował rozjaśniony: „Na każdych tysiąc abonentów, dziesięciu albo powiedzmy pięciu zaabonuje. To już nam da parę tysięcy czytelników. Wystarczy. Prospekty mogą trafić do ludzi, którzy nigdy w życiu nie weszli do księgarni, a że książka przyjdzie im prosto do domu, niezmiernie ułatwi to sprawę. A jeszcze fakt, że będzie adresowana na jego własne nazwisko! — Ludzie są próżni. To, że wykupują książki z koszy na ulicach, świadczy, że chcą czytać”. Czy mam mówić, że cała ta impreza skończyła się fiaskiem? Że Boy utopił w niej nie tylko wszystkie swoje oszczędności i większość dochodów, ale i posag pani Fusi i że w dodatku zadłużył się po uszy. Mówię poważnie: gdyby nie wojna, mogło się to skończyć wielką i kompletną "cytacją. Czytelnicy nie odpowiedzieli na apel pisarza albo w bardzo nikłym stopniu. Były zresztą po temu różne przyczyny: i niechęć do kupowania książek, i trudność wielu tekstów, i brak przyzwyczajenia do tego rodzaju abonamentów, dziś powszechnie znanych, i nagonka na "niemoralnego" pisarza, i nade wszystko może zła wola wydawców, Parzających złym okiem na tego intruza. Wygryźli go więc, jak się wygryza niepożądanych przybyszów ze wszelkich koterii. Cała sprawa sPałiła na panewce. „Biblioteka Boya" jako jednolita całość nie ukazała :i? nigdy, nawet w Polsce Ludowej, mimo wzmożonego czytelnictwa.

245

Przede wszystkim pozbawiono te przekłady ich znakomitych wstę • i zastąpiono je mizernymi wypocinami różnych prawomyślnych ków/ ków, którzy zrobili wszystko, aby — w przeciwieństwie do samego R — oddalić autora zamiast go zbliżyć i od początku znudzić czytelnii/ Następnie, wiele z tych przekładów było, jak się okazało, „trefnych" Wreszcie różne wydawnictwa podzieliły między siebie to, co zosta) uznane przez „najwyższe czynniki" za nadające się do druku, niejedno krotnic „poprawiono" znakomity, soczysty styl Boya w myśl zasad dziennikarsko-podręcznikowych, no i wszystko zostało po dawnemu albo jeszcze gorzej. Poszczególne tomy tułają się po tej czy innej księgarni i tylko bardzo świadomy ich wartości czytelnik je kupuje. Są dziś mało znane, zatraciły ciągłość i atrakcyjność, a pozbawione twórczych wstępów, stały się często niezrozumiałe. Tak został uwieńczony gigantyczny trud Boya.

Dodam, że dla zbiorowego wydania dzieł Boya utworzono w Polsce Ludowej „komitet redakcyjny", do którego weszli ludzie, którzy w ogóle Boya nie znali i na ogół nie rozumieli. Nie zaproszono ani mnie, ani Antoniego Słonimskiego. Ludzie ci mówili o Boyu jak ślepi o kolorach. Dokonali masakry jego dzieła, wybierając jego artykuły i łącząc je w nieprzewidziane przez autora całości, z czego powstały twory chaotyczne. Boy zawsze mówił: „Cała moja wartość polega na różnaitości, że raz o tym, raz o tym, że raz poważnie, a potem na smutno, że raz się wygłupiam, a raz popisuję erudycją". Dzieło Boya to jest silva rerum i tak — skoro on sam tego sobie życzył i nigdy nie chciał wydać poszczególnych całości — należało je pozostawić. Zmasakrowano też świetne tytuły Boya: Marzenie ipvsk, Pijane dziecko we mgle itd., które przyciągają czytelnika, a które w pokracznej postaci, gdzieś kątem znalazły się w zbiorowym wydaniu.

Ale gdybyż to był koniec zmartwień! Cała nagonka, prowadzona przeciwko Boyowi skończyła się źle, bo inaczej być nie mogło. Przede wszystkim w „Kurierze Porannym" wymówiono mu pracę, która stanowiła podstawę jego utrzymania. Było to ze wszech miar bolesne i dlatego, że uderzało po kieszeni, i dlatego, że w „Kurierze" miał Boy krąg swoich czytelników, którzy go rozumieli, lubili, i dlatego wreszcie, że on, pisarz sławny, ale już

niemłody, musiał zacząć się rozglądać za pracą. Żadne warszawskie pismo go nie chciało, a „Wiadomości” już i tak były nasycone jego artykułami. W dodatku długi, ciężące na owej nieszczęsnej „Bibliotece Boya”, mogłyby doprowadzić nie tylko do

246

ruiny, ale do skandalu. Nic też dziwnego, że Boy nie zawahał z przyjęciem propozycji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” („IKC”). * Ale to pismo ukazywało się w Krakowie, a więc odpad-r wierni warszawscy czytelnicy. Nie drukowano go bynajmniej na honor, rowym miejscu, ale na ostatniej stronie, gdzieś kątem, tak, że recenzje przechodziły często niezauważone. Ponadto czytelnik warszawski mógł natychmiast pójść do teatru i sprawdzić ocenę krytyka, podczas gdy (e recenzje, pisane z innego miasta, były rodzajem abstrakcji. Płacono również niewiele, a co ważniejsze „IKC” był gazetą sensacyjną (ciśnie mi się na usta inne słowo), obliczoną często na najniższe gusta, drobno-mieszczarską, i Boy pasował tam jak kwiatek do kożucha. O pisaniu felietonów w ogóle nie było mowy. Strach przed narastającym faszyzmem był coraz większy. Prudercja rosła. To wszystko równało się upokorzeniu i podwiązaniu gardła. Ale nade wszystko dręczyło go uczucie własnej zbędności, bezcelowości tego, co pisał. Był to okres bardzo ciężki, deprymujący, wrogowie triumfowali. Boy nie bardzo wiedział, dla kogo pisze i jakiego się ma trzymać poziomu. Musiało się to odbić na jakości jego krytyk.

Jednakże, po jakimś czasie „Kurier Poranny”, czy to przerażony spadkiem nakładu, czy zawstydzony, bo dużo się mówiło na temat owej degradacji, poszedł do Canossy i zaangażował Boya na nowo, tylko że, korzystając z sytuacji, na zmienionych warunkach (płacił teraz połowę tego, co dawniej). Boy się na wszystko zgodził — nie umiał się targować — tak był szczęśliwy, że znów wraca na teren życia literackiego stolicy. W dodatku firma Gebethner i Wolff, która jak gdyby nie zauważała istnienia Boya, nagle zwróciła się do niego z propozycją napisania Marysieńki Sobieskiej (moim zdaniem najslabsza książka Boya). Tak więc wykaraskał się z samego dna, dokąd zepchnęli go przeciwnicy, ale uważać musiał na każdy grosz, a dłużnicy, z powodu owej nieszczęsnej „Biblioteki Boya”, nie przestawali dawać o sobie znać.

Staliśmy się, w owych latach trzydziestych, obiektami osobliwych prześladowań. Czepiali się nas różni obłąkańcy i psychopaci, a n'e' którzy uczynili z nas ośrodek swoich obsesji. Skoro obiecałam, że będę mówiła wszystko, co pamiętam — musZI? przejść do sprawy niemilej i niesmacznej (nie z winy Boya). Przez ca>e

248

0 życie przewinęło się wiele kobiet, często pięknych i pociągających, • u p isfusia Leszczyńska (do której parę listów ocalało), czasem mniej. Ale raz przydarzyło mu się prawdziwe nieszczęście, od którego nie mógł dczepić się latami. Oto w znajomym domu, pod nieobecność go-

darzy, pOznai siostrę pani domu, bardzo podrzędną aktoreczkę. Biedactwo nie było ani zdolne, ani ładne, a w dodatku zezowate. I oto wzięła” go właśnie na ten zez. Płacząc, opowiadała, jak ta ułomność tamie jej życie, a rodzina nie chce dać pieniędzy na operację. Boy dał. Przez litość, która, jak mówił później, jest największym wrogiem człowieka. Operacja się nie udała, ale litość pozostała, a z litości wywiązał się stosunek bliski, Bóg to raczy wiedzieć, na czym oparty, w każdym razie ze strony Boya obojętny. Dama postanowiła wszak to wykorzystać.

Nawiasem, w związku z tym irytującym tematem napisałam nowelę pt. Bezbronna ofiara *, gdzie kobieta brzydka i głupia, powołując się nieustannie na to, że została potrącona, niegroźnie zresztą, przez auto, niszczy atrakcyjnego mężczyznę. Miałam przykład tej sytuacji przed oczami, ale, mimo to, na jakimś przyjęciu podeszło do mnie kolejno kilku

nieznajomych mi panów i każdy pytał: „Jak pani śmiała opisywać moje prywatne sprawy?” Z tym dzikim zarzutem miałam się spotykać nierzadko, widocznie sytuacja nie była odosobniona. Kończę nawias i wracam do przerwanej historii.

Otóż Boy nawiązałwszy stosunek z panią X. (było to właśnie w czasie, kiedy nie odwiedziłam go, młodzieńca, onieśmielona, w Krakowie) był w stanie depresji i zniechęcenia, uważał, że jest stary, i chyba dzięki temu kobieta ta zdołała go utrzymać przy sobie parę lat. Potem nastąpiło zerwanie, ale bynajmniej nie koniec sprawy. Pani X. szantażowała go, Jak mogła: dzwoniła wielokrotnie w dzień i w nocy, symulowała samobójstwo, groziła, że się rzuci pod koła taksówki, gdy będzie jechał na premierę z żoną. W dodatku żądała pieniędzy i głupi Boy płacił, żeby rościć święty spokój, bo spokój to była dla niego możliwość pracy. Powiadał mi, że czasem siadał w nocy na łóżku i płakał głośno, nie wiedząc, jak wyzwolić się z tego szantażu. Działalność pani X. sięgnęła szczytu, kiedy Boy nawiązał przyjaźń ze mną i trochę ożył. Awantury na UICY, otwieranie drzwi taksówek na zakrętach, listy anonimowe do niego męża (który naprawdę był wyższy ponad takie sprawy i anonimów Nie czytał), ale głównie szantaż telefoniczny. Polegał on na tym, że pani

*• nagle włączała się na trzecią do rozmowy prowadzonej przeze mnie

249

z Boyem. Jak to robiła? Póki centrala była ręczna przyjaciółką, ale jej udawał się ten chwyt i chociaż specjaliści zapewniają że to nie... Nas czworo Boy z żoną i ja z mężem, godnie i poważnie my niezwykle trudny konflikt, ale oto włączyła się osoba wszystko do ryzostoka. Błagałam Boya żeby bo^ti pieniądze, zwłaszcza że coraz ciężiej mu było mater alT l J przy swoim. Dużo później okoliczności zmusiły

panych . „Tu mme ona przynajmniej nie dosięgnie -mówił z — Cisza, spokój, me ma jak wariaci” A t t

temat tej absurdałnej sytuacji powiedzia. z wescchnie^ Można sobie wyobrazić i iza.ob.aeh •^W uradz,łyśmy, że pojedę do Grodziska, zap k r- u se "T.

czas. zobaezy.a „idoczr,ie, że dla

dynamniejszymi obelgami zarówno

m

H H

Bvł

zvlł 7 T f ^ fa natarcz^ P^śba, że z niechęcią, zatrzymałam słuchawkę przy uchu, me wiedząc, jak postąpić-

250

czasem ów głos mówił dalej: „Chcę przeprosić panią, za to, co hiłeW, to jest nie do darowania, ale jestem głęboko nieszczęśliwy. ' t ode mnie żona z dzieckiem i odchodząc powiedziała: „Dlaczego

> rzucam, zapytaj się Krzywickiej. Więc się pytam..." — „Kto pan st9" — zapytałam.

„Nazywam się Jarecki." — „Żadnej pani Jareckiej nie znam, ale zapewniam pana, że jeżeli żona odeszła od pana, to ja z tym nie mam nic wspólnego, natomiast wcale się jej nie dziwię, że odeszła od cz}0wieka zdolnego do takich szantaży telefonicznych". Na to głos bardzo spokojnie: „Być może. Ale chcę powiedzieć jeszcze jedno. My się z panią spotkamy, ale to spotkanie będzie dla pani ostatnie, bo ja panią zabiję"-

Różne pogrożki otrzymywałam dotąd, ale nigdy tak bezpośredniej, z takim posmakiem autentyczności. Przeraziłam się nie na żarty, zwłaszcza że poprzedniego dnia dozorczyńi powiedziała mi, że jakiś pan rozpytywał się o mnie, pytał, czy i kiedy jeżdżę do Podkowy,

czy tam bywam sama itp. Wariaci są do wszystkiego zdolni, więc pobiegłam do męża mojej koleżanki po piórze, Herminii Naglerowej, męża, który był inspektorem policji, i zaczęłam go błagać, żeby mi założono podsłuch telefoniczny, bo jednak muszę wykryć, kto mnie prześladowuje. Nagler odparł, że to sprawa niełatwa, że póki telefony były ręczne, to dałoby się zrobić, ale właśnie od niedawna wprowadzono telefony automatyczne

1 tu już by trzeba osobnej linii, którą się zakłada tylko w szczególnie ważnych przypadkach. „Ale to chodzi o moje życie!” — zawołałam. Na to Nagler, żebym przestała się lękać, że policji znany jest taki typ półwariatów, którzy czepiają się nade wszystko kobiet znanych, zwłaszcza kiedy są młode i ładne. Że kiedy jeszcze istniały telefony ręczne, jakiś typ prześladował pewną przystojną posłankę, policja poleciła jej przetrzymać go jak najdłużej przy telefonie, a pojechała do niego, pod adres, który dało się łatwo ustalić, i co znalazła? Na pół przytomnego

2 rozkoszy typu onanizującego się podczas rozmowy z posłanką. „Na pewno tak jest z tym od pani — powiedział Nagler — i niech się pani nie niepokoi, ci wariaci są nieszkodliwi”.

Co miałam robić. Tymczasem w parę dni później przybiegła do mnie przyjaciółka wołając: „Już wiem, kto to robi. Opowiedziałam mojej kuzynce, a ona zawołała: «To mój mąż! Ale powiedz Krzywickiej, żeby się nie bała, że wróciłam do męża (przedtem nie mogła z nim wytrzymać, jak przypuszczałam) i teraz będę uważała na leśo. On co prawda poprzednio miał zwyczaj chodzić po pokoju

251

z rewolwerem i powtarzać: 'Zabiję Krzywicką, zabiję Krzywicką'. A je się już więcej nie powtórzy». Najpikantniejsze w tym wszystkim był że osobnik ów, nazwiskiem W., był ważną postacią w tzw. postępowej szkole męskiej (na Marszałkowskiej, w pobliżu Ogrodu Saskiego), a właśnie w tej szkole, na jego lekcjach, jak mi opowiadano wcześniej dyskutowało się z uczniami moją książkę pt. Pierwsza krew, o rewolucji młodzieży. Był on wybitnym działaczem radykalnego Związku Nauczycielstwa Polskiego, ale cierpiał widocznie na jakieś osobliwe rozdwojenie jaźni. Zanim się zaczął ów obrzydliwy szantaż telefoniczny miałam wszelkie powody, żeby go uważać za swego zwolennika. A może cała ta sprawa miała istotnie jakieś tło seksualne, jak twierdził Nagler? W każdym razie: zapewnienia pani W. sprawdziły się, telefon zamilkł na długo i odezwał się znowu dopiero po jakichś dwóch latach.

Zaczął się od „niewinnych” żartów: kiedyś przyniesiono do nas rzekomo zamówioną trumnę, innym razem zjawił się autentyczny strażnik Ogrodu Zoologicznego mówiąc, że zawiadomiono dyrektora, iż jest u nas do odebrania małpa itp. Ale to było niegroźne, choć niesmaczne. Jednakże pewnego dnia odezwał się znów ów dobrze znajomy głos w telefonie, z zawiadomieniem, że syn mój, Piotruś, który miał wówczas cztery lata, zostanie porwany. Nawymyślałam szantażyście, traktując go już otwarcie per „panie W.” i grożąc policją, ale po paru dniach groźba powtórzyła się znowu. Byłam tym razem naprawdę przestraszona, wiedziałam, że W. nie jest człowiekiem zupełnie normalnym, a co takiemu wariatowi może przyjść do głowy? Akurat telefon ten odezwał się w sobotę, jour fixe u Boyów. Poszłam więc mocno wystraszona i zdenerwowana. Spotkałam tam ministra Becka z żoną, których dotąd nie znałam (nie obracałam się wśród dygnitarzy, nigdy, w ciągu całego mego życia ani tego nie pragnęłam, ani nie szukałam, choć znacznie później los mnie do tego zmusił). Jeszcze pod wrażeniem telefonu, opowiedziałam o całej tej hecy zebrany i wspólnie zastanawialiśmy się, co robić. A muszę dodać, że pani W. po swoim poprzednim wyznaniu, w jakiś czas potem, znów przysłała do mnie przyjaciółkę mówiąc, że się pomyliła, że niesłusznie oskarżyła męża, z którym w owym czasie była w złych stosunkach, i że to wcale nie on telefonował. Nie przekonało mnie to całkowicie, ale jednak posiał wątpliwości. A może to naprawdę nie on? Opowiadając o całej tej sprawie u Boyów, nie wymieniłam nazwiska, tylko żaliłam się na to, że nie chcą mi założyć podsłuchu telefonicznego. Rozmowa po pewnym

sie zeszła na inne tory, bo i ja chciałam oderwać się od tego L 'szmaru. Nazajutrz jednak zjawił się u mnie elegancki oficer i w imię „pani ministrowej” wręczył mi pęk róż oraz ogromne pudło „ekoladek, po czym grzecznie poprosił, abym zreferowała mu całą awę. Zapytał przede wszystkim, czy życzę sobie, aby odtań ordynans hodził z Piotrusiem na spacer. Odmówiłam ze śmiechem.

Znów poprosiłam o podsłuch i znów usłyszałam odmowną odpowiedź. Oficer nie pytał mnie, czy mam jakieś podejrzenia, i po paru chwilach rozmowy zasalutował i odszedł. Od tej chwili raz na zawsze skończył się ów telefoniczny szantaż. W. nic się nie stało, nadal ten osobliwy pedagog mógł kształcić młodzież. Cała sprawa ma jednak swoją pointę.

Otóż w wiele lat później, już po wojnie, mieszkałam przez parę tygodni u Iwaszkiewiczów (zanim odzyskałam zagrabiony przez Niemców dom). Pewnego dnia wzdrygnęłam się, usłyszawszy charakterystyczny głos w przedpokoju. Głos ten rozpoznałabym i dzisiaj. Drzwi się otworzyły i wszedł kto? W. z żoną. Od tej chwili straciłam wszelkie wątpliwości. Ale że od czasu tych wstrętnych telefonów świat się zawalił i większość przyjaciół i znajomych zginęła, a i ja nie byłam już tą samą osobą, co dawniej, więc przywitaliśmy się z W., jakby nigdy nic. Zajął jakieś wysokie stanowisko w pedagogice powojennej i dał mi święty spokój. Ale wówczas, gdy dzwonił i wymyślał, kiedy wiedziałam od jego żony, że ma rewolwer, spotykałam go stale na premierach (już nie wiem, z jakiego powodu stale na nich bywał) i nigdy nie byłam pewna, czy nagle wariat nie wystrzeli do mnie. A że jednocześnie byłam szantażowana przez ową eks-kochankę Boya, która dla odmiany groziła, że mnie oślepi, więc premiery miałam urozmaicone. Przez dobrych kilka lat nie byłam pewna, czy cało wrócę z teatru do domu. Kochany Jerzy chodził ze mną, aby mnie w ten czy inny sposób obronić, zawsze czujnie r°zglądając się dokoła. Ale kiedy W. został w jakiś, niegroźny zresztą sposób unieszkodliwiony przez panią Beckową, kiedy już tylko od Jednej wariatki, a nie od dwóch wariatów, mogło mi coś grozić, odetchnęłam z ulgą.

Jak trudno jest zrozumieć Boya, jego wady i zalety, świadczą też listy, które otrzymuję od czytelników. Jeden z nich pyta, jakim sposobem „biedny student” mógł trafić do kół intelektualnych albo „wysoko

urodzonych”. Boy nigdy nie był „biednym studentem”. Dom rodzic' był zamożny i Boyowi nie brakowało niczego. Przy tym, dzięki sła«/ ojca, miał wstęp do wszystkich salonów, nie mówiąc już o tym, że jed gałąź rodziny Żeleńskich nosiła tytuł hrabiowski. Jeżeli rznął w karty z (bardzo przejściowej) namiętności albo dlatego, że kochanki jegn zwłaszcza Dagny, miały duże wymagania, więc zaloty światowe? młodzieńca były kosztowne. W związku z tym jeszcze inna odpowiedź-pytają mnie, czy ta lub owa miłość Boya była „platoniczna”. Wiem dużo o romansach Boya, ale ani o jednym „platonicznym”. Był człowiekiem o dużym temperamencie, o nieopisanym uroku i wybitnej sytuacji towarzyskiej. Panny i mężatki, aktorki i hrabiny nie robiły mu trudności.

Opowiedziałam o czarnej serii w życiu Boya, teraz chciałabym ten obraz nieco rozjaśnić. Wielką radością w jego życiu był mój domek, czy też willa, w Podkowie Leśnej. Jak już wspominałam, spędzałam tam po! roku, a Boy był u mnie bardzo częstym gościem. Chętnie pracował w ogrodzie, choć nie znał się zupełnie na ogrodnictwie ani na roślinach, kwitnące kartofle mylił z truskawkami i najchętniej gracował ścieżki (stąd fotografia z gracą, fotografia, która mi ocalała). Czasem robił rzeczy absurdalne i niepotrzebne, np. zbierał kamyczki i znosił je na kupkę. Kiedy mu zwróciłam uwagę, że to nie może przydać się na nic, odpowiedział z westchnieniem: „I mnie czasem wolno być irracjonalistą”. W ogóle reakcje jego były nieprzewidywalne. Kiedy raz pochwaliłam się przed nim sadem, w którym gałęzie

uginały się od gruszek, jabłek, późnych czereśni i śliwek, powiedział: „Za dużo żarcia” — i odszedł z niesmakiem.

Kiedy sadziłam przy nim nasiona warzyw czy jarzyn, kiwał głową i mówił: „To bardzo dziwne, żeby rodić w ten sposób”.

Obecność sławnego człowieka w moim ogrodzie, a zwłaszcza jego praca, budziły powszechną sensację w okolicy. Ludzie stawali przy płocie i patrzyli. Przyjazdy Boya do Podkowy byłyby większym jeszcze ewenementem, gdyby nie skoncentrowana nagonka prasy. Wobec tego wielu podkowników się krzywiło, patrząc na pochyloną postać, idącą od stacji, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Na tym tle wybuchła też moja pierwsza (i jedyna) kłótnia z Marynią?—Miałam parę tysięcy książek, a Marynia zimną nie miała nic do roboty—bo, wraz ze wzrostem zarobków męża, zatrudniałam w Warszawie zawodową kucharkę. Chcąc zapewnić na starość skromny byt

moje)

254

rze, poprosiłam Marynię, aby w „pustych” miesiącach wypożyczała ' • ^ za opłatą, niby w czytelni. Propozycja moja spotkała się entuzjazmem. Marynia stała się niemal intelektualistką i w wolnych chwilach „pożerała” książki (albo bodaj tytuły). Od tego czasu, kiedy się i. tern mówiło: „Usiądźmy w cieniu”, Marynia dodawała niezmiennie:

„W cieniu zakwitających dziewcząt”.

Otóż, wypożyczając zimną książki różnym paniusiom (Maminek robił to latem), z których większość była endecka, musiała się nasłuchać wielu obelg na temat Boya, którego zresztą lubiła i o którym mówiła zawsze: To jest prawdziwy pan!” (w znaczeniu seigneur).

Pewnego dnia nie wytrzymała i powiedziała mi coś bardzo przykrego na temat jego artykułów „kościelnych”, czyli Naszych okupantów. Słowa jej były tak jadownicze, że mimo całej sympatii, jaką czułam dla tej kobiety (która dała mi potem moc dowodów ofiarności i poświęcenia w czasie okupacji), powiedziałam jej ostro, że szkalowania moich gości nie zniosę i że musimy się rozstać. Nastąpiły przykre miesiące i dla mnie, i nade wszystko dla Maryni, która zmieniała miejsce po miejscu, nigdzie nie mogąc się dopasować. Potem, któregoś dnia przyszła do mnie, padłyśmy sobie w objęcia i odtąd pozostałyśmy razem aż do jej śmierci.

Miałam w Podkowie indyczkę, która często towarzyszyła nam w spacerach po ogrodzie. Ale przyszła jesień, i co się wtedy robi w drobiu? Po prostu się ją zjadło (czuję do dziś wyrzuty sumienia). Boy, zaproszony na obiad, powiedział ze zgrozą: „Czuję zimny nóż na gardle”. I dodał: „Niedługo poda nam pani Kamińskiego w galarecie”. Nie posądzałam go o takie przywiązanie do owej indyczki, ale cóż — stało się, i nie ja zarządzałam podwórkiem, tylko Marynia.

Owoce z drzewa (mimo, że było ich za dużo), kwiaty z grządki, wobec których Boy był obojętny, psy (z których jedną parę, ku zgorszeniu Boya, nazwałam Tristan i Izolda), koty, wiewiórki, ptaki (zwłaszcza pewna cudownej urody sójka), wszystko to dawało mi bardzo wiele radości. Ale najprzyjemniejsze było chyba chodzenie po lesie. Lasy Młochowskie! Nie wiem, gdzie w Polsce można znaleźć coś podobnego. Wożę w Puszczy Białowieskiej. Dęby wieloletnie. sosny eksplodujące r"ernal w stratosferze, paprocie, w których z łatwością mógł się schować Cziowiek, wrzosi niewyczerpane, brzozy potężne i zwiewne, mchy, w których tonęły stopy, ścieżki wydeptane przez zwierzyne, senne, le°czekiwane jeziora...

Boy, jak już pisałam, był niezmordowanym Piechurem, toteż owe Lasy Miechowskie znaliśmy dogłębnie. Jakby

255

już jeszcze miały uroków, w czerwcu zapalały się wieczorami tysiące „fajlców, robaczków świętojańskich — prawdziwy sen nocy letniej. Podkowie nie pisał nigdy. Chodził, patrzył, dziwił się, oddychał

teboko i zapominał o swoich troskach.

Były ' w mieście jasne chwile. Nie premiery, bo stanowiły dla Boya iężką pracę, ale czasem kolacje u Simona i Steckiego, po teatrze, a nade wszystko soboty, kiedy schodzili się goście. Boy nie lubił „bywać”, choć stale go zapraszano. W pewnym momencie więc postanowili z panią Fusią przyjmować u siebie tych, którzy ich chcieli widzieć (i których oni chcieli widzieć), bez obowiązku rewanzu. „Soboty” te zaczęły się dopiero wtedy, kiedy pp. Żeleńscy przenieśli się na Krakowskie, tuż koło Dziekanki, z tyłu za istniejącym do dziś skwerkiem i figurą Matki Boskiej. Było to miejsce ciche i spokojne, nieco na uboczu od gwarnej ulicy, a jednocześnie w sercu miasta. Ach, te soboty u państwa Boyów! Bywali tam wszyscy, którzy liczyli się w Warszawie i wśród przyjezdnych, bo ten „salon” (po prostu gabinet Boya, wraz z przylegającym buduarciem) stał się w jakimś sensie osobliwością miasta. Najpiękniejsze aktorki, najlepsi aktorzy, najwybitniejsi literaci (prócz wrogów), trochę przedstawicieli medycyny i prawa, bardzo rzadko ktoś z rządu (Boy podpisał protest przeciwko Brześciowi i Berezie). Pan domu był fascynujący i dowcipny, pani domu pełna uroku i cichego, taktownego rozumu, nastrój zawsze swobodny, bez wulgarności. Leon Schiller śpiewał przy fortepianie stare piosenki, Teofil Trzciniński repertuar Bruanta, „Chat Noir” i „Zielonego Balonika”, Jaracz deklamował (rzadko) Sokratesa tańczącego — ale jak, to trzeba było słyszeć — nie wymienię wszystkich. Parę razy zjawiała się egzotyczna postać, druga po Dagny miłość Boya, aktorka, później miliarderką — Jadwiga Mrozowska, dla której Boy — jak mi to sam wyznał — napisał większość swoich erotyków, zwłaszcza Chciałbym przy pani ...uchnie być takim cichym amantem. * A skoro o Mrozowskiej, to jeszcze inne zabawne wspomnienie Boya. Kiedy aktorka wyszła już za finansistę włoskiego Polskiego pochodzenia — Józefa Toeplitza (1918), zaprosiła Boya i we r^ojkę wyruszyli autem (co było wówczas rzadkością) w podróż po ^oszech. Mężowi szepnęła, że ten męski, zdrowy na pozór Boy jest estety impotentem i że z jego strony żadne niebezpieczeństwo jej nie Tr^o21- Boyowi powiedziała na ucho to samo o mężu, cierpiąc rzekomo,

Ze małż

czasu d

zenstwo jej jest tylko pozorne. Obaj panowie dali się zbujać i od ^o czasu poklepywali się nawzajem ze współczuciem po ramieniu,

257

ale za to podróż odbyła się bez przeszkód. Kiedy poznałam Mrozowską u Boyów, już się jej nie trzymały takie figle, była to starsza, poważn-^o pani, o siwiejących włosach, teozofka, która właśnie przedsiębrała dług. i kosztowną wyprawę do Tybetu, w poszukiwaniu Wiecznej Tajemnicy W 1929 roku dotarła przez Turkiestan na Pamir, a odkryta tam przez nią przełęcz w górach Kurtaka otrzymała nazwę od jej imienia i nazwiska. Dużo podróżowała i opisywała swoje eskapady w książkach pełnych ezoterycznego ducha.

W czasie „sobót” u pp. Żeleńskich podawano boskie malutkie ciasteczka wyrobu pani domu, która przepisów strzegła zazdrośnie wywodziły się bowiem od jakichś babek i prababek. Zresztą i tak nikt by jej w tym nie dorównał. Nigdy alkoholu — kawa i herbata, to wszystko. Główną atrakcją tych zebrań była rozmowa, czasem poważna, a czasem żartobliwa, w której pani Fusia — nie mniej od męża atrakcyjna — celowała. Dla tej rozmowy, której kunszt coraz bardziej się zatracza. ludzie się właśnie schodzili. Nie było mowy o snobizmie — Boy zapraszał po prostu swoich znajomych, a że to często bywały znakomitości... Jestem pewna, że przy okazji narobił sobie nowych wrogów — wszystkich nie zaproszonych, ale na to nie było rady. Zresztą Boy był tak skromny, że do głowy mu nie przyszło, iż ktoś może uważać za zaszczyt bywanie u niego. Ot, schodziła się gromada przyjaciół czy kumpli i to wszystko.

Mieszkanie było urządzone tak, jak na Smolnej: te same antyki, dywany, obrazy i tylko w jadalni stopy nie sprzedanych, niestety, egzemplarzy „Biblioteki Boya”. Mnóstwo Witkacych i przesu-downe portrety Wyspiańskiego. W gabinecie nie ukończona korekta Czasu odnalezionego Prousta, która miała spłonąć w czasie wojny. Wszystko się spaliło, nie została nawet garstka prochu.

Kiedy Boy bywał w dobrym humorze, trzymały się go kawały. Oto na przykład przeczytał pewnego razu ogłoszenie matrymonialne w gazecie, zaczynające się od słów: „Solwejk szuka człowieka itd.” To się stało bodźcem do zabawnego artykułu, ale na tym nie koniec. Rzekoma Solwejk (jak silne były jeszcze wpływy literatury skandynawskiej) zachwycona tym, że sławny człowiek zajął się jej ogłoszeniem, napis*»a do niego entuzjastyczny list. Trafiła właśnie na okres dobrego humoru i oto Boy powiedział do mnie pewnego dnia: „Idziemy do Solwejk-zobaczmy, jak wygląda. Tylko musi się pani przebrać po męski i wystąpić w roli mego sekretarza”. Zrobiłam, co mogłam, przyzłaziłam krótkie i tak włosy, znalazłam gdzieś jakiś pasujący na mnie garnitur,*

258

nik by} nieoczekiwany: dość wysoka (zwłaszcza na obcasach), w męski/fli stroju wydawałam się malutka i niestety bardzo dwuznacznie wyglądająca. Solwejk przyjęła Boya entuzjastycznie, ale skrzywiła się wyraźnie, zobaczywszy, że przyszedł z sekretarzem. Była to dziewczyna średnio przystojna, pospolita, głupia jak but. Usiłowała nawiązać flirt z Boyem, ale kiedy zerknęła na mnie, widać było wyraźny niepokój w jej twarzy. Czara —jak to się mówi — przepełniła się, kiedy odchodząc Boy, zapomniawszy o moim przebraniu, zerwał się, odsunął skwapliwie moje krzesło i podał mi palto. Biedna Solwejk straciła wszelkie złudzenia, a w dodatku z pewnością posądziła Boya o skłonności, których nie miał.

Ale pederacji, dlatego że stanął w ich obronie, uznali go niejako za swego patrona. Temu zawdzięczam, że jakaś zakochana para w spodniach zaproponowała Boyowi wycieczkę samochodem (jeżdżenie samochodem bez szofera, no i samochód w ogóle, nie były wówczas rzeczą częstą). Boy zgodził się na propozycję, bo chciał odwiedzić Jakuba

Wojciechowskiego, robotnika, autora wybornej i oryginalnej książki pt. Raz kiedyś a obecnie (1933). Dojazd do wsi, w której mieszkał Wojciechowski, był trudny, toteż propozycja obu panów przyszła w samą porę. Boy postawił tylko warunek, że zabierze mnie ze sobą, już nie w męskim przebraniu. Była to dla nas okazja do uroczej wycieczki, a przy tym postać Wojciechowskiego, którego Boy „odkrył” i któremu patronował, budziła nasze zaciekawienie. Siedzieliśmy więc sobie na tylnym siedzeniu i pękaliśmy ze śmiechu (dyskretnie) widząc, jak kierowca i jego przyjaciel czulą się ze sobą. Wydawało nam się to przekomiczne — homoseksualizm nie był wówczas tak jawny jak obecnie i dlatego zapewne zachowanie obu panów tak nas śmieszyło. Wojciechowski zasługiwał na tę wyprawę. Gościnnie (obaj zakochani znikli na szczęście gdzieś w lesie), godny, jak tylko mądry chłop być Potrafi, serdeczny, bez poufałości, swobodny bez chamstwa. Mile wspominam tę wizytę. W powrotnej drodze przestały nas już bawić zaloty pedałów, cieszyliśmy się pejzażem, byliśmy przy tym zmęczeni i senni, ale zadowoleni z wycieczki.

A teraz, zanim przejdę do innych spraw, parę anegdot o Boyu. ^o dzieci miał stosunek raczej obojętny (może uraz na skutek Pediatrycznej przeszłości, której nie cierpiał). Kiedyś poszłam z nim do

259

parku po mego małego synka. Boy zapytał z właściwym sobie H mem: „Ale po czym właściwie poznaje pani swoje dziecko?” W Wie dzieci były dla mego jednakowe i mało interesujące. Bo albo & na głupich bęcwałów i dlaczego ma mnie wzruszać bęcwał ma mż duży. Albo wyrosną na rozumnych, miłych ludzi (znikoma no to wtedy pogadamy. Nie mam za dużo kredytu do udzielania' » '

Muzyki nie lubił. Dlaczego! Syn kompozytora? Bo za silnie ' reagował. „Nie znoszę, żeby coś pastwiło się nade mną wywlek”) "" mnie flaki, wprowadzało w głupią radość albo roztkliwiała c/v H wowało. To gwałt popełniony na człowieku". I konsekwentnie^' chodził na koncerty. Ale kiedy jednak zdarzyło mu się słyszeć "dób" muzykę, długo potem był nieswój i rozstrojony ' I wreszcie kwiaty. Traktował je obojętnie, nie rozumiał ich piękność, i wierzył, że w gruncie rzeczy wszyscy mężczyźni mają do nich ten właśnie stosunek. Natomiast kobiety... „Co to jest - me mógł w z podziwu - że kobiety tak szaleją za kwiatami"? To jest tajemnicze powinowactwo. Mistyka. I tak naprawdę, to tylko ten hol złożony przez mężczyznę w kwiatach zaspokaja w pełni kobiety: durne' ambicję, miłość, próżność, tkliwość i nawet zmysły"

Dała mu na to odpowiedź Pawlikowska w pięknym wierszu, pisząc:

Najodważniejsza Płci apoteozo, W różach, storczykach, Liliach, tuberozach!

Od czasu do czasu wspominał swoje dzieciństwo. Za zgrozą Pończochy, wysokie trzewiki, nawet latem, koronkowe albo sztywne kołnierzyki z fontaziem. Guwernerzy z trzcinkami, którymi bili boleśnie. Nie wolno było biegać, pocić się, plamić ubrania. Przy stole dzieci nie miały głosu i w ogóle niedopuszczalne było, żeby się odzywały. Patrząc na mego prawie gołego synka, hasającego swobodnie P° ogrodzie, mówił: „Nigdy nikomu niczego nie zazdrościłem ani sławy, ani piękności, ani bogactwa. Tylko jemu, że ma panią za matkę. Ach. Boże! ' I westchnąwszy ciężko, szedł gracować ścieżkę

Jako uczeń, miał zwyczaj idąc do szkoły klękać przed figurą Matki Boskiej i zmawiać pacierz. Ale gdy właśnie od jakiegoś czasu przeżywał kryzys religijny, przestał się modlić. Z hardo podniesioną głową wszedł

260

1

koty i tegoż dnia dostał pięć dwój. „Taki natychmiastowy odwet ^° ony nieba zrobił na mnie silne wrażenie. I jak tu się było porywać Ze takiego przeciwnika, kiedy w domu groziło za dwójki lanie. Toteż 113 dłuższy czas wróciłem do swojej figury".

11 Mile wspominał książkę dla młodzieży, tłumaczoną ongi przez jego tętę Grabowską, Małych mężczyzn Alcott. Zwłaszcza lubił recytować śmiejąc się, wierszyk z tej powieści: „Małe wody kropelki — Pia-hiziarneczka małe — Tworzą ocean wielki — Tworzą kraje wspaniałe — Małe słówka życzliwe — Wielką korzyść oddają — Tworzą szczęście prawdziwe — Życie w raj zamieniają".

Tytuł Słówka właśnie z tego wierszyka bierze początek. Jego własny, nie drukowany w żadnym zbiorze wierszyk, typowo boyowski:

Droga matko, twoje dziecię Samo byłoby na świecie, Gdyby nie rodzice mili, :•• Co łaskawie je spłodzili.

Boy był wielkim sceptykiem, jeżeli chodziło o medycynę. Nie chciał brać lekarstw, nie wierzył w lekarzy, uważał, że taki czy inny typ leczenia to po prostu kwestia mody. „Po odkryciach Pasteura — mówił — zabiliśmy (my, lekarze) setki tysięcy dzieci, w obłądnym lęku przed bakteriami dając niemowlętom tylko przegotowane potrawy". I jeszcze: „Za moich czasów istniał slogan, drukowany na kartkach w Karls-badzie: «Zucker ist Gift» (cukier to trucizna). Dziś istnieje inny slogan: «Cukier krzepi». A medycyna podpisuje to i tamto. Leczenie polega głównie na autosugestii".

Istotnie tak było, właśnie w jego wypadku. Wynaleziono wówczas witaminę C. „To podobno cudowny środek — mówił Boy — działa jak czarna kawa i nie szkodzi. Wystarczy jedna pastylka". I odtąd, siadając do pisania zażywał małą pastyleczkę witaminy C, co w porównaniu z dawkami, jakie bierze się dzisiaj, jest śmieszne. A jednak działało eudownie, jak twierdził. Czyli, że to, co mówił o autosugestii w medycynie> było jak większość rzeczy, które głosił, prawdą.

. W okresie, kiedy go znałam, Boy nie miał już najmniejszego poję-
a o medycynie, albo nie chciał go mieć. Często dzwonił do mnie, py-aJ?c o radę w wypadku
jakiejs dolegliwości. Sam, kiedy go się o coś py-

°> wzruszał ramionami. W jednym tylko przypadku, kiedy zaniepo-

261

kojona objawami erekcji u mego paromiesięcznego synka zapytałan co to znaczy, odparł:

„Niech się pani nie boi. Minie z wiekiem" t>0'

W jakimś okresie trzeba mi było robić zastrzyki domięśniowe R podjął się tego zadania.

Pierwszą igłę zgiał, drugą zgiał, trzecią złam.j ale zdołał wyciągnąć. Zdenerwowany krzyknął:

„Pani ma skórę H hipopotam!", co było tak komiczne u niego, który na ogół był na t temat
odmiennego zdania, że oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Czasem jednak się chwalił: „Nigdy pani nie zgadnie, w czyn celowałem jako lekarz. W
tracheotomii. Bardzo zręcznie umiałem dziecku przecinać tchawicę w przypadku krupu i
wrzucać jednym ruchem rurkę, aby mogło oddychać. Brrr!"

Czasem mówił ze zgorzeniem: „Dziecko to dziwny stwór. Można mu , obciąć rękę czy nogę,
a potem dać piernika i wtedy się śmieje. I jak tu brać takie coś poważnie".

Do śmierci miał stosunek fatalistyczny i spokojny. Kiedyś jakiś konował powiedział mu: „No,
panie kolego, między nami lekarzami, nie będziemy robili tajemnic. Ma pan raka". Boy ani
słowa nikomu o tym nie pisał, napisał testament, uporządkował papiery i czekał spokojnie,
co będzie dalej. Ale doktor go przeprosił — pomylił się w diagnozie. Boy przyjął to równie
spokojnie jak poprzedni wyrok.

Boy był nadzwyczaj dobrze wychowany i jednocześnie bardzo roztargniony. Kiedyś, w czasie
jakiegoś eleganckiego podwieczorku, wziął kawałek tortu i najspokojniej położył go OBOK
talerzyka, po czym jadł wytwornie widelczykiem, nie widząc tłustej plamy, która sif
rozpływała po pięknym obrusie, ku rozpaczy pani domu.

Innym razem wszedł do arystokratycznego salonu, gdzie w głębokim fotelu siedziała dostojna
babcia. Boy przywitał się, a następnie usiadł NA TYM SAMYM FOTELU, obok
przestraszonej staruszki, która nie bardzo wiedziała, co z sobą począć, i zaczął ją zabawiać
rozmową. Zerwał się, kiedy usłyszał ogólny wybuch śmiechu. Tłumaczył się, że myślał, iż to
była kanapa. Babcia zresztą twierdziła, że było bardzo przyjemnie.

Innym razem zapytał w kawiarni: „Czego ten gość tak mi sl? przygląda" — a to było jego
własne odbicie w lustrze.

Potrafił zadawać najdziwniejsze pytania. Na przykład: „Czym właściwie jedna kobieta różni
się od drugiej? Chyba kapeluszem". Nieznosł dancingów i tzw. lokali. Tańczyłam z nim raz
czy dwa w życiu. ubolewałam nad jego niechęcią do tańca, był to bowiem okres, tańczyli
wszyscy.

262

Kto jest dla pana najgenialniejszym powieściopisarzem?" —zapyta-" ^edyś. Sądziłam, że
odpowie: „Balzac". Ale on odpowiedział: Dostojewski".

" u/ zasadzie jednak nie lubił powieści, albo raczej przestał je lubić. „Za-
ry już jestem na to — mówił. — Trzeba przy tym zawierać zbyt wiele
owych znajomości, z których większość nic mnie nie obchodzi. No
fikcyjna fabuła wydaje mi się często zbyt naiwna, opisy nużące. Realne
życie ma o wiele większą pomysłowość".

Lubił bardzo pamiętniki i biografie, byle tylko nie „vies romancees". Fikcyjne dialogi
wielkich ludzi doprowadzały go do rozpaczy. Jeżeli chodzi o powieści, to wstrząsem był dla
niego Proust, którego zaliczał do największych.

Wspomnienie z młodych lat paryskich: Boy poznał w Lasku Bulori-skim piękną kobietę. Po
wspólnym obiedzie poszli do jej mieszkania, a jeszcze później, po scenie miłosnej, kiedy Boy
już chciał odejść, dama zawołała: „A gdzie moje dwa luidory?" Boy zasmucił się ogromnie.

„Proszę. A ja myślałem, że to tak... z miłości". Na to dziewczyna: „Marzyciel!" („Vous revez, mon ami"). „Pierwszy i ostatni raz — opowiadał Boy — ktoś mi powiedział, że jestem marzycielem".

Drobne anegdoty:

Boy pędem wbiegał na schody. „Dlaczego pan tak biegnie?" — „Bo mi schody szkodzą". — „?" — „No tak, chcę, żeby się prędzej skończyły. Dla zdrowia".

Boy bardzo lubił śledzie: „Mają tylko jedną wadę. Są tanie".

Lubił też parę przysłów, niezbyt cenzuralnych: „Nie widziała dupa s'ońca, ogorzała od miesiąca". Albo (czy przypadkiem nie własnego chowu?): „Stój w kącie, prącie, znajdą cię". Gwałcona dziewczyna woła: „Ciało moje weźcie, duszę mi zostawcie". „Co robić na pluskwy?" — Pytała pewna pani. „Polubić" (notabene, często się teraz powtarza ten dowcip, nie wiedząc, że to Boy był jego autorem).

°°y zawsze marzył o tym, żeby pisać co dzień, po trochu, regularnie, 2°rem wielu pisarzy francuskich. Nie udawało mu się to jednak, chyba

263

pracował nad przekładem, co mu szło bardziej systematycznie. \, Twyczaj jednak pracował okresami, w dużym podnieceniu, nad •, kimś cyklem, jak Brązownicy, Ludzie żywi czy Marysienka. Bo ^ za tym miał obowiązkowy cotygodniowy felieton do codziennego sma. no i recenzje teatralne. Kiedy wydawał książkę, popadał okropne przygnębienie: „Jestem skończony. Zupełnie wypatroszony. fzeao się pani śmieje? Ja chyba najlepiej wiem, że już nic w życiu nie lapis2?"- Był wówczas śmieszny, irytujący i bardzo biedny. Ogromnie też wtedy spragniony jakiegoś słowa pochwały, ale jeżeli padało ono / ust bliskiej mu osoby, uważał to jedynie za „ pocieszenie". Milczał D0nuro, chodził ze spuszczoną głową, unikał ludzi. „E, co tam. Nie potrafię w ogóle pracować. I w ogóle zmarnowałem życie". W takich okresach leżał całymi dniami na tapczanie i czytał, czytał. Jak już pisałam — mimo całego talentu, mimo powodzenia u czytelników, Boy przez lata swojej działalności był zupełnie nie doceniony jako pisarz. Krótkowzroczna krytyka podkreślała jego zasługi jako tłumacza, zupełnie pomijając jego dorobek jako pisarza oryginalnego, chyba żeby go zmieszać z błotem. Trudno mu było przyczepić jakąś etykietkę. Powieściopisarz? Nie. Poeta? Rola Stówek jako dzieła poetyckiego nie była zrozumiana. Krytyk? Nie tylko. Eseista? A co zrobić z rozkosznymi wspomnieniami autobiograficznymi? Filozof? Za frywo-Iny. Przecież sam podpisywał się, dla kpiny, „mędrzec" (tak go to ubawiło, że ktoś go tak nazwał). Słowem, nie wiadomo kto. Dostyc go jednak bolało, że nie oddawano mu sprawiedliwości.

„Mam dwie ogromne wady. Pierwsza, że za dużo piszę, druga, że żyję. Iako nieboszczyk byłbym mile widziany. A że tyle piszę?... U nas nie lubią ludzi, którzy za dużo pracują. Najlepiej tak jak Minam, nic nie robi i wszyscy mają dla niego kult. Gdybym ja tak potrafił. Napisać słówko co parę lat..."

Ktoś opowiadał przy Boyu o sąsiadkach, które się kłóciły o strych, 0 mężu, który pobił żonę, a paniusi, która szerzyła krzywdzące plotki. "Życie owadów" — westchnął Boy. — „?" — „No bo życiem ludzi tego lazwać nie można". To „życie owadów" bardzo się w naszych ^zmowach przyjęło.

^Ten facgt pisze pod siebie" — powiedział Boy o pewnym grafomanie. Wielu ludzi przesadnie gadatliwych kwalifikował jako mówiących P°d siebie.

nie znosił, kiedy zamawiano u niego jakąś pracę pomijając

265

wstydliwie kwestię honorarium. „Mogę pisać za darmo, jeżeli mi się spodoba, choć TA H^rm^ r..v™ ~» ---1 • "

J..—c-. ~ — .v, ...WHZ.C uiuwi, co płaci, jestem takim sar robotnikiem jak każdy inny i żyję z pracy. A ci wydawcy, redaktorzy poeci, osiakrew jpypli ^h^ri™ ««-.-"-- • • • —

„...ć za darmo, jeżeli mi się spodoba, choć za darmo piszą na ogół tylko grafomani. Ale jeśli b • zamawia u mnie jakąś robotę, niechże mówi, co płaci, jestem takim samym robotnikiem
...,j, ^JJV, - p.a^jy- AV ci wydawcy, redaktorzy^ poeci, psiakrew, jeżeli chodzi o cudze pieniądze. Teraz to tylko prawdziwi artyści zachowują się trzeźwo, rozsądnie i uczciwie, a tamci — 2a nje, bujają w obłokach". I dodawał: „A jeżeli który z nich (wydawców redaktorów) powie, że załatwimy sprawę później, jak przystoi między dzentelmenami, to wiem z góry, że to łobuz". Trzeba dodać, że Boy nie miał w sobie ani za grosz skąpstwa, był uczynny i hojny z natury.

Przyjechał kiedyś do Warszawy znakomity balzakista, Marcel Boute-ron, aby wygłosić odczyt o tym pisarzu, Boy miał to zaś poprzedzić słowem wstępnym. Sala była pełna, ale kiedy obaj pojawili się na estradzie, widzowie wybuchnęli niepowstrzymanym śmiechem. Prelegenci przystanęli, rozejrzeli się ze zdziwieniem, zażenowani taką reakcją tłumu, po czym każdy poszedł w inną stronę estrady i stanął za swoim stolikiem. Śmiech nie ustawał. A kiedy obaj jednocześnie włożyli okulary, w grubej, ciemnej oprawie, sala płakała po prostu ze śmiechu. Co się stało? Oto panowie z daleka byli zupełnie do siebie podobni. Jednakowego wzrostu, z ciemnym, przystrzyżonym wąsem, włosami zaczesanymi do tyłu. I jeszcze kiedy włożyli identyczne okulary, identycznym ruchem! Zupełny gag z musie hallu. Efekt był nieodparty, ale prelegenci nie mogli zrozumieć, czemu obudzili taką spontaniczną wesołość. W tych niezmiernie trudnych warunkach Boy zaczął mówić. I sala ucichła. A głos miał nieefektowny. Mówił jakby falsetem, co kolidowało z krzepką, męską postacią i potężną, pełną wyrazu głową. Lecz już po chwili słuchacz zapominał o niezbyt przyjemnym brzmieniu tego głosu. Treść i forma przemówienia, przepyszny dowcip, a nade wszystko wdzięk, który cechował każde słowo Boya, każdy jego ruch, wdzięk, który zniewalał nie tylko kobiety, ale i mężczyzn — wszystko to sprawiło, że, jak zwykle kiedy występował publicznie, sala zawrzała entuzjazmem. Tak że reszta wieczoru upłynęła¹ w kulturalnej, interesującej atmosferze.

Z okresu okupacji, kiedy przepadły mi wszystkie listy i książki¹ z dedykacjami Boya, pozostał mi tylko jeden autograf: miedzioryt Goy' przedstawiający upiornego, potężnego ogiera, który porywa olbrzym¹ mi zębiskami omdlewającą z rozkoszy kobietę. W dole na Boy napisał:

266

postałem tego Goyę od St. Przybyszewskiego w 1898 r. — ofiarowuję [renie Krzywickiej dla utrzymania ciągłości gatunku. Ljrszawa 15 II 1931 Boy-Żeleński

Najzabawniejsze, że, z właściwym sobie roztargnieniem, napisał jpperw Goję przez j, potem poprawił, i tak z tą poprawką dedykacja została.

1

Publiczka warszawska i różnego autoramentu pismacy byli zaszokowani tym, że bywam bez męża, że w południe wpadam sama do „Ziemiańskiej", na górkę, że po premierach (przecież byłam recenzentem) szlam, przeważnie w gronie mężczyzn-kolegów, na kolację do Simona i Steckiego. Główny trzon naszego stolika stanowili: Grydzew-ski, Słonimski, Boy, czasem Wierzyński, Hemar czy Tuwim, czasem któryś z wybitnych aktorów oraz nieodłączny od Grydza adwokat Emil Breiter, który pisywał recenzje z polskich książek do „Wiadomości". Człowiek zacny i miły, ale krytyk raczej lichy, bez wielkiego gustu i rozeznania. Biedak nie znał się na literaturze, toteż wybrał sobie metodę korzystną (towarzysko) i mało ryzykowną. Chwalił. Na prawo i na lewo, w przód i w tył — jak popadło.

Kiedy pytano Grydza, czemu tak nieszczęśliwie wybrał sobie krytyka, odpowiadał: „A któremu z was chciałoby się pisać o polskich książkach? Pani by chciała?" Nie chciałam. Ukazywała się wtedy obok książek dobrych taka masa śmiecia, że na samą myśl o konieczności czytania tych zwałów lichoty, od razu opuszczały człowieka siły. „No to nie

narzekajcie — mówił Grydz. — Breiter gotów pisać o wszystkim, jest bardzo użyteczny". No i nie było na to odpowiedzi. Nie chciałam pisać recenzji zawodowo, mimo wielokrotnych propozycji redaktora, jeszcze 1 dlatego, że pisałam krytyki teatralne. To mi wystarczało. Czasem bywałam zażenowana, że wypadło mi ferować wyroki, zwłaszcza jeżeli Cnodziło o kogoś znajomego. Pisałam więc o książkach (i nawet wydałam dwa zbiorki tych recenzji, obejmujące zresztą tylko część mego dorobku), ale tylko o takich, na które miałam ochotę. Ci, którzy mnie widzieli w Podkowie, jak pełam, kopałam, w chustce, C2y jak wiozłam do Warszawy koszyk pełen pomidorów lub owoców, nigdy by nie uwierzyli, że to ta sama kobieta, która wieczorem

267

// przedzierzga się w elegantkę, „bywa w świecie” i „celebryje” (nj2J niczego nie celebrowałam, ale tak sobie ludzie wyobrażali) na t\J świeczniku. Mnie to podwójne życie bawiło ogromnie, miałam uczuć' wielkiej pełni, wielkiego bogactwa przeżyć. Tylko że to innym n' mieściło się w głowie. Głupawa „legenda”, jaka podówczas krążył-o mnie, głosiła, że spędzam noce w lokalach, na picu i tańcu, że puszczam się z całym „Skamandrem” i stoma innymi, a nawet, że się oddaję za pieniądze. W tych wszystkich bajędach nie było słowa prawdy Małżeństwo moje było — być może — dość osobliwe, odbiegające od szablonu, Boya kochałam i byłam przez niego kochana i to wszystko Inni mężczyźni to byli tylko koledzy lub przyjaciele. Jerzy to rozumiał Jerzy rozumiał wszystko.

Nie mogę dotąd wyjść z podziwu dla jego niekonwencjonalności i szerokości horyzontów, dla jego nowoczesności. W gruncie rzeczy los nie był dla niego zbyt łaskawy: być synem sławnego człowieka i mieć znaną żonę to niełatwe do zniesienia, zwłaszcza gdy jest się samemu człowiekiem nieprzeciętnym. Ciągłe słyszeć: „Czy jest pan synem tego a tego?” — „Czy jest pan mężem tej a tej?” — nie jest przyjemne. A co dopiero pozostać przy boku żony, którą się niektórzy zachwycają, ale niektórzy opluwają i dosłownie bezczeszczą. Nigdy nie usłyszałam od niego słowa wyrzutu czy wymówki. Zabawne, że po zgodzie z teściem, kiedyśmy się nie tylko pogodzili, ale polubili, i od niego nie usłyszałam ani razu o „szarganiu nazwiska”. Nie mógł nie zdawać sobie sprawy z mego stosunku z Boyem, ale na ten temat niczego niechętnego nie powiedział. Przychodziliśmy do niego z wizytą na Langiewicza 25 wraz z Jerzym i gadaliśmy całymi godzinami. Jerzy raczej milczał w czasie naszych rozmów, do końca nie pozbył się kompleksu niższości w stosunku do ojca. Podobnie zresztą jak do brata Aleksandra.

Temu po powrocie z Rosji proponowano katedrę na Politechnice Warszawskiej, ale nie było w tym nic interesującego dla groszioroba, toteż odmówił. Miał inne ambicje: chcąc zaakcentować swoje szlacheckie pochodzenie i jakoś zneutralizować kształt nosa, kupić majątek, i to nie byle jaki, bo historyczny, Dębe Wielkie, nad Narwią. Żona jeg^o ubierała się bogato i niegustownie, zdradzała go notorycznie, z wieloma mężczyznami, przy czym zawsze był w pobliżu jakiś młody i przystojny sekretarz czy rządca. Trudno było wątpić, że wyszła za AleksandM głównie dla pieniędzy.

Z biegiem lat nasza sytuacja się zmieniła. Przestaliśmy być biedni 268

•anonimowi. Braterstwo, dotąd nam obojętni, wręcz niechętni, zaczęli nasze względy zabiegać. Jerzy stał się znanym adwokatem i Aleksand-

•nwi wygodnie było mieć doradcę prawnego za darmo. Wyzyskiwał brata, co było tym bardziej oburzające, że nie chodziło o obronę jego spraw osobistych, na skutek jakiejś krzywdy, tylko o obronę grubych ' interesów. Zaczął więc do nas od czasu do czasu przychodzić, a ja w myśl moich zasad (że kto wszedł w progi mego domu itd.) witałam go uprzejmie, ale zimno.

Tymczasem i ja stałam się znana i w końcu Aleksandrostwo pożałowali, że nie łączą nas bliższe stosunki, bo zaimponował im mój rozgłos. W dodatku, dziwnym zbiegiem okoliczności, byliśmy z moją bratową bardzo do siebie podobne, z tym że ona miała

ładniejszą twarz, a ja lepszą figurę. Co pewien czas ktoś ją pytał: „Czy Irena Krzywicka to pani krewna?” albo, co gorzej: „Czy to pani jest Irena Krzywicka?” Tak, że jakoś im było głupio odpowiadać, że się jednak pomimo powinowactwa nie znamy. Zaczęły się więc zabiegi i dość nieśmiałe zaloty z ich strony, a nawet, kiedy byłam pewnej zimy z Piotrusiem w Zakopanem, pani Anna złożyła mi wizytę, z którymś ze swoich adoratorów. Był to piękny chłopak, który z miejsca zaczął się do mnie przystawiać, co zupełnie nie leżało w zamierzeniach mojej bratowej. Przyjęłam oboje grzecznie i zimno. Zaprosiła mnie nawet na kulig, jednego z następnych dni. „Ach, to cudownie, pojedziemy!” — zawołał gigolo, bo to był właśnie taki typ. „Pan nie pojedzie” — odparła ostro bratowa. W końcu nie pojechałam ja, zachowałam się niegrzecznie, bo po prostu wyjechałam z Zakopanego bez pożegnania. Cała sprawa została przypieczętowana monumentalną gafą teścia. Powiedział do mnie pewnego dnia (a nigdy dotąd nie wspominał o moich ewentualnych stosunkach z Aleksandrostwem, znał przyczynę naszego oddalenia): „Słyszałem, że podobno zapoznaliście się bliżej z Anią (to była przesada). Otóż chciałem was zaprosić na kolację razem. Widzisz, oni nie mają dzieci, a Aleksander ma duży majątek...” „No, Jeżeli tak — przerwałam — to w ogóle nie ma mowy o spotkaniu. On ma 1 Tłyśleć, że my czyhamy na spadek po nim? O, nie”. Ton mój był zapewne tek stanowczy, że teść już więcej do tego tematu nie wracał, a stosunki ^oje z Aleksandrostwem nie poprawiły się. Jerzy nie miał żadnej innej rodziny, mimo że kilka osób tego samego Nazwiska znajduje się w Warszawie oraz, jak się przekonałam obecnie, w Ameryce. Ci z Warszawy, w przeważnej mierze pochodzą z żydows-

269

kiej rodziny Krywickich, którzy spolszczyli dokładniej swoje nazwisko wspomnę zabawną przygodę. Poszłam z Jędrusiem, jeszcze małym ^ dentysty w Zakopanem. Tenże, usłyszawszy moje nazwisko, zapytał ze cz ° czy jesteśmy krewnymi profesora. Odpowiedziałam, że tak, a oto jego wn, t Dentysta spojrział na mnie jak na wariatkę i zaczął czym prędzej, z do" przerażoną miną, dłużyć w zębie Jędrkowi. Ta jego mina dała mi H myślenia, ale dopiero po wyjściu, wybuchnęłam śmiechem. Przypomniało n się, że istnieje profesor stomatologii Krzywicki. Jak się orientowałam, byłto człowiek młody, mający koło czterdziestki. Dla mego dentysty to on był kimś wielkim, a nie Ludwik, o którym może nie słyszał. Co sobie pomyślał, widząc synową swego patrona, będącą właśnie w jego latach albo i starszą, oraz wnuka w tak wczesnym wieku? Zapewne, że jestem wariatką albo mitoman-ką. Z tego dość pospolity morał, że dla różnych ludzi różne są bożyszcza. Ale skoro już „wdepnęłam” w tematy rodzinne, warto teraz powiedzieć parę słów o moich krewnych. Najboleśniesz wspomnienie to Godek. Los znęcał się nad nią dalej. Zrujnowana, pohańbiona (we własnym mniemaniu), zraniona najsrożej z powodu tych, których kochała najbardziej, własnych dzieci, zachorowała ciężko. Z początku • wszyscy podziwiali jej szczupłą figurę, aż atak wściekłych bólów powalił ją bezpowrotnie. Nie zdawała sobie sprawy z tragizmu swej choroby, otoczenie już wiedziało, że to był rak. Ile łez wylałyśmy obie z Mamin-kiem, usłyszawszy od doktora ten wyrok! Kochałyśmy ją obie bardzo. Musiała umierać ciężko i boleśnie, otoczona — trzeba przyznać — gorącą opieką Stefy, opieką aż za natrętną, gorączkową („Ona mnie męczy” — skarżyła się cicho), ale szczerą. Ta córka, przez którą musiała tyle cierpieć, też ją bardzo kochała. „Niech pan im powie, panie doktorze — prosila rozdzierająco — że ja nie jestem umierająca, niech się tak o mnie nie troszcza”. Nie przywykła do tego, przywykła troszczyć się o innych. Pamiętam, jak, odurzona morfiną, otworzyła na chwilę przytomne oczy, jak mnie zobaczyła przy swoim łóżku i uśmiechnęła si? radośnie, poprzez swoje cierpienie. „To ty” — szepnęła z miłością, bo i ona mnie kochała. Nie mniej niż własne córki, a może nawet odrobin? więcej, nie zaznała bowiem z mego powodu żadnych zmartwień. Zajej trumną poszły, o dziwo, tłumy, pół ulicy Czackiego, masa okolicznych biedaków, sklepikarze, krawcowe. Okazało się dopiero wtedy, jak wielu ludziom

pomagała, nigdy się tym nie chwalać, jak ją kochali ci, których nie znaleźliśmy nawet z widzenia. Cóż z tego, kiedy nie. niaM zobaczyć tego pośmiertnego hołdu. Ile świętości było w tej kobiecie-

270

, je wierzyła w Boga! Mąż, starszy od niej o lat blisko czterdzieści.

7v ją i zmarł, przekroczywszy setkę. Stefa i dla niego okazała się " , corką aż do końca. A co dziwniejsze, okazała się dobrą ciotką dla

P

, ka który pozostał po Neli. W czasie drugiej wojny znalazła się z nim ' Rosji i tam pielęgnowała go z najczulszym oddaniem aż do jego , . rcj(miał bowiem gruźlicę. Wyrósł na wybitnie zdolnego chłopca, ale • nateao dziwaka. Moje stosunki ze Stefą nie były nigdy bliskie, a po 1 nierci Godka urwały się zupełnie. O jej ofiarności dla siostrzeńca tyszałam od innych polskich zesłańców do Kazachstanu. Ale też można obie wyobrazić, z jakim zdziwieniem powitałam ją, kiedy zjawiła się u mnie po wojnie, całkowicie odmieniona, w nowej zupełnie postaci: dzielnej dziennikarki, współpracownicy „Życia Warszawy", nie tykającej zresztą spraw politycznych. Była już wtedy dobrze po sześćdziesiątce _ szczupła, zgrabna, ożywiona (nawet za bardzo, raczej męcząca swoim podnieceniem), pijąca, tańcząca, rznąca w karty i budząca podziw swoją żywotnością. Błagała mnie tylko o jedno, abym nikomu nie zdradziła jej wieku, bo sobie ujęła ze dwadzieścia lat w papierach. Oczywiście, ani mi to było w głowie.

Los wuja Alberta był nie do pozazdroszczenia. Ożeniony z potworną Lizą, pozostawał całkowicie pod jej ciężkim pantoflem. Głupawy Urban, cielőco niemrawy i absolutnie niewyrazisty, nagle dokonał skoku w bok. Przepchany przez ojca przez egzamin maturalny z wielką biedą i przy pomocy wielu łapówek i innych, rozdawanych na prawo 1 lewo „prezentów", nagle uciekł z domu w towarzystwie służącej, której zrobił dziecko, i znikł z horyzontu. Zrozpaczony wuj Albert odnalazł go jakoś i począł pomagać materialnie niedołądze, ale nie uznał nigdy jego żony, która — jak twierdził — zaraziła Urbana syfilisem (jeszcze Pytanie, kto kogo). Zaś miła mamunia, Liza, nie tylko wyrzekła się syna 2 powodu mezaliansu (właśnie ona), ale odmówiła mu wydania jego rzeczy osobistych i zabroniła mężowi widywać go i dawać jakikolwiek Osilek. Urban zresztą umarł wkrótce, zostawiwszy jakąś kupkę dzieci, 0 których słuch zaginął. Wuj Albert nigdy nie chciał zdradzić ich adresu 1 nawet nie wiem, czy pomagał im dalej. Zresztą i moje stosunki z wujem przygasły, a nawet Maminek widywał ukochanego brata rzadko. Udawać się mogło, że jego życie jest już całkowicie przegrane, że na placu Pozostał potwór — Liza — i może jakieś pieniądze, które jednak nie Przysparzały żadnej radości. Jednak jeszcze na początku lat trzydziestych nastąpiła w wuju niepojęta przemiana.

271

Miał już koło sześćdziesiątki, kiedy nagle odmłodził, zablyszczał na nowo. Patrzyłam na tę przemianę zdumiona, pókj zrozumiałam jej przyczyny. Oto spotkałam kiedyś wuja gdzieś .! Wisłą, spacerującego rażnym krokiem pod rękę z jakąś panią. Udaliś oboje, że się nie widzimy (takie były czasy), ale kiedyśmy się spotyk-i potem, mrugaliśmy do siebie znacząco. Jak się zdołał wyrwać sn0 dyktatury żony, nie mam pojęcia. Ale na tym nie koniec. Kiedyś zapy(. mnie, czy mi może przywieźć do Podkowy pewnego znajornes chłopczyka, „genialne dziecko", jak twierdził. Oczywiście zgodziłam si< i wuj przyjechał bez żony, ale w towarzystwie kilkuletniego chłopca rzeczywiście rozgarniętego, choć o geniuszu nie mogło być mowy, j tal podobnego do wuja, że aż śmiech było patrzeć. Chłopiec (które»> imienia nie pamiętam) był w wieku mego Piotrusia i kiedy dzieci poszh się bawić do ogrodu, powiedziałam wujowi, zresztą rada z takiego obrotu rzeczy, bo należał mu się rewanż za zmarnowane życie: „Udalsii; wujowi syn". Na co wuj poczerwienił, zabelkotał i wreszcie

wyjął zapłoniony jak panna (jak się wówczas mówiło): „Skąd ty? Co ty? Co ci do głowy przychodzi?” Na co ja roześmiałam się głośno, ucałowałam wuja, którego nigdy nie przestałam lubić, i powiedziałam, że się bardzo cieszę. Nie protestował. Odtąd została między nami owa tajemnica, której wuj strzegł skwapliwie, zdradziwszy się jedynie przede mną. Dowiedziałam się jakoś bokiem, że jego ukochana była mężatką. Z tego zdarzenia wynika też pewna refleksja: niesprawiedliwy los sprawia, iż dla mężczyzn okres miłości nie kończy się właściwie nigdy. No bo czy sześćdziesięcioletnia kobieta miałaby jakiegokolwiek szansę, żeby budować sobie życie od nowa?

Z dawnymi przyjaciółmi drogi moje rozeszły się definitywnie. Andrzej Stawar, dotąd nieodłączny, wyprowadzający mnie wiernie na spacer, kiedy byłam w ciąży, znikł, odkąd poznałam Boya. Aleksandra Wata lubiłam, ale nie brałam go na serio: Ja : jednej strony i ja : drugiej stron) mego mopsoszelaznego piecyka to było dla mnie za wiele. Potem, gdy został doradcą literackim Gebethnera i Wolffa, miałam mu za złe, zfi w tym pravicowym wydawnictwie popiera — o paradoksie! — komunistycznych pisarzy, Wasilewską, Kruczkowskiego, podczas gdy współ' pracownicy „Wiadomości”, choćby Slonimski, a nawet Boy, trzymał l l byli poza jego nawiasem. I zdani w końcu na przygodnych wydawco^, którzy nabierali ich i nie dbali o ich interesy, jak mogło dbać najpoważniejsze wydawnictwo w Polsce.

272

Z Watem zbliżyłam się naprawdę w trzydzieści z górą lat później • we Francji, na emigracji i dopiero wtedy doceniłam jego nieposnól ? inteligencję. Pisarstwa jego nigdy nie lubiłam, a styl jego wydawał mi ^ ociężały i nieudolny, bez należytego wyczucia języka. Zostawił po sob'^ niezwykle interesujące wspomnienia, niestety nie spisane, tylko nagr ne na taśmę. * Sam bardzo brzydki, ożenił się z piękną i dobrą dzie</> czyną i pamiętam jeszcze, jak mnie zatrzymał na rogu Nowogrodzki i Kruczej, wołając: „Widziałaś, jakie mnie szczęście spotkało — tab ikna ”

„... „..._.^c, „J<*KI<* uimc szczęście spotkało — tak piękna dziewczyna mnie chciała”.

Watowa była zawsze miłą, dobrą kobietą, uwielbiała męża, ale Wat miał „kompleks «Skamandra»” a „Skamander” był mi najbliższy, więc nasze stosunki pośrednio na tym ucierpiały, choć zachowaliśmy nawzajem dla siebie sympatię. Czysto osobistą, bo zawodowo jemu nie podobało się to, co pisałam — „zbyt łatwe i popularne”, a mnie to, co on — mętne i zakalcowate. Tak, że na drodze literackiej nie mogliśmy się spotkać.

Ludzi o „kompleksie «Skamandra»” było wielu, i to wśród różnych pisarzy, odmiennych kierunków ideologicznych (tak że przeciwników mieliśmy i z prawa, i z lewa). Ten kompleks był najczęściej wrogim odruchem wobec sukcesu, zwłaszcza że ci niechętni pisarze mieli na ogół talenty o wiele mniejsze od tych, których nienawidzili. Mówili więc o „Skamandrze” i „Wiadomościach”, że to klika. Nic bardziej mylnego. Grydzewski, który był redaktorem obu tych pism, cieszył się niezwykle, kiedy znalazł jakiś nowy talent. Czasem aż do przesady. Tak na przykład kiedy Ewa Szelburg-Zarembina ogłosiła pierwszą powieść, na pierwszej stronie „Wiadomości” ukazał się ogromny tytuł (i recenzja Breitera): Nowe drogi literatury polskiej. „Nowe drogi”? Kto? Szelburg-Zarern-bina? Takiego tytułu i takiego hymnu pochwalnego nie doczekał się nikt ze współpracowników „Wiadomości”, nawet Boy. A już piękną chwil? w życiu Grydza stanowił moment, kiedy udało mu się pozyskać artykuł jakiegoś endeka. Przez przekorę czy snobizm, trudno powiedzieć. Kiedy pojawiał się nowy talent — szalał. Ferdurke cały zespół pisma olśniła, powitano młodego Gombrowicza owacyjnie, co prą wda J>ez.: wielkiej wzajemności. Ach, i jeszcze jeden debiut pamiętam. Grydz dał na pierwszej stronie pisma moją recenzję ze Wspólnego pokoju Uniłowskie-go.* Od tej chwili Zbyszek został przyjęty przez nas wszystkich jaK swój. Tych parę przykładów (a mogłabym je mnożyć) wykazuje, czy stanowiliśmy klikę. Niestety, rzadko kto z piszących sięgał poziom Uniłowskiego czy, zwłaszcza, Gombrowicza. Stąd zawiści i nienawiść!

7 (jniłowski miałam nie lada przeprawę. Oto chłopak zakochał się mnie- Byłam od niego o jakie dziesięć lat starsza, no i w ogóle we szllje go lubiłam, ale nie podobał mi się jako mężczyzna. Był ^niego wzrostu, raczej niewysoki, tłuściutki, o okrągłej, rumianej arzy, krótkim nosku i pulchnych, czerwonych ustach. Był może na-et za ładniutki, jak na chłopca, no i ta przedwczesna otyłość. Byłam laśnie w Zakopanem, kiedy wyznał mi swoją miłość, a przekonawszy je że jest bez wzajemności, poszedł wieczorem do jakiegoś lokalu, zdaje ,e że do Jaszczurówki, tam się upił, narozrabiał, porozbijał krzesła, nobił się poważnie z jakimś góralem. Następnego dnia ponowił swoje oświadczyzny, ale właśnie przyjechał Boy (wystarczyło, abym gdzieś wyjechała, aby po paru dniach przyjeżdżał za mną). Widocznie dopiero wtedy Zbyszek przekonał się, jak wygląda sytuacja, bo upił się jeszcze bardziej, już nie wiem gdzie, znów się bił i łamał meble i tak szalał przez kilka dni. Jak się dalej rzeczy miały, nie pamiętam, widzę tylko siebie wraz z nim wieczorem, już później, na placu Trzech Krzyży, jak mi zagląda groźnie pod kapelusz i pyta: „Powiedz, nie chcesz mnie? Powiedz!” — „Zbyszku, mówiłam już tyle razy...” — „Nie chcesz mnie? To dobrze. To się ożenię. Żebyś wiedziała”.

Jakoż ożenił się z przemiłą dziewczyną — nie mógł trafić lepiej. Z Lilpopówną z domu, miał z nią syna i byli chyba szczęśliwi. Ale tu przypomina mi się dość groźna przepowiednia-diagnoza. Byli tego dnia (jeszcze przed ślubem Zbyszka) goście w Podkowie: m.in. właśnie Zbyszek oraz znakomity, naprawdę znakomity gastrolog, docent Cy-tronberg, któremu nieszczęsne (z pewnego punktu widzenia) nazwisko i pochodzenie uniemożliwiały nawet marzenie o katedrze. Tytuł docenta był honorowy, niepłatny i nie upoważniający do niczego. Sporo Noich znajomych, wybitnych naukowców Żydów było docentami, ale dalszy dostęp do pracy naukowej był dla nich zamknięty, toteż wielu 1 nich emigrowało. Docent Cytronberg też wkrótce potem wyjechał do Ameryki, gdzie natychmiast dostał katedrę na jednym z poważniejszych uniwersytetów. Medycyna polska straciła w nim wybitnego specjalistę, Podobnie jak straciła docenta Anigszteina i doktora Ludwika Grossa ~~~ zwłaszcza ten ostatni zdobył sobie światowe nazwisko. Otóż Cytron-erg, siedząc na tarasie mojej willi w Podkowie i patrząc w ogród, gdzie Przechadzał się Uniłowski, powiedział nagle: „Biedny ten chłopak. Nie P°żyje długo”. — „Co pan mówi?” — przeraziłam się. „Przekona się Pani. Pierwsza lepsza choroba go powali. On nie ma żadnej odporno-

275

ści”. Niestety ta diagnoza-prognoza miała się sprawdzić i słyszę ; w słuchawce telefonicznej zboleły głos Zbyszka (już ożenio C?c „Irena, poradź coś. Tak mnie strasznie głowa boli”. _ n proszek?” — „Brałem. Nic nie pomaga”. — „A co ci jest poza t^ Wzywałeś doktora?” — „E, chyba nie ma po co. Mam straszny kat- ^ — „No to połóż się do łóżka. Od kataru się nie umiera”.

Niestety, umierało się wówczas od kataru. Stan zapalny poszedł nosa do opon mózgowych i po trzech dniach Zbyszek nie żył. * Czym' opisywać, jaki to był dla wszystkich, którzy go znali, straszny wstrza-I jaka strata dla literatury! A dla mnie osobiście druga, po Szczuce strata przyjaciela, za którym przepadałam. I jaka tragedia dla jeg0 młodej żony.

Zbyszek był chłopcem pełnym temperamentu, obdarzonym duża wrodzoną inteligencją i przenikliwością. Mało jednakże czytał. Na nim i na Antonim sprawdziła się, według mnie, rzecz raczej nieprzewidziana. Obaj nie przeszli przez szkołę i obaj niejako nie nauczyli się czytać. Nie należy tego brać dosłownie, ale faktem jest, że dłuższe czytanie (którego szkoła jest zaprawą) ich męczyło, właściwie go unikali. Byłam w zasa-. dzie wrogiem dotychczasowej szkoły, o której zachowałam nie najlepsze wspomnienie. Bierne słuchanie wykładów albo, co gorsza, słuchanie idiotycznego bąkania koleżanek, które najczęściej nie tylko nie umiały, ale nie rozumiały lekcji, konieczność przerzucania się mechanicznie z jednej dziedziny w drugą, kiedy właśnie zabrzmiał dzwonek na pauzę, tortura siedzenia na

niewygodnej ławce, wkuwanie przedmiotów, które nic interesowały i które nigdy w życiu nie będą potrzebne — mogłabym tak wyliczać długo. Niewątpliwie jednak nauka szkolna stanowiła gimnastykę czy zaprawę intelektualną: uczyła koncentrować się i obcować z tekstem, choćby niewdzięcznym, uczyła posługiwać się książką}. Otóż tych ćwiczeń ani Zbyszek, ani Antoni nie przeszli. Nie wyobrażam sobie, aby któryś z nich mógł spędzić kilka godzin nad książką. Ze jednak obaj byli bystrzy, inteligentni, chłonni, więc treść przeczytanych przez innych książek przenikała im niejako przez skórę, tak że często nie można się było spostrzec, jak się właściwie rzeczy mają.

Za Antoniego zresztą czytała Niuta Morska i w czasie ich codziennych spotkań referowała mu co ważniejsze teksty. To była, miedz)' innymi, tajemnica ich długoletniej przyjaźni. Było dla mnie d°sc zabawne słuchać czasem wynurzeń Niuty na jakiś temat, a później znaleźć wierne tego echo w następnej kronice Antoniego. Nie chcę i l l

276

7ego ująć — w rezultacie taki sposób przyswajania sobie cudzych l l 'ci może nie jest gorszy od innych. W każdym razie tandem działał f rdzo sprawnie. Antoni z wiekiem „nauczył” się czytać, ale nigdy się

'e stał pozeraczem książek. Miał jednak dość treści wewnętrznych, aby erpac z siebie samego już po śmierci Niuty i pisać doskonale felietony. ówne jednak luki w jego myśleniu datują się od najwcześniejszych lat, >jedy to buduje się człowiek od wewnątrz. Zbyszkowi brak kultury

telektualnej bardzo dolegał, ale miał dość talentu, aby to pokonać. Nie wiem jednak, co byłoby dalej, kiedy to już sama żywiołowość nie wystarcza, kiedy konieczna jest refleksja, odczytanie, samodzielne wybrnięcie z gąszczy cudzych myśli. A może i on z biegiem lat „nauczyłby” się czytać, czyli obcować stale z książką.

Drogi moje z dawnymi znajomymi raczej się rozeszły, zyskałam za to mnóstwo nowych, znałam, jak się to mówi, „całą Warszawę”. Nie całą jednak, duża bowiem część ówczesnej inteligencji polskiej należała do prawicy, i z tymi miałam mały kontakt. Chciałabym rzucić okiem dookoła siebie (siebie ówczesnej) i przyjrzeć się przez chwilę ludziom, którzy mnie otaczali.

Widzę Jankę Konarską, moją najbliższą przyjaciółkę, bardzo wybitną graficzkę, która zbierała za swoje prześliczne obrazy różne odznaczenia, m.in. srebrny medal na Olimpiadzie. Była to dziewczyna bardzo piękna, niezmiernie pocziwa, dobra i lojalna, ale nie z typu intelektualistek. Ta urocza kobieta miała przed małżeństwem jedną wielką nieszczęśliwą miłość, co było trudne do pojęcia. Kochała Karola Stry-jenskigo, męża malarki Zofii, utalentowanej półwariatki, cieszącej si? olbrzymim sukcesem w dwudziestoleciu. Karol Stryjeński był architektem, człowiekiem uroczym, pełnym wewnętrznego ognia, o su-c"ej, trochę indiańskiej twarzy. Był twórcą drzewnej szkoły zakopiańskiej i jednym z twórców (po starym Witkiewiczu) stylu zakopiańskie-8°- Mógł się podobać, ale był wierny swojej żonie i nie chciał wykorzystywać miłości młodej dziewczyny, jaką była podówczas Janka. Powie- piał jej wręcz, że jej nie kocha, że mogłaby być dla niego tylko przetną przygodą, a na to jest za dobra, za uczciwa, za czysta. I tak bied-

a śliczna Janeczka została ze swoją nie odwzajemnioną miłością. Dras-yczny szczegół: Karol, przy wszystkich swoich intelektualnych i męs-

277

/kich urokach, nie bardzo się my}. I odtąd, jak mówiła niezmiernie schludna Janka, zapach spoconych nóg kojarzył jej się zawsze z bicie ° serca i rozkosznym wzruszeniem.

Jeżeli wspominam o tym intymnym szczególe, to dlatego. żeu, pokazać, jak dziwnymi drogami biegna czasem ludzkie wzruszeni. i uczucia. Właściwie wszystko zawsze wychodzi poza schemat. Z Janka ożenił się później Antoni Słonimski i był całe życie bardzo szczęśliwy -I trudno sobie wyobrazić bardziej idealna żonę. Byłam z obojgiem bardzo blisko, z każdym

inaczej. Z Antonim to był sojusz zawodowy i intelektualny, który ani razu się nie zachwiał. Z Janka łączyła mnie raczej przyjaźń kobieca, bardzo intymna, serdeczna. Antoni, gdy postanowił się ożenić, pytał mnie po przyjaźni, co bym sadziła o jego związku z Janką. Nie mogłam odpowiedzieć inaczej jak entuzjastycznie. Janka także opowiedziała mi o swojej małżeńskiej decyzji, która jednakże nie przysła jej łatwo. Biedactwo, przeżywała wówczas ciężkie chwile. Pielęgnowała w poważnej chorobie swoją przyjaciółkę, aktorkę (średnią) Bronisławę Kojalłowiczównę, pierwszą żonę Wierzyńskiego. No i tak się stało, że Wierzyński się w Jance zakochał. Nie był on jej również obojętny, piękny, atrakcyjny — ale Janka była zbyt dobra, zbyt szlachetna, aby rozwalić małżeństwo przyjaciółki. Postanowiła więc z tą sprawą skończyć i wyjść za męża. Wybór jej padł na Antoniego, co świadczyło o jej dobrym guście (jedną z jej głównych cech był właśnie dobry gust).

Trzeba powiedzieć, że Wierzyński w całej tej trudnej sytuacji zachował się nieładnie. Cierpiał — zapewne, ale to nie usprawiedliwia, że nie umiał zapanować nad sobą, latał po wszystkich znajomych opowiadając, że Janka zrobiła mu świństwo (!), i prosząc, by przestano ją przyjmować. Niestety, w wielu przypadkach mu się to udało, mimo że ludzi powinna była zrazić niedzientelmeńskość takiego postępowania. Tak że Janka poczuła się przez pewien czas mocno osamotniona. Tym bardziej, że Antoni z początku nie bardzo się nadawał do małżeńskiego pożycia. Przyzwyczajony do długotrwałego kawalerstwa, nie zmienił rytmu swego istnienia. Janka żaliła się przede mną, że go właściwie nie widzi. Rano wstawał, siedział długo w łazience (zawsze był bardzo staranny i schludny), jadł śniadanie czytając gazetę, potem pracował trochę i szedł do kogoś na karty. Całe życie uwielbiał rznąć w brydza — a grał tak doskonale, że wygrane stanowiły pozycję w ich budżeci — wieczorem albo szli do teatru, albo z wizytami, albo Antoni znów gra

278

karty- Janka, która była wrażliwa i nieco sentymentalna (w najlepszym sensie tego słowa), czuła się czasem jak na pustyni. Na szczęście * wiekiem wszystko się jakoś ułożyło, a zwłaszcza w czasie wojny pobyt na obcej ziemi bardzo ich zbliżył, tak że stali się rzeczywiście udanym małżeństwem. Wobec tego należy się niski pokłon Antoniemu. Jego Kroniki były od lat ozdobą i atrakcją „Wiadomości”. Wszyscy zaczęli czytać pismo od ostatniej strony, czyli właśnie od niego. Mądrość wypowiedzi, umiejętność skrótu, genialny doprawdy dowcip i cywilna odwaga — oto były cechy tych zachwycających Kronik, które chyba zostaną na stałe w literaturze polskiej, i które, na szczęście, kochany mój Toleczek długo kontynuował, mimo podeszłego wieku. Ale wcześniej większą miał swobodę słowa i łatwiej mógł drażnić ludzkie umysły i wątroby. Czasem bywał może zbyt agresywny, czasem może — ale rzadko — niesprawiedliwy, ale zawsze bojowy, bezkompromisowy, nieprzekupny w każdym sensie. Te wszystkie jego cechy wystąpiły ze szczególną siłą w okresie regresji ideologicznej Polski i rosnących na świecie wpływów faszystowskich. Kroniki Antoniego w coraz większej mierze były poświęcone tej narastającej groźbie i cenzor zaczął się do nich wtrącać. Pamiętam słowa Jarosława: „Ach, ten Antoni, jakże on nudzi. Ciągłe i ciągle o tym faszyzmie”. A o czym miał pisać człowiek, który widział jasno nadchodzącą zarazę i starał się, narażając własne bezpieczeństwo, jakoś kraj przed nią ostrzec? Narażał się nie tylko moralnie, przysparzając sobie wrogów, ale też i fizycznie. Mógł być w każdej chwili obity czy okaleczony. Na szczęście nic mu się nie stało.

Już pisałam o mojej przyjaźni z Lilką Pawlikowską, ale teraz wspominałam jeszcze, jak ją odwiedziłam w bazie lotniczej, zwanej dość dziwnie „Irena”, i jak tam żyła w samotności ze swoim młodym mężem, Pomiatana przez różne generałowe i pułkownikowe, ona, która była tylko porucznikową.

Stosunki z Wierzyńskim, po sprawie z Janka, bardzo się ochłodziły. Zniechęciło mnie jego zachowanie. A poza tym istniały też względy Polityczne. Coraz ściślej był on związany z ozonową „Gazetą Polską”, uość obrzydliwą. Z Jarosławem Iwaszkiewiczem natomiast stosunki, 2 Początku chłodne, zaczęły się ożywiać. Wspominam mile jego bardzo Przyjemne i dość zmysłowe (ale bez żadnych ekscesów, nie była epoka P° temu) przyjatkta w pied-a-terre przy Kredytowej. Wydaje mi się, że ^ania nie bywała na nich obecna, a ja przychodziłam sama, bez Jerzego

279

/ czy Boya. Były to niejako zebrania męskie — w czym nie by}0 • dziwnego, zważywszy skłonności Jarosława — ale w których, jak win ^ z powyższego, uczestniczyła czasem ta czy owa kobieta. Piło się snn C i bywało bardzo wesoło: flirt, alkohol, intelektualna rozmowa— czase ° niewinne wygłupy. Moje stosunki z Jarosławem zacieśniły się zwłaszcza? pewnego dnia, kiedy przyszedł do mnie, do mego domu w Podkowi i poprosił o pożyczanie pieniędzy — na znaczek pocztowy. Dosłownie Nawet tych paru groszy nie miał w kieszeni.

Opowiedział mi wtedy siedząc przy kominku, historię swoich ostatnich paru lat, historię niemal melodramatyczną, która bardzo mną wstrząsnęła.

Oto po ślubie z Hanią, którą bardzo kochał i która dla niego rzuciła Krzysztofa Radziwiłła, żyli oboje w niezmiernie skromnych warunkach, bo stary Lilpop, mimo że posiadał miliony, nie chciał im dać pieniędzy. Był wściekły na córkę, że zamiast za księcia wyszła za męża za głodomora, pederastę i w dodatku poetę. Wszystkie te właściwości dyskredytowały zupełnie Jarosława w oczach teścia i całej rodziny żony. Stary Lilpop mieszkał na Stawisku, w wyjątkowo brzydkim, zbudowanym przez siebie „dworze”, wśród sporego folwarku.

Przylegające do folwarku, najpiękniejsze na świecie lasy rozparcelował i dzięki temu, jak pisałam, i ja zdobyłam kawałek ziemi i postawiłam dom wśród drzew. Pewnego dnia znaleziono starego Lilpopa z przestrzeloną skronią, odebrał sobie życie, nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego. Z dnia na dzień Jarosław i Hania obudzili się milionerami.

Jarosław miał szeroki gest, ponure Stawisko ożyło, ale zawsze snuły się po nim jakieś stare ciotki, babki, czarno ubrane i w gruncie rzeczy panujące nad całym tym domiszczem.

Jarosław w tym czasie dostał posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i był sekretarzem Poselstwa RP w Danii, jeżeli się nie mylę. Krążyły po Warszawie gadki o tym, jak pojechał na placówkę z wieloosobową świtą i jak jego ambasada okazała się jedną z najświetniejszych w małym państewku. Opowiadano sobie niebывале historie o przepychu, w jakim żył, o olbrzymich sumach, jakie wydawał.

I nagle, trach! całe to świetne życie się skończyło. Żona jego poroniła i doznała pomieszania zmysłów. Natychmiast zebrała się w kraju rada rodzinna, złożona głównie z owych ciotek i babek, snujących się P° ponurym wnętrzu Stawiska, ubezwłasnowolniła chorą Hanię, odebrała wszystkie prawa Jarosławowi, łącznie z prawem opieki rodzicielski6! (jemu, idealnemu ojcu, uwielbiającemu córki), i powierzyła cały zarzą.

280

,ttku, klucze od sejfu, słowem wszystko, młodemu nicponiowi, "" Jarosław, nagle odcięty od pieniędzy, z chorą żoną i całą świtą, wrócił do Polski. Miła rada rodzinna umieściła natychmiast Hanię Tworkach, nie pytając męża o zdanie, a Jarosław został na Stawisku, osobliwej sytuacji, bez grosza, bez prawa wtrącania się do wylewania córek. Wtedy to właśnie przyszedł do mnie pożyczyć parę groszy na znaczek.

" Ale to jeszcze nie koniec jego historii. Pewnego dnia siedział w swoim nied-a-terre na Kredytowej — do tego nie dobrała się rodzina — kiedy do drzwi zapukał i wszedł -ów L. Siadł przy biurku, rozmawiał o byle czym i Jarosław nagle zauważył, że jego gość stara się niepostrzeżenie wsunąć klucze od sejfu pod jego papiery. Natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i pojął, że ktoś tu musi umrzeć. Z pewnością sejf był pusty, L. podrzuci mu klucze, aby zwalić nań winę, po czym niewątpliwie go zabije, aby upozorować samobójstwo.

Jarosław poczuł się jak w pułapce. Jak się z niej wydostać? Na szczęście zadzwonił telefon, ktoś z miasta chciał z nim rozmawiać. Jarosław udał, że ten ktoś dzwoni z dołu, od dozorca. „Tak, jestem w domu — powiedział — wejdź na górę, czekam”. Na to przestraszony L. wstał i ciężkim krokiem, z opuszczonymi ramionami skierował się do drzwi. Plan jego się nie udał, musiał, jak sądził, spotkać ewentualnego świadka na schodach. Przegrał. Jakoż następnego dnia rano znaleziono jego trupa, z przestrzeloną skronią, na schodach prowadzących do „pałacu” w Stawisku. Sejf oczywiście okazał się pusty, folwark w długach, wielki finansowy krach. Wtedy owa głupia rada rodzinna dała spokój dotychczasowym szykanom w stosunku do Jarosława, który się poczuł znowu panem we własnym domu, opiekunem córek, opiekunem chorej żony. A że był Poetą, co tak źle widziano w rodzinie Hani, chwycił za pióro, napisał Lato w Nohant, zarobił sporo pieniędzy i spłacił najważniejsze długi. W owym czasie, przypominam sobie, spotkałam go pewnego dnia w kolejce EKD, jadącej do Warszawy. Wszedł do wagonu, wielki, Pi?kny, wspaniały i wszystkie oczy, jak zazwyczaj, obróciły się ku niemu. Siadł przy mnie i rozmawiał wesoło. Sądziłam, że jedzie do Warszawy, oto nadeszła stacja Tworki, Jarosław wstał dość gwałtownie z wagonu. Widziałam przez okno, jak w bramie szpitala złamał Si? niejako w pół, jak zgięty niemal, z opuszczonymi ramionami wszedł do szpitalnego parku. Zmiana, która zaszła w tym momencie w jego sylwetce, była wstrząsająca. Dzieciuch-Włodek był w owym czasie

281

lekarzem w Tworkach. Pytałam go, co myślą lekarze o stanie Hani i schizofrenia — odpowiedział — medycyna nie ma na to rady” A,° mimo tego ponurego wyroku Jarosław, odzyskawszy swoje prą ^ rodzinne, odebrał żonę ze szpitala. Spędzał z nią na Stawisku dlu •"* godziny, rozmawiając, dając jej różne drobne prace do wykonania i- Ł porządkowanie książek czy notatek. Z początku całe dni spędzali tak zamknięci razem, potem stan chorej zaczął się poprawiać, już tylko w pewnych godzinach wymagała opieki. I wreszcie — wyzdrowiała

Był to naprawdę heroiczny okres w życiu Jarosława i tylko ten, kto % wówczas znał, mógł ocenić jego straszliwy wysiłek i nieustającą dobroć i cierpliwość w tym staraniu, aby wyrwać żonę ze szponów nieszczęścia i choroby. Kiedy potem czytałam M<fA^ Jow?;/^ o(//4n;b/mt , powiedzia-łam do Jarosława: „To o tobie, o was”. „Naturalnie — odpowiedział — ty to wiesz, ale ci, którzy nie wiedzą, biorą to jedynie za literaturę”. Jarosław był zawsze idealnym mężem i ojcem (potem dziadkiem), a jego skłonności erotyczne, mój Boże, to była inna karta jego życiorysu. Po Stawisku snuli się zawsze jacyś szoferzy, sekretarze albo inne dziubasy, ale to w niczym nie mąciło życia rodzinnego. To był zawsze człowiek bardzo psychicznie skomplikowany, bardziej od innych, których znałam. Trzeba go było oglądać z różnych stron, aby objąć całość. Dalsze jego dzieje tłumaczyły się przez tę właśnie wieloosobowość jego natury). I w ten sposób on, przedwojenny antysemita, pomagał Żydom w czasie wojny, on, niosący stale chorągiew na procesjach w Podkowie, został później laureatem nagrody leninowskiej. Osobliwe. On, którego pied-a-terre w Warszawie było dosłownie wytapetowane fotografiami różnych Bourbon-Parmów i innych arystokratów, pozwalał różnym podejrzanym chłopakom buszować po Stawisku. On, który okazał mi w życiu dużo przyjaźni, kiedy nasze dzieci bawiły się razem, małe jeszcze podówczas szczeniaki, i kiedy ktoś zawołał: „Będzie z nich śliczna para”, odparł wzgardliwie: „Co takiego? Iwaszkiewiczówna dla Krzywickiego? Myślę, że moja córka będzie mierzyła wyżej”. On. ktoidy kiedyś powiedział, najszczerzej, bez zgrywania się: „Wszystko, c° napisałem, niewiele jest warte”, potem podobno w sposób pośredni zgłaszał akces do Nagrody Nobla.

Takie przykłady mogłabym mnożyć a mnożyć. Każdy zawiera w sobie sprzeczności, ale u Jarosława gama ich była s rozpięta: od wielkiej dobroci do antypatyczności, pewnego turalizmu, jak na to wskazuje choćby rola, jaką wobec władz o iun

po wojnie. Tysiąc przeciwności można było zaobserwować w ; naturze, i to takich, które się na pozór absolutnie wykluczają. Gdyby f" tak bardzo nie zakłamywał, mógłby napisać niesłychanie pasjonującą ".* autobiografię. Niestety, zabrakło mu odwagi, która w ogóle nie

mocną stroną jego charakteru. Ale nie mogę zapomnieć, że był dobry miał serce. Jako homo publicus był godny niechęci, jako człowiek prywatny był serdeczny i miły, odwrotnie niż Antoni — jako homo publicus — godny najwyższego szacunku, ale prywatnie egocentryk zupełnie niezdolny do wyjścia poza samego siebie.

Jeszcze o jednej przyjaciółce nie wspomniałam dotąd, o Wandzie Telakowskiej, malarce, a po wojnie organizatorce Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Była to indywidualność niepospolita. Nasza znajomość zaczęła się od tego, że się nie lubiliśmy, po czym pokochałyśmy się bardzo. Ogromnego wzrostu i pokaźnej tuszy, jako młoda dziewczyna jednak była bardzo zgrabna. Ciężała do naszej grupy całą duszą, choć była praktykującą katoliczką. Nie wyszła nigdy za męża, choć miała wielu pretendencjów. Jak się później dowiedziałam, przyczyną była nieszczęśliwa miłość, a bez sakramentu Wanda spać z nikim nie chciała. Pamiętam, jak zalecał się do niej jeden przystojny ziemianin i jak ona zerwała z nim z powodu... Słonimskiego. Oto weszli razem do Simona i typ powiedział: „Co to za Żyd tam gada w kącie?” „To Antoni Słonimski, mój przyjaciel i wielki poeta, a ty idź precz”. I tak skończyła się idylla. Oczywiście, w Wandzie nie było ani śladu antysemityzmu i podczas wojny wiele mi pomagała. Osobliwe jest tylko to, że pochodziła z PPS-owskiego domu i była córką niewierzących rodziców, a i ona, i jej siostra popadły niemal w dewocję. Zresztą bardzo tolerancyjną i stawiającą wymagania tylko im samym, nie narzucając ich nikomu.

Wanda miała zawsze ogromny temperament, który nie znajdując właściwego ujścia, przejawiał się głównie w rubasznym słownictwie, co stanowiło zabawny kontrast z jej świetnymi manierami doskonale wychowanej pani. Mniej utalentowana graficzka niż na przykład Janka Konarska, znalazła, o dziwo, właściwe sobie miejsce i zatrudnienie dopiero po wojnie, choć jej rzucano mnóstwo kłód pod nogi. Była niezmiernie wierną i lojalną przyjaciółką. Weredyczka, wali bez wahania prawdę prosto w oczy, często bywa nietaktowna i zawsze bardzo uczciwa i miła. Jak widać, moje uczucia do niej nie zmieniły się na przestrzeni kilkudziesięciu lat. To wiele.

284

W życiu towarzyskim było dość bujne. Przeciętnie dwa wieczory tygodniu zajmowały premiery, a potem kolacje u Simona i Steckiego gronie dziesięciu, dwudziestu osób. Boyowie w soboty urządzali opołudniowe przyjęcia, które czasem przeciągały się dość późno. Były to jour'ki wyraźnie intelektualne, których atrakcją stanowiła rozmowa ; czasem tylko śpiew, kiedy przychodził Leon Schiller, Trzciniński czy Zimińska. Poza Zimińską, którą bardzo ciągnęło do pisarzy, potem bywała tam i Smosarska, która, w przeciwieństwie do granych przez nią idiotycznych ról w filmach, była kobietą pełną prostoty i wdzięku, przy tym wcale niegłupią. Na ogół jednak mało utrzymywaliśmy stosunków z aktorami. Chodziło o to, żeby nie być posądzonym o faworyzowanie kogoś, a ponadto krępujące było uczucie krytykować znajomych, bo aktorzy, jak wiadomo, są szczególnie drażliwi. Oczywiście, znaleźmy wszystkich wybitniejszych, ale bliższych kontaktów nie było. Zbrzydzo-na nieustannymi napaściami w prasie i krzywdzącymi często plotkami, stworzyłam sobie niewielkie kółko znajomych, których przyjmowałam we czwartki. Poza tym bywały większe przyjęcia: u tego czy innego z prawników, na które chodziłam z Jerzym, czasem u Grydza, potem obiady u Janki i Antoniego Słonimskich, kiedy się pobrali.

Z dorywczych przyjęć jedno szczególnie zostało mi w pamięci. Było niespodziewane i znakomicie wyreżyserowane. Oto pewnego Sylwestra (który zazwyczaj spędzałam po prostu z Jerzym we dwoje, nigdzie nie chodząc, zresztą nie obchodziliśmy żadnych imienin, urodzin,

rocznic), o godzinie jedenastej zatelefonowała do mnie, do Boya i do Antoniego pi?kna i światowa pani Lempicka, błagając po prostu, żebyśmy przyszli do hrabiostwa Ostrowskich, że oni nie ośmielają się prosić tak * ostatniej chwili, ale że u nich to improwizowane itd. Jerzy nie chciał Pójść, Boyowa też nie. Skuszeni nie wiadomo czemu, chyba nie-sPodzianką, bo na ogół unikaliśmy zaproszeń do nieznanym ludzi, wybraliśmy się we troje. Raczej dla kawału niż z istotnej chęci. Ot, tak nam strzeliło do głowy. Wsiedliśmy do taksówki i kazaliśmy się wieźć do P!?knego pałacyku Ostrowskich, położnego nieco we wgłębieniu ulicy diodowej. Weszliśmy do obszernego hallu, prawie zupełnie ciemnego. a spotkanie wyszedł nam karzeł w liberii, jakiś pokraczny Drakula, 1 Wziął od nas okrycia, po czym bez słowa wskazał schody wiodące na g°r?. Schody też były mroczne, ale kiedyśmy się znaleźli na górnym Podeście, zobaczyliśmy jaskrawo oświetlony, pusty salon, na środku tórego stała, sama zupełnie, przepiękna pani domu, w olśniewającej,

285

długiej sukni. Kontrast między mrokiem a jasnością, między brzyH służącego a pięknnością pani domu był tak jaskrawy, że na chwile " „zatkało". Potem już przyjęcie potoczyło się zwykłym trybem: w sas' ^ nim salonie znalazł się pan domu i zgromadzeni goście, drzwi do jad' i • z bogatym bufetem były otwarte. Ale pierwsze wrażenie było nieznanie. Bawiliśmy się dobrze, ale niezbyt długo. Nikt z nas trojga ' tańczył — w owej epoce, kiedy tańczyli wszyscy. Jakiś elegant bardzo si do mnie przystawiał, ale na zaloty odpowiedziałam chłodno. Z Ostro wskimi później stosunki pozostały dość dalekie, właściwie nic nas nie łączyło, ale muszę przyznać, że był to najładniejszy Sylwester w moim życiu. Bywałam też z rzadka na balach publicznych, ale nudziłam się okropnie. Tłum obcych ludzi, podpicie goście i ja, nieustannie odmawiająca tancerzom, z których niektórzy odchodzili obrażeni. Raz. siłą niemal, organizatorzy zmusili mnie, abym zasiadła w operetkowym jury mającym wybrać najpiękniejszego pana. Pamiętam do dziś moja suknię: z czarnej przezroczystej gazy, ale tak gęsto marszczonęj w poprzek, że z tej przezroczystości niewiele zostało. Do tego pantofle jedwabne, mocno zielone i w tym samym kolorze naszyjnik ze sztucznych, grubych pereł na szyi. Miałam szczupłą figurę, więc to wszystko wyglądało dobrze. Pamiętam, że my, idiotki, wybrałyśmy na „najpiękniejszego pana" aktora Igo Syma, późniejszego agenta hitlerowskiego. Ale kto wówczas mógł się tego spodziewać! I ten bal nie przyniósł mi spodziewanej rozrywki, więc na przyszłość balów zaniechałam. Jeden jeszcze pamiętam, ale za to znakomity. Był wydany z racji międzynarodowego zjazdu Pen-Clubu w Warszawie. * Przyjechał Jules Ro-mains, którego poznałam sporo lat wcześniej. Pamiętał mnie, co więcej, natychmiast odszukał i nie odstąpił na krok przez cały czas trwania Kongresu, a na balu nosił za mną posłusznie torebkę. Dostałam od niego później kupę płomiennych listów, które spaliłam wraz z innym'-kiedy Niemcy weszli do Warszawy. Jego namiętność (prawdziwa lub sztuczna, bo nie mogłam się opędzić myśli, że wzorem Balzaka chce miłośnie korespondować z Polką), nie trafiała do mnie. Nie podobał n" się: był mały. brzydki, pretensjonalny, a poza tym byłam zakochana w kimś innym. Romaines pocieszył się w Krakowie z Magdale'1"! Samozwaniec. Podobno nawet napisał o nas obu powieść (tak twierdził Madzia), gdzie mnie przedstawił jako niedostępną „dumną P a swoje perypetie miłosne z nią opisał bardzo szczegółowo. Jakoś

286

książki nie miałam w ręku i nawet nie wiem, jaki jest jej tytuł. tc- rzebrnąć przez całe dzieło Romainesa jest ponad moje siły. * 1 \Większe wrażenie podczas tego balu Pen-Clubu (na którym miałam erwona. suknię i różę we włosach, co nie było modne, ale oryginalne) •obili na mnie państwo Galsworthy. Oboje. On wyraził chęć poznania mię podobno dlatego, że wyglądałam bardzo ładnie (mnie to pogłębiało). Galsworthy był wówczas u szczytu sławy, jego Sage rod foWtów czytali wszyscy. Rozmowę z nim, po francusku, wspominam najlepiej, choć dziś już nie potrafię powiedzieć, na jaki temat się toczyła. By) to wysoki, siwy

starszy pan, niezmiernie elegancki, wytworny i pociągający. Ale bardziej jeszcze mnie zastanowiła jego żona, która, jak to było powszechnie wiadomo, stała się prototypem Ireny, najpiękniejszej z kobiet. Pani Galsworthy była w owym czasie już niemłoda, siwa i na twarzy jej nie znać było śladów wielkiej urody. Za to figurę miała wspaniałą: wysoka, smukła i... wydekoltowana tak dalece, że widać jej było całe plecy do pasa, co nawet w owych „szalonych latach” wydawało się śmiałe, a w przypadku starszej kobiety zupełnie niebywale. Zresztą te obnażone plecy nie straciły dawnej urody. Przyłączyła się do mojej rozmowy z mężem, pełna uśmiechów i uprzejmości, a ja rozpływałam się w duchu z zachwytem nad tą imponującą parą. To było najsilniejsze wspomnienie z balu, na którym zresztą bawiłam się doskonale, a nawet tańczyłam. Sylwetki obojga Galsworthych pozostały mi na zawsze w pamięci.

Sława Galsworthy'ego na nowo wybuchła dzięki (złej) adaptacji telewizyjnej, w której zwłaszcza najpiękniejsza partia: spóźniona miłość starego Jolyona do Ireny i jego radosna śmierć — zostały zupełnie zmarnowane. Ale, jak zwykle po emisji telewizyjnej, ludzie rzucili się na książkę. I znów nasuwa się pytanie: kto dziś czyta pisarzy, którzy świecili mocnym blaskiem za czasów mojej młodości? Kto czyta Ro-main Rollanda. FranceX czterech panów M: Mauriaca, Maurois, Moranda, Maurrasa? Mauriac jest jeszcze żywy (na razie) dzięki Publicystyce, Maurois dzięki biografii. Naprawdę czytana (widzę to w bibliotece, w której abonuję książki) jest moja ulubiona Colette. ale to wszystko. Sartre'a też już nikt nie czyta. Kto czyta Uptoną Sinclaira, Dos Passosa, Sinclaira Lewisa? Kto czyta Wellsa, kto gra Sha-Wa- który stawiał się na równi z Szekspirem, a którego współczesni nie uważali może za geniusza, ale za bardzo wielkiego pisarza? Ze starszych utrzymali się na dobre Proust i Kafka. Kafki

287

w jego czasach nie doceniano, więc z dwóch geniuszy co najwyżej jednego w ogóle nie zauważono. Nie zauważyliśmy również sławnego Hemingwaya, Scotta Fitzgeralda i całej plejady współczesnych nam pisarzy amerykańskich. Ci, którzy byli w owej epoce myślicielami i penserami, jak Gide, Wells, Shaw, przedtem France, rychło przyszedli. Czyżby pisarze intelektualni mieli najmniej trwałe życie? A nio! powrócą jeszcze i staną się klasykami? Któż to może wiedzieć? I gdzieś dziś ich wielcy następcy? Czy znowu kogoś nie dostrzegamy? Chciałabym to wiedzieć. „C'est une tres belle epoque pour la science, tres mauvaise pour l'art" — powiedział mi kiedyś Julien Benda.

Mało wychodziłam poza swoje środowisko literackie i z żalem muszę powiedzieć, że należąc do kasty uprzywilejowanej, dość byłam daleka od trudnego dla większości życia owych czasów. Od panującego nagminnie bezrobocia, od chłopów dzielących zapałki na czworo. Wiedzieliśmy o tym i pisaliśmy, ale nasza wiedza nie była empiryczna. Moje życie prywatne i zawodowe pochłaniało mnie tak bardzo, że nie starczało po prostu czasu, aby zapuścić sondę bardziej w głąb współczesnego nam kraju. Walka o świadome macierzyństwo trochę mnie zbliżyła do zagadnień dręczących kobiety, ale działalność ta, mówiąc szczerze, skończyła się dość prędko. Zajadłe napaści prasy, kazania księży, niemożność z naszej strony prowadzenia jakiegokolwiek szerszej propagandy, wreszcie brak niezbędnych funduszy, wszystko to sprawiło, że frekwencja w poradni była nadzwyczaj mała. Z czasem zgasła cicho, ale nieodwołalnie. Tyle że poruszyliśmy trochę umysły i uświadomili lekarzy dobrej woli. Ale Kasa Chorych nie chciała o nas słyszeć, więc doraźnie przysłużyliśmy się raczej kobietom zamożnym, które mogły sobie pozwolić na wizytę u prywatnego ginekologa. A przecież chcieliśmy służyć właśnie kobietom biednym, umęczonym, obciążonym licznym potomstwem, którego przy nędżnych płacach nie mogły wychować. Było oczywiste, że nie trafimy do mas. Konieczne poparcie jakiegokolwiek większej organizacji społecznej, pomoc państwa — nie nadeszły, toteż nasze wysiłki nie zostały uwieńczone sukcesem.

Miała się jednak otworzyć przede mną inna jeszcze sfera działań³; a to za sprawą Grydza, któremu przyszło do głowy zaproponować mi pisanie reportaży sądowych. Pomysł dobry, sukces moich reportaży duży, zetknięcie z bolesnymi sprawami sądownictwa dość bezpośrednie-Właśnie to, że nie byłam specjalistką, że miałam świeże spojrzenie na zagadnienia, które dla wielu stały się rutyną, nadało mojemu sądowemu

288

, niu specjalną wartość. * Żałowałam zawsze, że Jerzy jest cywilistą, P je tarnikiem, jego praca o wiele bardziej by mnie pasjonowała.

on wolał subtelną grę prawną (tak jak grywał z upodobaniem w szachy) od stykania się z surowymi problemami życia.

Sprawa Gorgonowej to była chyba największa cause celebę polska. * Dostałam, już po wojnie, gruntowną pracę doktorską młodego prawnika Mieczysława Czubalskiego, który całe zdarzenie oraz proces referuje ze wszystkimi szczegółami. Przesłał mi swoją pracę „na znak hołdu”. Istotnie, w owym czasie cała niemal opinia była zmobilizowana przeciwko Gorgonowej, a ja należałam do bardzo nielicznych, którzy ją wzięli w obronę. Sprawa wyglądała pokrótce tak: pewien przedsiębiorca budowlany z okolic Lwowa, Zaremba, wziął sobie do domu, jako kochankę i gospodynię, kelnerkę z pobliskiej oberży. Kelnerka, na nieszczęście dla niej samej, była bardzo piękna i poza tym była Jugosłowianką, a więc cudzoziemką, „cyganką”. I w dodatku to nazwisko, które nawet w umysłach ludzi niewykształconych kojarzyło się z czymś okropnym. Przedsiębiorca miał dwoje dzieci: syna wyrostka i szesnastoletnią córkę, Lusię. Pewnego ranka znaleziono Lusię z głową „rozwaloną dzaganem” (pić a glace) w jej własnym łóżku. Nie szukano winnych, podejrzenia padły od razu na Gorgonową, jako na „kochani-ce”, „macochę”, „przybłędę”. Sąd we Lwowie, niewiele myśląc, skazał ją na śmierć. Rozhisteryzowane, żadne krwi kumochy oblegały sąd. Wyrok był przesadzony już zanim rozpoczęła się rozprawa. Kiedy jednak początkowe podniecenie opadło, władze sądowe zaczęły mieć wątpliwości. Brak było dowodów winy. Pomysł mordowania Lusi w nocy, kiedy tuż obok spał ojciec, mógł się wylać tylko w obłąkanym umyśle. Jasne było, że mord musiał być dziełem zbrodźca-sadysty, który zamordował dla przyjemności i uciekł (okno w pokoju Lusi było otwarte). Jeżeli nawet Gorgonową nie lubiła się z Lusią, jeżeli nawet założymy, że chciała ją „sprzątnąć”, to chyba nie zrobiłaby tego w tak ^zmyślny, brutalny, niekobiecy sposób. Maleńka niezręczność, drżenie ręki, krzyk Lusi i już całe przedsięwzięcie na nic. A Gorgonową była w dodatku brzemienista i szczęśliwa, że życie zaczęło się jej jakoś spokojnie układać. Te nie wytrzymujące krytyki poszłaki wyłożył Składnie wspomniany doktorant. Wszystkie te względy, a zwłaszcza Otruta przez kołtuństwo atmosfera Lwowa, sprawiły, że postanowiono r^o2patrzeć ponownie sprawę. Przeniesiono ją do Krakowa i tu przeko-się sama, czym może być stronniczość i zła wola sędziego.

289

Rozmawiałam niejednokrotnie z Jerzym na temat tego, czy sędzi polscy są niezależni i nieprzekupni. Odpowiedział z całą stanowczo ^ że tak, że w każdym razie nie zetknął się z ich nieuczciwością. ja s,,” miałam trochę inne doświadczenia. a Pierwsze moje tego rodzaju zetknięcie się z naciskiem opinii miało miejsce w sprawie Boya, o którą pokłóciłam się z Marynią. Oskarżo przezeń o niewątpliwe oszczerstwa stary wycieruch Konczyński n tylko wygrał w sądzie, ale, dzięki swoim endeckim sympatiom, ponów nie sponiewierał Boya.* W sprawie Gorgonowej odegrała rolę presja obyczajowa, nie polityczna nacisk rozszalałej kołtunerii. Przewodniczący sądu prowadził sprawę tak' by skazać domniemaną morderczynię. Działy się przy tym rzeczy tak dawne, jak to, że przy badaniu brata Lusi, który bąkał coś niezrozumiale i sprawiał wrażenie, że wie więcej, niż mówi, ojciec z sali głośno podpowiadał

odpowiedź, którą on bezwzględnie powtarzał. Sala nie reagowała. I inne zdarzenie: przy pierwszym pytaniu sędziego ogrodnik Zaremby zemdłał. Wyniesiono go z sali i nie pytano więcej. Wiele lat później gazety pisały, że właśnie ten ogrodnik był winien. Miał to podobno wyznać na łożu śmierci. Nigdy później nie mogłam już dociec, jak to w rzeczywistości było, choć pytałam jednego z najwybitniejszych prawników Polski Ludowej, który rzekomo owo wyznanie słyszał. Prokurator Sawicki nic nie chciał powiedzieć. Jest dla mnie niepojęte to milczenie ze strony powojennego dygnitarza, cała bowiem sprawa nie miała politycznego zabarwienia. Dość zaskakujący był jeszcze jeden epilog. Oto w wiele, wiele lat później, co najmniej dwadzieścia, już dobrze po wojnie, zgłosiła się do mnie młoda dziewczyna, prosząc o rozmowę. Powiedziała, że przychodzi z polecenia córki Gorgonowej, która mi będzie do śmierci wdzięczna za to, że broniłam jej matki. Ta córka, którą w gazetach nazywano „Kropelką”, to było właśnie owo dziecko Zaremby, które nosiła podczas procesu w swoim łonie Gorgonowa i które urodziło się w więzieniu. Moją rozmówczyni nie była ładna, biednie ubrana i bardzo nerwowa. Od razu, widząc jak szarpała chusteczkę do nosa, jakich dostała wypieków, zrozumiałam, że to nie żadna przyjaciółka, tylko sama „Kropelka” przyszła do mnie. Skoro jednak chciała zachować incognito, uszanowałam ją i udałam, że nie zdaję sobie z niczego sprawy. Na nieszczęście dziewczyna spytała mnie, czy nie wiem, co się stało z Gorgonową, gdzie teraz może się znajdować. Nie miałam pojęcia, musiałam więc jej sprawić zawód, nie mogąc udzielić żadnej informacji.

290

Wprawdzie było to, co pisały gazety, że zabił ogrodnik? Też nie działałam, choć ta możliwość wydawała mi się zawsze najbardziej prawdopodobna. „Kropelka” odeszła z niczym. Po pewnym czasie dostałam z prowincji list od nieznanego psychiatry, który oznajmił, że córka Gorgonowej przebywa w zakładzie dla umysłowo chorych (wymienił miejscowość) i że dobrze by było, gdybym napisała list w jej imieniu do dyrektora zakładu. To zawsze robi korzystne wrażenie, gdy ktoś znany interesuje się jakimś chorym. Napisałam i nawet posłałam paczkę, ale otrzymałam odpowiedź, że żadna tego rodzaju osoba nie znajduje się w zakładzie na leczeniu. I na tym się wszystko skończyło. W mrokach zaczęta sprawa, w mrokach utopiona. Ów psychiatra, zapytany przeze mnie listownie, odparł, że biedna „Kropelka” umarła. Muszę tu zaznaczyć, że w owych przedwojennych czasach bronienie Gorgonowej tak dla adwokata, jak dla eksperta sądowego czy dziennikarza było rzeczą ryzykowną. Niebywała zbiorowa histeria, podtrzymywana przez część prasy, ciągnącej z tego zyski, i przez całą opinię prawniczą, mogła być groźna. Toteż profesor Ludwik Hirszfild, który jako ekspert spokojnie, ale nieodparcie obalił tezy innego eksperta, profesora Jana Stanisława Olbrychta, narażał się opinii publicznej, podobnie jak adwokaci: Mieczysław Ettinger, Maurycy Axer, Józef Woźniakowski, a i ja, ze swojej strony. Szkoda, że nie zachowały się listy z pogrózkami z owego czasu, listy, które wiernie odbijały klimat tego okresu i atmosferę towarzyszącą sprawie.

Na procesie Gorgonowej poznałam się z profesorem Hirszfildem i bardzo się z nim i jego żoną zaprzyjaźniłam. Byli oboje piękni, mądrzy (ona też była pracownikiem naukowym) — dwa znakomite egzemplarze ludzkie. Wizyty u nich dostarczały prawdziwej przyjemności. Pamiętam, kiedy wracaliśmy pociągiem po zakończeniu procesu Gorgono-WeJ, w czasie którego profesor odegrał rolę nie tylko szlachetną, ale wysoce kompetentną, odpowiedziałam na jakieś jego słowa: „Tak, ale to dotyczy tylko ludzi pięknych, mądrych i światłych”. Na co profesor Poparł: „Tak, bo mnie nade wszystko obchodzą ludzie piękni, mądrzy 'światli'”. Był to po prostu koncept, bo zrobił wszystko (i to nieraz w tyciu), aby pomóc ludziom skromnym, nie wyróżniającym się niczym, a będącym w potrzebie. Jednakże na ten paradoksalny los

odpowiedział trutnie: jedyna córka Hirszfeldów, uwielbiana przez nich Marysia, młodo, i to w specjalnie bolesny sposób, bo dosłownie z głodu.

291

Cierpiała bowiem na wstręt do jedzenia, czyli tzw. anoreksie • skrajnego wycieńczenia powaliła ją P,erwsza z brzegu choroba « tym bardziej tragiczna, że Marysia była przystojna bardzo l zdawała snhip racTM e^,-,,,,,Q ,,,,,,,• _i , . . . ' — j~.~ ~j.~ p.Łjoiujim, uaruzo mtelig<

i zdawała sobie jasno sprawę ze swej choroby. A jednak była wobec • bezsilna. U

Hirszfeldów poznałam ich przyjaciółkę, panią Prentt ^ która, samotna, mieszkała u nich ze swoim jedynym synkiem. Pan/ tam, jak chłopaczek w krótkich spodenkach wpadł pewnego dnia d salonu i jak profesor, który go bardzo kochał, powiedział: „Niech mu s' pani przyjrzy, z tego chłopaka coś będzie". I oto teraz spotykam od czasu do czasu owego Jacusia, który ma lat ponad pięćdziesiąt, jest jednym z dyrektorów CERN-u i profesorem College de France „Następny Polak po Mickiewiczu" — powiedziałam do niego, winszując nominacji. Na co Jacek, z właściwym mu poczuciem humoru odparł: „Nie, jest jeszcze między nami Mandelbrojt" (matematyk polskiego pochodzenia).

Kiedy Niemcy weszli do Warszawy, zjawił się u Hirszfelda jakiś oficer, też chyba profesor, i powiedział, że Niemcy, w uznaniu jego zasług, pozwalają mu nie iść do getta, i dał mu odpowiedni paperek. Po roku jednak przyjechało Gestapo i zabrało całą rodzinę do tegoż getta, skąd zresztą w 1943 roku uciekła i przechowała się u jakichś przyjaciół na wsi.

Dzięki Hirszfeldom poznałam trochę osób ze świata naukowego, dzięki zaś Niucie i Knastrowi niemal wszystkich wybitnych matematyków, a jak wiadomo polska szkoła matematyczna była jedną z przodujących na świecie. Tak więc poznałam wielkiego Wacława Sierpiriskiego, o okrągłej twarzy i naiwności dziecka. Jego żona, ładna i elegancka, wyznała mi, że nie chciała w ogóle wyjść za mąż, choć miała wielu pretendenców. Ciągłe to nie był „ten". Kiedy wreszcie spotkała Sierpińskiego, który nie był ani piękny, ani efektowny, poznała się na nim od razu i zakochała na dobre. Pobrali się, mimo sprzeciwu rodziny. która uważała, że taki na pół przytomny matematyk nie jest żadną partią dla ich efektownej córki. No i z czego będą żyli — matematyka podówczas nie dawała żadnych możliwości życiowych. Przyszła panl Sierpiriska uparła się i poślubiła tego, który miał się stać jednym z największych uczonych polskich. Poznałam też u Knastrów genialnego Stefana Banacha, niestety jednak słabo go sobie przypominam-Mieszkał i pracował we Lwowie i tylko czasem wpadał do Warszawy-Poznałam też znakomitego Kazimierza Kuratowskiego, eleganckie?

992

twornego, i paru innych, których już niejasno pamiętam. Ci wszyscy ' renatycy byli ludźmi wybitnie inteligentnymi, z poczuciem humoru

* jrno icn' ta^ bardzo niedostępnego mi, fachu, nie czułam się z nimi ' przeciwnie, wieczory spędzone w ich towarzystwie wspominam lk najprzyjemniej. Prawnicy cywiliści mieli rodzaj inteligencji dosyć mi obcy, raczej

-zachowy. Ich rozmowy, bardzo specjalistyczne, nie mogły mnie zająć, toteż z biegiem czasu Jerzy zaczął sam bywać wśród swoich kolegów. \Wyjątkiem był adwokat Michał Orzęcki, humanista w pełnym tego słowa znaczeniu, człowiek o umyśle całkowicie niezależnym, lękający się komunałów. Zorganizował on rodzaj dość zamkniętego klubu prawników, złożonego z kilkunastu osób. Co miesiąc organizowali kolację u kogoś innego, niestety jednak kobiety były z tego zespołu wykluczone. Ten mizoginizm człowieka o tak szerokim umyśle był raczej niezrozumiały. Niechęć Orzęckiego do kobiet była tym dziwniejsza, że miał bardzo miłą żonę. Rozmowa przy stole toczyła się na „wysokie" tematy: filozoficzne, polityczne itd. Kiedy przyszła na nas kolej, aby wydać kolację, miałam z tym niemało roboty, bo chciałam się popisać (zresztą jak i inne panie domu). Ale poniosłam straszne fiasko.

Działo się to w naszym ostatnim, pięknym mieszkaniu przy ulicy Fredry. Zgodziłam wówczas

nową służącą, straszliwie grubą, toczącą się jak kula, Janinę. Godząc się, postawiła jeden warunek: że będzie sama i nie najmę ani pokojówki, ani żadnej innej pomocy. „Jak sobie Janina poradzi? Siedem pokoi, dwie łazienki, a o piątej już trzeba siedzieć w przedpokoju i przyjmować klientów”. „Poradzę sobie”. I istotnie poradziła. Nie widziałam w życiu równie zwinnej osoby. Patologiczna tusza nie przeszkadzała jej w niczym, była szybka i sprawna. Niezbyt sympatyczna, swoją niebywałą żywotność wyładowywała, niestety, w gadaniu. Owego wieczora, kiedy zebrał się u nas ów klub prawniczy (jakoś się nazywał, ale jak, nie pamiętam), Janina przygotowała wspaniałą kolację. Ja musiałam się usunąć za kulisy, więc ona sama pozostała na Placu boju. I oto uznała za stosowne nie tylko podawać potrawy, ale też Obawiać panów, a że była gadatliwa, więc terkotała bez przerwy. No 1 ~~ jak nie pierwszy raz w moim życiu — cały pogrzeb na nic.

Kiedy zbesztalam Janinę za niestosowne zachowanie, odparła: „E, tylko pani tak mówi, ale chłopcy zawsze lubią, jak ja opowiadam”. Była Pewna swoich nieodpartych uroków, zarówno towarzyskich, jak fizycz-'tych. Kiedy szła gdzieś wystrojona, zawsze pokazywała mi się, pytając:

293

„No co, Janina? Piękna, flie?” Toteż kiedyś wyznała mi z całą prostą, że jeden z aplikantów Jerzego, mały, chuderlawy chłopczyzna, po°, ' nieobecność „mecenasa” po prostu przewrócił ją tapczan „i dogodzi} So bie, jak chciał”. Kiedy sobie wyobraziłam masę jej rozlanego cielska i borykającego się z tym /wałem nieboraka! Nie było też na nią rady nazywała mnie „panią mecenasową”, czego nie znosiłam. Ale ona 1% ła swoją logikę: „Pani to może wszystko jedno, ale mnie nie wszystko jedno, że u mecenasów służę”. To mecenasowanie było jej potrzebne dla jej własnego prestiżu.

Ale osoba Janiny odwróciła na chwilę moją uwagę od postaci znanych mi prawników. Innym wyjątkiem poza Orzęckim był konsul Franciszek Ksawery Brzeziński, z bardzo miłą, ładną żoną. Spotkało ich wielkie nieszczęście: dwoje icli małych dzieci zachorowało na polio i serce pękało, kiedy się widziało sparaliżowane maleństwa, czołgające się z trudem po podłodze. Widziałam u nich poważnego, kilkunastoletniego chłopca, syna konsula z pierwszego małżeństwa. Wyrósł z niego sławny politolog i publicysta amerykański, profesor Zbigniew Brzeziński. Do jego wybitnej kariery przyczyniła się w znacznej mierze choroba młodszych braci. Brzeziński-ojciec bowiem postarał się o jakąś posiadłość w Ameryce, aby ratować dzieci. Jak słyszałam później, lekarze amerykańscy wyciągnęli obu chłopców ze strasznej choroby. Bardzo się z tego cieszę, zachowałam bowiem o całej rodzinie jak najlepsze wspomnienie.

Muszę tu powiedzieć jeszcze o adwokacie Stefanie Urbanowiczu i jego żonie, z którymi razem z Jerzym odbyliśmy statkiem piękną wycieczkę na fiordy norweskie. Urbaiiowicz, wysoki, o okrągłej, jowialnej twarzy, wzięty adwokat, a jednocześnie społecznik, był prezesem Rady Adwokackiej. Żona jego, Aniela, którą dobrze znałam przed wojną, ale z którą zaprzyjaźniłam się dopiero w czasie okupacji, była ładna, elegancka, nieco zbyt wyrafinowana. Jch dwie córki, pozornie rozpieszczone, wy-chuchane, wystrojone, zachowały się niezwykle bohatersko podczas wojny i jedna z nich zginęła w Oświęcimiu.

Urbanowiczowie urządziła” nieczęste, ale bardzo eleganckie przyjęcia w pięknej willi, zaprojektowanej przez architekta Bohdana Pniewskiego, przy ul. Klonowej. Gdyby mi ktoś powiedział podczas jednego z takich przyjęć, jakie będą &' sze losy tej rodziny, uznałabym to za niemożliwe, nie mieszczące m w głowie. A. jednak Urbanowicz był jedną z pierwszych ofiar niemi60' kich, a potem jego córka.

294

Idna z najmilszych wizyt, która mi pozostawiła niezapomniane ornnienia, odbyłam w towarzystwie Maryni i Piotrusia oraz nieod- ne; naszej Reni. Pojechaliliśmy razem do siostry Maryni, Władzi

'atki Reni), do jej rodzinnej wsi (już nie pamiętam, jak się nazywała) j0 Małkini. Marynia mnie uprzedziła, że Władzia ma „przyjaciela”, który marzy o tym, aby mieć... kapelusz. Ponieważ Jerzy był zawsze hardzo elegancko ubrany, znalazłam bez trudu w jego garderobie mało używany kapelusz i postanowiłam ofiarować go owemu „przyjacielowi”. Kapelusze wówczas nosili wszyscy panowie. Bardziej mieszczańscy meloniki (niedawne cylindry, powszechne za czasów młodości Boya, wyszły już z mody), a nieco bardziej bohemiarscy kładli miękkie, filcowe kapelusze, w których im było często bardzo do twarzy. Jak moda się zmienia: to później nakrycie głów członków rosyjskiego Biura Politycznego (i wyglądają w nich jak gangsterzy), wówczas jednak były jednym z atrybutów męskiej urody. A swoją drogą, jaka była wtedy sytuacja na wsi, że chłop marzący o kapeluszu nie mógł sobie pozwolić na jego kupno. Zaopatrzeni w różne prezenty ruszyliśmy w drogę. Na stacji w Małkini, ku radości Piotrusia, czekał na nas wóz drabiniasty. Był to zaścianek szlachecki, w wielu szczegółach różniący się od zwykłych wsi, które zresztą miałam przy okazji zwiedzić. Powtarzały się szlacheckie nazwiska, najczęściej Plehcińskich, jak Marynia. Przed domami były ogródki pełne kwiatów, w izbach czysto, powleczenia na pościel pięknie haftowane, firanki też, ludzie o manierach eleganckich. Władzia przygotowała jeden z najlepszych obiadów w moim życiu. Najpierw węgorz w galarecie, potem nadziewane kurczaki (farsz bardzo fikuśny), na deser świeżo zebrane poziomki ze śmietaną. Po obiedzie Jedliśmy pod starą lipą i zeszli się okoliczni gospodarze, z którymi "azem popijaliśmy znakomity miód. Rozmowa była interesująca, na tematy polityczne i o sytuacji na wsi. Obecni „szlachcice”, niczym nie różniący się, jeżeli chodzi o pracę fizyczną i stan majątkowy, od okolicznych chłopów, mówili o nich z pewną pogardą. Tak to byt nie zawsze kształtuje świadomość. „Przyjaciela” Władzi siedział przez cały C2;ts w owym kapeluszu, który najwyraźniej go uszczęśliwił, a którego 11111 sąsiedzi bardzo zazdrościli. Wszyscy mówili z lekka zaciągając, jako wieś była położona nad Bugiem, ale śliczną polszczyzną, często ze i staropolskimi. Pamiętam tylko „dymni się z komina”. C2Ywiście mieli rację, czując to „n” (zasłona dymna), któreśmy bieście zgubili. Zresztą Marynia mówiła podobnie jak oni, i wiele

295

powiedzeń Françoise u Prousta, w polskiej wersji Boya, bi wprost od Maryni, która wyniosła je ze swej wsi, choć ją D 'e opuściła przed laty. ec'e?

Okolica była śliczna, lesista, Bug rozlany szeroko, spędziłam dwa czy trzy przemiłe dni. Czasem przyjaciel Władzi zaprzęga } k ^ i jeździliśmy po okolicznych wsiach. W którejś z nich, na skutek n ^ Władzi, jedna z chłopek, znana w okolicy tkaczka, wyjęła ze skr stary, ale nie zniszczony, kilim w czerwonej i zielonej kratę, tak cudnv ' z miejsca zaproponowałam jej kupno. Gospodyni była trochę zdziwio i podała cenę tak niską, że dałam jej dwa czy trzy razy więcej, niż żąda) Pamiętam jej zdumione spojrzenie. Używałam potem tego kilimu jak koca, m.in. jeżdżąc za granicę, i nie zdarzyło mi się, aby mnie ktoś nie zapytał, gdzie to cudo kupiłam. Co prawda, nie było jeszcze mody na folklor, z wyjątkiem zakopiańskiego. Chaty po wsiach prawdziwie chłopskich były bardzo biedne, czasem nawet kurne, aż wstyd było zamożnej osobie z miasta. Ach, ta przedwojenna wieś polska, zwłaszcza bliżej kresów... Władzia przypominała ładząco Fernandela, jej przyjaciel też nie by! piękny. Ponieważ Renia wychowywała się u mnie, traktowałam ją jak córkę, toteż przyjechała na wieś ładnie, po miejsku ubrana i sąsiedzi kiwali głowami: „Ta to ma szczęście”. Reni kazałam włosy ostrzyć „na pazia”, było jej w tym uczesaniu niezwykle do twarzy, była ładna, zgrabna i miła. Władzia była z niej bardzo dumna.

Dziwna rzecz, wychowałam w życiu troje dzieci, poza własnymi: Renie, Albina i Tadka, wszystkie przy żyjących rodzicach, z którymi łączyły mnie bardzo dobre stosunki.

Wychowałam ich nie dlatego, że tak z góry postanowiłam (w tym wypadku wzięłabym raczej sieroty), ale że tak właśnie ułożył się nasz los. Raz wzięwszy ich pod swoją opiekę?

doprowadzałam sprawę do końca. Ach, jeszcze jedną dziewczyną zajęłam się po trosze, Stenią. Pisze ona dotąd do mnie dziękczynne listy, ale doprawdy dla niej zrobiłam najmniej, choć doznałam największej wdzięczności. Tak to bywa. Między Renią i Piotrusiem był stosunek siostrzano-braterski i pamiętam, jak Renia rozpaczała, kiedy Piotruś nie dojadł podwieczorku albo był chory. Z czasem Piotruś wołał bawić się z Albinem, bo z Reni zaczęła robić się panna. Ale lubili się nadal bardzo.

Tu nasuwa mi się wspomnienie o Albinie. Albin był synem białoruskiego cieśli, który przywędrował z kresów wschodnich, gdzie pano*a wielka nędza, w okolice Warszawy i oparł się aż w Podkowie. Tu znalazł

296

dużo roboty, bo miejscowość właśnie powstawała wśród dawnego !• i budowano sporo willi. Ojciec Albina miał na imię Józef (nazwiska ^ pamiętam) i był uczciwym, miłym i sprawnym pracownikiem. Kje(j uzyskawszy robotę, a nawet mieszkanie, jako dozorca jednego z d" mków, sprowadził rodzinę, zobaczyłam z przerażeniem, że wszystk' dzieci mają zbity, rojący się od wszy kołtun na głowie. „To trzeb-natychmiast ostrzyc do skóry” — powiedziałam Józefowi. „Nie można proszę pani, bo dzieci poślepną”. Dałam mu słowo, że nie poślepną, a że mnie lubił, bo go traktowałam mile i płaciłam bez targów, powiedział „Ta niech już będzie po paninemu, ale jak poślepną, to będzie na panią” Zgolił dzieciom głowy i odtąd mył je starannie, jak kazałam. Dzieci oczywiście nie oślepnęły, wyrosły im ładne, z lekka wijące się, puszyste włoski i dziewczynki stały się od razu bardzo ładne. Odtąd Józef wierzył we mnie jak w wyrocznie. Najstarszy jego syn, Albin, zaczął chodzić do szkoły, a po szkole przychodził bawić się z Piotrusiem. By) o jakies pięć lat starszy, ale poziom ich był mniej więcej jednakowy, z intelektualną przewagą Piotrusia, lecz z większą zręcznością rąk Albina. Nigdy, ani przedtem, ani później, nie widziałam, żeby dzieci tak pięknie się bawiły. Wybudowali sobie własnoręcznie wcale miły malutki domek w lesie przy domu (ogród miał hektar powierzchni). Potem zrobili z patyków i różnych skrawków cały skomplikowany węzeł kolejowy, z zapalającymi się elektrycznymi sygnałami itd. Pociągi trzeba było pchać ręcznie, bo zamiast szyn były patyki, ale poza tym wszystko funkcjonowało znakomicie. Kiedy urodził się Jędrzek, obaj chłopcy robili dla niego najpiękniejsze zabawki. Kochali się przy tym niezmiernie. Albin spędzał całe prawie życie w naszym domu i zaczął rozwijać się bardzo prędko. Był zdolny i bystry, a przy tym nieporównanie dobry. Przywiązałam się do niego bardzo i marzyłam o tym, aby po szkole powszechnej posłać go do gimnazjum, a potem na politechnikę. Życie miało zadecydować inaczej.

Jedną z najwybitniejszych i najosobliwszych postaci tego okresu oy Witkacy. Miał manię — zrozumiałą zresztą u artysty — przekręcał słów, bawienia się słowami, tworzenia nowych niesamowitych ii™ i nazwisk (nieprzetłumaczalnych zresztą, jak np. „Zwierzątkowska • To samo zrobił ze swoim imieniem i nazwiskiem, zespoliłszy je w jed

298

nisław) Ignacy Witkiewicz przerodził się w Witkacego i tak już tało- Był prekursorem, ale długo pozostał w swoim zaścianku wraz Z ryainalnymi formami literatury czy malarstwa, jakie uprawiał. Jego rteratura, podobnie zresztą jak malarstwo, jest osobliwą mieszaniną ernal geniuszu i kiczu jednocześnie, realizmu i surrealizmu, jadowitego 7vderstwa i tragizmu. Czasem bywał proroczy, jak w Nienasyceniu 'wizji zagrożenia świata przez Chińczyków (kto w owych czasach myślał w ogóle o Chińczykach?). Książki jego są obecnie tłumaczone, sztuki orane, ale odkryto go już po Beckettie i Ionesco, tak że mogą robić wrażenie dzieł „z drugiej ręki”, podczas gdy on był naprawdę pierwszy. Malarstwo jego dotąd nie trafiło na Zachód (może nigdy nie trafi), malarstwo psychodeliczne, jak byśmy to dziś nazwali, tworzone najczęściej pod wpływem narkotyków. Przedstawiało ono obłądne linie i kolory, wśród których błyskały tu i ówdzie fragmenty splecionych ciał. Mogłyby mieć dziś ogromne powodzenie, gdyby nie to, że były wykonane martwym i nietrwałym materiałem: płaty

kolorowego kartonu, najczęściej zielonkawego, a na nim kolorowymi kredkami wizje autora. Malarze mówili, że to niedobre, ale np. Boyowi podobało się bardzo i miał ściany obwieszane wizjami Witkacego. Mieszanię kiczu i geniuszu widać również w jego niezliczonych portretach, które robił czasem w pół godziny. Mam cztery takie swoje portrety, dość typowe dla artysty. Jeden realistyczny, „na słodko”, drugi przedstawiający mój profil (bardzo podobny do mnie) wśród płomieni wybuchającego wulkanu — to były właśnie kicze. Ale obok tego dwa portrety zdeformowane, znakomite, o osobliwej formie i niesłychanej sile wyrazu. Boya portretował dziesiątki razy i te portrety wisiały w Boya gabinecie w charakterze fryzu, Pod sufitem, rzędem. Niektóre do niczego, niektóre znakomite. Witkacy me był narkomanem w ścisłym znaczeniu tego słowa, tzn. mógł się obejść doskonale bez narkotyków (czy bez alkoholu, nie jestem pewna), ale Próbował wszystkich, obserwując własne reakcje. Kiedy go poznałam, był *aśnie w poszukiwaniu peyotlu, czyli kaktusa brazylijskiego, po czym go Zll;>laż i z rozkoszą wypróbował.

Był typowym cyganem, nie przywiązującym wagi ani do pieniędzy, 3111 do żadnych dóbr tego świata. Niebywale piękny, miał ogromne Powodzenie u kobiet, łączył go wieloletni romans z panią Boyową, Najmniej nie wyłączny z jego strony, gdyż Witkacy nie rozumiał kich słów jak wierność. Kapryśny, nieznośny, ogromnie dowcipny, e? Poczucia czasu ani norm dobrego wychowania, był maniakalnie

299
dokładny, jeżeli chodziło o jego portrety. Nie wolno się było spóźnić seans bodaj o minutę. Modelowi swojemu (czy raczej ofierze) \vrec „a statut, którego niestety dokładnie nie pamiętam: nie wolno było • ruszać, kręcić, mówić, a po skończonym seansie ani chwalić, ani gan • wykonanej pracy. Czasem za owe portrety przyjmował pieniąd? częściej nie. Lekcewał modela i dawał mu to odczuć. Był obojętny n.' sukces czy niepowodzenie. Denerwowało mnie niewątpliwe kabotyństwo Witkacego, toteż nie nawiązały się między nami bliższe stosunki Jak już pisałam, Witkacego zobaczyłam po raz pierwszy jako dziewięcioletnia dziewczynka. Chodził po ulicach Zakopanego, olbrzymi, piękny, zasepiony. Z rozmów dorosłych wiedziałam, że ojciec wcale nie kazał mu się uczyć, że wychowywał go swobodnie wśród przyrody (nie wiem, w jakiej mierze było to prawdą), i zazdrościłam mu tego wolnego życia. Jeżeli te opowieści były prawdziwe, to rezultat owego prymitywnego wychowania okazał się dziwny, trudno bowiem było sobie wyobrazić człowieka bardziej sophisticated od Witkacego. Kiedy później, jako dorosła kobieta, spotkałam go w Warszawie, zmienił się niewiele. Poznałam go w domu państwa Żeleńskich. Zachowywał się nieznośnie, nie tylko jakby to on był panem domu, ale wręcz panującym, wszyscy inni musieli wypełniać jego życzenia i znosić jego kaprysy. Raził mnie ten nadrzędny ton i celebrowanie własnej wielkości. Boy przy nim wydawał się jakiś malutki, jakby skurczony. To mnie też niezmiernie denerwowało. Witkacy wypełniał sobą całe mieszkanie, do Boya zaś odnosił się wręcz lekceważąco. Kiedy podrażniona tą sytuacją powiedziałam Boyowi coś miłego o jego twórczości i coś przykrego o Witkacym, Boy spojrział na mnie surowo: „Co też pani! Gdzie ja, a gdzie on! Nie wolno nawet porównać”. Wydawało mi się to wprost śmieszne i głupie. Tymczasem, mój Boże, nic nie ujmując wielkości Boya, trzeba stwierdzić, że, niestety (ileż przyczyn się na to złożyło) pozostał on wielkością lokalną, podczas gdy Witkacy w pi?c; dziesiąt lat później wskoczył równymi nogami w nurt twórczości światowej. Czy na trwałe, tego nie wiadomo i to już inna sprawa. Polski luksus polegał zawsze na tym, że większość swoich wielkich ludzi. z Mickiewiczem włącznie, zachowywał na własny użytek, nie dokładaj^ niczego (ze względu na swą polityczną słabość) do skarbcu kultury światowej. Szczęśliwy Witkacy, że bodaj po śmierci zdołał ująć teml l przekleństwu. W każdym razie Boy był przesadnie skromny, a przesadnie zarozumiały.

Tak więc Witkacy, poznawszy mnie u Boyów, zabrał się do robienia oich portretów. Powstało ich, jeden po drugim, cztery, ale przy piątym

I — : i,^,;Q^ T-K>rVM; 'jlifil-nwtłMm się 7imełnie.

zro zapor

ilCiifF^ ".....•..... ,,,

ibiłam jakąś uwagę i — koniec, zdyskwalifikowałam się zupełnie, aponiałam bowiem, że w czasie malowania mówić nie wolno. Witkacy zmiął arkusz zielonkawego bristolu i cisnął go w ką. Był równie brutalny dla burżuja, który mu za portret płacił. Nie szczędził przy tym wyzwisk (zapóźniony fin de siecle.) Jednak wśród burżujów amatorów jego twórczości było niewiele, wydawała się nazbyt dziwna. Tak że Witkacy malował raczej ludzi z inteligencji, często „gołej”, przyjaciół, znajomych lub kobiety, które chciał zdobyć. We wszystkich jego portretach głowy są otoczone jakąś dziwną „aurą”, jakimś osobliwym „parowaniem”, smugami, płomykami, mgłami, cieniami, które artysta rzekomo widział dokoła swoich modeli. Krążyła nawet legenda, że widuje on czasem aurę specjalną i że człowiek z taką aurą wkrótce umiera. Gadki takie bardzo pasowały do jego satanicznej pozy.

Witkacy lekceważył wszystkich wybitnych ludzi swego czasu. Niekiedy jednak zapalał się, ale do kogoś anonimowego i wychwalał go wtedy pod niebiosa, mówił jak wielki o wielkim. Byli to z rzadka ludzie niepospolici, najczęściej jakieś dziwne typy, nie reprezentujące sobą niczego, prócz uwielbienia dla mistrza. Wśród różnych dziwaków, różnego autoramentu grafomanów i pijaków przebywał najchętniej. Wśród nich był królem. Stolicą jego było Zakopane.

Znałam wówczas Witkacego bardzo mało, było to jeszcze przed malowaniem moich portretów, toteż zdziwiłam się bardzo, kiedy któregoś zimowego wieczora zapukał nagle do drzwi mego pokoju w zakopiańskim pensjonacie. Wszedł, usiadł, wlepił wzrok w podłogę i milczał. Nie bardzo wiedząc, co począć, zaczęłam go „bawić” rozmową. Moje usiłowania prowadzenia uprzejmej konwersacji trafiały w próżnię. Po pewnym dopiero czasie Witkacy podniósł głowę, przeszył mnie na wskroś spojrzeniem swoich cudownych, zasepionych oczu 'zapytał z drwiną: „Pani podobno śpi z Boyem. Tak? No, oczywiście”. ~ „A czy to pańska sprawa?” — „Obojętne, moja czy nie moja. Kobiетки lecą na Boyusia. Numerek niezawodny. Phh!” — prychnął

2 Pogardą. Był to wyraz pogardy dla pospolitości; małości, łatwizny, dla tego wszystkiego, do czego on, wielki, się nie zniżał. Ogarnęła mnie Wściekłość. Powiedziałam sucho: „Nie zamierzam z panem rozmawiać 0 Boyu. I bardzo przepraszam, ale jestem zajęta”. — „Odchodzę wtedy, kiedy sam uznam za stosowne” — odparł, znów wbił spojrzenie

301

w

podłogę i zamilkł. Nie wiedziałam, co robić. Zaczęłam przeglądać h jaką książkę. Nagle Witkacy podniósł wzrok i uczynił zaskaku'- e wyznanie: „W kobiecie interesują mnie tylko usta, nogi i środek. pje.e mogą w ogóle nie istnieć”. — „Czy pan myśli, że mnie to w najmnj •' szym stopniu obchodzi?” — warknęłam i nie wiem, czym by s-skończyła ta pierwsza wizyta, gdyby nie to, że ktoś wszedł i rozmów potoczyła się „normalnie”. Zwłaszcza, że pani ta była wyraźni zafascynowana urodą i osobowością Witkacego, który nie znosił, żeby zainteresowanie odbiegało od jego osoby. Więc rozweselił się nieco mruknął parę żartów. (Był bardzo dowcipny, ale zawsze na ponuro i z powagą. Tak też należy grać jego sztuki, których groteska ujawnia się w tych warunkach najbardziej). Zadowolony najwyraźniej ze spotkania z ową panią, pożegnał się wkrótce i wyszli razem.

Jednakże zjawił się u mnie po kilku dniach, przyniósł mi jakieś zakalcowate filozoficzne dzieło po niemiecku (autora nie pamiętam) i raczej stwierdził niż zapytał: „Pojedzie pani ze mną na bal do Jaszczurówki”. Bale w Jaszczurówce miały opinię bardzo udanych. Nie będę ukrywała, że ukazanie się przy boku pięknego Witkacego ogromnie mi pochlebiało.

Wszystkie kobiety mnie rozumieją. „Pojedzie pani ze mną, ale to nie nakłada żadnych obowiązków powrotu. Wracać będziemy albo razem, albo z osobna. Zobaczymy”. — „To mi bardzo odpowiada” — odparłam. Witkacy spojrzał na mnie z jakimś zdziwieniem, ale był tak pewny swego, że już nie odpowiedział. W dwa dni potem, późnym wieczorem, zjawił się i suchym tonem oświadczył: „Sanie czekają. Jedziemy”.

W saniach znalazłam jeszcze jakąś kobietę, opatuloną po czubek nosa. Ta nieprzewidziana obecność, bez mojej uprzedniej zgody, zdziwiłaby mnie zapewne, gdyby cokolwiek mogło mnie zdziwić ze strony Witkacego. Trochę mi to jednak popsulo humor. Co innego było wejść samej, w towarzystwie tego wspaniałego mężczyzny, a co innego we dwie. Cały efekt na nic. Przywitałam się jednak uprzejmie z nieznajomą, której nazwiska ani ona, ani Witkacy mi nie oznajmili, i usiadłam koło niej, w saniach. Witkacy umieścił się na koźle, obok górala. Było już koło północy i sala w Jaszczurówce była pełna, ale Witkacy miał zarezerwowaną łożę, częściowo ukrytą przed oczami ciekawych-Nieznajoma towarzyszka zabawy okazała się młodą, ładną kobietą w wieczorowej sukni. Byłam niezadowolona, że w czasie tańca będę

in”i
302

siała co najmniej połowę czasu podpierać ścianę. Jakież jednak było moje zdziwienie, kiedy się okazało, że w łoży czeka już na nas jeszcze pięć albo sześć kobiet. Wstały wszystkie na nasz widok i przywitały się

milczeniem. Byłam wściekła: dobrze się zapowiadał bal, na który się tak jesiłam.” Kongres kobiet czy też harem. Znajdowało się tam także ,to’óch mężczyzn, ale tak brzydkich i niepozornych, tak skulonych nieśmiało i milczących, że ich w ogóle nie było widać. W tej prawie odgródzonej od sali łoży nie było nadziei, żeby ktokolwiek obcy prosił którąś z nas do tańca. I rzeczywiście, na tym balu nikt

po

•ism

rzeczywce, na tym

z towarzystwa Witkacego (ani on sam) nie tańczył ani razu. Zrezygnowałam z myśli o zabawie i czekałam, co będzie dalej. Zresztą sytuacja zaczęła się rozwijać dość osobliwie. Siedziałam koło Witkacego, który skinął, dosłownie skinął, i natychmiast wszystkie kobiety, ile ich tam było, rzuciły się, aby nas obsługiwać. Nalewały wina, wrywały z rąk kelnerom półmiski, aby nam nakładać na talerze. Jedna z nich poczęła ściągać ze mnie wieczorową narzutkę, druga, przeciwnie, zarzuciła mi swego lisa na szyję, mówiąc, że wieje. Inna nalewała wina, inna chciała koniecznie sprawdzić, czy nie przemoczyłam pantofli, wysiadając z sanek. Troszczyły się o mnie bardziej niż o Witkacego. Zakotłowały się koło mnie obnażone ramiona i szyje, ścisnęły mnie na wszystkie strony, malowane twarze zaglądały mi w oczy — myślałam, że się uduszę. Byłam oszołomiona

I przerażona przesadną uprzejmością tych nieznajomych pań, które, nie wiem czemu, rzuciły się na mnie z taką zaborczą gorliwością. Spojrzałam bezradnie na jedną znajomą w tym towarzystwie osobę, na Witkacego, prosząc go wzrokiem o pomoc, bo jasne było, że pozostali dwaj panowie są już mocno zamroczeni. Witkacy siedział chmurny, Popijał wino i czasem tylko rzucał uwagę (rozkaz), że jestem nie dość dobrze obsłużona.

Z obu panów jeden był bardzo wysoki, bardzo chudy, z nosem jak ostrze noża i skórą koloru papieru, z którego się odwinęło tłustą kanapkę. Drugi mały, z zadartym projektem na nos, z wąsikami 'Pulchnymi ustami przejrzałego niemowlęcia. Pierwszy siedział ponuro, z głową opartą na dłoni i patrzył nieruchomo przed siebie, drugi uśmiechał się bezmyślnie i oczy miał jak z matowego szkła. Obaj Panowie wpijali się od czasu do czasu wzrokiem w Witkacego, który obdarzał ich bladym uśmiechem. Czułam się nieswojo, panujące milczenie kontrastowało z muzyką taneczną i odgłosami zabawy

płynącymi z sali. Powiedziałam byle co: „jak się tam ludzie świ bawią” — i sięgnęłam ręką po ciastko z tacy stojącej na stole. „Wid?” „C przecież, że ona chce ciastko” — warknął Witkacy, patrząc groźnie ° obecne kobiety. Wszystkie rzuciły się natychmiast do podawan[^] nakładania, częstowania. Jedna podniosła chusteczkę, która spadła ' na podłogę. Nie wiedziałam, co mam ze sobą robić. Uff! Mężczyźni to nie zwracali na mnie ani na inne panie żadnej uwagi. Poczer prowadzić półgłosem, w nabożnym skupieniu, rozmowę z Witkacym tak górnolotną i mętną, że nie zrozumiałam z niej ani słowa. Zresztą Witkacy mówił mało, niechętnie, monosylabami, jakoś miękko i blado podczas gdy ten z wąsikami podniecał się na temat sensu istnienia. Plot) coś gorączkowo, pospiesznie, z napięciem, jakby natychmiast musiał rozwiązać powyższe zagadnienie. Ten z nosem jak brzytwa wtrącał co pewien czas znaczące pochrząkiwania. Pięć czy sześć idiotek nadal obsługiwało mnie gorączkowo. I nagle zrozumiałam: na dzisiejszy wieczór (bo chyba nie na dłużej) ja miałam być uznana faworytą, a wszystkie inne kobiety moimi niewolnicami. Ależ wytresował sobie Witkacy to stadko!

Zaczęło mi być bardzo nudno i nieprzyjemnie. Usiłowałam rozpocząć jakąś rozmowę, ale wysiłki moje spełzały na niczym. Witkacy zresztą, narzuciwszy mi uprzywilejowane stanowisko, nie zwracał na mnie żadnej uwagi. Był coraz bardziej senny, mętny, niewyraźny. W pewnym momencie wstał leniwym ruchem i wyszedł. Wraz z nim wyszedł ten chudy i ten z wąsikami. Wszystkie panie, kiedy Witkacy znikł, zaczęły mi okazywać wyraźną antypatię i rozmawiać po cichu ze sobą. Próbowałam więc wygramolić się z mojej kanapki, ale tak wyszło, że wtuliłam się jeszcze bardziej w kąt, za stołem. Wtedy nagle pojawił si? znów Witkacy. Był znów olbrzymi, wspaniały, piękny i imponujący. Oczy mu płonęły, buchał niemal ogniem i siarką. Gwałtownym ruchem niedźwiedziej łapy przesunął mnie na dawne miejsce. Wrócili też obaj panowie, bardzo ożywieni, nawet ten chudy. Witkacy buchał temperamentem, mówił interesująco, z właściwym sobie wisielczym humorem. Przy stole zrobiło się wesoło i zajmująco, nareszcie poczułam, że jestem na zabawie, choć nadal nikt nie myślał o tańcu. Panie znowu odżyły pod łaskawym wzrokiem króla-słońca, panowie na próżno usiłowali dotrzymać mu kroku w zawrotnej werwie intelektualne)' w jego absurdalnych paradoksach i humorystycznych piruetach. Zdaje się, że przyszedł jeszcze ktoś i wszyscy wpatrzeni byli z nabożeństwem!

'niącego, parskającego, stojącego dęba artystę. Zresztą większość rtów czy powiedzeń była bardzo okrutna: dotyczyła każdego po zebranych, obnażała jego wady i słabostki, śmieszności i nawet dłości. Ten, nad którym Witkacy zaczynał się pastwić, bladł, zyrnużał czy pod razami, mienił się na twarzy, ale znosił wszystko •czekał, kiedy pioruny i drwiny trafią w następną osobę.

Było mi bardzo nieprzyjemnie, bo dowiadywałam się rzeczy przykrych i brzydkich, a ludzie ci byli bezbronni wobec niezwykłego ternperamentu słownego tego kata o cudownej, płomiennej twarzy.

Wreszcie kolej przyszła na mnie i na drwinę, która mi była szczególnie przykra GUZ kto jak kto, ale on się umiał dobrać do „bebechów” — to jego słowo). Witkacy poraził mnie najpierw żywym ogniem, po czym, biorąc obecnych na świadków, powiedział: „Wyobraźcie sobie, że ona jest przyjaciółką Boya. Naszego nieocenionego Boika! Erotyki, lech-tanie seksualne, łatwizna. Brrr! — tu wybuchnął śmiechem, a wszyscy mu za wtórowali. —Ale my jej wybijemy z głowy to drobnomieszczkańskie upodlenie”.

Tu zaczął małpować gesty, głos, zachowanie Boya, z wielkim aktorskim talentem. Było mi nie tylko przykro, że ośmieszał człowieka, którego kochałam i wielbiłam, ale że pamiętałam, jak uważnie, z uznaniem i szacunkiem Boy mówił o nim.

No i to robienie pośmiewiska ze znakomitego pisarza, z którym bądź co bądź łączyły go (albo dzieliły) stosunki dość dwuznaczne, ze względu na panią Fusię, która trwała przy swoim mężu jak oddana przyjaciółka. Popełniał gruby nietakt i wobec niej, i wobec mnie, a nade wszystko względem Boya.

W tym nietakcie była dostojewszczyzna, przybyszewszczyzna, co kto woli i co w twórczości Witkacego jest uchwytnie i nawet daje czasem wielkie rezultaty, ale w życiu było nieznośne. Nagle Witkacy ruszył do ataku na moją biedną osobę. Ręce, nogi, wszystko było w robocie. Wcisnęłam się bezradnie w głąb mego kącika, w którym bezmyślnie się znalazłam, i czułam, że za chwilę jego wielkie, ciężkie ciało runie na ^nie. Pozostałe towarzystwo przyglądało się z zainteresowaniem naszemu szamotaniu i gotowa już byłam narobić krzyku, kiedy nagle płomień Witkacego przygasł, twarz pobladła, odetchnął z trudem i oparł się o ścianę. Potem spojrzał na mnie bokiem, wzruszył ramionami ze Zniechęceniem. Znow usiadł z głową pochyloną do przodu, milczący ' Ponury.

Wv

305

Dość już miałam tej zabawy i zapragnęłam gorąco pojechać d ale siedziałam tak nieszczęśliwie, że ani rusz nie mogłam się wvd °^ A czekały mnie jeszcze inne niespodzianki. ac

Na sali kipiała zabawa, było wesoło i kolorowo, a w nasze' światło przyćmione i nastrój ponury. Nagle ten z wąsikami oparł (^ na rękach i począł głośno szlochać, oskarżając się o przeróżne wyst i? podłość, szmatowatość, małość. Witkacy patrzył na nieeo ^ md) ' zainteresowaniem, nagle wstał i ociężałym krokiem, jak gdyby włócząc nogami, wyszedł. Ja mając dość tej zakopiańskiej przybysze szczyzny przesunęłam się nieznacznie do wyjścia. Ale zagroził mi drogę powracający Witkacy. Znow buchał ogniem i siarką, krok jego był lekki i sprężysty, oczy na pół przytomne. Znow powiewał nie istniejącą grzywą i grzebał pół końskim, pół szatańskim kopytem. Wszystkie kobiety patrzyły na niego ze wzrastającym ogniem aleja, której tego wieczora przypadł zaszczyt jego względów, poczułam prawdziwą panikę, słysząc ponownie grzmot potoku jego słów, diabelski śmiech, widząc spocone czoło i nieopanowane gesty. Nie było najmniejszej wątpliwości, był po jakimś narkotycznym zastrzyku. Ale na tym nie koniec. Szlochający wąsatek kontynuował swoją publiczną spowiedź, której mu Witkacy ostrym, bolesnym słowem zabronił, ale oto, po krótkiej również nieobecności, zjawił się ten z długim jak fiński nóż nosem i, przybrawszy heroiczną pozę, wygłosił do nas krótkie, lecz dobitne przemówienie na temat własnej wielkości. Witkacy szalał z zachwytu. Nagle nosacz wydobył autentyczny rewolwer i patetycznym gestem przyłożył sobie do skroni. Witkacy śmiał się szatańsko, wąsatek podniósł głowę i osłupiał, jakichś dwóch przybyszów, których dotąd nie zauważyłam, zrobiło parę nieporadnych gestów, żeby rozbroić samobójcę, kobiety pisnęły jak przerażone myszy. Ale oto nosacz zmienił zamiar: oderwawszy rewolwer od skroni, powiódł po nas nieprzytomnym wzrokiem, począł celować do każdej z siedzących osób, jakby zastanawiając się, gdzie by było najdogodniej wpakować kulę. Tym razem zrobił się zamęt, kobiety włożyły pod stół, wąsatek za nimi, dwaj nieznajomi zniknęli i tylko Witkacy, groźny i wspaniały, nie ruszył się z miejsca i hipnotyzował kandydata na mordercę swoim przepastny"1 wzrokiem.

Co do mnie, skorzystałam z zamieszania i ze zręcznością kota, węża-jaszczurki, prześlizgnęłam się do wyjścia i cwałem pognałam do szatn • Pochwyciłam swoje futro i zaczęłam się spiesźnie ubierać. Ale w skok z 306

nadł Witkacy, olbrzymi, groźny, z przekrwionym spojrzeniem, i"1"* „}; „Co to ma znaczyć? Pani zostanie. Przyszliśmy razem, 'vVf • iv razem". — „Nic podobnego — powiedziałam, patrząc błagał-vvT° góralach, którzy zbili się w kupkę i wyraźnie byli po mojej stronie, "^mówiliśmy się, że każde z nas ma prawo wyjść osobno". — „Ale to "" YJO mnie, a nie pani!" — huknął Witkacy i rzucił się, aby mnie 7vmać. „Gazdo! —

krzyknęłam. — Który mnie zawiezie? Ja nie chcę /ostać". Na to jeden z górali ogarnął mnie ramieniem i spojrzał oźnie na Witkacego, który zawahał się wyraźnie, i hajda, oboje Wzyliśmy za drzwi, w śnieg, prosto w sanie. Góral, też już mocno nodpity. zahuczał po swojemu, aż echo poszło po reglach, i pognął konie jak zaprzęg diabelski. Pędziliśmy przez noc, przez rozpyloną mgławicę śnieżną, że tylko migwały w oczach słupy telegraficzne i puchate od szronu jodły. Góral wyśpiewywał, pohukiwał, gadał rozgłośnie i pijacko na całą okolicę. Mógł mnie zawieźć gdzie chciał i zrobić ze mną co chciał. l Ale czułam w nim człowieka honorowego i ani na chwilę nie zatrosz-| czyłam się o swoje bezpieczeństwo. Pocieszał mnie, że „taki pon to też się schła jak bydłę", ale że nas nie dogonią. Nikt nas zresztą nie gonił i bezpiecznie przybyłam do swego pensjonatowego portu. Witkacy obraził się na mnie śmiertelnie.

Ów bal w Jaszczurówce pozostawił mi wspomnienie smutne, kabo-tyńskie i komiczne zarazem. Dziwiłam się kobietom, które tego rodzaju urokom ulegają. Ale „szatańskość" Witkacego nie była tylko czczym gestem, podobnie jak „szatańskość" Przybyszewskiego. Tam życiem za to zapłaciła Dagny. Tu... Trudno sobie wyobrazić coś bardziej tragicznego i równocześnie makabrycznego niż śmierć tego nowatora, prekursora, a jednocześnie spadkobiercy tradycji młodopolskiej. Kiedy Niemcy oblegali Warszawę, a Rosjanie wbili nóż w plecy konającemu Państwu, Witkacy, gdzieś na prowincji, w ucieczce, uważając, że Wszystko stracone, zażył truciznę wraz z pewną kobietą i przeciał sobie Jednocześnie żyły. Kobieta ocknęła się — cała skąpana we krwi kochanka.

"Wiadomości Literackie", tygodnik, który tak wielką rolę odegrał moim życiu, były niepospolitym zjawiskiem. Pozostała nawet po nich SWeego rodzaju legenda. Spotykam teraz młodych ludzi, którzy powołują

307
się na to pismo albo przynajmniej pragną przeczytać je na nowo R bardzo bliska temu tygodnikowi i współpracowałam z nim, nie m ^ jednak powiedzieć, żebym należała do zespołu redakcyjnego. zacjn g? zespołu nie było, był tylko Mieczysław Grydzewski. Mężczyzna s' nego wzrostu, nie tyle przystojny, ile mający twarz męską i wyrazi chodził zawsze z pięknym psem airdale-terrierem. Słonimski twierd 't że ten pies nie lubi swego pana, co jest tragedią życia... nie pana, tyli/ psa. Takie sobie drwinki urządzał, jak to Słonimski, ale przyjaźnili s' bardzo. Grydzewski był człowiekiem dość niezwykłym, w tym sensie że jedyną jego pasją było właśnie redaktorstwo. Zaczai od tego że wydawał „Pro Arte et Studio", pismo studenckie, które od razu zyskało bardzo duży rozgłos. Nic dziwnego, zgromadziło z miejsca wybitne talenty. Grydzewski, człowiek zamożny, poświęcił cały swój majątek całą dość znaczną fortunę na wydawanie pisma literacko-społecznego. I tak powstały „Wiadomości Literackie".

Były one, być może — naśladowaniem któregoś z tygodników literackich francuskich w rodzaju „Marianne", której pamięć trwa do dzisiaj w społeczeństwie francuskim. Przed „Marianne" było jeszcze coś innego, czego nie pamiętam, w każdym razie format był podobny, to znaczy normalny gazetowy, duży, i Grydzewski też się tego trzymał. Z tym że francuskie pisma literackie redagowane przez Merle'a, a przedtem chyba przez Juliana Bendę, drukowane były byle jak, na zwyczajnym papierze, podczas gdy „Wiadomości" miały szatę zewnętrzną bardzo wypracowaną i staranną.

Jeżeli chodzi o treść Grydzewski kierował się wyłącznie_własny^ smakiem, własną oceną, polegał na własnej, bardzo wysokiej kulturze. On czytał nadsyłane artykuły, chodził do drukarni i pilnował^ruFu^ sam składał, często sam łamał, sam redagował, sam robił wszystkie korekty, zupełnie w głowie się nie mieści, jak mógł taką J>ra^ wykonywać jeden tylko człowiek. W okresie ogromnej poczytnosci pisma zaczął wydawać dodatek w języku francuskim^tóry nazywarH1?^ „Pologne Litteraire", żeby zapoznać Zachód z twórczością P0" ską. Wszystko za własne pieniądze, wszystko sam jeden. Dzisiaj o^ tej

roboty trzeba by zatrudnić, nie wiem, co najmniej dwadzieścia osób. Po jakimś czasie wziął do pomocy sekretarza, Władysława Broniewskiego. Ten, jako były legionista, mógł się ubiegać o różne wysokie stanowiska, ale tym wzgardził i przeszedł jawnie na pozycje komunisty

308
choć członkiem partii nie został. Znalazł się wobec tego w trudnych warunkach materialnych i Grydzewski chciał mu pomóc.

*/i'dek na to sekretarzowanie całkowicie „bimbał”, tyle że przyjmował telefony, a Grydzewski nadal, jak poprzednio, wszystko robił sam. Stał

• on niejako władcą „Wiadomości”, ale władcą oświeconym, to znaczy tolerancyjnym, czasem nawet za bardzo. Szanował osobowość autora. Sam ograniczał swoją rolę wyłącznie do redagowania.

Był to człowiek niezmiernie inteligentny i umiejący pisać, ale sam nie pisał właściwie nic. Jego ambicją było pozyskanie wszystkich wybitnych talentów. Z prawa czy z lewa, na to nie zwracał zupełnie uwagi. Jednakże pismo miało wyraźny charakter, jak się wówczas mówiło, postępowy. Równocześnie Grydzewski był tak dalece obiektywny, że umieszczał czasami artykuły (co nas, współpracowników, trochę złościło) tych, którzy nas znieważali, szargali w endeckich, skrajnie prawicowych pismach (na przykład Nowaczyńskiego). To było dla niego jedyne kryterium: talent, dobre pióro, umiejętność pisania. „Talentyzm”, jak to ironicznie nazywał Irzykowski. W ten sposób drukował Grydzewski zarówno komunistów czy komunizujących, jak i prawicowców. Koło pisma szybko zebrała się pewna gromadka ludzi, których prócz zawodowych łączyły także towarzyskie więzi, i ja do nich, obok Boya-Żeleńskiego, Słonimskiego, Wierzyńskiego należałam. Widywano nas razem przy stoliku, po premierze, jak dyskutowaliśmy zarówno o sztuce, która szła tego dnia, jak o aktualnych wydarzeniach. Najniesłuszniej nazywano nas klanem.

Grydzewski był człowiekiem odważnym, tym rodzajem odwagi, który należy szczególnie szanować, to znaczy miał odwagę cywilną, nie bał się drukować rzeczy, które mogły nie podobać się władzy albo społeczeństwu. Nie zawahał się, kiedy rozpętała się nasza akcja na temat przemiany obyczajów, zapobiegania ciąży, rozwodów, niepotępienia homoseksualistów i tak dalej, nie zawahał się, powtarzam, wydawać dodatek do „Wiadomości” pod tytułem „Życie Świadome”. Nie wahał się też drukować artykułów Słonimskiego, który nigdy nie ulegał żadnym ścisłom. Pisał to, co myślał i co się często nie podobało, zwłaszcza osobom wysoko postawionym. Kiedy już narastał faszyzm i hitleryzm, Grydzewski drukował (aż do znudzenia, jak twierdził Iwaszkiewicz) artykuły pacyfistyczne, antyfaszystowskie i antyhitlerowskie. Antonie-Świątko podczas kiedy była moda na faszyzm i do Hitlera potrafiły łączyć się

309

niektóre pisma polskie... Drukował też wiersze czy artykuły pracowników Żydów, mimo że fala antysemityzmu była wtedy bardzo silna. FUU°Wc2as

Grydzewski lubił redaktorskie figle, które były zarazem śmiałymi pociągnięciami. Zaproponował Boyowi, który, jak wiadomo, był specjalistą od literatury francuskiej, żeby właśnie napisał nie o francuzach, tylko o polskiej literaturze, o Mickiewiczu. W ogóle Boy-0 '^ to inicjatywa Grydzewskiego. Mnie, która pisałam o książkach i o sztukach teatralnych, posłał po prostu do sądu. Wydałam wobec tego po jakimś czasie zbiór reportaży sądowych, które spowodowały wielki szum. Byłam już dostatecznie znana i zwalczana, ale artykuły o gonimych były punktem dominującym w mojej karierze w „Wiadomościach Literackich”. „Gdzież by indziej, jak nie w „Wiadomościach” mógł Boy drukować swoje ogromne, na całą kolumnę artykuły o literaturze polskiej o krytyce polskiej, przewracające dosłownie do góry nogami ustalone pojęcia i przesady. Żadne pismo by się nie podjęło takiej roboty i to w dodatku wśród takiego straszliwego wrzasku połączonych sił prawicy i lewicy. Pisze o tym bardzo obiektywnie, słusznie i uczciwie Aleksander Wat w swoich Wspomnieniach i stwierdza:

„Talenty były po ich stronie”, to znaczy skamandrytów i „Wiadomości Literackich”. I z goryczą mówi: „Z kim myśmy się sprzymierzyli, kogośmy zwalczali — Boya, Słonimskiego”.

Ale że warunki i ludzie się zmieniają, to i Grydzewski począł się powoli, ale skutecznie zmieniać. Na gorsze. Począł „dyktatorzyć”, odbijając w swoim małym osobistym zwierciadelku tendencje epoki. Sprowadził sobie w dodatku na głowę niejakiego Antoniego Bormana. * Tego ostatniego znalazłam najdawniej ze wszystkich, bo już jako dziecko, kiedy lądowałam u Godka w czasie kolejnych aresztów Maminka. Państwo Bormanowie mieszkali na tej samej klatce schodowej, tak że Antka, starszego nieco ode mnie, pamiętałam znakomicie. Zawsze był to chłopak arogancki, głupi i antypatyczny. Nie znosiłam go. Potem, na długie lata znikł mi z oczu, aż nagle go spotkałam w kontekście, że się tak wyrażę. „Wiadomości”, czyli w środowisku najmniej oczekiwanym. Borman był to macher i geszefciarz, zajmował się przy tym chyba interesami, i on to wywierał od pewnego momentu doniosły wpływ na Grydza. On podsunął myśl wyzyskania tak rozchwytywanego pisma dla robienia interesu i za jego sprawą pojawił się w „Wiadomościach” czynnik merkantylny: ogłoszenia, głupawe najczęściej konkursy i na-

310

y Przykro, że tak źle o nim mówię, ale choć Borman nic mi „ujście złego nie zrobił, mój stosunek do niego nie zmienił się od „sów najwcześniejszego dzieciństwa. Do poprzednich swoich wad w „iOżył jeszcze potężny snobizm. Było coś poniżającego w obcowaniu tym człowiekiem. I teraz, kiedy czytam peany na jego cześć w londyńskich „Wiadomościach” — ogarnia mnie pusty śmiech. Może się czymś „asłużył na emigracji, nie wiem, ale ja mam o nim wspomnienie jak najgorsze. Po prostu odczuwałam wobec niego coś w rodzaju obrzydzenia, niemal fizycznego. Na jego plus potrafię wymienić jedyną rzecz — jego niesłychaną, przemożną miłość do żony (choć był pederastą, i jak się tu nie dziwić paradoksom życia). Zaspokajała przede wszystkim jego snobizm. Jako Żyd marzył, żeby się ożenić z rodowitą Polką. Halina Lenczewska była do tego jedną z najlepiej ubranych kobiet w Warszawie (miała własny styl, nieco męski). Puszczala się na cały regulator, czemu trudno się było dziwić, zważywszy skłonności męża. Była brzydka, miała twarz pospolitą i tępą — ale dzięki szczególnej umiejętności stworzyła sobie coś na kształt własnej urody. Nie była inteligentna, ale żeby było śmieszniej, została już po wojnie „rektorem” jakiegoś uniwersytetu dla żołnierzy brytyjskich czy amerykańskich. Borman nie mógł przeboleć jej śmierci i to było jego jedyne bezinteresowne uczucie, jakie znałam. *

Wracam do Grydzewskiego i do jego powolnej, ale dość nieprzyjemnej przemiany. Cóż było robić na to, że on — dobry, zacny, bezinteresowny, on, który stworzył świetną platformę dla postępowych ludzi swego czasu, postępowych i niezależnych od żadnych ugrupowań partyjnych czy finansowych — czuł słodkie dreszcze obcując z wstecznikami, dopuszczając ich do głosu na łamach swego pisma, którego sukces stworzyli inni? Móc drukować tego czy innego endeka było dla Grydza jakby wielkim zwycięstwem. Przemawiał tu przez niego nie eklektyzm redaktorski, który był jego zasadą, ale kompleks Żyda, dumnego, gdy zdobył antysemitę. Było to irytujące i trochę gorszące, bo konflikty się zaostrzały i ludzie, jak ich tu nazwać — liberalni? Posępowi? — byli na coraz słabszej pozycji. Grydzewski płynąc na tej „a’i, co było dla nas, współpracowników, niespodzianką — zaczął buszować po tekstach, czym by się dawniej brzydził, zaczął wbijać klina Między kolegów. Zaproponował mi na przykład pisanie recenzji teatralnych, zamiast Słonimskiego. Nie zgodziłam się, przyjąłam tylko zastępstwo w czasie nieobecności Antoniego, który sporo podróżował, a poza

311

tym otrzymałam stały teatralny przegląd miesięczny w „Skamandr? • Ale sama propozycja, mimo że pochlebna dla mnie, była nieprzyzwo>• i bynajmniej nie podsyciła moich dobrych uczuć w stosunku do Gryfa* którego poprzednio lubiłam, a co ważniejsze — szanowałam. W

owy też czasie, kiedy prawica usiłowała zepchnąć Boya ze świecznika, Gryd począł narzekać, że Boy za dużo i za często pisze. No i jeszcze te głupawe konkursy, na które dawny Grydz by nie poszedł, a które bawiły czytelników, choć na ogół nie robiły dobrej roboty. Tak np. Grydz postanowił na zasadzie głosowania wśród czytelników utworzyć Akademię Niezależnych. Do tej Akademii dostali się skamandryci czy Dąbrowska, ludzie, którzy na to zasługiwali, ale sama nazwa ~EyTa niebawem niefortunna, dawała bowiem do zrozumienia, że "oficjalni Akademia składa się z ludzi „zależnych”. Otóż ani Boy nie był od nikogo zależny i nigdy by do jakiegokolwiek zależności nie dopuścił, ani Irzykowski (którego skądinąd nie cierpiałam), ani Nałkowska czy inni. Przy czym ta nowo obrana przez czytelników Akademia ogłosiła konkurs na najlepszą książkę roku.

Ukazało się w owym rok-u kilka doskonałych powieści, esejów, tomów wierszy, ale owa „niezależna” Akademia przyznała nagrodę Wojciechowi Bąkowi, kandydatowi kruchty, nikomu zresztą nie znanemu, słabemu poecie, związanemu jak najmocniej z potężnym i bardzo wstecznym wówczas w Polsce kościołem. Laureat był jak najbardziej „zależny”, bo wątpliwe, czy ktoś by mu wydał jego słabe wiersze, gdyby nie posłuszeństwo ideologiczne wobec prawicy. Od czasu owego niefortunnego konkursu zniechęciłam się raz na zawsze do wszelkiego _ rodzaju nagród i wyróżnień, przekonawszy się, jak mało zazwyczaj mają wspólnego (co potem moje doświadczenia wielokrotnie potwierdziły) ze sprawiedliwością, a czasem ze zdrowym rozsądkiem.

Po wielu latach, będąc już w Paryżu, zostałam zaproszona przez Grydzewskiego na kolację i był to znów ten dawny Grydzewski. Z naciskiem zaprosił mnie do współpracy z „Wiadomościami” londyńskimi. Posłałam mu nowelę, którą natychmiast wydrukował. Jeszcze parę słów o Akademii Literatury, instytucji dziwnej i trochę śmiesznej. Niestety, ta odrobina śmieszności jest atrybutem takiej instytucji we wszystkich krajach, w których istnieje, zwłaszcza *e Francji. A jednak wielu pisarzy, skądinąd poważnych, dobija się do jej bram. Polska Akademia powstała z mianowania. Na szczęście n'e zasiadali w niej przedstawiciele kleru, wojska, arystokracji itd. Człon-312 i jedynie pisarze, zarówno prozaicy, jak poeci i publicyści.

l/aflii -./

u sferacn ^odgórných" było podobno duże wahanie, czy mianować „va Mianowali. Wraz z Irzykowskim, co było dla Boya nieprzyjem-edyż działo się to po Beniaminku, kłamliwym, obrzydliwym pa- V5 O— ""

kwilU) skierowanym przeciwko jego osobie. Obaj panowie na zebraniach nie kłaniali się sobie i nawet nie patrzyli na siebie. Wszyscy członkowie Akademii, których znałam, byli bardzo dumni z tego, że są w tej instytucji. Wszyscy, z wyjątkiem Boya, którego to w jakiś sposób żenowało. Nie cierpiał żadnych honorowych funkcji i zawsze się bronił przed wszelkiego rodzaju prezesurami itd. Instytucja Akademii była dla niego równie śmieszna jak instytucja jubileuszów. „Miriam (Zenona Przesmyckiego) — mówił — mianowali za nieróbstwo, Irzykowskiego za oszczerstwa, Sieroszewskiego za zdziecinnienie". A propos, sławna była mowa żałobna Sieroszewskiego nad grobem jakiejś damy z rządu: „Tu spoczywa śp. generałowa Piłsudska, eee generałowa". I potem znowu: „Piłsudska", która stała tuż obok niego nad grobem. Straszna gafa. Wtedy właśnie Franc Fiszer powiedział: „no i cały pogrzeb na nic". Do mnie Sieroszewski miał zwyczaj mówić: „Krzywicka? A to talencik po ojcu, po ojcu". „Kiedy ja jestem synową Ludwika, nie córką". „No właśnie, talencik po ojcu, po ojcu". Ze swoich kolegów akademików Boy lubił właściwie tylko Nałkowską, choć go nieco raziła jej pretensjonalność (co okupywała wielkim wdziękiem). W pewnym momencie umarł już nie wiem który z akademików i powstał wakans. Oczywiście wszyscy akademicy, i to bez względu na przekonania, wysunęli kandydaturę Tuwima. Ale były sprzeciwy odgórne wobec tego "Żyda piszącego po polsku". Większość czytelników „Wiadomości” uważała, że

to wahanie to skandal, a skoro ma istnieć taka nadrzędna instytucja literacka, powinno się było w niej znaleźć miejsce dla tego odnowiciela polskiej poezji. Ostatecznie do Akademii wybrano Kazimierza Wierzyńskiego.

Nałkowską znałam. Oczywiście, podziwiałam ją jaką pisarkę, byłam bardzo wrażliwa na jej urok osobisty, ale na „ty” przeszliśmy dopiero po wojnie. Poprzednio dzieliła nas spora różnica wieku, która dawa-

a się odczuć przede wszystkim, kiedy byłam młoda. Miałyśmy w wielu teatrach miejsca obok siebie na premierach.* Patrzyłam na tę niemł-

5 t?84> nieforemną kobietę, o pięknej twarzy (w ówczesnej konwen-CJO, ale która, według mnie, nie mogła już pociągać żadnego mężczyzny, *e swoim wielkim biustem i ciężką figurą. Patrzyłam z pewnym prze-

313

miął

; o\ v na

strachem i zdumieniem, bo obok niej znajdował się nieodstępnie [T]. przystojny chłopak, który mógłby być jej synem, Bogusław Ki V ski. * Mój wydawca, dyrektor „Roju”, Kister, opowiadał mi, \-c chłopak przyszedł do niego z rękopisem, tak obdarty, że nie sobie koszuli i dekolt zakrywał podniesionym kołnierzem rmaryna -v „Nie chciało mi się czytać tego rękopisu — powiedział — więc odesłał go do Nałkowskiej. Jeżeli jej się spodoba, to będę drukował. No i pani powie? W tydzień czy dwa później chłopak zjawia się u miii wystrojony, w nowym garniturze, ostrzyżony, ogolony, z pochlebnym listem od Nałkowskiej. Co mam robić, drukuję, zresztą to podobno niezłe. Ale chłopaczyna się urządził. Sam nie wiedziałem, że przyczynie się do tego”. A ja patrząc na tę parę, myślałam sobie: „To niemożliwe żeby ja kochał”. Myślałam tak jeszcze po wojnie, kiedy byłam attache kulturalnym w Paryżu i kiedy przyjechała Zofia. Podczas jakiejś rozmowy, kiedy poczułyśmy się szczególnie bliskie, powiedziała: „Nie mam pojęcia, co począć z Kuczyńskim. Wojna nas rozdzieliła, on się ożenił z młodą, co naturalne, a teraz pisze, że mnie kocha, że chce się rozwieść i wrócić do mnie”. Myślałam z zażenowaniem: „Po co ona mi to wszystko opowiada, przecież to nieprawda, to niemożliwe”. Tymczasem właśnie okazało się najczystsza prawda. W jakiś czas potem pojechałam do Londynu na zaproszenie UNESCO i tam nagle o dwunastej w nocy zadzwonił do mnie Kuczyński. Przyszedł nazajutrz i opowiadał mi gorączkowo o swojej miłości, o tym, że chce wrócić do Zofii. Jakoż rozwiódł się ze swoją młodą żoną i wrócił. Tak to, podobnie jak było z Lunią Antoniewiczową, coś zupełnie nieprawdopodobnego okazało się prawdziwe.

Myśl o Nałkowskiej naprowadza mnie, siłą rzeczy, na wspomnienie o Karolu Szymanowskim. Jakoż łączyła ich intensywna przyjaźń, wielu zadawało sobie pytanie, czy nie miłość. Z jej strony chyba tak. I trudno się dziwić. Szymanowski mógł się do szaleństwa podobać. Przystojny, o nieopisanym zupełnie wdzięku. Niezwykła uprzejmość, dar patrzenia rozmówcy prosto w oczy, jakby był dlań najważniejszą osobą na świecie. Nie widywałam go często, ale i ja doznałam jego czarodziejskie!! uroków. Zadawano sobie tylko w naszych kołach pytanie: czy jawna miłość Nałki (tak ją nazywali przyjaciele) jest wzajemna, no i czy P° prostu śpią ze sobą. Niestety, z tego, co wiem o Karolu, jego niewątpliw pociąg do Zofii zatrzymywał się w pewnym punkcie, bo Szymanowski naprawdę był wrażliwy tylko na uroki chłopców. Musiała to być cię*

314

dla Nałkowskiej: obcować blisko z tak uroczym mężczyzną sprawnac? Choć znów niektórzy przysięgali, że zrobił dla niej wyjątek, i -" J11 może wiedzieć. W każdym razie jest faktem, że tych dwoje nie-

tlvcb ludzi przeżyło razem piękne chwile, jeżeli nie miłości, to przy-^wY^ y • ••»' • ni zabarwionej miłością.

Szymanowski nie tylko miał rzadki czar osobisty, ale był mądry, i • t resujący w rozmowie. Nigdy żadnego banału, wielkie poczucie i in oru j taka jakaś serdeczność w stosunku do ludzi. Nic przy tym ka-Tryństwa, czego nie można było powiedzieć np. o Witkacym, jeszcze ekniejszym, jeszcze bardziej fascynującym, ale ordynarnym w ob-owaniu i zgrywającym się aż do karykatury. Szymanowski to była sama prostota, ta najtrudniejsza prostota, na którą się składa wielkie wyrafinowanie i wielka inteligencja. Nie licząc już talentu.

Pragnę też wspomnieć Jana Parandowskiego, z którym byliśmy blisko zaprzyjaźnieni i który łączył z talentem pisarskim dużą wiedzę. Był to człowiek niezmiernie sympatyczny, ciepły i odważny. Przeszedł gruntowną przemianę duchową od bezbożnego Nieba w płomieniach, które narobiło w katolickiej Polsce wiele hałasu, do postawy człowieka wierzącego, po wojnie. Ale to już jego prywatna sprawa, przez różne etapy się w życiu przechodzi i nikomu nic do tego. Do bliskich nam ideowo i duchowo ludzi należał też Józef Wasowski, publicysta „Epoki”, pisma szlacheckiego, ale mało czytanego.

Parę słów o ówczesnych wydawcach. Jak nadmieniałam, my z „Wiadomości” mieliśmy drzwi zamknięte do najpoważniejszego podówczas wydawnictwa, czyli Gebethnera i Wolffa, z winą lub bez winy doradcy literackiego firmy, Aleksandra Wata. Firma była prawicowa, a Wat komunizował, co się wydaje dość dziwnym połączeniem, ale grały tu pewne względy osobiste. Siostra Wata, doskonała aktorka Seweryna Broniszówna, miała przyjaciela, który się liczył u Gebethnera i który tam Wata umieścił.

Poza Gebethnerem istniało sporo raczej pokątnych, ruchliwych ale nieuczciwych firm wydawniczych. „Rój” był spośród nich najpoważniejszą i miał największy obrót. Wydawał dużo. Na jego czele stał Melchior Wańkowicz, który przyjmował autora owacyjnie, z ser-Cem na dłoni, zabawiał dowcipną rozmową „między nami pisarzami”, ale kiedy dochodziło do spraw finansowych, twierdził, że się tym n'e interesuje, i odsyłał do Mariana Kistera. Ten był, owszem, uPrzejmy, ale twardy. Nie lubił dawać zaliczek, chętnie płacił weksłami.

315

Pomagała mu w pracy śliczna i miła żona, która dodawała wiele wydawnictwu. Autorzy chętnie szli do „Roju” mimo dość niedokł-nego i skąpego wywiązywania się ze zobowiązań materialnych, szli K firma była ruchliwa, na druk książki nie czekało się długo i wydawca ' wtrącał się do jej treści i formy. Ale tak, prawdę mówiąc, gospodarlf była rabunkowa. Firma wydawała ok. 2000 egzemplarzy powieść rzuciła ją na rynek i trzymała na nim parę tygodni, po czym wszystko co zostało, szło do „kosza”. O drugich wydaniach nie było mowy wydawca poprzestawał na zebraniu pierwszej śmietany i książka znikiała z rynku. Nakład był śmiesznie mały (w porównaniu np. z powojennymi nakładami), ale uważało się, że zbyt na książki w Polsce jest nikły, że ludzie mało czytają, a ustawy bibliotecznej rząd, mimo obietnic, nie wprowadzał w życie. Toteż żyć z literatury, nie pomagając sobie dziennikarstwem, było niepodobieństwem.

Innym typem wydawcy był Jakub Mortkowicz. Nosił długie włosy, kapelusz z szerokim rondem i pelerynę. Boy śmiał się (i napisał o tym w jednym z artykułów), że patrząc na krótko ostrzyżonego Żerom-skiego, w dobrze skrojonym garniturze, niejednym by się zastanowił, kto tu jest kupcem, a kto poetą. Mortkowicz, ucharakteryzowany na poetę, nie miał w sobie ani żdźbła poetyczności, ale zasłużył się dobrze kulturze polskiej, wydając (bez nadziei na zysk) Norwida, którego mu dostarczał Miriam-Przesmycki w homeopatycznych dawkach, i poetów „Skamandra”. Ich sukces był dla niego samego niespodzianką, zwłaszcza sukces Tuwima i Słonimskiego, bo hołdował przyjętemu podówczas pogładowi, że Żyd nie może mieć zdolności twórczych. Miał kulturę i smak niewątpliwy, ale jednocześnie była to postać zabawna i nic dziwnego, że go Słonimski żywcem przyszpilit w jednej ze

swoich komedii (w Murzynie warszawskim). Tragedią Mortkowicza było to, że był Żydem, więc starał się okazać arcypolski, ultrapolski, superpolski. To nie Antoni wymyślił, że opowiadając, jak jadł zając z kartoflami, wyrażał się: „Jadłem szaraka z ziemniakami • Po szalonym sukcesie Czyhania na Boga powiedział do mnie (a zapewne i do innych): „Teraz wydam prawdziwie POLSKIEGO poetę”. P°eti* tym był (nie odbieram mu, broń Boże, polskości) Wierzyński, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Wirstlein, był bowiem pochodzenia niemieckiego. Ale Mortkowicz rad był, że znalazł nareszcie dużego < dorodnego goja. Oczywiście Lechoń też załatwiał sprawę i Mortkowicz

316

Przed nnTI> zwłaszcza że bał się jego okrutnego, niesłuchanie Mortkowicz (co było podówczas nowatorstwem) urządził swoją księgarnię? na kształt salonu. Położona przy Mazowieckiej, tuż koło Ziemiańskiej", gdzie się schodzili intelektualiści albo bodaj ci, którzy "hcieli na intelektualistów popatrzeć, miała klientelę kulturalną, spośród której większość znała osobiście wydawcę. Można było wejść, poglądać nowości i piękne, poświęcone sztuce wydawnictwa i wyjść, nic nie kupiwszy. W tej księgarni, w gabinecie poza sklepem, celebrował sam władca firmy, a w sklepie sprawowała rządy jego żona, nieznośna snobka, która raczej odstraszałaby kupujących, gdyby nie sprzedawczyni, a raczej przyjaciółka firmy, bardzo sympatyczna i inteligentna (choć jako malarka, do czego się poczuwała, niezbyt udana) panna Natalia Zabawer. Była to w owym czasie osoba już nie pierwszej młodości (przyjaciółka Maminka), niesłuchanie sympatyczna, serdeczna, znająca się na sztuce, pełna wdzięku. Pannę Natalię znała cała myśląca Warszawa, ona zaś sama była najbliższą przyjaciółką pięknej, odważnej i odbiegającej od pospolitego typu kobiet tego czasu Stefanii Sempołowskiej.

O Sempołowskiej pisano już dużo, ja zaś nie znałam jej dość blisko, aby móc wiele dodać do tego, co już czytającym wiadomo. Uderzająca była jej postać: ubrana zawsze niemodnie, jakby zesza z fotografii początku stulecia, w długiej czarnej sukni z trenem, wspaniałej koafiu-rze i ogromnym kapeluszu (nawet w epoce krótkich sukien i krótkich włosów) nie była jednak śmieszna, tak wiele miała w sobie — nie znajduję innego słowa — majestatu, taki budziła szacunek swoją społeczną postawą. Piękna, jak to wówczas nazywano, królewską pięknnością, nie wyszła nigdy za mąż z powodów mi nie znanych. Otaczał ją zawsze rój rozkochanych w niej uczennic i przyjaciółek, toteż po cichu nazywano \$ lesbijką (wówczas tego słowa nie mówiło się głośno), co inni dementowali z najwyższym oburzeniem.

Tajemnica jej prywatnego życia, do "órej nic nikomu, skoro jej sama nie zdradzała, nie zmienia faktu, że tyła to jedna z naj świetniej szych postaci, jakie ówczesna Polska wydała. Tak więc, panna Natalia była jedną z najbliższych jej przyjaciółek.

ak powiedziałam, to panna Natalia ściągała klientów do księgarni Mortkowicza, umiała bowiem polecić właściwą książkę szukającym,

317

"

ośmielić nieśmiałych, podyskutować ze znawcami. Była skarbem księgarza, który jej trudy marnie opłacał (wiem od Maminka) i uw. że jej robi zaszczyt, zapraszając czasem do domu na obiad. Pa"" Natalia godziła się na wszystko: na ciężką całodzienną pracę, na m- ? wynagrodzenie i niemożliwe traktowanie ze strony pani Mortkowicz wej, tak bardzo lubiła swój zawód i tak bardzo pochlebiali jej, że zn-„całą Warszawę". Ona też, kiedy Boy napisał w 1924 roku artykii o Prouście pt. Nowe sionce literatury, przyniosła Maminkowi wprezen cię pierwsze tomy Straconego czasu i dzięki niej mogłyśmy się obie, jedne 7. pierwszych w Polsce, z tym dziełem zapoznać.

Tak więc miły uśmiech, życzliwość panny Natalii, czy raczej, jak ja nazywano. Nalali, ściągały klientów, których mogła odstraszyć odpychająca mina pani Mortkowiczowej. Była

to dosyć przerażająca osoba: autorytatywna, agresywna, nie miła i arogancka. Najwięcej chyba ucierpiała od niej córka, łagodna, miła i dobra Hanka, późniejsza Olczakowa. Matka postanowiła, chyba zaraz po jej urodzeniu, że córka będzie genialna, i to nie tak po prostu genialna, ale na modłę Leonarda da Vinci. Kazała jej ukończyć Akademię Sztuk Pięknych, studia polonistyczne, no i oczywiście pisać. Zahukana, posłuszna dziewczyna wypełniała wszystkie żądania matki zadowalająco, ale nie więcej. Owszem, malowała, owszem, zdobyła doktorat na wydziale filozofii. owszem, pisała — i to ostatnie jeszcze udawało jej się najlepiej, ale w niczym nie wyszła poza przeciętność. Dziw, że tego rodzaju matka nie spaczyła jej charakteru. Przeciwnie, Hanka była przemiła, życzliwa, dobra, uśmiechnięta, ale śmiertelnie bała się matki, już nawet jako dorosła kobieta. Nie było oczywiście mowy o tym, żeby Hanka, tłuściutka i nieładna, wyszła za Żyda, chyba po trupie pani Mortkowiczowej. Dość późno znalazł się w jej życiu niejaki Olczak, o którym nie wiem nic bliższego, poza tym, że wkrótce po ślubie porzucił Hankę. Co biedula przeszła, mogę sobie wyobrazić, ale rodzice odetchnęli-' w każdym razie córka nazywała się Olczakowa, a nie jakoś, powiedzmy. Rubinstein. Kiedy byłam dzieckiem, widywałam Hankę, nieco młodszą ode mnie, często, później rzadko, ale wspominam ją najmilej, za tojej matkę z prawdziwym przestachem. Tkwiała jak olbrzymi grzyb na karku córki, która chyba nigdy nie mogła być szczęśliwa.

Mortkowicz wpadł na genialny pomysł: zamiast płacić niektórym pisarzom za każdą książkę, wyznaczał im comiesięczną i"erlt? z zastrzeżeniem wszystkich praw do ich twórczości. Tak postąpił

318

Żeromskim, z Dąbrowską. Był to na pozór gest szlachetny, bo do Z'dvcji polskiej należało, iż literaci klepali biedę. Żeromski, uszczęś-Ljony, że nie będzie musiał co miesiąc myśleć, jak związać koniec

końcem, uważał Mortkowicza za swojego dobrodzieja. Wydawca obił miny mecenasa, ale w istocie to on wygrał na tej kombinacji, pensyjka Żeromskiego była wystarczająca, ale skromna, wydawca za to robił majątek na jego utworach, które w owym czasie były rozchwytywane. Majątek zbity na literatach włożył w spekulację terenami (Boy się zawsze na to oburzał: „Gdyby choć część tych pieniędzy włożył \v literaturę. Tego by wymagała przyzwoitość"). Na tych terenach Mortkowicz wyszedł gorzej niż na literaturze — zbankrutował i odebrał sobie życie. Wobec tego tragicznego końca, należy mu wybaczyć błędy, a pamiętać o zasługach. Był wydawcą obdarzonym dobrym wyczuciem i dobrym smakiem, to wszystko. Robić z niego dobrodzieja pisarzy nie ma sensu.

Chcę jeszcze poświęcić nieco uwagi temu, co było integralną częścią mego życia, temu, czym Polska słusznie mogła się chlubić, tj. teatrowi. Istotnie teatr stołeczny (no i krakowski i lwowski, innych nie znałam) stał na najwyższym poziomie, a że jeździłam często na Zachód i znałam jako tako teatry europejskie, nie zawaham się powiedzieć, że był to jeden z najlepszych teatrów na świecie. Przede wszystkim dekoracje i inscenizacja. Może jedyny Reinhardt mógł rywalizować z Teatrem Polskim, ale i on, jak mi się wydaje, nie zgromadził takiego zastępu świetnych artystów. Drabik, Frycz olśnili teatralną publiczność, Potem Daszewski i inni, podobnie jak zastęp znakomitych reżyserów, 1- Leonem Schillerem na czele. Inne teatry podążyły w ślad za Polskim: "Ateneum", Narodowy. Na wyścigi zaczęły zdobywać dekoratorów i nastąpiła złota era dla wielu artystów. W tym samym czasie w Paryżu dekorację stanowiła nadal tekturowa ściana z oknem, drzwiami i nieuchronnym pluszowym fotelem, a twórcza reżyseria nie istniała w ogóle. "Ateneum", pod dyrekcją Jaracza, było teatrem awangardowym, "ewolucyjnym, jeżeli chodzi o repertuar, ale jakże tam grano Moliera! ^igdy, nigdzie Molier tak silnie nie kipiał siłą komiczną, nigdzie nigdy Potem nie wydawał mi się tak współczesny. I cóż to byli za aktorzy! ^ ciągu całego mego długiego życia nie widziałam amanta, który

mógłby się porównać z Osterwą, z jego urodą i nieopisanym wd? u-W dodatku był to aktor w jakiejś mierze absolutny, mógł grać w ' m komedię, tragedię, dramat. Nikt tak jak on nie mówił wiersza (W^^ jak na mój gust, był zbyt patetyczny, ale jego ponura uroda i głos też były czymś niezwykłym). Kiedy Osterwą reżyserował cię" czy gdzie indziej, wszyscy, nawet najslabsi aktorzy grali zno™ tak umiał ich wyszkolić, tak dopasować do roli. le- Pisałam w innym miejscu źle o Osterwie, bo też jako człowiek nie • dużego kalibru, był niemądry, kabotyńsko-mistyczny, snob ale H artysta pozostał na zawsze niezapomniany dla tych, którzy go wid? 1° Zdawałoby się, że ładnych chłopców są miliony na świecie, ale Ostem' był w jakimś sensie jedyny, jak jedyny w swoim rodzaju był James De'd czy Gary Cooper, tylko że Osterwą miał bogatszą gamę środków wyrazu, jego talent był wszechstronniejszy, co przy niezwyklej urodzie dawało efekt nieporównany.

A Jaracz? Ten miał wszystko przeciwko sobie. Mały, krępy 0 po spolitej twarzy i'chrapliwym głose. Jeżeli można mówić o aktorskim geniuszu, to Jaracz był genialny. Mógł grać wszystko, z wyjątkiem ról amantów. Ponury, śmieszny, wzruszający, bezradny, groźny. Niepowtarzalny Kaliban, chamski, przerażający, ale pełen mocy Szela, żalony Franio w Szczęściu Frania, nieporównanie komiczny w Chorym = urojenia albo w Mieszczaninie szlachcicem, intelektualny albo prostacki, kiedy trzeba. Nie umywają się do niego aktorzy z Comedie Francaise. To smutny luksus polski, że aktor tej miary, z którym nie mógł się nawet porównać ani Wegener, ani Jannings, ani Jouvet, ani Raimu, był ograniczony tylko do własnego kraju, na marginesie kultury europejskiej. Jak on deklamował Sokratesa tańczącego! Pił bardzo, ale wódka nie mogła zgasić jego fenomenalnego talentu. Tyle że kiedy się upił, dostawał manii wielkości i mówił: „Ja-orzeł-nad-wami, wy-karły-pode--mna". Ale miał rację. Kiedyś, już nieco podchmielony, zaczął tłumaczyć, skąd się bierze to pijaństwo, które zresztą nie przeszkadzało w jego wspaniałej artystycznej działalności: „Warn inteligentom to łatwo. Na was pracowali ojcowie, a często i dziadowie. No i coś wam tani w mózgzach załatwili, co wam ułatwia pracę zawodową czy twórczą. Ja jestem pierwsze pokolenie i całą wiedzę, pożał się Boże, o świecie, o ludziach, o kulturze, musiałem zdobyć sam. Myślicie, że to łatwo? To trzeba zębami i pazurami. Wielu moich kolegów i znajomych, którzy chcieli zostać prawdziwymi inteligentami, nie dało rady i albo rozpiłi si?

320

'mierć, albo w ogóle poszli na dno. Tak że wy nie znacie waszego

10 ścia, wam jest łatwo, bo za was pracowali inni". Nie tylko był \torem, ale stworzył ze Stanisławą Perzanowską teatr o własnym,

11 obliczu, gdzie (ten sam fenomen, co u Osterwy) najbardziej , °rzeciętni aktorzy grali doskonale.

Mówię o tych dwóch największych, nie mogę wymieniać wszystkich ..'soaniałych, Maszyńskiego, Leszczyńskiego, smutnej pamięci Juno-7 Stępowskiego, Węgierki i tylu innych. Z kobiet najmocniej wbiła mi sifv pamięć niezapomniana Stanisława Umińska, która zdążyła zagrać tylko parę ról — Puka we Śnie nocy letniej, Orcia w Nie-Boskiej, Isię w Weselu, Sarę w Majorze Barbarze Shawa i coś tam jeszcze, zanim los jej nie skierował na inne tory. Zanim nie zabiła człowieka, którego kochała, zabiła z miłości, bo męczył się straszliwie, pożerany przez raka. Uniewinniona przez sąd francuski, bo rzecz działa się w Paryżu w 1925 roku, po kilku latach wstąpiła do klasztoru i z czasem została jego przeoryszą. Podobno, w dość późnym wieku, przyjaciele namawiali ją, żeby coś zagrała (co?), ale talent w niej wygasł. Myślę zresztą, że to plotka. Skąd by przeorysza mogła grać na scenie albo nawet o tym pomyśleć. Z aktorek błyszczała groźnym talentem wielkonosa Stanisława Wysocka i brzydka, ale pełna nieopisanej finezji Irena Solska (która mi ongi w tak ponury sposób przedstawiła życie aktorki), a z młodych prześliczna, umiejająca podać w sobie tylko właściwy sposób każdą kwestię, Maria Malicka. Nie zapomnę, jak powiedziała na

zakończenie Nie igra się z miłością: „Żegnaj, Oktawie”. W tych słowach potrafiła wyrazić wszystko: zdeptaną miłość, obrażoną dumę, słodycz przebaczenia i nieodwracalność decyzji. Nie wiem, czy którakolwiek aktorka tak by potrafiła to zagrać. Piękna, urocza, utalentowana jak rzadko, była ulubienicą Warszawy, ale się zeszmaciła w czasie okupacji, z Xhc z jakimś Niemcem. Ukarano ją za to zakazem grania po wojnie. Ale kto na tym stracił więcej — ona czy polski teatr, który już nie odnalazł takiej aktorki?

Zupełnie osobną rolę w życiu teatralnym Warszawy grał kabaret „Qui Pro Quo”, który z niezrozumiałych dla mnie powodów zbankrutował P° paru latach, po czym odradzał się pod innymi nazwami, ale już w gorszej formie. Był to znów jeden z najlepszych kabaretów europejs-^lch, więcej nawet, bo gdzie by teksty pisali tak znakomici poeci jak 'Uwirn czy Słonimski oraz zgrabny rymotwórca, nie mniej od nich Dowcipny, Hemar (którego później z braku poczucia skali artystycznej

Wyzilił

321

uznano na emigracji za wieszczka). Tak więc teksty były 7n , muzyka przeważnie kradziona z przebojów zachodnich wt*-świecnie. Ale jedną z głównych atrakcji tego kabaretu był nienn - ail;i zupełnie konferansjer Fryderyk Jarosy. Nie był on Polak"0*"" zruszczonym węgierskim Żydem, źle mówił po polsku ale a nieopisany wdzięk, że nawet te jego błędy były rozkoszne Ele! ^ przystojny, dowcipny, potrafił jak rzadko kto nawiązać l H z widownią. Co prawda przeszedł dobrą szkołę, był konferan"^^ w znakomitym rosyjskim kabarecie „Siniąja Ptica”, kabarecie "l?"l przez rewolucję. Jarosy przejeżdżał przez Warszawę zakoch!) ' w Ordonce (która, nawiasem mówiąc, choć ją wielbiła Warszawa h? dosyć szmirowata) i został aż do wybuchu wojny. O wiele wyż™ Vi talentu niż Ordonka miała Mira Zimińska, której siła komie'? zwłaszcza podczas absurdalnych d.alogów z Dymszą, była nieodna *' Już nie wiem dlaczego, właśnie z Zimińska zbliżyliśmy się bardzj ' Inteligentna, bardzo ciążyła do pisarzy, a że zdobyła pełny sukces w ic me potrzebowała łaścić się do krytyków. Gdzieś, na pozór na peryferiach jej życia, snuł się brzydki, chudy muzyk, który przemyczał się jakoś niepostrzeżenie, Sygietyński. Dopiero po wojnie okazało się 'że jest poważnym artystą. Stworzyli oboje „Mazowsze” i choć jest to folklor sztuczny , stylizowany, nadali piosence polskiej rozgłos światowy a to niemało.

Z niezapomnianych przedstawień pamiętam Zemstę w „Rozmaitościach” , które były taką polską Comedie Francaise. Grali w niej najwspanialszy aktorzy, nawet w najmniejszych rólkach. Niesamowitym Rejentem był stary już podówczas Wincenty Rapacki, Mieczysław Frenkiel jako Cześnik, Kazimierz Kamiński jako Dyndalski (chyba jedna z jego największych kreacji). Amantem był oczywiście Osterwa, a malutką, zawartą w kilku słowach rolę murarza wziął Jaracz. I taka była potęga jego talentu, że mimo zawrotnej obsady, tymi paroma słowami wysunął się na jeden z pierwszych planów, czemu dał wyraz Boy w swojej znakomitej, rewelacyjnej na owe czasy recenzji Innym takim przedstawieniem, które po prostu wstrząsnęło Warszawą, był Irydion dany na otwarcie tak zasłużonego później Teatru Polskiego (1913, w roli Irydiona Jerzy Leszczyński). Wstrząs wywołała nieznana podówczas, nowatorska scenografia. Kiedy podniosła się kurtyna, nie kończące się oklaski nie milkły i nie dawały przez długi czas dojść do słowa aktorom. Cały dramat zyskał zupełnie nową wymowę. Okazało

322

wówczas, że wielkie dramaty romantyczne jak najbardziej nadają się S'?scenę- P° Irydionie poszły: Dziady (1915), Kordian (1916) i Nie-Boska nJQ?0) Każde z tych przedstawień przynosiło chlubę teatrowi w Polsce.

no niezapomnianych przedstawień, ale w „Rozmaitościach”, należa-

p,-epiórec:ka Żeromskiego, pisana właśnie dla Osterwy i Jaracza, i-tórzy §ra'i w meJ ta'c' ze az ^h zapierał°- Osterwa, nieodparcie uroczy, zozydzał się umyślnie w oczach kochanej

kobiety, aby nie jszczyć małżeństwa człowieka skromnego, brzydkiego i wielbiącego -\voJ4 żonę, Jaracz, wzruszający, bezradny, a jednak z ukrytą siłą. To była sztuka pisana sur mesure i sukces osiągnęła niebywały. Ale kiedy ją później widywałam, graną przez podrzędnych aktorów, wydała mi się żałośnie uboga i po prostu nudna. W słaby tekst znakomitego pisarza — dwaj aktorzy wpisali niejako swoje dwie wielkie indywidualności j wydzwignęli przedstawienie o ileś klas wyżej.

Do rozkosznych wspomnień należą sztuki Shawa, grane tak, jak nigdzie (mogę to powiedzieć bez patriotycznej przesady). Było to tym bardziej godne uwagi, że okropny tłumacz, Florian Sobieniowski, na zasadzie prywatnej znajomości z autorem uzyskał od niego prawo przekładu wszystkich sztuk, na czym zrobił niemałe pieniądze, ale teksty były dosłownie zmasakrowane. Reżyserzy z trudem odtwarzali tekst właściwy i czasem z Sobieniowskiego zostawało, na szczęście, bardzo niewiele. Był to skandal, ale zaalarmowany Shaw wcale się nie przejął informacjami o okropnościach przekładu. Obawiam się, że był to dowód lekceważenia dla małego, nie znanego mu kraiku. Co on tam wiedział o Polsce! A właśnie w Polsce grano go na najwyższym poziomie. Podobnie jak Oskara Wilde^a. Na przedstawieniach Brata marnotrawnego (Teatr Narodowy, 1928) z Solską i Osterwa płakało się po prostu ze śmiechu. Wszystko to minęło, ale utrwaliło się na szczęście w recenzjach ^o^ya, które dają dokładny obraz blasków i nędz międzywojennego teatru.

Film torował sobie z trudnością drogę do publiczności, a zwłaszcza do "ytków. Pamiętam czasy (w latach dwudziestych), kiedy inteligentni 'udzie uważali pójście do kina za coś ubliżającego ich poziomowi 'ntelektualnemu. Szanujący się inteligent nie chodził jeszcze przez długie ata do kina. Było dużą zasługą Irzykowskiego, że pisząc Dziesiątą "!'~f, nowatorską na terenie Polski, nadał właściwą rangę filmowi. Ale at>uła tych pierwszych filmów istotnie była prymitywna, gestykulacja, 1T"mika mimowolnie śmieszna, a dialog, pisany drobnymi literkami

323

w dole ekranu, nie do odczytania. Kobiety jednak płakały na G/- A indyjskim i kochały się w Rudolfie Yalentino, Liliana Gish jako'-k"" nie ustępowała żadnej współczesnej gwiazdzie. Nie zdaw °rL sprawy, że była to złota epoka filmu komicznego. No i

. i •

wówczas Chaplin, geniusz, którego na próżno oczekiwano w teat "? Potem zaczął się film mówiony i powszechnie twierdzono, że to koniec. Jak wiele innych przepowiedni, i ta okazała się fałszywa ? Film polski był słabiutki i na najniższym poziomie. Gwiazda W Jadwiga Smosarska i dzięki wyobrazeniu, jakie o niej powzięłam n-podstawie filmów, sądziłam, że i w życiu jest to słodka idiotka ucieleśniająca marzenia kucharek. Tymczasem, kiedy ją poznałam bardzo ją polubiłam. Była zabawna, dowcipna i wcale niegłupia, a orzy tym jakaś serdeczna, pełna prostoty. Z innym reżyserem, w innych scenariuszach mogłaby być prawdziwą gwiazdą, na miarę europejska tak jak jej koledzy z teatru. Niestety, wpadła w złe ręce. Inni, świetni nawet teatralni aktorzy polscy nie umieli grać w filmie. Albo może nie było w Polsce właściwego reżysera? O ile teatr był w czołówce światowej w porównaniu z Zachodem i od należnego mu rozgłosu dzieliła go tylko bariera języka, o tyle film włókł się gdzieś daleko w ogonie.

Całe niemal moje życie upłynęło pod znakiem ideologicznej huśtawki. Odpowiedzialność za to ponosi przede wszystkim wychowanie, jakie otrzymałam. Wychowana byłam w zasadach ideologii socjalistycznej, mającej w znacznej mierze charakter dogmatu. Socjaliści musieli być ipso facto dobrzy, szlachetni, bezinteresowni, ofiarni, prawdomówni i lojalni wobec siebie samych, swoich towarzyszy i własnej ideologii. Socjalizm, jak z tego widać, to była przede wszystkim moralność, świecka moralność. Oczywiście na horyzoncie widniało płomienne

i w gruncie rzeczy niewiele znaczące słowo Rewolucja, przez duże R. a bliżej, konieczne reformy społeczne, które się na szczęście jeszcze za mego życia w znacznej mierze zrealizowały w Zachodniej Europie zwłaszcza w Szwecji. Mentalność moja w młodości była więc podobna do mentalności współczesnych lewaków, którzy równie mało, jak ja wówczas, mają wspólnego z otaczającą ich rzeczywistością. Mój kręgosłup ideologiczny doznał poważnego ciosu, kiedy widzi3' łam, jak lekkomyślnie partia PPS-Lewica załatwia sprawy rolne, Ja(

324
fern aż nazbyt posłusznie przechodzi pod władzę SDKPiL. No P reszcie uderzenie decydujące — rok 1920, Armia Czerwona (która ' winna była być armią z malowanki, armią ludzi przepojonych vi ałanii, jakich mnie uczono od dzieciństwa), która okazała się armią, •, i/ wszystkie — łupiącą i gwałcającą. A ponadto imperialistyczną, , srażającą bezpośrednio niepodległości Polski, która w moim, czy też naszym rodzinnym rozumieniu była sprawą najważniejszą. Lecz jednocześnie z tym rozczarowaniem przyszła gorycz na widok tej polski odzyskanej, ale militarnej i policyjnej (Polska też miała być 1 malowanki, a raczej z wizji wieszczów): więzienia, pełne ludzi o odmiennych niż rząd poglądach politycznych, wyzysk klasy pracującej itd. Ale znów dumam z tego, że Polska w owym czasie była jednym z rzadkich krajów o niezłe rozwiniętej, a w każdym razie ustawionej strukturze opieki społecznej.

Potem znów ból z powodu zamachu Piłsudskiego — że to swoi walczą już po zdobyciu niepodległości ze swoimi — następnie radość ze zwycięstwa Piłsudskiego, który wydawał się być zbliżony do ideałów socjalistycznych, wreszcie rozczarowanie (jedno z boleśniejszych) z powodu Berezy i Brześcia, no i wizyty w Nieświeżu. Przerazenie i rozpacz — autentyczna — po zabójstwie Narutowicza. Że to w Polsce możliwe... Głupota? Naiwność? Zapewne. Potem — mimo wszystko — żal szczery po śmierci Piłsudskiego. Pamiętam, że to było w maju, że drzewa owocowe kwitły i że na to całe kwitnienie spadł śnieg tak obfity, że Piotruś przez trzy dni mógł jeździć na nartach. Natura posłużyła się metaforą, bo jasne było, że po śmierci Piłsudskiego będzie się działo gorzej. Zostali na jego miejscu ludzie mierni, bez polotu, łypiący T- lubością w kierunku narastającego faszyzmu, mocno już rozpanoszonego we Włoszech, rodzącego się w Niemczech. Wkrótce też poczuliśmy '9 odmianę i na naszym, literackim odcinku. Oto zdarzenie symptomatyczne. Pewien skrybajła, Alfred Łaszowski, *ystąpi} na posiedzeniu Pen-Clubu z „wnioskiem" (czy też może 2 artykułem, nie pamiętam), żeby nas, tj. Boya, Słonimskiego i mnie — Powiesić. Bez żartów. Uzasadniał. Inna sprawa, że za tę wypowiedź (ustną czy pisemną?) Parandowski i cały zarząd Pen-Clubu wykreślił go z 2 listy członków. Ale że taki projekt w ogóle mógł paść... Tenże sam Łaszowski zresztą, przed moim wyjazdem za granicę, zatelefonował do ^lie, przepraszając za to, co było. Tłumaczył swoje postępowanie 8'upotą młodości i pytał, czy może się ze mną zobaczyć i przeprosić

325
osobiście. Odmówiłam. Po prostu nie interesował mnie i nie miał najmniejszej ochoty się z nim zobaczyć. Jego osoba nadal mnie nie interesuje, ale ów „projekt" i posiedzenie zarządu Pen-Clubu, do któr go należałam i które pamiętałam, dowodzi, jak zatruta atmosfera no wała w owych czasach.*

Wraz z postępującą faszyzacją Polski rósł antysemityzm i przybierał coraz większe rozmiary. Nagonka w pismach prawicowych na artv stów pochodzenia żydowskiego przeradzała się w histerię. Odmawiano prawa do pisania po polsku Tuwimowi i Słonimskiemu (stąd się wziął jego piękny wiersz Dwie ojczyzny). Nie dochodziło do zbrodni, jak w Niemczech, ale ostracyzm towarzyski się wzmacniał, bojkot ekonomiczny Żydów kwitł, to samo dotyczyło

wolnych zawodów. Emigracja Żydów, zwłaszcza intelektualistów, postępowała. Mój skądinąd przyjaciel, Iwaszkiewicz, zapytał mnie kiedyś: „Czy znasz jakiegoś niedrogi* go intrologatora?” — „Znam”. — „Ale to pewno Żyd” — „Tak”. — „Żydowi nie dają zarobku” — odpowiedział dumnie. Nie było pogromów w Polsce, ale były akty gwałtu. Sama widziałam, jak powojenny, przywódca PAX-u, Bolesław Piasecki, targał starego Żyda za brodę, na ulicy Świętokrzyskiej, a jego kumple kijami wybijali szyby ubogich sklepików. Potem doszło do haniebnego getta ławkowego na uniwersytecie i do cięcia brzytwami kolegów i koleżanek, Żydów, przez ONR-owców. Słowem, atmosfera stawała się nie tyle coraz groźniejsza, co coraz obrzydliwsza. Ale nie tylko ONR i łagodna, w porównaniu z nim, endecja, przodowała w faszystowskich zapędach. Grupa pułkowników, Ozon, też miała na ten temat coś do powiedzenia (choć powstał w tym czasie również prorządowy Legion Młodych, w którym znalazło się kilku Żydów).

Przypomina mi się dość zabawna, w gruncie rzeczy, anegdota. Umieściłam w „Wiadomościach” recenzję z książki Carrela pt. Człowiek istota nieznaną (L'homme, cet inconnu). * Książka była niezmiernie interesująca, ale raziły mnie w niej pewne akcenty, które skrzytyk0' wałam, a których dziś już nie pamiętam. Niosły posmaczek faszysto*ski i miałam rację krytykując, bo Carrel, wielki uczony, laureat Nobla-wykazał z czasem, wraz ze swoim najbliższym przyjacielem, sławny lotnikiem Lindberghiem wyraźne sympatie nie tylko profaszystowskie > ale prohitlerowskie. Pisząc artykuł, nie wiedziałam o tym. Grydz, c było rzeczą u niego dotąd niespotykaną, ale co, niestety, zdarzało

, :a2nął na mnie jowiszowy gniew „samego” Wieniawy-Długoszew-, od którego w druku i w tychże „Wiadomościach” otrzymałam

coraz częściej, okroił mi tekst. Mimo to, szczątek, który pozos

;tał,

326

potężne ciągi.

Ale spotkała mnie niespodzianka. W polemikę wmieszał się, przeby-wający już od paru lat w Nowym Jorku, świetny rysownik karykaturzysta Zdzisław Czermański i gwałtownie wystąpił w mojej obronie. Czermański był znany w kraju i za granicą i głos jego nie był bez znaczenia, zwłaszcza że dobrze władał piórem. Podziękowałam mu listownie. Na to dostałam obszerną odpowiedź, znów odpisałam i tak zaczęliśmy korespondować stale, przez trzy lata, co „na niewidziane” rzadko zdarza się u ludzi, którzy już przekroczyli trzydziestkę. Czermański pisywał grube, wielostronicowe, niesłychanie zajmujące listy i wielką uczyniłam stratę kulturze polskiej (i sobie) spaliwszy ten ogromny i fascynujący plik listów, kiedy Niemcy weszli do Warszawy i kiedy byłam pewna, że cała moja korespondencja nieuchronnie wpadnie w ich ręce. *

Spaliłam jednocześnie wszystkie listy Boya, Julesa Romaina, Romain Rollanda i Włodka Kamińskiego (który też miał wybitny talent epistolarny) oraz wielu innych ludzi, których znałam. Siedziałam przed piecem prawie całą noc, paliłam i płakałam, bo niszczyłam po trosze, wraz z innymi samą siebie. Inna rzecz, nie wiem, czy listy te ocalałyby w Warszawie, gdzie prawie wszystko spłonęło. Ja skrzywdziłam się dobrowolnie, nie mam żadnych „dowodów” tego wszystkiego, co w życiu przeżyłam. Trzeba mi wierzyć na słowo. Lecz te zniszczone listy byłyby kopalnią i dla przyszłego historyka kultury. Ale czy tylko to jedno zginęło? Dzieje kultury polskiej zawsze trzeba odbudowywać ze szczątków. Jeżeli zaś to, co piszę, wyda się komuś mało wiarygodne, to je 111 en fous, piszę prawdę, a co sobie kto o tym, no i o mnie w ogóle Pomyśli, jest mi zupełnie obojętne. Tak jak zawsze mi było obojętne, co ludzie pisali i mówili o mnie, choć jakże często były to wierutne

Kłamstwa, a często oszczerstwa. Wiem, że i po śmierci mnie to nie
°minie, jeżeli w ogóle ktokolwiek zechce o mnie wspomnieć.

Wracam do Czermańskiego. Tak więc korespondowaliśmy ze sobą
isko trzy lata. Przez ten czas okazało się, że Czermański nie zrobił
^odziejanej kariery w Stanach, mimo że zaczął wspaniale. Podobno
atego, że pił i nie wywiązywał się na czas ze swoich zobowiązań. Ale to
ledziałam od znajomych, natomiast listy malowały fascynujące życie
llyrykańskie, własne przeżycia Zdzisława. Wymieniliśmy fotografie
327

;§o tego miałam

że

(Czermański był bardzo piękny), przeszliśmy listownie na „ty” listy z biegiem czasu stawały
się coraz cieplejsze. Nie brałam poważnie, no bo jednak nie mieliśmy lat dwudziestu, przy
tym miał-dosć komplikacji osobistych, ale, jako kobieta, lubiłam komplement i pochlebiało
mi, że taki piękny mężczyzna tak właśnie do mnie pisz Myślałam, że tak będzie trwało, ot,
romantyczna korespondencja i > raczej nie zobaczymy się nigdy. Zmęczona realiami
podwójnego związ ku, znajdowałam pensjonarskie wytechnienie w tych wyznaniach listów
nych. Aż tu nagle, bęc! — telegram od Zdzisława, że przyjeżdża nazajutrz (nic przedtem w
listach o powrocie nie wspominał) i że czeka na mnie o siódmej w hallu Hotelu
Europejskiego. Bardzo mnie ta wiadomość zaskoczyła, a jednocześnie ucieszyła. I
przestraszyła. W każdym razie jej się nie spodziewałam.

Oczywiście pojechałam na to spotkanie, musiało to być w porze letniej, bo pamiętam, że
jechałam z Podkowy. Siedziałam niedługo w hallu hotelowym, kiedy nagle w drzwiach
wejściowych pokazał się Czermariski, wysoki, przystojny, wspaniały, portier niósł za nim
równiej wspaniałe walizy. Przywitał się ze mną bez słowa, obejrzał dokładnie od stóp do
głów, mruknął: „No to wszystko w porządku” i powiedział, żebyśmy poszli do jego numeru,
bo w hallu rozmawiać niepodobna. Poszłam za nim, on zdjął płaszcz, usiedliśmy przy stole i...
nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Pokonaliśmy jednak, po pewnym czasie, pierwsze
zmieszanie, ale rozmowa szła niesporo. Okazało się, że pisać a rozmawiać to dwie różne
rzeczy. Czermariski dość szybko zaproponował mi, abym została z nim na noc, ale
odmówiłam. Poszłam za odruchem chwili, zerwałam się i zmyśliwszy naprędce jakiś pretekst
powiedziałam, że muszę natychmiast wracać. Nazajutrz sytuacja przybrała zabarwienie nieco
groteskowe. Oto zjawił się w Podkowie Czermański, bynajmniej nie proszony, a za nim
dwóch mężczyzn niosło wszystkie walizy. Przyjechał jak do siebie do domu. Coraz bardziej
zaskoczona, zaprowadziłam go jednak do gościnnego pokoju (we mogłam postąpić inaczej) i
wyraziłam tylko zdziwienie, po co te wszystkie walizy.

Nastąpiła najdziwniejsza w świecie rozmowa. „Jak to — powiedział Zdzisław — zwiozłem
rzeczy, bo przecież mamy się pobrać”. — >f0~ braci Nigdy o tym nie było mowy”. — „Ja tak
zrozumiałem twoje listy”. — „Ależ nigdy nie było między nami mowy o małżeństwie-Mam
przecież męża i dziecko”. — „Wiem. Ale czyż ludzie się nie roz-

328

•odzą?” — „Ależ ja nie mam najmniejszego zamiaru się rozwieść”. — la dla ciebie rzuciłem
pracę, Amerykę, wszystko”. — „Ale ja tego od ,ebje ani nie żądałam, ani nie oczekiwałam”.
Ta przykra rozmowa trwała cały prawie dzień i była wyczerpująca dla obu stron. Przy tym,
nie mogłam jakoś wykrztusić, że wcale nie dla mnie rzucił pracę, tylko go wylano, że
wyjechał z Ameryki, bo mu się tam przestało powodzić itd. Nie mogłam się zdobyć na to, aby
tak bardzo dotknąć jego miłość własną. Dlaczego jednak, znając moją sytuację rodzinną i
życiową, ubrał sobie, żeby zjechać do mego domu jak do siebie, do dziś nie mam pojęcia.
Najdziwniejsze jednak, że po tych wszystkich wyczerpujących (dosłownie i przenośnie)
wyjaśnieniach, nie wyjechał, został. A ja nie miałam serca go wyrzucić, bo wiedziałam, że nie

bardzo ma się gdzie podziąć, i nie byłam pewna, czy ma pieniądze. Mieszkał więc, chodził cały dzień w szlafroku i w rozklapanych kapciach, nawet kiedy przychodzili goście. Niemal codziennie wygłaszał teksty tego typu: „Popatrz, na karku zrobił mi się wrzód” albo „Zobacz, czy ciągle mam taki łupież” — dosłownie. Odbrażował mi się jako mężczyzna całkowicie. Żeby być zupełnie uczciwą dodam, że jednak przez jakiś czas prześladowała mnie myśl, czy nie jest to rozwiązanie dla mnie, czy nie zerwać i z Jerzym, i z Boyem i nie zacząć życia od nowa. Skutek takich rozważań był oczywisty, ale nie doznałam żadnej przyjemności i „rozwiązanie moich trudności” rozwaliło się ze szczętem. W dodatku, po jakimś tygodniu. Zdzisław zaczął jeździć do Warszawy i wracać do Podkowy pijany w pestkę. Kiedyś nawet ryczał i walił kopytami w drzwi sypialni, której nie chciałam mu otworzyć. Po tej scenie, kiedy wytrzeźwiał, nazajutrz rano kazałam mu się wynosić ze wszystkimi walizami. Patrzył na mnie z nienawiścią i brzydko mi wymyślał. Na domiar złego okazało się, że on sam czy Marynia (dziś już nie pamiętam), w każdym razie ktoś postawił jego zabłocone buty w korytarzyku prowadzącym do piwnicy, pod pompą. Co dzień Przychodził tzw. „człowiek” i pompował wodę do zbiornika na stryszku 1^on to najprawdopodobniej ukradł owe buty. (Jeżeli w ogóle kiedykolwiek tam stały). Zdzisław zrobił o nie okropną scenę, powiedział, że na pewno ukradła Marynia (moja Marynia!), i zażądał zwrotu pieniędzy za owe buty. Może powinnam była za nie zapłacić, ale się zawzięłam (w końcu mieszkał u mnie przez dwa tygodnie i kupowanie mu butów wydało mi się groteskowe). Pieniądzy za buty nie zwróciłam i cała w złości wygoniłam go po prostu z domu. Tak się skończyła listowna

329

idylla. Czermański zachował urazę (zwłaszcza o te buty), ale po 'u-czasie ożenił się z bardzo miłą, bardzo ładną i bardzo bogatą ^ Margulies i kłopoty jego się skończyły, a stosunki nasze jakoś ułoż^{^^} poprawnie. Tyle że, widocznie przez zemstę, przysłał mi karyk ' ? Boya jako goryla z książką w łapie. r?

Ale od spraw osobistych wracam jeszcze na chwilę do parszyw ' atmosfery tych późnych lat trzydziestych. Jak pisałam, powstało n[^] uczelniach haniebne getto ławkowe i żydowscy studenci i studentki" okazywali nierzadko prawdziwe bohaterstwo, udając się na wykłady h' nigdy nie mogli być pewni, czy nie zostaną pobite lub porznięci brzytwami. Ekscesy faszystowskie nie ograniczały się do studentów i do Żydów. Profesorowie, którzy usiłowali się przeciwstawić temu zalewowi prohitlerowskiemu, też się mocno narażali, choć nie byli pochodzenia żydowskiego. Nie pamiętam, jakiego doznali traktowania profesorowie Ludwik Hirszfild czy Marceli Handelsman lub Juliusz Kleiner we Lwowie. Wiem natomiast dokładnie, że studenci faszystowscy stanęli kołem i poczęli sobie „podawać” to znaczy popychać jeden do drugiego profesora Tadeusza Kotarbińskiego, który, jak wiadomo, przy nieugiętym charakterze był uosobieniem dobroci, szlachetności, łagodności. Horda dzikusów doprowadziła go do omdlenia, bawiąc się nim jak piłką.

Inny mój znajomy, profesor medycyny Yenulet, który mieszkał w gmachu uniwersyteckim, został przez rozbuchanych studentów po prostu wyrzucony przez okno. Z pierwszego piętra, na szczęście, i jakoś nic sobie nie złamał, ale potłukł się mocno. Duże nieprzyjemności miał mój teść i profesor Jan Bystron. Poprzestanę na tych przykładach, ale można by je mnożyć.

Zresztą — to jest paradoks — naprawdę pobity został pravicowiec Nowaczyński.*

Bicie profesorów czy pisarzy ma, niestety, w Polsce swoją smutną tradycję, jeżeli się przypomni pobicie przez studentów Bolesława Prusa.* We Francji lewacy internują profesorów w biurach (co też jest obrzydliwe), ale przynajmniej nie biją. Ta atmosfera działała destrukcyjnie, zwłaszcza jeżeli nie bano się kary. Tak na przykład było z Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim, ongi typowym przedstawicielem postępowej inteligencji, lekarzem i malarzem, zanim wstąpił do Legi^o

330

l
m

• w a później, mimo że już był adiutantem Piłsudskiego, członkiem 'uelTiy artystycznej, w którym nagle obudziła się sobiepańska dusza. j się postrachem nocnych lokali, gdzie tłukł lustra, zmuszał obce tobiety do tańczenia z sobą i bił po twarzy mężów, którzy usiłowali się rzeciwstawić jego pijackim zapędem. Nikt nie odważył się zaprotestować, uderzyć go czy podać do sądu. Na tym polegał faszystowski charakter tego typu „operacji”. Dawniej przyjaciel poetów (i ich żon, zwłaszcza, co było publiczną tajemnicą, Stefci Tuwimowej), przerodził się w żołdaka, świadomego swej politycznej bezkarności. Był to widok smutny, bo wszyscyśmy znali Wieniawę w innej postaci. *

Jak zwykle w trudnych czasach, jedni idą na dno pospolitości czy nawet upodlenia, inni za to okazują w pełni swoją wartość. Tak się stało z Ksawerym Pruszyńskim. Hrabia z pochodzenia, wyszedłszy z zupełnie innego środowiska niż nasze, przyłączył się do nas, jako sojusznik i przyjaciel. Jego relacje z wojny domowej w Hiszpanii stały się jedną z atrakcji „Wiadomości”. Opowiadał się wyraźnie po stronie republikańskiej, a że pióro miał doskonale, więc te reportaże (i inne, z kresów) były dobrą, rzetelną literaturą. Nie wiem, jaki Tatar go spłodził (podobnie jak Iwaszkiewicza i Marka Żuławskiego), ale odziedziczył po jakimś dalekim przodku twarz mongolską i nieco skośne oczy. Ta twarz była miła i nawet, na swój sposób, ładna. Ksawery był jednym z najbardziej uroczych ludzi, jakich w życiu spotkałam, pełen temperamentu i jakiejś ogromnie ciepłej serdeczności. Moje z nim stosunki jeszcze zacieśniły się po wojnie. Nawet Jarosław pisał w jednym ze swoich artykułów, z jaką radością, po powrocie z Londynu, witał się Ksawery ze mną i z Czesławem Miłoszem. Oprócz Ksawerego miałam w swoim otoczeniu, nie najbliższym, ale bliskim, paru innych hrabiów. Nie było w tym nic dziwnego, taki był bowiem wówczas skład inteligencji polskiej: paru arystokratów, wiele

-zbankrutowanej (przeważnie na skutek powstań) szlachty i Żydzi. Mieszczaństwo w Polsce, jak wiadomo, prawie nie istniało, toteż i jego Przedstawiciele wśród inteligencji było niewiele. Istniały przede wszystkim potężne, bogate rodziny pochodzenia niemieckiego, jak Lilpopo-
*le< Spiessowie, Brunowie, Wedlowie i parę rodzin przemysłowców 'odzycznych. Ale niewiele przedstawicieli tych rodzin należało do tej dość

331

odrębnej klasy czy grupy społecznej, która właściwie nie ma odpow' nika na Zachodzie. Widowym tego dowodem jest fakt, iż nie ist' " słowo na jej określenie, chyba że zapożyczone żywcem ze słowiański języków: inteligentsia, co jednak znaczy niezupełnie to samo. Mało w tej grupie było ludzi pochodzenia chłopskiego, jak Jaracz czy Staw Zlepek szlachecko-żydowski był najbardziej charakterystyczny. Tych paru arystokratów, którzy do tej klasy czy grupy przylgnęli, to bv' zazwyczaj bardzo wspaniali ludzie — nic dziwnego, nie zrobili tego z musu, tylko z wewnętrznej konieczności, musieli przy tym pokonać wiele przesadów i przeciwstawić się środowisku, z którego pochodzili. W dodatku mieli zazwyczaj dużą kulturę, znajomość języków, wrodzone czy nabyte dobre wychowanie.

Poza Pruszyńskim najmocniej utkwili mi w pamięci Jan Tarnowski i Antoni Sobański. * Ten ostatni zresztą parał się piórem i był współpracownikiem „Wiadomości”. Miły, inteligentny, usłużny, azpowierzchności chudy, z długim nosem, trochę gnący się pederastycznie. Był bardzo przejęty, kiedy się dowiedział, że spotka Tarnowskiego: „Czy on się zechce ze mną zadawać? Bo co Sobariscy wobec Tarnowskich”. Bardzośmy się śmiały z tych niepokojów z Janką Słonimską, dla nas bowiem ta subtelna różnica w ogóle nie istniała. Obaj panowie zresztą zaprzyjaźnili się serdecznie, zwłaszcza że obaj byli homosek-

sualistami, a po pewnym czasie poczęli stanowić wierny dwór Janki, z którą również połączyła ich bliska przyjaźń. Antoni nie miał żadnych powodów do niepokoju, a Janka zyskała wiernych i oddanych chevaliers servants: Jasia i Tonia, nazywaliśmy ich zdrobniałymi imionami. Jaś był mężczyzną niezwyklej postawy i piękności. Pamiętam, jak raz wsiadłam z nim do tramwaju i przeszliśmy z tylnej platformy na przednią. Wszystkie głowy obracały się za Jasiem jak słoneczniki za słońcem, tak niezwykle był zjawiskiem. Jego przyjazd do Warszawy poprzedziła dość burzliwa fama. Opowiadano (nie wiem, ile w tym było prawdy), że jako młody chłopak ukradł naszyjnik z pereł swojej ciotce i że rodzina skazała go niejako na wygnanie, do Ameryki czy do Afryki (co się wówczas praktykowało). W tych koloniach, chyba jednak w Afryce, Jaś przeszedł najstraszliwsze tropikalne choroby, po czym wycięto mu połowę kiszek. Prowadził jakoby bardzo awanturnicze, niezgodne z tradycjami rodziny życie. Po powrocie do Warszawy, kiedy go poznałam, był zupełnie uspokojony. Niezmiernie sympatyczny i inteligentny, stał się uroczym znajomym.

u/ serii hrabów muszę oczywiście wymienić Tadeusza Brezę, którego nałam najdawniej, bo w końcu lat dwudziestych, który u mnie był ^któreao serdecznie lubiłam. Nie używał już tytułu, rodzina była bożala, jego ojciec zajmował się dziennikarstwem. Tadeusz był •jatkowo piękny: wysoki, czarny, przy całej męskiej postawie odrobi-ezniewieściał. Ale co za twarz! Wyglądał na pederastę, ale chyba nim nie był, w każdym razie pewnego dnia przedstawił mi pierwszą żonę, Katarzynę Turno, z bardzo arystokratycznej rodziny poznańskiej. Przywiózł ją do Podkowy. Katarzyna była równie wysoka jak on, bardzo męska, bardzo końska. To on przy niej wyglądał jak kobieta. Katarzyna — ostra, śmiała, niełatwa, ale w sumie sympatyczna. Małżeństwo to nie trwało długo. Po czym Tadeusz ożenił się ze swoją Zosią, drobną, ładniutką, którą można by uznać za wcielenie kobiecości. No i pozostał z nią do samej śmierci. Tak że —jak to często bywa — wszystkie etykiety zawodzą. Tadeusz dosyć wcześnie został autorem powieści pt. Adam Grywahl, która jednak przeszła bez większego wrażenia. Trudno było przypuścić, że się potem okaże tegim pisarzem. Był świetnym causeurem, znakomicie, bardzo błyskotliwie rozmawiał i był, dzięki temu, chętnie zapraszany. Niezwykle inteligentny, z subtelnym poczuciem humoru, bywał stale na sobotach u Boya i ja zapraszałam go często. Sprawiał raczej wrażenie salonowego dyletanta, zresztą bardzo atrakcyjnego. Talent jego rozwinął się stosunkowo późno, co nie jest rzadkim zjawiskiem wśród pisarzy. Jego brat Achilles Breza, prawie równie piękny jak Tadeusz, tylko blondyn, ostro, ale bezskutecznie zalecał się do mnie. Z Tadeuszem natomiast kontakt utrzymał się prawie do jego śmierci, nie specjalnie bliski, ale stały. Z tym że jego losy Powojenne były dość osobliwe, jak na to, co sobą przedstawiał.

Z hrabiowskiej serii ostatni to chyba znakomity rzeźbiarz, August Zamoyski, typowy bohemiarz, ożeniony z tancerką „hiszpańską”, Żydówką Ritą Sachetto. Pamiętam jego rżący śmiech i nieprzyzwoity słownik, ale nigdy nie byłam z nim bliżej, zwłaszcza że mieszkał ^Zakopanem. Sprawiał raczej wrażenie artysty samorodnego, chłopka, niż arystokraty z krwi i kości.

Nie wspomniałam jeszcze o przemiłej, uroczej pani Anieli Zagórskiej. Iara panna, jak się wówczas uważało, nie wiem dlaczego nie wyszła za

332

333

mąż, choć była przystojna i pełna wdzięku, weszła do środow' i-literackiego jako doskonała tłumaczka Conrada (była zresztą i '* kuzynką). Nie tylko tłumaczyła, ale też mówiła i pisała

o Conrad ^° Aniela Zagórska miała osobliwy dar przyciągania ludzi. Co pewien c?- • zdaje się co dwa tygodnie, urządziła u siebie bardzo tłumne przyjęci' Był to rodzaj salonu paryskiego, bowiem zbierała się tam tak zwana elit-l intelektualna. W tych dwóch skromnych pokojach gromadziła się _ > tak powiem — cała Warszawa. A że miejsca było mało, więc całe przyjęcie odbywało się na stojąco. Właściwie się nie jadło, coś tam sięl" może piło. Atmosfera panowała niewymuszona, a jednocześnie napięta intelektualnie. Nie było jakichś błahych rozmów o niczym, przeważnie spotykali się tam ludzie, którzy mieli coś do powiedzenia, ludzie różnych zawodów, ł te przyjęcia u Anieli Zagórskiej były czymś, co pozostanie mi w pamięci jako nie tyle rozrywka, ile jako bardzo istotny kontakt z różnymi ludźmi, których być może inaczej nie miałabym sposobności poznać.

Dość charakterystyczne dla owego okresu wydarzenie spotkało Piotrusia. Właśnie zaczął chodzić do szkoły, kiedy przenieśliśmy się do pięknego mieszkania przy ulicy Fredry, z widokiem na Ogród Saski, na kolumnadę na placu i na ogród Becków. Zapisalam go do jednej z najlepszych szkół w Warszawie, do gimnazjum Mikołaja Reja, protestanckiego w zasadzie, bardzo tolerancyjnego i postępowego. Dwie były takie świetne szkoły męskie w Warszawie: państwowe gimnazjum Batorego oraz należące do gminy ewangelickiej gimnazjum Reja. Piotruś był ewangelikiem, podobnie jak mój teść, mój mąż, no i ja. Ale nie to mną, oczywiście, kierowało w wyborze szkoły, tylko jej jakość oraz niesłychanie mała odległość od naszego mieszkania. Piotrusiowi wystarczyło przebiec przez Ogród Saski i ulicą Królewską, aby znaleźć się w szkole. Był niezmiernie zaawansowany, jak na przysługującą mu klasę. Sam nauczył się czytać, w wieku lat pięciu, z szyldów i tytułów pism. Czytał dużo i był w ogóle niesłychanie zdolny. Jednakże cała jego sytuacja w szkole często doprowadzała go do irytacji. Kiedy ktoś wizytował szkołę, natychmiast dyrektor czy wychowawca wołał Piotrusia i prezentował go: „Najlepsi uczeń w klasie, jeden z najlepszych w szkole, w dodatku wnuk Ludwika

334

,rfZywickiego, syn Ireny Krzywickiej". Piotruś tego nienawidził, skrecał po prostu ze wstydu i nieśmiałości, nigdy nie był zarozumiały.

Lnowią żywą reklamę dla szkoły, ale tego nie chciał, tak że w końcu musiałam poprosić rudobrodego dyrektora Rygiera* (który za każdym azeffl, widząc mnie, powtarzał: „Pani wie, że byłem pierwszym mężem Kałkowskiej?" — biedaczek bardzo był z tego dumny), aby tych pokazów zaprzestał. Był to dyrektor światły. U Reja (podobnie jak

Batorego) jak wszędzie, istniał numerus clausus dla Żydów, ale stosowany był dyskretnie. Z tym że jakoś tak „dziwnie" się działo, że w klasie nie bywało nigdy więcej niż paru żydowskich chłopców (a ludność Warszawy w 50% była żydowska, choć w kraju nie przekraczała 10%). Jeżeli Rygier stosował numerus clausus, to nie przez antysemityzm, tylko dlatego, że gdyby go zaniechał, rdzennie polscy rodzice odebraliby swoje dzieci, a do tego dopuścić nie mógł. Wiem, że to było wbrew jego przekonaniom, ale szkoła — jako prywatna — musiała się liczyć z powszechną opinią.

W tej to szkole, którą Piotruś w zasadzie bardzo lubił, spotkało go następujące przeżycie. Pewnego dnia — miał wtedy osiem czy dziewięć lat — znalazł na swoim pulpicie kartkę: „Jutro bijemy Żydów. Jeżeli się nie przyłączysz, biada ci!" Piotruś nic mi o tym nie powiedział, ale nie wykonał żadnego gestu solidarności z klasą. Następnego dnia rano znalazł kartkę ponaglającą: „Nie przyłączyłeś się dotąd. Strzeż się po lekcjach". Po lekcjach zaczęło się regularne „bicie Żydów", czyli drugiego po Piotrusiu najlepszego ucznia, Kellnera (który zginął później w powstaniu warszawskim), oraz jeszcze dwóch chłopców, których nazwisk nie pamiętam, tak więc było ich, wraz z Piotrusiem, czterech, przeciwko całej klasie. Skończyło się, jak można było przewidzieć: Piotruś wrócił do domu mocno posiniaczony i potrubowany, tak że następny dzień czy dwa musiał spędzić w łóżku. Ja zaś poleciałam do

dyrektora Rygiera, opowiadając całą sprawę. Muszę powiedzieć, że szkoła zachowała się znakomicie: wychowawca, pan Koelichen, wygłosił bezmiernie ostre przemówienie do klasy, po czym paru głównia-r?y-przywódców (którzy zapewne byli odbiciem tego, co się myślało i mówiło w domu) wyrzucono ze szkoły. Od tego czasu atmosfera radykalnie się poprawiła i Piotruś już bez zdenerwowania szedł na lekcje.

DO tej smutnej serii muszę zaliczyć list z pogrózkami, jaki otrzymał

°y: tak groźny, że bratanek jego, który jako prokurator miał pewne

335

wiadomości o tym, co się święci, wetknął mu dosłownie do ręki nas zagraniczny i wypchnął z Warszawy. Ponieważ przebywałam wów na Riwierze, w Cros-de-Cagnes, więc Boy przyjechał tam do mnie p5 jakichś dwóch miesiącach wrócił do Warszawy i, na szczęście, skoric? i° się na niczym. Ale atmosfera była okropna. " °

Ach, jeszcze zdarzenie drobniejsze, ale nie mniej charakte;rystyc2n Maminek marzył zawsze o tym, żeby pojechać do Francji, zwłaszcza d Paryża. Znał dobrze język i kulturę francuską, więc nic dziwaego, że si „palił”. Wówczas mogłam już jej zafundować tę przyjemność. Ale odmówiono jej paszportu, nie tyle jako Żydówce, ale jako żonie jednego z przywódców socjaldemokratycznych. Trzeba się było wyrzec tej podróży i marzenia Maminka spełzły na niczym. Najdziwniejsze, że miały się zrealizować znacznie później, w zupełnie nieoczekiwanym momencie.

Mnie osobiście natomiast spotkała przyjemność. „Robotnik”, pismo ideowo mi najbliższe, PPS-owskie, zrezygnowało ze współpracy Karola Irzykowskiego i Jana Nepomucena Millera, którzy, uważając się za lewicowców, grali mniej lub więcej świadomie grę endecji. Zwalczali wszystko, co było związane z „Wiadomościami”, szczególnie zaś nasza trójka: Boya, Antoniego i mnie. Reforma obyczajów, świadome macierzyństwo, odbrażowienie niektórych „świętości narodowych”, popieranie postępowych prądów na Zachodzie, wszystko było dobre, aby nas oblewać błotem. Miało to wyraźnie charakter osobistych porachunków. Nowy redaktor „Robotnika”, Mieczysław Niedziałkowski, miał tego dosyć i zrozumiał, że socjalistyczne pismo poszło niewłaściwą drogą. Rozstał się zatem z tymi współpracownikami i miejsce recenzenta teatralnego okazało się wolne. Najpierw, przez pewien czas, pisywał sprawozdania z teatru jakiś anonimowy zastępca, po czym pewnego dnia zjawił się u mnie w Podkowie sam Niedziałkowski, którego dotąd nie znałam, aby mi zaproponować stałą współpracę na tym stanowisku. Miałam pewne skrupuły z powodu Millera. Nie lubiłam go, ale zL względu na lojalność koleżeńską (której on sam nie bardzo przestrzegał) nie chciałam odbierać mu zarobku. Niedziałkowski przekonał mnie jednak. * Nie było to tak dobrze płatne, jak ongiś mi proponowane stanowisko w „Gazecie Polskiej”, ale nie istniały żadne przeszkody ideologiczne, abym je przyjęła, co zrobiłam — muszę wyznać — z pia dziwa radością. Pracowałam nadal w tym piśmie jeszcze po wojnie, #• do rozwiązania PPS. Co się zaś tyczy Millera, spotkałam go w

336

i.jt później na Śląsku, gdzie mieszkał, i spotkanie to było bardzo lit viazne. Poprzednie nasze walki wydawały się tak błahe wobec tego, r oboje w czasie okupacji przeżyli... Miałam w owym okresie mego życia sporo osób, które kochałam: Piotrusia, Maminka, Boya, Jerzego, Włodka Kamińskiego — i to w tej właśnie kolejności, co dowodziłoby, że byłam raczej typem matki (córk) niż, mimo pozorów, kochanki. Do Piotrusia była to miłość gwałtowna, niemal namiętna. Dziecko spełniało wszystkie moje macierzyńskie marzenia, i to z nawiązką. O Piotrusiu mogę mówić samymi przymiotnikami: śliczny, promienny, łatwy, mądry, ale te wszystkie słowa, choć prawdziwe i wielokrotnie potwierdzone przez obce osoby, nie oddadzą całej prawdy. Widzę jego słoneczny uśmiech, jego lotne nóżki, jego akrobacje na rowerze i nigdy żadnej trudności, żadnej przykrości ze strony tego dziecka. Były

tylko choroby. Piotruś był z natury zdrowiu-tki, ślicznie wyrośnięty i zbudowany, ale śmierć czaiła się na niego bezustannie, z czego nie zdawałam sobie sprawy. Aż go dopadła. Z Maminkiem więc moja nigdy się nie przerwała, zawsze była jednakowo intensywna, z wyjątkiem dość paradoksalnego zachwiania w pewnym momencie. Z powodu... Boya. Maminek był o niego zazdrosny, nie Jerzy, tylko Maminek. Cierpiał wyraźnie, a kiedy dziwiłam się jej cierpieniu, którego nie rozumiałam, mówił: „Tak, to nie moja sprawa, ale to pierwszy starszy człowiek, który ma wpływ na ciebie, który gra rolę w twoim życiu”. A przecież trzy lata po ślubie jeszcze mieszkałam z nią razem, a potem, kiedy się wyprowadziłam, wkrótce miałam dziecko i Maminek codziennie po południu przychodził do mnie i do Piotrusia. Rano dawał lekcje w gimnazjum i w szkole rzemieślniczej, co ją szczególnie męczyło, bo były to przeważnie Warszawskie łobuzy, trudne do utrzymania i narzucenia im respektu. Prosiłam Maminkę wielokrotnie, aby zaprzestał pracy, zwłaszcza kiedy Jerzy zaczął dobrze zarabiać, ale ona postanowiła dotrwać do emerytury, czyli do lat sześćdziesięciu pięciu. Znając jej niezależne usposobienie, wiedząc, że całe życie była materialnie samowystarczalna, czułam, że nie powinnam nalegać i że trudna praca nauczycielska była dla niej lżejsza niż poczucie, że jest komuś ciężarem. W tym okresie jednak, kiedy się wyprowadziłam z domu i kiedy los postawił na mojej drodze Boya,

337

biedny Maminek przeżywał ciężkie chwile, zwłaszcza że Nyk naw'-romans z I wińska. Ja miałam niezależne życie i podwójną, trudną m' a — Maminek więc mógł mieć poczucie, że traci jednocześnie i m'.*~ i córkę. A że należał jeszcze do epoki, kiedy się mdlało, a nawet tar?' po podłodze w atakach nerwowych („bitsia w istierikie", jak nj*. Dostojewski), więc i ja miałam trudne chwile, widząc jak matka s' męczy. Ale może to dla niej było lepsze, że wyładowywała swoje bóle w przeciwieństwie do mnie, która aż do przesady panowałam zawsze nad sobą? Żeby już postawić kropkę nad i, muszę nadmienić, jak się cała sprawa skończyła. Maminek wkrótce przestał dręczyć się zazdrością widząc, że moja nowa miłość w niczym nie uszczupla miłości do niej. Co zaś do Nyka i Iwiriskiej, to kiedy wojna wybuchła, partia zdobyła auto dla niego i żony, ale Maminek wołał zostać ze mną i Nyk sam wyjechał, najpierw do Wilna, potem do Ameryki. Tam umarł. Iwińską zaś, po wojnie, została, na odległość, najczulszą przyjaciółką Maminka. Obie panie pisywały do siebie, a Iwiriska stale przysyłała paczki. Tak że nieprawda, iż „les chagrins cTamour durent toute la vie", bo właśnie często kończą się taką czy inną, dość niespodziewaną przyjaźnią.

Maminek w trzydziestych latach przeszedł na emeryturę, ale uwielbiając ją uczennice odwiedzały ją nadal i w wiele lat później. Miała zresztą przykrości z kolegami w szkole z powodu swojej popularności. Inni nauczyciele zazdrościli jej po prostu tego, że uczennice tak ją kochały. Głupcy, często zgorzkniali, niezadowoleni z życia, jak to bywa wśród nauczycieli, sądzili, że Maminek chwyta się jakichś „sposobów", aby zdobyć sobie popularność. Nie rozumieli, że tajemnica leżała w jej osobistym uroku, rozumie, talencie pedagogicznym i zaufaniu, jakie budziła wśród młodych. Maminek był kobietą niepospolitą, tuż o krok od jakichś zdolności twórczych, literackich czy medycznych, ale coś, jakiś brak w niej samej sprawił, że tych zdolności nie wykorzystała należycie. Sama nad tym bolała od czasu do czasu.

Pamiętam, jak Jarosław sprowadził kiedyś do nas, do Podkowy, 'ia kolację, młodego obiecującego prozaika, Jerzego Andrzejewskiego. Siedział on koło Maminka i wstał od stołu zupełnie olśniony. „To najbardziej interesująca kobieta, jaką spotkałem" — powiedział. Nie najgorsze świadectwo. Bywają tacy ludzie — choćby Dzieciuch Kannn-ski — o krok od talentu, o krok od twórczości, którzy jednak tej niewidzialnej bariery nie mogą przekroczyć. I są ludzie ograniczeni, głupi, a jednak twórczy. Na czym to polega?

338

, z chciaabym jeszcze zamknąć nawias poświęcony Włodkowi Te'ńskiemu. Łączyła nas, jak pisałam, głęboka miłość, jednakże bez ^ml erotyzmu z mojej strony. Kochałam go jak brata i on się z tym CiLi:1 dził Widywaliśmy się i telefonowaliśmy do siebie prawie codzien-Pog° k ja znajdowałam czas na tyle różnych spraw?). Opowiadaliśmy nlt> nawzajem wszystko bezkompromisowo, niemal bezwstydnie. Była dla nas obojga jakby psychoterapia, którą odczuwaliśmy jako 10 zbędną Kiedy bolała mnie głowa czy brzuch, Dzieciuch nocował n'e.is nie chcąc mnie ani przez chwilę zostawić bez lekarskiej opieki. K- dy będąc w ciąży z Jędrusiem, musiałam być operowana na ślepą k-szke Dzieciuch przez tydzień, w dzień i w nocy siedział przy mnie. Iako lekarzowi było mu wolno. Mogłabym takie przykłady mnożyć bez końca I mnie obchodziło wszystko, co go dotyczyło. Kiedyś nawet zabawiłam się w Pana Boga, czego sobie nigdy nie przebaczę, i przyczyniłam się do jego małżeństwa.

Mój wierny i kochany Dzieciuch pracował jako lekarz psychiatra w Tworkach. Ale jego wysokiej klasy inteligencja, jego wybitne zdolności nie mogły się zadowolić pracą czysto zawodową. Pozostając na swoim stanowisku, jeszcze raz niejako zmienił zawód (a przypominam, że był jeszcze lingwistą i psychologiem) i zajął się hematologią. Jeżeli się nie mylę, jeden z pierwszych, o ile nie pierwszy, zbadał sprawę opadu czerwonych krwinek. W każdym razie pamiętam entuzjastyczny list z "Presse Medicale", gdzie odnośną pracę posłał i gdzie mu ją natychmiast wydrukowano, prosząc w najpochlebniejszych słowach o dalszy ciąg. Tak więc Włodek znalazł się na najlepszej drodze, aby zostać wybitnym naukowcem. Jednakże warunki nie bardzo mu na to pozwalały. Praca w szpitalu, zwłaszcza że w nim mieszkał, była wyczerpująca, laboratorium słabo wyposażone, a poza tym zdrowie (owa dziwna „anemia mózgu”) nie pozwalało mu czynić nadmiernych wysiłków. Wielkie odkrycie, na którego trop wpadł, postępowało niesporo i bardzo się z tego powodu martwiłam.

W tym czasie pojechałam na tydzień czy dwa do stryjostwa, do Berlina Stryj Julek zrobił wielki majątek i osiedlił się tam na stałe. Zapraszał mnie i przyjeżdżał od czasu do czasu ze swoją miłą żoną Połą i córkami Stryjostwo mieli dwie córki, jedną, Izę, ładną i udaną, drugą, Ninę, nieco mongoloidalną. Był to niedorozwój dość osobliwy, bo Nina była wrażliwa, subtelna i mnóstwo czytała, ale w rezultacie zatrzymała się na poziomie rozwoju dziesięcioletniej dziewczynki. Któregoś dnia

339

stryj powiedział: „Dałbym nie wiem co za to, żeby Nina mogła prze? • bodaj rok jak normalna kobieta, aby mogła wyjść za męża, choćby nien. długo”. Wtedy zaświtała mi myśl, którą podzieliłam się z Włodkiem n powrocie do Warszawy. Wiedziałam, że miał różne erotyczne przyg0(jv ale że małżeństwo z miłości nie jest dla niego możliwe ze względu na to że ciągle mnie kochał. Zapytałam go więc, czy nie chciałby się ożenić z Niną. Rozmawialiśmy zawsze ze sobą z cyniczną niemal szczerością Nina będzie szczęśliwa, stryj także, on zaś, Dzieciuch, będzie miał środki, żeby się zająć wyłącznie pracą naukową. „Trzeba patrzeć jasno — powiedziałam — sprzedasz się, a okupić możesz swoje postępowanie tylko tym, że będziesz bardzo, ale to bardzo pracował”. Dzieciuch powiedział, że się namyśli i że musi przede wszystkim Ninę zobaczyć. Stryj, w odpowiedzi na mój list, pospiesznie przyjechał z córką. Dzieciuch obejrzał ją, pokręcił głową, powiedział: „Jadalna” i zgodził się na małżeństwo. Uszczęśliwiony stryj, który nie spodziewał się takiej „partii” dla córki — doktor medycyny, młody naukowiec — wynajął im i dostatnio urządził mieszkanie oraz zorganizował i wyposażył bogate, jak na owe czasy, laboratorium (zatrudnił nawet asystentkę). Z dnia na dzień Włodek znalazł się w dostatku, wobec całkowitej możliwości kontynuowania rozpoczętej tak świetnie pracy w dziedzinie hematologii. I co? I nic. Przez pierwszy rok wszyscy byli szczęśliwi, po czym okazało się, że Dzieciuch w ogóle przestał pracować. Po wieloletniej surowej biedzie odprężył się w dostatku tak dalece, że zaczął po prostu używać życia i kropka. Kupił samochód (luksus na owe czasy), jadł, pił, podróżował i po trochu zdradzał Ninę. Laborantka okazała się niepotrzebna, laboratorium stało puste.

Między mną a Włodkiem przeleciał poważny cień: „Jesteś zwykła prostytutka — powiedziałam mu wprost — i teraz nic nie masz na swoje usprawiedliwienie”. Po takim dictum Włodek brał się znowu do roboty, ale nic z tego nie wychodziło i szal zabaw trwał dalej. Nina zresztą nic nie rozumiała i była zachwycona. Chciałam wyświadczyć memu ulubionemu przyjacielowi przysługę, a zniszczyłam go ostatecznie. Tak to bywa, gdy człowiek chce „organizować” cudze życie.

Tymczasem ja powzięłam ważną decyzję, którą podzieliłam się przede wszystkim z Włodkiem, z nikim bowiem nie mogłam być tak szczerą, jak z nim. „Chcę mieć drugie dziecko — powiedziałam — zawsze chciałam mieć więcej dzieci, gdyby nie ta sprawa z Boyem. (Dzieciuch był oczywiście, au courant tej mojej miłości). Ale teraz zbliżam się do

340
wterdzistki i potem może być za późno”. — „Musisz mieć drugie dziecko — powiedział Włodek. — Za bardzo kochasz Piotrusia. Możesz adążyć na jego życiu. Możesz się stać jego przekleństwem. Wiesz dobrze, czym mogą być zbyt kochające matki. A po drugie, dla Piotrusia dobrze będzie nie pozostać jedynakiem”. — „Dobrze, ale sam wiesz, jaki jest Piotruś. Czy może znowu tak się udać? Czy może być drugie dziecko tak samo niezwykle jak on?” — „Tak, to mało prawdopodobne. Piotruś jest dość wyjątkowy. Ale nie sami wyjątkowi ludzie muszą istnieć na świecie...”

Może się to komuś wydać dziwne, że nie z kimkolwiek innym rozmawiałam na ten temat, tylko właśnie z Dzieciuchem. Ale taka była nasza przyjaźń. Zresztą osoby najbardziej zainteresowanej, czyli Jerzego, nie potrzebowałam pytać. Wiedziała, że marzy o drugim dziecku, zwłaszcza o córeczce. Nie miałam się co radzić Maminka, którego myśl o nowym dziecku raczej przerażała, dość się namęczył z wychowaniem mnie na zdrową i, powiedzmy, pełnowartościową kobietę. Przy całej naszej wielkiej miłości i przyjaźni, były rzeczy, o których nie mówiliśmy nigdy. Ani ona nie zwierzała mi się ze swoich przeżyć z Nykiem, ani ja jej nie opowiadałam o moim stosunku z Boyem. Wiedziała, że była mu przeciwna, że wolałaby, abym zerwała, co niestety, czy na szczęście, było dla mnie niepodobieństwem. Sama, godząc się w rezultacie na zdrady Nyka, nie była zadowolona, że „zdradzam” Jerzego. Wiedziała to, choć nigdy mi o tym ani słowem nie wspomniała. A już najmniej mogłam mówić na ten temat z Boyem. I dlatego, że on w ogóle dzieci nie znosił, i dlatego, że taka moja decyzja, siłą rzeczy, musiała mnie na długo oderwać od niego. Co też się stało. Nie przestaliśmy się widywać ani telefonować do siebie, ale wszystkie bliższe stosunki przerwałam, jak mi się zdawało na zawsze. Miałam lat trzydzieści osiem, jeżeli w ogóle miałam mieć drugie dziecko, nie było z czym zwlekać. Boy miał lat sześćdziesiąt trzy. Był przyzwyczajony do tego, że od czasu do czasu, kiedy zbyt mi już ciążyła dwoistość, przerywałam nasze zbliżenia. Nigdy nie szukał wtedy innej kobiety, przyjmował potulnie moją decyzję i czekał cierpliwie. Zawsze wracałam. Drugie dziecko miało, moim zdaniem, położyć koniec tej męczącej dla mnie szarpaninie i przestawić mnie uczuciowo przede wszystkim na macierzyństwo. Świadome — jak najbardziej. Nigdy bym Jerzego nie obarczyła cudzym dzieckiem. Poza tylni Jerzy był młody, zdrowy, mądry, inteligentny i dał mi już uroczego, Piekielnie zdolnego Piotrusia. Jeżeli chodziło o ojcostwo, nie mogłam

341
sobie wyobrazić nikogo lepszego. Toteż decyzja moja zapadła i zamiary wkrótce się ziściły — zaszłam w ciążę. ° Te trzeźwe, nazbyt trzeźwe — jak na gust niektórych — rozważa ' wydają mi się jedynie właściwe, jeżeli chodzi o tak ważną decyzję o t' t daleko idące przyjęcie na siebie odpowiedzialności, jak wydanie na św'< dziecka. Piotruś począł się bez takiej twardej decyzji (nie znaleźliśmy jeszcze? dobrze środków zapobiegawczych), ale jednak wtedy, kiedy mogliśmy ju' mu zapewnić możliwe warunki życia. Teraz jednak posiadanie drugiego dziecka stawało się dla mnie wewnętrzną koniecznością. Byłam stworzona na matkę. Gdyby nie stosunek z Boyem, miałabym zapewne więcej dzieci Teść, kiedy mówił ze

mną o Boyu, którego bardzo cenił jako pisarza uśmiechał się pod wąsem. Wiedział, oczywiście, wiedział, nie mógł nie wiedzieć tego. o czym mówiła cała Warszawa, ale się też nigdy nie wtrącał, nie zabierał głosu w tej sprawie. Była jakby cicha zмова w moim otoczeniu, żeby zaakceptować tę o tyle niecodzienną sytuację, że nie była tajna, choć się przed nikim (z wyjątkiem Włodka) z niej nie zwierzałam, ale też się nie kryłam. Było to a prendre ou a laisser. Jedna z moich dawnych koleżanek szkolnych, spotkana raczej przypadkiem, powiedziała: „Znam twoją skomplikowaną sytuację. Ale to jest tak, jak gdybyś była kochanką króla”. Nic nie odpowiedziałam na tę niedyskret-na, ale nie pozbawioną słuszności uwagę. Istotnie, miłości Boya nie można było mierzyć zwykłą miarą. Kiedy zakomunikowałam Boyowi, że będę miała dziecko, powiedział: „Jesteś młoda, Iruszek, masz prawo robić, co ci się podoba”. Jedno tylko musiało zostać nie zmienione, musieliśmy się nadal widywać codziennie i telefonować za każdym razem, kiedy mieliśmy sobie coś do powiedzenia, choćby to było o drugiej nad ranem. Przyjaźń nasza, już tylko przyjaźń, nie osłabła.

Tak więc zaszłam w ciążę i urodziłam, wbrew chęciom i oczekiwa-wZnk Teg°- PCa'* Urodziłam g° tym razem w znakomitych warunkach w sw,etnej klinice, no i bez żadnych komplikacji. Jerzy zachłystywał się ze szczęścia. Stosunkowo obojętny wobec nowo narodzonego Piotrusia - rozkochał się od pierwszej chwili w Jędrku.

SkS'1r?H T™™™ PrZyJeg° lÓŻeC7ku' wP'trzony w niemowlęcą, b.zydka (bo Jędrak me był ładnym dzieckiem) twarzyczkę Teśc mój zareagował dziwnie na przyjście na świat drugiego wnuka:'

342 •

To dobrze — powiedział — że urodziłaś chłopca. W ten sposób , ,/n Krzywickich nie zaginie. fe sprawy „rodowe”, dość śmieszne zawsze, ale zwłaszcza w stosunku , ^obnej szlachty, jaką byli Krzywiccy, pozostawiały mnie obojętną. Matomiast słowa teścia bardzo mnie zabolaly i uraziły. Zawierała się bowiem w nich potworna treść, że pewnego dnia może Piotrusia nie być. Wydało mi się to niemożliwe, głupie i okrutne, bo wszyscy na świecie mogli umrzeć, wraz ze mną, ale nie Piotruś. Jędrak, wątutki (urodził się i polipem w nosie, trzeba go było operować, kiedy miał rok, co było bardzo niebezpieczne w tak wczesnym wieku), miał mniej szans na przeżycie niż kwitnący Piotruś. A co do umysłowego rozwoju, jak się miało potem okazać, los ani jego, ani mnie nie skrzywdził. Ale tego jeszcze wówczas nie mogłam wiedzieć. Teśc przyniósł mi w podarunku sznurek pereł, mówiąc: „Masz, to za syna. Jeszcze po babce”.

Bardzo się ucieszyłam, jednak niebawem się okazało, że perły są fałszywe. Było to bardzo dziwne, w dawnych bowiem czasach noszenie sztucznej biżuterii było w najgorszym guście. Duża bieda musiała przycisnąć babcię K rzy wieka, że sprzedała prawdziwe perły i zastąpiła je imitacją. Nic dziwnego zresztą, bo drugi jej mąż, ojczym Ludwika, był utracjuszem, który przehulał cały majątek żony. W czasie jego wesołego życia musiały pójść w świat i owe perły, które miałam dostać „za syna”.

Jeszcze w czasie ciąży wystąpiło u mnie podrażnienie ślepej kiszki. Trzeba było operować, co w takim okresie groziło życiu płodu. Operacji dokonał doktor Wolfram, wschodząca gwiazda polskiej chirurgii. Zrobił to po mistrzowsku. Nie tylko nie ucierpiało dziecko, ale dostał się do owej ślepej kiszki w ten sposób, że nie pozostała żadna blizna. Ten niezwykle utalentowany młody lekarz miał zginąć, jak tylu innych, w Katyniu. Myślę, że ku szkodzie nie tylko polskiej medycyny,, ale światowej. Wspominam go dotąd.

W czasie mego pobytu w klinice nie odstępował mnie — jak już Pisałam — ani w dzień, ani w nocy, Dzieciuch, miałam więc swego Przybocznego lekarza na każde zawołanie, niczym osoba panująca. Przy ctym Włodek absolutnie nic, poza przyjaźnią, nie otrzymywał w

zamian. Nie zachwiał się ani na chwilę w swoim przywiązaniu, mimo •floch ostrych, czasem okrutnych komentarzy dotyczących jego za-r?uconej pracy.

Od chwili, kiedy postanowiłam mieć dziecko, łączyły mnie z Boyem i czysto przyjacielskie. Ale kiedy dziecko podrosło, nasza

343

\vzajernna, przyhamowana miłość wybuchła z nową siłą. I oto najpiękniejsze chyba moje wspomnienie datuje się z sierpnia 1939 roku. Spędziliśmy razem dwa tygodnie w Zakopanem i nigdy nie odczułam tak bardzo naszej kompletnej bliskości i szczęścia, jakie dawała wspólna obecność. Panowała między nami jakaś harmonia wyższego rzędu. Trudno mi to wyrazić słowami, ale poczuliśmy się związani na zawsze. Nigdy jeszcze czegoś podobnego, w takim nasileniu, nie przeżywałam" _ - mówił ten niemłody przecież człowiek. I to było nasze pożegnanie, go oto zaczęły dochodzić słuchy, coraz jadowitsze, o zbliżającej się wojnie i trzeba było pospiesznie wracać do Warszawy. Pociąg przepelniony, ścisk straszliwy, na stacjach już zmobilizowani mężczyźni w mundurach. W przedziale jechali z nami Słonimscy, Czernańscy i wiele obcych osób. W tym ciężkim od rozpaczki ludzkiej pociągu widziałam Boya po raz ostatni.

Ale na razie wszystko było dobrze, choć czuło się narastającą grozę. Wierzyło się w niebezpieczeństwo i nie wierzyło jednocześnie, jak we własną śmierć. Mówiłam do Ludwika Krzywickiego: „Co ja robię? Urodziłam dziecko akurat na wojnę”. — „Po pierwsze — odpowiedział — nie wiadomo, czy wojna będzie. A po drugie, czemu sądzisz, że dzieci powinny się rodzić dla spokoju i pokoju. Dzieci powinny być przygotowane, jak my wszyscy, zarówno na dobre, jak i na złe. Gdyby ludzie uzależniali wydawanie na świat potomstwa od warunków historycznych, ludzkość by wyginęła”. — „Czy sądzi ojciec, że będzie wojna?” — „Sądzę, że będzie, ale już tyle wojen świat przeżył i jakoś istnieje. A jeżeli jednostki giną, to trudno, taki jest bieg dziejów”.

Nie mogę powiedzieć, żeby te słowa uspokajały. Jedyłą ostoją była niewiara w okropność, jaką byloby zwycięstwo hitleryzmu. Tak wiec, iie przestając widzieć, oburącz zasłaniałiśmy sobie oczy.

Pamiętam, jak nieco wcześniej, pewnego wieczora wyszliśmy z pre-ni'ery kabaretu „Morskie Oko” z Boyem, bynajmniej nie uśmiechnięci, PLni jakiegoś obrzydzenia i niepokoju.

Program był głupio rażny i ochoczy, napomykało się o sprawach politycznych z agresywną P°godą, jako że Polsce nic nie grozi, a Niemcy mają czołgi z papieru. ""° przedstawienie — powiedział Boy — bardziej mnie zasmuciło niż

S2ystkie artykuły w gazetach. Wciąż to samo: Polak wężem ruszył, i ^mcy uciekali. I ludzie biją brawo. Czyżby nic nie rozumieli?"

Ale zaraz po takim smutku przychodziła otucha. Hitler, jakkolwiek altany, nie puści się na samobójczą wojnę, no i cywilizowany świat

345

nie dopuści do rozprzestrzenia się hitleryzmu Mamv

Francji i Anglii. Pewnego wieczora obudziłam Jerzego bo n °Pa'Xie \\v

właśnie duży artykuł w doskonałym tygodniku francuskim ^m

ne, w którym były wymienione z nazwiska osoby stano ;aria"-

kolumnę nazistowską w Polsce. Siedzieliśmy w nocy z eod/ " P^

artykułem, przerażeni, wstrząśnięci. Po czym Jerzy, czesko bto ^^ tyni

pragnienia za rzeczywistość, powiedział: „To niemożliwe r^l^

zbyt okropne. Nie można wierzyć gazetom". Nie nale7 -b>'

przejmować" — powiedzieli moi przyjadę le-literaci już nil ^ tyni

mianskiej", skąd się, już nie wiem dlaczego, wynieśli tylko * ^K~

kawiarni, w IPS-ie na placu Saskim, przemianowanym'nij^lac ""°

kiego. „Takie wiadomości stanowią jeden z niemieckich trików

ndowych. Chodzi o to, by siać zamęt w umysłach i budzić w ludziach. To jest wojna nerwów". Nie pamiętam już, jakie o» wymienione w artykule, okazał się on jednak później całkowicie dziwy. Ale pocieszałyśmy się, bo i co było robić? Pamiętam też jak więcej w owym czasie znalazłam się w Paryżu i odwiedziłam m o f StrT r"0'Wldbiciela'Julesa Romalnsa'Przml mnie1^

i niechętnie. „Co to znaczy - powiedział - to kumanie się polskieso rządu z Niemcami"? Te jakieś akty przyjaźni?" - Tłumaczyłam mu na p^ ze śmiechem, że nie jestem w najmniejszej mierze odpowiedzialna za poczynania polskiego rządu. Wizyta była krótka i kwaśna. Nazajutrz dosłownie nazajutrz, dowiedziałam się, że Jules Romains wyjechał na objazd do Niemiec, z odczytami, że był podejmowany gorąco przez przedstawicieli władz. Ten cynizm tak mi go obrzydził, że już niady więcej me miałam ochoty nawiązać z nim na nowo znajomości " '

Tak, miałam wszystko: drugie z kolei dziecko (które w przyszłości miało się stać moją chlubą i podporą na starość), kochającego bezgranicznie męża, niezmienną przyjaźń (i miłość) niepospolitego człowieka, rozgłos, zawsze przyjemny dla próżności, interesującą pracę stosunki z wieloma wybitnymi ludźmi, dobrobyt, młodość, sporą urodę dom z dużym ogrodem pod miastem, piękne mieszkanie w mieście możliwość podróżowania, idealną matkę, najukochańsze, niezwykle udane pierwsze dziecko - słowem, wszystko, czego może pragnąć człowiek i kobieta. Zdumiewałam się czasem temu niezwykle powodzeniu i wtedy Jerzy mówił: „Mój biedny Polikratesiku, morze ci znowu odrzuciło pierścień". No , przyszedł jeden dzień, jeden jedyny - 1 września 1939 -kiedy znalazłam się nagle na samym dnie nieszczęścia.

346

września Piotruś pobiegł z rana do Podkowy Główniej, żeby coś •ć i nagle usłyszeliśmy huk spadających bomb, coś, co zupełnie kraczało nasze pojęcie. Byliśmy ogłuszeni, nie tym hukiem, bo ' -,bv nie były wielkiego kalibru, ale samym zjawiskiem. Jak to? — tt/iec bombardują! Nieprzytomna ze strachu pobiegłam cwałem do Podkowy Główniej — Piotrusia ani śladu. Miotalam się jak błędna. Kilka bomb spadło właśnie na Podkowę Główną. Szczęśliwie nie było ofiar ani nawet strat materialnych. Wróciłam biegiem, w domu znalazłam już Piotrusia, który przybiegł jakąś boczną drogą, oczywiście bardzo przestraszony. No i wtedy do nas dotarło: a więc zaczęła się wojna. Telefonował Jerzy, jeszcze wtedy telefon funkcjonował, i powiedział mi tylko to: że jest zmobilizowany. Byłam przerażona, nie bardzo wiedziałam, co robić. Bałam się przede wszystkim bomb zapalających. nasz dom stał w lesie. Tego dnia przybiegła do mnie koleżanka uniwersytecka, żona adwokata Karniola, i zapytała, co jej radzę robić, czy zostać w Podkowie, gdzie była na letnisku z synem, czy wracać do Warszawy. Odpowiedziałam, że w Warszawie są przynajmniej lekarze, szpitale, apteki, jakaś pomoc w razie nieszczęścia, poza tym nie będzie tam groził pożar lasu, którego się głupio i przeraźliwie bałam. Wobec tego Karniolowa postanowiła następnego dnia jechać do Warszawy. W dzień potem trafiła ją bomba i zabiła razem z synem.

Wieczorem siedziałam w ogrodzie koło domu, czuwając. Nagle usłyszałam, że ktoś stuka do furtki. Podbiegłam, okazało się, że to Jerzy, już w mundurze, przyjechał jednym z ostatnich pociągów, żeby się ze mną zobaczyć. Padliśmy sobie w objęcia, a potem usiedliśmy na ławce ' siedzieliśmy tak, zrozpaczeni, w zupełnym milczeniu. Mój mąż ostatnim pociągiem wrócił do Warszawy, musiał się stawić w jednostce. A ja nazajutrz rano załadowałam dzieci i Maminka do pociągu. Marynia, mądra Marynia postanowiła zostać w Podkowie i pilnować domu, w ogóle nie chciała jechać do miasta. Z nami natomiast zabrał się Albin, przyjaciel Piotrusia, mój wychowanek, kochany, miły Albin. °ddany nam całym sercem. W Warszawie wpadł do nas jeszcze na chwilę •krzy, zupełnie przerażony, powtarzając: „Słuchaj, czy wiesz, co się dzieje? Idą z gołymi rękami na czołgi, rozumiesz, z gołymi rękami".

Był zgrzany, to był najbardziej upalny wrzesień, jaki w życiu Pamiętam, spocony, nieszczęśliwy. Telefonował do brata Aleksandra,
347

prosząc, by zajął się nami, by wywiózł nas w jakieś bezpieczne. Brat odparł, że, owszem, wyjeżdża z Warszawy, ale miejsca w chodzie dla mnie nie ma. Pamiętam jeszcze zdławiony głos „Słuchaj, ale przecież może się zdarzyć coś najgorszego”. Bał się telefonem powiedzieć, że Niemcy mogą wejść do Warszawy co Irene grozi, co grozi dzieciom, postaraj się, zrób coś pr duże auto, no zabierz ich jakoś”. Ale pan Aleksander odmówił. W tym momencie wszedł do pokoju mały Jędrus miał jeszcze dwóch lat, i coś tam sobie gaworzył. Wtedy Jerzy za głowę i powiedział: „Nie mogę na niego patrzeć, nie mogę patr I znowu chwycił słuchawkę telefonu, i jeszcze raz usiłował p^l brata: „Słuchaj, ty widocznie nie rozumiesz, co się dzieje, sam nie^a dzieci, zabierz moje dzieci, zabierz Irenę, ja idę na front”. Nier powtórzył pan Aleksander. No i nie było rady. Jerzy pożegnał się? i odtąd już go więcej nie zobaczyłam. 4

Zatelefonowałam do Boya. Służąca powiedziała mi, że pan wyjechał Rano czy poprzedniego dnia wieczorem, już nie pamiętam. Jak to' wyjechał, nie zadzwonił do mnie, nie dał znać? Nie mogłam tego pojąć! „Pan wyjechał i pani też wyjechała. Wpadł pan Aleksander i powiedział' że trzeba się spieszyć, że rządowy pociąg i żeby pan Boy jechał”. Ale jak się później okazało, dla Boyowej już się miejsce w tym pociągu nie znalazło. Boy pojechał sam pociągiem, a Boyowa samochodem z jakimiś znajomymi. Zresztą samochód nie dojechał do żadnej granicy zdaje się, że jechali na Zaleszczyki, tak jak wszyscy, no i Boyowa po jakimś czasie wróciła do Warszawy.

A ja zostałam w mieście z dziećmi i z Maminkiem. Wybrałam sobie najgorsze miejsce z możliwych - nasze piękne mieszkanie, którego okna wychodziły na Ogród Saski, na willę i ogród ministra Becka, okazało się najbardziej zagrożone. Cała obrona przeciwlotnicza Warszawy skoncentrowała się właśnie w Ogrodzie Saskim. Ten obszar bombardowano najsilniej. I nasz dom też. Ale tego nie mogłam wiedzieć zawczasu.

Obstrzał był tak mocny i jednocześnie wszystko było tak oszałamiająco straszliwe i nieoczekiwane, że zupełnie nie wiadomo było jak stawić czoła sytuacji. Zbiegłyśmy wszystkie do piwnicy. Muszę powiedzieć, że najodważniej zachowywała się służąca Janina, która wbiegała na górę, gotowała, przynosiła nam gorące jedzenie do piwnicy. Byłam dla niej pełna podziwu. Ja nie mogłam się w ogóle ruszyć. To nie był nawet

348

• /

••ich, ale jakaś niemożność, stan szoku. Okazało się jednak, że Janina robiła tego wszystkiego bezinteresownie, owszem, przynosiła nam jzenie, ale potem wносиła z domu, co się tylko dało. Zresztą po kilku niach znikła.

Pewnego wieczora ocknęłam się, pomyślałam, że przecież będą potrzebne pieniądze. Wiedziałam, że Jerzy chował je w książkach. poszłam na górę. Warszawa już się paliła, było widać z okien łunę tak czerwoną, tak silną, że w pokoju było prawie jasno. Zaczęłam przeglądać książki, jedną po drugiej, znalazłam pieniądze, ale też z jednej z książek wypadły listy. Były to listy miłosne pisane do Jerzego przez jakąś kobietę. Pamiętam, że przyjął to z pewnym rozrzewnieniem. Nie przeczytałam tych listów, zniszczyłam je, a rozrzewnienie pochodziło stąd, że jednak miałam ciągle poczucie winy wobec męża. Myślę, że cała ta sytuacja między mną i Boyem bardzo mu ciążyła. Kiedy przekonałam się, że Jerzy miał swoje życie — to mi przyniosło ulgę. Poszedł na wojnę, ale przeżył coś pięknego, jakaś kobieta go kochała.

W piwnicy Jędrus biegał wesolutki i naśladował spadające pociski: iiiiuu bum, wołał ciągle, co nie było specjalnie przyjemne, ale wszyscy mieszkańcy domu, którzy zgromadzili się w

piwnicy, zachowywali się niesłuchanie spokojnie i z godnością. Zrobiło się dla kilkorga dzieci wspólne posłanie, tam położyło się Jędrka, tam też przytulił się gdzieś Piotruś. Maminek także był bardzo dzielny. Wziął na siebie ciężar zajęcia się małym Jędrusiem. Piotruś z Albinem siedzieli przytuleni do siebie w kącie, a ja — nawet nie potrafię powiedzieć, co się ze mną działo. Nagle zostałam sama zupełnie. Wszyscy trzej mężczyźni, którzy mnie kochali, znikli. Bo i Włodek został zmobilizowany jako lekarz, wyjechał i też go więcej nie zobaczyłam.

Cały ten czas oblężenia Warszawy, który trwał prawie miesiąc, był c'żki, ale ciągle jeszcze mieliśmy nadzieję. Kiedy się już otrząsnęłam PO kilku dniach z tego stanu szoku i zamroczenia, zaczęłam chodzić na śóre, gotować. Bardzo wielu żołnierzy, którzy brali udział w obronie Warszawy, tłoczyło się w bramie, schodzili do piwnicy, szukali schronie-tia na podwórku, zdawało im się, że tam będzie bezpieczniej. No i Znosiłam im jakąś tam zupę. Nie zapomnę tych chłopców, pełnych wiary i nadziei, mówiących: „Niech się pani nie martwi, nie damy się, my ich odeprzemy, widzi pani, jak się długo trzymamy”. Jednocześnie

349

r1

pamiętam zdławiony, schrypnięty głos prezydenta miasta, Starzyńskiego, który w radiu wzywał ludzi do oporu. Zresztą dawał sprzeczne dość chaotyczne rozkazy, żeby mężczyźni wychodzili z Warszawy potem żeby wrócili. Patrząc przez okno widziałam też dość gorszące sceny. Zaraz na samym początku rząd ciężarówek przed willą Becka i żołnierzy wynoszących pościel, jakieś dywany, firanki. Odjeżdżały te ciężarówki załadowane, nie wiem, dokąd i po co, widocznie w ślad za Beckami.

Już wiedzieliśmy, że rząd uciekł, więc uczucie osamotnienia było tym większe, bo i osobiste, i polityczne zarazem. A jednocześnie w narodzie w tym warszawskim ludzie trwała jakaś niezłomna wiara, że to się zmieni, że to się odwróci, że Niemcy nie wejdą do Warszawy, że to jest niemożliwe, że się ich nie wpuści, że nie dadzą rady.

Jeszcze w pierwszych dniach września, kiedy trochę oprzytomniałam, poszłam do redakcji „Robotnika”, żeby się zobaczyć z Mieczysławem Nidziałkowskim. No i zapytałam go, co teraz będzie. On powiada: „Nie wiem, może damy radę, może nie, raczej będzie źle”. Więc ja się pytam: „No dobrze, i co pan zrobi, jeżeli Niemcy wejdą do Warszawy?” Na to on otworzył szufladę biurka, pokazał mi rewolwer i odpowiedział: „Zawsze mam to”. Zresztą później, gdy Niemcy weszli i wzięli Nidziałkowskiego, nie odebrał sobie życia, został przez nich zamęczony.

Wracałam wtedy do domu. zupełnie na dnie rozpacz. Nagle, bez żadnego przejścia, ze spokojnego, dosyć nawet zamożnego życia, znalazłam się na froncie, pod ostrzałem, z dziećmi, pod groźbą wejścia Niemców. No i Niemcy weszli. Wtedy załamał się Piotruś. Piotruś, który się bardzo dzielnie trzymał i nie bał się nalotów. Wybuchnął płaczem, rzucił się w moje objęcia i powiedział: „Mamo, mammo, przecież Niemcy ciebie zabijają!” Kiedy Niemcy weszli do Warszawy, i ja byłam przekonana, że przyjdą po mnie, no bo ostatecznie i całe „Wiadomości Literackie”, i ja osobiście byliśmy jawnymi antyfaszystami i z pewną megalomanią wyobrażałam sobie, że przede wszystkim zabiorą się do literatów. Nie! Przede wszystkim zabrali się do adwokatów. Aresztowali wtedy całą masę znajomych, do mnie nie przyszli. Nie mogłam jednak tego przewidzieć, więc kiedy wieczór już zapadł, kiedy dzieci i matka zasnęli, popełniłam akt straszliwego wandalizmu. Byłam przekonana, że Niemcy przyjdą mnie zabrać, wobec tego wyjęłam z szuflad cali! swoją korespondencję — stos listów od Boya, stos bardzo interesuj*}' cych listów od Czermańskiego z Ameryki, stos niebanalnych i właściwie

350 ;

bardzo literackich listów od Włodka Kamińskiego, fotografie z dedykacją Romain Rollanda i listy od niego, jednym słowem wszystko, co miałam. Po kolei wrzucałam do pieca i paliłam

całą swoją przeszłość. była w tym jakaś zjadłość, zaciekłość, jakaś żądza zniszczenia. Ponieważ wszystko paliło się i waliło w gruzy, a ja miałam tego nie przeżyć, więc trzeba było zniszczyć wszystko, żeby nie dostało się w obce ręce. Teraz strasznie tego żałuję, choć i tak jest mało prawdopodobne, żeby te dokumenty w jakikolwiek sposób ocalały, ale wszystko jest możliwe. Ocalały przecież najdziwniejsze rzeczy, na przykład moje kryształowe kieliszki, coś — wydawałoby się — najbardziej kruche. A jednak. To palenie było aktem rozpacz. Chciałam w tamtej chwili zniszczyć to, co było mi najdroższe. Najbardziej żał mi listów Boya, chociaż obiektywnie nie był specjalnie dobrym korespondentem. Niektóre listy jednak były szczególne. A ponieważ korespondowaliśmy przez dziesięć czy jedenaście lat, to zebrał się duży stos listów, z których poza sianem pospolitości codziennej można było wyłowić dużo ciekawych rzeczy. Przepadło. Teraz, kiedy opublikowano korespondencje Boya, przykro mi, że tam figurują listy do tej czy innej kobiety, a nasza olbrzymia korespondencja przepadła, i to z mojej własnej winy.

Ale wybiegam naprzód. W ogóle obawiam się, że te wspomnienia z czasów wojny będą bardzo chaotyczne. Zbyt wiele ciężkich i trudnych do wytrzymania rzeczy zdarzyło się w tym czasie, pamięć odsuwa je w przeszłość.

Rano 17 września Janina przyniosła gazetkę, przeczytałam, że wojska rosyjskie doszły do Bugu. To był wstrząs/ Stałam sama w kuchni i powiedziałam głośno: „To już koniec”. Od tej chwili nie spodziewałam się niczego dobrego. Wiedziałam, że nie ocaleję, wiedziałam, że nie ocaleją moje dzieci, z tępą rezygnacją przyjąłm wszystko.

Miałam uczucie, że jestem straszliwie osamotniona, bez najmniejszej Podpory. Maminek już był stary, dzieci małe. Drobnym przebłyskiem radości była chwila, kiedy nieznajoma mi prawie stara pani Beyerowa Przysłała mi przez swoją siostrę paczuszkę żywności. Ta żywność nie była mi potrzebna, miałam jeszcze w domu co jeść. ale fakt, że ktoś Pomyślał o mnie i w dodatku ktoś nieznajomy, udowodnił, że istnieje Jeszcze jakaś łączność między ludźmi, że istnieje przyjaźń.

Kiedy tylko skończył się obstrzał, pobiegłam przede wszystkim do eyerów podziękować za tę paczuszkę, za odruch serdeczności, którego SI? nie spodziewałam. I, o dziwo, spotkałam tam trzy osoby: starszą

351

panią Beyerową, Wiliama, którego znałam przelotnie (przychód 'i Jerzego jako aplikant), i jego śliczną żonę Dziunię. Przyjęli m d° przyjaciele, najczulej, okazało się nagle, że nie jestem taka sama'6^ opuszczona, jak mi się zdawało. To mi jeszcze raz dodało otuchy K^" wróciłam do domu, na podwórku stała furmanka zaprzężona w koni. To Józef, poczciwy Józef, ojciec Albina, przyjechał poParę z Podkowy Leśnej. Trudno sobie wyobrazić naszą radość Mieli ""^ uczucie, że Podkowa jest jakąś wyspą, na której znajdziemy schronień^ I rzeczywiście nie było tam Niemców, była żywność, spokój w wiadomo, po co opuściłam Podkowę, żeby całe straszliwe oblężeni' przeżyć w piwnicy, wśród huku bomb, syku palących się dookol domów. Tymczasem, jak mówił Józef, w Podkowie nie czuło się wojny Wzięłam z domu tylko to, co było najpotrzebniejsze, zabrałam jednak złote dolary. Nigdy z Jerzym nie przywiązywaliśmy wagi do pieniędzy a Maminek tym bardziej był na nie obojętny, ale to właśnie Maminek na kilka lat przed wojną powiedział: „Słuchajcie, jesteście dość zamożni powinniście kupić złoto”. Jerzy nie chciał, twierdząc, że to nonsens' złoto to jest coś martwego. Ale Maminek obstawał przy tym, żeby pójść' do banku i kupić złote dolary. I Jerzy uległ namowom Maminka, kupił (pamiętam, za 5.000 złotych, co było sumą sporą, ale nie przekraczającą naszych możliwości) 600 złotych dolarów, które schował w jakiejś' skrytce. Powiedział: „Kupiłem, wyrzuciłem za okno, zapomniałem”. No, a ja nie zapomniałam o tych dolarach, wyjęłam je i one pozwoliły nam przetrwać sześć lat wojny. Uratowały nam w jakiś sposób życie. W czasie obstrzału przybiegła do mnie nagle służąca Boyów, mówiąc, że trzeba przecież ocalić obrazy, przynajmniej te najważniejsze. Nie wiem, dlaczego uważała, że u

mnie jest bezpieczniej niż na Krakowskim Przedmieściu, gdzie znajdowało się mieszkanie jej państwa. Uznałam jej rację i obie biegałyśmy tam i z powrotem, znosząc do mnie przepiękne obrazy. Chciałam je koniecznie jakoś ratować, ale kiedy potem nasz dom się zaczął prawie walić, uznałam, że w mieszkaniu Boya będzie im może lepiej, i zaczęły się przenosiny z powrotem.

Kiedy Boyowa po wzięciu Warszawy przez Niemców wróciła, znalazła wszystko na miejscu. Ale cóż z tego, kiedy później w czasie powstania wszystko i tak się spaliło. Może by te obrazy ocalały, gdybym je była przewiozła do Podkowy i dostarczyła do domu Iwaszkiewiczów, którego wojna nie tknęła. Ale to mi nie przyszło do głowy. Do dziś nie mogę odżałować.

352

podkowie spokój był całkowity. Cisza. Dom stał w ogrodzie,

itty

**•

kwiaty. Zupełnie inny świat. Trudno było uwierzyć, że jesteśmy

\vi* j

j okupacją, że przeżyliśmy oblężenie, że są gdzieś tam Niemcy, Mórych się w ogóle nie widziało — to była ogromna ulga i wytchnienie. p,zy czym niezmiernie przyjemna rzecz, której się absolutnie nie „odziewałam — sąsiedzi. Sąsiedzi, którzy patrzyli na mnie dotychczas dość niechętnie — z różnych względów, głównie obyczajowych (świadome macierzyństwo, przyjazdy Boya). Przeważnie endecy, bojący się „żydokomuny”, chwilami wręcz wrody, teraz nagle, kiedy stało się całkowicie jasne, że jestem Żydówką, zaczęli świadczyć mi różne przysługi. I znowu się okazało, że wcale nie jestem taka samotna, jak mi się wydawało. Przy czym ci nowi przyjaciele byli czasem dosyć dziwni. Obok nas mieszkał niejaki pan Leonard Samowicz, właściwie zupełnie zruszczony Polak, bardzo bogaty, mówiący z rosyjska — i on jako jeden z pierwszych zjawił się u mnie z dużym kawałem masła. Powiedział: „Na pewno pani brakuje masła, więc proszę, to dla pani”. Pan Samowicz był bardzo bogatym człowiekiem, uciekł z Rosji i przywiózł mnóstwo kosztowności zegarków, pieniędzy i złota. Sam mi o tym opowiadał. Odtąd bardzo często przychodził, czasem z żoną. Ta znajomość była dla mnie szczególnie pomocna. Samowicz pracował honorowo w gminie, gdzie dał do zrozumienia, że ja wcale Żydówką nie jestem. Dlatego przesiedziałam w Podkowie półtora roku i nikt mnie w ogóle nie ruszył. To było zdumiewające w owym czasie.

Zjawili się też mieszkający dość daleko, w Zachodniej Podkowie, przemili państwo Grotowscy, on profesor fizyki, ona z domu hrabianka Scipio del Campo. Mieli śliczną posiadłość, a tuż koło nich mieszkali państwo Niemyscy, którzy uciekli z Poznańskiego, ci sami Niemyscy, u których Dąbrowska pisała Noce i dnie. Byli to bardzo sympatyczni, kulturalni ludzie. Tak że miałam od razu dwa domy niezmiernie miłe, w których bywałam. Wielu innych sąsiadów okazało mi także dużo serca. Nie mogę o tym zapomnieć, to było wówczas niezmiernie ważne.

Niestety, była i odwrotna strona medalu. Piotruś biegał codziennie na stację i przynosił wiadomości o nowych rozporządzeniach Niemców, Płaszcza dotyczących Żydów: Żydzi mają się meldować, Żydzi mają nosić opaski z niebieską gwiazdą, Żydzi mają zgłaszać majątki i tak ^alej. Dla niego to był ogromny wstrząs, bo choć wiedział, że jest w czę-Sc' pochodzenia żydowskiego, ale nigdy nie docierało to do jego świa-ści. A teraz nagle okazało się, że jest Żydem (co, zwłaszcza z jego

353

• Wyznania...

słowiańską buzią, było dziwne i zaskakujące). Ja zaś od początku b 1 przygotowana na śmierć. I chyba dlatego mogłam sobie pozwolić na luksus nierespektowania żadnych rozporządzeń niemieckich. I tak h f od początku do końca.

Tak na przykład koło nas mieszkała przyjaciółka Maminka t nauczycielka, panna Stella Finkelkraut, niemłoda już osoba, ze staruskiem ojcem. Kiedy z czasem przyszło rozporządzenie, że Żydzi powinni zgłaszać się do getta, panna Stella przyleciała do nas przerażona żebyśmy pakowali się jak najprędzej, że trzeba jechać, że ona już zapakowała walizki. „Ani mi się śni” — powiedziałam. „Jak to, nie pojedzie pani do getta?” — „Nie ma o tym nawet mowy!” — „Ale na miłość boską, tam będzie jednak bezpieczniej, w każdym razie spokojniej!” — „Życ za murami, żyć tam, gdzie Niemcy każą? Za nic się na to nie zgodzę i niech się dzieje co chce”. Pannie Stelli jej przyjaciółka chrześcijanka proponowała, żeby się u niej schowała. Miała jakiś pokój, do którego trudno było dotrzeć, i z radością oddawała go do dyspozycji pannie Stelli, która była wyjątkowo miłą, dobrą i uczynną osobą. Ale panna Stella się nie zgodziła. Bała się, powiedziała, że będzie umierała ze strachu, że przynajmniej w getcie będzie się czuła bezpieczniej. Biedactwo, oczywiście zginęła razem z ojcem. No ale to wydarzyło się później, a tymczasem ja miotana byłam niepokojem, co mam właściwie robić dalej. Wiele osób przeprowadziło się przez Bug, na stronę rosyjską. I ja zastanawiałam się, czy zostać u siebie w domu, czy jechać. Jednak podróż wydawała mi się zbyt trudna. Jechać w nieznaną z dwójkiem dzieci, z dwiema staruszkami (Maminkiem i Marynią) to naprawdę było zbyt ciężkie. Żeby się jednak upewnić w swoim postanowieniu, napisałam list do Ireny Baruch. Irena Baruch była w owym czasie ambasadorką Wilej, zrobiła wielką karierę na terenie Ameryki, znała osobiście Roosevelta, przy tym zaś była wielką miłością Antoniego Słonimskiego, odbiła go niejako Niucie Morskiej, która bardzo nad tym bolała. Była to piękna dziewczyna, wysoka, wysmukła, dosyć semicka. Była też ogromnie wyrachowana. Dowiedziałam się skądinąd, że utrzymała się w dziewictwie bardzo długo, bo do lat trzydziestu przeszło, zabawiała się zresztą z różnymi panami w JaK najbardziej zaawansowany sposób. Strzegła jednak tego swego skarbu, chcąc go korzystnie sprzedać, i to jej się udało. Zakochał się w niej sekretarz ambasady amerykańskiej, właśnie ów Wilej, poślubił i potem zaczęło się wielkie życie i wielka kariera. Ponieważ

znałam

354
,-uch, napisałam do niej (jeszcze wtedy można było pisać za granicę) zapytaniem, czy choroba cioci zapowiada się na miesiące czy na lata, że • stem bardzo niespokojna. Zrozumiała moją aluzję i odpowiedziała mi, że ciocia będzie chorowała najwyżej parę miesięcy i że bym była zupełnie spokojna. Zaczęła mi zresztą od tego czasu przysyłać różne paczki, za co dotąd jestem jej bardzo wdzięczna. Jednakże zmyliła mnie niesłuchanie, byłarta pewna, że kto jak kto, ale ona wie, kiedy wojna może się skończyć. Wobec tego, kiedy przyjechała z Buga Władzia, siostra Maryni, żeby mnie zabrać razem z dziećmi, odpowiedziałam: „Nie, wolę zostać na miejscu, wolę zostać u siebie w domu”, zwłaszcza że pierwszy okres wojny spędziłam w Podkowie zupełnie spokojnie, nikt mnie nie napastował, nie niepokoił. Może dzięki Samowiczowi, może dzięki temu, że rządca domu, w którym mieszkał Maminek, pomylił się wypisując jej metrykę i napisał, że jest z domu Barbanek, zamiast żydowskiego Barbanel. Barbanek brzmiało może nawet po polsku, w każdym razie tak to przyjęto w gminie. Jak powiadam, nie ruszono mnie.

Władzia przyjechała na początku zimy. Była to straszna zima 39/40 roku. Mrozy zaczęły się bardzo wcześnie i termometr spadał do 36 stopni poniżej zera. Pamiętam, jak w taką mroźną noc, kiedy naprawdę trudno było oddychać, wybrałyśmy się z Marynią do chłopca, który mieszkał parę kilometrów od Podkowy, po mąkę. Zdawało się, że powietrze zastyga, że oddycha się czymś twardym, płuca bolały od tego. W taką zimę jechać z dziećmi, saniami, przeprowadzać się przez zamrożoną rzekę, narażać się na strzały, na niebezpieczeństwa, to

wydawało mi się przedsięwzięciem ponad siły. Wiadome ręce pisały na śniegu wielkimi literami: „Aby do wiosny, aby do wiosny”. Myśleliśmy, że ta przereklamowana rzekomo potęga niemiecka się łamie. Zima była ciężka, opału mało, codziennie razem z Piotrusiem albo z Marynią kalaliśmy jedną sosnę (na szczęście, tych sosen miałam dużo), piłowało się ją, żeby palić w kominku, przy którym grzała się cała rodzina. Tak więc tę strogą zimę przeżyłam dość spokojnie, w złudzeniu, że to się niedługo skończy. Parę faktów z tego okresu utkwiło mi w pamięci.

Jeszcze jesienią, po upadku Warszawy, jeden z moich sąsiadów, Posiadający willę w pobliżu, wyszedł nagle ze swego mieszkania w mundurze oficera niemieckiego. Zawsze go uważałam za Polaka i zdumiałam się na jego widok. Szedł spokojnie, wsiał do kolejki,

355

pojechał do Warszawy. W parę dni potem przyszedł do Piotra szkolny kolega z tej samej klasy, niejaki Hoffman. Ojciec

Jego

był wiceprezesem PKO i rodzina była polska, nie przyszło mi do głowy, że to może być inaczej. Mały Hoffman wywołał moją ulicę, gdzie okazało się, że jest w mundurze Hitlerjugend Powiatowy „a Piotrusia: „Słuchaj, to już dla ciebie koniec, nie masz żadnych szans, żeby się uratować, zginiesz i ty, i twoja rodzina. Niemcy zwyciężą! Jesteśmy Niemcami i nam się będzie powodziło dobrze a ty... Y skończony”. Piotrus wrócił do mnie wstrząśnięty, przyznam że te słowa i groźby. A zwłaszcza sam ten fakt Tak w JH? V kolumna na terenie Podkowy Leśnej. Przypuszczam, że było tu w zamaskowanych Niemców, którzy się podawali za Polaków i których nikt za innych nie uważał. Drugim ważnym przeżyciem były listy k, V przywoziła Władzia, siostra Maryni, mieszkająca koło Małkini Z Bugiem, a przeprawiająca się kilkakrotnie na naszą stronę Listy od Boya i od Władka Kamińskiego, których spotkała we Lwowie Jeździła bowiem po tamtej stronie Bugu w różne strony, czy to handlując czy w innym celu, już nie pamiętam. I Boy, i Dzieciuch namawiali mnie bym przyjechała, ale jednocześnie w tych listach czułam jakiegoś niezrozumiałego dla mnie niedomówienia, jakiegoś zastrzeżenia. Jeszcze wówczas nie było wywózek, ale już się być może na nie zanosilo. Nie przyszło mi do głowy, że Rosjanie mogą wywozić polską ludność ale czułam, że nie dam sobie rady w ustroju sowieckim, że nie zdobędę się na sztuczny entuzjazm — i to powodowało także, że nie zdecydowałam się wyjechać. W jakimś sensie wolałam zginąć z rąk Niemców niż uroczyście maszerować z entuzjazmem po tamtej stronie. To jest może dziwne, ale tak było. Gdybym wiedziała, że wojna potrwa tyle lat, może bym była innego zdania. Po pewnym czasie od Boya zaczęły nadchodzić listy pocztą. Natomiast Dzieciuch pisał tylko przez Władzię. Ale było zastanawiające, że Boy pisał jako kobieta i podpisywał się Stefcia (Stefcia to była pokojówka Boyów, która też się znalazła we Lwowie, już me wiem, jakim sposobem). I prosił, żeby adresować listy do Stefanii w mieszkaniu profesora Greka. To dziwne kamuflowanie się wydawało mi się bardzo niepokojące, czułam, że dzieje się tam niedobrze W tych listach, które się też niestety me zachowały, Boy namawiał mnie do przyjazdu, ostrzegając jednocześnie przed czymś, czego nie rozumiałam. Dopiero dużo później miało to do mnie dotrzeć, w każdym razie odpowiedziałam, że nie zamierzam się przez Bug przeprawiać.

356

u/ Owym czasie spotkałam też Niutę Morską, bardzo rozżaloną na niego, że wyjechał nie zatelefonowawszy. Tak ludzie wtedy dziwnie jeździli. Tak wyjechał Boy, tak wyjechał Antoni. Powiedziała: „Na łość boską, żeby mi tylko powiedział, żeby się ruszyć, żeby wyjechać, • si? wyjeżdża — nic nie powiedział, wyjechał beze mnie, ale ja się rzeprawię na drugą stronę”. No i pojechała, jak później się dowiedziałam z doktorem Rubinrautem i tam

już spotkała swego męża, docenta ICnastra. Przeprowadziła się też na drugą stronę Magda Arska, moja kuzynka, i tam się spotkała z mężem, mieliśmy też wiadomość od Nyka z Wilna (przez pewien czas była komunikacja między stroną niemiecką j rosyjską), ale nie pamiętam już, co Nyk pisał.

Poza tym właściwie żyłam spokojnie jak na jakiejś wyspie, a cała j okupacja niemiecka była jakby poza mną. Piotruś biegał do znajomych, i którzy miewali tajne gazetki, czytał je. Pamiętam pewien wieczór | u Niemyskich, jak referował wszystko — mały chłopczyk, niespełna dwunastoletni, recytujący zawartość gazety, z wymienianiem wszystkich miejsc w Europie i na świecie, gdzie już cokolwiek się działo. Mieliśmy jeszcze wtedy ciągle nadzieję, przecież Francja i Anglia przystąpiły do wojny, więc wojna nie może być przegrana. Nie przyszło nam do głowy, że Francja może się poddać i że Anglia jest tak zupełnie nieprzygotowana. No i właśnie na wiosnę przyszła ta straszliwa, druzgocząca wiadomość, jeszcze bardziej druzgocząca niż wejście Rosjan do wschodniej Polski. Upadek Francji. Zrozumiałam wtedy, że wojna się tak od razu nie skończy, że trzeba się uzbroić w cierpliwość, która graniczyła z męstwem.

Jeździłam do Warszawy, z początku częściej, potem coraz rzadziej. Jeździłam głównie po to, żeby odwiedzić teścia, który podczas oblężenia miasta został ranny, niespecjalnie ciężko, ale jednak leżał jakiś czas w szpitalu. * Potem wrócił do domu, gdzie odkrył, że jego służąca, obrzydliwa, antypatyczna Olesia, okradła go z kretelem. Teraz rozgościła się tam inna gospodyni, pani Pielgrzymowska, jak się okazało, reichsdeutschka, która wywiesiła na domu teścia flagę ze swastyką. Była t° jedna z pierwszych chorągwi ze swastyką w Warszawie i właśnie na domu Ludwika Krzywickiego. Oczywiście, kiedy wrócił ze szpitala, pani Pielgrzymowska gotowała, sprzątała i właściwie rządziła u niego. Bałam SI? odwiedzać teścia wobec bliskich kontaktów z Gestapo jego gos-Podiny. W rezultacie jednak Pielgrzymowska nie zrobiła mi nic złego. Całą jej historię, to, co się potem stało, kiedy już teść umarł, ową 357

niebywałą, skomponowaną przez życie historię opisałam w nowel' więc nie będę jej tutaj powtarzała. C(l-

Na wiosnę teść zaczął przyjeżdżać do Podkowy, dosyć czest odwiedzał i były to odwiedziny bardzo przyjemne. Nawiązała się wtlf między nami jakaś bliskość:, której nie było poprzednio. Był w znako " tej formie, choć miał już przeszło osiemdziesiąt lat. Nie tylko «olv zdawał sprawę ze wszystkiego, ale mówił ogromnie ciekawie, o tym się dzieje, i w ogóle na wszystkie tematy.

Tak więc nadeszła wiosna, potem lato, właściwie spokojne, Byłan zajęta cały czas pracą w ogrodzie, nie miałam już pieniędzy na to żehv najać robotnika, tak że sama (co zresztą dobrze mi robiło na nerwy) kopałam, siałam, sadziłam. Ogród nigdy nie wyglądał tak świetnie i nigdy jeszcze nie dał tak wspaniałego plonu. W tym mniej więcej czasie nastąpił zupełnie groteskowy epizod z moim portretem. W czasie okupacji bywały momentystraszne, właściwie niemożliwe do przeżycia, ale bywały też momenty miłe, nawet szczęśliwe, czy właśnie po prostu groteskowe.

Oto pewnego dnia pod mój dom w Podkowie zajechała limuzyna. wysiadło czterech Niemców (a jak powiedziałam w Podkowie w ogóle Niemców nie było widać) i weszli w moją furtkę. Wszyscy sąsiedzi patrzyli w napięciu, co będąe dalej, pewni, że mnie wyprowadzą z domu. mnie i dzieci, czy może zastrzelą nas w ogóle na miejscu. Tymczasem Niemcy powiedzieli mi uprzejmie, iż dowiedzieli się, że mam dużo obrazów, a że muszą udelorować dom dla landrata (zarekwirowaną willę), więc potrzebne im moje płótna. Miałam parę Rafałów Malczewskich, miałam trochę Stryjeriskiej, trochę innych polskich malarzy, ale nic im się nie podobało. Obeszli całe mieszkanie, zaglądając wL wszystkie kąty, i wreszcie poszli na strych. Otóż na strychu znajdował si? zwinięty w rulon mój porret malowany przez Marka Żuławskiego. Marek Żuławski nie należy do najgorszych malarzy, ale tym razem wyprodukował straszliwy

kc. Siedzę na tym portrecie mocno wydekotowana, z idiotycznie głupią twarzą i tępym spojrzeniem. Nie znośli*1' tego obrazu i cisnęłam go, jak powiadam, na strych. Tam go znaleźli Niemcy, rozwinęli rulon i spojrzeli zachwyceni. „Piękny, piękna ko ta, piękny dekolt”. Powiedzieli mi dosyć ostro: „Zabieramy portret”. Byłam raczej zadowolona, że pozbawiają mnie tego pasku twa. Śmialiśmy się nawet, że ze wszystkich cennych rzeczy wy właśnie najgorszy obraz. Upłynął pewien czas i znowu limuzy

358

•»-hała przed mój dom, znowu wyskoczyli z niej Niemcy i oświadczyli, landrat żąda sprowadzenia oryginału tego portretu. No, tu się mocno ze pjjam. Wyglądałam już zupełnie inaczej —nosiłam okulary, miałam S tk? na głowie, byłam bosa, w jakiejś lichej sukni do robót rodzie. Powiedziałam dosyć nieśmiało, że ten oryginał to właśnie ja. ^Q9" — roześmiali się. I odjechali.

" Byłam szczęśliwa, że im się nie spodobałam, portret mój jednak landrat zawiesił nad swoim biurkiem. I tak oto wisiałam w czasie okupuj' nad biurkiem niemieckiego landrata w Grodzisku.

Pewnego dnia do landrata został wezwany Iwaszkiewicz i opowiadał mi potem, że mało nie zemdłał, zobaczysz mój wizerunek nad jego biurkiem. Już znacznie później przywieźli mi ten portret z powrotem, mówiąc, że Niemcy są kulturalnym narodem i że oddają wypożyczone rzeczy. Jestem więc chyba jedyną osobą w Polsce, której Niemcy oddali zagrabione mienie. Rzuciłam ten portret znowu na strych. Ale dalsze jego dzieje są równie niezwykle. Otóż po pewnym czasie, kiedy Niemcy wyrzucili mnie z Podkowy, przeniosłam się w inne okolice Warszawy, na przedmieścia, i wtedy Marynia wyznała mi pewnego dnia, że uratowała mój portret. Powiedziałam: „Maryniu, po co, na miłość boską, po co? Tyle innych rzeczy mogło mi być potrzebnych!” Ale Marynia właśnie uratowała ten portret. No i cóż, w tym domku, gdzie mieszkałam (mały domek na granicy Mokotowa i Czerniakowa), też cisnęłam ten obraz gdzieś na strych. Nie powiesiłam go, nie znośliam go po prostu. Potem wybuchło' powstanie, Warszawa się paliła, nas wygoniono, i już po wojnie, kiedy wróciłam do miasta, jeden z moich mokotowskich sąsiadów powitał mnie radośnie mówiąc: „Proszę pani, udało mi się uratować pani portret”. I oddał mi po raz kolejny ten obraz. Nie miałam "Mej rady, musiałam go wziąć, zawieźć z powrotem do Podkowy. Potem 1 Podkowy przeniosłam się do Warszawy i znowu Marynia mi ten Portret przywiozła, z uwagą: „Niech go pani trzyma w Warszawie, Jeszcze go ktoś ukradnie”. Odparłam: „Maryniu, na miłość boską, ten Portret jest niedobry, ja go nie lubię, ja go nie chcę”. I znowu o nim ^pomniałam. Po wielu latach, już tutaj, we Francji, pewnego dnia Przychodzi z Warszawy paczka, rulo-n. Sąsiadka, która się zajmowała ^oirni sprawami, znalazła na strychu i przysłała mi. No i jest teraz ze llr|ćj. Los wyraźnie na to nalegał, więc wisi spokojnie nad schodami, Powieszony przez moje dzieci dla śmiechu, i muszę od czasu do czasu na" patrzeć.

359

Spokój, w jakim żyłam, nie mógł trwać długo. Losy wojny sje zmieniały, pewnego dnia, w południe, w maju 1940 roku zajechała limuzyna z Niemcami, już tym razem nie po to, żeby szukać obrazów Wysiadło trzech czy czterech mundurowych i powiedzieli mi wprost, że dom jest potrzebny i muszę go opuścić, żebym zabrała tylko najpotrzebniejsze rzeczy i żebym się przeniosła do getta. Odpowiedziałam, że mój mąż przecież był Polakiem, na co usłyszałam jakieś głupie antysemityczne dowcipy. Dali mi jednak trzy dni czasu na wyprowadzkę, co było niebywale, nie wiem, czemu miałam przypisać tę uprzejmość. Jeden z Niemców podszedł do mnie i powiedział mi cicho: „Widzę, że pani ma tu bardzo dużo książek, może je pani wszystkie zabrać”. I odjechali. Ale ja, wiedząc już, czego się można spodziewać po Niemcach, nie czekałam długo, natychmiast pobiegłam do moich sąsiadów Petrażyckich. Mieli dużą, zarośniętą posiadłość na olbrzymim, ukrytym jakby w zieleni terenie. Zapytałam,

czy mogłabym na krótki czas się do nich sprowadzić, zanim znajdę sobie odpowiednie mieszkanie. Zgodzili się. Wobec tego zaczęłam czym prędzej przenosić rzeczy. Do pomocy zgłosili się różni sąsiedzi. Przyjechali właśnie Niemyscy, doktor Jonszer, Samowicz i, naturalnie, Albin. Iwaszkiewicz przysłał dwie furmanki po książki i tak przez prawie całą noc znosiliśmy rzeczy do różnych sąsiadów. Miałam trochę antyków, całą dobrze urządzonej jadalnię ulokowałam u Samowiczów, wszystkie te ciężkie często meble przeniesione zostały przez przyjaciół na plecach, a nad ranem, o świcie, ja z Maminkiem, z dziećmi, z Marynią znikliśmy. Schowaliśmy się u Petrażyckiej.

Dobrze zrobiłam, bo dość wczesnym rankiem następnego dnia zajęła buda, żeby nas zabrać. No, wtedy by mi było już znacznie trudniej się uwolnić. Znaleźli dom pusty, ogołocony także z większości mebli. Niewiele się im dostało. W jakieś dwa dni później jedna z siostr Albina dała mi znać, że mnie u Petrażyckich widziano. Nie miałam innego wyjścia, musiałam pojechać do Warszawy. Zostawiłam Maniinka z Marynią i Jędrusiem u Petrażyckiej, Piotruś przeniósł się do Niemyskich, a ja do Warszawy, do Grotowskich, do kochanego, mojego profesora.

Zaczęłam szukać mieszkania, właściwie zupełnie bezradna. Pewnego dnia poczułam, że pani Grotowska nie jest zachwycona moim pomysłem. Niemcy wyznaczili karę śmierci za przechowywanie

]

-tS-

360

do

więc nie bardzo mogłam się zdecydować, żebym u niej znalazła schronienie. W tym czasie Antos Kaczorowski przywiózł go na rowerze wioząc wiadomość, że Niemcy przelali się, że Niemcy u Wandę Telakowskiej u Piotrusia, i Antos u Przechwał do nas, me mogąc znieść rozłąki, tak że oboje znaleźliśmy się Niemców z domu, że i najpewniej „a śmierć.

r »

dziadka. Po pewnym czasie

Pewnego dnia wyszłam do domu

który właśnie przyjechał

nad

Że «arają się o fałszywe

cenne» Znaleźli

adres na zawah*} a S1? Pórosumi się z zięciem,

Michał Krowowski i po przyjaźniliśmy. Prze-

że

zastanawiać" p u Krzywjkiej? Nie ma się Młowska wrócić i Powiedziała,

że

-

''' Z widokiem na klasztor

361

prowadzącej do Wilanowa, drogi królewskiej, którą chodziłam z Piotrusiem. Dobrze mi się żyło w tym domku pani Michałowej i gdyby nie straszne nieszczęście, najgorsze, jakie mnie mogło spotkać mogłabym powiedzieć, że znalazłam schronienie przed losem. Przechwał tu chwile niesłychanego szczęścia, kto by mógł pomyśleć, w er okupacji! Źródłem tego

szczęścia był Piotruś. Wiedząc, że dziecko ^ będzie nudziło w tym odosobnieniu, kupiłam mu blok brystolu, farb i kilka pędzelków. Ku memu zdumieniu usiadł i od razu namalował pejzaż, znakomity pejzaż o niezwyklej żywości barw i tak pewną ręką jakby całe życie nic innego nie robił. Było to tym dziwniejsze, że Piotruś właściwie nie miał żadnego obycia z malarstwem, bo jakoś nie sądziłam żeby mu to miało być potrzebne. Czytał bardzo dużo, był inteligentny ale już we wczesnym dzieciństwie postanowił się zająć biologią, myślałam, że to będzie jego droga. W domu nie miałam zbyt wiele reprodukcji, nie prowadziłam go do muzeum, zresztą był zupełnie mały, kiedy wojna wybuchła, miał jedenaście lat. A okazało się, że to był urodzony malarz, że tak jak mały Mozart siadł przy fortepianie i zaczął grać, tak Piotruś wzięwszy pędzel do ręki od razu zaczął malować, i to nie jak dziecko, ale jak dorosły człowiek. Coraz lepiej, coraz znakomiciej. Chodziłam z nim na długie spacerunki, na dalekie łąki, do Wilanowa, na Czerniaków, do Jeziora Czerniakowskiego i nawet nad Wisłę. Chodząc rozmawialiśmy o wszystkim, o przeczytanych książkach (lubił Con-rada), o tym, co się dzieje. Od czasu do czasu Piotruś siadał, wyjmował swój blok i zaczynał malować. Ja wtedy milczałam, patrzyłam. I jego oczami zaczynałam widzieć świat. Ja nie mam żadnych zdolności plastycznych, Jerzy też nie, nie wiem, skąd się to wzięło u Piotrusia, ale nagle to dziecko otworzyło mi wrota do innego świata, zobaczyłam barwy, światła, kształty, których nie widziałam dotąd, których mi mój ubogi wzrok nie pozwolił dojrzeć. To były chwile intensywnego szczęścia, dumy i radości.

Pewnego dnia w parku wilanowskim, gdy Piotruś malował nad wodą, podeszli do niego Niemcy. Cofnęłam się przerażona, a oni spojrzeli mu przez ramię i zobaczywszy obraz, który malował, zupełnie osłupie'li-Zaczęli go gładzić po głowie, klepać po ramieniu, krzyczeć z zachwytem-Biedny Piotruś cały się kurczył pod tymi karesami, ja też z wściekłości patrzyłam na tę scenę, no ale nic nie mogłam zrobić. W końcu jeden z nich wyjął tabliczkę czekolady, wetknął Piotrusiowi do ręki i odeszli-ciągle o nim rozmawiając.

362

Sprowadziłam do domku z Podkowy Leśnej Maminka, Jędrusia Maryli'6- Mebli prawie nie mieliśmy, jakieś tam łóżka, jakiś stół, jakieś 1 ty się kupiło, już nie pamiętam, gdzie i jak. W ogródku można było Bacować, szło lato. Skopałyśmy ziemię, posiałyśmy to i owo. To było upełm6 niebywałe szczęście, tym bardziej, że nie musiałam się specjalnie ukrywać.

Powiedziałam sąsiadom, że przyjechałam zza Buga, skąd uciekłam przed Rosjanami, wymyśliłam całą taką historyjkę. Dla spokoju Michałowskiej, no i dla naszego, wynajęliśmy ten dom na nazwisko Maryni, ona była główną lokatorką, ona też załatwiała wszelkie formalności. To, że Marynia ze mną została, wydawało się tak jasne i proste, nie ulegające żadnej wątpliwości, że właściwie nigdyśmy o tym nie mówiły, no a przecież ona narażała życie. Tak samo zresztą przyjaciele teścia, o których wspominałam. Oni zresztą radzili mi, żebyśmy się rozdzielili. Ich zdaniem powinnam osobno umieścić matkę, osobno dzieci, no i sama zostać tu. Nie zgodziłam się. Trudno, co będzie, to będzie, jeżeli mamy zginąć, to zginiemy razem. Jak się okazało, słusznie nie usłuchałam ich rady. Inna rzecz, że los się wtrącił, ale to już osobna sprawa.

Babunia, teraz tak już nazywałam Maminka, trochę kursowała po mieście. Nikt nigdy nie brał jej za Żydówkę. Abonowała książki na ulicy Puławskiej, załatwiała rozmaite sprawunki, ale najczęściej wychodziła na miasto Marynia, no i Piotruś, który był poza wszelkimi podejrzeniami. Miał przy tym autentyczne papiery, które uzyskałam dzięki Wandzie Telakowskiej. Metryka zmarłego dziecka niezupełnie odpowiadała mojemu synowi, w rzeczywistości był starszy, ale miał dokument. Figurowało tam nazwisko Wąsowicz. Wymyśliłyśmy, że Piotruś nie jest moim synem, ale wychowankiem, a Babunia, która dalej nosiła swoje Panieńskie nazwisko Barbanek, przerobione niechcący przez administratora domu, miała być starą panną, babką czy moją ciotką. Dzieciom trudno to było prawidłowo zapamiętać.

Ta metryka Piotrusia miała być dla niego źródłem trudnych przeżyć. Chodziło o to, żeby miał jakąś kartę, jakiś dowód, że chodzi do szkoły. Opisałam go jako jedenastolatka, a miał lat trzynaście i był nad wiek ^zwinięty. Okropnie mu było ciężko udawać, że umie i rozumie mniej n'ż to było naprawdę. Musiał umyślnie mylić się w dyktandach, źle °dpowiadać na pytania, nie rozwiązywać zadań. Tak go to strasznie Psychiczenie zmęczyło, że po paru tygodniach on, spokojny, zawsze Uśmiechnięty i bardzo odważny, powiedział, że nie może tego wy-

363

trzymać, że muszę coś zrobić, żeby go z tej szkoły odebrać. Poszła dyrektorka i nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, spytałam, czy nie hen ° miała za złe, jeśli Piotruś nie będzie przychodził na lekcje albo ba H ^ rzadko. Zgodziła się i pozwoliła Piotrusiowi zatrzymać legitymację T° był bardzo piękny gest z jej strony, nie tylko dlatego, że nas to urządzał ale dlatego, że przecież zawsze się mogła stać przedmiotem jakieg ' donosu ucznia czy któregoś z rodziców, że jest tu zapisany uczeń, kto w ogóle do szkoły nie chodzi, tak że dużo ryzykowała. Nie pamiętam jak się nazywała, ale nie przestałam być jej za to wdzięczna. No, ale trzeba było, żeby się Piotruś jakoś uczył, i tu przyszedł mi z pomocą przypadek. W sklepiku, do którego jednak czasem chodziłam na Puławskiej, zobaczyłam ogłoszenie: doktor Słonimski przyjmuje w te i te dni, o tej i o tej godzinie. Zbaraniałam zupełnie, był to najwyraźniej brat Antoniego, biolog, nawet nie wiedziałam, że jest doktorem medycyny i że ma prawo praktyki. Znałam go mało, ale znałam. Zdziwiło mnie, że się nie ukrywa ze swoim nazwiskiem, choć było tak popularne w Warszawie. Zatelefonowałam do niego, bo akurat Jędrus miał grypę. Piotr Słonimski przyszedł i okazało się, że to był jednak on. Gadaliśmy dość długo, powiedział, że mieszka niedaleko i że ma dwudziestoletniego syna Piotra, który studiuje na tajnym uniwersytecie biologię i który chętnie za niewielką opłatą (nie zgodziłabym się bez opłaty) będzie udzielał Piotrusiowi lekcji.

Te lekcje stały się dla niego ogromną radością. Piotr, młody chłopak, bardzo przystojny w owym czasie, szczupły, wysportowany, ze złotymi włosami, z tym czarem, który go dotąd nie opuścił, galopował poprzez program szkolny z Piotrusiem bardzo szybko, natomiast nad biologią zatrzymywali się dłużej. Przygotował go do egzaminu u Reja. Poszłam z Piotrusiem na zakończenie roku szkolnego do paru nauczycieli szkoły Reja, zapamiętałam zwłaszcza jednego — matematyka, Jakobiego. Jakobi zrobił Piotrusiowi egzamin z dwóch lat, i to bardzo piękny egzamin. Nigdy nie rozumiałam matematyki, ale to nie było zwykłe rozwiązywanie zadań czy równań, tylko dyskusja matematyczna. Piotruś nie był do tego rodzaju traktowania przedmiotu przyzwyczajony, ale dawał sobie radę doskonale i w rezultacie pan Jakobi zerwał się, złapał Piotrusia za czuprynę i potrząsając wołał: „Psiakrew, co za łeb, co za łeb!” No, oczywiście zdał na piątki. I w ten sposób Piotruś, nic nie tracąc, pod kierunkiem Piotra przechodził w jakimś zawrotnym tempie kurs szkolny. To mu nie przeszkadzało zresztą malować, no

364

•icerować ze mną po polach. To były naprawdę szczęśliwe chwile, ' Hczas których mogliśmy zapomnieć o okupacji i innych okropnościach-Piotruś zresztą znalazł sobie innego przyjaciela, poza Piotrem. Był ini mieszkający niedaleko Romek Husarski. Jego matka zarabiała robiąc zastrzyki i masaże, w ten sposób, zdaje się, trafiła do nas. Była to osoba wścibska, która cały czas dawała mi do zrozumienia, że wie, że moje nazwisko (Piotrowska) nie jest prawdziwe. Rozumiałam jej aluzje, trochę się bałam, no, ale po pewnym czasie przekonałam się, że boję się niesłusznie. Otóż ten Romek był chłopcem bardzo sympatycznym, bardzo delikatnym i wrażliwym, tyle że matka postanowiła zawczasu, że będzie wielkim poetą i wielkim malarzem. Romek pisał wiersze, zresztą niezłe jak na młodego chłopaka, i malował. Ale gdy szli z Piotrusiem w plener i wracali z tym, co namalowali, różnica była ogromna. Obrazki Piotrusia lśniły

wszystkimi barwami, światłem, niesłychanie oryginalnym ujęciem, podczas kiedy pejzaże Romka były mało wyraziste, tak że nawet matka Romka, rozkochana w synu, mówiła: „No tak, w porównaniu z Piotrusiem to wszystko blednie”.

To ciekawe, że przeżywając piękne chwile z synem, żyjąc na uboczu i w gruncie rzeczy nie będąc narażona na bezpośrednie niebezpieczeństwo, w każdej chwili, w każdej godzinie spodziewałam się śmierci. Dla siebie, dla nas wszystkich, tylko nie dla Piotrusia. Właściwie byłam zadowolona, że on ma inne nazwisko, że w razie czego można się będzie wykręcić. Zresztą twarz miał tak kompletnie aryjską, że miałam wrażenie, iż jego uda się zawsze obronić. Ja ciągle myślałam o śmierci. Rano się z tym budziłam i z tym zasypiałam. Nie miałam złudzeń. Gdyby mi ktoś powiedział, że przeżyję tę wojnę, tobym naprawdę nie uwierzyła.

Niewiele osób nas odwiedzało. Wanda Telakowska, która pomogła Mi wyrobić papiery dla Piotrusia, pan Marian Falski, czasem Edward Strzelecki, pani Michałowska, która nam wynajmowała dom. Parę razy byłam z wizytą u Boyowej, ale raczej nie wychodziłam na miasto. Tylko faza na Puławskiej przypadkiem spotkałam Nałkowską. Bardzo się ucie-S2yła, powiedziała: „Mieszkasz tak blisko, dlaczego nigdy nie przychodzisz do mnie? U mnie zbierają się bardzo mili ludzie, odbywają się bardzo ciekawe zebrania literackie. Proszę cię, przyjdź”. — „No, a kto 11 ciebie bywa?” — zapytałam. „Czy ja wiem, no, Breza, Zawieyski, 365

Łaszowski...” — „Łaszowski? — powiedziałam — ten, który ^ń. śmierci dla mnie, dla Boya, dla Słonimskiego przed wojną i za to wylec'3! z Pen-Clubu? I teraz miałabym się z nim spotkać, kiedy ma t-t ułatwione zadanie?” — „No, nie przesadzaj — odpowiedziała Nałkowska — on się bardzo zmienił, on ci na pewno żadnej krzywdy nie zrobi • za to odpowiadam”. Ale nie chciałam ryzykować i nie poszłam ani raz do Nałkowskiej, którą zresztą bardzo lubiałam.

Niedaleko od nas, w pobliżu placu Unii Lubelskiej mieszkała Maria Dąbrowska. Piotruś chodził tam co miesiąc, bo Stanisław Stempowski który dysponował jakimiś przysyłanymi z Londynu funduszami, dawał zapomogę przeznaczoną dla literatów. Zresztą i ja byłam raz u Dąbrowskiej i u Stempowskiego, kiedy przyjechali do Warszawy z tamtej strony Bugu (nie wiem, czy tam uciekli, czy się przypadkiem tam znaleźli). W każdym razie po pewnym czasie pobytu we Lwowie powrócili do Warszawy i zamieszkali w swoim dawnym mieszkaniu. Poszłam wtedy do nich, po pierwsze, żeby ich przywitać, a po drugie, żeby się dowiedzieć czegoś o Boyu. Dąbrowska zasypała mnie wówczas zupełnie lawiną obelg pod adresem Boya, częściowo skierowanych i do mnie. Mówiła, że Boy zhańbił dobre imię Polaka, że zachowuje się niegodnie, a ona wstydzi się, że mu kiedykolwiek podawała rękę. Nic nie umiałam na to odpowiedzieć, wyszłam zupełnie zdruzgotana, bo do wszystkich bied okupacji dołączyło się jeszcze to straszliwe świadectwo o człowieku, którego kochałam. *

Dąbrowska wiedziała dobrze, jakie stosunki nas łączyły, i nie tylko w niczym nie złagodziła swej wypowiedzi, ale przeciwnie, z jakąś złośliwą zawziętością sypała wyzwiskami.

Stempowski milczał. Szanowałam Dąbrowską jako pisarkę, zwłaszcza publicystkę, bardziej lubiałam jej artykuły niż beletrystykę, ale muszę powiedzieć, że była to osoba •niegodziwa.

Wtedy, to spotkanie... Widziała, że jestem na dnie nieszczęścia, że przychodzę dowiedzieć się o człowieka, którego kocham, czy musiała koniecznie potraktować mnie tą całą litanią wyzwisk, które zresztą okazały się potem w dużej mierze niesprawiedliwe?

Pewnego dnia zjawiła się u mnie niespodziewanie Wanda Melcer, co mnie dość przeraziło.

Nie wiedziałam, czy nie podała się za volks-deutschkę ze swoim nazwiskiem (niesłusznie ją zresztą o to oskarżałam)-Zachowywała się dość bezceremonialnie. Pamiętam, leżał na stole placek, który Marynia upiekła specjalnie dla dzieci. Wanda przyszła z psem, usiadła i zaczęła go karmić wielkimi kawałami. Marynia nie

*

Outa jej tego przebaczyć. Potem zresztą zaczęła przychodzić do mnie ?esto, co nie było mi specjalnie mile, bo nie przepadałam za nią. Kiedyś „prosiła mnie do siebie. Zobaczyłam w jej willi, położonej niedaleko, 0 drugiej stronie Puławskiej, całe masy różnego rodzaju sreber, porcelany, jakiejs biżuterii. Dziwne rzeczy były zgromadzone w jednym pokoju. Gdy zapytałam, co to znaczy, powiedziała, że płacą jej w ten sposób jej lokatorzy. Jak się potem dowiedziałam, to byli Żydzi.

\V tym czasie zaczęły do mnie przychodzić jej dzieci, bardzo nieznośne, żebym dawała im lekcje angielskiego (miałam płyty angielskie, z których uczył się Piotruś). To też było nieprzyjemne, bo łobuziaki potrafiły zaśmiecic całą werandę, narobić hałasu. Właściwie się ich bałam, czy mnie czasem nie sypną. Właśnie tacy, za przeproszeniem, gówniarze, bywali często bardzo niebezpieczni. Niesłusznie ich podejrzewałam, nie zrobili mi nic złego, tyle że te wizyty były dla mnie za każdym razem dużą przykrością.

Przyjeżdżał też do nas od czasu do czasu Antoś Kaczorowski, zawsze mile widziany, zawsze oczekiwany, kochany i oddany. Przywoził mi to butelkę oleju, to jakieś jajka... Nigdy mu tego nie zapomnę.

Przychodził też jeden jedyny spośród kolegów szkolnych Piotrusia, miły i śliczny Michał Jeżewski, przychodził mój kuzyn Julek Carewicz, wybitnie inteligentny, z którym miałam bliski kontakt intelektualny. Słowem, nie byliśmy tak całkowicie osamotnieni, było trochę ludzi, więcej nie chciałam i nie szukałam.

Jednakże w zasadzie kryłam się z moim adresem, bałam się, że ludzie zaczną gadać, opowiadać jedni drugim, że to może dojść do jakichś niepowołanych uszu. Ze zdziwieniem się dowiedziałam, już po wojnie, że na przykład Kazimierz Brandys czy Adolf Rudnicki kursowali sobie PO mieście jawnie, bez żadnych problemów.

Z wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej skończyły się przyjazdy Władzi zza Buga, skończyły się listy Boya, Włodka Kamińskiego. Nie miałam właściwie wątpliwości co do losu Jerzego, usiłowałam się łudzić, Myślałam, że może udało mu się uciec, gdzieś ukryć. Ale wkrótce po trzymaniu od niego listu ze Starobielska nie miałam dobrych przeczuć. *

Tak więc straciłam najbliższych mi mężczyzn, bez wielkich nadziei na
367

zobaczenie ich kiedykolwiek, ale póki żył Piotruś, byłam jeszcze zdol doznawać uczucia szczęścia. a

Nie ma wątpliwości, że w owym czasie robiłam pewną różn' uczuciową między nim a Jędrusiem. Cóż, Jędrus był dzieckiem, Pi0tr był od niego o dziesięć lat starszy, był nad wiek rozwinięty, tak że to jn' był właściwie gotowy człowiek. Dopiero później miałam się przekona' że i Jędrus żył zupełnie świadomie, że zdawał sobie sprawę ze wszyst kiego. Ważne było w owym czasie, kiedyśmy się przeprowadzili na Bzową i zmieniliśmy papiery, żeby Jędrus przypadkiem nie powiedział nazwiska Krzywicki, nie wspomniał czegoś o Podkowie i wobec tego w ogóle się o Podkowie nie mówiło, a nazwisko Krzywicki zostało wymazane z naszego słownika. Ale, kiedy wojna się skończyła i powiedziałam Jędrusiowi, że nie nazywa się Piotrowski, tylko Krzywicki, odpowiedział mi: „Przecież ja wiem. Wiem, że ty piszesz książki, wszystko wiem. Pamiętam Podkowę, pamiętam króliki u pana Antosia". A przecież miał trzy lata, kiedyśmy opuścili Podkowę! Zapytałam go: „Jak to, przecież... i nigdy się nie zdradziłeś, że wiesz, jaka jest nasza sytuacja?" Na to mi odpowiedział: „Nie, wiedziałem, że by ci to mogło sprawić przykrość". Tak dalece nie zna się ^własnych dzieci i tak dalece się nie docenia ich inteligencji i pełnej

świadomości.

Okres, o którym opowiadam, był z jednej strony okropny, bo ciągle dochodziły do nas wieści o czyimś zgonie, o łapanekach, o zsyłkach do obozów, o zamkniętym getcie, o tym wszystkim, co nam mogło grozić. Ale jednocześnie był to okres w pewnym sensie beztrzeski.

Hodowałyśmy na przykład z Marynią w piwnicy świnię, wprawdzie była za to kara śmierci, ale ponieważ za wszystko była kara śmierci, więc po co się było wyrzekać wieprzowiny?

Maciek, tak nazywaliśmy świniaka, siedział cały dzień w piwnicy, żeby ktoś nie usłyszał jego chrząkania, ale wieczorem wypuszczało się go. Wchodził wówczas do mieszkania i kładł się natychmiast na tapczanie. Zresztą przekonałam się wówczas, że świnię są zwierzętami bardzo czystymi. Maciek w swoim kąciku załatwiał własne potrzeby, a poza tym był czyściutki, różowutki

i w jakiś sposób przywiązaliśmy się do niego. Niestety moment, kiedy go trzeba było zabić. Marynia wyszła z domu, nie tego znieść.

z6

Włoję wojenne wspomnienia nie będą obszerne, bo w rezultacie dzień za dniem płynął monotonna. W strachu, ale też i w radości, w każdym razie, póki Piotruś był ze mną, w niepokoju o bliskich, w zgrozie, kiedy myślałam, co się stało z narodem niemieckim. Nie mogłam zrozumieć, jakim cudem naród tak kulturalny, tak oświecony, tak cywilizowany mógł popaść w taką otchłań zbrodni. Nie mogłam wszystkich Niemców nienawidzić, bo przecież pamiętałam Waltera, Tucholsky'ego, Ossie-tzky'ego, tych, których spotkałam w Paryżu i którzy mnie wówczas ostrzegali. Oni wiedzieli, do czego zdolny jest ich naród, już w 1925 roku. Znałam Niemców porządných, zacnych, myślących podobnie jak ja. Ale wiadomości, które przychodziły o ich zbrodniach, o bestialstwie, makabrze, obozach — kompletnie przerażały. I to właśnie mnie zastanawiało, jak jest możliwy taki regres cywilizacyjny.

Ratowałam się w owym czasie przed zbyt czarnymi myślami czytaniem książek kryminalnych. Babunia, która nie mogła żyć bez książek, znalazła bardzo szybko dobrze zaopatrzoną czytelnię na Puławskiej. Nie mogłam czytać dobrej literatury, zbyt mnie drażniła, denerwowała, wydawała mi się nieadekwatna w stosunku do tego, co się dzieje. Czytałam, robiłam na drutach, nie pisałam. Uważałam, że niedługo zginę, wobec tego wszystkie moje rękopisy przepadną. Wiedziałam tylko jedno: Piotruś się uratuje. Może jeszcze Marynia. My wszyscy zginiemy.

I znowu coś z dziedziny zjawisk metapsychicznych, o których opowiadam, bo jestem pewna, działa się niewątpliwie.

Otóż, pewnego wieczoru, w lipcu 1941 roku, nagle usłyszałam na tarasie męskie kroki. Sypiałam w pokoju, na piętrze, z dużym tarasem wychodzącym na łąki. Wyjrzałam — nikogo. Wróciłam do łóżka, znowu kroki. Zawołałam Marynię, która jeszcze nie spała, pobiegła ze ffitną na górę. Stałyśmy, słuchałyśmy — nic. Ledwo Marynia wyszła, wszystko powtórzyło się — ciężkie kroki na tarasie, tam i z powrotem. Znowu zawołałam Marynię. „Niech Marynia posłucha, ktoś chodzi, ja Przecież słyszę”. A na to Marynia: „To pan Boy na pewno”. I jakoś w tej chwili obie miałyśmy uczucie, że Boy umarł. Upłynęło parę miesięcy. Wczesną jesienią Piotruś przybiegł z lekcji z Piotrem bardzo wzburzony. Wbiegł do mnie na górę i powiedział: „Mamusiu, pani Boyowa iła do państwa Słonimskich i kazała ci powiedzieć, że pan Boy nie

368

- Wv

369

żyje'

Spodziewałam się tego, przeczuwałam, ale można sobie

lak t f Winrlnmi-ic^ i-,»-^x,«d.— /-v- _

— „r —0~, p.Ł^^-uwcucun, aie można sobie w brazić, jak tę wiadomość przyjął. Oczywiście nie pokazałam nic' sobie, zresztą Piotruś z właściwym sobie taktem i dojrzałością wymk się z pokoju i zostawił mnie samą. Nazajutrz pojechałam do Boyów ' Powiedziała mi, że Boya zamordowano niedawno, to mógł być wrzesień czy październik. Na to mnie się wyrwało: „Nie, nie, w lipcu!” — „Co te' pani mówi — powiedziała Boyowa — mam wiadomości, że właśnie jesienią”. I dopiero znacznie później, kiedy przyjechała Stefcia, pokojówka Boya, która pracowała u Greków i została wywleczona w nocy razem z nimi i z Boyem, okazało się, że rozstrzelali go w pierwszych dniach lipca, właśnie wtedy, kiedy słyszałam te kroki. *

Ach, ta moja wizyta u Boyowej! Ja, która się ukrywałam i starałam się w ogóle nie wychodzić na miasto, nie mogłam do niej nie pojechać, kiedy się dowiedziałam o tej śmierci. To było silniejsze ode mnie. Wsiadłam do tramwaju, pamiętam okropne spojrzenia ludzi oceniające mój nos, moje oczy: Żydówka czy nie Żydówka? Bardzo wyraźnie się to odbijało na twarzach, takie taksujące spojrzenia. Ale widocznie doszli do wniosku, że nie Żydówka, bo przestali się mną interesować. Spokojnie już dojechałam na Krakowskie Przedmieście. Boyowa powiedziała mi, że musiała mnie zawiadomić o śmierci Tadeusza. Usiadłyśmy, milczałyśmy. Miałam uczucie, że łzy mi płyną po twarzy, ale nie płakałam głośno. Boyowa też nie. Takie było moje z nią spotkanie i tak przypieczetowałam wiadomość o śmierci Boya. Nie mam zamiaru opowiadać o makabrze tych czasów, są to rzeczy dobrze znane, będę więc mówiła tylko o tym, co sama osobiście przeżyłam.

Był na przykład taki ciężki moment, kiedy Niemcy zaczęli wymieniać legitymacje, dotychczasowe paszporty, metryki, jednym słowem, wszystkie papiery, na kennkarty niemieckie. Trzeba było osobiście podpisać, nie było sposobu, żeby na przykład Marynia poszła zamiast mnie. Każda z nas musiała pójść sama. Maminek poszedł i wrócił, nigdy, ani razu nie brano jej za Żydówkę, tak że nawet nie niepokoiliśmy s'? specjalnie. Kiedy przyszła na mnie kolej, żeby odebrać kennkartę, baliśmy się ogromnie, nie tyle dlatego, że miałam specjalnie semicki typ, tylko że moja twarz była znana na skutek dość częstych fotografii w pismach. Poszłam ucharakteryzowana na prostą kobietę, właściwie tak, jak byłam ubrana w owym czasie, w jakiejś tam sukieneczce w chustce zawiązanej pod brodą, wyglądałam jak kobieta z ludu-

370

poszłam do tego biura, gdzie wydawano kennkarty, z duszą na mieniu, obawiając się, że nagle ktoś zawoła — to jest Irena Krzywicka. ujkłt jednakże nie zawołał, nic się nie stało, mimo że, jak zwykle ztargniona, weszłam najpierw do położonych naprzeciwko koszar SS, gdzie mi bardzo uprzejmie wskazano właściwy urząd. Dostałam kenn-kartę i wróciłam do domu niesłychanie uradowana, bo jednak zamiast fałszywych papierów, jakie miałam dotąd, dostałam papiery zupełnie legalne. To ułatwiało moją sytuację. A kiedy przyszłam do domu, zobaczyłam przede wszystkim Piotrusia, skulonego gdzieś w kącie, na łóżku, zdaje się, który rzucił mi się na szyję, płacząc rzewnymi łzami ze szczęścia, że mnie widzi. Okazało się, że strasznie się bał cały czas, że nie wrócę. Maminek oczywiście też, ale głównie została we wspomnieniu ta twarzyczka Piotrusia, ten jego skok z łóżka, te jego łzy.

Po wymianie dokumentów poculiśmy się nieco mocniej, wszyscy mieliśmy autentyczne papiery. Właściwie Niemcy w ten sposób wyświadczyli nam przysługę, tyle tylko, że było przy tym dużo strachu.

Teraz muszę wspomnieć o Jędrusiu. Jędrus był dzieckiem bardzo nieładnym, ale o dość osobliwej brzydocie, bo miał niesłychanie mądre oczy, bardzo dużą czaszkę, wysuniętą nad karkiem, zresztą pozostały jeszcze jego fotografie z tego i późniejszego okresu. Ten „tramwaj” — jakśmy go nazywali — zniknął dopiero znacznie później. Jędrus był niesłychanie rozwinięty, przy czym obcowanie z Piotrusiem rozwijało go jeszcze bardziej.

Piotruś pełnił wobec niego właściwie rolę i brata, i ojca. Jędrus uwielbiał go ponad wszystkich i wszystko. Rano szedł do niego do łóżka i toczyli tam jakieś długie rozmowy. Pamiętam pewien moment w zimie, kiedy Piotruś, zziębnięty, zmęczony, przydzwigał Jędrka na plecach, bo mały dostał bóle i Piotrusiowi przyszło od razu na myśl, że to może być ślepa kiszka. Sam przecież miał zapalenie ślepej кишки, był operowany, i to dwukrotnie. Na szczęście okazało się, że to była niestrawność, ale widzę jeszcze zadyszana, przerażona twarz Piotrusia, gdy przydzwigał brata. Kochał Jędrusia ogromnie, następną osobą zaraz po mnie był on, nierzadko nawet mówił: „Co byśmy zrobili, gdyby jego nie było”. Bo Jędrus był źródłem właściwie nieustannej zabawy. Był strasznie śmiesznym dzieckiem, bo z jednej strony bardzo mądrym, a z drugiej... na przykład przekręcał słowa. Zamiast „czekolada” — „tadada”, zamiast „wiewiórka” — „tudułka”, a jednocześnie rozwijając się u boku Piotrusia i starając się go we wszystkim naśladować, niesłychanie szybko nauczył się czytać, właściwie mając

371

pięć lat czytał płynnie. Znał się też na mapie. Razem z Piotrusiem śledził zmiany na froncie. Mapa wisiała na ścianie, wbijali w nią chorągiewki, -1 tak że dokładnie mogli pokazać linię frontu.

Pamiętam, jak Piotruś bawił się z Jędrusiem i z Michałem Jeżewskim w pchełki. Na środku pokoju stał duży stół, kładli na nim koc, pod kocem różne przedmioty, które imitowały góry, na kocu rysowali rzeki po czym robili wojnę dwóch klanów pchełkami, albo wyprawy w góry w jakieś nieznanne lądy. Bardzo pięknie się bawili, przy czym Jędrus brał w tym jak najżywszy udział. Rozwijał się też intensywniej w obcowaniu z tymi o dziesięć lat od siebie starszymi chłopcami.

Nigdy się nie zastanawiałam, co może wyrosnąć z Jędrka, tak bardzo byłam pewna jego śmierci. To jest przekonanie, którego dzisiaj najprawdopodobniej nikt nie zrozumie. Być pewną śmierci własnego dziecka i własnej. Ważne było tylko jedno, żeby Piotruś przeżył. Ale tego też byłam pewna. Głupio, idiotycznie pewna.

Piotruś zresztą miał życie dosyć interesujące i właściwie przyjemne. Zamiast jakiejś nudnej szkoły ciekawe lekcje z Piotrem Słonimskim. Przyjaciele, z którymi miło spędzał czas — w zimie na łyżwach, latem • pływając w gliniance czy Jeziorze Czerniakowskim. No i przede wszystkim miał tę swoją pasję, czyli malarstwo. Mógł wstać przed świtem, żeby pobiec malować w oświetleniu najwcześniejszego poranka, potrafił siedzieć na zimnie, żeby malować pejzaż czy jakieś drzewo. Malował godzinami. Najczęściej szedł ze mną, ale czasem wychodził sam. Na szczęście mieliśmy dookoła bardzo dużo pejzażu, bo on był pejzażystą, ale potrafił nawet nasz ogródek przy domu namalować tak frapująco, że profesor Kotarbiński był zdumiony. Czasem mu mówiłam, że jakoś brakuje człowieka w jego obrazach. A przecież ocalał taki mały obrazek, który przedstawia Jędrusia bawiącego się w śniegu, w ogrodzie. Przy czym są to cztery sylwetki, każda w innym oświetleniu, bo w miarę jak malował, oświetlenie się zmieniało. Ta sylwetka Jędrusia, na którą teraz zresztą patrzę, bo wisi u mnie na ścianie, jest dowodem zadziwiającej zupełnie intuicji malarskiej Piotrusia. Nie wiem, co by z niego wyrosło, nie wiem, przez jakie trudności by przeszedł, gdyby żył - Ale wtedy widziałam jego przyszłość w bardzo wspaniałych barwach. Niestety, olbrzymia większość jego obrazów przepadła. Przed powstaniem zgłosiła się do mnie delegacja plastyków, za sprawą profesora Kotarbińskiego, by ukryć jego dorobek i wydać po wojnie w formie albumu. Jednakże skrytka AK, gdzie obrazy złożono, została splądrowana.

372

O Piotrusiu właściwie mogłabym mówić bez końca, ale zbliżam się już do tego najokropniejszego, co mnie spotkało. Nie będę o tym mówiła obszernie, nie mogę, to przerasta moje siły. Powiem tylko, że to stało się w lutym 1943 roku. Poszłam po coś na łąki, do jakiegoś sklepiku i Piotruś koniecznie chciał iść ze mną, przy czym z uporem właściwym

dzieciom w tym wieku (miał już wtedy lat piętnaście), nie chciał włożyć jakiegoś ciepłego okrycia. Dzień był słoneczny, na pozór wiosenny, bardzo zdradliwy i rozgniewana uporem Piotrusia (w ogóle miałam tak mało okazji gniewania się na niego, tym razem się rozgniewałam) powiedziałam: „To w takim razie nie pójdziesz ze mną”. Poszłam sama, zatrzasnąwszy drzwi. Po pewnym czasie Piotruś mnie dogonił, ale nie włożył na siebie tego cieplejszego okrycia. Kiedyśmy już wracali, powiał lodowaty wiatr i zatrzęśliśmy się z zimna. Dlaczego nie zdjęłam wtedy palta, nie narzuciłam mu na ramiona — nie wiem i do dziś nie mogę sobie tego darować. Przyspieszyliśmy jedynie kroku i wróciliśmy do domu. Nazajutrz Piotruś obudził się z gorączką i z bólem ramienia. Wezwałam doktora Słonimskiego, który stwierdził, że to reumatyzm i przepisał jakieś smarowania. W dwa dni później Piotruś powiedział zupełnie spokojnym głosem: „Ja umrę z tej choroby”. Ogromnie się rozgniewałam. Powiedziałam: „Czyś oszalał? Kto umarł na ból w ramieniu?” A przecież upłynęło jeszcze trzy czy cztery dni i już go nie było.

Nie mogę, nie mogę o tym mówić. To było coś tak niespodziewanego. Miałam wcześniej różne przecucia, towarzyszyły mi zjawiska nie z tego świata. Tym razem, kiedy istotne niebezpieczeństwo, najgroźniejsze, było tuż, tuż, zupełnie nie miałam świadomości, że się zbliża, że Piotruś jest ciężko chory, a tym bardziej, że może mu grozić śmierć. Właściwie ta cała choroba, ten ból ramienia, który skończył się śmiercią, jest w jakimś sensie dotąd zagadkowa. Rozmawiałam z lekarzami, mówili mi niektórzy, że reumatyzm czasem tak gwałtownie atakuje serce. A może to nie był reumatyzm? Może po prostu, tak mi się chwilami zdaje, to wszystko było dla niego ponad siły? Po pierwsze gwałtownie wyrósł. Był jako dziecko małego wzrostu, nagle się wyciągnął, stał się wysoki, tak że organizm jego zrobił duży wysiłek. Poza tym twórczość, intensywna twórczość w tym wieku, musiała być jednak bardzo wyczerpująca, a nade wszystko wojna i związane z tym warunki, strach, który odczuwał w nie mniejszym stopniu niż ja, chociaż właściwie nie mówiliśmy na ten temat. Doktor Słonimski w jakimś sensie te moje

373

przypuszczenia potwierdził. Powiedział potem: „Ja nie wiem, co to był on się w ogóle nie bronił”. Rzeczywiście, to stało się tak szybko Cał- choroba trwała jakieś pięć czy sześć dni. Do ostatniej chwili n' wiedziałam, że on umiera...

Uciekłam jak zwierzę, na górę, do jedynego nie zamieszkałego przez nas pokoju, była zima, padłam na podłogę i tak zostałam dobrych kilka dni, dosłownie rycząc z bólu. Wiem, że przychodzili do mnie jacyś ludzie, mam wrażenie, że przyszła Boyowa. Ale ja byłam ogłuszona nieprzytomna, w stanie granicznym naprawdę z obłędem. Potem pamiętam siebie już leżącą w łóżku, w drugim pokoju, niezdolną się w ogóle poruszyć, i pamiętam, że wtedy przyjechał Iwaszkiewicz. Tego mu nie zapomnę, bo chociaż nie mówiliśmy ze sobą, siedział, trzymał mnie za rękę. Jarosław był zdolny do takich rzeczy. Przyjechał z Podkowy w obliczu tego nieszczęścia...

Śmierć Piotrusia, mimo że tyle było zgonów dookoła, sprawiła wstrząsające wrażenie na ludziach, którzy go znali. Podobno, już potem się dowiedziałam, Edward Strzelecki przybiegł i całował już nieżywego Piotrusia. Płakał gorzko. Inne osoby też się później zjawily, ale to mi opowiadały Babunia i Marynia, bo ja byłam ciągle nieprzytomna. Chciałam umrzeć.

Właściwie pogardzałam sobą za to, że nie umieram, że mogę to wytrzymać, znieść.

Wytrzymałam.

Upłynęło sporo czasu, zanim mogłam zwlec się na dół i usiąść przy stole razem z Maminkiem, Marynią i Jędrkiem. Przychodzili jacyś ludzie, wiele osób dowiadywało się mego adresu, bo wiadomość rozeszła się po Warszawie. Pamiętam, że mi mówiono: to nie tylko dla pani strata, ale i dla Polski. Różni plastycy chcieli obejrzeć obrazki Piotrusia. bo profesor Kotarbiński opowiadał o ich niezwykłości. Ja jednak nie mogłam rozmawiać o

Piotrusiu, ciągle byłam jakaś ogłupiała, nie czułam żadnych zapachów, nie czułam smaku potraw. Bardzo długo nie wychodziłam.

Byłam jak skamieniała. Czasem tylko szłam na strych i tam dopiero jakoś lży mi się lały po twarzy, ale nie mogłam długo siedzieć, bo Jędrus, baczny na to, co robię, wbiegał za mną po schodach (miał wtedy 17 lat), siadał przy mnie, przytulał się, mówił: „Mamo, ja będę siedział przy tobie, ja wiem, że tu jest ciemno, nieprzyjemnie, zimno, ale ja będę? siedział przy tobie, jak długo chcesz”. Nie mogłam przyjąć tej ofiary dziecka, całowałam go i schodziłam na dół. . .

Przypominam sobie, jak po śmierci Piotrusia Marynia poszła do Dąbrowski j
374

po miesięczną zapomogę. Oto co mi powiedziała po powrocie: „Poszła kuchennymi schodami, weszłam do kuchni, pani Dąbrowska wyszła H mnie, ja ją pocałowałam w rękę i powiedziałam: «Dziękuję pani za te piękne książki, które pani napisała» (bo Marynia czytała dużo). pailj Dąbrowska nie podała mi ręki, nie poprosiła, żebym usiadła, tym bardziej nie poprosiła mnie do pokoju, tak że stałam w kuchni (notabene Dąbrowska dobrze wiedziała, jaka jest rola Maryni wobec nas jaka ofiarność, jakie oddanie, że jest właściwie członkiem rodziny -l wszystko to dobrze wiedziała). Po po pewnym czasie pani Dąbrowska wróciła, dała mi kopertę z pieniędzmi i nie zapytała się ani słowem o Piotrusia, jak to się stało, że umarł, na co, w jaki sposób, skąd to się wzięło. Nie zapytała się o panią też, ani jednym słowem...” Marynia wyszła głęboko dotknięta, z uczuciem po prostu nienawiści w sercu. Rzeczywiście, to wydaje się nie do pojęcia. Dąbrowska, która widywała tego promiennego Piotrusia co miesiąc, która wiedziała, że umarł jakoś nagle, mogła sobie wyobrazić, co ja przeżywam, nie zapytała się ani słowem, w ogóle nic ją to nie obchodziło. To była niedobra kobieta.

Musiałam żyć, bo Jędrus, bo Maminek. Marynia może mogła sobie dać radę beze mnie, ale oni w żadnym wypadku nie. Pamiętam, że kiedyś poszłam na grób Piotrusia i wtedy nagle strasznie głośno się rozplakałam. Myślałam, że jestem sama, tymczasem podeszła do mnie jakaś stara kobieta. Spojrzała, był napis na grobie: „Piotr Wąsowicz, lat 5 . Spytała: „Pani płacze syna?” — „Tak” — odpowiedziałam. Wtedy ona: „Pewnie pani myśli, że nie ma po co żyć? Pani kochana zawsze si? ma dla kogo żyć. Ja wszystkich bliskich straciłam, i dzieci, i męża. l okazało się, że jeszcze muszę żyć, bo jestem potrzebna synowej Zawsze się jest komuś potrzebnym”. Powiedziała to takim spokojnym tonem, tonem człowieka prostego i rozumnego, doskonale rozumiejącego nieszczęście.

No, oczywiście, że musiałam żyć, nie mogłam sobie na to pozwolić, żeby umrzeć, chociaż miałam schowaną truciznę. Było przecież tych

W owym czasie zjawiła się u mnie postać najmniej oczekiwana, mianowicie przeor dominikanów, tego właśnie klasztoru, który widzia-

376

,arrl z okna i który Piotruś tak często malował. Przyszedł w białym uabicie, pamiętam, że się nazywał Ojciec Waław i powiedział mi, że ^wiedział się o śmierci syna i chce mi jakoś pomóc. Przyniósł mi dosyć już książek, które dawały mi ulgę, bo chciałam uwierzyć, robiłam Olbrzymi wysiłek psychiczny, żeby uwierzyć. Żeby pojąć jakiś sens tego, CO się stało, żeby ufać w możliwość spotkania po śmierci. Przychodziło mi to niełatwo. Walczyłam i Ojciec Waław walczył ze mną o moją duszę.

Zjawiła się też wtedy, dowiedziawszy się o śmierci Piotrusia, pani Tyszkiewiczowa. Tylko ta to już strasznie ciężką łapą zabrała się do nawracania mnie. Przede wszystkim przyniosła mi hiacynt w doniczce, żebym postawiła przed fotografią Piotrusia. A ja przez parę lat nie mogłam w ogóle patrzeć na jego fotografię, to było ponad moje siły. Poza tym zaczęła dosłownie polowanie na moją duszę, nieznośne, natarczywe, natrętne, nietaktowne, tak że bardzo szybko ją spławiłam.

Natomiast bardzo mi była miła obecność osoby, którą słabo znałam przed wojną — żony adwokata Urbanowicza, o którym wspomniałam, że go Niemcy aresztowali zaraz na początku wojny.

Urbanowiczowa (Reicherówna z domu), Żydówka z pochodzenia, ukrywała się też gdzieś na Mokotowie. Dowiedziała się o śmierci Piotrusia i przysłała do mnie. Ona też była nieszczęśliwa, dlatego że młodszą jej córkę, szesnastoletnią Ewę Niemcy aresztowali i wysłali do Oświęcimia. Ta świadomość, że ma się córkę w Oświęcimiu, była równie tragiczna jak świadomość śmierci. Zresztą dziewczynka wkrótce umarła. Urbanowiczowa była głęboko wierząca i ona też mi przynosiła literaturę katolicką, jedyną, którą mogłam wówczas czytać. Zaraz po śmierci Piotrusia przybiegła też oczywiście matka Michała Jeżewskiego. Rzuciła mi się w objęcia łkając. Mówiła, że kochała go jak własnego syna, zresztą muszę powiedzieć, że i ja jej Michałka bardzo kochałam, a potem, jak już zaczął przychodzić specjalnie do Jędrusia, pokochałam go jeszcze mocniej. Przychodził do nas także nadal Roman Husarski. Zdobyłam sobie ogromną wdzięczność jego matki, która żyła w bardzo ciężkich warunkach, dając jej dla Romana pieniądze, które Wydawałabym na utrzymanie Piotrusia.

Odwiedziny wszystkich tych ludzi, tak samo jak rozmowy z Ojcem Waławem, to było jakies oderwanie się od ciągłego nieszczęścia, od ciągłego bólu, który trwał. Zaczęłam wtedy chodzić także z Marynią do

" " 377

kościół. Bo Ojciec Waław powiedział, żeby próbować się modlić • wiara przyjdzie. I rzeczywiście coś na kształt wiary może się we mn' pojawiło, i w jakimś sensie trwa dotąd. To znaczy nie jestem ateistka n' jestem pewna, że nie ma niczego, jestem agnostykiem.

Ojciec Waław tłumaczył śmierć Piotrusia jednym zdaniem; „Mje zbadane są wyroki Opatrzności”. Taka odpowiedź wydawała mi się trochę zbyt łatwa. Bo również mówił mi, że powinnam przyjąć tę śmierć jako dowód łaski Boga, który mi każe cierpieć, i o tyle cierpienie będę miała mniej w przyszłości. Ja na to mówiłam, że moje cierpienia są mi obojętne, że chodzi o to tylko, żeby Piotruś żył, a ja mogę cierpieć, nawet przez wieczność. Nie bardzo mogliśmy się dogadać. Innym razem

— tego nie mówił — ale czułam, że to może kara za moje grzechy. Tego również nie mogłam przyjąć, bo jeżeli kara, to niechby mnie Pan Bóg pokarał, ale dlaczego Piotrusia? Dość może naiwne były te moje obiekcje, no ale jednak silne. Tak samo nie bardzośmy się mogli dogadać, kiedy wyrażałam bunt wobec świata, opartego na wzajemnym pożeraniu się. Ojciec mówił mi wówczas o odkupicielskiej roli bólu, czego Chrystus dał przykład. Pytałam wtedy, dlaczego cierpią zwierzęta. „A tu już pani przesadza — odpowiadał Ojciec Waław — zwierzęta nie czują tak jak ludzie. To jakby ktoś rozczulał się nad płatkami śniegu, że takie biedne drżą na zimnym wietrze”. — „Nie! — mówiłam na to.

— Płatki śnieżne nie mają systemu nerwowego, zwierzęta mają. I powiedzmy, nawet jeżeli założymy, że cierpienie człowieka ma jakiś sens, to jaki sens ma cierpienie zwierzęcia?” Na to nie bardzo mi umiał odpowiedzieć.

Wszystkie moje myśli kręciły się bezustannie wokół Piotrusia i wszystkie rozmowy również. Ale miałam uczucie, że jeżeli jest jakaś milionowa część możliwości, że go jeszcze spotkam albo że on jeszcze żyje, to warto zrobić wysiłek, przekraczający moje siły intelektualne i duchowe, żeby szukać. Bo te wszystkie rozmowy, to było szukanie Piotrusia.

Ta jakaś ciuciubabka związana zarówno z religią katolicką, jak zwierzeniami teozoficznymi irytowała mnie głęboko. Ostatecznie trzeba było dać jakieś dane słabemu, głupiemu człowiekowi, żeby rozwiązać, albo starać się rozwiązać, zagadkę, która go otacza. Im więcej się w to zagłębiałam, tym ta zagadka gęstniała, tym mrok mnie otaczał coraz większy i w rezultacie doszłam do przekonania, że najlepiej, żeby się i""c nie działo potem. Jeszcze po śmierci się męczyć, po śmierci szukać, p° śmierci odpowiadać za to, co się zrobiło w życiu.

Wszystkie głupstwa,

„szystkie błędy, to miało być jeszcze potem przypomniane? W rezultacie mam nadzieję, że po śmierci albo nie będzie nic (co jest najprawdopodobniejsze), albo może, jeżeli założyć, że Los jest w jakimś sensie miłosierny — Los czy Bóg — no to wszystko to się jakoś rozwiąże pomyślnie. I jeżeli Piotruś ma naprawdę na mnie czekać, to czekać będzie. Zdaję sobie sprawę z naiwności takich twierdzeń, ale tak to czuje. Spodziewam się albo zupełnej nicości, która też będzie pełnym ukojeniem, albo może jakiejś jasnej nadziei, której nie śmiem zaufać.

Zupełnie nadzwyczajny był w tym czasie Jędrus, bardzo się mną zajmował. I co było niesłychanie wzruszające, to to, że pewnego dnia, widocznie pragnąc mnie pocieszyć w jakiś sposób, chciał wejść w skórę Piotrusia. Miał pięć lat, wziął nagle arkusz papieru, usiadł przed oknem, tam gdzie siadywał Piotruś, i namalował pejzaż, tak samo jak Piotruś malował. Nie wiem, czy miał talent malarski nie mniejszy od Piotrusia, czy to było naśladownictwo, ale to nie był obraz pięcioletniego dziecka, to było już coś zupełnie dojrzałego. Osłupiałam. Pewnego dnia namalował wazon pełen irysów, które kwitły w ogródku. Marynia je najprawdopodobniej przyniosła i włożyła do wody. I znowu to był zupełnie dojrzały obraz. Owe zdumiewające zdolności malarskie, w jakimś sensie jeszcze bardziej zdumiewające niż u Piotrusia, bo przejawiały się o wiele wcześniej, były tak niesamowite, że nie wiedziałam, co o tym myśleć. Może było to jakieś świadome czy nieświadome naśladowanie tego, co robił brat? On Piotrusia przecież nie odstępował, kochał go strasznie, więc możliwe, że go tak naśladował, że umiał go tak naśladować! Te zdolności rysunkowe i malarskie trwały u niego długo, do jedenastu, dwunastu lat i potem minęły.

Pamiętam, innym razem usiadł mały, pięcioletni biedulek przy gramofonie, wyjął płytę angielską, angielską książkę i zaczął się uczyć sam angielskiego, bo widział, że Piotruś to robił. Przyszła wtedy akurat Urbanowiczowa i zobaczyła tę scenę, tego pięcioletniego smarkacza, który uczył się po angielsku, patrząc w książkę. Czytać już umiał wtedy Płynnie. Powiedziała, że gdyby tego nie widziała na własne oczy, toby nigdy nie uwierzyła.

Ja byłam jakoś straszliwie nieczuła, niewrażliwa na to. Mówię o tym dlatego, że przecież potem pokochałam go wielką miłością. Ale wtedy

379

i

naprawdę do żadnych uczuć nie byłam zdolna. Fizycznie też działy • mną dziwne rzeczy, I w jakimś momencie Wanda Telakowska zoba ? * to i przemocą zaciągnęła mnie do doktora Sobańskiego. Doktor k. mi zrobić analizę krwi, anemia była tak silna, że trzeba było natychm'-d poddać się leczeniu. Mam wrażenie, że gdyby nie Wanda, tobym f! powolutku wówczas sobie zgasła.

Ale wracam do Jędrka, który był jednak w złym stanie nerwowym Strata Piotrusia — to był dla niego straszliwy cios. Zwłaszcza j' nastąpiło to tak prędko i tak niespodziewanie. Teraz Jędrus płakał często z byle jakiego powodu i strasznie dużo gadał, właściwie bez przerwy. To było szalenie męczące, jakiś hamulec w nim pękł i po prostu lały się z niego słowa. Ale na szczęście miałam już dość przytomności umysłu, żeby ten potok wymowy opanować.

Powiedziałam mu, że będziemy się bawili, kto dłużej zdoła milczeć. Więc najpierw minutę, kto się odezwie, ten przegrał. Oczywiście ja zaczynałam pierwsza mówić, więc po minucie on dostawał cukierek w nagrodę. Następnego dnia milczeliśmy dwie minuty, oczywiście ja znowu przegrałam, a on wygrał. I tak doprowadziłam do pięciu czy sześciu minut, po czym hamulec zadziałał znowu. Już było to niepotrzebne, już Jędrus opanował tę swój wymowę. I wtedy Wanda Telakowska postanowiła mi udowodnić, że Jędrus < jest niezwykle.

Sprowadziła do nas psychologa, doktor Ptaszyńską, by zrobiła testy. Wyrzuciła mnie z pokoju i siedziała z Jędrkiem chyba dwie godziny, a kiedy wyszła, powiedziała: „Proszę pani, średnią inteligencji liczymy na 100 punktów, wyższy poziom inteligencji to jest 120. Przebrałam

kilka dziesiątków tysięcy dzieci, najwyższy próg to było 120. Otóż ten mały ma 145. Czy jest to dobrze, czy źle, nie wiem. Wiem, że nie można dopuszczać, by się rozwijał w dalszym ciągu tak intensywnie." Wobec tego zaczęłyśmy obmyślać, co robić, i doktor Ptaszyńską powiedziała, że trzeba by posłać go do przedszkola czy zorganizować mu jakiś komplet przedszkolny, oderwać go od czytania książek. Była w jakiś sposób przerażona rozmiarami jego inteligencji, krytycyzmu. A ja też nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, czy martwić, bo cieszyłam się z niesłychanego przedwczesnego rozwoju Piotrusia i los mnie za to ukarał. NO i teraz drugie dziecko — tak niezwykle i przedwcześnie rozwinięta Postarałam się więc przy pomocy pani Husarskiej zorganizować kornp'et przedszkolny, żeby po prostu opóźnić rozwój Jędrka. Wówczas zdarzyła nam się jeszcze jedna dziwna przygoda.

380

bunia poszła wymienić książki na ulicę Puławską z Jędrusiem, który •,,} ciągle wtedy pięć lat, i wróciła wstrząśnięta. Nie przestraszona, ł,-™śnięta. Kiedy jechali tramwajem, naprzeciwko usiadł jakiś par

pan, mc nie

01.

lec 1

JB

u,, 1

miał ^"to— - ' -strząśnięta- Kiedy jechali tramwajem, naprzeciwko usiadł jak i, firy zaczął się wpatrywać bacznie w Babunię i w Jędrka (mały .___ mówił)- Takie wpatrywanie się w czasie okupacji było rzeczą niepokoją-bo nie wiadomo było, czy nie wpatrywał jakiejś semickości w rysach. Więc Babunia czym prędzej złapała za rękę Jędrka, wysiadła z tramwaju i spieszonym krokiem zaczęła się oddalać. Ten pan wysiadł za „ją i siedł za nią. Babunia w potwornym strachu przyspieszyła kroku, ten pan też przyspieszył, dogonił ją, zatrzymał i powiedział: „Przepraszam panią, chciałem pani tylko powiedzieć, że ten mały będzie wielkim człowiekiem". Babunia zupełnie osłupiała: „Ale skąd, co? przecież on w ogóle nawet nic nie mówił!" — „Ale ja wiem — powiedział ten obcy pan — może mi pani wierzyć, to będzie wielki człowiek".

I odszedł.

Znowu w moim życiu takie nadnaturalne zdarzenie. Nie wiem, czy można nazwać Jędrka wielkim człowiekiem, czy też jeszcze czeiu teo akieoś rzechodnia z ulicy Puławskiej swojej dziedzic-

m

go dokaże, ale w pojęciu tego jakiegoś przechod to, do czego Jędrak doszedł teraz — sława światowa w sw nie, coraz większy autorytet — to już właściwie realizacja przepowiedni.

t

Przeszła wiosna, przeszło lato, nie zauważone przeze mnie. Tylko to, co się wiązało z Piotrusiem, miało dla mnie jakieś znaczenie. Wydawało mi się, że właściwie wszystko złe jest już poza mną, że już nic gorszego nie może mnie spotkać. Nie znałam jeszcze tej pospolitej prawdy, że zawsze może być gorzej.

W kilka miesięcy po śmierci Piotrusia przyszła do mnie nieznajoma mi dotąd Jadwiga Bystroniowa, uroczą kobietą, o ślicznym uśmiechu. Powiedziała, że oni mieszkają niedaleko, mają dom na skarpie, że muszę 'ch odwiedzić. Była pełna serca i dobroci. No i zaczęłam do nich chodzić. To było moje pierwsze spotkanie w czasie okupacji z ludźmi na wysokim Poziomie intelektualnym. Jan Stanisław Bystron był profesorem uni-^ersytetu, poza tym człowiekiem bardzo wykształconym, miłym, ^acnym ogromnie. Na przykład w czasie zająć antysemitycznych na Uniwersytecie trzymał stronę studentów żydowskich, miał z tego

381

powodu nieprzyjemności. W ogóle byli to ludzie ogromnie wysok' poziomu moralnego, duchowego, intelektualnego — słowem, zn- i.g° łam nagle przyjaciół. 2"

Rozmowa z nimi, ludźmi podobnego autoramentu jak ja, podob formacji umysłowej była mi niesłychanie miła, sprawiała mi wielc przyjemność.

I wtedy, w sierpniu, spotkała mnie rzecz okropna. Naprawdę l pastwił się nade mną.

Opisałam to wszystko w noweli w tomi wydrukowanym w Londynie, więc nie będę powracała do szczegółów Powiem tylko, że Bystroniowa od pewnego czasu zaczęła się skarżyć na ból biodra i poprosiła mnie — ponieważ szłam z Jędrkiem nad staw który był w tamtych stronach—żebym zabrała jej synka, też Jędrusia Jędrus Bystron był ładnym dzieckiem, dobrze wyrosniętym, rumianym ale straszliwie żywym i nieznośnym. Poszłam tedy nad ten staw razem z Husarską, no i z dwoma Jędrusiami. Usiadłyśmy na brzegu, kąpało się bardzo wiele osób, było bardzo gorąco, pełno dzieci, pełno ludzi na brzegu. Mój Jędrus wszedł do wody, tamten też. Jędrus miał wody troszkę powyżej kolan, a tamten po łydki. Nagle w jakimś momencie spostrzegłam, że Jędrusia Bystronia nie ma. Nic złego nie przyszło mi na myśl, zaczęłam biegać naokoło stawu, nawoływać go i wydawało mi się, że ten chłopak musiał gdzieś pobiec. I dopiero kiedy obeszłam wszystko, pytając, czy nie widzieli chłopca w czerwonych spodenkach kąpielowych, wtedy zrozumiałam, że trzeba poszukać w wodzie. Leżał blisko brzegu, już nie żył.

I znów nie mogę, nie mogę o tym mówić. Każdy zrozumie, że strata cudzego dziecka może być okropniejsza jeszcze niż strata własnego, dlatego że dołącza się poczucie odpowiedzialności. Nie wiem, jak to zniosłam, opowiadałam w tej noweli o dziwnym zresztą przyjęciu, jakie mnie spotkało u Bystroniów, którzy posłali po mnie kogoś wieczorem, żebym przyszła, można sobie wyobrazić, w jakim stanie duszy. Szłam czy wlokłam się, już sama nie wiem, do nich i w jakimś sensie byłam gotowa na śmierć, bo nie wzięłabym im za złe nawet, gdyby mnie zabili-A tymczasem Bystroniowa wybiegła mi na spotkanie, rzuciła mi się 'ia szyję i zawołała: „Przebacz mi, że przeze mnie musisz tak strasznie cierpieć!" To była wielkoduszność, która przekroczyła w ogóle wszystko. Nie wiedziałam jeszcze, nie rozumiałam, co to znaczy. Od tego czasu musiałam tylko codziennie do nich chodzić. Tej jednej rzeczy zażądali-Nie robili mi żadnych wymówek, tylko ona chciała, żebym

382
jzjła codziennie, co było dla mnie męką nie do wypowiedzenia. 7-esztą JeJ stan zdrowia się pogarszał, bolało ją coraz więcej, dziwne też eczy działały się z Bystroniem, chodząc chwiał się, tracił równowagę. n0piero w wiele lat potem okazało się, że oboje byli poważnie chorzy sicze przed śmiercią dziecka. A i ich Jędrus miał wrodzoną wadę serca, i-tóra mogła spowodować atak w wodzie. I która z góry skazywała go na iledługie życie. Ale dlaczego Bystroniowa mi tego nie powiedziała?

f o było jakieś przekleństwo, które ciążyło na tej szlachetnej i zacnej rodzinie I ja musiałam być w to wplątana, i musiałam tę śmierć Jędrusia Bystronia przeżyć. I musiałam codziennie chodzić do Bystroniowej, która z biegiem czasu pod wpływem choroby i własnego cierpienia zaczęła się w jakiś sposób znęcać nade mną, przypominając mi bez przerwy ten wypadek. Na domiar złego sprawy ogólne stawały się coraz bardziej przerażające i groźne. Co chwila przychodziła wiadomość o czyjejs śmierci w obozie, o rozstrzelaniu, o pięćdziesięciu powieszonych na Lesznie. A potem zaczął się pożar getta. To było okropne. Wiadomości przychodzących stamtąd nie można było słuchać: o matkach, które wyrzucały swoje dzieci przez okna i skakały za nimi, o ludziach, którzy się tam zaciekle bronili. No i łuna nad miastem i czarne, zwęglone papiery, które latały w powietrzu i dolatywały aż na Mokotów. I od czasu do czasu, kiedy szłam uliczką gdzieś koło Bzowej, na dalekim Mokotowie, słyszałam jakichś podskakujących wyrostków, którzy wołali: „Smażą si? kotlety, smażą się kotlety!"

Te wszystkie okropności, które się działy, przejmowały mnie jakimś takim gorzkim, więcej, jadowitym, trującym zadowoleniem, że Piotruś tego nie widzi. To mnie w jakiś sposób pocieszało, że Piotrusia nie ma. Tym lepiej, że go nie ma, przynajmniej nie patrzy, nie słyszy i to mu jest oszczędzone. W jakimś sensie miałam uczucie, że im gorzej, tym lepiej. Dzisiaj wydaje się to dziwne i paradoksalne, może nawet antypatyczne ' niesmaczne, ale tak było, tak to czułam, to przecież nie ode mnie ^leżało. Wszystko złe, co się działo, w jakimś sensie pocieszało mnie po kracie Piotrusia, o ile w ogóle jakakolwiek pociecha mogła istnieć. Byłam wtedy w takim stanie, że postanowiłam się jakoś ratować. Lektura katolickich ksiązek jednak nie na wiele mi się przydała i wobec tego zajęłam się pomocą dla podziemia. Musiałam coś robić. Stukałam na maszynie jakieś idiotyczne rozkazy dla harcerzy czy dla wojska. Przywoziła mi je na rowerze córka Urbanowiczowej, śliczna Lusja,

383

Jl

'ne

która ryzykowała życie dostarczając mi często zupełnie bezsenso teksty. W"e Zbliżyłam się w owym czasie z rodziną Karpińskich, którzy mieszl. r niedaleko. To była doktor Karpińska i jej córka, śliczna i miła Krystyn" z mężem, grafikiem Tomaszewskim. Oboje byli po uszy pogrążeni w r bocie podziemnej. Ona spędzała czas głównie przy radiostacji i parnje tam, jak mi niemal z rozpaczą powiedziała o tym, że ma stałą komuni kację z Londynem i że ciągle przychodzą zapytania, ile warsztatów żydowskich jest w Polsce, ilu tam jest rzemieślników, lekarzy, podczas gdy nie było już nikogo — wszyscy zginęli. Londyn nie chciał w to wierzyć. I ona siedziała nocami przy stacji nadawczej, nadawała to, co się dzieje w getcie, a nie wierzone jej i zadawano coraz głupsze pytania On należał do władz akowskich. Był bardzo antyrosyjsko nastawiony, ciągle powtarzał, że gdyby weszli Rosjanie, byłby z nim koniec.

°Sk°nale Zdaj? S°bie W, l im

wyszliśmy z tej

PowsTnil T°maSZCWSCy Podzieli mi, że spodziewają się wybuchu absurdu iak t niglm CZaS'e' ^ JCdnak nie P^z ał takiego foL obudzi? w' ^ POWStame WybUCHniC ° piateJ P° Południu. Sam ten menaWi"c to ""^ mesłychana n™sć do Bora-Komorowsk.ego, nienawiść, której się zresztą nie pozbyłam do dzisiaj

Pufawsk eiW H°d teg° ^ Z°baczyłam TM »% (wysłałam w stronę

^ ^ ***<*** ^^ »C° si? stało?" '' N'emcy nie Puszczają". Oka-na Poszczególne re ony,

' Gdyby P°WStaille ^uchło o pi

strasz

N

zało se e ° c.ęte od sieh,m' rano'

me podczas T7 * *, " Siebl6' "" ' nie bytoby tak straSZ' n.e, podczas kiedy po południu wszyscy prawie z tych czy innych

384

rt/odów byli na mieście i zostali odcięci od domów, od dzieci. Zaczę-j f zbierać tych ludzi, zapraszać ich do siebie. W końcu zgromadziło się i mnie około piętnastu osób, których nie miałam gdzie położyć spać, •ec leżeli pokotem na podłodze. Na szczęście miałam w piwnicy 'winiaka. To pozwoliło mi żywić przez dłuższy czas uciekinierów. Tej samej nocy, kiedy wybuchło powstanie, nagle o piątej nad ranem usłyszałyśmy stukanie w szybę. Była straszliwa ulewa. Po prostu

l kaskady wody lały się z nieba. Uchyliłyśmy okno, za oknem stał j Michałek Jeżewski, przemoczony oczywiście do nitki. Wpuściłyśmy go

! do mieszkania. „Michałku, na miłość boską, co się dzieje, dlaczego j jesteś w nocy na dworze?" Na co on odpowiedział prawie łkając:

[.Uciekłem z pola bitwy!" — „Michałku (nie wiem, czy już skończył

| siedemnaście lat), z jakiego pola bitwy?" Jeszcześmy dobrze nie rozumiały. Okazało się, że ich siedmiu mądrzy dowódcy posłali, żeby wzięli fort mokotowski. Mieli ze sobą dwa karabiny i jeden czy dwa granaty. Zaczęli strzelać, Niemcy dali salwę, no i oczywiście położyli chłopców trupem, a Michałek uratował się i uciekł..

Wysuszyliśmy go, nakarmiłyśmy, napoiłyśmy i rano zaczęłam go błagać, żeby został. Siedział z pochyloną głową, ponury... a był zawsze taki uśmiechnięty, tak żartobliwie spode łba patrzący. I w pewnym momencie powiedział: „Psiakrew, nie po to poszedłem do powstania, żeby tu siedzieć!” Zerwał się i wyszedł. Pobiegłam za nim, ale już tam poniżej skarpy spotkał oddziałek powstańczy i przyłączył się do nich. Podaliśmy sobie rękę. Tylko tyle mogłam zrobić. Nigdy go już więcej nie zobaczyłam.

Zjawił się u nas pewnego dnia Julek Carewicz, mówiąc, że mu rozkazano walczyć w „Królikami”. Został przez cały dzień, uszył sobie spodnie z jakiegoś naszego starego koca, bo miał podarte, i z determinacją poszedł, właściwie nie bardzo spodziewając się przeżyć, bo był 2 usposobienia pesymistą, neurastenikiem. Pamiętam, że przed wojną, kiedy miał zdawać maturę (a był zawsze świetnym uczniem), nagle się kłamał i powiedział, że do egzaminu nie przystąpi, tak że go rodzice i do nas, jeszcze na Fredry, żeby przyszedł do siebie i żeby jednie wyrzekął się tego maturalnego egzaminu. W jakiś sposób udało się go przekonać, poszedł, zdał znakomicie, na same piątki, ale i to, jaki był nerwowy. I oto ten sam chłopiec nie zawahał się, Poszedł do powstania, poszedł do tej „Królikami”, no i już więcej nie Wrócił. Jak się potem dowiedziałam, ocalał w czasie samych walk, ale

Wyż:

385

kiedy już Niemcy prowadzili ich w konwoju do niewoli, przeraził • jakoś, zaczął pytać Niemca, dokąd idą, i ten wepchnął go do najbliżs ? bramy i tam po prostu zastrzelił. J
Z czasem ci ludzie, którzy schronili się u mnie — rozeszli się. Obstrz naszej kolonii był bardzo silny. I choć żaden domek nie został właściwi zniszczony, cały czas mieliśmy wrażenie, że w nas celują.

Ja się wtedy jakoś trochę ujawniłam, zaczęłam się zajmować sąsiadami, jakąś sąsiadką chorą na wodną puchlinę, której nie mogłam właściwie nic pomóc, ale trochę się z nią dzieliłam zapasami. W ogóle starałam się być w jakiś sposób aktywna, ale obstrzał się wzmagał i postanowiliśmy z Maminkiem i Marynią, że się przeniesiemy do Bystroniów, którzy mieli rozległą piwnicę o kilku pomieszczeniach. Bystroniowa nie była zachwycona naszym przybyciem. Sama już też leżała w piwnicy, biedactwo, zboleła bardzo, ale jednocześnie zgorzkniała i agresywna. Mnie jeszcze przyjęła, ale zaraz za mną, na drugi dzień wtoczył się tłumek ludzi, którzy mieszkali w sąsiednich domach. Nic to właściwie Bystroniowej nie przeszkadzało. Jednakże robiła mi gorzkie wyrzuty, że sprowadziłam jej obcych ludzi. Pewnego dnia Babunia zrobiła rzecz właściwie okropną, bo wymknęła się po cichu do naszego domku i zabrała stamtąd kołdrę watową, butelkę z naftą i kamień z resztką dolarów, który zostawiłam przy furcie, w ogródku. Kiedy wracała, Niemcy spostrzegli ją z fortu mokotowskiego i postrzelili. Wyrwali jej mięsień przedramienia, a Ma-minek przełożył po prostu kołdrę do drugiej ręki i, zalana krwią, pomaszerowała z powrotem. Byłam w zupełnej rozpacz, gdy ją zobaczyłam. Nie było przecież środków opatrunkowych, nie było lekarzy. Wkoło bombardowano, obstrzał był szalony. Ale mama na szczęście jakoś się z tego wykaraskała.

Ten powstańczy koszmar trwał i trwał, i do dziś nie wiem, jakeśmy B° przeżyli. Jak to się stało, że w dom Bystroniów nie trafił żaden pocisk, żadna kula i że doczekaliśmy w nim końca powstania. Już pod jeg° koniec (na Mokotowie) żołnierze niemieccy otoczyli nasz dom i zaczęli rzucać granaty. Wskoczyliśmy wtedy wszyscy z piwnicy, Nienicy podzielili osobno kobiety i dzieci, osobno mężczyzn, których postawili pod murem. No i tak staliśmy przez

pewien czas. Nie bardzo wiadomo było, co dalej nastąpi, czy rozstrzelają wszystkich, czy tylko mężczyźni; W rezultacie jednak Niemcy kazali nam ustawić się w szereg i pogłębili nas przed siebie.

386

Jarynia, Maminek, Jędrak i ja trzymaliśmy się blisko, Bystroniowie szli za nami. Zupełnie nie wiedzieliśmy, dokąd nas pędzą, a pędzili przez jeanaście kilometrów. Kto sam tego nie przeżył, nie potrafi sobie wyobrazić. Taki korowód ciągnął szosą — jak okiem sięgnąć. Wszystkich mieszkańców miasta wygoniono. Oglądaliśmy się co pewien czas — Warszawa się paliła. Widać było płomienie, czarne dymy, gnano nas w nieznaną, między pola i łąki. Dopiero potem zorientowaliśmy się, że idziemy w kierunku Włoch. W tym całym koszmarnym jakimś dantejskim pochodzie jedna rzecz była pkrzepiająca i piękna. Otóż wzdłuż szosy ustawili się mieszkańcy podmiejskich okolic. Wszyscy mieli w rękach jakąś żywność, którą dawali, zwłaszcza dzieciom. Jędrkowi wetknęli do ręki strudelkę, jakieś ciastko, butelkę mleka, tak że właściwie był obładowany. To, mimo całego nieszczęścia, całą rozpacz, budziło pewną otuchę, jakąś taką głęboką radość w sercach wygnańców. Widać było, że ludzkie uczucia jednak nie wygasły i są tacy gotowi podzielić się wszystkim. Bo przecież ci mieszkańcy przedmieść nie byli bogaci, to byli skromni ludzie — a stali, czekali na te tłumy idące z Warszawy, żeby im pomóc.

Szliśmy tedy tak, wlokąc się, jedenaście kilometrów w deszczu i błocie, i w ten sposób dotarliśmy do Włoch. Czoło pochodu było daleko przed nami. Nagle z jednego z domów we Włochach, z piętrowego domu, z balkonu, jakiś mężczyzna zaczął wołać: „Ludzie, dokąd wy idziecie, ratujcie się! Chodźcie tu do mnie, ja wam pomogę!” Niewiele myśląc, szepnęłam Maryni, że wyskoczmy z pochodu (Bystroniowie byli gdzieś daleko za nami, zostali). Ale Marynia powiedziała: „Nie, ja idę dalej”. Złapałam więc jedną ręką Maminkę, drugą ręką Jędrka i wyskoczyliśmy z tego pochodu ludzi na chodnik i do bramy. Żołnierz niemiecki zamierzył się na nas karabinem. W zasadzie strzelali do tych, którzy wychodzili z pochodu, ale do nas jakoś nie strzelili. Wskoczyliśmy do bramy, biegiem na pierwsze piętro, ten poczciwy, kochany człowiek, który nas wołał z balkonu, otworzył mi drzwi. Było już u niego kilkanaście osób, które tak jak ja nie dały się prowadzić dalej. Jego żona — „oznosiła jakąś gorącą zupę, położyliśmy się wszyscy na podłodze, żeby odpocząć po tym marszu. Zapytałam gospodarza domu: „Dlaczego pan to robi? (ryzykował życiem, za udzielenie schronienia mieszkańcom Warszawy groziła śmierć). Jestem panu strasznie wdzięczna, ale dlaczego?” On powiedział: „Nazywam się Samborski, jestem bratem aktora Samborskiego, tego, który współpracował z Niemcami, ja muszę jakoś

387

okupić jego zbrodnie. Mnie się zdaje, że was prowadzą na śmierć — ja mogę na to pozwolić”. Nie zapomnę tego panu Samborskiemu — C wiem, czy żyje, nie wiem, czy Niemcy się do niego dobrali. Pojęcia — mam, ale jeżeli w jakiś sposób te wspomnienia przetrwają, chce 7 i? nazwisko Samborskiego zostało utrwalone.

Przenocowaliśmy u niego. Leżeliśmy pokotem na podłodze i ju-w nocy przysunęła się do mnie jakaś nieznajoma pani, która mi szepnęła do ucha: „Ja wiem, kto pani jest, niech się pani mnie trzyma ja zaprowadzę panią i matkę, i dziecko w bezpieczne miejsce. Jestem Złotnikowa, jestem siostrą Wiktora Przedpeńskiego”.

Wiktora Przedpeńskiego znałam kiedyś przed laty. Zaufałam jej Przespaliśmy, jeśli to można nazwać spaniem, skurczeni na podłodze do rana, rano Samborscy dali nam się czegoś gorącego napić i opuściliśmy to gościnne mieszkanie, nie mogliśmy gospodarza narażać dłużej na niebezpieczeństwo.

Nie wiedziałam, co się stało z Bystroniami, nie wiedziałam, co się stało z Marynią. Ruszyliśmy z tą panią Złotnikowa przed siebie, przez pola. Szliśmy długo, ona wiedziała, dokąd idzie. Szła w okolice Nadarżyna. Powiedziała, że tam jest majątek jej kuzynki i że ta

kuzynka z pewnością nas przygarnie, że ukrywa się u niej pułkownik Lipiński, którego dobrze znałam, i tam znajdziemy na pewno schronienie. Kiedy doszliśmy do tego majątku, pani domu powitała nas bardzo zimno, powiedziała, że jej dom jest już przepełniony, że nie bardzo ma miejsce dla nas, no ale na razie żebyśmy siedli do stołu, to dadzą nam jeść. Rzeczywiście do stołu usiadło kilkanaście osób, uciekinierów z Warszawy. Szepnęłam gospodyni, kim jestem, powiedziałam, że chciałabym się zobaczyć z pułkownikiem Lipińskim. Na co ona odpowiedziała: „Lipińskiego tutaj wcale nie ma”, co było nieprawdą. Dali nam jeść, a wieczorem gospodyni zaprowadziła nas do jakiegoś pustego pokoju i pozwoliła nam się położyć na podłodze. Nie znaleźliśmy tu jednak schronienia na dłużej, rano kazano nam opuścić dom. No i poszliśmy z pam-J Żołotnikowa do Nadarzyna i tam jakaś bardzo zaradna pani wskazała nam miejsce we młynie, gdzie można było rozlokować się na noc. Jednakże rano Żołotnikowa powiedziała, że musi iść dalej, że w młyn jest niebezpiecznie i że musimy się rozstać. Ona poszła w swoją stronę, no a ja zaczęłam się troszkę miotać, bo co ze sobą zrobić? Nikogo ta nie znałam, ale miałam trochę pieniędzy przy sobie, zaczęłam więc PV chłopów, czy nie mogliby nam dać pomieszczenia, że ja jestem gota

388

zapłacić tysiąc złotych. To była duża suma jak na owe czasy. Niektórzy mi odmawiali, ale jeden z chłopów się zgodził, załadowaliśmy się więc na furmankę i zawiózł nas do jakiejś okolicznej wsi. Powiedział, że ma nową izbę. Weszliśmy do tej nowej izby, ale nie było tam podłogi, tylko po prostu piach. Tysiąc złotych za tego rodzaju pomieszczenie to było sporo, ale gospodarz rzucił nam parę wiązek słomy i na tej słomie przenocowaliśmy. Rano pomyślałam sobie, że jednak trzeba poszukać innego schronienia, bo przecież to już była jesień, wróciłam więc do Nadarzyna. Nie wiem, ile kilometrów zrobiłam tego dnia, byłam ledwie żywa. I już tam w miasteczku ktoś podszedł do mnie na ulicy i powiedział: „Musi pani uciekać, wiadomo, że Irena Krzywicka jest tutaj. Gestapo panią szuka, musi pani uciekać czym prędzej”. Wobec tego zawróciłam i pognałam te piętnaście kilometrów z powrotem. Wpadłam zdyszana, bo bałam się, że już mnie zadenuncjowano i że trzeba od tego chłopca uciekać, ale jak teraz wytłumaczyć, że się wynosimy w takim pędzie, to mogło się wydać gospodarzowi podejrzane. Powiedziałam więc, że spotkałam znajomych (furmanka stoi tam dalej na szosie), którzy mnie zabierają do swojego majątku. Złapałam znowu biednego Maminka i Jędrusia i pocwałowaliśmy przez pola miedzami. Zmierzch zaczął zapadać... deszcz siąpił, robiło się ciemno, zupełnie nie wiedziałam, dotąd idę, szłam po prostu przed siebie. Wiedziałam, że w nocy, w deszcz nikt mnie w polu nie złapie. Ale dokąd ta miedza, a potem ścieżyna polna nas zaprowadzi, nie miałam pojęcia. Ku memu wielkiemu zdziwieniu, po paru godzinach zobaczyłam jakiś stacyjny budynek. A tymczasem Jędrus szedł, ale pytał mnie ciągle: „Mamusiu, czy my już nigdy nie będziemy mieli domu, nigdy nie będziemy mieszkać?” Maminek mężnie znosił ten marsz, ale Jędrus zaczął trochę popłakiwać. Wreszcie jednak dotarliśmy do stacji jakiejś kolejki. Jakiej, nie wiedziałam, domyślałam się, że chyba grójeckiej. Jakim cudem tam trafiłam, nie wiem. W każdym razie na stacji panowały zupełne ciemności, był spory tłumek ludzi i my też stanęliśmy w tym tłumku. I czekaliśmy. To trwało długo. Wreszcie nadszedł jakiś pociąg. Wsiadliśmy do pierwszego lepszego wagonu i pojechaliśmy właściwie zupełnie w nieznane. W wagonie było ciemno, a jakaś pani zapytała mnie, dokąd jadę, czy czasem nie do Zalesia. Tu olśniła mnie myśl: Zalesię! Siostra Bystroniowej mieszkała koło Zalesia! Siostra, którą znałam bardzo mało, którą widziałam ze dwa razy w życiu i która, jak mi się zdawało, miała do mnie żal za śmierć małego Bystronia. Ale co było robić. To była jedyna osoba, która mieszkała w pobliżu. Więc powiedziałam: „Ten pociąg idzie do Zalesia? Tak, ja też jadę do Zalesia, <jo Marii Morawskiej”. Nieznajoma pani, której twarzy nie widziałam w ciemnościach, powiedziała: „Maria Morawska mieszka w Siedlisku, to jeszcze sześć kilometrów od Zalesia. Ale ja pani pokażę drogę, zaprowadzę panią”. I rzeczywiście

zaprowadziła nas w tę noc, mgłę i deszcz do domu Marii Morawskiej, tylko uprzedziła, że tam mieszkają Niemcy. Cóż, nie miałam wyboru. Doszliśmy i pożegnała się z nami dopiero przed samym domem. Nigdy więcej jej nie zobaczyłam. Nie zapytałam nawet o nazwisko. Ale znowuż bym chciała, żeby tego rodzaju dobrodziejstwo zostało jakoś utrwalone. Żeby ktoś kiedyś dowiedział się, że ta pani zajęła się obcymi ludźmi, że poszła w tę dość daleką drogę i zaprowadziła nas na miejsce.

Znaleźliśmy się przed dosyć dużą posiadłością, ogrodzoną, weszliśmy przez otwartą furtkę, zostawiłam Jędrusia i Maminka w ogrodzie, no bo nie wiedziałam zupełnie, jak Morawska nas przyjmie i czy przyjmie. Widziałam oświetlone okno, widać było, że to kuchnia, weszłam i tam zobaczyłam panią domu. Byłam bardzo speszona, spytałam więc nieśmiało i cicho: „Przepraszam panią bardzo, że tak pani spadam na głowę, ale czy może pani mnie przenocować? Przez jedną noc, jutro się rozejrzę za jakimś mieszkaniem, bo dziś po nocy jest trudno”. I na to, tego nie zapomnę nigdy, do końca życia, Morawska otworzyła ramiona, powiedziała: „No naturalnie, do kogo pani miała przyjść, jak nie do mnie! Nawet się spodziewałam, że pani tu przyjdzie”. Złapała mnie w objęcia i uścisnęła. To był uścisk siostrzany... trzymałam się dobrze dotąd, ale wtedy lzy mi się polały z oczu. Powiedziałam: „Ale ja nie jestem sama, ja jestem z matką i z dzieckiem”. „Jak pani mogła ich zostawić w ogrodzie?! No, w tej chwili niech pani ich tutaj zawoła!” Zawołałam Maminka i Jędrusia, przemoczonych, zziębniętych i wystraszonych. Weszli do kuchni, Morawska zdjęła z nich okrycia, dała jeść, obficie i ciepło. Powiedziała: „Musicie zostać u mnie, nie ma pani co szukać mieszkania, nic pani nie znajdzie, zresztą ja mam pokój. Jest niedobrze, że na górze mieszkają Niemcy, całe pierwsze piętro jest przez nich zajęte, ale to jacyś tacy nie najgorsi Niemcy — Wehrmacht. Wydaje mi się, że jakoś się z nimi dogadamy”. Zrobiła nam posłania,

nie wiem

390

391

gdzie znalazła łóżka, kanapę, tak że dla wszystkich było miejsce, a sarna z matką staruszką nocowała w o wiele mniejszym, skromniejszym pokoju, przy kuchni.

To była Morawska. Na jej cześć, dla upamiętnienia jej napisałam nowelę, która się znajduje w tomie Mrok, półmrok i światło, zadedykowałam ją Marii Morawskiej i cały czas tam ją nazywam jej imieniem i nazwiskiem, dla utrwalenia tej postaci. Nie wypuściła nas rano, nie wypuściła nas i potem, zostaliśmy aż do wejścia Rosjan. Przy czym, kiedy Niemcy, żołnierze, zeszli na dół, Morawska przedstawiła nas. Powiedziała, że jesteśmy krewnymi z Warszawy, nie ukrywała tego, ale Wehrmacht się takich rzeczy nie czepiał.

Ci Niemcy byli rzeczywiście dosyć mili, cóż, to byli żołnierze, rezerwiści prawdopodobnie. Jeden był oficerem czy podoficerem, miał na imię Hans, nazwiska nie pamiętam, i ten Hans, młody, przystojny, typowy Niemiec, dość często schodził do kuchni i Morawska mnie poprosiła, że, jeżeli umiem po niemiecku, żebym z nim trochę pogadała i była także tłumaczem.

Na drugi dzień po nas zjawily się dwie młode dziewczyny, jakieś dalekie krewne Morawskiej, jedna dwudziestoletnia, druga młodsza. Morawska przygarnęła je tak samo, ale to stało się trochę nieprzyjemne, dlatego że ta starsza natychmiast zaczęła się kumać z tymi Niemcami, chodzić do nich na górę, jeść i pić z nimi (oczywiście Niemcy mieli wszystko). Oni chcieli koniecznie częstować czekoladą także Jędrusia, ale nie pozwoliłam, mówiąc, że ma chorą wątrobę. Nie chciałam od nich niczego przyjmować, choć właściwie zachowywali się bardzo mile, mimo że przecież na pewno podejrzewali, iż tu jest jakaś niejasna sprawa.

Czułam się zupełnie bezpiecznie u Morawskiej, a tymczasem po jakimś miesiącu do sąsiadów, którzy też schronili rodzinę żydowską (męża, żonę i ich małą córeczkę), przyjechało jednak Gestapo. Ktoś ich zadenuncjował, inaczej skąd by Niemcy wiedzieli? No i

kazali tej rodzinie biegać w kółko po podwórku i strzelali do nich, jak o° dziczyzny w lesie. Przy czym chłopak w jakiś sposób uciekł, nie wiem, czy się uratował, ale uciekł. Natomiast matkę, ojca i córeczkę położy trupem, a właściciele chałupy zabrali. . .

Wówczas powiedziałam Morawskiej, że się wynoszę. Nie mog? J J narażać, pójdę gdziekolwiek. Na to Morawska: „No to pani (mówi y my sobie jeszcze wtedy «pani»), potem dopiero zaczęłyśmy sobie m°

392

«ty») mnie jeszcze nie zna. Ja pani nie puszcze. Trudno, co będzie, to będzie". Targowałyśmy się w jakiś sposób o to, czy mam zostać, wreszcie powiedziałam: „Jeżeli Niemcy właściciele tej chałupy, gdzie ukrywali się Żydzi, puszcza, to zostanę, jeśli ich nie puszcza, to idę".

Puścili ich jednak wieczorem i Morawska tryumfująco wpadła do mnie mówiąc: „Widzisz (już na «ty»), widzisz, puścili ich, zostajesz ze mną, a ja i tak bym was nie puściła". To była bohaterka, taka cicha bohaterka, nieefektowna, ale daj Boże, żeby tylko tacy ludzie byli na świecie.

Następnego dnia rozległ się łomot do drzwi: Niemcy! Wskoczyliśmy z Maminkiem i z Jędrusiem przez okno, ogród był duży, pobiegliśmy, skryliśmy się w chaszczach malin. Morawska otworzyła drzwi, zapytała, o co chodzi. Okazało się, że im jest potrzebny stół, który stał przed domem. Morawska dała ten stół, po czym zaczęła śpiewać jakąś umówioną piosenkę. Wiedzieliśmy, że „tor wolny", i wróciliśmy do domu. Na szczęście nic więcej strasznego się nie zdarzyło i spokojnie przeżyliśmy u Morawskiej. Uparłam się, żeby jej płacić tysiąc złotych za mieszkanie. Miałam jeszcze dwudziestodolarówki, a zawsze był jakiś sposób zmienienia dolarów. Ona nie chciała, gniewała się, targowała się ze mną, targowała się o to, żeby nie przyjąć tych pieniędzy. Ale powiedziałam, że inaczej to będzie dla mnie nie do zniesienia, a widziałam, że ona sama jest w trudnej sytuacji, że żywi się tylko produktami z własnego ogrodu, a gotówki nie ma żadnej. Wobec tego zgodziła się, niechętnie, ale w końcu zgodziła się przyjąć te pieniądze.

Kiedyś gdzieś na drodze w polu spotkałam przemilego Mariana Falskiego, autora elementarza, który zaprosił mnie do siebie do Zalesia. Poszłam tam pewnego dnia, polami, i znalazłam się w otoczeniu ludzi wybitnie kulturalnych i sympatycznych. Oprócz Falskiego miła, bardzo zdolna aktorka Helena Buczyńska, Wacław Borowy z żoną, jeszcze chyba ktoś. Borowy i jego żona to było dosyć dziwne małżeństwo. Ona była 0 siedemnaście lat od niego starsza, a kochali się bardzo i żyli ze sobą znakomicie, różnica wieku nie stanowiła żadnego problemu.

Wspominałam już o tym, że w domu Morawskiej byłam w dość bliskim kontakcie z mieszkającymi u niej Niemcami. Przy czym najwięcej rozmawiałam z Hansem. Mówił mi, że kiedyś, jako młody c"tapak był zwolennikiem Hitlera, był nawet w Hitlerjugend, ale potem, Powoli się rozczarowywał. Taka sama historia, jaka później nastąpiła

393

z komunistami, z wieloma komunistami, z którymi rozmawiałam. Tra 1 powoli wiarę w wodza, przeszedł okropne rzeczy pod Stalingradem uciekł stamtąd, żywił się trawą, był jak ścigane zwierzę. Wspominał Rosjan z największym przerażeniem, udało mu się uciec do Polski i tu si przyłączył do Wehrmachtu stacjonującego w naszym kraju. Mówił że stracił zupełnie wiarę w Hitlera, miał odwagę to powiedzieć, ale jeszcze wówczas, a był to rok 1944 — zima — nie stracił całkowitej wiary w zwycięstwo Niemców.

Pewnego dnia wyjechał na tydzień. Kiedy wrócił, opowiadał, że się ożenił z właścicielką jakiegoś majątku czy mająteczku koło Szczecina. Od niego po raz pierwszy usłyszałam o przyszłych granicach Polski Morawska mu powiedziała: „No to zrobił pan dobry interes, będzie pan bogaty". A Hans na to: „E, gdzie tam, przecież Polacy to kiedyś odbiorą — za to wszystko, cośmy im zrobili".

Tymczasem Maminkowi rana się zagoiła. Jędrus zapomniał przynajmniej na pozór o ciężkich przeżyciach, bawił się wesoło w dużym ogrodzie u Morawskiej, a pewnego dnia, ku naszej wielkiej radości, zjawiała się Marynia. Okazało się, że uciekła, ale dopiero ze stacji kolejowej, kiedy zobaczyła, że ją chcą wepchnąć do pociągu. Jak jej si? to udało, nie wiem. Wiele osób, jak wiadomo, z tego pochodzących do Włoch zostało wysłanych do Oświęcimia i zginęło.

Bystroniom także udało się uratować — ze względu na zły stan zdrowia. Lekarz w tym przechodnim obozie we Włochach wystawił im świadectwo i Morawska wkrótce dowiedziała się ich adresu. Mieszkali pod Warszawą, ale dość daleko od siostry. W każdym razie byliśmy w kontakcie. Pewnego dnia Bystroniowie poprosili przez kogoś, żeby, jeżeli to możliwe, ratować bibliotekę Bystronia, która została w Warszawie. Ofiarowali pieniądze. Hans się zgodził pojechać do Warszawy, nie pamiętam, czy za wynagrodzeniem, czy nie, a ja zabrałam się z nim razem, żeby wybrać co cenniejsze książki.

Pojechaliśmy, Hans znikł, a ja buszowałam po tej bibliotece Bystronia, wybierając i składając na stos te książki, które należało ocalić. Po kilku godzinach Hans wrócił obładowany jakimiś wyszabrowanymi rzeczami, jakąś bielizną, jakimiś ubraniami, nie wiem, co on tam nakradł. Z domu Bystroniów nie wywieźliśmy jednak nic prócz książek: mnie oczywiście nawet do głowy nie przyszło, żeby zajrzeć do innych domów, a ten domek, w którym mieszkałam, był za daleko, bałam się, że się minę z Hansem i nie zdążę wrócić. W ten sposób

394

ocaliliśmy część biblioteki Bystronia. Nie wiem, co się dalej z tymi książkami stało.

Po tej wyprawie do Warszawy po książki z Hansem nabrałyśmy i Marynią odwagi, bo w czasie drogi nie widziałam większej liczby Niemców, raczej poszczególne patrole.

Postanowiłyśmy więc iść — nie tyle drogą, ile łąkami, jakimiś bocznymi drózkami, żeby dotrzeć do naszego domku przy ulicy Bzowej i tam zobaczyć, czy czasem coś nie zostało. Bo przecież wyszłyśmy tak, jakieś stały, nie miałyśmy pościeli, nie miałyśmy nawet koszuli na zmianę. Ruszyłyśmy rano któregoś dnia w drogę z Marynią i szłyśmy spokojnie aż do czasu, kiedy złapał nas jednak jakiś patrol niemiecki i kazał nam kopać rowy. Pokopałyśmy trochę, ale tak jakoś nieudolnie, że wkrótce nas puścili. Przemknęłyśmy w kierunku Warszawy, chociaż nam zakazali. I już nas nikt nie zatrzymywał. Doszłyśmy do ulicy Bzowej. Dom był wyszabrowany, ale do stryżku nikt nie dotarł. Gdybyśmy tam wrzuciły walizki i wszystkie cenniejsze rzeczy, toby prawdopodobnie ocalały. Natomiast ziemia w ogródku była rozkopana, srebro, które Marynia schowała, w znacznej części rozkradzione. Ja musiałam jeszcze koniecznie pójść do domu Bystroniów po mój kamień z dolarami, to znaczy wejść na skarpe i pójść na ulicę Zawrat, co było bardzo niebezpieczne.

Wgramoliłam się na czworakach na górę, co pewien czas kładąc się na /iemi. Rozległo się parę pojedynczych strzałów, no i jakoś dotarłam. Weszłam do piwnicy Bystroniów i tam nagle usłyszałam: „Halt!”, jakieś krzyki, wrzaski niemieckie, które jednak, jak się po chwili zorientowałam, nie były skierowane do mnie, tylko do niemieckiego oddziału, który tam patrolował. Złapałam czym prędzej leżący w kącie kamień i znowu czołgając się na czworakach zeszałam w dół. Tam znalazłam Marynię, która, jak się okazało, zaniósła do Bystroniów także kamień Reni z kosztownościami. Kiedyśmy się przyjrzały bliżej, okazało się, że ja z takim wielkim wysiłkiem odzyskałam nie swój kamień, tylko właśnie Reni. Ale niepodobna było wracać, bo się już zrobiło ciemno. Marynia wzięła więc puszkę Reni ze srebrnymi monetami, ciężką, ważącą chyba Parę kilo i jeszcze trochę innych rzeczy, które się znalazły na strychu. I tak obładowane powędrowałyśmy z powrotem te kilkanaście kilometrów do Zalesia.

Jednakże po jakimś tygodniu, było to na początku grudnia, ruszyłyśmy znowu. Ja musiałam koniecznie odzyskać ten kamień z dolarami, bo inaczej zostałabym bez grosza. Poszłyśmy, Niemcy złapali nas znowu

395

i znowu kazali nam kopać rów. Wszystko się powtórzyło, tak jak 2. pierwszym razem, z tym tylko, że wówczas przyszliśmy jakoś późni¹ i przenocowałyśmy w naszym domku przy ulicy Bzowej. Domku, który ocalał. Zdawało się, że jest kruchy, że się łatwo zapali, a tymczasem on właśnie przetrwał.

Nocując w tym domku, w pustce zupełnej i ciszy absolutnej, jaka panowała w całym mieście, słyszałyśmy tylko pociski przelatujące nad naszymi głowami. Pociski rosyjskie, może i niemieckie. Pod huraganowym ogniem przespałyśmy więc tę noc na podłodze. Rano obudziłyśmy się, wzięłyśmy, co się jeszcze dało, i zebrałyśmy się do powrotu. Bardzo chciałam odzyskać słoik wekowy, w którym schowałam nasze dawne dokumenty, kartkę od Jerzego z obozu, parę listów Boya ze Lwowa, jednakże tego już nie znalazłam. Po co ludzie to zabrali, kto to zabrał, w jakim celu. — nie wiem. No i znowu wróciłyśmy te szesnaście kilometrów, jeszcze objuczone, bo znalazłyśmy także parę książek. A każda rzecz miała olbrzymią wartość w naszych oczach.

Po jakimś czasie Marynia znowu wywędrowała. Sama tym razem. Powiedziała, że jedzie do Podkowy Leśnej, bo tam, już nie pamiętam u kogo, został nasz kilim, wielki kilim, strasznie ciężki. Błagałam ją, żeby dała spokój, że straciłyśmy tyle rzeczy, że mogę stracić i ten kilim, ale nic nie pomogło. Uparła się, że pójdzie. Zresztą, chciała też podziękować Iwaszkiewiczowi za to, że ją przytulił przez pewien czas i że dał jej pracę, zanim dowiedziała się jakimiś okreźnymi drogami, gdzie my jesteśmy. Wróciła późnym wieczorem już po ciemku. Ubłocona, uszargana, zmordowana śmiertelnie, z tym kilimem, który ważył najmniej dwadzieścia kilo. Taka była Marynia. Tak bardzo była do nas przywiązana. Czas płynął teraz właściwie spokojnie. Już widać było, że wojna si² jakoś od nas oddala. Bo chociaż ciągle jeszcze słyszeliśmy pociski przelatujące nad głowami, ale gdzieś o wiele dalej spadające, tak że już nawet wybuchu nie było słychać, raczej gwizd w powietrzu.

Pewnej nocy Marynia obudziła się i sennym głosem powiedziała: „Proszę pani, proszę pani! Niemcy uciekają”. Odpowiedziałam: „Marynia oszalała, czy co, dlaczego uciekają? Przecież nie było żadnej bitwy, nie było żadnego powodu, żeby uciekali. Niech Marynia śpi”.

Spałyśmy jakiś czas, po czym znowu Marynia mnie budzi: „Proszę pani, Niemcy uciekają, naprawdę uciekają”. Obudziłam się i rzeczywiście usłyszałam łomot butów niemieckich po schodach prowadzących na pierwsze piętro. Narzuciłam czym prędzej szlafrok, wyskoczyłam do sieni i tam

396

zobaczyłam Niemców, tych naszych Niemców, którzy mieszkali u Morawskiej, zbiegających i wbiegających po schodach, wynoszących jakieś rzeczy. Więc stałam zdumiona, właściwie nie rozumiejąc, co się dzieje. Hans zbiegający z góry powiedział zdławionym głosem: „Die Front ist durchbrochen” (front jest przerwany) i pobiegł. Po pewnym czasie znowu wrócił, bo oni znosili jakieś przedmioty, które nagromadzili tam na górze, i powiedział, że chętnie by nas zabrał ze sobą (nie daj Boże! — pomyślałam), żebyśmy czasem nie wpadły w ręce bolszewików (marzyłam o tym, żeby wpaść w ręce bolszewików, po tym, co się przeżyło przy Niemcach), ale że nie mają miejsca. Dodał jeszcze, że na tej ulicy, gdzieś dalej, został skład wojskowy i że tam jest dużo rzeczy, które mogą mi się przydać, żeby tam pobiegła. To już były jego ostatnie słowa, bo Niemcy znikli. Po prostu znikli.

To był właściwie największy cud, jedyny może cud, który przeżyłam w życiu. Po prostu nie chciało się w to wierzyć. Jednakże pobiegłyśmy nocą z Marynią do tego składu, nawet nie po to, żeby coś znaleźć, coś uzyskać, ale żeby ograbić właśnie Niemców, żeby zabrać niemieckie dobro, po tym, jak oni nam zabrali wszystko. Pobiegłyśmy i przyciągnęłyśmy jakieś dziwne rzeczy. Łóżko żelazne z metalowym materacem, jakąś puszkę marmolady. Zresztą już było w tym składzie sporo ludzi ze wsi, już grabili, co się dało. Uważałam, że mają świętą rację, bo wszyscy byli ograbieni w jakiś sposób przez Niemców. Wróciłyśmy do domu, noc była zimna, dżdżysta, to był koniec stycznia. Padał śnieg z deszczem, położyłyśmy się do łóżka,

ale już nie spałyśmy, tylko zastanawiałyśmy się, co będzie dalej. Rano wstałyśmy bardzo wcześnie i Morawska pobiegła na wieś do sąsiadów dowiedzieć się, jak i co. Okazało się, że pobliską szosą, pobliską, to znaczy w odległości półtora kilometra do dwóch, wałą nieprzerwanym strumieniem wojska rosyjskie. Wtedy zrobiliśmy to samo, co cała wieś. Nagotowałyśmy kubek kawy, drugi kubek kaszy, wydobyłyśmy cały chleb i pobiegłyśmy do tej drogi.

Tam stali chłopci, mieszkańcy Siedliska i innych wsi i wszyscy razem, osłupiali, patrzyliśmy na idące czołgi, jadące ciężarówki, piechotę. Po czym karmiliśmy oczywiście wszystkich tych przechodzących żołnierzy, wołaliśmy coś do nich, oni wołali do nas. To była jakaś nieprzytomna radość, jakaś scena ze snu, a nie z jawy, bo właściwie ciągle się nie rozumiało, skąd oni się tu wzięli, co się dzieje i jak to się stało. Mieliśmy też szczęście, muszę to tak nazwać, że w rezultacie, już pod wieczór,

397

wylądował u nas oddział polski. Nie wiedzieliśmy, że Polacy służą w wojsku rosyjskim, a właściwie że stanowią odrębne jednostki. Dopiero ci żołnierze, którzy się zjawili u nas w domu, których już karmiliśmy resztkami tego, cośmy miały, którzy się pokładali pokotem na podłodze, bo nie było dla nich posłań, mówili: „My nie bolszewiki proszę pani, my nie bolszewiki”. Wyjmowali medaliki, które mieli zawieszane na piersiach, pokazywali nam na dowód, że są Polakami „My Polacy!” — „Skąd wyście się tu wzięli? Wy służycie w armii rosyjskiej?” — „Nie, my służymy w armii polskiej. Jest armia polska...” — „No i co? Zostaniecie tutaj z nami?” — „E, nie... nie zostaniemy, idziemy dalej, aż do Berlina”. To się nam wydawało zupełnie niemożliwe, bo ci ludzie byli straszliwie zmęczeni, przemoczeni, przemarznięci. Jednakże rano o świcie pozbierali się i znikli.

Morawska jednak bała się strasznie, bo ktoś powiedział (takie wieści krążyły), że jeszcze może przyjechać Sonderkommando, po to, żeby spalić wieś, by się nie dostała w ręce rosyjskie czy polskie.

Ponieważ obstrzał był bardzo silny tego dnia, Morawska umierała dosłownie ze strachu. Ona, taka odważna, taka bohaterska! Usiadła na brzegu piwnicy, bo tam była taka piwnica z klapą, schodziło się w głąb pod podłogę, i trzymając nogi w piwnicy, kurczyła się przy każdym przelocie pocisku. Mówiłam jej: „Na miłość boską, co ci z tego, że nogi ocalisz, jeżeli głowę ci urwie, no, nic się nie stanie, widzisz, że pociski idą górą, widocznie bitwa jest gdzie indziej, nie u nas”. Chyba tak było. Sonderkommando, któregośmy się najwięcej bali, jednak nie przyjechało i już wieczorem mogliśmy sobie powiedzieć, że jesteśmy wolni, że Niemców już nie ma i że możemy robić, co chcemy, iść, gdzie chcemy, i nic nam nie grozi.

Nagle to poczucie bezpieczeństwa po sześciu prawie latach, tego się nawet nie da opisać. Trudno sobie wyobrazić, co czuje człowiek zagrożony w ciągu wielu lat, który nagle staje się wolny i bezpieczny. To było uczucie niebywałe. I jedyne, co mi zatruwało tę radość — to myśl że Piotruś tej chwili z nami nie przeżył, że on tego nie doczekał.

Radość, szczęście, jakieś oszołomienie trwało przez pierwsze dni. Potem jednak przyszło załamanie. Musiałam zacząć życie od zera, właściwie niemal od początku. Sama, z trzema osobami na utrzymaniu: dwiema starszyskami i dzieckiem. Fakt, że Jędrus miał siedem lat, zupełnie mnie przerażał. To oznaczało, że muszę żyć jeszcze długo, zanim go wychowam. I wtedy nagle poczułam, że opadły ze mnie

398

wszelkie siły. Żyć normalnym życiem bez Piotrusia, bez wszystkich bliskich, których straciłam, zacząć od niczego, to mi się wydawało zupełnie ponad siły.

Nie wiem, ile dni spędziłam w takim jakimś otepieniu, ale moja \vitalność sprawiła, że to nie trwało długo. I jakkolwiek życie mi się wydawało zupełnie niemożliwe, od czegoś trzeba było zacząć. Myślałam, że literaturą nie zarobię. Jaką więc podjąć pracę? Nie umiałam niczego.

Nie miałam całkowicie ukończonych studiów wyższych, żeby być nauczycielką. Nie

wiedziałam w ogóle, co będę robić. Do tego dołączyły się jeszcze kłopoty finansowe. Nowe władze wymieniły przymusowo pieniądze, tak że na dorosłą osobę wypadło pięćset złotych. Ale na jak długo to mogło starczyć?

Trudno było zostawać u Morawskiej, trzeba się było dostać do Warszawy. Z wygaśniętym sercem, z rozpaczą w duszy, że muszę podjąć ten wysiłek, wyruszyliśmy pewnego dnia z Marynią. Już furmanką. Miedzy rzeczami znalezionymi na Bzowej była smokingowa koszula Jerzego, z krochmalonym gorsem. I w zamian za tę koszulę chłop zgodził się nas podwieźć do Warszawy.

Wolałam pojechać niż pójść pieszo jak poprzednio, dlatego że wiedziałam, że na tym nie koniec, że trzeba się będzie jakoś po tej Warszawie rozejrzeć, zobaczyć, co począć. Dojechaliśmy i doszliśmy już pieszo do mieszkania Maminka na rogu Kruczej i Alej Jerozolimskich. Mieszkanie było zburzone, częściowo zupełnie zawalone, częściowo rozszabrowane, tak że właściwie ocalał tylko przedpokój. Było zimno (koniec stycznia), więc napaliłyśmy w piecu, jedynym piecu, jaki pozostał, jakimiś odłamkami drzewa, które się poniewierały, i postanowiłyśmy przenocować. Nie znalazłyśmy niczego, co by się mogło na coś przydać, tylko jakiś fotel, jakieś krzesło. W każdym razie usiadłyśmy przy piecu, rozpaliliśmy ogień, ogrzałyśmy się trochę, byłyśmy bardzo głodne. Marynia znalazła w kieszeni kawałek zjełczałej skórki słoniny. Powiedziałam: „Niech Marynia to zje”. Odpowiedziała, że nie, że ją wstręt ogarnia. I wtedy ja zjadłam tę zjełczałą skórę od słoniny, tak byłam głodna.

Następnego dnia poszliśmy Alejami Jerozolimskimi w dół, w stronę Wisły. Bo mówiono, że można się przeprawić na drugi brzeg, że Praga jest cała i że jest most pontonowy, po którym można przejść. Doszliśmy prawie aż na samo wybrzeże, ale okazało się, że z jakichś tam względów Wojskowych czy innych most jest tego dnia zamknięty. Wróciłyśmy

399

więc i na oknie jakiegoś parterowego domu na Solcu zobaczyłyśmy napis, nie widziany już od dawna: „Kawiarnia”. Weszłyśmy. Było to mieszkanie, które ocalało, gdzie dwie panie podawały za niewielką opłatą herbatę. Napić się prawdziwej (widocznie z paczek), pocukrzonej herbaty to było coś zupełnie nadzwyczajnego. Tam też wymieniłam na złote ostatnią dwudziestodolarówkę. Postanowiłyśmy z Marynią, że teraz rozstaniemy się na jakiś czas, bo ona szukała czegoś dla Reni. Ja zaś poszłam na ulicę Langiewicza, gdzie był dom mego teścia, Ludwika Krzywickiego. Chciałam zobaczyć, czy ocalał. Ale cała ulica Langiewicza była zburzona, dom teścia w zupełnych gruzach. Kupa gruzów. I wtedy (nikt mnie nie widział) usiadłam na schodkach, które jakoś przetrwały, i całe to swoje załamanie, którego nie mogłam okazać ani Maminkowi, ani Maryni, ani tym bardziej Jędrusiowi, wypłakałam rzewnymi łzami. Płakałam chyba parę godzin. Płakałam nad zniszczonym dawnym życiem i nad niemożnością rozpoczęcia nowego. Co było potem, dokładnie nie pamiętam, prawdopodobnie gdzieś się spotkałam z Marynią, wróciłyśmy do Morawskiej. Po jakichś dwóch dniach ruszyłam już sama, pieszo, nie znając zupełnie drogi, do Podkowy Leśnej. Z Zalesia do Podkowy, tak „na nosa”. To było bardzo dużo kilometrów, zwłaszcza że nie szłam prostą drogą, a błąkałam się. Spotkałam na trasie parę ciężarówek rosyjskich z żołnierzami i wołałam na nich, żeby się może zatrzymali i podwieźli mnie kawałek. Każdy z nich nieodmiennie pytał: „Wódka jest!?” — „Nie ma”, odpowiadałam. Wtedy dodawał gazu i odjeżdżał. Byłam tak głupia i niedoświadczona, że nie rozumiałam, co ryzykowałam zaczepiając tych żołdaków. Ale jakoś na szczęście nie skusiłam żadnego.

Dotarłam do Podkowy, kiedy już było zupełnie ciemno. Jakim cudem dotarłam, nie wiem, ale doszłam wreszcie do Podkowy Wschodniej i stanęłam w lasku, tuż koło mego domu. I wtedy zobaczyłam swój dom, cały, nie ruszony. W oknach świeciło się światło, z czego wynikało, że mieszkają tam ludzie. Fakt, że ten dom stoi, że wśród wszystkich zgliszczy on właśnie ocalał, sprawił, że oparłam się o ścianę i znowu zapłakałam. To była chwila, której nie zapomnę.

Poczułam, że ogarnia mnie czyjeś przyjacielskie ramię i jakiś przyjacielski głos mówi: „No, ja ciągle tak przecież wychodzę i patrzę, czy pa" ni nie idzie z Warszawy". To był Antoś, dozorca od Skepskich, moich sąsiadów. Antoś, który okazywał mi niezmienną przyjaźń w czasie okupacji. To przyjacielskie ramię, w takiej chwili śmiertelnego,

400

zmęczenia i nagłego pęknięcia zapory, która mi tamowała łzy _ - można sobie wyobrazić, co poczułam.

Antoś zaprowadził mnie do Skepskich, tam mnie nakarmiono i napojono. W domu mieszkało dużo dzikich lokatorów, tak że nie mogli mnie przenocować, odpoczęłam więc trochę i poszłam na Stawisko do Jarosławów. Antoś oczywiście mnie odprowadził. Iwaskiewiczowie przyjęli mnie bardzo serdecznie, mimo że mieli dom pełen uciekinierów I Warszawy, i u nich spędziłam pewien czas, karmiona, pojona, skromnie bardzo, ale przyjacielsko i serdecznie, czego im znowu nigdy nie zapomnę.

Tę dobroć Jarosława chcę tutaj bardzo mocno podkreślić, bo wiem, że potem jako człowiek publiczny zachowywał się różnie i po wojnie różnie o nim mówiono. Ale ja go znam z tej dobrej strony. Pamiętam dzień, kiedy siedział przy mnie po śmierci Piotrusia, dzień, kiedy przyjął mnie po wybuchu wojny, mimo mego żydowskiego pochodzenia, no i teraz po wojnie, kiedy znalazłam u niego przyjacielskie schronienie i dach nad głową.

Zamieszkałam więc u Jarosława i przede wszystkim zaczęłam dobijać się o zwrot domu.

Najpierw poszłam do gminy, ale przyjęto mnie źle. Zjawił się lokator mego domu, niejaki pan Drzewiecki, fabrykant farbki do prania umieszczony tam przez Niemców, i pokazywał dumnie papier niemiecki. A przewodniczący gminy naskoczył na mnie, że chcę wypędzać człowieka z mieszkania, i w ogóle bardzo nieprzyjaźnie się do mnie odniósł. Wróciłam speszona na Stawisko i Jarosław powiedział, że gmina ma się zmienić, że pójdziemy razem drugi raz. I rzeczywiście poszliśmy po dwóch czy trzech dniach; już gmina była inna, przyjęto mnie dobrze, dano natychmiastowy nakaz dla Drzewieckiego, żeby opuścił dom. Uzbrojona w ten papier poszłam do niego i kazałam mu się wynosić. Wyprowadził się, zostały zupełnie puste ściany. Byłam jednak tak szczęśliwa, że mogę wrócić do swego domu, w którym przeżywałam piękne chwile, który cały był związany ze wspomnieniem Piotrusia i Boya, że mi było wszystko jedno, czy są meble, czy będę spała na podłodze.

Odzyskawszy dom, ruszyłam z powrotem do Zalesia. Tym razem droga nie wydawała mi się tak strasznie ciężka. Za pieniądze, które jeszcze miałam, Wynajęłam furmankę, razem z Marynią, Maminkiem i Jędrusiem pojechaliśmy najpierw do Warszawy, do mojego domku na Bzową, tam znaleźliśmy Jakiś stół, parę krzesel i tak obładowani wróciliśmy do Podkowy.

401

Tu nastąpiły znowu chwile bardzo wzruszające. Bo kiedyśmy przeje' dzali przez Otrębusy, wybiegła zza parkanu ogrodniczka, która nrze'fj wojną zaopatrywała mnie w jarzyny i owoce, i płacząc z radości razem 7 swoimi wszystkimi dziećmi (a było ich dużo) biegła przy furmancie ciesząc się, że pani Krzywicka wróciła.

Potem w Podkowie znowu radośnie padł mi w ramiona Józef, ojciec Albina. Albin był na robotach w Niemczech, ale cała jego rodzina powitała mnie niesłychanie serdecznie. Już nie mówię o Antosiu! Jacyś dozorczy Rygielscy, z innego zupełnie domu, też przybiegli. To było bardzo szczególne i godne zapamiętania, że powitali mnie właśnie tak naprawdę ze szczerego serca ci prości ludzie.

Jakoś rozgościliśmy się w tych pustych pokojach, już sama nie wiem jak, i teraz wydawało mi się najważniejsze — zacząć zarabiać. Bo pieniądze topniały.

Wyruszyłam tedy do Warszawy (kolejka już dochodziła do Szczęśliwie, więc tylko od Szczęśliwie trzeba było iść pieszo), bo Jarosław mi powiedział, że na Wiejskiej powstało wydawnictwo pod nazwą „Czytelnik" i że tam interesują się autorami, którzy przeżyli wojnę. Poszłam, rzeczywiście znalazłam nietknięty dom. Ten dom „czytelnikowski", który istnieje do

dzisiejszego dnia. Tam mnie przyjęło kilka pań, bardzo miłych, bardzo serdecznych. Ponieważ był już wieczór, jedna z nich przenocowała mnie u siebie i poradziła, żebym pojechała wojskową ciężarówką do Łodzi, bo tam znajdę centralę „Czytelnika” i Jerzego Borejszę. Wtedy pierwszy raz usłyszałam to nazwisko.

To był luty, polski luty, w otwartej ciężarówce, na stojąco jechaliśmy do Łodzi. Można sobie wyobrazić, jaka była ta podróż, jak piekielnie męcząca. Skąd ja brałam siły na to wszystko — naprawdę nie wiem. No, ale dojechałam do Łodzi i tam wskazano mi dom literatów. Poszłam, znalazłam Nałkowską, w pięknym mieszkaniu, bogato umeblowanym, ponemieckim. Nałkowską bardzo miło mnie przyjęła, ale nie zaproponowała żadnej pomocy. O piętro niżej mieszkała Gojawiczyńska, tam skierowałam się nieco śmieiej, bo uważałam, że mamy pewne rachunki między sobą do wyrównania. Mieszkając u Iwaszkiewiczów, całymi nocami siedziałam przy chorej Gojawiczyńskiej i robiłam jej zastrzyki i opatrunki. Jednak Gojawiczyńska przyjęła mnie teraz niezadowolona i wprawdzie kazała rozstawić dla mnie łóżko w przedpokoju (mimo że miała mieszkanie cztero- czy pięciopokojowe), ale nie tego się po niej spodziewałam.

402

1

Nazajutrz pobiegłam do „Czytelnika”. Borejsza miał zebranie, ale powiedziano mi, żebym zapukała. Nie znałam go, nie wiedziałam w ogóle, jak wygląda ówczesne bożyszcze literatów, ale zapukałam, gorejsza wyskoczył do mnie, chwycił mnie w objęcia, wołając „per ty”: „Ach, Irena, jesteś, żyjesz, pewno ci są potrzebne pieniądze!” — wyjął z kieszeni pięć tysięcy i wepchnął mi je do ręki. To mnie bardzo wzruszyło.

Po pewnym czasie pojechałam znowu do Łodzi, znów w tych samych, straszliwych warunkach, na otwartej ciężarówce, smagana lodowatym wiatrem. Pojechałam z ocalałym rękopisem pierwszego tomu Martenów. Ocalałym chyba cudem, doprawdy, nie wiem, jakim sposobem. Może dlatego, że nie warto było tego nikomu szabrować, dla mnie to jednak przedstawiało poważną sumę pieniędzy.

I tak kursowałam między Łodzią a Podkową kilkakrotnie.

Nie interesowałam się wówczas specjalnie sprawami politycznymi. Nie miałam na to siły i czasu. No, ale pewne rzeczy wyprowadzały mnie 7. równowagi. Na przykład plakat, który się pokazał na murach Łodzi i Warszawy, przedstawiający robotnika depczącego „zapłutego karła”, pod którym figurował napis „AK.”. Jak to, żeby zaraz po wojnie w taki sposób przedstawiać bohaterskie AK?

Wielu rzeczy nie rozumiałam. Także tego, dlaczego Janina Broniewska zaprosiła mnie kiedyś w Łodzi na kawę i rozpoczęła rozmowę na temat, czy będziemy przyłączeni do Rosji, czy nie. Broniewska bardzo dobrze orientowała się w sprawach politycznych, bo przyjaźniły się z Wandą Wasilewską, która była podopieczną Stalina (podobno mówił o niej: „lubimaja Wanda Lwowna”). Bardzo to, swoją drogą, jeszcze dzisiaj wydaje mi się dziwne. Stalin, taki nieufny, nienawistny, akurat kochałby Wasilewską? Dla mnie znowu Wanda Wasilewską była zawsze córką Leona Wasilewskiego, porządnego człowieka, PPS-owca. To wszystko mi się jakoś nie kojarzyło, ale — jak powiadam — nie zastanawiałam się nad tym za bardzo. Wiedziałam, że powstał nowy rząd, ale byłam dość zdziwiona, że w tym rządzie zasiada Wincenty Rzymowski, członek Akademii Literatury, znajomy, no i Osóbka-Morawski — PPS-owiec, nie... nie mogłam się w tym wszystkim połapać. Jak mówią Rosjanie — „bez wódki nie razbieriesz”.

Nie był to zresztą moment, żeby się nad tym specjalnie zastanawiać, bo zbyt szybko byłam zaabsorbowana życiem bieżącym. Przez dłuższy czas

403

się wahałam, czy mam zamieszkać w Łodzi, czy w Podkowie. Zdecydowałam się jednak na Podkowę, tym bardziej, że kolejka dość szybko się odbudowywała, zaczęto kłaść szyny, zaczęły krążyć wagony, komunikacja z Warszawą stawała się coraz łatwiejsza.

W czasie moich pierwszych, żalonych wędrówek styczniowych po Warszawie nagle zobaczyłam w jakimś załomie muru twarzyczkę Piotrusia który patrzył na mnie swoimi dużymi szarymi oczkami. Zupełnie osłupiałam. Po pierwszej chwili oszołomienia zobaczyłam napis „Fotograf i strzałkę narysowaną kredą czy wapnem. Zeszłam do piwnicy. Okazało się, że tam zainstalował się już fotograf. Znalazł gdzieś kliszę z portretem Piotrusia — zdaje się, że to było jakieś próbne zdjęcie, ale chłopczyk wydał mu się tak śliczny, że powiększył je i powiesił, by przyciągało do zakładu. Ciągłe w tym czasie byłam zniechęcona, jakaś przerażona, z brakiem świadomości, jak mam dalej żyć. Dałam Rodzinę Martenów Borejszy, wiedziałam, że dostanę jeszcze trochę pieniędzy. No, ale ile można było zarobić za książkę? Nie bardzo widziałam dla siebie miejsce w pracy dziennikarskiej czy publicystycznej. Powstała wprawdzie wówczas „Kuźnica”, ale to pismo robiło spustoszenie we wszystkich pojęciach o literaturze. Nikt mnie zresztą nie zaprosił do współpracy z „Kuźnicą”, ale nawet gdyby tak się stało — pewnie bym odmówiła. Jednym słowem moja literacka przyszłość pozostawała pod dużym znakiem zapytania. I wtedy, pewnego dnia, kiedy wlokłam się ulicami Warszawy ze spuszczoną głową, w podartym palcie męża, w podartych butach, znowu w silnej depresji, podszedł do mnie jakiś człowiek i powiedział: „Ach, pani żyje, jak to dobrze, jak to świetnie, szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pan Rzymowski pani szuka. I koniecznie chciałby panią zobaczyć, pytał o panią wielokrotnie. Niech pani idzie na Pragę, zobaczy pani, jak panią dobrze przyjmie”.

Poszłam tedy na Pragę, jeszcze przez ten pontonowy most, który się kołysał, umieszczony na łodziach, znalazłam ministra Rzymowskiego, który przyjął mnie od razu i tak samo jak Borejsza niemal mnie pochwyił w objęcia, z radości, że żyję. „No, jak to dobrze, że panią widzę, pani Ireno kochana, jedzie pani do Paryża jako attache kulturalny”.

Trudno mi wytłumaczyć słowami, co wówczas poczułam. Powiedzieć osobie tak nieszczęśliwej, tak odciętej od życia, tak obdartej, tak zgłodniałej, tak wymizerowanej, wymęczonej, że jedzie do Paryża---Przede mną był tam przecież Lechoń, bywałam w Paryżu, bywałam

404

u niego. Przyjmował bardzo elegancko, bardzo wytwornie... no i nagle ja mam jechać na to miejsce? Powiedziałam Rzymowskiemu, że to jest absolutnie niemożliwe, że ja się tam skompromituję, że nie wiem, co się działo przez te sześć lat, może zapomniałam nawet mówić po francusku. a w ogóle nie nadaję się, nigdy nie byłam urzędnikiem. „Ale pani nie będzie tam urzędnikiem, tylko dyplomata”. To mnie specjalnie nie skusiło, bo nigdy w życiu nie byłam wrażliwa na tytuły czy honory, ale przecież zapewniano mi posadę. Stały dochód miesięczny i możliwość utrzymania rodziny. Taka była pierwsza myśl. A druga — to był Paryż. Pojechać do Paryża — to tak jakby cofnąć się w przeszłość. Znaleźć się znowu w Paryżu — wydawało mi się tak niemożliwe i tak cudowne.

Byłam zupełnie oszołomiona tą propozycją, a tymczasem Rzymowski już telefonował, już kazał wypisywać jakieś papiery, już właściwie sprawa była zaklepana. Zasadniczych przeszkód, że tak powiem: ideologicznych, nie miałam. A na swoje usprawiedliwienie — że ten rząd był właśnie uznany przez aliantów, no i że tutaj znajomy człowiek mi proponuje tę posadę, że może... Oczywiście Polska będzie inna. socjalistyczna, ale ten cały komunizm, którego się bałam, o którym właściwie wiedziałam przed wojną wszystko, myślałam, że po prostu ewoluował, że się zmienił, że przecież czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają, warunki się zmieniają. Nie widziałam zasadniczych przeszkód do objęcia tej posady.

Po paru tygodniach poszłam do ambasadora Skrzyszewskiego i znalazłam go w pokoju załadowanym bielizną, materiałami, ubraniami, butami, walizkami. Powiedział: „Bardzo się

cieszę, że pani będzie naszym attache kulturalnym, niech pani sobie wybierze tutaj, co pani chce, bo to jest właśnie przeznaczone dla personelu. Pamiętam, że wybrałam buciki, bo moje były już tak podarte, że mi spadały z nóg, i płaszcz. Skrzyszewski powiedział, że reszta rzeczy — bielizna i ubrania — zostaną zapakowane do waliz i przewiezione bezpośrednio do Paryża, a tam dopiero rozdzielone. Później już niczego z tego nie zobaczyłam, ani ja, ani nikt z moich kolegów.

Wyjazd do Paryża wyznaczono na wrzesień, tak że jeszcze miałam przed sobą całe lato. Zastanawiałam się, czy się przenieść do Łodzi, gdzie mi oferowano mieszkanie w domu literatów, ale wobec rychłego wyjazdu nie było warto się ruszać. W Łodzi jednak bywałam często (mieszkałam nawet po kilka dni) i tam właśnie zobaczyłam kogoś

405

dnia w stołowce „Czytelnika” Niute Morską. Padłyśmy sobie w objęcia płacząc na oczach wszystkich, i Niuta opowiedziała mi o straszliwej sytuacji, w jakiej się znalazła (opisałam ją potem w noweli Zamurowany świat). Otóż była we Lwowie z doktorem Rubinrautem, swoim kochankiem, i tam zjawił się jej mąż, Bronisław Knaster, profesor matematyk. Na skutek skomplikowanych warunków (cała trójka się ukrywała) musieli zamieszkać we troje. Można sobie wyobrazić, co to było za piekło między mężem a kochankiem, w zamknięciu, w jednym pokoju. To się nie śniło nawet Sartre'owi.

Wobec Niuty pozostał mi wyrzut sumienia. Któregoś wieczora weszła do mojego łódzkiego mieszkania i powiedziała: „Słuchaj, jest ciężarówka czy auto do Warszawy, jadę. Mój przyjaciel Wolski... Ale, słuchaj, gdybym umarła...” Ja na to odpowiedziałam: „Słuchaj, Niuta (bo Niuta była troszkę teatralna, troszeczkę zmanierowana), nie zwracaj głowy, nie umrzesz. Jeżeli ktoś ma umrzeć, to raczej ja, bo tyś przeżyła ciężkie rzeczy, ale ja przeżyłam rzeczy straszne, zupełnie nie do przeżycia. Nie zwracaj głowy, zobaczymy się za dwa czy trzy dni”. Ona już nic więcej nie powiedziała i poszła. I tej właśnie nocy umarła w Warszawie. Nie wiem, co mi chciała powiedzieć, przekazać, zlecić. Nie wiem, ja jej tak brutalnie przerwałam, a to były jej ostatnie słowa. Umarła zresztą na skutek zbytnej delikatności, zbyt dobrego wychowania. Złapały ją bóle w nocy, nocowała u Wolskich (u tego Wolskiego, który potem był ministrem) i nie chciała ich budzić. Chodziła więc całą noc po pokoju, zdaje się, uważała, że to są żołądkowe bóle, a to był zawał serca. No i dopiero rano poprosiła o pomoc, ale już było za późno, już była nie do uratowania.

Jeszcze na chwilę wracam do „Kuźnicy”, której powstanie było dla mnie ciosem, tak się poczułam niesłusznie skrzywdzona przez to pismo. Nie tylko dlatego, że napastowano mnie osobiście, ale dlatego, że wszystkie wartości, które były dla mnie cenne, zostały przewrócone do góry nogami. Obrzucano błotem na przykład Conrada, w ogóle wszystko to, co mi się wydawało piękne, wielkie, cenne. Na czele tej grupy stał Stefan Żółkiewski, ongi, przed wojną przywódca czy uczestnik Legionu Młodych, prorządowej organizacji sanacyjnej. Wiadomo, że część sanacji miała skłonności faszystujące, czemu dał wyraz Ozon. I ów zapaszek faszystujący, tylko na czerwono, znalazł się wśród tej grupy „Kuźnicy”. Kazio Brandys, obecnie mój przyjaciel, zgodził się ze mną, że działalność „Kuźnicy” była w jakimś sensie

406

^Jbj^uJ

sZkodliwa, a Leszek Kołakowski teraz niedawno w czasie rozmowy powiedział, że to była właściwie haniebna działalność. Maitre a penser był właśnie ten Żółkiewski, właściwie miernota intelektualna. I pełno tam było zgryźliwych zawiści takich postaci jak Ważyk, który nigdy nie mógł dojść do rangi Słonimskiego, Tuwima czy innych poetów „Ska-tnandra”. Tak, że znalazło się tam pełno ludzi, którzy nie mogli „doskoczyć” do „Wiadomości Literackich” albo „doskakiwali” sporadycznie, i to ich przejęło nienawiścią do wszystkiego, co było z „Wiadomościami” związane, a więc i do mnie.

Nieczyste było pochodzenie tej „Kuźnicy”. Pamiętam ówczesną rozmowę z Andrzejewskim, którego lubiłam, bardzo zapalczą i pełną przejęcia. Chodziliśmy po ulicach Łodzi i Andrzejewski gorączkowo tłumaczył mi, że katolicyzm nie jest absolutnie sprzeczny z komunizmem, że te rzeczy się łączą w jakiś sposób, kontynuują. A człowiek wierzący może przyjąć marksistowską doktrynę. On tego nie wyklądał agresywnie w stosunku do mnie, bo z Andrzejewskim byłam zawsze w dobrych stosunkach. Jednakże nie było dla mnie miejsca wśród nich. Dlatego propozycja Rzymowskiego wydała mi się ratunkiem w tej trudnej sytuacji. Zdecydowałam się być urzędnikiem. Zawsze mnie przerażało biuro jako takie, ale wyobrażałam sobie, że jednak być attache kulturalnym to w jakimś sensie nieść kulturę polską za granicę. Kulturę polską, tak jak ja ją rozumiałam, to znaczy wszystkie wielkie wartości, które powstały dotąd, i oczywiście tych, którzy działali dalej i byli cenni i potrzebni. Nie ukrywam, że działalność „Kuźnicy” wpłynęła w jakiś sposób na mój wyjazd do Paryża. Nie widziałam dla siebie miejsca w życiu literackim kraju.

Ten okres od końca wojny, to znaczy od stycznia 1945 roku do września czy października, kiedy pojechałam do Paryża, zatarł mi się trochę w pamięci. Wiem, że dużo kopałam w ogrodzie razem z Marynią, siałyśmy, sadiłyśmy i właściwie nie zbierałam się na ten wyjazd, jakos traktowałam to jako rzecz bardzo mało realną.

Nie czułam się dobrze w powojennej Polsce. Bo to już nie była dawna Polska ani dawna Warszawa. To był zupełnie inny świat, rozwarła się ogromna szczelina między mną a powojenną polską rzeczywistością.

407

Dlatego też siedziałam, jak tylko mogłam, w Podkowie. Radosnym momentem był powrót Albina z robót u Niemców. Wrócił stamtąd

1- - * - - - • - 1 1 _ _ ! 1-1-1* -TV »
*

mizerny, wymęczony, ale strasznie kochany i bliski. Rzucił mi się

w objęcia płacząc. „Coście zrobili z moim Piotrusiem! — mówił. Coście zrobili!” Poszedł oczywiście do swoich rodziców. Nie mieszkał u mnie, ale przychodził codziennie i był mi podporą, pomocą. Miałam w nim bliskiego, kochanego człowieka, takiego naprawdę oddanego.

O jeszcze jednym spotkaniu powojennym chciałabym opowiedzieć. Kiedy poszłam po raz któryś do gmachu rządowego na Pradze, żeby omówić bliżej sprawę mojego ewentualnego wyjazdu do Paryża spotkałam nagle na korytarzu mojego dawnego przyjaciela Andrzeja Stawara, którego straciłam zupełnie z oczu na przeciąg wielu lat. Kiedy mnie zobaczył, zaczerwienił się, pobladł, ręce mu się zatrzęsły, dawno już nie widziałam tak silnego wrażenia, które by się przejawiało równie gwałtownie. Przywitałam się z nim jak najserdeczniej, on też pozbierał się, no i nasza przyjaźń zaczęła się na nowo. Stawar był brzydki, mówił nieefektownie, jąkał się trochę, był pozbawiony właściwie poczucia humoru, ale ceniłam w nim głębię myśli i przenikliwość spojrzenia.

Teraz opowiem w paru słowach o Jędrku w owym czasie. Kiedy wojna się skończyła, miał siedem lat. Zapisalam go oczywiście do szkoły, no i tam od razu spotkał się z czymś okropnym, czego niestety do dzisiejszego dnia nie zapomniał. Z wrogością kolegów, którzy zaczęli mu wymyślać od Żydów, a nawet w jakimś momencie rzucili się na niego. Musiałam interweniować u dyrektora, który zresztą był bardzo miłym i postępowym człowiekiem. Poza tym ku swemu zdziwieniu ci chłopcy zobaczyli, że Jędrzek chodzi do kościoła na mszę, że się spowiada, przystępuje do komunii. To ich w jakiś sposób rozbroiło. Ja nie protestowałam przeciwko temu absolutnie. On chodził do kościoła z Marynią, ja już wtedy nie chodziłam. Robiłam ten wysiłek jeszcze w czasie okupacji, potem jednak doszłam do wniosku, że to nie

ma sensu, nie będę się zakłamywać. Ale absolutnie nie miałam zamiaru wpływać na poglądy Jędrka.

Potem, kiedy się okazało, że Jędrak uczy się znakomicie, zaczął być bardzo lubiany i popularny, tak że skończyło się wszystko dobrze. Ale to początkowe zetknięcie się z antysemityzmem, takim brutalnym, t>ył° bardzo silnym szokiem i do dzisiejszego dnia, kiedy wspomina Polskę, mówi, że to było jednak nie do zniesienia.

W mojej ciężkiej sytuacji finansowej po wojnie dużą pomocą okazała

408
się to, że Borejsza postanowił wydać wspomnienia Ludwika Krzywic-Iciego, które Marian Falski zdołał przechować. Ukonstytuował się wtedy komitet przyjaciół Ludwika Krzywickiego, złożony z ludzi bardzo szanowanych i godnych najwyższego uznania, to znaczy właśnie palskiego, Stanisława Stempowskiego, Henryka Kołodziejskiego, Jana Strzelckiego i innych, którzy tą właśnie edycją mieli się zająć. \V tym też czasie dostałam krótką depeszę z Ameryki, od Aleksandra Krzywickiego, w której pytał, czego mi potrzeba. Było to idiotyczne postawienie sprawy z wielu względów. Po pierwsze dlatego, że potrzeba mi było wszystkiego. A po drugie, że nie miałam pieniędzy na to, by oddepeszować. Wkrótce potem przyszedł od niego list, w którym pisał: „Z oficjalnego źródła dowiedziałem się o śmierci brata mego, a męża pani. Jednocześnie podaję do wiadomości, że kieruję sprawę do sądu, dlatego że pani samowolnie rozporządziła spuścizną po świętej pamięci ojcu moim, oddając dzieła jego w ręce bolszewików...”

W tym samym liście powiadomić kobietę o śmierci męża (mimo że wiedziałam o tym) i jednocześnie grozić jej wystąpieniem do sądu, co zresztą było absurdem, bo on będąc w Ameryce do sądu wystąpić nie mógł. A ja przecież lojalnie od razu uprzedziłam Borejszę, że istnieje jeszcze drugi spadkobierca Ludwika Krzywickiego, tak że połowa honorarium, która należała się wnukowi, była wypłacona na moje ręce, a druga połowa była od razu przekazana na konto dla żyjącego syna. Inna rzecz, że z pieniędzy tych nie mógł skorzystać, a z właściwą sobie złośliwością i podłością zrobił tak, żebym ja ich nie mogła dostać, żeby nie przypadły Jędrkowi.

Muszę tu jeszcze dodać, że gdy Jędrak później strasznie ciężko zachorował, kiedy znalazłam się w rozpaczliwej sytuacji zarówno ze Względów moralnych, jak i finansowych, Maria Morawska, ta która Uratowała nam życie po powstaniu, napisała do swego brata, Misiakowskiego, który wyjechał w momencie wybuchu wojny razem z Krzywic-kimi za granicę, żeby zawiadomił Aleksandra o chorobie Jędrka. I zapytał go, czyby jednak nie zrzekł się swojej części honorarium za dzieła dziadka na rzecz wnuka, jedyne wnuka Ludwika Krzywickiego. Na co Aleksander, wierny sobie, odpowiedział: „Nie zgadzam się!”

No a już znacznie później, kiedy Jędrak ukończył studia i kiedy w wieku lat dwudziestu jeden uzyskał doktorat, będąc w ten sposób najmłodszym doktorem w Polsce, powiedział, że przez przekorę, tak dla

409

śmiechu, napisze do stryja: „Zobaczymy, jak stryj zareaguje” – i napisał, że ma doktorat i że zamierza iść drogą naukową. Otrzymał odpowiedź, że mieć doktorat, to jeszcze nic, że pozostaje jeszcze mor? wiedzy do wypicia, że trzeba jeszcze pracować, i oświadcza, że gotów jest nawiązać z Jędrkiem stosunki, jeżeli Jędrak zwróci pieniądze pobrane z dzieła dziadka, to znaczy swoją część honorarium. Czy to w ogóle może pomieścić się w głowie?

Ale znów daleko wybiegłam w przyszłość, a tymczasem wrócić muszę do dnia, gdy przed mój dom w Podkowie zajechała ciężarówka, żeby zabrać nas i bagaże. Jakie ja tam miałam bagaże! Parę węzełków zaledwie, nie wiem nawet, czy walizeczkę! Załadowaliśmy się na ciężarówkę, nawet mi nie przyszło na myśl, że można inaczej podróżować. Czułam się i tak szczęśliwa, że ta ciężarówka była zakryta.

Dojechaliśmy do Warszawy i tam zapakowano nas do pociągu towarowego, w którym jednak były koje do spania i piecyki na węgiel — do gotowania. Okien nie było, tylko drzwi lekko rozsunięte.

Podróż do Paryża trwała dwa tygodnie. Tory były pozrywane, napotykaliliśmy tysiące przeszkód technicznych.

Udało nam się zwiedzić Pragę i przez te uchylone drzwi wagonu widziałam powojenne Niemcy, niemieckie miasta, ruiny — wzgórza z cegieł, gruzu i piachu. Pamiętam też, że zatrzymaliśmy się w Norymberdze, która również była jednym wielkim rumowiskiem.

Wyszłam na jakieś pół godziny z pociągu, żeby zobaczyć to, co niegdyś było miastem, i zaobserwowałam kobietę sprzedającą trzy cebule. Tłoczyły się koło niej inne kobiety i odchodziły ze spuszczoneymi głowami, bo cena tych cebul była widocznie za wysoka. Na własne oczy zobaczyłam głód w powojennych Niemczech.

Ale ta podróż upłynęła dla mnie właściwie w jakiejś bezpamięci. Leżałam cały czas na koi. Marynia coś tam gotowała, Jędrzek bawił się z innymi dziećmi. To było jakby leczenie snem, po tym wszystkim, co przeżyłam w czasie okupacji i potem, po miesiącach ogromnego napięcia i wysiłku fizycznego, które przekraczały moje siły. Nie myślałam o niczym, nie wspominałam. Właściwie do samego Paryża dojechałam jak pod narkozą. Ale dojechałam i tam miał się rozpocząć kolejny, zupełnie nowy rodzaj mego życia.

Przypisy

s. U

* Felicja Goldbergowa (1872—1959) — dentystka, działaczka Bundu w Warszawie i Palenicy.

s.12 - •:•...•.

* Stanisław Goldberg (1872—1905) — działacz Bundu, współpracownik „Głosu”.

s. 13

* Autorka myli się. Podobnej sceny nie ma w wymienionym utworze.

s. 14

* Feliks Koń w swoich wspomnieniach podaje, iż w 1895 r. na zesłaniu w Bałagańsku dowiedział się, że Stanisław Goldberg „jest niebezpiecznym zdrajcą, który wydał wielu”. Po powrocie z zesłania do Warszawy (1904) poinformował o tym CK Bundu, który zażądał od Goldberga wyjaśnień. Goldberg zarzutom nie zaprzeczył. Oświadczył, iż zrozumiał swoje przestępstwo i „swoją pracą rewolucyjną w ciągu wielu lat starał się odkupić swoją winę”. CK Bundu podjął uchwałę zalecającą mu niewystępowanie publiczne. Por. F. Koń, *Narodziny wieku*, s. 538—539, a także S. Brzozowski, *Listy*, t. 1—2. Opracował, przedmową, komentarzem i aneksami opatrzył M. Sroka, Kraków 1970.

s. 18

* Jekutiel Portnoj, pseudonim Noach (1872—1941) — działacz żydowskiego ruchu socjalistycznego, publicysta. W latach trzydziestych uważany za czołową Postać i wybitny autorytet w kierowaniu wydawnictwami i prasą Bundu.

Henryk Ehrlich (1882—1941) —jeden z przywódców Bundu. Zatrzymany Przez Sowietów w 1939 r. i stracony wraz z Wiktorem Alterem w grudniu 1941.

413

* Wiktor Alter(1890—1941) — główny teoretyk i przywódca Bundu jed z najbardziej aktywnych działaczy socjalistycznych w Polsce. Aresztów ^ 26 września 1939wKowlu, w lipcu 1941 skazany na karę śmierci, zamienień 10 lat obozu. W październiku zwolniony z więzienia. W uzgodnieniu z władza ^ sowieckimi miał organizować Międzynarodowy Żydowski Komitet Antyfaszy towski. 4 grudnia 1941 wraz z Henrykiem Ehrlichem aresztowany w Ku' byszewie, wkrótce potem stracony.

s. 20

* W 1880 r. na wiosnę Sieroszewski dotarł do miejsca swego zesłania, osady Wierchojańsk w obwodzie jakuckim. Poznał tam dwudziestoletnią Annę Jakutkę, siostrę żony innego zesłańca, Jana Zabarowskiego. Mieli córkę Marie' Matka zmarła, w l. 1887—92 Sieroszewski sam opiekował się dziewczynką (opisał to w powieści *W matni*).

s. 22

* Goldberg poznał Brzozowskiego w kwietniu 1904 w redakcji „Głosu”. Dostępne źródła nie potwierdzają supozycji autorki o ich zażyłości.

* Z listu Stanisława Brzozowskiego do Obwodowego Komitetu PPSD we Lwowie z 16 maja 1908: „Miałem wydać Stanisława Goldberga. Stanisław Goldberg aresztowany został wiosną 1904 roku i sam później mówił mi, że żandarmeria nie zdołała sformułować przeciwko niemu poważniejszych zarzutów; w tym czasie widziałem go zaledwie raz w redakcji «Głosu» jako jednego z współpracowników. Nie wiedziałem nic o jego działalności w Bundzie prócz tego, że prosił mnie o odczyty dla tej organizacji. Z tej też racji przeważnie obaj więc bywaliśmy u siebie najczęściej”. (Brzozowski, *Listy*, t. 1, Kraków 1970, s. 549).

s. 34

* Klótnia Adasia z kolegą istotnie się zdarzyła, ale nie była powodem śmierci chłopca. Zmarł na gruźlicę 30 lipca 1918 w „Chacie” nałęczowskiej.

s. 35

* Posiedzenie sądu partyjnego 21 marca 1909 rozpoczęło się od zeznań Felicji Goldbergowej, żony Stanisława, która informuje o kontaktach swego m?ża, współpracownika „Głosu”, z Brzozowskim. Goldberga śledzono od 1903 r. Aresztowany został w kwietniu 1904, w sześć tygodni po aresztowaniu Goldbergowej. O jego działalności konspiracyjnej nic w Ochranie nie wiedzieli-Bakajowskie informacje o stosunku Brzozowskiego do Goldberga były dla niej niespodzianką. O zamiarze legalizacji Uniwersytetu Ludowego nigdy nie słyszała.

Brzozowski w okresie wygłaszania odczytów w Palenicy poznał kilku

414

bundowców, których żadne przykrości policyjne później nie spotkały. (Brzozowski, *Listy*, jw., t. 2, s. 677).

s. 67

* Brak wiarygodnego potwierdzenia tej informacji.

s. 69

* Leon Purman — późniejszy działacz KPP. .s

<; .

s. 70

* Hempel wydawał „Głos Robotniczy” od 1918 r., Krzywicka współpracowała najprawdopodobniej z „Kulturą Robotniczą” ukazującą się w l. 1921—23 pod tą samą redakcją.

s. 74 * Krucza 47a m 18.

i. 77

* Świadectwo dojrzałości: Irena Goldberg wyznania mojżeszowego uczęszczała do szkoły w ciągu 4 lat i ukończyła całkowity kurs nauk i w czerwcu 1917 złożyła przed Komisją Egzaminacyjną egzamin dojrzałości. Sprawowała się wzorowo, inne oceny: w języku i literaturze polskiej — 5 celujące, w języku niemieckim — 3 dostateczne, w języku francuskim — 4 dobre, w języku łacińskim — 4 dobre, w historii — 4 dobre, w matematyce — 3 dostateczne, w fizyce — 4 dobre, w chemii — 4 dobre, w naukach przyrodniczych — 5 celujące, w kosmografii — 4 dobre, w logice i psychologii — 5 celujące, w ekonomii politycznej — 5 celujące, w rysunkach — 3 dostateczne.

s. 78

* Duhamel w Warszawie — „Wiadomości Literackie” 1926, nr 48.

i. 79

* Wedle dokumentów z archiwum Uniwersytetu Warszawskiego Irena Goldberg zaliczona została w poczet słuchaczy Wydziału Filozoficznego zimą 1917 r. Zaliczyła łącznie 8 semestrów (do lata 1922). Uczęszczała na wykłady Kleinera, Kreczmara, Kryńskiego, Handelsmana, Smoleńskiego, Przychoc-kiego, Batowskiego, Kotarbińskiego, Ujejskiego, Witwickiego, Gubrynowicza, Łukasiewicza, Szobera oraz na seminaria Gubrynowicza, Ujejskiego, Szobera i Batowskiego.

415

* Ludwik Krzywicki wykładał na Wolnej Wszechnicy Polskiej, w Szkol Głównej Handlowej i na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie prowadził stworzo na ad personam w 1921 r. katedrę historii ustrojów społecznych, zamknięta w 1935 r. z chwilą przejścia Krzywickiego na emeryturę.

s. 81

* W kwietniu 1920 r. Kleiner został mianowany profesorem zwyczajnym historii literatury polskiej na Uniwersytecie we Lwowie. O powodach zmiany miejsca pracy nic bliższego nie wiadomo.

s. 87

Jerzy Krzywicki urodzony w r. 1896 w Warszawie.

s. 94

* Prawdopodobnie chodzi o obraz zatytułowany Wampir.

s. 107

* Pod pseudonimem Irena Jenis Krzywicka opublikowana również: Świt (wiersz), „Sztandar Socjalizmu”, Warszawa 1918, nr 2, Ranki filmowe, „W słońcu”, Warszawa 1920, nr 3 i Człowiek z ulicy. „Naród”, Warszawa 1920, nr 195 („Dodatek Literacko-Artystyczny” nr 5).

s. 109

* Nie udało się ustalić bliższych szczegółów owej sprawy.

s. 110

* Stefan Arskł (ur. 1910) — publicysta, redaktor. Pracę dziennikarską rozpoczął w 1933 r. w pismach socjalistycznych, 1947—48 członek władz naczelnych PPS i red. nacz. „Robotnika”, 1948—51 zastępca red. nacz. „Trybuny Ludu”, od 1951 do likwidacji pisma red. nacz. tygodnika „Świat”.

s. 122

* Opowiadanie Miłość za pustynią ukazało się w „Wiadomościach Literackich” 1935, nr 10.

s. 136

* Ludwik Krzycki poślubił we Lwowie 10 lutego 1886 r. poznaną jeszcze w Zurychu studentkę medycyny, związaną z partią Narodna Wola, emigrantkę rosyjską Rachelę Ludwikę Feldberg (zmarła 1924).

s. 143

* Ślub Jerzego Krzywickiego (lat 26) i Ireny z domu Goldberg (lat 24) odbył się 18 lipca 1923 (nr aktu 157).

* Aleksander Hertz (1895—1983) — socjolog, od 1940 w USA. Pisał i publikował po polsku i po angielsku. Wydał m.in.: Żydzi w kulturze polskiej (1961), Refleksje amerykańskie (1966), Wyznania starego człowieka (1979).

s. 148

* Aleksander Krzywicki urodził się w 1886 r. w Warszawie, inżynier lotnictwa, od II wojny światowej w USA.

s. 167

* Nowa książka Romain Rollanda, „Wiadomości Literackie” 1924, nr 14.

s. 174

* Premiera spektaklu odbyła się 14 listopada 1937.

- * Por. przypis do s. 78. U Jules Romains, „Wiadomości Literackie” 1927, nr 13.
s. 178
- * „Wiadomości Literackie” 1928, nr 42.
s. 181
- * Tekst ukazał się w „Pologne Litteraire” 1928, nr 17 pt. Trois faces de Boy-Żeleński, poe^te, critique, savant.
- * Studia Boy jako tłumacz i Oryginalność w przekładach Boya ogłosił Wa^cław Borowy w „Przeglądzie Warszawskim” 1922, nr 7 i 9. Przedruk w Studiach i rozprawach, Wrocław 1952, t. II.
s. 182
- * A. Stawar, Tadeusz Żeleński (Boy), monografia powstała w 1949 r., wydana w Warszawie w 1958 r.
s. 202
- * Zdzisław Czermański (1896—1970) — artysta malarz, karykaturzysta, od 1920 r. współpracownik pism ilustrowanych. Albumy karykatur: Sport w karykaturze (1922), Warszawa w karykaturze (1927), Marszałek Pilsudski (1931).
^ 205
- * Słonimski opisuje w Alfabcie wspomnień scenę w „Ziemiańskiej”, kiedy to został spoliczkowany (i oddał) przez młodego poe^tę Zygmunta Ipohorskiego ze
416
417
słowami: „Masz za Dwie ojczyzny”. Taka bojówkarska napaść za wie patriotyczny wywołała wielkie oburzenie nawet u „domorosłych rasistów” Ipohorski, w czasie okupacji hitlerowski agent, zginął skazany przez sąd ArrrT Krajowej.
- Wiersz Dwie ojczyzny wydrukowano w „Wiadomościach Literackich” 193» nr 3. Informacje o przebiegu zajścia podały m.in. „Wiadomości Literackie” 1938, nr 4 oraz „Goniec Warszawski” 1938, nr 14. W związku z zajściem ukazały się liczne głosy protestu w obronie Słonimskiego (m.in. K. Pruszyńskiego Z. Mitznera, M. Niedziałkowskiego. M. Grydzewskiego).
s. 215
- * W „Wiadomościach Literackich” pisywała Krzywicka stale od 1924 r recenzje teatralne w „Skamandrze” drukowała w l.1935—38, a w „Robotniku” w r. 1930 i 1939.
s. 218
- * Kie^p — dawniej srom kobiecy (sic!). W XV—XVIII w. wulgarna i bardzo nieprzyzwoita nazwa żeńskich genitaliów, w XVII i XVIII omawiana jako „cztery litery”.
s. 219
- * B. Winklowa, Tadeusz Żeleński-Boy. Twórczość i życie, Warszawa 1967. Jak dotąd najbardziej wyczerpująca monografia biobibliograficzna Boya, nieocenione źródło wiedzy o nim.
- * O Prouście pisali już w 1924 r.: Boy (Nowe sionce literatury, „Kurier Poranny” 1924, nr 45) i Stefan Napierski. Artykuł Krzywickiej Proust po polsku wydrukowano w „Wiadomościach Literackich” 1936, nr 49, tekst o Boyu pt. Nieznany pisarz tamże, 1930, nr 11, o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej tamże, 1929, nr 1 (O poezji Marii Pawlikowskiej), o Uniłowskim (Straszne mieszkanie) tamże, 1932, nr 47. Reportaże sądowe Ireny Krzywickiej pt. Sąd idzie, z przedmową Mieczysława Ettingera, ukazały się w Warszawie w r. 1935. Tom zawiera felietony drukowane w „Wiadomościach Literackich” w latach 1930—34.
- * W pierwszych dniach kwietnia 1928 „Wiadomości Literackie” zaczęły drukować cykl szkiców Boya o Przybyszewskim, zebranych potem w tomie Ludzie żywi. Artykuł Kłamstwo Przybyszewskiego wywołał głosy polemiczne Jakuba Geszwinda i S. Maykowskiego. W maju 1928 „Wiadomości Literackie

„głosiły przedmowę Boya do zbiorowego wydania Dzieł Mickiewicza pod redakcją M. Kridla. „Rewizjonistyczny” tekst wywołał ataki ze strony prasy „rawicowo-klerykałnej (J. Kozicki w „Gazecie Narodowej”, A. Nowaczyński ^ ^Gazecie Warszawskiej”, Z. Dębicki w „Kurierze Warszawskim”, S. Mi-(aszewski w „Rzeczpospolitej”). Odpowiedź polemiczna Boya rozrosła się \$cykl artykułów o Mickiewiczu w okresie towianizmu drukowanych w „Wiadomościach Literackich”. W pierwszych miesiącach 1930 r. w związku z ukazaniem się Brązowników nasiliła się dyskusja o Mickiewiczu. Głos zabrali: S. pigoń, Z. Wasilewski, M. Wolska, S. Szpotański, T. Grabowski, S. Cywiński.

s. 232

* Jan Emil Skiwski (1894—1956) — publicysta i krytyk literacki. Zmienny w swej orientacji ideowej, przez pewien czas solidaryzował się z Boyem, później atakował go za koncepcję „życia ułatwionego”. Por. J. E. Skiwski, „Likwidatorzy” i „likwidatory”, „Tygodnik Ilustrowany” 1933, nr 12, tenże: Dlaczego bronię Boya!, „Tygodnik Ilustrowany” 1933, nr 15. A także: Życie ułatwione, Jeszcze raz życie ułatwione w: J. E. Skiwski, Na przełaj, Warszawa 1935. W czasie wojny Skiwski współpracował z Niemcami, po czym uciekł do Niemiec z hitlerowskimi wojskami. •-••..

s. 234 ' • :

* Artykułem Największa zbrodnia prawa karnego w „Kurierze Porannym” rozpoczął Boy kampanię przeciw karalności przerywania ciąży. W ciągu 1929 r. ukazały się w „Kurierze” wszystkie prawie felietony w tej sprawie (przedrukowane w późniejszym tomie Piekła kobiet).

s. 235

* W 1931 r. w „Wiadomościach Literackich” Boy ogłosił cykl artykułów wymierzonych przeciw ofensywie klerykałizmu (Nasi okupanci) oraz dalsze artykuły w sprawie obyczajowości seksualnej i akcji świadomego macierzyństwa. Stanowisko jego znalazło poparcie w wypowiedziach I. Krzywickiej, dr J. Budzińskiej-Tylickiej, drą H. Kłuszyńskiego, drą H. Rubinrauta i innych.

Praktycznym rezultatem tej działalności było otwarcie 16 września 1931 r. w Warszawie na Lesznie pierwszej w Polsce poradni świadomego macierzyństwa. Boy należał do komitetu organizacyjnego. Atak pism klerykałno-narodo-wych („Gazeta Warszawska”, ABC”, „Głos Narodu”) był tym bardziej ścięty, im więcej głosów deklarowało swoją solidarność z wystąpieniami Boya. Wielokrotnie w tych sprawach polemizował z Boyem również PPS-owski »R.obotnik” (m.in. M. Niedziałkowski, K. Irzykowski)

W 1932 r. „Widomości Literackie” otworzyły kolumnę Życie świadome, gdzie obok pisarzy i publicysów zabierali głos również lekarze specjaliści. Boy

419

l

napisał artykuł wstępny omawiający zadania działu. Opracował rów broszurę Jak skończyć z piekiem kobiet, popularyzującą ideę świado ^ macierzyństwa. ^°

s. 240

* Dobre urodzenie i Najbiedniejsza z matek.

* Brak potwierdzenia tej informacji.

s. 243

* W 1933 r. ukazały się dwie książki skierowane przeciwko Boyowi' Beniaminek Karola Irzykowskiego, złożona przeważnie z artykułów uprzednio drukowanych w prasie, oraz jeszcze gwałtowniejsza w tonie Prawda o Bo-yu-Zeleńskim ze wstępem Czesława Lechickiego. Książka ta zawierała artykuły m.in. J. Brauna, K. M. Morawskiego, St. Miłaszewskiego, A. Nowaczyńskiego, K. Irzykowskiego, I. Moszczeńskiej. Równie brutalnie napadała na Boya „Gazeta Warszawska” w wielu anonimowych artykułach i notatkach. Boy

zabrał głos dwukrotnie — rozprawiając się z kampanią „Zetu” (Sekrety niektórych walk ideowych, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 27) i odpowiadając Irzykowskiemu w artykule Brzydka książka („Wiadomości Literackie” 1933, nr 29). Irzykowski kontynuował spór tekstami Chwila polemicz-no-literacka i Zaoczny pojedynek („Robotnik” 1933, nr 247 i 249). Por. spis recenzji i polemik w: Winklowska, op. cit., s. 681—682.

s. 248

* W czerwcu 1931 Boy przerwał wieloletnią współpracę z „Kurierem Porannym” i rozpoczął publikację recenzji teatralnych w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”.

Współpraca trwała do września 1934 r.

s. 249

* „Skamander” 1936, z. 67.

s. 257

* Tom Markiza i inne drobiazgi, Kraków 1914.

s. 274

* Chodzi o Mój wiek. Pamiętnik mówiony. Przedni. C. Miłosz, oprac. L. Ciołkoszowa, Londyn 1977. Pierwsze wyd. krajowe: Warszawa 1990.

Por. przypis do s. 227.

s. 276

* AA cenionego architekta warszawskiego. Zttiirł nagli?12 listójiada 1937 na 1 nalenie6 °g°n mózgowych, w dwudziestym ósmym roku życia.

s. 286

* Zjazd Pen-Clubów odbył się w Warszawie w dniach 20—22 czerwca 1930.

«l programie m.in. raut u premiera w Pałacu Królewskim w Łazienkach (piątek), przyjęcie u ministra spraw zagranicznych, Augusta Zaleskiego (sobota), bankiet w Pen-Clubie (niedziela).

s. 287

* Por. M. Samozwaniec, Maria i Magdalena, Szczecin 1987, cz. II, 183-193.

* Por. przypis do s. 227.

* Proces odbył się 6 marca 1933. Por. R. Dąbrowski, Sprawa Rity gonowej, Warszawa 1933, Proces Rity Gorgonowej w Krakowie. Ścisłe sprawozdanie. Stenogram nr I, Katowice 1933, Z. Walter, Proces Rity Gorgonowej, Warszawa 1933. A także: Sprawa Rity Gorgonowej w: E. Żurek, Gorgonowa i inni, Warszawa 1973.

s. 290

* W połowie 1938 r. odbył się w Sądzie Okręgowym w Warszawie proces przeciwko Boyowi wytoczony przez Tadeusza Konczyńskiego. Powodem była recenzja sztuki Zburzenie Jerozolimy, którą Teatr Polski wystawił w sezonie 1935/36. Kilka miesięcy przedtem recenzja została włączona do tomu wrażeń teatralnych pt. Krótkie spięcia. Boy twierdził, że Konczyński użył podstępu, przesyłając anonimowo swoją sztukę na konkurs dla młodych dramaturgów. Konczyński w skardze swej zarzucił Boyowi fałszywe informacje o przyczynach, które spowodowały wystawienie jego sztuki w czasie konkursu, a także włączenie recenzji tej sztuki do książki. Sąd okręgowy uznał winę Boya. Skazano go na 10 dni aresztu, z zawieszeniem kary na dwa lata, i na 50 zł grzywny.

s. 310

* Antoni Borman (1897—1968) — współzałożyciel, współwydawca i administrator „Wiadomości Literackich” w Warszawie (1924—1939) i „Wiado-w Londynie.

311

• -J J J

16 listopada 1935 Uniłowski zawarł związek małżeński z Marią Lilp°P> * Halina Lenczewska-Bormanowa, autorka książki ZSRR w oczach kobiety

420

421

(Warszawa 1936). Od 15 V 1939 redagowała pismo „Kobieta i w Domu”. w
^wiecie

s. 313

* O tej znajomości pisze Zofia Nałkowska w Dzienniku 12 lutego 1936-niedzielę byłam u Krzywickiej —po raz pierwszy od lat. Śliczne, świeże ro l" j mieszkanie, meble nowoczesne, skomponowane przez artystów. Jej' gak- 6 zaciszny, słoneczny, wygodny. Mąż—łagodny i intratny adwokat, kochanek — łagodny też i widać nie wymagający, spokojnie siedzi przy brydżu z Uniłowsk' Słonimskim i kimś jeszcze. Tak się to dobrze zgadza i układa. Ona zresztą jest zupełnie przyjemna, rozumna, wesoła, lepsza od tego, co potrafi napisać I ładna, gdy na nią przystać — ubrana z surową elegancją".

s. 314

* Bogusław Kuczyński (1907—1974) — prozaik. Od 1932 w Warszawie, członek PPS-Lewicy, następnie KPP. W 1934 zosta! sekretarzem Zofii Nałkow-skiej. Redagował i wydawał w l. 1936—37 miesięcznik literacki „Studio”. Współpracował m.in. z „Tygodnikiem Ilustrowanym”. Opublikował powieści: Kobiety na drodze (1935) i Starzy ludzie (1938) oraz relacje z kampanii wrześniowej pod tytułem Pobojowisko. Publikował również po wojnie.

s. 326

* Alfred Łaszowski (ur. 1914) — prozaik, krytyk literacki, publicysta. W 1937 r. blisko współpracował z czasopismami: „Prosto z mostu”, „ABC” i „Merkuriusz Polski Ordynaryjny”. Po wojnie związany był ze Stowarzyszeniem PAX. Atakował Boya i Krzywicką w prasie ONR-owskiej w l. 1937—38. Do Pen-Clubu nie należał.

* „Wiadomości Literackie” 1936, nr 37.

s. 327

* Por. przypis do s. 202. W swojej książce wspomnieniowej Kolorowi ludzie (Londyn 1966) Czermański nic nie wspomina ani o korespondencji, ani o związku łączącym go z Ireną Krzywicką.

s. 330

* Zwolennicy obozu rządzącego zareagowali brutalną napaścią, w wyniku której Nowaczyński stracił oko.

* Prus spoliczkowany został 26 marca 1870 na ulicy Twardej 6 przed swoirn domem przez Jana Waclawa Sawickiego. Bezpośrednim powodem napaści oy artykuł Prusa („Nowiny” nr 13) przychylny wobec odczytu Włodzimierz Spasowicza krytykującego spuściznę literacką Wincentego Pola. Autor Kront

wystąpił w obronie „swobody słowa i tolerancji dla cudzych

,&

* Bolesław Wieniawa-Długoszowski (1881 — 1942) — lekarz, generał bryga-, v poeta, tłumacz. Niezmiernie popularny wśród pisarzy i artystów z kręgu Skarnandra" i „Wiadomości Literackich”. W młodości pisał wiersze, tłuma- !,'zył Baudelaire'a, Conrada, Huxleya. Popęcił samobójstwo, wyskakując 5 pietra swego mieszkania w Nowym Jorku.

jJ32

* Jan hrabia Tarnowski (1900 — 1966). Jedna z ciekawszych i ważniejszych postaci w polskim środowisku tamtych czasów. Przyjaźnił się z Karolem Szymanowskim. Inicjator wielu artystycznych działań. Wiele podróżował (Afryka, Chiny, Paryż). W czasie wojny adiutant gen. Mączka. Po wojnie osiadł w Anglii.

* Antoni Sobański (1900 — 1941) — ziemianin, publicysta. Postać kręgu „Wiadomości Literackich”. W 1934 r. opublikował tam dwa cykle reportaży z Niemiec hitlerowskich (później wydanie książkowe Cywil w Berlinie). Zmarł w Londynie na gruźlicę. Iwaszkiewicz nazywa go „ideałem dżentelmena, a zarazem znakomitym materiałem na dziennikarza”.
s. 335

* Leon Rygier nie był dyrektorem Reja, lecz profesorem polskiego. Dyrekcję sprawował w latach 1921 — 1941 ks. Adolf Rondthaler.
s. 336

* Recenzje teatralne dla „Robotnika” pisała w r. 1930 i 1939.
422

gł^JH'

'L,

Andrzej Krzywicki urodził się 17 października 1937.

s-357

* W dniach bombardowania oblężonej Warszawy w końcu września 1939 Pociski armatnie trafiły w mieszkanie Krzywickiego. Został ciężko ranny * głowę i przysypany gruzem. Po kapitulacji Warszawy przeniesiony przez Niskiego swego przyjaciela, Stanisława Kruszewskiego, do szpitala, w ciągu dwóch miesięcy stopniowo powrócił do zdrowia.
'•361

* Wiosną 1940 r. po wyremontowaniu części uszkodzonego pociskami
423

mieszkania Ludwik Krzywicki wrócił do domu. Był pod opieką przyja •• i uczniów: St. Kraszewskiego, St. Rychlińskiego, Andrzeja Gródka, St. Ste ° powskiego, a przede wszystkim Tadeusza Sturm de Sztrema. 10 czerwca 1941 zmarł na serce.

s. 366

* Dąbrowska najprawdopodobniej miała na myśli stosunek Boya do okuna cyjnej władzy sowieckiej we Lwowie (objęcie katedry historii literatury francuskiej na Uniwersytecie im. Iwana Franki i publikowanie w „Nowych Widno kręgach”).

s. 367

* Jerzy Krzywicki s. Ludwika, porucznik, figuruje na rosyjskiej liście Starobielska pod numerem 1864. Zginął w 1940 r. w Charkowie.

s. 370

* W nocy z 3 na 4 lipca zostały przeprowadzone we Lwowie aresztowania wybitnych przedstawicieli inteligencji. Aresztowanych przewieziono do Bursy Abrahamowiczów, będącej wówczas siedzibą SD (Sicherheitsdienst — służba bezpieczeństwa). Tej samej nocy zostali oni rozstrzelani na stokach Kadeckiej Góry, koło ul. Wóleckiej. Razem z Boyem-Żeleńskim zginęli wówczas m.in. profesorowie: Antoni Cieszyński, Jan Grek z żoną, Włodzimierz Krukowski, Roman Longchamps de Berrier z trzema synami, Antoni Łomnicki, Tadeusz Ostrowski, Włodzimierz Stożek, Kacper Weigel, Roman Witkiewicz.

Chrońcie dzieci przed Krzywic(k)ą

i

O typowym snobie z „Ziemiańskiej” pisał w swoim wierszu Marian Hemar : „Popiołów nie mógł skończyć, lecz wprawiał go w trans Mann — dla niego pisał Cocteau, Krzywicka i Tansman”. A Światopełk Karpiński, mrugając porozumiewawczo do publiczności, dodawał w politycznej szopce: „Były sobie świnki trzy, co gwarzyły wciąż o płci...” I „Irena Krzywicka...! Mój wielki Boże! — westchnie Kazimierz Koźniewski. — To imię i nazwisko wywołuje od razu szmat pogmatwanej międzywojennej polskiej historii literatury. Już widzę ogromną płachtę «Wiadomości Literac-kich» z ich lat najbardziej «skandalicznych» — dwudziestych dziewiątych — trzydziestych drugich, trzecich, kiedy Boy gromił swoich «okupantów», demaskował «konsystorskie dziewice», kiedy pismo literackie

potykało się w szrankach świadomego macierzyństwa i poświęcało specjalne kolumny eugenicie. Pani Krzywicka była partyzantką, nawet regularnym żołnierzem tej obyczajowej kampanii; rzuciła czytelnikom wyzwanie tytułem swej Pierwszej krwi, równie epatującym, jak zwodniczym, rozemocjonowała wszystkich, niektórych oburzyła (bodaj swą obroną Gorgonowej) — i tak już pozostała nie tylko w pamięci kilkunastoletniego szczeniaka wertującego co tydzień «pikantne» «Wiadomości Literackie», ale nawet znacznie doroślejszej publiczności".²

Charakterystyczne są rysy owego portretu, kształtującego niemal od początku jej publicystycznej działalności swoistą legendę. Legendę nieco prowokacyjną i skandalizującą, trudno dziś stwierdzić, na ile zasłużoną czy zawinioną, na ile po prostu łatwą. Legendę, w której wystąpi nie jako recenzentka teatralna albo autorka pierwszego większego szkicu o Prouście, nie jako tłumaczka Wellsa i George Sand, ani ta, która rozszyfrowała zagadkę Wspólnego pokoju Uniłowskiego, córka politycznego zesłańca, synowa wielkiego Ludwika, nawet nie głośna reporterka sądowa albo adaptatorka na nasz rodzimy użytek pojęcia „alfonsa literackiego" z Colette, ale właśnie jako emancypantka, orędowniczka Wyzwolonej kobiecości i bezkompromisowej otwartości w sprawach płci. Duchowa nauczycielka inżynierowej Młodziakowej z Ferdynurke („Ziuta, jeśli

425

" chcesz mieć dziecko nieślubne, proszę bardzo, cóż w tym złego, kult dziewictw .ustał..."). I nawet rola przyjaciółki Boya uszłaby jej może na sucho, gdyby nie skalala pióra w bitwach o uświadomienie seksualne, środki antykoncepcyjne i legalne skrobanki. Trudno przecenić znaczenie obojga w walce z polskim ciemnogrodem. Wówczas rzadko wyrażano aprobatę ich poglądów. Aczkolwiek niezaprzeczalnym dowodem popularności Krzywickiej był wynik ogłoszonego przez „Wiadomości Literackie" w 1935 roku plebiscytu pod hasłem Kogo wybralibyśmy do Akademii Literatury. Otrzymała w nim ponad półtora tysiąca głosów, zajmując jedno z pierwszych miejsc, daleko przed profesorem Kotarbińskim, Lechoniem, Adolfem Rudnickim, a nawet marszałkiem Piłsudskim.

Było to już po publikacji serii wywiadów z francuskimi pisarzami (Słonimski twierdził, że dzięki nim weszła do literatury), a także po książkowym wydaniu jej sensacyjnych sprawozdań sądowych. Te reportaże, opisujące proces jako ponurą commedię delParte, której kanwą jest fakt autentyczny, a epilogiem więzienie, ujawniły „namiętną ciekawość ludzkiej duszy" ich autorki, jej „ostrowidztwo", jak pisano, i niezaprzeczalną umiejętność demaskowania rozkładu mieszczańskiej moralności.

Jednak sława brukowa brała nad inną górę i oto w Przewodniku po beletrystyce Czesława Lechickiego, dziele „ideowym", skonstruowanym „na gruncie spirytualizmu chrześcijańskiego", Irena Krzywicka (pisarka polska pochodzenia żydowskiego!) występuje jako druga po Boyu czołowa propagatorka „tzw. reformacji (czytaj: deformacji) obyczajów". Autor podkreśla podziwu godną konsekwencję pani Krzywickiej „w posłannictwie «ideł» spółkowania bez ograniczeń, ono jest jej «transcendentalną» funkcją, a kult fallusa jedyną religią".³

Nie sposób się nie uśmiechnąć czytając te i inne epitety, szczególnie mając w rękę pół wieku po ich napisaniu książki autorki Skutych i wolnych. Niepojęte zgorszenie, jakie powodowały, przypomina oburzenie współczesnych Gabrieli Zapolskiej ośmielającej się powiedzieć głośno, że „kobieta ma kolana". Sztandar ze spódnicy niosły chyba obie, powiewając nim dość zamasyżycie w zatęchłych salonach pań Dulskich. Były pisarkami społecznymi w nieprzepisowym sensie, każda w swoim czasie. Zarzut niemoralności — Krzywicka nazwie go zaszczytnym — ściągnęły na siebie śmiałym traktowaniem spraw, o których „się nie mówi". Rąbały prawdę prosto w oczy i obie wydawały się bezwstydne (choć u obu bezwstyd nie miał nic z frywolności). Słuchając ich kołtuneria wznosiła oczy ku niebu.

Krzywicka nie bez powodu interesowała się postacią Zapolskiej. Fascynowała ją ta znakomita artystka, której „ciało stworzone było z łatwiej palnego materiału, niż to bywa na ogół”. (To rozumiała). Pisarka wliczona w poczet podkasanych, przezwana ordynarną i cyniczną. (To odczuła na własnej skórze). A jednocześnie, mimo całej rewolucyjności, niezdolna do końca zedrzyć oków

mieszczańskiej moralności. „Cóż za cudaczna i przesadna terminologia miłosna u kobiety z tak bujnym doświadczeniem?” — dziwi się Krzywicka. (Dalibóg, żądała zbyt wiele jak na owe czasy). Miłość zmysłowa to dla niej ciągle jeszcze „błoto i kał!” Mężczyzna pożądający kobiety to wciąż nieuchronnie „zwierzę”, samiec, którego żądza jest zniewagą, a pocałunek bez zaklęć i przysięg, zwłaszcza kobiety zameężnej, nic innego niż „ohyda”. Ow „kał” okropny, przy każdej sposobności jako mot courant służący wyrażeniu moralnego oburzenia, nazwie Krzywicka jedyną prawdziwą nieprzyzwoitością w książkach Zapolskiej.⁴

W swoich postara się rozbić obraz fin-de-sieclowej damy w pancerzu z fiszbinów, krępującym tak ciało, jak duszę. Śmiałym ruchem pozrywa owe „koszule do pół łydki, staniczki z ząbkami zapinane na beznadziejny rząd guziczków, różne halki, tasiemki, haftki, agrafki, majtki za kolana”. Zdradzi sekret comiesięcznej choroby owej damy, demaskując jej rzekomą zagadkowość, kaprysy, niespodziewane odruchy: „Co drugi demon jest po prostu niezdrów!”⁵ Och, jakie to nieeleganckie i nieprzyzwoite — zaopiniowano. (Najbardziej dostało się jej zresztą od samych kobiet).

Po Pierwszej krwi Kaden przyznał Krzywickiej „odwagę szczerości”, po Walce z miłością pisano ironicznie, iż rzecz cała przypomina „zwierzenie ekshibicjonistki uzupełnione opisami z zakresu fizjologii miłości i pewnych zabiegów chirurgicznych”.⁶ Artykuł o erorycznych potrzebach więźniów, w którym znalazło się zdanie: „ciało żyje i domaga się swoich praw”, wywołał nie tajony wstępną. ⁷ Uśmieszki, chichoty, oburzenie towarzyszyć jej będą odtąd stale. Tak ze strony potomków Dulskich, jak wyszczekanych endeków, a także chóru pism socjalistycznych. Nie szczędzono inwektyw i wyzwisk założycielom Ligi Reformy Obyczajów i wszystkim autorom „Życia świadomego”, sprowadzając ich walkę o uzdrowienie moralności i wychowania do „ginekologicznych” enuncjacji (a występowali również między innymi o zniesienie kary śmierci). „Cóż nas to może obchodzić — wydymali wargi miejscowi radykałowie — że towarzysza X umiera w tej chwili przy piętnastym poronieniu, a bezrobotnemu towarzyszowi Y rodzi się właśnie dwunaste dziecko...”⁸ Krzywicka nie ustawała jednak w nawoływaniu do przewrotu w etyce seksualnej, wyszydzając moralność przeszłości, bliźniaczą siostrę dawnej higieny, która uważała kąpiel za szkodliwą dla zdrowia. Tłumaczyła, że „nadmierna rozrodczość to właśnie biologiczne wyniszczenie narodu”. Omawiając prace Lindsaya i Russella, ośmieszała społeczną hipokryzję. Przedstawiała zalety małżeństwa koleżeńskie, nie zamykającego życiowych możliwości, nie krępującego seksualnej swobody. Nawoływała do niej (po latach przyzna, że może się trochę zagalopowała, choć nie będzie pewna), powtarzając za Russellem, że tendencja do monogamii świadczy raczej o ubóstwie życia psychicznego i „nie sposób poprzestać na jednym mężczyźnie”, zwłaszcza iż „przeżycia zmysłowe

426

427

mają nieszczęsną skłonność do blaknięcia z czasem”. Rozróżni małżeński przyjaźń od żywiołowej namiętności. Potępi zazdrość „niską i podłą”. Upornie się o prawo kobiety do związków, które były dotychczas niepisany przywilejem mężczyzn, o prawo do miłości „takiej i tylokrotnej, jak sama będzie chciała”. Dowiedzie, że ten trzeci (lub ta trzecia) mogą być gwarancją szczęścia kochającej się pary.⁹

Tego z pewnością było za wiele. Takie zdania, choćby podparte zachodnimi autorytetami, musiały wywoływać burze. „Biedni erotomani — ubolewała — więc — wystarczy, aby coś było bezpośrednio związane z seksem, aby was tak dalece wytrącić z równowagi, podniecić,

zaniepokoić?"¹⁰ Odplącono jej szyderstwem, nazywając Madame Sans Genie lub Madame Reclamier polskiej literatury. Ośmieszano lub lekceważono owe — jak je nazwano — przejawy feministycznej donkiszoterii. Ukuto nawet slogan: „Chrońcie dzieci przed Krzywic(k)ą!”

II

Istnieją cztery portrety Witkacego przedstawiające gorszycielkę przedwojennej Warszawy. Pierwszy jest „na ładno i na słodko”. Jak sama powie — „bardzo niedobry”. Drugi, dość potworny, mocno zdeformowany, o wielkiej sile wyrazu — „jakiejs wyższej kategorii podobieństwo psychiczne”. Trzeci mógłby być wizerunkiem kogokolwiek, jest w nim dziwność i nic więcej. Czwarty portret z profilu, wedle bohaterki „łudzko podobny”, przedstawia jej głowę niby jakiejs „dziewicy ognia” — płomyki we włosach, niżej wybuchający wulkan. „Zła literatura” — skomentuje.¹¹

Kiedy zobaczyłam Irenę Krzywieką po raz pierwszy, latem 1988 roku w ogrodzie jej podparyskiego domu, siedziała w zieleni w białym fotelu, w wiśniowym szlafroku, wyprostowana, milcząca, jakby surowa. Mimo grubych okularów zasłaniających oczy, bez trudu odnajdywałam w jej twarzy znajome ślady witkacowskich metafor. Te obrazy podsuwały inne, zapamiętane z fotografii, opowiadań, lektur. Oto słynna górka w „Ziemiańskiej” — Lechoń, Tuwim, Wierzyński, wesoła rozmowa. Oto premiera w teatrze, elegancka, czarnooka, czarnowłosa kobieta u boku Grydzewskiego, i Boy kopiający grządki w Podkowie Leśnej („Lubię śledzie, mają tylko jedną wadę — są tanie!”). Jeszcze raz Boy, z Jerzym Krzywickim i Antonim Słonimskim na wycieczce w okolicach Krynicy. Bal na Jaszczurówce z demonicznym Witkacym, depeza Waltera Hasenclevera: „Niech żyją najpiękniejsze nogi w Polsce...”

„To nieprzyzwoite tak długo żyć” — usłyszałam nagle i poczułam się jak przyłapana na gorącym uczynku. To zdanie otworzyło rozmowę barwną, dynamiczną, pełną dowcipu. Nie myliłam się. Gdyby zjawili się tu teraz wszyscy nieobecni już świadkowie jej życia, rozpoznaliby bez trudu ją dawną — pełną temperamentu, energii, bezkompromisową, wymagającą, władczą.

428

pamiętniki zaczęła pisać we Francji w latach siedemdziesiątych. Słabnący wzrok nie pozwolił jej dokończyć pracy, część tekstu powstała na podstawie zapisu z taśm magnetofonowych. „Nie mam żadnych dowodów tego wszystkiego, co przeżyłam. Trzeba mi wierzyć na słowo” — zaznaczy. „Relacjonować tyle lat życia to jakby opowiadać sny...” Nie przeznaczała wspomnień do druku, pisała raczej z nałogu. „Pod siebie” — jak by powiedział Boy. Często przywołuje jego opinie, ciągle nie rozumiejąc, dlaczego nie jest szanowany tak, jak na to zasłużył. Może rzeczywiście, gdyby pisał o śmierci... żart łatwo zlekceważyć, tego się nie ceni.

Miała zawsze poczucie nietrwałości wszelkich zapisów. Wojna pozbawiła ją większości drogich sercu listów (prócz rodzinnych, także od Julesa Romainsa, Romain Rollanda, polskich pisarzy i poetów), książek, obrazów. Z niezliczonych skierowanych do niej słów Boya pozostawiła jedynie dedykację na miedziorycie Goyi. Los popisał się tu poczuciem humoru. Miedzioryt przedstawia upiornego, potężnego ogiera, który porywa olbrzymimi zębiskami omdlewającą z rozkoszy kobietę. W dole na passe-partout ręką Boya: „Dostałem tego Goyę od St. Przybyszewskiego w 1898 r. — ofiarowuję go Irenie Krzywickiej dla utrzymania ciągłości gatunku”. I data — 15 II 1931.¹²

„Co to jest to coś, co każe nam mówić — a przecież była m?” — zastanawia się, decydując na napisanie autobiografii. Nie tai przed sobą, iż danie prawdziwego świadectwa swego życia to „karkołomne przedsięwzięcie”. „Trzeba sobie powiedzieć z góry — decyduje — że w żaden sposób nie da się uniknąć zakłamania. Ten, kto przystępując do pisania sądzi, że będzie całkowicie szczery, myli się, zanim sformułował pierwsze zdanie. Przyczyny są oczywiste.

Każdy ma na swoim życiowym koncie postęпки, o których nie tylko nie lubi opowiadać, ale o których woli nie pamiętać. Pominięcie jednak tych spraw grozi sfalszowaniem życiorysu, a nieprawdziwy życiorys w ogóle przestaje być interesujący. Nawet Rousseau, który postawił sobie za zadanie mówić w swoich Wyznaniach wszystko, nakłamał potężnie, i to w sprawach istotnych. Ale gdyby ktoś już zdobył się na szczerłość absolutną i nie oszczędzał siebie ani przez chwilę w imię rzetelności i dokładności, to pozostają przecież inni ludzie, którzy odgrywają rolę w jego życiu. Mówić o nich wszystko? Jakim prawem? A znów pomijać ich milczeniem to fałszować swój życiorys. Sytuacja bez wyjścia — albo też wyjście jedyne: opowiadać, ale fragmentami, mówić, ale tylko tyle, ile może i chce się powiedzieć".¹³

Wspomnienia Ireny Krzywickiej są przewrotną ilustracją tego postanowienia.

Tajemniczy mechanizm pamięci rejestruje z właściwym sobie prawem (bezprawiem?) przypadku najrozmaitsze elementy, sprzeciwiając się ustaleniu rządzących zasad i hierarchii wyboru. Ważne spotkanie, nadające sens całemu dalszemu życiu, może zostać zapomniane, a zapamiętany jakiś błahy szczegół towarzyszący nic nie znaczącej przechadzce. Krzywicka nie jest w stanie

429

odtworzyć swoich pierwszych rozmów z Boyem, a dokładnie pamięta _ budź cy lęk małej dziewczynki — wizerunek tygrysa w salonie swojej ciotki _ p wielokroć w mojej pamięci zatraskuje się jakby wieko skrzyni..." śladv utrwalonych we wspomnieniu przeżyć mają różne głębokości, inna jest czułość' nagrania na taśmę pamięci. Również czas zmienia widzenie przeszłości deformując tak fakty, jak ich emocjonalne kształty. Przeszłość żyje wyłącznie w pamięci, ale jej obraz w dużej mierze określa ewokująca wspomnianie terażniejszość. Barwi minione tęsknotą lub melancholią, w zależności od celu przywołania. Za wszelką cenę rozświetla, by niepowtarzalne ocalić, obronić dla siebie i w sobie, bądź też odsuwa w geście samoobrony, dodając kliszy czerni Dlatego nie istnieje jakaś jedna obiektywna prawda pamięci. Również prawda cudzego życia, inna od postrzeżonej i przeżytej przez głównego aktora, niełatwa bywa do wypreparowania.

Jaka jest prawda Ireny Krzywickiej? Jej prawda i prawda o niej? Być może konfrontacja sąsiadujących pamięci mogłaby przynieść tu wiele korekt. Uważam je za zbędne. Sposób pamiętania i opowiadania własnej pamięci jest źródłem wiedzy najgłębszej. Często nieświadomionej, więc niepodważalnej w swej psychologicznej sprawdzalności. Czasem autodemaskatorskiej wbrew zamiarowi.

Krzywicka jest pierwszoplanową bohaterką tego pamiętnika, wszystko prze/ nią i wobec niej się dzieje. To osobowość ekspansywna, bogata, nieposkromiona, nie bez powodu wypowiadająca zdanie: „Nie lubię nie wykorzystanych szans". Umiejąca żyć ładnie i głośno, wygodnie i niewiarygodnie. Ceniąca sukces i ludzi sukcesu. Inne obecne na kartach jej wspomnień postaci istnieją niejako w jej rydwanie, jako epizodyczni aktorzy owej upsiologizowa-nej plotki o przedwojennej Warszawie. Plotki, która opowie i o skąpstwie teściów Krzywickich, i o brydżowej pasji Słonimskiego, i o magnetyzmie Osterwy, i o wiewiórczych przyzwyczajeniach Lilki Pawlikowskiej, o tajemnicach Stawiska, o Szymanowskim, Abramowskim, Pruszyńskim... Wyjawi sekrety własnej rodziny i niedyskrecje salonów i alków innych nieanonimowych par i trójkątów. Sensacyjny lejtmotyw erotyczny (a choćby tylko erotyczny nastroik) jest nieodłącznym elementem tych pamiętników. Elementem barwnym, ale nie szokującym. Mogącym wręcz zawieść oczekiwania nienasyconych, pielęgnujących drapieżną wizję autorki — „kawiarnianego wampa, żyjącego z każdym, kto się nawinie pod, powiedzmy, rękę".¹⁴ Hemar w swojej fraszce potwierdzał obiegowe mniemania:

Jeszcze przez felietonów parę Dokładnie nam opisze wszystko, Droga Irenka, nasze stare Chodzące poboyowisko.

430

•• '•-:•-/ !': Wszyscy zainteresowani: i ••••• '••'

Kiedy ogłosi książkę całą?

Ja nawet miałbym tytuł: ' On tak ubóstwiał moje ciało.li

Tymczasem walcząca feministka przyzna się po latach ze wstydem, jak późno poznała niestatyczną anatomie mężczyzny, i zwierzy się z wielką do siebie pretensją, że przesiedziała z zamkniętymi oczami cały pierwszy film cochon, jaki dane jej było zobaczyć. Krzywicka „dużo ryczy, a mało daje” — mawiał Słonimski. Może miał rację?

„Mam język rozpuszczony” — zakomunikuje nie bez kokieteryjnej skruchy w liście Władysławowi Broniewskiemu. Wspomnienia służą niewyczerpanymi przykładami. Roi się w nich od sformułowań celnych, ale i słów dosadnych, ostrych, w ocenach ludzi bezceremonialnych. „Stary wyciruch” albo „literacka purchawka” sąsiadują na przykład z jakimś „głupcem”, „niezdarą” lub „niedorozwiniętą”, ewentualnie „puszczającą się na cały regulator”. Co z tym robić? Czy wolno łagodzić, zmieniać, nawet gdy jest oczywistą niesprawiedliwością? Nie wiem. Ten tekst stałby się wówczas na pewno innym tekstem, straciłby swój smak. Ową pikantną przyprawę i soczystą wyrazistość właściwą narratorce i ją samą najbardziej określającą.

Można by powiedzieć, że los ją obdarował. „Tak, miałam wszystko — napisze Irena Krzywicka. — Zdumiewałam się czasem temu niezwykle powodzeniu. No i przyszedł jeden dzień, jeden jedyny 1 września 1939 — kiedy znalazłam się nagle na samym dnie nieszczęścia”.¹⁶

Jerzy Krzywicki ginie w Katyniu, Tadeusz Boy-Żeleński we Lwowie, umiera także teść — Ludwik Krzywicki, zaraz potem ukochany syn Piotruś. Okupację udaje się jej przeżyć pod przybranym nazwiskiem. Wychodzi z wojny jako inny człowiek. Jej los zyskuje nagle tragiczny wymiar.

Jak po tym wszystkim można dalej żyć — zastanawia się. I przeżywa ciężką chorobę młodszego syna, którego, jak mówią, rodzi po raz drugi ratując od śmierci. Przeżywa wyjazd z kraju, odsunięcie od pracy, samotność i gorycz tego i innych kroków. I to ciągle nie jest wszystko, co przyjdzie jej wytrzymać. W pewnym momencie wspomnienia przychodzą z pomocą, stają się swoistym pocieszeniem. Wspomnienia dzieciństwa, matki, szkoły. Pojawia się w nich syberyjski oswojony niedźwiadek, noc poślubna z nie proszonym gościem, potwornie cuchnąca torebka z węzowej skóry, nieudany prezent od Boya. Pierwszy pocałunek, egzamin, przyjaźń, oszołomienie pierwszym sukcesem i spacer w Lasach Młochowskich. Jest adoracja i wielbiciele. Wspomnieniami uczy się wracać do siebie beztroskiej i radosnej. Ale kiedy ją pytam, jak to jest, gdy patrzy się na swoje życie z tak daleka, co się wtedy liczy, co zostaje, co ma wartość, nie odpowiada, że miłość.

431

Irena Krzywicka zmarła 12 lipca 1994 roku. Miała 95 lat. Pochowano ' w Polsce, na Cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim w Warszawie. Nad otwa tym grobem bito jej brawa. Agata Tuszyńska

1 cyt. za: J. Stradecki, Wspomnienia Ireny Krzywickiej, „Współczesność” 1960 nr 14.

2 K. Koźniewski, Dwie Krzywickiel „Odrodzenie” 1948 nr 18.

3 C. Lechicki, Przewodnik po beletrystyce, Poznań 1935.

4 I. Krzywicka, Zapolska, w: tejże, Sekret kobiety, Warszawa 1933 s. 186—196.

5 I. Krzywicka, Sekret kobiety, w: tejże, Sekret kobiety, s. 154—160.

6 cyt. za: A. Baranowska, Koniec czwartkowych salonów, w: tejże, Perlv i potwory, Warszawa 1986, s. 120—121.

7 I. Krzywicka, Miłość w więzieniu, w: tejże, Sekret kobiety, s. 152.

8 I. Krzywicka, Nieporozumienia i zia woła, *ibid.*, s. 163.

9 I. Krzywicka, Szkołą moralności rozumowej, *ibid.*, s. 176—185, por. także: Nowe uroki małżeństwa, Miłość koleżeńska, *ibid.*

- 10 I. Krzywicka, Nieporozumienia i zła wola, *ibid.*, s. 165.
11 I. Krzywicka, Wielcy i niewielcy, Warszawa 1960, s. 207.
12 Por. tom niniejszy, s. 267.

13 *iw.*, s. 7.

14 I. Krzywicka do J. Iwaszkiewicza, nie drukowany list z 3 stycznia 1939. Ze zbiorów Muzeum A. i J. Iwaszkiewiczów na Stawisku.

15 M. Hemar, Liryki, satyry, fraszki, Londyn 1988, s. 334.

16 Por. tom niniejszy, s. 346.

Irena Krzywicka, córka Stanisława Goldberga i Felicji z domu Barbanel, urodziła się 28 maja 1899 roku w Jenisiejsku na Syberii. Po ukończeniu gimnazjum Anieli Wereckiej w Warszawie studiowała w latach 1917-1922 na wydziale polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Zadebiutowała w 1918 roku (pod pseud. Irena Jenis) esejem *Kiść bzu* w czasopiśmie „Pro Arte et Studio”. W 1923 roku wyszła za mąż za Leona Jerzego Krzywickiego, adwokata, syna Ludwika Krzywickiego. Z tego małżeństwa miała dwóch synów: Piotra (1927--1943) i Andrzeja (ur. w 1937 r.). Współpracowała m.in. z „Wiadomościami Literackimi” (1924-1939), „Skamandrem” (1935-1938), „Robotnikiem” (1930-1939, 1947-1948), „Rzeczpospolitą” (1948-1950), „Argumentami” (1960-1962). W 1931 roku była jedną z założycielek pierwszej w Warszawie Poradni Świadomego Macierzyństwa. W latach 1943-1944 współpracowała z Armią Krajową. Była wieloletnim członkiem zarządów Pen-Clubu i Związku Literatów Polskich. W latach 1945-1946 pełniła funkcję attache kulturalnego ambasady polskiej w Paryżu, a w 1957 roku — w Bernie. W 1956 roku została odznaczona Orderem Polonia Restituta. W 1964 roku osiedliła się na stałe we Francji. W 1991 roku otrzymała nagrodę szwajcarskiej fundacji „Pro Helve-tia” za przekład *Homo Faber* M. Frischa, a w 1992 roku nagrodę pisma „Twój Styl” za wspomnienia *Wyznania gorszycielki*. Zmarła 12 lipca 1994 roku w Bu-res s/Yvette pod Paryżem (gdzie mieszkała od 1968 roku).

433

Wykaz ważniejszych prac Ireny Krzywickiej

Nota edytorska

Pierwsza krew (powieść, 1930, wyd. po wojnie pt. *Gorzkie zakwitanie*, 1948).

Co odpowiadać dorosłym na drażliwe pytania? (eseje, 1936).

Tajemna przemoc (nowele, 1939, wyd. po wojnie pt. *Ucieczka z ciemności*, 1947).

Sąd idzie (reportaże sądowe, 1935).

Rodzina Martenów (powieść, 1947).

Bunt Kamila Martena (powieść, 1953).

Wichura i trzciny (powieść, 1959).

Mieszane towarzystwo (opowiadania o zwierzętach, 1961).

Miłość... Malżeństwo... Dzieci (eseje, 1962).

Mrok, światło i półmrok (nowele, Londyn 1969).

Wyznania gorszycielki (wspomnienia, 1992).

Pamiętnik Ireny Krzywickiej powstawał w ciągu kilkunastu lat. Rozpoczęła go spisywać sama jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych, ale słabnący wzrok szybko jej to uniemożliwił. Przerwała pisanie i nie wróciła już do bezpośredniej pracy nad tekstem. Jakiś czas później zdecydowała się na dyktowanie swoich wspomnień. Trwało to długo, dłużej jeszcze kolejne etapy spisywania z taśm. Brulion całości liczył zrazu blisko tysiąc stron i obejmował niemal cały okres życia autorki *Pierwszej krwi*. Nadanie pamiętnikowi jednolitej formy było koniecznym warunkiem druku.

Skomponowałam całość z kilku wersji pisanych tekstu, z nagrań i rozmów z autorką.

Wyeliminowałam powtórzenia, starałam się omijać zdarzenia, które Krzywicka opisała już w wydanym tomie *Wielcy i niewielcy* (Warszawa 1960). Nie zawsze było to możliwe, gdyż

kilka występujących tam postaci odegrało w jej życiu ważną rolę, bez nich jej biografia byłaby niepełna i nieprawdziwa. Moje ingerencje w tekst, prócz kompozycji, dotyczą niemal wyłącznie sfery stylistycznej (konieczność przemodelowania języka mówionego na pisany), choć i tutaj pozostawiam charakterystyczny sposób opowiadania i swoisty rytm gawędy. Zawartość faktograficzna i emocjonalna pamiętnika została nie naruszona, mimo iż sądy jego autorki są często stronnicze, a nawet krzywdzące. Czy są wyrazem jej własnych przekonań czy insynuacyjnych plotek środowiska, nie mnie sądzić. Krzywicka ma do nich prawo, a ugrzecznianie jej byłoby nadużyciem.

W pamiętniku zrezygnowałam z rozbudowanych przypisów, używając ich jedynie wówczas, gdy wyjaśniają sprzeczności lub pomyłki albo dotyczą osób, które mogą nie być powszechnie znane. W innym razie niezbędne byłoby opisanie wszystkich znaczniejszych postaci życia publicznego polskiego dwudziestolecia.

Do druku podaję tekst zamykający się w roku zakończenia wojny. Nie wcześniej, bo wówczas odebrałoby się tej biografii barwę tragiczną, nie póź-

434

435

niej — kolejne fragmenty osłabiłyby —jak sędzę — wymowę nich.

Notatki dotyczące okresu powojennego nie stanowią spójnej całości, a najbardziej dramatyczne zdarzenie, jakim była walka z chorobą młodszego syna, znalazło wyraz w autobiograficznej powieści Wichur[^] i trzciny. ra

Podczas pracy nad książką nieocenioną pomocą i radą służyli mi-Tomasz Burek, Jan Carewicz, Hanna Kirchner, | Witold Maj] Anto ni Marianowicz, Piotr Mitzner, Elżbieta Wężyk. Serdecznie iin dzie" kuje.

Agata Tuszyńska

Indeks nazwisk

Abarbanelowie, ród 8

Abramowski Edward 80, 85, 86, 90, 430

Adler Alfred 227

Adler Friedrich 49

Albin, syn cieśli Józefa 296, 298, 347, 349, 352, 360, 402, 408

Alcott Louisa May 261

Aleksandrowicz zob. Goldberg Stanisław

Alter Izio 177

Alter Wiktor 18, 66, 112, 176, 177, 413,414

Andrzejewski Jerzy 338

Anigsztejn, docent 275

Annunzio Gabriele d' 156

Antoni, dozorca 400-402

Antoniewiczowa Lunia 314

Arciszowie, bracia 137

Arska Magdalena z d. Hertz 110, 357

Arski Stefan 110,416

Asnyk Adam 197, 198

Aurel, pisarka 175

Awrutin Halina 42, 46

Axer Maurycy 291

Babel Izaak 99

Bakaj Michaił 414

Balzac Honore de 263, 286 "

Banach Stefan 80, 292 Bandrowski-Kaden Juliusz 427 Baranowska A. 432 Barbanel Albert 8, 9, 11, 61-64, 76, 181, 271, 272
Barbanel August 8,9,14,32,61,63,64 Barbanel Balbina 8, 11, 14, 16, 64, 65 Barbanel Jadwiga 9, 61, 65 Barbanel Leon 8, 14 Barbanel Liza 62, 63, 76, 271 Barbanel Maria 8, 9 Barbanel Urban 63, 65, 271 Bartel Kazimierz 180 Baruch Irena 354, 355 Batowski Henryk 415
Baudelaire Charles 423 Bąk Wojciech 312 Bebel August 36 Beck Józef 348, 350 Beckett Samuel 299 Benda Julien 288, 308 Berg Julian (Bubery) 10, 24, 25, 30, 57, 58
Berg Nela zob. Weissblum Nela Berg Seweryn 10, 26, 58, 60, 108 Berg Stefania zob. Osińska Stefania Berg Zofia z d. Goldberg (Godek) 10, 14, 16, 23-26, 30, 58-62, 64, 65, 108, 109, 114, 153, 188,270, 310 437
Beyerowa 351, 352 Bierut Bolesław 71 Bołoz-Antoniewiczowa Helena 220, 241, 242
Borejsza Jerzy 402-404, 409 Borman Antoni 310, 311 Borowy Waclaw 181, 231, 244, 393, 417
Boutron Marcel 266 Brailowski Aleksander 99 Brandys Kazimierz 367, 406 Braun J. 420 Brecht Bertold 168, 169, 178 Breiter Emil 267, 274 Breza Achilles 333 Breza Tadeusz 333, 365 Breza Zofia 333 Broniewska Janina 403 Broniewski Władysław 70, 102, 108, 308, 309, 431
Broniszówna Seweryna 315 Brunowie, rodzina 331 Brzeziński Franciszek Ksawery 293 Brzeziński Zbigniew 294 Brzozowski Stanisław 22, 35, 413^15 Buczyńska Helena 393 Budkiewiczówna 85 Budzińska-Tylicka Justyna 241, 419 Bułhakowa Helena 137 Burek Tomasz 436 Byron George Gordon Noel 107 Bystroniowa Jadwiga 381-383, 386-388, 395
Bystron Andrzej 382, 383, 391 Bystron Jan Stanisław 330, 381, 383, 386-388, 395 Carrel Alexis 326
Cavalieri Lina 94 aj
Chaplin Charles 324
Chenkin Włodzimierz 149 "a
Chenneviere, poeta 78
Chlubicka Renia 226, 295, 296 395 400
Chlubicka Władysława 226, 295 296 355, 356 ' ' Chopin (Szopen) Fryderyk 10,40,197 Cichocki (właśc. Józef Ciszewski) 67 Cieszyński Antoni 424 Cocteau Jean 425 Colette Gabrielle 176, 287, 425 Conrad Joseph (właśc. Józef Teodor Konrad Korzeniowski) 362, 406, 423
Cooper Gary 320 Curie Pierre 89 Cyrankiewicz Józef 110 Cytronberg, gastrolog 275 Cywiński S. 419 Czapski Józef 107 Czartoryska Marcelina 197 Czermański Zdzisław 202, 217, 327-330, 350, 417, 422 Czubalski Mieczysław 289
d'Annunzio Gabriele zob. Annunzio Gabriele d'
Danton Georges Jacques 156 Darwin Karol 36 Daszewski Władysław 319 Dawn Mariusz zob. Pawlikowska-Ja-
snorzewska Maria Dawtian, ambasador 102 Dąbrowska Maria z d. Szumska 319, 353, 366, 374, 376, 424 Dąbrowski R. 421 Dean James 320 Deybel Ksawera 231 Dębicki Z. 419 Dietrich Marlena 216 Długoszowski Wieniawa Bolesław 327, 330, 331, 423

popkowa, nauczycielka 37, 43 pomański, płk 108, 109 porę Gustave 23 pos Passos John Roderigo 287 postojewski Fiodor 263, 338 Prabik Wincenty 319 Przewiecki, fabrykant 401 Puhamel Georges 78, 79, 174 Puse Eleonora 156 Pymśa Adolf 322 Ehrlich Henryk 18, 413, 414 Einstein Albert 89 Eisenstein Siergiej 99 Endelman Halina zob. Górska Halina Erenburg Ilja 99, 162, 174 Ettinger Mieczysław 291, 418 Falski Marian 361, 365, 393, 409 Feldberg Rachela zob. Krzywicka Rachela Finkelkraut Stella 354 Fiszer Franciszek (Franc) 144, 313 \ Fitzgerald Francis Scott Key 288 i Flammarion Camille 36 Foujita Tsuguji 174 France Anatole 287, 288 Frenkiel Mieczysław 322 ś Frisch Max 207, 434 Frycz Karol 319 Fredro Aleksander 182, 216 Freud Sigmund 227 Frydman 242 Furmanik 117 ; Galsworthy, żona Johna 287 Galsworthy John 287 Carewicz Jan 436 Garewicz Juliusz 385 Geszwind Jakub 418 Gide Andre 288 Gish Liliana 324 Glocerówna Halina 65, 66, 113 Godek zob. Berg Zofia Gojawiczyńska Pola 215, 402 Goldberg Anna z d. Hertz 13, 64, 73 Goldberg Halina 12 Goldberg Henryk 13, 63, 64, 73 Goldberg Iza 339 Goldberg Jan 13 Goldberg Juliusz 12, 107, 129, 142, 339 Goldberg Juliusz, syn Henryka 13 Goldberg Klotylda z d. Justman 12 Goldberg Maria 63, 64 Goldberg Nina zob. Kamińska Nina Goldberg Pola 339 Goldberg Stanisław (pseud. Aleksandrowicz) 12-16, 18-20, 22, 23, 30, 31, 36-38, 48, 413, 414, 433 Goldbergowa Felicja z d. Barbanel 9-11, 14-16, 18-20, 22, 23, 26, 28-30, 33-40, 42-45, 48-50, 52, 54-57, 59, 61, 62, 65, 76, 77, 84, 90-93, 95, 97, 107, 109-114, 118, 120, 121, 129, 131, 133, 135, 136, 139, 140, 142-148, 151, 153, 163, 164, 166, 176, 179, 188, 200, 239, 255, 270, 271, 310, 317, 318, 336-338, 341, 346-349, 351, 352, 354, 355, 360, 363, 370, 374, 376, 381, 384, 386, 387, 390, 391, 393, 394, 399-401, 413, 414, 433 Gombrowicz Witold 274 Gorgonowa Rita 289-291, 310, 421, 425 Gorzechowski Jan Tomasz (pseud. Jur) 67 Gościewicz, nauczycielka 43, 54 Goya y Lucientes Francisco de 266, 267, 429 438 439 Górska Halina (właśc. Halina Endel-man) 42, 48, 54 Grabowska, ciotka Boya 261 Grabowski T. 419 Greczaninow Aleksander 45 Grek Jan 356, 424 Grekowie, rodzina 370 Grendyszyńska 113 Grodek Andrzej 423 Grossman Ludwik 10, 275 Grossman Maria (Buba) 10 Grotowscy, rodzina 353, 360 Grottger Artur 185, 187 Gruszczyński, taternik 118

Grydzewski Mieczysław (właśc. Mieczysław J. Grycendler) 107, 167, 182, 183, 203, 221, 224, 227, 232, 235, 267, 274, 285, 288, 308-312, 326, 418, 428
Gubrynowicz Bronisław 81, 130, 131, 415
Halicka, malarka 174 Handelsman Marcelli 330, 415 Hasenclever Marita 168, 169, 172, 174
Hasenclever Walter 164, 166-169, 173, 177, 178, 369, 428 Hemar Marian (właśc. Marian Heschels) 267, 321, 425, 430, 432 Hemingway Ernest 288 Hempel Jan 70, 71, 415 Herse Wanda 109 Hertz Aleksander 143, 417 Hertz Benedykt 13, 31, 32, 110, 143, 206 Hertz Stefania z d. Goldberg 12, 13, 26, 31, 32, 110, 162, 164, 206, 270, 271
Hirszfild Ludwik 291, 292, 330 Hirszfild Maria 291, 292 i Hiszpański, szewc 40
Hitler Adolf 169, 172, 345, 393, 394 Hoffman 356 Homer 36
Horszowscy, rodzina 180, 181 Hulka-Laskowski Paweł 241 Husarska 380, 382 Husarski Roman 365, 377 Huxley Aldous Leonard 423
Ibsen Henrik 124, 198
Ihnowiczowa Maria 137
Imberch Leonid 38⁰, 45, 46, 57, 104
Ionesco Eugene 299
Ipohorski Zygmunt 205, 417, 418
Irzykowski Karol 216, 231, 243, 309, 312, 313, 323, 336, 419, 420 Iwaskiewicz Anna z d. Lilpop 202, 206, 279-282, 432 Iwaskiewicz Jarosław 108, 195, 203, 206, 207, 223, 230, 279-282, 309, 326, 331, 338, 359, 360, 374, 396, 401, 402, 432
Iwińska Estera z d. Alter 112, 113, 338 Iwiński, działacz PPS-Lewicy 112
Jakobi, matematyk 364
Jakubowski, prof. med. 147, 148
Janina, służąca 293, 294, 348, 349, 351
Jannings Emil 216, 320
Janowicz Alina 137
Janowicz Zofia 137
Jaracz Stefan 195, 203, 257, 319, 320, 322, 323, 332 Jarosy Fryderyk 322 Jasiński Bruno 102 Jasnorzewska Lilka zob. Pawlikowska-Jasnorzewska Maria Jasnorzewski 238
Jeżewski Michał 367, 372, 377, 385 Jonszer, lekarz 360 Jouvét Louis 174, 320
Joyce James 101 Józef, cieśla 298, 352, 402 Józef zob. Portnoj Jekutiél Jung Carl Gustav 227
Junosza-Stępowski Kazimierz zob. Stępowski-Junosza Kazimierz
Kaczorowski Antoni 361 Kaczorowski Michał 361, 367 Kaden-Bandrowski Juliusz zob. Bandrowski-Kaden Juliusz Kafka Franz 101, 287 Kamińska, matka Włodzimierza 90 Kamińska Nina z d. Goldberg 339, 340
Kamiński Kazimierz 322 Kamiński Włodzimierz (Dzieciuch) 85-87, 89-91, 94, 96, 97, 100, 102, 104, 106, 113, 131, 136, 144, 149, 188, 226, 255, 281, 327, 337-343, 349, 351, 356, 367
Kandinsky Wassilij 100 Karniol, adwokat 347 < Karniolowa, żona adwokata 347 Karo, lekarz 120
Karo z d. Ołdakowska, właścicielka domku w Radości 118-123, 142, 225 Karpińscy, rodzina 384 Karpińska, dr 384 Karpińska Krystyna 384 Karpiński Światopełk 425 Kasprowicz Jan 29

KautskyKarl 11, 36 Kellermann Bernhard 29 Kępscy, rodzina 361 Kirchner Hanna 436
Kisling Mojżesz 174 Kister Marian 314, 315 Klee Paul 100
Kleiner Juliusz 81, 82, 90, 130, 131 330, 415, 416
Kłuszyński H. 419
Knaster Bronisław 207, 292, 357,
406
Kochanowscy, rodzina 36, 37 Koelichen, nauczyciel 335 Kojalłowiczówna Bronisława 278
Kołakowski Leszek 407 Kołodziejcki Henryk 409 Kołosow Sierioża 49, 50, 57, 104
Komorowski Tadeusz (pseud. Bór)
384
Koń Feliks 413
Konarska Janina zob. Słonimska Janina
Konczyński Tadeusz 290, 421 Kossak Wojciech 238 Kossakowa, żona Wojciecha 238
Koszutska Maria (pseud. Kostrzewa, Wera) 66-68
Kotarbiński Mieczysław 372, 374
Kotarbiński Tadeusz 330, 415, 426
Kozarynowa 220
Kozicki J. 419
Kóźniewski Kazimierz 425, 432
Krauze Ewa 129
Kreczmar Michał 43, 415
Kridl Manfred 419
Krisznamurti 241
Kruczkowski Leon 272
Krukowski Kazimierz 166
Krukowski Włodzimierz 424
Kraszewski Stanisław 361, 423
Kryński Adam Antoni 415
Krzemiński, restaurator 219
Krzywicka Anna z d. Wiercińska 148, 149, 269
Krzywicka Rachela z d. Feldberg 136-141, 143, 148, 150, 151, 343, 416, 430
Krzywicki, prof. stomatologii 270 Krzywicki Aleksander 136, 137, 148,
440
441
149, 268, 269, 347, 348, 409, 410, 417
Krzywicki Andrzej 226, 270, 298, 339, 342-344, 347-349, 363, 364, 368, 371, 372, 374, 376,
379-382, 384, 387, 390-394, 398, 400, 401, 408-
-410, 423, 431, 433 Krzywicki Jerzy 87-89, 96, 98, 102, 113, 131-152, 154, 159-163, 166-
-168, 177-181, 187-189, 191, 208, 210-212, 221, 223, 226, 227, 250, 253, 268, 269, 279, 285,
289, 290, 293, 294, 329, 337, 341, 342, 344, 346-349, 352, 360, 362, 367, 396, 399, 416, 417,
424, 428, 431, 433 Krzywicki Ludwik 22, 29, 80, 89, 136-138, 141, 143, 148, 150-152, 179,
189, 191, 194, 201, 218, 270, 330, 334, 335, 343, 345, 357, 358, 361, 400, 409, 410, 416, 423,
425, 430, 431, 433
Krzywicki Piotr (Wąsowicz Piotr) 188, 190, 194, 210, 221, 223-227, 239, 252, 253, 264,
269, 272, 295, 296, 298, 334, 335, 337, 341-344, 346, 347, 349, 350, 353, 355-357, 361-381,
383, 398, 399, 401, 404, 408, 431, 433
Kuczyński Bogusław 314, 422 Kuna Henryk 126, 129, 130 Kuncewiczowa Maria 107 Kunina
Ewa 126, 128, 129 Kuratowski Kazimierz 80, 292 Kuźmińska Maria z d. Rundbaken 29,
82 Kuźmiński Bolesław 29
Landy, pediatra 188

Lange Antoni 205
Lechicki Czesław 420, 426, 432
Lechoń Jan (właśc. Serafinowicz) 107,
108, 183, 184, 195, 196, 202 203 207, 316, 404, 426
Le Corbusier (właśc. Charles Edouard Jeanneret) 101
Lenczewska-Bormanowa Halina 31 j
421
Leonardo da Vinci 318 Leszczyńska Nusia 249 Leszczyński Jerzy 321, 322 Leśmian
Bolesław (właśc. Bolesław
Lesman) 205 Lewis Sinclair 287 Liebknecht Karl 173 Lilpop Maria 420 Lilpop Stanisław 77,
223, 280 Lilpopowle, rodzina 331 Limanowski Mieczysław 126-129 Lindbergh Charles
Augustus 326 Lindsay, sędzia 241, 427 Lipiński, płk 388 Loewenstern, chirurg 225 London
Jack 36
Longchamps de Berrier Roman 424 Lorentowicz Jan 9 Lubelski Alfred 29 Lubowska 46
Luksemburg Róża 173
Łaszowski Alfred 325, 366, 422 Łempicka 285 Łomnicki Antoni 424 Łukasiewicz Jan 80,
415
Maczek Stanisław 423 Maj Witold 436
Majakowski Włodzimierz 71, 99 Malczewski Jacek 94 Malewicz Kazimierz 100 Malicka
Maria 321 Mandelbrojt, matematyk 292 Marcoussis Louis (Markus) 174
Marianowicz Antoni 436 > Mariusz Dawn zob. Pawlikowska-Ja-
snorzewska Maria Marks Karol 11, 70, 75,94 ; Markus zob. Marcoussis Louis
Maszyński Mariusz 321 Matejko Jan 197 Mauriac Claude 287 Maurois Andre (właśc. Emile
Herzog)
287
Maurras Charles Marie Photius 287 May Karol 36 Maykowski S. 418 Mehring Franz 168,
169 Melcer Wanda 241, 366 Mendelssohn Felix 10 Merle 308 Messal Lucyna 109 Meyerhold
Wsiewołod 99 Michałowska, dr 361-363, 365 Mickiewicz Adam 11, 74, 128, 183, 201, 213,
228, 229, 231, 240, 292, 300, 310, 419 Mierzyńska Maria (Marychna) 41,42,
48, 51-57,71, 113, 153, 154 Mikszewicz Antoni 137 Miller Jan Nepomucen 231, 336
Miłaszewski S. 419, 420 Miłosz Czesław 331, 420 Miriam zob. Przesmycki Zenon
Misiakowski 409 Mitzner Piotr 436 Mitzner Zbigniew 418 Molier zob. Moliere Moliere
(właśc. Jean Baptiste Poque-
lin) 319
Mondrian Pięt 100 Moniuszko Stanisław 10, 198 Morand Paul 287
Morawska Maria 391-394, 397-400, 409 !.-,
Morawski K.M. 420
Morska Maria (właśc. Niuta Knastro-
wa) 108, 207, 235, 236, 241, 276,
277, 354, 357, 406 Mortkowicz Jakub 316-319 Mortkowicz-Olczakowa Hanna 318
Mortkowiczowa, żona Jakuba 318 Morzycka Faustyna 137 Moszczeńscy, hrabiostwo 54-56,
71 Mozart Wolfgang Amadeus 362 Mrozowska Jadwiga 198, 257, 258 Munch Edvard 94
Musset Alfred de 216
Nagler, inspektor policji 251, 252 Naglerowa Herminia 251 Nałkowska Zofia 67, 312-315,
335,
366, 402, 422 Napierski Stefan 418 Narutowicz Gabriel 202, 325 Nawroczyński, prof. 42, 46
Niedziałkowski Mieczysław 336, 350,
418,419
Niemyscy, rodzina 353, 357, 360, 361 Nobel Alfred Bernhard 116 Norwid Cyprian Kamil
316 Nowaczyński Adolf 309, 330, 419,

420, 422 Nyk zob. Portnoj Jekutiel
Olbrycht Jan Stanisław 291
Olczak 318
Olczakowa Hanna zob. Mortkowicz-
-Olczakowa Hanna Olesia, służąca 150, 151, 357 Olesiowa, niańka 59, 60 Ordonówna Hanka
(właśc. Anna Ty-
szkiewicz) z d. Pietruszyńska 322 Orloff Chana 177 Orzeszkowa Eliza 36,43,82,129, 218,
229
442
443
Orzecki Michał 293
Osińska Stefania z d. Berg 23, 30, 58,
65, 108, 109, 153, 159, 160 Osiński 30, 58, 59 Osmołowski, z Jastrzębiej Góry 122,
123
Osóbka-M orawski Edward 403 Ossietzky Carl 369 Osterwa Juliusz 125-129, 320-323,
430
Osterwina Wanda 128 Ostrowscy, hrabiostwo 285, 286 Ostrowski Tadeusz 424 Owidiusz 86
Ozeray Madeleine 174
Parandowski Jan 315, 325
Paschalski, adwokat 109
Pasteur Louis 9, 261
Pawlikowska-Jasnorzewska Maria z d. Kossak (pseud. Mariusz Dawn) 235-238, 240, 241,
260, 279, 418, 430
Peck Gregory 66
Petraszewicz Waclaw 137
Petrażyccy, rodzina 360
Petrażycki Leon 80
Perzanowska Stanisława 321
Perzyński Włodzimierz 129
Piasecki Bolesław 326
Pielgrzymowska, gosposia 357, 361
Pigoń Stanisław 419
Pilniak Borys 99
Piłsudski Józef 73, 98, 148, 201, 202, 325, 331, 426
Plechcińska Maria (Marynia) 93, 225, 226, 254, 255, 290, 295, 329, 347, 354, 355, 359, 360,
363, 366, 368, 369, 374, 376, 377, 379, 386-388, 394, 396, 397, 399-401, 407, 408, 410
Platonów, śpiewak 49-51 Pniewski Bohdan 294 Poi Wincenty 422
Portnoj (Portney) Jekutiel (pseud. Józef, Noach, Nyk) 18, 19, 26 27 32~
33, 35, 36, 38, 44, 49-51, 58, 61'62'
66,67,69,84,90,93,95, Ili-i14'
133, 140, 143, 147, 176, 239 333'
341, 357, 413 Posner Stanisław 9, 11 Proust Marcel 101,114,175,227,258
263, 287, 296, 318, 418, 425 Prus Bolesław (właśc. Aleksander
Głowacki) 36, 82, 330, 422 Pruszyński Ksawery 331, 332, 418,
430
Przedpełski Wiktor 388 Przesmycki Zenon (pseud. Miriam)
27, 29, 265, 313, 316 Przybylska 180, 181, 188, 199-201 Przybyszewska Dagny z d. Juel 29,
198, 219, 254, 257, 307 Przybyszewski Stanisław 229, 307,
418, 429

Przychocki Gustaw 104, 105 Ptaszyńska, psycholog 380 Pudowkin Wsiewołod 99 Furman
Leon 69, 71, 74, 415 Puszkina Aleksander 209
Rabelais Francois 244
Raczyńska Maryna 185
Radziwiłł Krzysztof 280
Raimu (właśc. Jules Auguste Cesar
Muraille) 320 Ramberg 85 Rapacki Wincenty 322 Rathenau Walther 173 Rechniewski
Tadeusz 70 Reinhardt Max (właśc. Max Gold-
mann) 156, 319
Reymont Władysław 9, 62 Rimbaud Jean Arthur 29, 107 Rjttner Tadeusz 129 Rockefeller
John Davison 12 Rodziewiczówna Maria 36 Rolland Madeleine 156-159 Rolland Romain
152-159, 161, 287,
327, 351, 417, 429 Romains Jules (właśc. Louis Farigou-
le) 174, 176, 286, 287, 327, 346, 417,
429
Rondthaler Adolf 423 Roosevelt Franklin Delano 354 Rostworowski Karol Hubert 129
Rousseau Jean Jacques 7, 37, 429 Rubinraut Herman 241, 357, 406, 419 Rubinstein Artur 10,
66 Rudnicki Adolf 367, 426 Rundbaken Emilia 29 Rundbaken Jan 29, 82 Rundbaken Maria
zob. Kuźmińska
Maria Russell Bertrand Arthur William 241,
427 ; j; Rychliński Stefan 423 : K Rygiel Leon 335, 423 Rylski,
handlowiec 58 Rzymowski Wincenty 403-405, 407
Sachetto Rita zob. Zamojska Rita
Sadowska Zofia 109
Salmonowicz Irena 137
Samborski 387, 388
Samowicz Leonard 353, 355, 360
Samozwaniec Magdalena (właśc. Magdalena z Kossaków Starzewska, 2 voto Niewidowska)
240, 286, 421
Sand George 425
Sartre Jean Paul 287, 406 , A. j
Sawicki, prof. med. 77 :•.,-\f-Ai
Sawicki Jan Wacław 422
Sawicki Jerzy 290
Schiller Leon 216, 257, 285, 319
Sempołowska Stefania 317
Shakespeare William 36, 287
Shaw George Bernard 124, 287, 288,
323
Sieburg Fryderyk 170, 171, 178 Sienkiewicz Henryk 36, 198 Sieroszewski Wacław 20, 313,
414 Sierpińska, żona Wacława 292 Sierpiński Wacław 80, 292 Sinclair Upton 287
Skaczkowscy, rodzina 36 Skępcy, rodzina 400, 401 Skrzyszewski Stanisław 405 Skiński Jan
Emil 232-234, 419 Skłodowska-Curie Maria 89 Słonimska Janina z d. Konarska 202,
277-279, 284, 285, 332 Słonimski Antoni 100, 108, 129, 174, 178, 179, 183, 195, 196, 203-
206, 215, 221, 246, 267, 272, 276-279, 284, 285, 308-311, 316, 321, 325, 326, 345, 354, 357,
364, 366, 369, 407, 417, 418, 422, 426, 430, 431
Słonimski Piotr, ojciec 364, 373
Słonimski Piotr, syn 364, 372
Słowacki Juliusz 54, 74, 124, 130, 216
Smoleński Władysław 415

Smosarska Jadwiga 285, 324
Snarscy, rodzina 36
Sobański, dr 380
Sobański Antoni 332, 423
Sobieniowski Florian 323
Sobocińska 46
Sołecki Leon 103
Solska Irena 123, 124, 197, 321, 323
Solski Ludwik 124, 197
Spasowicz Włodzimierz 422
Spiessowie, rodzina 331
Spława-Neyman 53
444
445
Sroka Mieczysław 35, 413
Staff Leopold 29
Stalin Józef (właśc. Iosif W. Dżugasz-
wili) 116
Stande Stanisław Ryszard 102 Stanisławski Konstantin S. (właśc.
Konstantin S. Aleksiejew) 126 Starzyński Stefan 350 Stawar Andrzej 102, 182, 219, 272,
332, 408, 417 Stażewski Henryk 99 Stefcia, pokojówka Boyów 356, 370 Stegmanówna 33
Stempowski Stanisław 366, 423 Stern Anatol 114 Stępowski-Junosza Kazimierz 321 Stożek
Włodzimierz 424 Stradecki Janusz 432 Strawiński Igor 99 Stryjeńska Zofia 114, 277
Stryjeński Karol 277 Strykowski Julian 8 Strzelecki Edward 361, 365, 374 Strzelecki Jan 409
Sygietyński Tadeusz 322 Sym Igo 286
Szabadowie, rodzina 114, 115 Szczuka Mieczysław 96, 97, 99, 101,
108, 189, 205, 223, 276 Szekspir William zob. Shakespeare
William
Szelburg-Zarembina Ewa 274 Szereszewski, brat Leona 104, 146 Szereszewski Leon 166
Szober Stanisław 415 Szopen Fryderyk zob. Chopin Fryderyk
Szpoński S. 419 Szturm de Sztrem Tadeusz 423 Szymanowski Karol 314, 315, 423, 430
Świętochowski, syn Aleksandra 148 Świętochowski Aleksander 229 Świętosławski Wojciech
80
Tarnowski Jan 332, 423 Tarnowski Stanisław 198 Tatarkiewicz Konstanty 119 Tatarkiewicz
Marian 119-122 Telakowska Wanda 221, 284, 361
363, 365, 380
Tetmajer Przerwa Kazimierz 29, 198 Tetmajerowie, rodzina 197 Teoplitz Teodor 224 Toller
Ernst 168, 172, 173, 178 Tomaszewscy, rodzina 384 Tomaszewski, grafik 384 Towiański
Andrzej 231 Trozzo Dal 46 Trzciniński Teofil 257, 285 Tucholsky Kurt 168, 169, 173, 178,
369
Turno Katarzyna 333 Tuszyńska Agata 431, 436 Tuwim Julian 79, 183, 195, 203,
205-207, 209, 215, 267, 313, 316,
321, 326, 407, 428 Tuwim Stefania 202, 206, 331 Tworkowska 109 Tylborówna 46
Tyszkiewiczowa 377
Umińska Stanisława 321 Uniłowska z d. Lilpop 275, 276 Uniłowski Zbigniew 227, 274-
277,
418, 420, 422, 425 Ujejski Józef 130, 415 Urbanowicz Aniela z d. Reicher 294,
377, 379
Urbanowicz Ewa 377 Urbanowicz Stefan 294, 377
yalentino Rudolf 113, 324 j Yenulet, prof. med. 330 Verne Jules 36

Voltaire (właśc. Francois Marie Arou-et) 120
Wacław, przeor dominikanów 376-378 Walter Z. 421 Wandurski Witold 102 Wańkowicz
Melchior 315 Warski Adolf (właśc. Adolf Jerzy Warszawski) 71, 75
Warszawski Stefan 71, 74, 75, 86, 87, 90,96,97,102,113,133,134,136, 144, 149
Wasilewska Wanda 272, 403 Wasilewski Leon 403 Wasilewski Z. 419 Wasowski Józef
(Wasserzug) 29,
315
Wasserzug zob. Wasowski Józef Wat Aleksander (właśc. Aleksander Chwat)
101,102,114,272,274,310, 315
Wat Paulina (Ola) 274 Ważyk Adam 407
Wąsowicz Piotr zob. Krzywicki Piotr Wedlowie, rodzina 331 Wegener Paul 168, 169, 178,
320 Weigel Kacper 424 Weissblum Nela z d. Berg 23, 30,
58-60, 65, 108, 121, 271 Weissblum Ryszard 60 Wells Herbert George 36, 207, 287,
288, 425
Wera zob. Koszutska Maria Werecka Aniela 37, 40,43, 44, 51, 86,
116, 123,433 Węgierko Aleksander 321 Węgrzyn Józef 320 Wężyk Elżbieta 436
Wielopolska, hrabina 52, 53 Wieniawa-Długoszowski Bolesław zob. Długoszowski
Wieniawa Bolesław Wiercińska Anna zob. Krzywicka
Anna
Wierzyńska, żona Kazimierza 202 Wierzyński Kazimierz 108, 183, 195, 203, 206, 215, 267,
278, 279, 309, 313, 316, 428 Wilde Oskar 124, 323 Wiley, senator 354 Wiley Irena zob.
Baruch Irena Wiliam, aplikant 352 Winklowska Barbara 219, 220, 418 Witkacy zob.
Witkiewicz Stanisław
Ignacy
Witkiewicz Roman 424 Witkiewicz Stanisław 277 Witkiewicz Stanisław Ignacy (Witkacy)
34, 123, 185, 214, 258, 298-307, 428
Witwicki Władysław 415 Wojciechowski Jakub 259 Wojtkiewicz Witold 185 Wolfram,
chirurg 343 Wolska M. 419 Wolski Władysław (właśc. Antoni Pi-
wowarczyk) 406 Wól ter zob. Voltaire Woźniakowski Józef 291 Wróblewski Wacław 67, 68,
70, 78 Wysocka Stanisława 321 Wyspiański Stanisław 74, 185, 258
Zabarowski Jan 414 Zabawer Natalia 317, 318 Zagórska Aniela 333, 334 Zaleski August 421
Zamoyska Rita z d. Sachetto 333 Zamoyski August 333
446
447
Zapolska Gabriela 9,13,129,177,426 Zaremba, przedsiębiorca 289, 290 Zarembianka Lusja
289 Zawieyski Jerzy 365 Zieliński Tadeusz 80 Zimand Roman 220 Zimińska-Sygietyńska
Mira 285, 322 Zolotnikowa 388 Zweig Stefan 178
Żabczyńska Maria 128
Żarnowerówna Teresa 99
Żeleńska Zofia z d. Pareńska 185,200,
212, 215, 217, 218, 245, 250, 252,
257, 258, 299-301, 305, 348, 352,
361, 365, 369, 370, 374 Żeleński Stanisław 218, 245 Żeleński Tadeusz (pseud. Boy) 80, 81,
106, 130, 178, 181, 182, 184-187,
189, 191-193, 196-201, 203 208
-221, 227-229, 231-235, 241-246" 248-250, 252-268, 272-274, 280' 283, 285, 290, 295, 296,
299-30j' 305, 309, 310, 312, 313, 316 3ig' 319, 322, 323, 325, 327, 329' 330' 333, 335-337,
340-343, 345/348-
-353, 356, 357, 366, 367, 369, 370 396, 401, 417-422, 424-426/428-
-431

Żeleński Władysław 185, 198, 220 Żeligowski Lucjan 98 Żeromska Oktawia 34 Żeromski Adam 33, 34, 414 Żeromski Stefan 33, 34, 125, 178, 181, 227, 236, 316, 319, 322 Żółkiewski Stefan 406, 407 Żuławski Marek 331, 358 Żurek Edmund 421

Wykaz ilustracji

s. 17

Rodzice Ireny Krzywickiej na Syberii, rok 1898

s. 21 Irena Krzywicka w roku 1901

s. 25 Zofia Berg z mężem Julianem (Buberym) w Wenecji, rok 1906

s. 47

Irena Krzywicka w stroju pазia, rok 1914

" -"v - ••'

s. 83 Irena Krzywicka na studiach

Jerzy Krzywicki

Ludwik Krzywicki z rodziną i znajomymi na wsi przed domem, rok 1905. W górnym rzędzie stoją: Olek Krzywicki (z rowerem), Waclaw Petraszewicz, Ludwik Krzywicki, Faustyna Morzycka, nauczycielka Niemka Fraulein Irma. Siedzą: Rachela Krzywicka, Maria Ihnowiczowa, Helena Bułhakowa, Antoni Mikszewicz. W dolnym rzędzie dzieci: Jurek Krzywicki, bracia Arcyszowie, Zosia Janowicz, Irena Salmonowicz, Alina Janowicz

s. 165

Irena Krzywicka — Beaulieu-sur-Mer, rok 1925 '•"•••

449

s. 190

Irena Krzywicka z synem Piotrusiem, rok 1927

s. 194 Ludwik Krzywicki z Piotrusiem, rok 1929

s. 204

Zdjęcie przesłane przez Antoniego Słonimskiego Irenie Krzywickiej ' V kartka pocztowa z Krynicy, rok 1962

s. 222 Irena Krzywicka, rok 1930

s. 230 Jarosław Iwaszkiewicz, rok 1930

s. 239

Irena Krzywicka, jej matka i ojczym oraz Piotruś, rok 1932

5. 247

Irena Krzywicka, rok 1933

s. 256 - .-,

Tadeusz Boy-Żeleński, rok 1933

s. 264

Irena Krzywicka, Tadeusz Boy-Żeleński i Piotruś, Zakopane, lata trzydzieste

s. 273

Tadeusz Boy-Żeleński pracuje w ogrodzie Ireny Krzywickiej w Podkowie Leśnej

s. 283

Tadeusz Boy-Żeleński w swoim mieszkaniu

s. 297

Irena Krzywicka, rok 1938

s. 344

Jerzy Krzywicki z synami, Jędrusiem i Piotrusiem, w przeddzień II woj światowej

* Struś na krótko przed śmiercią

389 Irena

Krzywicka w czasie okupacji

* Irena Krzywicka, rok 1945

450

-Spis rzeczy

Wyznania gorszycielki

Przypisy

Chrońcie dzieci przed Krzywic(k)ą

Nota biograficzna

Wykaz ważniejszych prac Ireny Krzywickiej Nota edytorska

Indeks nazwisk

Wykaz ilustracji

413

425

433

434

435

437

449